http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Egz. archiwalny IBL

BERNARD ZIMMERMANN

TIRSA

POWIEŚĆ

Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEJ PALESTYNY

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KRAKÓW — WARSZAWA

WYDAWNICTWO „PANTEON"
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA
UL. ŚW. TOMASZA 20

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

TIRSA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BERNARD ZIMMERMANN

TIRSA

POWIEŚĆ

Z ŻYCIA WSPÓŁCZESNEJ PALESTYNY

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

KRAKÓW—WARSZAWA

WYDAWNICTWO „PANTEON"
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA
UL. ŚW. TOMASZA 20

http://rcin.org.pl

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA
W KRAKOWIE - ZIELONA 7

Ze zbiorów Fundacji im. J. i J. Michalskich

22.748

http://rcin.org.pl

Droga Siostro!

Widziałem Cię, szukającą swej duszy w Świętem
kroczącą w zadumie nad brzegiem morza; (Mieście;
walczącą samotnie z przeciwieństwami losu...

Nie! Nie mogę dopuścić, byś przeszła bez śladu...
Przyjm-że skromny ten pomnik ze słów i papieru,
który imieniem wiernych Ci sióstr i braci,
z czcią i miłością stawiam na Twym grobie.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA.

SPOTKANIE.

Wysiadła obok poczty, przecięła ulicę Jafską i poszła wdół koło klasztoru Notre Dame de France ku Bramie Damasceńskiej.

Właściwie szła bez wyraźnie określonego celu. Kilkudniowe deszcze, które po długiem wyczekiwaniu przyniósł wiatr z zachodu, zamknęły ją w pokoju, w czterech, gołych, kamiennych ścianach, z lękiem w duszy nieprzywykłej do tych gwałtownych zmian atmosferycznych.

Dwa tygodnie dopiero minęło od chwili, gdy objeżdżała z ojcem kolonje. Jakżeż gorąco było wtedy! Słońce paliło jak we Wiedniu, w lipcu. Często gołej ręki nie można było utrzymać na wolnem powietrzu. Gdy wionął lekki wiatr, miało się wrażenie, że ktoś poruszył wachlarzem, sporządzonym z ognia... A teraz! Przeraźliwe zimno, nagły, huraganowy, mokrą płachtą wody opadający deszcz — istne oberwanie chmury. A przytem przeraźliwy wicher, jakgdyby ktoś stał za oknem i świszczące wygrywał melodje na olbrzymim, zaczarowanym grzebieniu.

Siedziała więc z pustką w duszy i bólem w oczach bezwiednie zapatrzonych na to morze wody, wylewające się z poza niewidocznych zapór niebieskich. Mu-

http://rcin.org.pl

siała użyć całej siły woli, by z tego posępnego mroku móc wywołać ten dawniejszy, barwny, rozsłoneczniony obraz, ten, który wpłynął na jej postanowienie zamieszkania w Jerozolimie, a nie w Tel-Awiwie.

Zdawało się jej, gdy poprzez zamazane okrągłemi kroplami deszczu ociekające szyby, patrzyła w stronę Martwego Morza, że już nie zobaczy więcej czystego, głębokiego błękitu palestyńskiego nieba, fjoletowym oparem przysłoniętych gór zajordańskich, leniwej i jak ostrze noża błyszczącej linji Jordanu...

To też, gdy po ulewie, trwającej siedem dni, jasne, pogodne słońce znów całować poczęło szczyty gór, okalających Jerozolimę, nieodparta wezbrała w niej ochota pójścia między ludzi, a nad osiadłem na dnie duszy lenistwem górę wzięła potrzeba ruchu dla stężałych członków.

Po długiem poszukiwaniu za właściwym celem swej wędrówki, postanowiła jechać do miasta. Chciała oglądnąć nowo odkryte resztki starożytnego muru, który — jak ojciec twierdził — okalał dawną Jerozolimę i zbudowany został ręką Agrypy.

Szła więc w stronę Bramy Damasceńskiej. Dopytawszy się za klasztorem o plac, na którym kopano, skręciła na lewo, by za chwilę znaleźć się na wale usypanym z ziemi i kamiennego gruzu. Spojrzawszy wdół, zauważyła odsłonięty na dłuższym odcinku mur, zbudowany z równo okrzesanych kamiennych ciosów, gubiący się na końcach rowu, wtłoczony wysiłkiem olbrzymów w rudawe wnętrze ziemi. Nie mogła uwierzyć, by ręka ludzka wyrwała te kolosalne, jednolite bryły z rodzimej skały i tu ułożyła je w regularny wał kamienny. Widoczne atoli zarysy okrągłych baszt, misterny ornament resztek mozaikowej posadzki, proste,

http://rcin.org.pl

dłutem kute fazy wskazywały dosadnie na dzieło człowieka. Zaiste, gigantycznym był trud tych ludzi, którzy ten mur budowali, posługując się prymitywnem narzędziem ówczesnych kamieniarzy.

Przestrzenny plac, na którym mur odkryto, był prawie zupełnie pusty. Jedynie nad samym rowem sterczał kamienny zrąb świeżo rozpoczętej budowy. To też z placu tego szeroki roztaczał się widok na pobliską amerykańską kolonję, na szkółkę szwedzkiej misji, na zielone kopuły ruskiej cerkwi, na kapryśną architekturę niemieckiego zameczyska, na koronkowy szczyt szarej ściany, biegnącej od Bramy Damasceńskiej aż do Bramy Złotej, na białą drogę, prowadzącą do Jerycha i na górę Skopus z zanikającą we mgle, niską kopułą Hebrajskiego Uniwersytetu.

Zapatrzywszy się w tę bogatą, w słońcu skąpaną panoramę, myślała Tirsa o tem, jakto w tej Jerozolimie, na całym jej obszarze, gdzie się stanęło, wszędzie było się jakgdyby w otwartych ku niebu ścianach wielkiego muzeum, mieszczącego przebogate zabytki sztuki i niezliczone dokumenty historji. Przygniatało to człowieka i podnosiło zarazem. Mówiło o znikomości człowieka i o nieśmiertelności poczętego przezeń dzieła; o względności wszystkiego, w co człowiek wierzy, co za święte poczytuje, co rzekomo od Boga pochodzi i z Bogiem łączy... Ileż to bohaterów krwawiło się na tych kamieniach, ile ludzi składało tu ofiary, jakich to już bogów nie wzywano na tym murze za świadków dla czynów poczętych z miłości i wiary, nienawiści i pożądania, zemsty i litości...

Oglądnąwszy mur, zastanowiła się Tirsa nad dalszym celem spaceru. Po krótkim namyśle postanowiła, jak zwykle, pójść między bazary Starego Miasta. Tam

http://rcin.org.pl

bowiem, w tych ciasnych uliczkach najintenzywniej biło serce starej Jerozolimy. Tam gubiła się międzynarodowość i nowoczesność miasta, upodabniającego się zwolna do europejskich stolic. Na tle zaś omszałych, dawne czasy pamiętających murów, rozkwitało w całej pełni piękno i szlachectwo dłutem wieków modelowanych linij, form i postaci. Chodząc po tych ciasnych uliczkach, zapominało się o Europie. Tu czuło się bezpośredni dech egzotycznego Wschodu z jego nieograniczoną różnorodnością barw i wyrazu, z oryginalnością stroju, języka i pieśni, z niezatartemi śladami żywej jeszcze przeszłości, sięgającej w teraźniejszość na skutek opaźniającego się rozkładu...

Tirsa przeszła na przełaj placu, a idąc wśród siedzących na bruku Arabów, nakrytych czarnemi abajami, a następnie poprzez sznur stojących pod murem aut, osłów i wielbłądów, skręciła na prawo ku Bramie. Minąwszy ciemne, półokrągłe sklepienie bramy, weszła w labirynt uliczek bezimiennych, ciasnych, ku górze jak tunel się zamykających. Tu i ówdzie spoglądały ku sobie drewniane wykusze o okratowanych oknach, wyrastały piętra, zbudowane na śmiałym kamiennym łuku, a podparte zmurszałemi, misternie rzeźbionemi kroksztynami. W dole zaś, po obu stronach tych kamiennych wąwozów, otwierały się paszcze sklepionych pieczar, niby otwory wielkich, w kamieniu kutych pieców piekarskich. W ich brudnych, ciemnych wnętrzach mieściły się łajnem i słomą zasłane stajnie, prymitywnie urządzone piekarnie, wschodniemi smakołykami przystrojone garkuchnie, niezliczone, ciasne i ciemne warsztaty, sklepy i bazary. Zwisające we drzwiach sklepów biało-różowe połacie świeżo oprawionych owiec, wystawione na sprzedaż nieżywe ryby,

http://rcin.org.pl

stosy owoców i słodyczy, góry różnokolorowych, symetrycznie w piękne piramidy ułożonych jarzyn — wszystko to razem było przedmiotem stałych ataków ze strony natarczywych much i owadów, uganiających chmurami między mrowiskiem kręcących się ludzi.

Przez ten ciemny wąwóz, poprzecinany licznemi, kamiennemi schodami, przeciskała się Tirsa, potrącana z lewa i prawa przez falę półślepych i półnagich Arabów, długobrodych, w jedwabne bekiesze spowitych Żydów, trwożnie rozglądających się Beduinów, ciekawie poprzez czarne zasłony Wschodu spoglądających Arabek i oszołomionych zgiełkiem Wschodu turystów.

Idąc w górę, omijała Tirsa ostrożnie arabskich tragarzy, uginających się pod ciężarem worków, skrzyń i sprzętów, poganiaczy, popychających oporne osiołki i żebraków, wymacujących kijami drogę.

Z tego wąwozu (któremu brakło światła na skutek przewalających się w nim tłumów, a powietrza na skutek wydzielin potu i rozkładających się gdzieś po zacisznych kątach odpadków jarzyn, szmat i mięsa), prowadziły na wolne powietrze niespodziane przesmyki, ukryte za zaułkami walących się murów, otwierały się widoki na zaciszne, we śnie pogrążone, cudną architekturą zdobne place. Były to światłem zalane polany wśród mrocznego lasu. Okolone poważnemi ścianami wyniosłych budynków, zdały się klękać pod ciężarem wznoszących się nad niemi wieżyc, minaretów i kościołów...

Tirsa i tym razem nie mogła się obronić przed owem dziwnem wrażeniem, nawiedzającem ją stale wbrew jej woli i na przekór zdrowemu rozsądkowi na tych cienistych i zacisznych placach. Było to prawdo-

http://rcin.org.pl

podobnie skutkiem rozczytywania się w Starym i Nowym Testamencie... Oto, na chwilę tylko przystanęła, a już miała prawie że materjalne wrażenie, że lada chwila, a z pod omszałej ściany oderwie się wyniosła i gromiąca postać Jeremjasza, lub skupiona, cicha, pogodna Chrystusa... Nie zamykając oczu, widziała, jak się te zjawy ku niej zbliżały, by za chwilę zapaść się pod kamienny bruk, niby cienie po zgaszeniu światła.

Stojąc tak w pośrodku Starego Miasta, na tym zamkniętym zewsząd placu, poddała się Tirsa wyłaniającemu się z ciszy ukojnemu nastrojowi. Zdawało się jej, że znajduje się hen wysoko, na galerji sali koncertowej, przepełnionej po brzegi ludźmi... Przymknęły się drzwi. Ucichły już rozmowy, pogasły światła... Lada chwila, a z tej bezdennej, czarnej, emocją brzemiennej otchłani wypłyną pierwsze tony symfonji... Zamyka oczy.. Czuje, że stoi wysoko, nad brzegiem bliskiego, rozkosznego drżenia duszy, samotna, choć — w tłumie, w pośrodku życia, a przecież — daleko od jego zgiełkliwego, powszedniego tchnienia...

Czeka... Dusza nawiązała już kontakt z temi pieszczotliwemi falami, które przyjść mają z zaświata, by ukołysać ją i unieść daleko, na jasne wyżyny, do tajemniczych źródeł nadziemskiego, czystego szczęścia... Jeszcze chwila, a nadpłyną, otoczą ją i rozleją się morzem radości poprzez wszystkie struny ciała i duszy...

Jeszcze silniej zamyka powieki, jeszcze bardziej zwalnia niecierpliwą duszę z objęć drżącego nerwowo ciała i wśród szelestu przewracanych kartek czeka na odgłos batuty, uderzającej o pulpit kapelmistrza.

Nagle w miejsce muzycznej pieszczoty, uchwyciły ją za przeguby rąk dwie wilgotne dłonie, a gorący, wonią tytoniu przesycony dech zionął na kark i tył

http://rcin.org.pl

głowy. Gdy Tirsa, zaskoczona tą napaścią, odwróciła się ku właścicielowi tych spoconych, pożądliwych rąk, uderzyła jej przerażone oczy żółtawa, uśmiechem i wysiłkiem wykrzywiona twarz Arabczyka.

Budzący się instynkt samoobrony omdlał pod naporem zaciskających się ramion, a krzyk czujnej na niebezpieczeństwo duszy nie poleciał w przestworze, lecz ugrząsł bezgłośny we wnętrzu gardła...

Tirsa miała wrażenie, że ciężki sen osiadł na jej piersiach, a okropny koszmar o żółtawych zębach, kościstych policzkach i czerwonym fezie, ciągnie ją w przepaść. Wszystkie członki ciała popadły w stan bliski omdlenia i jedynie wierne, choć przerażone oczy szukały pomocy po pustym, skrzącym się od przedpołudniowego światła placu.

— O, czemuż to panienka się tak boi? — mówił Arabczyk doskonałą angielszczyzną. — Jednego całusa, a puszczę... No, proszę, bez kaprysów...

Tirsa z trudem wyrwała lewą rękę z objęć Araba i podniosła ją w górę, tworząc w ten sposób chwilową przegrodę między swym policzkiem, a nacierającemi wargami Arabczyka.

— Niech pani nie stawia oporu, bo inaczej...

W tej chwili poczuła Tirsa silny wstrząs. Opasujące ją ramiona opadły, niby pęknięta obręcz z beczki, a wywołana tem rozluźnieniem się ucisku fizyczna reakcja była tak silna, iż Tirsa byłaby niezawodnie upadła, gdyby jej nie podtrzymało jakieś obce, silne ramię... Ręce i nogi drżały w zupełnem oderwaniu od woli. Serce biło dech zapierającą falą krwi... Miała wrażenie, że się obudziła z ciężkiego snu. Nie mogła się zorjentować, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje. Gdy podniosła głowę, zarysowała się przed nią jak we

http://rcin.org.pl

mgle wysoka postać chaluca *). Nagie kolana, krótkie spodnie, zarzucona na ramię skórzana kurtka, zapięta wysoko pod szyją czarna chulca **). Z pod płaskiej, szarej dżokejki wymykały się długie kosmyki płowej czupryny. Wąskie, jakby kobiece usta poruszały zwolna wargami.

Tirsa jednak wciąż jeszcze była tak zajściem przerażona, że nawet gdyby rozumiała po hebrajsku, nie byłaby w stanie uświadomić sobie treści wystosowanych do niej słów.

Bezwiednie, odruchowo naciągnęła kapelusz na tył głowy, upięła wysuwające się szpilki z włosów, obciągła szal i bluzkę. Gdy zaś za chwilę oczom wróciła zdolność porozumiewania się ze świadomością, zauważyła ku niemałemu zdziwieniu, że oto ona, Tirsa podaje młodemu a obcemu człowiekowi rękę, a ktoś z jej wnętrza, czystą, z wiedeńska akcentowaną niemczyzną, roztrzęsionym mówi głosem:

— Dziękuję panu. Serdecznie panu dziękuję... Jestem Terese Lampel, Schubertgasse fünfzehn.

W tej samej chwili, wracająca sprawność umysłu spojrzała krytycznie na wypowiedziane słowa. Tirsa uświadomiła sobie natychmiast, jak śmieszną musi się wydać temu młodzieńcowi z tą swoją niemczyzną i wymienianiem swego dokładnego, wiedeńskiego adresu.

Wyprowadzona tem do reszty z równowagi, bezradna i nawpół jeszcze nieprzytomna, szła obok swego obrońcy, a gdy stanęli na ruchliwej, z obu stron bazarami i straganami obramionej ulicy, jej towarzysz ukłonił się podniesieniem dwóch palców prawej ręki na wysokość daszka swej dżokejki i znikł w tłumie.

---

*) Chaluc — młody robotnik żydowski.

**) Chulca — rodzaj rubaszki.

http://rcin.org.pl

Nie pozostało Tirsie nic innego, jak iść w górę, ku szarzejącym zdala murom Cytadeli. Gdy zaś po chwili wróciła pełna zdolność odbierania wrażeń, dziwnem wydało się jej owe fizyczne uczucie, jakoby widziane przed chwilą błękitne oczy jej wybawcy szły przed nią, utrzymując się stale na wysokości jej oczu... Takiego błękitu oczu, o tak ciemnem, prawie że w granat wpadającem odcieniu jeszcze dotychczas w swem życiu nie spotkała. Kolor ich dorównywał błękitowi nieba, widzianego w tej chwili nad ciasnym przesmykiem jerozolimskiej ulicy.

Szła i rozważała: Któżby to pomyślał, że tego rodzaju historja może się jej przydarzyć w biały dzień, prawie że w centrum miasta! Czyż nie miała Leja racji, namawiając ją, by zabrała ze sobą Hektora. A toby się ten Arabczyk miał zpyszna, gdyby była szła z psem!... Któż to może być ten jej obrońca z temi cudnemi, niebieskiemi oczyma? Czy go jeszcze gdzieś spotka, by mu należycie podziękować? Jakże ona śmiesznie się zachowała!... Coby tak ojciec powiedział, gdyby się dowiedział o zajściu?!... Naturalnie, ojcu nie wolno mówić ani słówka!... Aha, to Brama Jafska. Najlepiej będzie wrócić do domu. Wszak dzisiejszy dzień już i tak stracony... A może wstąpić do Herbstowej?... Nie. Jakoś ją to wszystko dziwnie zmęczyło. Trzeba jechać do domu. Tu, na lewo wsiądzie do auta.

Minęła siedzących pod ścianą arabskich pucybutów i już miała skręcić w boczną ulicę, wiodącą obok arabskiej kawiarni ku postojowi automobili, gdy wtem z wnętrza kiosku wyszła Róża Reiter.

Spotkanie było tak niespodziane, iż zaskoczona niem Tirsa znów czystą wiedeńszczyzną zawołała:

http://rcin.org.pl

— Ach, Jessas! Du bist's Roserl? Ist's möglich?

Ta, do której Tirsa swój okrzyk zdziwienia, radości i wątpliwości skierowała, przystanęła niemniej zdziwiona. Poprawiając luźnie na głowie związaną chustę, oblała się tak żywym rumieńcem, iż pod jego szkarłatem znikły na chwilę suto po twarzy rozsiane piegi.

Teraz dopiero Tirsa na dobre rozpoznała w spotkanej, rumieniejącej się dziewczynie swą przyjaciółkę, której nadarmo już od trzech tygodni po całej Palestynie poszukiwała. A także i ta, tak niespodzianie odnaleziona przyjaciółka, przypominająca swym strojem raczej służącą, niż dawną koleżankę z gimnazjum — i ona również uświadomiła sobie, że oto przed nią stoi Teresa Lampel, dawno — och, jak dawno niewidziana towarzyszka szkolna. Jednocześnie bowiem i odruchowo, nie zważając na to, iż stoją w najruchliwszem miejscu Jerozolimy, padły sobie w objęcia.

Pod wpływem tego przypadkowego spotkania i łączącego się z niem serdecznego przywitania rozedrgały się w Tirsie liczne struny wspomnień. Błyskawicznie mijały oderwane rozdziały życia. I te szkolne, jak również i te pozaszkolne. A więc: mgliste zarysy domu w Simeringu, dawna śmierć matki, mieszkanie na Schubertgasse, tragiczny zgon brata, szkoła, profesorowie, wycieczki, wspólni znajomi, nagły wyjazd koleżanki, jej dom i rodzice, wiele, wiele momentów, wiążących się z osobą niespodzianie spotkanej Róży. Wszystko to kalejdoskopowo przesunęło się przed jej oczyma w chwili, gdy trzymając przyjaciółkę za obie ręce i wpatrując się w jej twarz, nie mogła z wielkiej emocji ani słowa wymówić.

http://rcin.org.pl

Róża pierwsza opanowała swe wzruszenie:

— Tirso, a ty, skądże ty się tu nagle wzięłaś? Co ty tu robisz?... Raczej śmierci bym się spodziewała, niż ciebie tu w Jerozolimie, na ulicy Jafskiej... Jeszcze nie mogę uwierzyć... Ale jakeś ty wypiękniała!

— Jestem tu z ojcem. Od trzech tygodni zwiedzamy Palestynę. Szukamy cię od samego przyjazdu, od chwili gdyśmy wysiedli z okrętu. Pytaliśmy się w biurze informacyjnem, po kolonjach, w organizacji sjońskiej. Nikt nic nie wiedział... Gdzieżeś ty się tak schowała, że cię nie można było znaleźć? Zapadłaś się w tej Palestynie, jak szpilka w wodę.

— Zapewne pytałaś się o Rosę Reiter?

— Naturalnie, a jakże inaczej...

— Zaraz się domyśliłam... Mogłabyś się była pytać i do nadejścia Mesjasza... Ja się tu nazywam Szoszana. Szoszana z gdudu *) i nic więcej... Ale, wiesz co, Tirso, zamiast tu stać i dać się oglądać przez tych obleśnych brudasów — chodźmy... Gdzie mieszkasz? W Talpjot? — O, to idziemy w tym samym kierunku. Odprowadzisz mię kawałek, a po drodze wsiądziesz do auta.

Tirsa miała wrażenie, że znów jak dawniej, jak we Wiedniu, idą razem. Rosa narzuca jej wolę i choć Tirsa się nie zgadza, obie z góry już są przygotowane na to, iż nie może być inaczej, jak tylko według postanowienia Rosy, czyli, jak się tu w Palestynie nazwała — Szoszany.

Szły. Pod wpływem zaś grającego jeszcze uczucia

*) Gdud — odłam żydowskich robotników w Palestynie zrzeszonych na zasadzie gospodarczej wspólnoty o skrajnie marksowskiej politycznej tendencji.

http://rcin.org.pl

radości, również i Tirsa uchwyciła za kosz dźwigany przez Szoszanę, kosz pełen różnego rodzaju przeważnie nieznanych Tirsie jarzyn. Tak też z tym wiklinowym koszykiem w pośrodku szły ulicą Jafską i Ben-Jehudy, zwracając na siebie ogólną uwagę przechodniów. Z jednej bowiem strony: Tirsa wysmukła, elastyczna, kołysząca się w biodrach, w swym szerokim, pasterskim kapeluszu, ubranym w zielonkowaty, przewiewny welon, w rękawiczkach o długich rycerskich mankietach, a z drugiej: Szoszana w białej, skromnej, płóciennej sukience, przepasanej czerwonym paskiem, krocząca ciężko swemi nieco przygrubemi, gołemi nogami, ozutemi w skórzane sandały. Był to widok niecodzienny.

Tirsa i Szoszana nie zwracały jednak uwagi na przystających i gapiących się ludzi. Szły automatycznie, wyłącznie sobą zajęte. Pytania i odpowiedzi, krótkie streszczenia wrażeń i przeżyć, dorywcze informacje o wspólnych znajomych, szybka wymiana i wzajemne uzupełnianie wiadomości.

Gdy przyszła kolej na Szoszanę, opowiadała nagłówkami historję swego życia w Palestynie.

Czy Szoszana spotkała się ze ścigającym ją ojcem? Tak. Widziała go w towarzystwie agenta policyjnego w Trjeście przed odjazdem okrętu. Lecz towarzysze podróży ukryli ją. Ojciec odjechał nic nie wskórawszy... Z początku miała wyrzuty sumienia, że uciekła z domu, nie pożegnawszy się z rodzicami, a przedewszystkiem z matką. Później jednak wszystko znikło pod warstwą innych, silniejszych wrażeń. Miesiąc jechali do Palestyny... Miesiąc ten, spędzony na okręcie, był najpiękniejszym miesiącem życia... Potem dłuższy czas w obozie imigracyjnym, w hotelu, w stodole w Pe-

http://rcin.org.pl

tach Tikwie... pieszo do Górnej Galilei... tłuczenie i noszenie kamieni przy budowie drogi Nazaret—Tyberias... malaryczna kadachat w ciężkim stopniu...

— Co to jest kadachat? — przerwała Tirsa na chwilę szereg informacyj Szoszany.

— To jest popularna tu nazwa na gorączkę... — tłómaczyła Szoszana. — Potem pracowałam u kolonisty w Rosz Pinah; przechodziłam zapalenie płuc i tyfus... znów pół roku spędziłam w szpitalu. Następnie dwa lata byłam na kursie pielęgniarek w Hadassie, w Jerozolimie... Tu jednak nie mogłam wytrzymać. Nie mogłam znieść klasztorno-kasarnianego rygoru, a przedewszystkiem nie mogłam żyć zdala od prawdziwej roboty. Wstąpiłam więc do gdudu i tu blisko już rok siedzę... Chyba wiesz, co to jest gdud?

— Niedokładnie — odpowiedziała Tirsa z wyrazem lekkiego zakłopotania na twarzy.

— Innym razem ci wytłómaczę... Tak, rok wkrótce będzie, jak jestem w gdudzie i uprzedzając twe pytanie, muszę ci powiedzieć, że czuję się dobrze... Ot, widzisz te baraki? Oto nasz obóz.

Przystanęły na wzgórzu, skąd rozległy roztaczał się widok na dzielnicę Ratisbon z jej olbrzymim francuskim klasztorem na froncie, z żydowskiemi willami, budującemi się w centrum arabskiego środowiska, z szaremi barakami, mieszczącemi gdud i ze stojącym, jakby na straży dzielnicy kamiennym młynem, którego połamane skrzydła sterczały ku górze, zdając się wygrażać Bogu.

Właśnie nadjeżdżał rozłożysty autobus linji Brama Jafska—Talpjot. Szoszana dała ręką znak szoferowi, by zatrzymał auto, a żegnając Tirsę, stojącą na

http://rcin.org.pl

stopniu, wołała, starając się przegłuszyć turkot motoru:

— A więc, pamiętaj Tirso! Przyjdź jutro. Oczekuję cię napewno. Pa!...

WYCIECZKA.

Z trudem zdołała Tirsa nakłonić Szoszanę do wzięcia udziału w planowanej wycieczce do Jerycha. Szoszana bowiem wymawiała się brakiem kapelusza, podartemi bucikami, nieznajomością towarzystwa, pracą w gdudzie. Tirsa nie dawała jednak za wygraną. Zależało jej bowiem z dwóch przyczyn na towarzystwie Szoszany.

Po pierwsze zdawało się jej, że przejażdżka autem oraz codzienny pobyt na świeżem powietrzu, przywrócą rumieńce na żółto-bladą twarz przyjaciółki. Z drugiej zaś strony sama przyjęła zaproszenie doktorowej Herbst z tem cichem zastrzeżeniem, że i Szoszana weźmie udział w wycieczce.

Tirsa bowiem obawiała się tego całodziennego sam na sam z Herbstową, sympatyczną wprawdzie kobietą, ale gadatliwą, jak kura po zniesieniu jaja.

Wszystkiemu winien ojciec — myślała. — Gdyby nie owa przesadna troskliwość ojca, nie byłaby poznała Herbstowej, nie byłaby wpadła w ten „ul“, jak powszechnie w kole znajomych nazywano dom Herbstów, nie byłaby przedmiotem nieustannej pieczołowitości ze strony pani Herbstowej, czyli — jak ją w skróceniu i wszem wobec przezywano — Brzęczącej Muchy.

Imię to, jak się Tirsa z każdym dniem coraz bardziej przekonywała, było świetnem określeniem nad-

http://rcin.org.pl

zwyczajnych darów towarzyskich pani doktorowej. Muszka bowiem brzęczała o każdej porze i przy każdej sposobności. Czy była w towarzystwie jednego człowieka, czy też na liczniejszem zebraniu, zawsze jej dyszkancik górował nad innemi głosy, niby gwizdek murzyna nad resztą orkiestralnego zespołu. Czy proszona, czy nieproszona, narzucała się Muszka cichej myśli swego otoczenia swem stereotypowem: „Nie, coś takiego!" Przecinała w niewłaściwą porę i w niewłaściwem miejscu rozmowę drugich, doprowadzając do rozpaczy gości i swego małżonka — doktora Jakóba Herbsta.

Tirsa w pierwszych dniach swej znajomości z Muszką, wstydziła się jej gadulstwa. Instynktownie bowiem stale solidaryzowała się z płcią żeńską i jak zazwyczaj, tak i w tym wypadku irytowało ją gadulstwo, jako dowód głupoty, dowód, na który mężczyźni tak skrzętnie czyhali.

Atoli Tirsa rychło poznała, że Brzęcząca Muszka poza gadulstwem odznacza się jeszcze inną — jej zdaniem — zanikającą u współczesnej kobiety zaletą. Brzęcząca Muszka była uosobieniem dobrego serca. Zdawało się, że Muszce sztucznie wyjęto żółć, a w miejsce żółci przeszczepiono gruczoł dobroci.

To też bardzo polubiła Muszkę, zwłaszcza, że dom Herbstów był ośrodkiem, skupiającym różnego rodzaju interesujących ludzi. Gdy się zaś Muszka dowiedziała, że Tirsa od piątego roku swego życia pozbawioną jest matki, a tu w Jerozolimie pod nieobecność ojca samotnie spędza czas na tarasie w Talpjot, lub na spacerach po mieście, otoczyła ją swą opieką, wciągając ją w koło gromadzącego się w jej mieszkaniu towarzystwa, dając jej wskazówki, gdzie należy czynić

http://rcin.org.pl

zakupy, informując ją o rodzinnych stosunkach ludzi świeżo poznanych, starając się na każdym kroku uprzyjemnić jej pobyt w nieznanem mieście, w środowisku obcem jej językiem i obyczajami.

Również i dzisiejszy udział Tirsy w wycieczce był dziełem Muszki. Nie sposób bowiem było się oprzeć takiej np. argumentacji:

— Nie, coś takiego! Nie chcesz pani jechać, jakkolwiek ja panią o to proszę! Trudno. Na upór niema rady. Ale czy pani chcesz mieć na sumieniu, że i ja zostanę w domu, jakkolwiek mój Kubek zdobył się nareszcie na wyrzucenie funta?... Nie, tego mi pani nie zrobisz. Nieprawda? Kiedyż znowu mój Kubek zechce dla mej przyjemności poświęcić funta? Czy pani, panno Teresko, wie, co to jest u nas początkujących lekarzy funt?... Funt, to sześć co najmniej wizyt, za które po miesiącu lub po roku funta się wyciągnie... Czy pani wie, jakie dziś ciężkie czasy?... Jeżeli ja sobie na tę ekstrawagancję pozwalam, to z pewnością warto... Jerycho! Mój Boże, jakże stęskniłam się za tem miastem, za widokiem Martwego Morza, Jordanu!... Gorąca niema się co lękać. Nie tak strasznie, jak opowiadają. Mój Kubek...

Aż w końcu nie treść słów przekonywała, lecz ich ilość, płynąca szerokiem łożyskiem, jak płynie wspomniany przez Muszkę Jordan z nieprzebranych wodnych rezerw Kineretu. Niemniej decydującą zgodę wyraziła Tirsa dopiero, gdy i Szoszana — w odpowiedzi na przesłane jej posłańcem zaproszenie — zgodziła się wreszcie jechać.

Atoli w rzeczywistości obecność Szoszany jedynie częściowo chroniła Tirsę przed gadatliwością Muszki. Bo jakkolwiek Szoszana, siedząca w pośrodku, stano-

http://rcin.org.pl

wiła tarczę, poprzez którą Muszka z największym wysiłkiem trafiała słowami w zajętą krajobrazem Tirsę, to przecież główny puklerz obronny stanowił wiatr, co niosąc się ze szczytów nagich gór, walił z niebywałą, dech zapierającą siłą, popod baldachim auta. Takich przeszkód nawet wymowna Muszka pokonać nie mogła. Tirsie się często zdawało, że lada chwila, a auto, sunące nad brzegiem przepastnej kotliny, wzniesie się na skrzydłach wiatru i zwali się w bielejące na dole zaschłe, kamienne łożysko potoku. Mimo woli zamierało serce ze strachu, z trudem odrywał się wzrok od zawrotnych skrętów i serpentyn, od rozwierających się nagle bezdennych rozpadlin, od stromych, kamiennym gruzem obsianych upłazów. Trwożliwa dłoń w poszukiwaniu za bezpiecznym punktem oparcia zaciskała się kurczowo wokół dłoni Szoszany.

Auto jednakowoż ślepo pędziło naprzód, niby nieokiełzana, gorączką pobudzona, ludzka myśl. Pochylały się i waliły na siebie szczyty gór, skakały opacznie doliny, śmigały wesoło kamienie kilometrowe, przesuwały się niby kartki ilustrowanej książki nagie, szare, białemi głazami usłane stoki gór judejskich.

Jadący pogrążyli się w milczeniu. Muszka, oparłszy głowę o karoserję, zasnęła. Kiedy zaś wóz, sapiąc i zgrzytając wdarł się nareszcie na szczytowy punkt zawiłej serpentyny, Dr. Herbst, siedzący obok szofera, zwrócił się do Szoszany i wskazując w dół przed siebie, krzyczał, starając się zagłuszyć hałas motoru i jęk wiatru:

— O, tam, na dole, widzi pani?... Morze!...

Szofer zatrzymał auto. Tirsa i Szoszana powstały i przysłoniwszy ręką oczy, patrzyły w połyskującą het, nisko, w mgliste opary spowitą taflę morską. Blada,

http://rcin.org.pl

jakgdyby popiołem przypruszona powierzchnia, skupiała w jednym punkcie, niby soczewka, promienie słońca, rzucając je w przestrzeń, niby wielki brylant, osadzony w głębokiej platynowej oprawie.

— Widzicie? Ta ściana nakryta cieniem, to góry Moab, a w przedłużeniu tychże, tam dalej, góry Gilead. Na lewo droga do Jerycha... A co? Nie mówiłem, że tu ciepło. Zdejm pani, panno Lampel, swój sweater. Nad Martwem Morzem trudno się przeziębić... A tobie co, Zośko?...

Herbst, Tirsa i Szoszana, wpatrzeni w odsłaniający się ich oczom przepiękny widok, nie zauważyli, że Muszka zawisła na krawędzi auta, jak podcięta trawa na kosie. Blada twarzyczka Muszki wykonywała dziwaczne ruchy. Usta jej się krzywiły, wargi otwierały i zamykały, jak u ryby, wyjętej nagle z wody i ułożonej na suchem dnie talerza.

— No, no, — uspokajał Herbst — to zaraz przejdzie. Chwała Bogu, jesteśmy już nad Morzem. Wysiądź kochana duszko, a zaraz ci się lepiej zrobi... Panno Lampel, czy ma pani trochę wody kolońskiej? O, tak, natrzemy czoło, zwilżymy skronie, tak. Już lepiej, co? Niema to, jak mieć męża lekarza!...

Za chwilę auto zajechało nad sam brzeg morza. Herbst i Szoszana ujęli Muszkę pod ramię i usadowili ją na gorącym, nadbrzeżnym piasku, połyskującym drobnemi kryształami soli. Tymczasem z pod lśniącej, zatłuszczonej powierzchni morza raz wraz leciały na brzeg krótkie, prawie że niedostrzegalne fale. Wsiąkały one rychło w żwir i piasek, jak woda w gąbkę, zanikając w zetknięciu się z gorącą powłoką ziemi, lub też cofając się ku źródłom swego powstania.

http://rcin.org.pl

Tirsie zdawało się, że siedzi nad wielkim stawem. Morze bowiem z trzech stron okolone było zanikającym we mgle brzegiem, a po stronie transjordańskiej wyrastała ściana nagich skał, poprzecinanych tu i ówdzie głębokiemi czeluściami. Całą przestrzeń wód łatwo było objąć gołem okiem. To też Tirsa czuła się nieco rozczarowaną. Wbrew bowiem oczekiwaniu, nie było w tem morzu ani krzty z oceanicznej, bezgranicznej dali, ani śladu tej na półkulistym horyzoncie trwającej nieskończoności, ani znaku drogi, prowadzącej w pozaziemskie, nieodkryte jeszcze światy... Na widok tych wód, pogrążonych w letargu, wyzbytych wszelkiej żywiołowej cechy, nie wzdymała się pierś spragniona nieogarniętych okiem przestrzeni, nie biło serce rytmem pierwotnej, ludzką wolą nieujarzmionej przyrody, nie napływały łzy nieokreślonej tęsknoty i niewysłowionego szczęścia... Nie, na tem pustkowiu myśl nie ulatywała ku niebu, jak w górach, nie pędziła w bezmiar, jak w lesie, nie kładła się na wznak, jak na świeżo skoszonej łące...

W obliczu tych, jak stół równo rozlanych wód zasłuchała się Tirsa w siebie... Dalszą, bardziej niezmierzoną wydała się jej przestrzeń, dzieląca dziś od wczoraj. Bardziej zamglonem było jutro, bez celu i steru... Nie byłże to błąd pójść za własną wolą i pociągnąć ojca w ten kraj, na którym, jak na starym, zielskiem porosłym grobowcu, spoczywał ciężki, pleśnią pokryty kamień przeszłości!... Czy wolno jej było kierować się własnym rozumem i dla rzekomego szczęścia ojca poświęcać środowisko, w którem własna osobowość zrosła się z tradycją szkolnego wychowania i kulturalnej wspólnoty?!... Choć po prawdzie, czy można tu mówić o poświęceniu? Co ona właściwie po-

http://rcin.org.pl
Ze zbiorów Im. J. I. Michelisów

święcała? Co ją w rzeczywistości łączyło z „tamtym" światem poza umiłowaniem Wiednia, jego okolicy, teatrów i koncertów?... Czy nie zdecydowała się na wyjazd w gruncie rzeczy dlatego, ponieważ zdawało się jej, że zmiana dotychczasowego miejsca pobytu przyczyni się do zapełnienia tej pustki, z której, niby z kanału dobywały się gazy ubezwładniające chęć do życia!... Czy wyjazd do Palestyny nie był ucieczką przed sobą samą, wyprawą po treść i po prawo do trwania?! Czy znajdzie to wszystko w tem środowisku, obcem jej językiem, obyczajami, dążeniami? Czy zdoła się tu zaklimatyzować i z jakiemi będzie to połączone ofiarami?... A ojciec?

Wtem nagle Tirsa poczuła, jak się oblewa rumieńcem. Jak zazwyczaj, tak i w tym wypadku, to uderzenie krwi uświadomiła sobie wcześniej, aniżeli przyczynę. Nie. Stanowczo, jakiś niezrozumiały i niewyjaśniony proces dokonywał się na pokładach jej duszy i to prawie od chwili, gdy się pożegnali... Bo, czyż inaczej mogłaby w przeglądzie dnia, w codziennej kronice życia zapomnieć o Karolu!!! Czyż nie miał się on stać ośrodkiem jej życia.. Miał się stać?... Więc nim nie był, mimo ten intymny stosunek, który się zwał narzeczeństwem... Nie, to niemożliwe... A przecież!... Rzecz dziwna. (Przypomniała sobie to z uczuciem pewnego niepokoju i wyrzutu). Gdy tylko znalazła się w przedziale drugiej klasy pociągu, zdążającego do Trjestu, ledwo zasechł na jej wargach ostatni, pożegnalny całus, a już prawie że w tej samej chwili, jakgdyby mgłą przesłoniła się jego postać...

Jeszcze w silniejszym stopniu, niż zazwyczaj, uświadamiała sobie w tym momencie, iż Karol działał na nią tem silniej, im bliżej się niej znajdował...

http://rcin.org.pl

Gdy na pogranicznej, włoskiej stacji wysiadła z wagonu, by przynieść ojcu owoców, natknęła się na spacerującego przed wagonami mężczyznę, którego przysadkowa postać i kolor zarzutki łudząco przypominały Karola. I wtedy znowu przeszedł przez jej ciało ów prąd, który stale w pokoju Karola przechodził z jego rąk w jej zmysły, by w wywołanych prądem tym płomieniach, spalał się świat zewnętrzny, ginęła rzeczywistość, zamierała zdolność refleksji.

Dlaczego jednak od czasu, gdy opuściła Wiedeń, Karol zjawiał się jej tylko w chwili, gdy czytała jego listy?... A nawet te listy, poprzez które przelewał się potok gorących słów, niedomówionych życzeń, nienasyconej tęsknoty—nawet te listy pozostawiały po sobie gorzkawy przysmak — ot, jak ta woda Martwego Morza, której przed chwilą zakosztowała z dłoni Szoszany.

Tak, było to pewnem: Karol sugerował jej swą wolę swą obecnością. Czar ten — jak już niejednokrotnie we Wiedniu zauważyła, — tracił na sile w miarę, jak zwiększała się przestrzeń, dzieląca ich ciała. Czyżby więc ten wpływ osoby Karola na jej myśli rozwiać się miał w zupełności z chwilą, gdy między niemi na dłuższy czas stanie zapora Śródziemnego Morza?...

Tirsa wzdrygnęła się na myśl, że dalszy okres jej spokojnego dotychczas narzeczeństwa doznać może zakłócenia... Nie kochałaż Karola? Nie byłoż ich małżeństwo rzeczą postanowioną, zdarzeniem przez ojca tak wielce upragnionem? Czemżeby więc mogła ojcu odwdzięczyć się za zerwanie z tamtą kobietą i za gotowość wyjazdu do Palestyny, gdyby z jakiejkolwiek przyczyny...

Nie, cóż znowu za myśli nachodzą ją dzisiaj!... Przetarła ręką czoło, chcąc w ten sposób usunąć nie-

http://rcin.org.pl

pożądany korowód refleksyj i poczęła przyglądać się okolicy... Jakaż dziwna jest ta okolica! Bez drzewa, trawy, domu, ogrodu! Czy to możliwe, by tu ludzie mogli w lecie żyć i pracować, jeżeli już dziś, w marcu jest tak gorąco? A przecież mówiono — któż to mówił — tak, we Wiedniu, dyrektor Laub — że mają tu na tym brzegu budować sanatorja i kliniki dla chorób skórnych, gardła i nosa... Toż chyba trzeba będzie chorych trzymać w beczkach ze sztucznym lodem, bo inaczej trudno sobie wyobrazić, by tu wytrzymali.

Dalsze na ten temat rozważania przerwał turkot auta, zbliżającego się od strony Jerozolimy. Gdy nadjeżdżający goście się zatrzymali, okazało się, że byli to bliscy znajomi Dra Herbsta. Trzech lekarzy ze szpitala Hadassy wraz z żonami i dziećmi.

— Halloh, a wy co tu robicie? — pytał Herbst brzuchatego jegomościa w białym płaszczu podróżnym, wydobywającego się z trudem z pod automobilowego dachu.

— Halloh, Herbst, how do you do?

— My jedziemy do Jerycha, a wy? Czy zamknęliście szpital, że tak gromadnie...

— Wycieczka, tylko jeden dzień! Cel: drugi, transjordański brzeg Martwego Morza.

— A paszporty macie?

— Paszporty?! Co za paszporty? jakie paszporty? dokąd, dla kogo i od kogo? This is not my busness... Któż to koledze mówił, że potrzebne są paszporty? Jeszcze czego! Zaraz pan zobaczy... Więc cóż Szapirku, łódź jest? — pytał brzuchaty jegomość zbliżającego się współtowarzysza podróży.

— Jest i niema! — wzruszył szpiczastemi ramionami zagadnięty. — Oh, pardon!

http://rcin.org.pl

— Co? Panowie się nie znacie?... Dr. Herbst — nos, ucho i gardło; Dr. Szapira — nasz świeżo z Berlina przybyły internista — przedstawiał brzuchaty lekarz. — Więc cóż z łodzią?

— Łódź jest, ale Arab żąda za przejazd tam i zpowrotem sześć funtów aż do wieczora. Nie wiem, czy państwo zechcecie tyle pieniędzy wydać. Ja się ewentualnie godzę.

— No tak, pan! Kawaler bez bagażu. Ale zaraz! Mam! Ile osób zmieści się w łodzi? Szesnaście? Splendid! Jedziemy!... Doktorze Herbst, was jest czworo, jeżeli się nie mylę. Nas dorosłych sześcioro. Razem dziesięć osób po sieśćdziesiąt piastrów. Very well, very well — jedziemy!

— Tak, ale — wahał się Dr. Herbst...

— Żadne „ale". Kiedyż pan będzie miał sposobność być tanim kosztem w Transjordanji? I to bez paszportu, a co najważniejsze w mojem towarzystwie! Sprawa załatwiona, all right.

— Ależ, kolego Kraft, myśmy się wybrali do Jerycha — próbował oponować Dr. Herbst.

— Kto chce do Jerycha? Pan, czy pańska niewiasta?... Pani Herbst, pani Herbst!... Całuję rączki dobrodziejce... Zdrowie? All right... Te przystojne panienki, to zapewnie przyjaciółki pani. All right. Ja jestem Dr. Kraft z Hadassy... Sprawa ma się następująco. Ja i moje towarzystwo jedziemy do Transjordanji. Łódź jest, lecz brak nam czterech osób do kompletu. Will you? Godzicie się, nie prawda?... Jerycho, przysięgam, nie ucieknie... Splendid!... Szapirku, look here, te piękne panie jadą z nami. Sprawa załatwiona, leć Szapirku i zamów łódź...

* * *

http://rcin.org.pl

Zardzewiały motor starej rybackiej łodzi charkał, pluł i stękał, pchając łódź przez ciężkie, oporne wody Martwego Morza. Trzech, półnagich Arabów uwijało się koło motoru, dolewając wody, oliwy, benzyny. Za łodzią pełzała srebrzysta wstęga o złocistym odcieniu, skrząca się od promieni słonecznych, niby stopiona szklista tkanina. Przed łodzią, jak oko sięgło, gładka, równa deska zasłana wielkim, czarnym obrusem.

Tirsa usiadła między wymowną Muszką, a milczącym uparcie Drem Szapirą. Ponieważ Muszka cały dar swej wymowy skierowała w stronę skrzętnie słuchającego internisty, mogła Tirsa spokojnie obserwować przesuwającą się przed jej oczyma panoramę.

Właściwie nie mogło być mowy o przesuwaniu się krajobrazu. Mimo bowiem nieregularny stuk motoru. miała Tirsa wrażenie, że łódź stoi w miejscu, że brzeg palestyński się nie oddala, a zajordański się nie zbliża. Żaden wietrzyk, odwieczny towarzysz morskich podróży, nie muskał tu twarzy i najmniejsza fala nie uderzała o burt łodzi. Gdy zaś Tirsa wpatrzyła się w mętne, jakgdyby popiołem przypruszone wnętrze wody, obraz nieba nie chwiał się jak zazwyczaj, lecz trwał niby odwrócona kamienna kopuła.

Nie mogąc zrozumieć, skąd ta martwota w przyrodzie, a zwłaszcza dlaczego łódź mimo pracy motoru, stała jakgdyby w miejscu, zwróciła się Tirsa do Herbsta z prośbą o wytłómaczenie. W miejsce jednak Herbsta, pogrążonego w adorowaniu siedzącej vis à vis przystojnej blondynki, tłómaczył donośnym głosem Dr. Kraft:

— Widzi pani, to jest klasyczny przykład teorji Einsteina. Stoimy, a przecież jedziemy. Ha,

http://rcin.org.pl

ha, ha... Złudzenie, złudzenie, droga pani... Tu w Palestynie wszystko polega na złudzeniu. Czy nie tak Szapirku, my dear?... Złudzeniem jest, że Szapirko zna się na chorobach serca i wątroby. Złudzeniem jest, że my jesteśmy kulturalniejsi niż Arabowie, tak samo, jak złudzeniem było i będzie, że Palestyna to kraj mlekiem i miodem płynący... Atoli łudzić się, to znaczy doznawać emocji, być szczęśliwym przez krótką chwilę paskudnego, ludzkiego żywota. Czy nie tak Szapirku, hawiwi ?...*). Dlatego też, jeżeli nawet owe przeświadczenie, że stoimy w miejscu, wywołuje u pani pewien niepokój, niech pani nie przeciera oczu. Gdy bowiem duszę przechodzi prąd niepokoju — nieomylny to znak, że żyje. Dlatego też, gdyby pani, lub naszej kochanej Muszce miało się w tej chwili nawet zdawać, że z tej mgły wynurzy się zbrojna łódź z obsadą morskich rabusiów, pozostających z naszymi przystojnymi przewoźnikami w zmowie, to...

— Ależ, kolego Kraft, co pan znów wygadujesz? — wołała, przerywając na chwilę rozmowę z Herbstem, siedząca na drugim końcu łodzi lekarka o bujnych, białych jak len włosach.

— To, co pani słyszysz, koleżanko Suprawska. I am very sorry, lecz proszę się tylko przypatrzeć tym drabom! Czy nie wyglądają, jakgdyby dopiero co opuścili nieprzystępne jaskinie dzikich judejskich gór?

Tirsa mimowoli musiała przyznać, iż porównanie Dra Krafta było słusznem. Arabowie, obsługujący łódź wykazywali duże podobieństwo do postaci, skutych łańcuchem na francuskich galerach, które to obrazy widywała Tirsa w kinie.

*) Hawiwi — wyrażenie hebrajskie — mój kochany.

http://rcin.org.pl

Zwłaszcza jeden z przewoźników o piersi Goljata wzbudzał trwogę i odrazę. Na głowie nosił żółty szal, przytrzymywany do kruczej czupryny pierścieniem z wielbłądziego włósia. Za brudnym, wokół bioder obwiniętym ręcznikiem, tkwił długi nóż. Jego zaś jedyne, małe, kocie oko wciąż zdało się pożądliwie spoglądać na Tirsę...

Tirsa zdawała sobie sprawę z tego, iż uczucie trwogi, które ją tu w pośrodku Martwego Morza ogarnęło, nie miało właściwie żadnej realnej podstawy. Zrodziło się prawdopodobnie z pustej powierzchni tych rozlewnych, jakby zamarzłych wód, z dusznej atmosfery gorącego, palestyńskiego południa. Być również może, że wyłoniło się z trwających podświadomie wrażeń, związanych z niedawnem zajściem w Starem Mieście. Któż to może wiedzieć, jakiemi drogami chodzą ludzkie uczucia...

Niemniej wzrok jej błądził od jednego towarzysza wycieczki do drugiego, napróżno szukając w postawie i budowie świeżo poznanych mężczyzn odpowiedniej przeciwwagi do muskularnych postaci Arabów. Nawet z pośród owych dwóch szoferów, którzy pozostawili auta na brzegu i przyłączyli się do wycieczki, nawet z nich tylko jeden był jako tako zbudowany. Siedział on na końcu łodzi i rozmawiał ze sternikiem... Gdyby tak — zadecydowała Tirsa w myśli — tym Arabom przypadło do gustu pohulać sobie, bylibyśmy wszyscy zdani na ich łaskę lub niełaskę i wypadłoby szukać ucieczki... w głębi Martwego Morza.

To też z rzetelnem uczuciem ulgi spoczął jej wzrok na transjordańskim brzegu, wyłaniającym się z mglistych chust, zwieszonych nad górskiemi stokami.

http://rcin.org.pl

Łódź zbliżała się do celu. Czerniejące pod powierzchnią wody rafy, mchem obrosłe skały, samotnie sterczące, niby kadłuby drzew, kamienie nie pozwalały głębokiej łodzi na dobicie do brzegu. Arabowie też wcale nie próbowali łódź na brzeg wyciągnąć, lecz zastanowiwszy motor, długiemi żerdziami zatarasowali łódź między dwiema spiczastemi skałami. Następnie, brodząc po pas w wodzie, poczęli wynosić koszyki z prowiantem, a w końcu mężczyzn i kobiety.

Atoli ani Suprawska, ani Tirsa nie mogły przezwyciężyć uczucia lęku. Nie chciały — jak to czynili mężczyźni — uczepić się czarnej szyi Araba, lub — jak to uczyniła Muszka — ułożyć się niby worek mąki na grzbiecie i dać się przetransportować na ląd. Nie pomogły ani perswazje, ani irytacje czekającego na brzegu towarzystwa. Dopiero na wniosek Krafta zbudowano z wioseł i koców lektykę, dzięki czemu transport opornych kobiet odbył się bez dalszych trudności.

Transjordański brzeg Martwego Morza przedstawiał się zbliska zupełnie inaczej, niż z tarasu domku w Talpjot. Widoczne z Talpjot grzbiety pagórków, podobne do ustawionych na górskim stoku kop siana, widniały obecnie jako garby olbrzymich, spoczywających wielbłądów. Znikło owe bogactwo kolorów, które w jasne dnie słoneczne bawiło oko mieszkańców Jerozolimy, a pozostała nieobrośnięta, zwietrzała, słońcem spalona skorupa spiętrzonych pagórków i trwał cień tajemniczych, między pagórki zapadających się szczelin.

O kilka jednak kroków od miejsca wylądowania, ulegał krajobraz nagłej zmianie. Z nagich, skalistych wyżłobień, wśród rozgłośnego szumu, spływała srebrna wstęga rzeczki. Jej koryto, jakgdyby sztucznie kute

http://rcin.org.pl

w skale, tworzyło po drodze stopnie, wiło się skrętami. znikało w szczelinach i pod głazami, by nagle znów w blasku słońca zaświecić białą grzywą małych wodospadów.

— To jest Wadi Zerka — objaśniał Dr. Kraft.

Po obu brzegach rzeczki rosły bujne, gęste, po pas sięgające trawy, wysokie, długolistne, na wietrze trzęsące się trzciny, krępe, nad wodą pochylone krzewy. Tuż jednak przy samem łożysku, trzcina i trawa trwały skamieniałe, nieruchome, przybrane różowemi, krystalicznemi konglomeratami. W miejscu zaś, w którem wody Zerki wpadały do Martwego Morza, tworzyły się opary, wydzielające mdły zapach siarki.

Ledwo towarzystwo stanęło nad rzeczką, a już rozległa się komenda Dra Krafta:

— Panie i panowie! Rozbierać się, kąpać, jeść i jazda. O szóstej mam operację.

— Jakto? Kąpać? W marcu?... Czy pan chce nas tu zamrozić? — dziwiła się Muszka.

— Na moją odpowiedzialność, kochana pani Muszko... Nie w morzu, lecz w tej rzeczułce. Zaręczam, iż woda ma temperaturę odpowiadającą pani temperamentowi. Proszę więc uważać i nie poparzyć sobie nóżek.

— Ależ doktorze Kraft — zawołała swym śpiewnym głosem Suprawska — czemuż nas pan nie uprzedził o tem w Jerozolimie? Byłybyśmy zabrały kostjumy...

— Kostjumy? A to poco? This is not my business. Czy my to tu w Tel-Awiwie?... Tu nas nikt nie widzi. A zresztą, czyż między lekarzami... O, pardon, panno Lampel, zapomniałem, że pani nie należy do branży... A zatem celem zadośćuczynienia europejskiej

http://rcin.org.pl

przyzwoitości, ustala się następujący porządek rzeczy, względnie osób: najpierw panie, następnie panowie, a w końcu nasi sympatyczni przewoźnicy. Zgoda?... All right... Teren neutralny dla mężczyzn — sto kroków od rzeczki. Dla kobiet wstęp bez biletu dozwolony...

— Jużbyśmy nie miały na co się patrzeć — odcięła się Muszka.

— No, no! — oburzyli się mężczyźni.

W ogólnej kąpieli Tirsa nie wzięła udziału. Nie zważając na docinki Dra Krafta i na troskliwe rady Muszki i Szoszany, trwała przy postanowieniu, oświadczając wymijająco, że jest nieco zakatarzoną i nie chce się narazić na ewentualne poważniejsze skutki, jakie kąpiel w marcu pociągnąćby mogła za sobą dla organizmu nieprzyzwyczajonego do palestyńskich warunków klimatycznych.

— Ja panią będę leczył zadarmo — oświadczył z miejsca Dr. Szapiro, rumieniąc się równocześnie, jak student.

To nagłe odezwanie się milczącego dotychczas uparcie doktora i ta nagła jego oferta, miały ten skutek, iż całe towarzystwo wybuchło śmiechem. Śmiech ten jeszcze się spotęgował z chwilą, gdy Dr. Kraft zapytał:

— A odkąd to katary należą do specjalności internisty? O kolego S., to mi się coś nie bardzo podoba...

Nie krępując się towarzystwem, usiadła Tirsa z boku na wielkim kamieniu i — jak to się często zdarzało — zagłębiła się w sobie, zapominając o otoczeniu. Niepokoiło ją jedno pytanie: czy ten szofer, który przyjechał z Kraftem, jest identyczny z tym młodzieńcem, który ją wybawił z objęć Arabczyka?

http://rcin.org.pl

Nie miała dotychczas sposobności dokładnie mu się przypatrzeć, gdyż podczas jazdy łodzią siedział obrócony plecyma, a obecnie gdzieś nagle znikł, jakby się zapadł w ziemię. A przecież była prawie pewną, że to on. Gdy bowiem Arabowie przenosili uczestników wycieczki na swych plecach, on jedyny z mężczyzn, zdjąwszy buty i podwinąwszy spodnie, przeszedł do brzegu.

Gdy zaś na chwilę — dla zabrania butów i surduta — zwrócił się twarzą do łodzi, doznała Tirsa charakterystycznego ukłócia w okolicy serca, ukłócia, zapowiadającego niespodziankę. Wszak była to ta sama podłużna twarz o kolorze wypalonego glinianego garnka, te same z pod szarej dżokejki wysuwające się kosmyki płowych włosów, te same, jakgdyby węglem poziomo nad oczyma rysowane brwi, a przedewszystkiem... ów cudowny błękit oczu... Nie, to nie mogło być złudzenie.

Równolegle z tem stwierdzeniem nasuwało się pytanie: czy on ją poznał, a następnie: jak się ma wobec niego zachować... Jedno było pewnem: należało obecnie bezwarunkowo usprawiedliwić swój ówczesny, nagłym przestrachem spowodowany brak taktu, a zarazem uczynić zadość towarzyskiemu obowiązkowi przez należyte podziękowanie za przyjście jej z pomocą w najwłaściwszym momencie.

Z drugiej zaś strony: byłoż to odpowiednie miejsce do uiszczania się z zaciągniętych zobowiązań? Cóż powiedzą ci obcy jej ludzie, gdy zauważą, że „wdaje" się z nieznanym jej szoferem!... Lękała się sarkazmu Krafta, wymowy Muszki i obecności Szoszany. Czyż można było przewidzieć, jak sobie będzie tłómaczył jej zachowanie taki np. Herbst, dopatrujący się w każdym

http://rcin.org.pl

słowie i każdym geście jakichś erotycznych znaków Morsego.

Tu mimowoli nasunęło się Tirsie pytanie: czemże właściwie różni się to towarzystwo od tego, które o mdłości przyprawiało ją często we Wiedniu? Nie tańczyło ono słowami i niedopowiedzonemi zwrotami około tego samego bożka Erosa?... Choć po prawdzie, czy we Wiedniu mogła się kiedykolwiek wytworzyć tego rodzaju sytuacja, że towarzystwo za pan brat było z obwożącym je przypadkowo szoferem?...

A zresztą, co ją to towarzystwo lub inne mogło obchodzić! Jej powinnością było zapewnić się co do tożsamości osoby swego obrońcy i podziękować mu za obronę. Niechże sobie mówią i myślą, co im się podoba! Jedynie Szoszanie gotowa była powiedzieć prawdę, gdyby o to pytała. Znając jednak jeszcze ze szkolnej ławki dyskretną naturę Szoszany, wiedziała Tirsa, że Szoszana o nic pytać nie będzie.

Rozmyślanie Tirsy przerwało wołanie Szoszany:

— Tirso, Tirso, czemuż tam siedzisz samotna? Chodź-że tu do nas!

Wokół zaimprowizowanego stołu siedziało całe towarzystwo i spożywało konserwy i owoce.

— Ach, panno Tirso — przywitała Muszka zbliżającą się Tirsę — dlaczego pani nie chciała się z nami kąpać? Proszę żałować. Takiej rozkoszy już dawno nie zaznałam. Czuję się po tej kąpieli, jak nowo narodzone dziecko...

— What did you say?! — wtrącił Kraft. — Niech pani uważa, pani Muszko, żeby nie było jakiejś katastrofy, bo zapomnieliśmy zabrać ze sobą pieluszki...

— Żart na bok, panie doktorze — mówił Dr. Szapiro — ale uważam, że woda tej małej, niepokaźnej

http://rcin.org.pl

rzeczułki ma jakieś nadzwyczajne lecznicze walory. Wnioskując z kryształów, ze skamieniałości i z zapachu siarki odnoszę wrażenie, że chemiczne składniki tej wody mają te same właściwości, co karlsbadzki Sprudel... Wartoby zrobić analizę...

— Ach, mój panie — wtrącił się do rozmowy Herbst — nie trzeba analizy. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że z wodami Wadi-Zerka nieocenione giną lecznicze skarby w głębiach Martwego Morza... Nie analizy potrzeba, lecz pieniędzy. Trzeba budować wielkie hotele, pensjonaty, łazienki... Zerka, Morze Martwe i Jerozolima, oto trójkąt, o który oprzeć się może i winna przyszła balneologja w Palestynie. Ruch trzeba zrobić, a nie siedzieć z założonemi rękoma. Ruch!...

— Przepraszam, — przerwała dyskusję Szoszana — czy wiecie państwo, gdzie się podział Arjeh?

— Kto? Co za Arjeh? Któż to taki?...

— A prawda, nie znacie go pod tem imieniem... Myślę szofer, który przyjechał z panem, panie doktorze Kraft.

— A, szofer Arjeh!

— Tu nagle całe towarzystwo uświadomiło sobie brak jednego z pośród uczestników wycieczki. Wzajemnie dopytywania wkrótce ustaliły, że poszukiwany szofer nie brał udziału w ogólnej kąpieli i że prawdopodobnie oddalił się bezpośrednio po wylądowaniu. Gdy się zwrócono do Arabów, jeden z pośród nich oświadczył, że „hawadża Arjeh" poszedł w góry.

— Jakto, sam? Co za lekkomyślność! Jak można!

— Ależ, szanowni państwo, uspokójcie się — mitygował Herbst ogólne oburzenie. — Nic mu się nie stanie. Jest on tam bezpieczniejszy, niż my tu. Czyście nie słyszeli o Arjem Beduinie?... Pani Szoszano, mo-

http://rcin.org.pl

że pani opowie. Wszak pani zna lepiej szczegóły, niż ja.

Szoszana jednak nie chciała zabrać głosu.

— No, to w takim razie, ponieważ nie mamy nic lepszego w planie i ponieważ to miejsce jest doskonałem tłem powieści, ja postaram się opowiedzieć krótko, w szlagwortach i trzeźwo, romantyczną historję tego młodzieńca. A zatem: Nie wiem skąd pochodzi, lecz był jednym z pośród pierwszych, którzy po zajęciu Palestyny przez Anglików zjawili się, by budować tak zwaną „żydowską narodową siedzibę“. Nie wiem, jaka była przyczyna, że ledwo wyszedł z obozu imigracyjnego, a odrazu udał się do Transjordanji, gdzie przyłączył się do wędrownego szczepu Beduinów. Spędził tam blisko dwa lata. Nikt również nie wie, dlaczego stamtąd wrócił. Tak o przyczynie powrotu, jakoteż o jego pobycie wśród Beduinów krążą różne wersje, nieprawdopodobne opowieści, urastające do legend. Niektórzy twierdzą, że właściwą przyczyną powrotu była: cherchez la feme...

— To pan z pewnością tę przyczynę wynalazł. To do pana podobne — przerwał opowieść, śmiejąc się, Dr. Kraft.

— Dziękuję panu, panie kolego, za przychylną o mej osobie opinję... Wrócił więc nasz bohater w ojczyste progi, by tu w kraju różne, mniej lub więcej romantyczne, przechodzić koleje. Był również jednym z aktywnych członków żydowskiej samoobrony w r. 1921. Pewnem również jest, że gorliwe studja beduińskich zwyczajów i obyczajów — przyczyniły się do wielkiej jego popularności wśród Arabów, uznających w nim swego człowieka. Dziś jest szoferem i na-

http://rcin.org.pl

leży do gdudu. Czy tak pani Szoszano? Czy dobrze opowiadam?

— Tak i nie — odpowiedziała Szoszana. — Ważniejszem jednak jest, byście państwo i dla niego coś z prowiantu zostawili. Bo jak wróci, pewno będzie głodny...

— Pani Szoszano — entuzjazmowała się Muszka — chodź pani, niech ją ucałuję. Masz złote serce...

Tirsa nie uświadamiała sobie w tej chwili prawieże żadnego z posłyszanych szczegółów z życia szofera Arjego. Uwaga jej skupiła się bowiem w całości na niespodzianym fakcie, iż Szoszana, najbliższa jej w tem otoczeniu istota, zna osobiście jej obrońcę... Jak małym w gruncie rzeczy jest ten, wielki na pozór świat — myślała — jeżeli tego rodzaju przypadki mogą się zdarzać.

Ujàwszy więc Szoszanę za rękę, odprowadziła ją nieco w górę biegu Wadi-Zerki. a następnie zwróciła się do niej z prośbą:

— Słuchaj Rózienko, ja chcę poznać tego... szofera Arjego. Przyczynę wytłómaczę ci później.

— Ależ i bez podawania przyczyn mogę twoją prośbę spełnić. Tylko, zwracam ci uwagę, byś się nie zrażała. Jest to człowiek nieco dziwny i w obejściu trudny. Ale oto i on.

— W oddaleniu kilkuset kroków, na jednym z pośród rozlicznych szczytów skalnych, ukazała się w tej chwili sylwetka szofera. Stał w towarzystwie Araba, pilnującego owiec, pasących się na zboczu gór. Tirsa, patrząc pod światło, miała wrażenie, że oto w jej oczach wyrosły nagle dwie wieże z pośród owiec, rozprószonych po skałach, niby szare domki.

Na „halo“ Dra Krafta odpowiedział szofer prze-

http://rcin.org.pl

ciągłem gwizdnięciem. Gwizdnięcie spłoszyło ze skalnych gniazd trzy szerokoskrzydłe sępy. Poczęły one krążyć ponad stadem owiec, ślizgając się po niewidzialnych płaszczyznach, zakreślając w powietrzu, niby sprawny łyżwiarz na lodzie, majestatyczne koła i ósemki. Powietrze zaś było tak czyste i wzrok przepuszczające, iż bez trudu rozróżnić było można kolor upierzenia sępów, skrzywienie dzióba, naprężenie przygotowanych do ataku szponów.

Interwencja Szoszany w zapoznaniu Tirsy z szoferem była — jak się okazało — niepotrzebną. Szofer bowiem wrócił, gdy całe towarzystwo siedziało już w łodzi, a przypadek zrządził, że usiadł między Tirsą a Muszką. Na pytanie Krafta, gdzie był i co robił, udzielał ogólnikowych, wymijających odpowiedzi.

Gdy spożył zachowany dlań przez Szoszanę podwieczorek, Tirsa odebrała od niego opróżniony termofor, a korzystając z nadarzającej się sposobności, zwróciła się doń z pytaniem:

— Przepraszam. Czy przypomina pan sobie: przed tygodniem na placu koło bazarów obronił mię pan przed napastującym Arabem?

Brwi szofera ściągnęły się ku środkowi, tworząc nad nosem poziome zagłębienie. Błękit oczu skierował na postać Tirsy i patrząc na nią, jakby poprzez szkła niebieskich okularów, odpowiedział:

— A, to pani była... Myślałem, że to jakaś niemiecka turystka.

— Bardzo pana przepraszam... Ale tak byłam wtedy tem zajściem z równowagi wyprowadzona, iż nie miałam nawet na tyle przytomności, by panu należycie podziękować, co obecnie, z małem nieco opóźnieniem, ale niemniej serdecznie, czynię.

http://rcin.org.pl

Tirsa wyciągnęła dłoń. Ruchu tego szofer nie zauważył, czy też nie chciał widzieć.

— Ależ to drobnostka, bez znaczenia. Niema o czem mówić. Trzeba być ostrożniejszą i nie chodzić w odległe od ulicy Jafskiej dzielnice. Jerozolima to jeszcze nie Wiedeń.

Gdy mówił, wyraz oczu i twarzy zupełnie się nie zmieniał. Wargi zaś o tyle tylko się otwierały, podnosiły i zamykały, o ile to niezbędnem było dla przepuszczenia głosu. Niemniej głos był dźwięcznym i opanowanym. Również opanowanym był wszelki ruch smukłego ciała. Tirsa miała wrażenie, że stoi przed zaporą rzeki. Lada chwila zapora, regulowana sprawnym mechanizmem, podniesie się a powstrzymywane fale uderzą nieodpartą siłą...

Wypowiedziawszy swe obcesowe nieco zdanie w sprawie nieostrożnych spacerów Tirsy, szofer odwrócił się do stojącego przy sterze Araba i począł z nim długotrwałą rozmowę w języku arabskim. Tirsa zaś, spełniwszy obowiązek, nie miała dalszej sposobności przyjmowania karcących uwag od niezbyt grzecznego młodzieńca, gdyż towarzystwo w łodzi domagało się spokoju, chcąc lepiej słyszeć słowa lekarki z Tel-Awiwu.

„...To jeszcze nic. Posłuchajcie dalej... Pod schodami jest w mym zakładzie komórka. Ot, taka sobie komórka z małem oknem i drzwiami. Ledwo przyszła, wprowadziła się z dzieckiem do komórki, jakkolwiek wymówione było, że mieszkać będzie poza zakładem. Ostatecznie... pal cię sześć! Komórka mi niepotrzebna. Mieszkaj sobie, jeżeli ci tam wygodnie... Lecz wnet więcej zajmowała się swojem dzieckiem, niż moją kuchnią.

http://rcin.org.pl

„Po dwóch dniach oświadczyła mi, że nie może sama dać sobie w kuchni rady i musi kogoś mieć do pomocy. Chcąc nie chcąc, zgodziłam się. Potrzebna pomoc? Niech będzie pomoc... Sprowadziła sobie jakiegoś chaluca z żoną. To była ta pomoc!... Gdy we trójkę siedzieli w kuchni i rozprawiali, żenowałam się wejść... Ale to jeszcze nic. Zaraz w pierwszym dniu „pożyczyła“ sobie pantofle mego męża. Kupiłam nowe. Cóż robić... Nie chciałam zakłócać zgody i przyjaznych stosunków. A potem „pożyczyła“ sobie mój szlafrok, moje rurki do włosów, wodę kolońską, książki, papierosy... Posłuchajcie jednak dalej:

„Po czterech mniejwięcej tygodniach, bez jakiejkolwiek przyczyny, oświadcza nagle, że odchodzi. Myślałam, że się wściekne ze złości... W zakładzie wszystkie łóżka zajęte. Nazajutrz miało się odbyć troje chrzcin i dwoje urodzin, a tu masz babo redutę... Proszę ją, by przynajmniej została, aż znajdę następczynię... Nie! „Burżujom — powiada — służyć nie będę“. Rozumiecie? „Burżujom“! Ja i mąż, pracujący po sze snaście godzin dziennie — burżuje! Nie było innej rady, jak się zgodzić. Męża postawiłam do mycia naczynia, a po jedzenie posyłałam jemenitę do najbliższej restauracji. Sama zaś sprzątałam, słałam łóżka i pilnowałam pancjentek. Nasza jednak „gdudniczka“ nie odeszła bez awantur. Żądała z góry trzech funtów za dwa następne tygodnie, choć sama i bez przyczyny wypowiedziała. Gdy nie chciałam zapłacić, zawołała z sąsiedniej budowy robotników i wskazując na ową komórkę pod schodami, poczęła krzyczeć: „Oto mieszkanie, w którem człowiekowi ci burżuje mieszkać każą“. Krótko mówiąc, zrobiła taką awanturę, że mąż mój chciał sprowadzić policję. Ja jednak wypłaciłam

http://rcin.org.pl

jej te trzy funty. Niech się naje... Oto macie nasze palestyńskie służące"...

Na łodzi zapanowała cisza, jako skutek ogólnego zakłopotania. Słowa bowiem lekarki, wypowiedziane w obecności Szoszany i szofera — dwóch członków gdudu — musiały nawet bez końcowego uogólnienia, wywołać efekt podobny do zbyt wczesnego podniesienia kurtyny, gdy to na scenie kulisy jeszcze nie gotowe i aktorzy kręcą się nawpół ubrani.

Nawet nietracący nigdy rezonu Kraft, opuścił głowę, spoglądając badawczo na koniec swego buta. Poprzez zapadłe nagłe milczenie słychać było miarowy stukot motoru, plusk wody, układającej się pospiesznie we wyorywaną przez łódź skibę i monotonną melodję, nuconą przez jednego z pośród przewoźników.

Gdy Tirsa spojrzała w stronę szofera Arjego, zauważyła, że oczy jego spoczywające niby kamień na postaci lekarki, przyciemniały, a błękit źrenic przeszedł w ciemno-zielony kolor betlejemskiego szkła. Na ceglastem tle policzków zakwitły dwie cynobrowe róże, a krucze brwi najeżyły się jak włosy na łbie Hektora, gdy poczuje w podwórzu arabskiego kundla.

W tej samej chwili, na wspomnienie kochanego psiska ciepła fala czułości wypełniła po brzegi serce Tirsy. Zapewno jej kochana psina leży obecnie na tarasie i ułożywszy swój smukły pysk na przednich łapach, chwyta w nozdża powietrze, poszukując za wonią, zwiastującą powrót pani... Od ukochanego psa powędrowała myśl ku Leji, czekającej z obiadem na powrót spaźniającego się zazwyczaj ojca...

Nie! zdaniem jej zbyteczne nawet tu były słowa oburzonej Szoszany. Czyż Leja ze swem cichem, gor-

http://rcin.org.pl

liwem, a pełnem taktu wypełnianiem obowiązków służącej nie stanowiła żywego dowodu, iż nie zawód, lecz charakter, stanowią o wartości człowieka?!... Chaluc — nie chaluc, burżuj — nie burżuj! Poco ta klasyfikacja? Czy można ludzi podzielić według ustanowionej przez jednostkę nomenklatury? Jeżeli nawet wychowanie nie może wyplenić złych popędów, jakżeż może tego dokonać idea lub hasło?! Czy słowo może na inne tory pokierować uczynki, podyktowane afektem? To tak: jakby ktoś łopatą chciał wstrzymać bieg rzeki... Chociaż, któż to wie! Czyż ci wszyscy, o których jej Leja zawsze opowiadała z takiem przejęciem, czyż oni byliby się rozwinęli w danym kierunku, gdyby ich duszy nie użyźniła idea?...

Trudno uchwycić jądro rzeczy... Trzeba będzie jeszcze nad tem się zastanowić... Tak, zastanowić.

Łódź przybiła do brzegu. Szoferzy zasiedli do kierownic... Ostry trzask zamykających się drzwiczek automobilowych.... „Szalom, szalom“ i w krótkich odstępach puściły się auta w stronę zakrytej górami Jerozolimy.

WIZYTA.

Gdy trwający od dwóch dni hamsin zakończył swój szalony szturm na rzadko rozstawione, a wylękłe domostwa Talpjotu, dojrzało w duszy Tirsy postanowienie: niema co zwlekać z odkładaną tylokrotnie wizytą u Szoszany. Tak już dawno przyrzekła ją odwiedzić, a dotychczas nie zdołała się otrząsnąć z tej apatji, w którą od czasu wycieczki do Morza Martwego popadła.

http://rcin.org.pl

Rację miała roztropna Leja, nakłaniając ją do ruszenia się z domu. Rzeczywiście, samotność w Palestynie jest o wiele przykrzejszą i głębsze powoduje rany, niż we Wiedniu. Mimowoli poczynała przyznawać słuszność argumentom ojca, który swego czasu chciał zamieszkać w amerykańskiej dzielnicy, a nie w słabo zaludnionem, od miasta odciętem Talpjot. Lecz z drugiej strony tylko z perspektywy Talpjotu obraz Jerozolimy jeszcze w swej dzisiejszej szacie wydał się naturalną ilustracją zamierzchłych, biblijnych wydarzeń. Tylko stąd, z tego kamiennego tarasu, odsłaniający się widok na mury i kopuły, na napierające na się domostwa Starego Miasta wydał się godnym obrazu, który sobie jeszcze we Wiedniu o Świętem Mieście wytworzyła.

Tirsa odłożyła szydełkową robotę i weszła do kuchni, w której Leja kończyła poobiednie mycie naczynia.

— Słuchaj Lejo! Ja jadę do miasta. Bądź tak dobrą i powiedz ojcu, o ilebym nie wróciła na kolację, że poszłam z Herbstami do kina... Dobrze?

— Panno Tirso! Proszę nie zapomnieć zamówić sobie powrotne miejsce w aucie.

— Kochana Lejo! Już cię tyle razy prosiłam, byś mię nie tytułowała panią. Wszak u was w Palestynie przyjętem jest mówić poprostu: ty. Dlaczegóż więc masz wobec mnie robić wyjątki? Niech ci się zdaje, że mówisz do mnie po hebrajsku.

— No tak, ale...

— Bez ale... Tirso i już! Tak, jak ja tobie mówię: Lejo. A może chcesz, bym cię również tytułowała: panno Lejo? A więc powiesz ojcu? I uważaj na Hektora, by nie wychodził po za ogrodzenie. Tyle się tu

http://rcin.org.pl

kręci tych arabskich psów, że gotów się jeszcze nabawić jednej z tych okropnych chorób skórnych...

Hektor usłyszał na tarasie, że w kuchni o nim mowa. Przemocą otworzył niedomknięte drzwi i wsunąwszy trójkąt swego pyska, począł domagająco szczekać.

W głosie jego czuć jednak było nutę rezygnacji. Wiedział już z góry, że tu, w tem obcem mieście, gdzie drzewo i cień rzadkiem są zjawiskiem, gdzie ani źdźbła niema trawy, a nagie kamienie palą stopy, jak ogień, że w tem wrogiem mieście nie wolno mu z panią chodzić na spacery. Nie dają mu też wsiąść do tego czerwonego pudła, w którem jego pani tak często ucieka od niego, a pędzić za owem pudłem również mu nie wolno, bo jego pani się obawia, że on pudła nie dogoni...

Wepchnąwszy się swem wielkiem cielskiem do kuchni, jeszcze głośniej począł się domagać, jeżeli już nie pozwolenia pójścia na spacer, to przynajmniej pieszczoty. Podniółszy przednie nogi, oparł je o piersi Tirsy i gotował się do wzięcia przemocą, czego mu od mawiano po dobroci.

Aż Leja musiała zainterwenjować. Ująwszy psa za obrożę, ściągła go na posadzkę. Widząc jednakowoż w jego oczach prawie że ludzki ból, zwróciła się z uśmiechem do Tirsy:

— Biedaczysko, gotów się w domu zanudzić... Może go przecież Tirsa weźmie? Popołudniu mało ludzi w autobusie, więc szofer nie będzie robił trudności, Pan również prosił, by Tirsa sama nie chodziła po Jerozolimie.

— No, dobrze — oświadczyła Tirsa, głaszcząc aksamitną sierść Hektora — ale jak z kinem?

http://rcin.org.pl

— O, tam śmiało go można zabrać. Wszak tak dobrze wychowany, że będzie siedział cicho...

— Chyba — przerwała Tirsa — że zobaczy psa na ekranie. Wtedy gotów się awanturować... A więc, kochany Hektorku, dzięki protekcji twej przyjaciółki użyjesz sobie... Do widzenia Lejo!

Pies jakby zrozumiał treść rozmowy. Rzucił się bowiem wprost do ogrodowej furtki i oglądając się za zdążającą za nim Tirsą, wypisywał w powietrzu swym puszystym ogonem słowa wątpliwości i niewiary. Gdy jednak Tirsa otworzyła furtkę, wypadł jak kula z ogrodu i puścił się jak strzała ku stojącemu na drodze autobusowi.

Gdy Tirsa wysiadła z auta i idąc wpoprzek wyboistej, szutrem zasianej ścieżki, stanęła u celu swej wycieczki, mimowoli wstrzymała krok. Pod wpływem bowiem odsłaniającego się widoku, odczuła nagłą, z trudem dającą się opanować chęć powrotu.

Widok tych niebielonych i zielenią nieprzybranych baraków nie był w istocie wielce zachęcający. Niektóre baraki zbite były z czarnych desek, krytych strzępami podartej przez wiatr i poniewierkę papy, a inne podobne były do wielkich blaszanych rur, które na skutek czasu i zaniedbania do połowy zapadły się w ziemię. Przez nieoparkanione i nieuporządkowane podwórza, powybijane szyby i dziurawe dachy przemawiały bieda, tymczasowość i bezpańskość.

Przed barakami stały kowadła i polne miechy, leżały zardzewiałe sztaby żelaza, puste blaszane puszki z nafty, zwoje kolczastego drutu, połamane ramy żelaznych łóżek, podwozia zgruchotanych aut, przygotowane do opału kłody drzewa, ręką amatora-rzeźbiarza w jerozolimskim kamieniu kute biusty i nagrobki.

http://rcin.org.pl

Na pierwszy rzut oka nie można było zauważyć żadnego ruchu tak w barakach jak i zewnątrz. Stały te baraki gęsto obok siebie, jak wybrakowane, przez ludzi opuszczone, stare wagony kolejowe.

Mimo przeglądającą poprzez otwarte drzwi biel łóżek i szaf, mimo rozwieszone tu i ówdzie w małych oknach firanki, opanowało Tirsę to samo uczucie wewnętrznego odrętwienia i niechęci, które towarzyszyło jej stale, ilekroć w pierwszych dniach pobytu w Palestynie zwiedzała żydowskie osiedla... Jakżeż przykrym był dla człowieka, przychodzącego z innego świata, ów brak kwiecia i drzewa, ów nadmiar rupieci, szmat i śmieci, ów brak zamiłowania do piękna i czystości... Przy najlepszej woli ciężko się było z tem pogodzić.

To właśnie uczucie trudnej do przezwyciężenia odrazy byłoby może w końcu przemogło pierwotne postanowienie, gdyby w krytycznym momencie przez okno baraku, stojącego na skraju obozu, nie była się wychyliła przysadkowa postać Szoszany.

— No, nareszcie się pokazałaś. Od tygodnia czekam na ciebie. Już dziś postanowiłam pójść i odszukać cię w Talpjot... A ten kawaler — to twój?... Piękne psisko! Z pewnością przywiozłaś go ze sobą? Można go pogłaskać? — Nie chcesz kawalerze, to nie!... — Zdejmże Tirso kapelusz i siadaj. Gdzie wolisz — na krześle lub na łóżku..

Znalazłszy się w pokoju Szoszany, doznała Tirsa podobnie miłego uczucia, jakie się udziela podróżnemu, gdy z nużącej, jednostajnej równiny wyłania się nagle pasmo wysokich gór. Pokój Szoszany był bowiem wzorowo czysty. Składał się on z wąskich drzwi, jednego okna, dwóch bielonych ścian, z któ-

http://rcin.org.pl

rych każda służyła za oparcie dla żelaznego łóżka. Garderoba wisiała na gwoździach i nakryta była prześcieradłem. Pod oknem stał stolik zasłany gazetą, dźwigający dwa starannie, we formie piramid uszykowane stosy książek oraz dzbanuszek z gałązką świeżych goździków.

Wolna powierzchnia nad łóżkami oraz po obu stronach okna przyćmionego muszlinowemi firankami, ozdobiona była fotografjami, widokówkami i ilustracjami, wykrojonemi z podręczników botaniki. W pośrodku wisiała zbiorowa fotografja ujęta w ramki rznięte laubzegą. Przedstawiała ona młodzieńca w otoczeniu innych młodych ludzi przy wykopie i przesuwaniu wózków, napełnionych ziemią. Po drugiej stronie okna wisiało drugie zdjęcie, przedstawiające tego samego młodzieńca na krześle z książką w ręku.

— No, cóż Tirso, podoba ci się moje mieszkanie?

— By prawdę powiedzieć, to sądząc według zewnętrznego wyglądu waszych baraków, nie spodziewałam się, że wnętrze mieści takie miłe i czyste pokoiki... Lecz, któż to jest ten młodzieniec? — pytała Tirsa, wskazując na fotografję robotników zajętych przy wykopie.

— To jest mój bachur *) — odpowiedziała, uśmiechając się Szoszana. — Bo, by uzupełnić moje informacje z ulicy Jafskiej, muszę ci zdradzić, iż od dwóch lat jestem — jak się to u was mówi — zamężna, a ten tam jegomość, będący z zawodu agronomem, a obecnie robotnikiem, jest mym mężem. Przy sposobności, jeżeli cię to wogóle zainteresuje, opowiem ci szczegóły... A ten oto szczegół, to nasza ośmiomiesięczna Zachawa...

*) Bachur — chłopiec.

http://rcin.org.pl

Mówiąc to, wyjęła Szoszana z szuflady stolika fotografję, przedstawiającą pulchną twarzyczkę dziecka, którego tułów gubił się w zwoju poduszek.

Ze zdumieniem słuchała Tirsa słów Szoszany. Ani bowiem przy pierwszem spotkaniu, ani też przy powtórnem, podczas wycieczki do Morza Martwego, nie zauważyła żadnej prawie różnicy między tą Szoszaną, którą we Wiedniu pewnego dnia straciła z oczu, a tą, która tu, na tle tej surowej izby przedstawiała się jej nagle jako matka ośmiomiesięcznego dziecka. Jedynie twarz przypruszona piegami była smaglejszą i wyrazistszą, a długie ongiś warkocze przeobraziły się w półkrótką, na ramiona opadającą fryzurę.

Tirsa była tak silnie poruszoną tą niespodzianą wiadomością o zmianach, zaszłych w życiu jednej ze swych bliższych koleżanek, iż za chwilę dopiero uświadomiła sobie przyczynę swego zdziwienia. Wszak przemiana siedemnastoletniego podlotka w matkę ośmiomiesięcznej córki jedynie w jej pamięci dokonała się bez jakiegokolwiek przejścia i przygotowania, a w rzeczywistości był to długi proces rozwojowy, dojrzewający powoli tak w czasie jak i w przeżyciach.

Zaskoczona słowami Szoszany, musiała użyć całej siły woli, by móc powstrzymać cisnące się na usta pytania: a czy jesteś Szoszano szczęśliwą? Czy możesz wogóle być szczęśliwą w tem, wszelkiego ciepła i wszelkich wygód pozbawionem otoczeniu?

Zajęta temi myślami, więcej z przyswojonych form towarzyskiego obejścia, niż z wewnętrznego zainteresowania, zwróciła się do Szoszany z zapytaniem:

— A gdzież twa piękna Zachawa? Czy wy tu macie również odrębny barak dla dzieci?

http://rcin.org.pl

— O, jak widzę, to znasz już kwucowy *) sposób wychowania dzieci. Zapewne zapoznałaś się z nim przy zwiedzaniu naszych osiedli?

— Przepraszam cię Szoszano, ale ty napewno jesteś zajęta. Ja tu tylko wpadłam, by się umówić, kiedy cię można odwiedzić, kiedy będziesz miała dużo, dużo czasu, byśmy mogły swobodnie pogadać.

— O, co to, to nie... Nie mam nic przeciw drugiej wizycie, lecz teraz musisz zostać... Ja tylko opowiem się w kuchni i pogadamy sobie... Na wycieczce nie było jakoś sposobności, a nadto za dużo było tam obcych i nie bardzo sympatycznych ludzi.

— Nie, Szoszano. Długo zostać nie mogę. Muszę pójść do Herbstowej... Już tydzień tam nie byłam... Znasz ją i wiesz, że nie wybaczy mi mej opieszałości.

— Szkoda, Tirso, że nie możesz zostać. Ale trudno, nie przymuszam cię... Jeżeli jednak nie możesz zostać dzisiaj, to musisz przyjść w piątek wieczorem. Wtedy mam czasu, ile tylko zechcę, a prócz tego w piątek wieczór u nas zazwyczaj wesoło.

— Dobrze, przyjdę, choć nie wiem, czy ojciec się na to zgodzi.

— Ależ, cóż znowu! Któż się tu ojca pyta! A zresztą, wiesz co, przyprowadź go tutaj... Nie?... To w takim razie przyjdź przed wieczorem, a my cię w nocy odprowadzimy... Fatyga? Cóż znowu!... Przejdziemy się i basta... A zresztą, byś sobie nie robiła zbytnich skrupułów, to w ten piątek jest u nas zebranie, więc napewno przyjdą również nasi ludzie, pracujący przy budowie w Talpjot. Z nimi wrócisz... Zgoda?... Doskonale!... Chodź, odprowadzę cię. Po drodze zoba-

*) Kwuca — grupa ludzi, żyjących we wspólnocie gospodarczej i ideowej.

http://rcin.org.pl

czysz moją Zachawę... Oto tu... Psa zostaw na polu, bo gotowe się dzieci przestraszyć.

Barak dzieci był niższy od reszty baraków, a miał szerokie okna, sięgające aż pod okap dachu. Obejmował on oddział niemowląt oraz oddział dzieci do lat sześciu. Pokoje były wprawdzie małe, lecz na skutek białych ścian, małych, niskich, na biało lakierowanych mebli, zdawały się rozstępować, wydłużać, pogłębiać i róść na wysokość.

— Nasz dorobek w dzieciach — tłómaczyła Szoszana, prowadząc Tirsę poprzez bawialnię do sypialni — jest jeszcze mały. Wszystkiego piętnaście sztuk. Ponieważ różnego są jednak wieku, więc doglądają i pielęgnują je dwie koleżanki, egzaminowane pielęgniarki... A oto jedna z nich... Saro! Prowadzę tu mego gościa, pozwolisz?... Tirsa... Sara... Czy Zachawa śpi? Nic nie szkodzi. Zobaczymy ją tylko i zaraz zmykamy.

Tirsa i Szoszana weszły w towarzystwie Sary do sypialnego pokoju. Poprzez wykrojone w przymkniętych okiennicach otwory, przedzierały się promienie słońca, tworząc szerokie, świecące taśmy, skręcające się w zawrotnem tempie około niewidzialnych osi.

Pod ścianami stało sześć małych łóżek, uzbrojonych w plecione, zasuwalne, boczne osłony, oraz w rozpięte nad łóżkami moskitery. W pokoju panowała cisza, pogłębiona regularnym oddechem dzieci, spoczywających w poobiednym śnie.

Gdy wzrok Tirsy przystosował się do panującego w pokoju mroku, zauważyła pod ścianą siedzącą na niskim krzesełku kobietę, karmiącą dziecko. Wyglądająca z pod otwartej koszuli biała pierś była tak drobna i nierozwinięta, iż wydała się Tirsie przedłużeniem małej, pomarszczonej twarzyczki dziecka, wy-

http://rcin.org.pl

ciągającego z trudem i żarłocznym grymasem drobinę zatracającego się pokarmu. Gdy zaś popatrzyła na twarz karmiącej, miała wrażenie optycznego złudzenia... Czyżby to było możliwem?... Wszak matka ta była właściwie nikłym podlotkiem... najwyżej czternastoletnim!... Na jej szczupłej, dziewczęcej twarzyczce malowało się równocześnie uczucie bólu i rozkoszy.

Szoszana zbliżyła się na palcach do jednego z łóżek, podniosła brzeg moskitera, a nachyliwszy się ostrożnie nad zawartością łóżka, ujęła Tirsę za rękę i drżącym ze wzruszenia, a przyciszonym głosem mówiła:

— Oto mój tłuścioszek.

Oczy Tirsy powoli rozpoznawały w tem, jak ślimak zwiniętem stworzeniu pucołowate, nagie ciało, którego delikatne zaklęśniecia podobne były do cieni, nakreślonych węglem na różowem tle.

Dziecko leżało na prawym boku. Wielki paluszek prawej piąstki trzymało w ustach, a wykonując wargami mechaniczny ruch odbierania pokarmu, zdało się w swej beztrosce być wyrwanem z tego świata i przeniesionem na inną planetę.

Powoli udzielało się Tirsie to rozrzewniające wrażenie, jakie stale odczuwała, patrząc na małe dzieci, na coś drobnego i bezbronnego, na coś bezresztnie zwierzającego się dorosłemu człowiekowi z jego wieczną czujnością na niebezpieczeństwo, ukryte w tajemnicy zewnętrznego świata. Gdy sobie uprzytomniła, że ten robaczek milusieńki jest fizyczną cząstką Rosy, — widziała ją w tej chwili trzpiotowatą, dokuczliwą, rozbijającą się po korytarzach gimnazjum na Elizabethstrasse — stanęły jej mimowoli łzy w oczach. Powiedziała też Szoszanie:

http://rcin.org.pl

— Teraz dopiero wierzę, że jesteś matką... Kochane maleństwo. Całkiem podobne do ciebie, tylko oczu nie widać.

— Oczy ma ojca, a i nosek pyrkaty również jego... No, ale chodźmy, bo inaczej Sara wnet nas wyrzuci... W godzinach „nieurzędowych“ tylko wyjątkowo wolno się tu pokazywać.

Szoszana ucałowała lekko złotawą główkę córeczki, nasunęła ostrożnie moskiter i skinąwszy głową Sarze, wyszła wraz z Tirsą z baraku.

— A teraz zaczekaj minutkę... Ja skoczę tylko do kuchni, a następnie odprowadzę cię.... Chcę ci przy tej sposobności przedstawić ojca mej Zachawy... Ależ, co za kłopot?! Ani dla mnie, ani dla ciebie... Ty idziesz do miasta, więc i tak przechodzisz tamtędy, a ja mogę się uwolnić na kwadrans.

Szoszana znikła między barakami, a Tirsie przypomniało się owe wrażenie, jakiego swego czasu doznała, oglądając po raz pierwszy barak dzieci w jednem z osiedli Emeku.

Żywo stanął obecnie przed jej oczyma ten mały, niski, okrągły stolik, około którego, w pokoju zdobnym w barwne wycinanki i tanie zabawki siedziało przy obiedzie czworo dzieci... Widziała ową siostrę w białym fartuchu i białym czepku, trzymającą w jednej ręce żarzącego się papierosa, a w drugiej blaszany garnuszek pełen mleka, rozlewającego się po podbródku dziecka... Gdy wychodziła z baraku omal że nie nadeptała na jedno z dzieci, pełzające nago pod drzwiami...

Bezpośrednio przedtem pokazywano jej w przyćmionym, zacisznym baraku wielki aparat do wylęgania kurcząt. Była to długa, na płask ustawiona szafa,

http://rcin.org.pl

podobna do owych muzealnych etażerek, w których zazwyczaj pod szkłem mieszczą się drogie eksponaty. W miejsce jednak rzadkich monet i kamieni, widziała w tym wypadku zwykłe, kurze jajka, z których tu i ówdzie dobywały się żółte dzióbki kurcząt... Ten, ciepłotą naftowego piecyka dokonywany masowy sztuczny poród, to przyśpieszone ludzką wolą i ludzkim sprytem regulowane działanie przyrody, były jednem z najsilniejszych wrażeń, wyniesionych z trzechtygodniowej podróży po Palestynie.

I wtedy to po raz pierwszy nasunęło się jej owe dziwne podobieństwo, zachodzące między tą sztuczną atmosferą porodową, wytwarzaną przez inkubator, a owem wspólnem wychowaniem dzieci w specjalnych barakach... Dziś ze względu na Szoszanę i na żywe zainteresowanie się wszystkiem, co dotyczyło teraźniejszego życia Szoszany, widziała wszelkie odchylenie od przyjętych w Europie form życiowych, jakby poprzez powiększające szkło... Mimowoli też stawiała sobie pytanie: byłaż w tym systemie pół spartańskiego wychowania jakaś racja? Nie wyrywano tu z ludzkiego serca jednej z nielicznych rozkoszy, jaką matce daje bezpośrednie zetknięcie się ze swem dzieckiem?... Nie przyspieszano w ten sposób procesu odwracania się dzieci od swych rodziców, chodzenia własnemi, ciepła matczynego pozbawionemi drogami? Nie byłże smutek jej własnej duszy po części — skutkiem faktu, iż matki swej prawie że nie znała?!...

— Jestem! Idziemy.

Słowa te wypowiedziała Szoszana, będąc jeszcze w biegu. Ująwszy Tirsę pod ramię, przeprowadziła ją na wolną przestrzeń przed barakami. Następnie szły po zakurzonej drodze, wzdłuż muru, okalającego

http://rcin.org.pl

szkolne budynki Becalelu, poprzez plac zawalony stosami kamieni, aż wydostały się na parcelę ocienioną rozłożystemi drzewami figowemi.

Tu uwijało się przy pracy kilkudziesięciu robotników. Większość z nich ubrana była w krótkie spodnie i koszulki. Wielu pracowało bez koszuli, a nagie, czerwone ich grzbiety lśniły się w słońcu kroplami potu. Niektórzy wywozili żelaznemi wózkami kamienie na sąsiedni pusty plac; inni, stojąc na dnie przestrzennego wykopu, nawiercali maszynami skałę, ładowali kamień na wózki, rozbijali wielkiemi młotami odłamki skał na drobniejsze bryły.

Zgrzyt świdrów i warkot motorów zaniepokoił widocznie Hektora, gdyż strzygł uszami, ociągał się i w żaden sposób nie chciał zbliżyć się do wykopu.

— Większość tych robotników, to nasi ludzie. Budują tu hotel... Zaraz poszukam mego bachura — tłómaczyła Szoszana.

Stanąwszy nad krawędzią spadzistej ściany, poczęła Szoszana rozglądać się wkoło. Nim jednak zdołała odnaleść swego męża, jeden z posuwaczy wózków podłożył drąg pod koło i przystanął przed Szoszaną. Pozdrowiwszy ją, zamienił z nią kilka słów hebrajskich, a następnie wrócił na dno wykopu, by za chwilę pojawić się w towarzystwie wysmukłego mężczyzny o gęstej, czarnej brodzie i czuprynie.

— Oto — zawołała Szoszana — mój Uri. Prawda, że Zachawa nie jest jego córką, choć ma jego pyrkaty nosek?

Następnie porozumiała się z mężem, poczem Uri zbliżył się do Tirsy, a uścisnąwszy podaną rękę, oświadczył:

— O, bardzo się cieszę z osobistego poznania. Bo

http://rcin.org.pl

tak — nieosobiście znam panią już dawno z opowiadania Szoszany... Bardzo pani dziękuję, że ją pani zabrała na wycieczkę do Morza Martwego... Wybaczy pani mój strój, no... ale, jak przy pracy.. Szoszana powiedziała mi przed chwilą, że zaprosiła panią na piątek wieczór. I ja przyłączam się do tej prośby... Będzie u nas wesoło. Zaręczam... No, ale już muszę uciekać... A więc liczymy napewno! Szalom... Szalom Szoszano!

Mąż Szoszany mówił wolno, poszukując za każdem słowem. Jego niemczyzna była jakby poprawianym żydowskim językiem. Zdawał się rozszerzać i przeciągać samogłoski, a twardość spółgłosek łagodził niewyraźnem ich wymawianiem... Było coś komicznego w tem sprowadzaniu języka żydowskiego do literackiego języka niemieckiego, a komizm ten wydał się Tirsie tem jaskrawszym, ile że stał w sprzeczności z surowym, poważnym wyrazem twarzy mówiącego.

— Jakże znajdujesz mego męża, Tirso?

— Bardzo przystojny i sympatyczny.

— A czy rozumiałaś go? Bo on nie zna niemieckiego, a po żydowsku mówi z litewska. Znamy się trzy lata od chwili, gdy... Lecz nie! nie tutaj.... Tyle mam ci Tirso droga do opowiadania, że musimy się gdzieś na osobności spotkać.. Naturalnie i ja zapytać chciałabym o wiele... A więc ty idziesz do Herbstów? Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że wkrótce przyjdę do niej z książką, którą mi pożyczyła.. Dobra kobiecina, tylko biedna...

— Jakto biedna? Co przez to rozumiesz?

— Wytłómaczę ci to innym razem... Tymczasem pa! Drogę znasz?... Tu zaraz na prawo, ulicą króla Grzegorza, następnie prosto wdół aż do kina, a później

http://rcin.org.pl

w pierwszą boczną uliczkę na prawo... Do widzenia zatem w piątek wieczór.

Szoszana pocałowała Tirsę w policzek, pogłaskała Hektora i biegnąc raczej, niż idąc, znikła za rogiem murowanego parkanu, otaczającego ogród francuskiego klasztoru.

Tirsa zaś ujęła Hektora za obrożę i szła swym równym, elastycznym krokiem, szeroką ulicą wysadzaną po obu brzegach młodemi świerkami. Po drodze myślała:

Jakże to dziwne! Szoszana matką, a ten wysoki, poważny, brodaty mężczyzna jest ojcem jej dziecka!... Coby też powiedział ojciec Szoszany, pan Reiter, gdyby tak zobaczył swego zięcia w tym stroju robotnika!...

Wspomnienie o Reiterze wywołało na twarzy Tirsy jasny refleks, który przez Hektora został mylnie zrozumiany jako zezwolenie do rzucenia się skokiem na opadającą wdół drogę. Tirsa musiała ostrem: „Nie wolno, Hektor!“ przywołać psa do porządku.

O, — kontynuowała myśli swe o Reiterze — jakże wzburzony przyleciał w dniu ucieczki Szoszany i ze łzami w oczach błagał, by Tirsa starała się namówić Szoszanę do powrotu!... Naturalnie ona znała Reitera na tyle, by właściwie ocenić jego troskę o Szoszanę. Łzy Reitera, któremi ten dziwny człowiek w każdej chwili, przy najbardziej błahej okazji dowolnie dysponował, były i w tym wypadku następstwem nietyle żalu z powodu ucieczki ukochanej córki, ile wypływem przywiązania do „przedmiotu“, rzadkiego, niedającego się zastąpić „okazu“, okazu, który go już tyle pieniędzy kosztował... Czyż Reiter nie zalewał się łzami, gdy z jego salonu, przepełnionego cennemi obrazami, makatami i muzealnemi antykami, skradziono pewnego razu srebrną tabakierkę, której podobno Metternich

http://rcin.org.pl

używał?!... Wszak wtedy, w swym szaleńczym gniewie własną, jedyną córkę posądził o kradzież!... Ileż to trudu kosztowało matkę Szoszany i Tirsę, nim zdołały obrażoną na ojca Szoszanę nakłonić do powrotu do tego, rupieciami przepełnionego „Haus Reiter, Praterstrasse zehn“.

I ta właśnie Szoszana, jedynaczka, wychowana w dobrobycie, z której ojciec mimo wszystko był tak dumny, jak ze zdobytego podczas wojny tytułu: „c. k. nadwornego dostawcy“, ona właśnie była dziś członkiem gdudu, a za męża wzięła pospolitego robotnika!...

Tirsa krócej ujęła za obrożę Hektora, gdyż począł warczeć i groźnie wystrzeżać zęby na dwóch bosych wyrostków arabskich, którzy niosąc na długim kiju wielkę okiść żółtych bananów, zbytnio się, zdaniem Hektora, zbliżyli do jego pani.

Minąwszy budynek kina, weszła Tirsa w boczną, ciasną ulicę, z trudem orjentując się w jej rozlicznych, jeszcze bardziej ciasnych i jak gałęzie z pnia odrastających załamaniach. Wystające z przeciwległych, kamiennych ścian drewniane balkony i wykusze prawie że stykały się w górze. Szczelnie zamknięte bramy, nieliczne okratowane i zasłonięte okna, wysokie parkany starannie zakrywały widok na wnętrza zamieszkałych, zda się, przez Arabów, domów.

Krawędzią ulicy, pod wysokim murem płynęła cienka struga brudnej, przykrą woń wydzielającej, cieczy. Wytryskała ona swobodnie na środku ulicy z przepełnionego dołu kloacznego. Nad wąwozem zaś, wytworzonym przez dwupiętrowe domy, płynął górą czysty błękit nieba, niby wielka chorągiew, zwieszona w przestworzu.

W tej chwili przypomniała sobie Tirsa, że idzie

http://rcin.org.pl

z próżnemi rękoma do Herbstów, a przecież, chcąc pójść do kina, musi u nich zjeść kolację.

Wróciła więc pod budynek kina i idąc ulicą Jafską, wchłaniała w siebie ten cudowny, malowniczy obraz, jaki się jej oczom stale przejawiał na tej głównej ulicy ukochanej przez się Jerozolimy... Młodzi robotnicy żydowscy o muskularnych gołych łydkach; szczelnie przysłonięte Arabki; kucharze z Sudanu w białych chałatach, o czarnych, jakby w drzewie hebanowem rzeźbionych twarzach; młodzi Arabowie ubrani z europejską elegancją, w lakierkach i czerwonych fezach; wysocy jak tyki chmielu angielscy dostojnicy, stary, jednooki i jak zwierz obrośnięty Arab, galopujący na małym osiołku; błyszczące i jak cień pomykające auta z turystami; Żydzi w bekieszach, w jedwabnych, kolorowych chałatach i w czarnych tużurkach; pucobuty z apteką past na brzuchu; nosiwody z przewieszoną przez grzbiet skórą cielęcą, wypełnioną wodą; żandarmi o szerokich, czerwonych pasach na biodrach; księża o długich brodach i czarnych sutannach; istny karnawałowy korowód masek.

Tirsa przystanęła na chwilę. Bo oto naprzeciw wyboistego placu, okolonego koszarami policji i budynkami rosyjskiej cerkwi, na niezabudowanej parceli dziwny zauważyła obraz. Obok podłużnej, z ziemi wyrastającej rury wodociągowej, stało dwóch pachołków miejskich i starało się słowem oraz pięściami, utrzymać porządek w tłumie, cisnącym się do otwartego wodociągowego kurka. Tłum składał się przeważnie z kobiet. Każda z nich starała się na wszelkie sposoby przedostać jak najbliżej wododajnej rury. Trzymane zaś w ręku blachy i dzbanki dzwoniły i jęczały, zagłu-

http://rcin.org.pl

szając udzieranie się pachołków oraz krzyki i swar wy-wypartych z kolejki kobiet.

Idąc dalej wzdłuż suchotniczego ogrodu miejskiego, myślała Tirsa o tych jaskrawych przeciwieństwach, których pełno była na każdym kroku w tem mieście. Z jednej strony te biedne kobiety w wiecznej trosce o trochę wody, a w nowych dzielnicach, w Talpjot — wody poddostatkiem. Z jednej strony wiedeńskie gumiradlery, a z drugiej, w środku chodnika, niespodziewane dziury, niebezpieczne wyrwy, kaikołomne schody. Tu błyszczące, dywanami wyściełane schody międzynarodowego hotelu, a tuż obok obładowane wielbłądy, okopcone wnętrza jaskiń kawiarnianych, w których siedzą Arabowie we wschodniej kontemplacji, przy szklanych nardżilach.

Atoli te właśnie przeciwieństwa wydały się Tirsie najcudowniejszą i najbardziej do serca przypadającą melodją Jerozolimy. Godzinami mogła chodzić po ulicy, mogła obserwować i jak pszczoła miód z kwiatu zdejmować, przetapiając gest, barwę, tętno ulicznego ruchu na żywe, serce radujące wrażenia.

Często zdarzało się Tirsie, że stanąwszy na pewnem miejscu, zapominała zupełnie o celu swego spaceru, zapatrzona w ten zmienny, wielobarwny, zachwycający obraz ulicy. Działo się tu z nią podobnie, jak dawniej we Wiedniu, podczas długich spacerów za miastem, po wilgotnych, zapachem świeżo skoszonego siana nasyconych łąkach naddunajskich... Rzuciwszy książki, jechała tramwajem do Prateru, a następnie szła szeroką aleją aż na sam koniec, tam, gdzie poprzez rzadkie drzewa odsłaniał się widok na rzekę. Tam na miękkiej murawie układała się z nieodstępnym Hektorem na wypoczynek.

http://rcin.org.pl

Leżała tak godzinami w trawie bez ruchu, zasłuchana w szmer bliskiej odnogi Dunaju, w poszum kołyszącej się nad jej głową korony kasztanów i w grający jak morze oddech dalekiego miasta. Leżała bezczynnie, zapatrzona w przepływające nad nią chmurki, w snujące się złocisto-jedwabne nici pajęczyny i w roje nikłych muszek, igrających w sieci z promieni słonecznych. Zapominała o sobie, o czasie i świecie....

Dopiero głośne sapanie Hektora, wracającego z nieudałego połowu, dotknięcie o dłoń lub policzek jego chłodnawo-wilgotnego pyska, budziło ją z zadumy i przypominało, że wkrótce zajdzie słońce i że czas już wracać... Najdziwniejszem zaś było to, że nigdy nie była w stanie zdać sobie sprawy, czem właściwie przez kilka godzin zajęta była jej dusza, w jakim świecie przebywała myśl, czem żywiła się pamięć... Był to letarg rozkoszny ciała i świadomości, ukołysanie zmysłów, zupełna zatrata, z której niechętnie wracało się w realny świat dnia powszedniego.

Później wędrowali we trójkę. Karol jednak zajęty wykładami, laboratorjum i lekcjami; miał tylko czas w niedziele. Prócz tego w jego towarzystwie łaska owych nastrojów nigdy się jej nie udzielała. Przez splecione ich dłonie zbyt silny przechodził prąd, by zmysły mogły bodaj na chwilę spocząć.

— Good morning, miss Lampel... Z pewnością pani bardzo się spieszy, gdyż już od kwadransa stoi pani w jednem miejscu.

— Ach, to pan, panie doktorze Kraft. Dzień dobry panu... Przystanęłam na chwilę, bo...

— All right. Ładna chwila! Obserwuję panią już pełny kwadrans. W zamyśleniu podobna pani była

http://rcin.org.pl

z tym swym psem do tych niewiast z arystokracji, które malował ten... ten Anglik... no, jakże się nazywał?...

— Może Solomon?

— Właśnie! Taki pani stanowiła piękny obrazek, że...

— O, i pan również zna się na komplementach!...

— Co za komplement? Czy pani nie widzi, że wszyscy się na panią z podziwem patrzą; że staje się pani przyczyną zatamowania ruchu w Jerozolimie i że ten tam policjant ze swemi białemi rękawiczkami wkrótce panią zaaresztuje.

Tirsa zarumieniła się, a zmieniając temat rozmowy, pytała:

— Dokąd pan idzie, panie doktorze?

— Ja?... Ja leciałem na pocztę. Przystanąłem zaś na chwilę, by się pani i jej pieskowi przypatrzeć... A pani?

— Ja wstępuję do sklepu, by coś kupić do zjedzenia, a potem wracam do Herbstów.

— O, splendid!... Jeżeli pani pozwoli, to użyczę pani mej ojcowskiej opieki i odprowadzę panią aż do progu herbstowskiego hotelu.

Tirsa nie rozumiała ostatniego określenia, którem ironizujący wiecznie Kraft nazwał dom Herbstów. Gdy więc za chwilę znów się spotkali pod pocztą, Tirsa zapytała:

— Co pan rozumiał, mówiąc „hotel herbstowski“?

— Jakto, nie zauważyła pani dotychczas? Wszak jeszcze ani razu nie zdarzyło się, bym będąc u Herbsta, nie spotkał jakich gości z kolonji lub z Tel-Awiwu. Tak szerokiego serca, jak mają ci ludzie, jeszcze w mem życiu nie spotkałem... A on! Jakież szerokie

http://rcin.org.pl

ma ten człowiek serce!... To już nie serce, ale jakiś żarłoczny, nigdy nienasycony worek... — Tu począł się Kraft śmiać tak serdecznie, że aż się zaksztusił, a wystraszony tem Hektor, przystanął i kiwając ogonem, zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek, idący w towarzystwie jego pani, a wydzielający takie dziwne zapachy, wróg on — czy przyjaciel...

Tirsa domyśliła się po części ostatniej aluzji Krafta. Wszak podczas wycieczki do Morza Martwego zauważyła, jak to Herbst, nie krępując się obecnością żony, z miejsca pogrążył się w adorowaniu przystojnej lekarki z Tel-Awiwu.

— A propos! Jak pani służyła wycieczka? Czy panią bardzo zmęczyła?... Co pani ma zamiar począć wieczór?... Co pani wogóle robi tu u nas?... Czy w przejeździe, czy na stałe? — Nie czekając na odpowiedź, sypał Kraft pytaniami, wypuszczając za każdym razem poprzez zaciśnięte wargi dym z papierosa.

Tirsa nie zdążyła na żadne z tych pytań odpowiedzieć, gdyż Kraft, uderzywszy się ręką w czoło, zawołał:

— A, na śmierć zapomniałem. Wszak muszę jeszcze wydać dyspozycję w szpitalu... Wybaczy pani, że ją pożegnam... Ukłony dla Herbstów... Może wieczór tam zaglądnę... Good bay, God bless you!

Gdy Tirsa stanęła przed bramą domu zamieszkałego przez Herbstów, słońce miało się już ku zachodowi. Zapadało się gdzieś za Ratisbon, tam, gdzie stały baraki gdudu. Ostatnie jego promienie zapalały światła w oknach domów, położonych wokół Cytadeli Dawida. Zdawało się, iż ktoś powyjmował szyby i w ich miejsce powstawiał rozpalone blachy złota...

Herbstowie zamieszkiwali mały, parterowy do-

http://rcin.org.pl

mek. Przed domkiem był parkan o kamiennych słupach z żelaznemi sztachetami w międzypolach. Nieduży ogródek, zdaje się, od zarania swej egzystencji nie zaznał cienia i zieleni, ziemia bowiem gołą była i twardą. W pośrodku ogródka znajdował się w skale wykuty rezerwoar ze zmontowaną na drewnianej pokrywie żelazną pompą. Z płaskiego dachu doprowadzały liczne rury blaszane deszczówkę do rezerwoaru, a nazbierana zimą woda starczyć musiała na cały rok.

Jak we wszystkich domach arabskich, tak i u Herbstów grube mury, potężne sklepienia i głębokie wnęki nadawały pokojom charakter klasztornych cel.

Było zwyczajem Tirsy, praktykowanym jeszcze we Wiedniu, urządzać mieszkania swym dobrym znajomym. W domu umeblowanym według przyjętego szematu czuła się Tirsa stale, jak w hotelu. Zimno, obco i sztywnie. Dom taki był bez barwy, nie miał charakteru, nie był odzwierciedleniem duszy zamieszkujących go ludzi. Tirsa posiadała umiejętność odbierania ścianom ich nieżywego i nieosobistego wyrazu. Firankami porozwieszanemi w odpowiednich miejscach, kanapą ustawioną nawskos, odpowiedniem ustawieniem fotelu, przybranego barwną materją, dyskretnem umieszczeniem obrazu lub doniczki z kwiatem — nadawała Tirsa pustej przestrzeni ciepła i treści.

Urządzenie mieszkania Herbstów było też jej dziełem. Bez wielkich wydatków, meblami, sporządzonemi w prymitywny sposób przez jerozolimskiego stolarza, wydobyła Tirsa przy istniejących naturalnych warunkach (sklepienia i nyże) nader piękne efekta. Na gołych ścianach porozwieszała kupione w Starem Mieście kefije i makaty, umieszczając tu i ówdzie w szkło

http://rcin.org.pl

oprawne nastrojowe ilustracje biblijne Panna lub śniedzią okryte dzwonki z wielbłądziej uprzęży. Wspólnie z Muszką uszyły żywe w kolorze poduszki na kanapę z rozprutych worków, używanych przez Arabów do zabierania jedzenia podczas jazdy na ośle. We framugach ścian ustawiła Tirsa barwne i ornamentem bogate dzbanki jerozolimskie, a nad szeroką, całą rodzinę mieszczącą kanapą zawiesiła zbiór różnorodnych, arabsko-żydowskich amuletów, korali, naszyjników. W ten sposób w zupełności zatracił się tymczasowy charakter mieszkania, ziejącego głodem i chłodem, skarżącego się na niedolę świeżo przybyłych imigrantów skrzypieniem niedomykających się, tandetnych szaf oraz trzeszczeniem białych, żelaznych łóżek.

Na skutek panującego w hallu mroku, nie poznała Herbstowa zrazu Tirsy. Dopiero, gdy Tirsa oznajmiła się słowami:

— To ja, Tirsa Lampel, dobry wieczór pani — a Hektor począł z wielkiej radości uderzać ogonem i miłośnie ocierać się o suknie Herbstowej, Herbstowa, nie mówiąc słowa, ujęła Tirsę za rękę i poprowadziwszy ją do pokoju oświetlonego lampą naftową, usadowiła ją przy wielkim okrągłym stole. Sama zaś, usiadłszy na brzegu szerokiej kanapy, ujęła w dłonie łeb Hektora i całą swą wymowę skierowała w stronę słuchającego uważnie psa.

— A więc to tak się porządne, niepalestyńskie psy sprawują? Wyszukują sobie za panie — egoistki, kobiety bez serca i sumienia — co? To, to tak u was we Wiedniu, panie Hektorze jest w zwyczaju, że się tygodniami nie odwiedza dobrych znajomych, że się nawet o nich nie myśli, czy umarli, czy żyją?!... To tak sobie Hektorku wychowałeś swoją panią? Tak?... Po-

http://rcin.org.pl

wiedzże twej szkaradnej pani, że jej nie chcę znać i że dziś tylko wyjątkowo ją przyjmuję, ponieważ jest w twojem towarzystwie... Tak, tak, szczekaj, krzycz na twoją niedobrą panią!...

— Ależ droga pani, — śmiejąc się, przerwała Tirsa potok słów Muszki — kiepskiego oskarżyciela pani sobie wybrała. Wszak Hektor krzyczy nie na mnie, lecz na panią... Swoją drogą ma pani całkowitą rację. Przyznaję się w zupełności do winy i błagam o przebaczenie... A ponieważ wiedziałam, że pani będzie na mnie złą, więc przyniosłam trochę czekoladek.

— O, to pani nic nie pomoże... Jestem rzeczywiwiście okropnie zła na panią.

— A jeżeli panią ucałuję, a nadto zjem u pani kolację i prócz tego zaproszę panią do kina, czy to wystarczy, by się pani przestała gniewać?

— Jeżeli tak, to co innego... Ale rzeczywiście byłam na panią, panno Tirso, zła. Myślałam sobie, jeżeli dziś, po odwiedzeniu gdudu do mnie nie przyjdzie...

— A skądże pani wie, że byłam dziś w gdudzie?

— O, przed Muszką nic się nie ukryje. Ja wszystko wiem... Powiedział mi to jeden z mych gości, gdudowiec z Tel-Josef, który panią widział z Hektorem w pokoju Szoszany.

— Jakto, czy on mię zna?

— Nie, nie zna. Ale informował się u mnie, czy ja przypadkowo nie wiem, kto to jest ta przystojna szatynka, Niemka, z wilczurem, znajoma Szoszany... Naturalnie, że zaraz wiedziałam.. O, ja jeszcze więcej wiem!

— Co, jeszcze więcej?... Cóż takiego, bardzo jestem ciekawa. Może i to, że Dr. Kraft mnie tu odprowadził i że kazał panią pozdrowić?

http://rcin.org.pl

— Kto, Kraft? Naczelnik Hadassy? On panią tu odprowadził? Nie, coś takiego!...

— To panią dziwi?

— Dziwi mię i właściwie nie dziwi... Dziwi, bo Kraft nienawidzi kobiet.

— Czy mu tak bardzo dokuczyły?

— Tego nie wiem, ale opowiadają sobie jego znajomi, że ma w Ameryce żonę i dorosłe córki. Nie chcą one za żadną cenę do Palestyny przyjechać.

— A on?

— On? On nie chce wracać, bo mu się tu podoba.

— Sądząc według jego humoru, to wcale tego wielkiego zmartwienia u niego nie widać.

— O, trzeba go znać lepiej, by wiedzieć, że jego docinki i dowcipy, to tylko skutek jego silnej woli. Nie chce dać poznać po sobie, co go wewnątrz gryzie...

— Patrzcie się, nigdybym nie przypuszczała... Ale gdzie Dr. Herbst?

— Mój mąż?... Czy ja wiem! Poszedł o piątej i powiedział, że idzie odwiedzić pacjenta w Meja Szaarim i wróci zaraz. Tymczasem już godzina siódma, a jego jeszcze niema. Ale panno Tirso, pani się wcale nie pyta, czego ja się jeszcze dowiedziałam... O, z pani jest mądralska. Pani wie, że Muszka nie wytrzyma i sama powie... Ach, jaki on piękny!... Biedactwo... Z pewnością dużo pani chodziła, więc bardzo zmęczony... Proszę się popatrzeć. Leży jak lew, sapie jak lokomotywa i tylko swemi bystremi ślepiami uważa na każdy ruch pani... Zaraz mój drogi Hektorku dostaniesz coś do zjedzenia... A więc dowiedziałam się, że ojciec pani zakłada wielką fabrykę blachy w Mocy i że zostajecie w Palestynie... Tak się cieszę, że nie mogę pani tego wysło-

http://rcin.org.pl

wić... Musimy się z tej okazji napić czegoś dobrego i mocnego... Wybaczy pani, za chwileczkę wrócę..

Wiadomość o rzekomem postanowieniu ojca, zaskoczyła Tirsę tak niespodzianie, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy z całej wagi słów, wypowiedzianych jakby od niechcenia przez Herbstową. Prawda, że ojciec ostatniemi czasy mało przebywał w domu. Ciągle gdzieś przesiadywał w mieście na jakichś naradach, wracał późno do domu, wyjeżdżał. W domu odwiedzali go różnego rodzaju ludzie i niechcąco słyszała urywki rozmów, z których wnosiła, iż chodzi o interesa.

Z drugiej zaś strony nie mogła uwierzyć, by ojciec postanawiał w sprawie decydującej o ich wzajemnym losie bez powiadomienia jej i zapytania o jej zdanie. Wszak decydując o pozostaniu, nie mógł polegać na wyrażonej przez nią przed wyjazdem woli opuszczenia na zawsze Wiednia... Czyż podczas owej rozstrzygającej rozmowy na ławce w Praterze, nie zastrzegli sobie wzajemnej, dobrowolnej zgody na ewentualne pozostanie w Palestynie?!... Wprawdzie ulegając prośbie ojca, zgodziła się na zatrzymanie mieszkania we Wiedniu... „na wszelki wypadek“, jak się ojciec wyrażał... Ale czy z tego można było wnosić, iż postanowiła ostatecznie? Nie! To niemożliwe. Ojciec nie decydowałby bez niej. Prawdopodobnie Muszka zasłyszała coś, z czego zrobiła fakt dokonany...

Gdy więc Herbstowa wróciła do pokoju, trzymając w ręce tacę z likierem i ciastkami, Tirsa na domagające się pytanie: — „A więc?“, oświadczyła, wzruszając ramionami:

— Nic o tem postanowieniu mego ojca nie wiem... Kto to pani opowiadał?

http://rcin.org.pl

— Najpierw napijemy się na zdrowie; następnie trącimy się na bruderszaft, a w końcu powtórzymy na powodzenie zakładającej się fabryki... Skąd ja to wiem?... Nie, coś takiego! Wiesz kochana Tirso, skąd ja tyle mam wiadomości i dlaczego ludzie przychodzą do mnie i proszą się, bym ich wysłuchała?... Ot, poprostu dlatego, że ja nigdy pod żadnym warunkiem nie zdradzę, od kogo dana wiadomość pochodzi... Jakkolwiek więc dopiero przed chwileczką wypiłyśmy na wieczystą przyjaźń, to — nie gniewaj się... Ale ostatecznie, to zupełnie jest podrzędnem, kto mi o tem doniósł. Grunt, że pozostajecie i że ty i twoje kochane psisko będziecie tu do mnie często, bardzo często zachodzić. Czy tak? Bo Muszka was bardzo lubi, a dla ciebie, kochana Tirso, ma szczególny kult, tak jakgdyby cię znała i kochała od wielu, wielu lat...

REWIZYTA.

Obudziwszy się rano z głębokiego snu, nie mogła się Tirsa zrazu zorjentować, gdzie się właściwie znajduje. Dwa miesiące spędzone poza Wiedniem zgasły w pamięci, jak krajobraz, widziany z pędzącego pociągu. Wydało się jej, że leży w swem dawnem łóżku i gdy tylko się obróci, zobaczy przez okno umieszczone w narożnym wykuszu — chropowate wieże Votivkirche, usłyszy dzwonki tramwaju, skręcającego około uniwersyteckiego budynku, a na stoliku stać będzie zimna kawa z kożuszkiem, przygotowana przez kochaną, wierną Elzę...

Gdy obróciła się ku światłu, dziwnym się jej wydał ten niski, gładki sufit. Brakło ukochanych drze-

http://rcin.org.pl

worytów na ścianie, brakło szafki z książkami; obcemi jej były i ta kamienna, dywanami nienakryta posadzka i to, w samym środku niskiej ściany umieszczone, trójdziałowe okno... Cóż to znowu?... Gdzie ona jest?... Ta cisza... Ach, prawda! Przecież to Palestyna, Jerozolima, Talpjot... Dziwne, jak człowiekowi sen odbiera pamięć i jak to z tego snu wraca się ku życiu, jakgdyby z długiej wędrówki po obcym świecie.

— Wstałeś już leniuchu?... Dzień dobry ci... No, dość już pieszczochu!...

Wymawiając z uśmiechem powyższe słowa nagany, zepchnęła Tirsa przednie łapy Hektora z łóżka, obtarła oblizaną przez psa rękę o prześcieradło i spojrzawszy na zegarek, postanowiła wstać. Kładąc jednak zegarek na stoliku, zauważyła ćwiartkę papieru, zapisaną wysokiemi kwadratowemi literami:

Droga Tirso! — Przyszedłem wczoraj późno do domu i nie chciałem Cię budzić. Dziś zaś tak smacznie spałaś, że zdecydowałem się pisemnie Cię uwiadomić, iż dziś między pierwszą a drugą, z wszelką pewnością będę w domu. Przygotuj więc i dla mnie obiad i nie odchodź. Pieniądze są w wiadomem Ci miejscu... Pa! Twój ojciec.

Wobec tego, niema się co spieszyć — pomyślała Tirsa, przeczytawszy kartkę... Odrzuciła kołdrę, nakryła się prześcieradłem i ująwszy kłapciaste ucho Hektora w rękę, ułożyła się na prawym boku. Myśl wróciła do wydarzeń dnia wczorajszego i mimowoli zatrzymała się na owem silnem wrażeniu, wywołanem wiadomością o założeniu fabryki przez ojca.

Nagle z pośród innych szczegółów, jakby rozbłysk światła, wyłoniło się przejrzyste zrozumienie. Ach, to

http://rcin.org.pl

dlatego... Tirsa napróżno siliła się zrozumieć, dlaczego Herbstowa cieszyła się decyzją ojca pozostania na stałe w Palestynie, a równocześnie w przeczulonych słowach wyrażała swe współczucie z racji jej rzekomego samotnego trybu życia. Teraz rozumiała: Herbstowa rozczulała się nad sobą, nad losem żony, którą mąż ostentacyjnie zaniedbywał. Czekały przecież trzy godziny, a Herbsta jak nie było, tak nie było. Nawet już goście Herbstów wrócili, a on poza domem, wbrew danemu Muszce słowu, chodził własnemi, bardzo podejrzanemi drogami...

A więc Herbstowa przecież miała rację, a przynajmniej musi być coś na rzeczy, jeżeli ojciec tak poważnie się zapowiada na obiad... Co to dzisiaj... Czwartek?... Z pewnością będzie list od Karola... Co on teraz robi? Znów o nim cały wczorajszy dzień zupełnie nie myślała... Czem się to tłómaczy? Czy nawałem nowych wrażeń? Czy nowem środowiskiem?... A może przyjdzie list i od ciotki Toni? Znów prawdopodobnie nalegania, by wracać... A może Leja wie coś bliższego?!

Lecz i Leja nie otrzymała żadnych wskazówek, któreby w czemkolwiek wyjaśniały słowa ojca. Gdy ojciec Tirsy wrócił, Leja już spała, a gdy rano z domu wychodził, była w mieście po zakupy na piątek i sobotę... Przygotować obiad również i dla pana?... — Owszem, zrobi się. Kupiła kurę u Arabki. Zapłaciła trzynaście piastrów, ale kura tłusta, jak burżuj....

Leja zarumieniła się pod wpływem swego obrazowego porównania i szybko wyszła z pokoju Tirsy. Tirsa jednak, domyślając się przyczyny, zawołała Leję zpowrotem i nawpół poważnie, a nawpół żartem poczęła upominać Leję:

http://rcin.org.pl

— Prosiłam cię Lejo już tyle razy, byś nie kupowała kur niezabitych i nieobskubanych... Przecież masz dość roboty i jeszcze to głupie skubanie.. A prócz tego, nie rozumiem, jak może kobieta zdobyć się na zabijanie kury...

— O, wielkie rzeczy. Bęc raz o kamień i sprawa załatwiona. A czy to los nie tłucze człekiem o kamienie! Nad głupią kurą-bym się litowała. A może mam czekać na rzezaka?...

— Słuchaj Lejo, a czy jabłka na kompot są i pamiętaj: trzeba postawić na lód flaszkę piwa dla ojca.

— Wszystko będzie w porządku... Proszę wstać i dać Hektorowi jeść; musi być okropnie głodny. Całą noc nic nie jadł...

Ubierając się, uśmiechała się Tirsa do siebie, myśląc o tej dziwnej przemianie, jaka się zwolna i niepostrzeżenie dokonywała w jej zewnętrznem życiu. We Wiedniu ani razu nie zastanawiała się nad tem, co będzie na obiad, gdzie i kto zakupuje prowianty, co się dzieje w kuchni... Jadła, co jej podała Elza i szła do swoich zajęć. Najwyżej doglądnęła, by obsługaczka nie zapominała należycie obetrzeć prochów z mebli i obrazów. A tu! Nietylko była „panią", zestawiającą „menu", ilekroć ojciec jadał w domu, ale mimochodem, na równi z Leją załamywała ręce nad kiepsko upieczonem ciastem, skarżyła się na trudności w odpowiedniem przysposobieniu tortów i ciastek, gniewała się na oszukańcze praktyki sklepikarza i na równi z Leją marzyła o tem, by kopcący, nieporęczny i niewydajny primus zastąpić wygodnym trójpłomiennym, salonowym „perfection".

Niezadługo — myślała — a prawdopodobnie całkowicie pójdzie w ślady Leji i podparłszy się w bio-

http://rcin.org.pl

drach, będzie się kłóciła z Arabką o dodanie jeszcze jednego strączka kaktusowego „sabrys“...

A może i Leja była dawniej taką samą „panienką“, jak ona. Że też jej dotychczas nie przyszło na myśl o to Leji zapytać... Wykluczonem to nie jest! Czy brat Leji nie studjuje na technice w Pradze?!... Wszak i Leja należy do kwucy. A gros tych dziewcząt — podobnie jak Szoszana — pochodzi z „dobrych domów“ i posiada często wyższe, szkolne wykształcenie!... A czy to, że kuchnia Leji była tak prymitywna, czy to nie świadczyło, że Leja była nowicjuszką w tej dziedzinie? Biedna Leja! Jakież katusze przeżywała ta dziewczyna, ilekroć ojciec jadał w domu! Wszak dopiero przedwczoraj zastała ją w kuchni, zalewającą się łzami, bo: „pan nie jadł pieczeni“.

Swoją drogą, Tirsa nie brała ojcu za złe, a nawet była po części zadowolona, że jadał w mieście. On, taki smakosz, przezwyciężał się, by nie okazać niezadowolenia, ilekroć jadał w domu.

Wogóle była pełna podziwu dla ojca. Ileż ulubionych swych zwyczajów musiał się tu wyrzec! Ani gazety, ani Dianabad, ani owych wspólnych spacerów wokół dawnej siedziby ulubionego przez się cesarza Franciszka Józefa I. Nie mówiąc już o popołudniowym taroku w kawiarni, naprzeciwko Burgerteatru!... A przedewszystkiem...

Co też ta baba pomyślała sobie, gdy się dowiedziała, że ojciec wyjeżdża?... Czy domyśliła się, że to ona, Tirsa, stanęła na przeszkodzie w dojściu do skutku tak zręcznie zadzierżgniętych planów?!... A z drugiej strony: byłoż słusznem przeciwstawić się i nie pozostawić wszystkiego naturalnym kolejom losu! Miałaż Tirsa prawo mieszać się w osobiste sprawy ojca?...

http://rcin.org.pl

Prawo?... Nie! nie przyznawała Karolowi racji. „Patrzeć tylko na to, co jej służy i zwalczać to, co jej może zaszkodzić, a nie troszczyć się o dobro i szczęście innych — bez względu na to, czy ci inni przez to nie ucierpią"... Nie, tej zasady głoszonej przez Karola, ilekroć zastanawiali się nad stosunkiem ojca do tamtej kobiety, ona Tirsa nie podzielała. Ona nie mogła przyznać słuszności tym bezwzględnym, egoistycznym poglądom Karola, poglądom, stanowiącym rdzeń jego charakteru... I to ją stale raziło i zakłócało ich wzajemny stosunek.

Zresztą tu nie chodziło o nią. Wszak Kupfermannowa była w gruncie rzeczy wielkiem niebezpieczeństwem dla ojca... Niewiele starszą była od Tirsy, a nadto bez drobiny inteligencji... Czyż z samej różnicy wieku — ojciec kończy w listopadzie pięćdziesiąt jeden lat — nie wyłoniłoby się pierwej czy później źródło stałych konfliktów? Czy zeszłego roku doktor Hirsch nie odebrał sobie życia z analogicznego powodu? Naturalnie, że w pół roku później Hirschowa ponownie wyszła za mąż!...

A przeszłość tej kobiety przysłonięta tajemnicą! Wszak ciotka Toni stwierdziła, że ta trafika na Rotesturmstrasse była prezentem jednego z dawnych wielbicieli Kupfermannowej, jakiegoś wojennego dorobkiewicza. A czy trafiki prezentuje się za byle co?... Nie byłby się ten hojny dobrodziej zgłaszał i później po spłatę zaciągniętych przez Kupfermannową zobowiązań?... A ten jej synek?... Wszak z rachunku Morgensterna wynikało, że mąż Kupfermannowej nie był ojcem jej syna... Kto był wogóle ten pierwszy, legendarny mąż tej kobiety? Wszak poczciwy Morgenstern

http://rcin.org.pl

przeszperał wszystkie archiwa Ministerstwa wojny i nie znalazł feldfebla o nazwisku: Kupfermann!

Nie, Tirsa nie tylko miała prawo bronić tego harmonijnego stosunku, jaki ją łączył z ojcem i przeciwstawić się całą siłą wtargnięciu tego intruza do ich domu, ale było jej obowiązkiem ustrzec ojca przed tym lekkomyślnym krokiem... Nawet taki stateczny i mądry Morgenstern w całości plan Tirsy aprobował.

Nie rozumiała też swej ciotki i tej nagłej zmiany w jej poglądach na całą tę sprawę. Czyż ciotka swego czasu nie uchwyciła się oburącz planu Tirsy opuszczenia Wiednia, by w ten sposób od jednego zamachu przeciąć stosunek ojca do Kupfermannowej? Czy nie nagliła do szybkiego wyjazdu, nie przekonywała ojca i nie wpływała na jego decyzję?!... A teraz prawie w każdym liście prosi, by wrócić!... Żeby to przynajmniej napisała otwarcie, bez obsłonek i wybiegów: co zaszło i co wpłynęło na ten nowy zwrot. Czy rzeczywiście miarodajną tu była obawa o zdrowie brata i bratanicy?... Jakież śmieszne mieli ludzie we Wiedniu pojęcia o Palestynie! Jakgdyby tu umierano masowo na ulicy od tyfusu i dezynterji... „Czy sobie myje ręce przed jedzeniem?“ „Czy naciera skórę spirytusem“, „czy ojciec zażywa swe pigułki... Na wszelki wypadek posyła gęsi szmalec i suszone grzyby“.... Dobra, dziecinna ciotka Toni...

Czyżby wkońcu zdołała Kupfermannowa i ciotkę oczarować? Czyżby się jej pod nieobecność Tirsy udało uśpić czujność ciotki i swym słodkim uśmiechem pozyskać ją dla swych planów?... Nie! Nie wrócą. Jeżeli ojciec sam doszedł do decyzji pozostania — tem lepiej! Jeżeli nie — postara się mu to wytłómaczyć; postara się przekonać go, iż ich obojga los sprzęgnięty

http://rcin.org.pl

jest na zawsze... Wszak wie, jak łatwo ojca przekonać. Wystarczy tylko jedno słówko: przyspieszenie jej małżeństwa z Karolem. Wszak ojciec wie, że pozostanie w Palestynie jest warunkiem i gwarancją tego małżeństwa. Ona, Tirsa przyjęła chętnie ten warunek i nie widzi przeszkód w jego spełnieniu...

*
* *

Wiedeńskim zwyczajem zakończono obiad czarną kawą. Leja zajęła się myciem naczynia, a ojciec Tirsy, wziąwszy pod pachę świeżo nadeszłą paczkę „Neue Freie Presse"" i „Neues Wiener Journal", wyszedł na taras.

Tirsa nie czekała długo, gdy z tarasu doszedł ją głos ojca: — Teres!

— Zaraz ojcze. Już idę...

Tirsa złożyła obrus, przysunęła do stołu krzesło, obtarła pysk Hektorowi i wziąwszy swą szydełkową robotę, wyszła do ojca na taras.

— Dostałaś dziś list od Karola?... Co pisze?

— Wszystko w porządku. Uczy się do ostatniego rygorozum. Dowiaduje się, czy dostajesz regularnie gazety i każe cię ucałować. A co pisze ciotka do ciebie, ojcze?

— Ot, masz jej list, przeczytaj. Jak zwykle — żąda, byśmy wrócili... Co ty Teres na to?

Tirsa rozmyślnie nie odpowiedziała na to pytanie ojca, lecz uważnie poczęła czytać list ciotki Toni, z trudem odcyfrowując słowa pisane, jak zwykle, gotyckiemi literami. Czytając, nie uświadomiała sobie jednak treści zdań, gdyż słuchała równocześnie ojca. Zapatrzywszy się w dal, mówił on swym powolnym, melo-

http://rcin.org.pl

dyjnym głosem, nie zwracając uwagi na okoliczność, iż Tirsa zajęta jest czytaniem listu.

— Bo widzisz, moja kochana Teres. Musimy się wreszcie zdecydować: Albo, albo. Albo zostajemy, w takim razie musimy się zabrać do jakichś interesów, gdyż z gotówki żyć stale nie można... A jeżeli wracamy, to niema co zwlekać, bo i moi spólnicy we Wiedniu domagają się jasnego postawienia sprawy... Czy mówisz coś?... Co do mnie, to wiesz, że z twej woli, a po części i na życzenie twej ciotki zgodziłem się na wyjazd... Nie powiem, jakobym był Palestyną zachwycony. Kraj zaniedbany, budzi się dopiero. Lecz jak długo jeszcze będę z wami?... Nie jestem już młody i chciałbym, byście z Karolem byli szczęśliwi... Da Bóg, Karol złoży doktorat, popraktykuje rok we Wiedniu, przyjedzie... Da Bóg, a doczekam się, że się pobierzecie... Wprawdzie to wszystko możnaby mieć i we Wiedniu. Ty twierdzisz jednak, że tam Karol, jako lekarz nie ma przyszłości. Nie wiem. Może masz rację... Antysemityzm po śmierci błogosławionej pamięci cesarza Franciszka Józefa tak się rozpanoszył, iż rzeczywiście dla początkującego lekarza-Żyda trudno... Na prowincji osiąść — to samo, a może jeszcze gorzej... A nadto ja chcę żyć z wami, jak długo jeszcze żyję... Gdyby twoja nieboszczka matka żyła — to co innego...

Tirsa nie reagowała na to ciągłe powoływanie się ojca na starość i śmierć. Było to już jego zwyczajem. Była to właściwość rodziny ojca, tak samo jak charakterystyczną cechą natury ciotki Toni było zalewanie się łzami przy każdej sposobności. Tirsa uznawała jednak moment obecny za stosowny, by rozprószyć swą niepewność co do owej fabryki blachy, o której opowiadała jej wczoraj Muszka.

http://rcin.org.pl

— Czy prawdą jest ojcze, że zakładasz fabrykę w Mocy? Mówiła mi o tem Herbstowa.

— O, właśnie, o tem chciałem mówić z tobą... Nie zakładam, lecz o ilebyśmy się zdecydowali pozostać, nadarza się sposobność przystąpienia za spólnika... Jest to fabryka, wyrabiająca pocynkowane wiadra... Obecny właściciel prowadzi fabrykę na małą skalę — z braku gotówki... Interes ma widoki rozwoju... Trzeba się jednak wziąć doń energicznie... A więc?

— Otóż ojcze, wszystko to, co za opuszczeniem Wiednia przemawiało i przemawia, znasz... I ja nie mogę powiedzieć, jakobym Palestyną była zachwycona. Jedynie Jerozolima mi się podoba i to — pod pewnym względem — bardziej, niż Wiedeń. Zdaje mi się jednak, że z krajem i miastem jest jak z ludźmi: Trzeba poznać, zżyć się, by pokochać...

— Lub — wtrącił ojciec — znienawidzić...

— Może masz ojcze rację. Jedno jednak ci powiem, co po prawdzie mnie samej jeszcze niezupełnie jest jasnem. Otóż ludzie wydają mi się tu inni. Że tak powiem: niecodzienni, nieprzeciętni, głębsi, na wyższe nastawieni cele... Naturalnie nie wszyscy. A prócz tego zdaje mi się, że tu prędzej, niż we Wiedniu mogłabym znaleźć jakieś pole pracy...

— Co przez to rozumiesz, Teres? Chyba nie wstąpienie do jakiejś kwucy, jak ta... jak Rosi Reiter..

— Nie wiem sama jeszcze, gdzie i jak. Ale mam wrażenie, że tu, gdzie — jak sam niejednokrotnie zauważyłeś — niema ludzi niepracujących, musi się i dla twej córki znaleźć możliwość pożyteczniejszego, niż dotychczas spędzania czasu.

— Kochana Teres! Wiesz, że ci dotychczas nigdy niczego nie odmawiałem. Chciałaś na uniwersytet —

http://rcin.org.pl

dobrze... Zmieniłaś medycynę na filozofję — nie oponowałem. Chciałaś później do szkoły przemysłu artystycznego — również się zgodziłem. Wszak byłaś zawsze na tyle rozsądną, że nigdy nie żądałaś rzeczy niemożliwych. Sądzę więc, że i w wyborze tak zwanego przez ciebie pola pracy, będziesz, jak zawsze, moją mądrą, podeszły wiek swego ojca szanującą Teres... Wprawdzie nie widzę powodu, by ta praca była ci tak znowu koniecznie potrzebna. Dopóki twój ojciec żyje — nie potrzebujesz się o nic troszczyć. A po mojej śmierci Karol się tobą zaopiekuje...

Jak zwykle, tak i tym razem Tirsa nie oponowała i nie tłómaczyła. Poco? Ojciec, jak zawsze, tak i teraz, nie zrozumiałby, że ona nie chce być przedmiotem stałej opieki nawet oddanych jej ludzi; że to po części było przyczyną opuszczenia Wiednia.

Ujadanie Hektora, który porwał się z tarasu ku ogrodowej furtce, przeszkodziło dalszej rozmowie.

— O, ktoś do nas idzie... Jakaś dziewczyna — zauważył ojciec.

— A więc, kochana Teres... Domyślam się odpowiedzi. Nie spiesz się jednak z decyzją. Namyśl się. Sprawa jest poważna i należy ją roztropnie traktować. Gdyby tak twoja nieboszczka matka żyła, możnaby się z nią naradzić... Ale tak...

— Dzień dobry panu, panie Lampel. Dzień dobry Tirso... Nie poznaje mię pan? Czy aż tak się zmieniłam?... Jestem Szoszana — ach, przepraszam — Resi Reiter, córka c. k. nadwornego radcy i dostawcy — Hans Reiter, Praterstrasse zehn.

Tu Szoszana zasalutowała po wojskowemu. Tirsa zauważyła, jak twarz ojca, przed chwilą jeszcze zachmurzona myślą o przyszłym ich losie, rozpogodziła

http://rcin.org.pl

się nagle. Pochwyciwszy Szoszanę za rękę, wciągnął ją ze schodów na taras i oglądając ją, mówił wzruszonym głosem:

— Ach, to pani, to ty Resi. Nigdybym pani nie był poznał. Wprawdzie Teres opowiadała mi, że cię tu w Jerozolimie spotkała, ale się tak zmieniłaś, urosłaś... tylko twarz twoja taka...

— Co, zbrzydłam i to bardzo? Prawda, panie Lampel? O, palestyńskie słońce nie zna litości. Lecz mnie już nie zaszkodzi, bo... no przecież Tirsa opowiadała już panu o wszystkiem! A co u pana? Nic pan się nie postarzał. Teraz pan wygląda jak brat Tereski.

— Słuchajno Szoszano, jeżeli to ma być komplimient dla mej osoby, to ci bardzo dziękuję — zastrzegała się Tirsa. — Ale co się stało, że wbrew umowie, nagle do nas przyszłaś?

— Może ci ta moja wizyta nie na rękę, to zaraz odchodzę.

— Ależ głuptasku, przecież wiesz, że się bardzo cieszymy. Zwłaszcza mój ojciec nie mógł się już doczekać, by cię zobaczyć. Prawda ojczulku?

— Prawda, dalibóg szczera prawda Resi... jakże, jakże to się Resi po mężu nazywa?

Tu wszyscy na głos się roześmiali.

— Drogi panie Lampel! Chcąc pana wybawić z tego ciężkiego kłopotu, pozwalam panu nazywać się nadal Resi albo jeszcze lepiej — Szoszana. Mój mąż nosi wprawdzie nazwisko Kleinmann, lecz mnie nie znają pod innem nazwiskiem, jak Szoszana.

— A to dlatego nie mogliśmy się dopytać!... Co wy tu w tej Palestynie wyprawiacie z temi nazwiskami!... Ach, co za szkoda, że muszę już jechać do miasta. No, żegnajcie mi dzieci i bawcie się dobrze... Teres, za-

http://rcin.org.pl

proś Szoszanę z jej mężem na sobotę. Będzie czas, więc pogadamy dokładniej...

Gdy Tirsa i Szoszana pozostały same, Szoszana objęła okiem obszar ziemi, sięgający aż ku Martwemu Morzu i mimowoli zawołała:

— Jaki piękny stąd widok i jak tu u was chłodno! A więc Teresko, jesteś ciekawa, skąd się tu u ciebie wzięłam, chociaż umówiłyśmy się, że ty jutro przyjdziesz do nas... Otóż przychodzę — tylko się nie przestrasz — w dyplomatycznej sprawie...

— O, cóż znowu tak poważnego?

— Nie wiem, droga Teres, czy będąc tak krótko w Palestynie i nie ocierając się o nasze koła, wyznajesz się na tych wszystkich sprawach, które dla nas, ludzi żyjących z zarobku, są rzeczywiście kwestją: być albo nie być. Dla człowieka bowiem, przyjeżdżającego z Wiednia, trudno zrozumieć, że młodzież żydowska musi fizycznie pracować, by miała czem żołądek zapełnić... Ale tak jest i są tacy, którzy twierdzą, że tak być powinno... Jednem słowem i krótko: gdud nasz poszukuje roboty. Wyżywić stu pięćdziesięciu ludzi, to rzecz niełatwa, zwłaszcza tu w Jerozolimie, gdzie, jak ci zapewne wiadomo, drożyzna okropna... Czy możesz sobie Tirso wyobrazić, jaki kocioł zupy trzeba ugotować, by starczyło na tyle żarłocznych gęb! A codziennie nowi się zgłaszają i proszą, by ich do gdudu przyjąć...

— Rozumiem, kochana Szoszano bardzo dobrze, że chcąc jeść, trzeba zarabiać, ale nie zdaję sobie sprawy...

— Jaka w tem twoja rola, czy tak?... Powoli, a zrozumiesz. Prawda, pracy jest dość, ale z drugiej strony istnieje wśród tak zwanych pracodawców, pew-

http://rcin.org.pl

ne uprzedzenie w odniesieniu do naszych ludzi z gdudu. Nie wchodzę w to, czy słusznie czy nie. Ale fakt jest, że takie uprzedzenie istnieje i ludzie z gdudu mogą tylko liczyć na pracę przy domach i na drogach, budowanych przez instytucje narodowe. U prywatnych ludzi prawie że nie pracujemy. Stąd się to bierze, że jesteśmy w ciągłem poszukiwaniu za robotą.

— No, dobrze, ale co...

— Już jestem u celu. Wczoraj dowiedzieli się nasi chłopcy, że ojciec twój zakłada wielką fabrykę...

— Ach, o to chodzi! Teraz już rozumiem.

— Jeszcze nie całkiem, kochana Tirso! Musisz wiedzieć, jeżeli ci mam zdradzić wszystko, że nam, jak każdemu robotnikowi, chodzi o pracę stałą, względnie o zarobek pewny. Bo my — jak to słusznie mój Uri powiada — jesteśmy bataljonem żołnierzy, którego budżet tylko pod względem w y d a t k ó w jest stałym. Wiemy, ile wydamy, a nie wiemy, ile zarobimy.

— Teraz rozumiem. Naturalnie, nie potrzebuję cię zbytnio zapewniać, Szoszano, że dołożę wszelkich starań, by ojciec mój jak najwięcej twych towarzyszy zatrudnił... Jeszcze wprawdzie nic nie jest pewnem...

— Jakto?

— No tak. Ojciec jeszcze nie zakończył pertraktacji co do przystąpienia do spółki i...

— Patrzcie się ludzie! A nasi powiedzieli, że to już zaraz, że trzeba się spieszyć, by z innej strony nas nie uprzedzono. A ja głupia lecę z wywieszonym językiem.

— Nic nie szkodzi, Szoszano. Niczego nie ryzykowałaś. Lepiej wcześniej, niż późno... Pomówię na wszelki wypadek jeszcze dziś z ojcem... Jestem nawet zadowolona, że ta dyplomatyczna misja dała nam spo-

http://rcin.org.pl

sobność spotkać się tu sam na sam. Tu nam nikt nie przeszkodzi.

— Właśnie myślałam sobie to samo. Widzimy się już czwarty raz, a jeszcze nic nie mówiłyśmy ze sobą...

— A więc doskonale! Siadaj sobie na tym oto leżaku. Napijemy się herbaty i pogawędzimy.

Tirsa wróciła po chwili z kuchni, gdzie zamówiła u Leji herbatę i usiadłszy na brzegu tarasu, ujęła Szoszanę za rękę:

— Mam wrażenie, siedząc tu z tobą, Szoszano, i patrząc się tam, na Martwe Morze, że siedzimy jak dawniej na tarasie restauracji na Kahlenbergu i patrzymy na Dunaj... Jak gdyby nic się nie zmieniło i nic nie zaszło w przeciągu tych kilku lat, podczas których się nie widziałyśmy.

— Ja zaś, co do mnie, nie mogę tego powiedzieć. Przez te cztery lata, które tu spędziłam, przeżyłam tyle, że dawne moje życie wydaje mi się, jak gdyby zupełnie nie zawierało treści, jak gdyby je ktoś wymazał z mej pamięci. Często mi się zdaje, gdy tak myślę o Wiedniu, że to ktoś obcy chodził za mnie do szkoły, należał do Blauweissu, chodził do Burgteatru, do Opery, Teatru an der Wien, robił wycieczki... Nieraz muszę użyć całego wysiłku woli i pamięci, by móc z dawnych wspomnień wygrzebać coś godnego uwagi, szczegół lub wypadek, któreby się głębiej zaryły w mej pamięci. Nie wiem, może to te choroby, które przechodziłam, wpłynęły na osłabienie mego mózgu, a może te nagłe przemiany w mem duchowem i fizycznem życiu, ale faktycznie muszę często mojemu Uri'emu przyznać rację, gdy mówi, że składam się z dwóch do siebie nieprzystających połówek niezręcznie przekrojonego jabłka...

http://rcin.org.pl

Tu Szoszana roześmiała się swym dźwięcznym, metalowym, gdzieś w głębi gardła echo budzącym głosem. Śmiech ten urwał się nagle z chwilą pojawienia się Leji. Leja zaś, zobaczywszy Szoszanę, przystanęła i omal że ze zdziwienia nie wypuściła tacy z ręki.

— Jakto, jeżeli się nie mylę, to... — niepewnym, a zarazem zdumionym głosem mówiła Szoszana.

— Tak, to ja — z pewnym odcieniem niechęci uprzedziła Leja dalsze słowa Szoszany, stawiając równocześnie tacę z herbatą na stoliku.

— A cóż ty tu djable rogaty robisz — pytała Szoszana, całując ociągającą się Leję? — Czy wystąpiłaś z Bet Alfy? Nie? Więc czemużeś nie dała znać, że jesteś w Jerozolimie? Jak długo już tu jesteś?

— Miesiąc.

— Co, miesiąc? I nawet ci nie przyszło na myśl do mnie zaglądnąć?! No wiesz, ale to świat się kończy...

Również i dla Tirsy fakt, iż Szoszana i Leja się znają, był niemałą niespodzianką. Wszak nie raz opowiadała Leji o swem spotkaniu z Szoszaną, a Leja ani słówkiem nie zdradziła, że zna Szoszanę. Nie zamierzała jednak żądać wyjaśnień w obecności Szoszany, zwłaszcza, że wyczytała w oczach Leji niedwuznaczne niezadowolenie ze spotkania się z Szoszaną. Prócz tego Leja, ustawiwszy filiżanki, dała krótką, a ogólnikową odpowiedź na wszystkie gorączkowe pytania i wykrzykniki Szoszany:

— Wyjaśnię ci to później. Teraz nie mam czasu. Muszę skończyć sprzątanie. Gdy skończę, przyjdę tu na taras.

Gdy Leja znikła za oszklonemi drzwiami, Tirsa zwróciła się do Szoszany.

http://rcin.org.pl

— Jak widzę, to się znacie z Leją, a ja o tem wcale nie wiedziałam.

— Czy się znamy! Wszak razem jechałyśmy na okręcie z Trjestu. Razem w Hajfie czekałyśmy w obozie emigracyjnym na przydział pracy. Razem tłukłyśmy kamienie na drodze do Rosz Pinah... Czy uwierzysz Tirso, że był to największy lekkoduch na okręcie! A później także. Tak, że ja, mikrus siedemnastoletni, musiałam na nią uważać...

— Dlaczegóż jednak Leja nie mówiła nic o tem, że cię zna?

— O, to już taka jej natura. Czasem otwarta, że niczego nie zachowa, a czasem zatnie się i ani rusz. Przez długi czas nie mogłyśmy od niej wydobyć, skąd pochodzi. Nie chciała zdradzić, że jej rodzice są właścicielami dóbr pod Rzeszowem. Z pewnością i teraz ma równie poważny powód do ukrywania się w Talpjot.

— Nie, Szoszano, coś tu się zdaje być nie w porządku. Mnie powiedziała, że przyjmuje posadę na dwa do trzech miesięcy, bo chce uzbierać nieco pieniędzy dla brata, studjującego w Pradze. Gdyby miała bogatych rodziców, toby...

— O, nie widzę tu żadnej sprzeczności. Przez cztery lata i Rotszyld może stracić majątek... Albo rodzice zubożeli, albo brat się pokłócił z domem. I to bywa... Ale, że Leja się zgodzi pójść na prywatną służbę, tegobym nigdy nie przypuszczała... Lecz dość o Leji! Powiedz mi coś o sobie. O naszych wspólnych znajomych, o Wiedniu, o moich ciągle jeszcze na mnie zagniewanych rodzicach. A przedewszystkiem: co cię skłoniło do przyjazdu i czy prawdą jest, że jesteś zaręczona?

http://rcin.org.pl

— Kto ci o tem mówił?

— Jakto kto! Naturalnie, że Muszka Herbstowa.

— O, cóż to za kobieta! Skądże ona już o tem wie?... Otóż tak. Jestem od roku zaręczona z mym kuzynem Steinem, synem mej ciotki z Galicji. Kończy obecnie medycynę i ma tu za nami przyjechać. A ja tu przyjechałam...

Tu błyskawicznie, pod wpływem nieokreślonego uczucia wstydu i rodzinnej dumy, ustaliło się w umyśle Tirsy postanowienie niewyjawiania przed Szoszaną intymnych spraw, związanych z osobą ojca...

— Więc jakiż był powód waszego przyjazdu?

— Jesteśmy zdania, że Karol, to znaczy mój narzeczony, prędzej będzie mógł jako lekarz utorować sobie tu drogę, niż we Wiedniu. A prócz tego przyznam ci się, iż mimo rzetelne z mej strony wysiłki, nie mogłam w żaden sposób znaleźć upodobania w tem opętańczem życiu, które rozpoczęło się we Wiedniu bezpośrednio po twym wyjeździe, a które rychło, niby płomień ogarnęło starych i młodych. Tańce i tylko tańce... Próbowałam w różny sposób zapełnić pustkę, jaka się wokół otwierała wszędzie, gdzie tylko weszłam... Byłam na uniwersytecie, w akademji sztuk pięknych, a nawet rok na kursie pielęgniarek. Nie mogłam jednak nigdzie zagrzać miejsca. Nie uwierzysz, Szoszano, ale często, bardzo często myślałam o tobie, jakkolwiek nic nie pisałaś. Myślałam: może ci źle, a może dobrze. Ale w każdym razie masz cel przed sobą i możesz się zmierzyć, spróbować swych sił, możesz walczyć... Chciałam wyjechać za granicę; gdziekolwiekbądź, byle tylko znaleźć nowe źródło zainteresowania... Ojciec jednak samej nie chciał puścić... Później poznałam bliżej mego kuzyna Karola. Zaręczyliśmy się i uchwaliliśmy...

http://rcin.org.pl

— Ale dlaczego prawie do Palestyny? Wszak nigdy nie byłaś sjonistką... Pamiętam, jak niechętnie odnosiłaś się do nas, Blauweissów, nazywając nasze ćwiczenia zabawą dzieci.

— Nie, sjonistką nie byłam, ani też dziś nią nie jestem. A i mój kuzyn wszystkim innym jest, tylko nie sjonistą...

— Więc?

— Powiedziałam ci przecież przedtem... Po części ogólny prąd emigracyjny, porywający wielu do Palestyny, a następnie nadzieja znalezienia tu, w tym budującym się kraju, chleba.

Tirsa zauważyła, że to suche przedstawienie prozaicznych motywów jej przyjazdu niebardzo przypadło do gustu Szoszanie.

— Słuchaj, kochana Tirso, i nie weź mi tego za złe, jeżeli szczerze, tak jak dawniej, powiem: będzie wam tu trudno. Tu bowiem trzeba przywieźć ze sobą i trzeba mieć stale w zanadrzu wielką porcję ideału, by...

— By móc przetrzymać? O, wiem, wiem. Nie jestem przecież dzieckiem. Zdaje mi się jednak, że mus często silniejszy jest, niż ludzka wola lub ideał.

— Jakto mus? Wszak mus ten sami sobie tworzycie.

— I słusznie. A czy ten wasz ideał Szoszano, nie jest-że on również wytworem ludzkiego mózgu?... Zresztą poco zastanawiać się nad tem, jak będzie... Będziemy żyli, jak się da i zobaczymy...

— A jak się powodzi twej ciotce, Toni Schmerz? Jak ona odnosi się do waszego wyjazdu?

— O, pamiętasz ją jeszcze?!

http://rcin.org.pl

— Doskonale. Przypominasz sobie Tirso te nasze herbatki sobotnie w tych dwóch małych pokoikach na drugiem piętrze na Alserstrasse ze świeżo pieczonemi pączkami i pomarańczowemi konfiturami? O widzę, jak wtedy, na ścianie skrzyżowane szable nieboszczyka twego wujka i liczne jego fotografje... Czy ciotka Toni popłakuje jeszcze tak, jak dawniej?

— Naturalnie. Przypuszczam, że jeszcze dziś, dwa miesiące po naszym wyjeździe nie osuszyła łez z oczu. No, ale trudno, człowiek...

Tu nagle Szoszana podskoczyła na krześle, jak gdyby ją ktoś ukłuł.

— O, Tirso droga, przepraszam cię, że ci przerywam, ale o mało co, a byłabym zapomniała. Czy byłaś wczoraj z Herbstową w kinie?.. Nie?... Co ty nie mówisz!... A to ci chłop ma szczęście... Gdyby was był tak spotkał!... Przedstaw sobie, że spacerując wczoraj całą gromadą po ulicy Jafskiej, wpadło mi na myśl zobaczyć się z tobą... Czekam więc przed kinem i czekam, aż tu nagle sunie pan doktor Herbst z tą lekarką z Tel-Awiwu, którą poznałyśmy na wycieczce do Morza Martwego. I co ty na to?

— A, teraz dopiero rozumiem, dlaczego napróżno, czekałyśmy z Muszką do godziny dziesiątej wieczór w domu. Muszka ani kolacji jeść nie chciała... A to ci sztuka ten Herbst!... Miałaś rację, mówiąc, że Muszka jest biedna.

— Dobrze jej tak; poco się daje teroryzować! Jabym takiego pana nauczyła! Oczy-bym mu wydrapała.

— Ho, ho! A to się z ciebie, Szoszano, zrobiła Xantypa. Nie zazdroszczę twemu Urjemu.

— Źle mię rozumiesz — tłómaczyła, śmiejąc się Szoszana. — W rzeczywistości bowiem uważam, że to,

http://rcin.org.pl

co wy nazywacie małżeństwem, że to trwać może i bez miłości. Ale małżeństwo, nie polegające na porozumieniu, co najmniej na tolerancji, na wzajemnem poszanowaniu — takie małżeństwo djabła warte... To już lepiej iść do klasztoru lub do kwucat-poalot *)...

— Może masz rację, Szoszano. Ale jeżeli chodzi o Herbstową, to odniosłam wrażenie, że ona kocha swego męża miłością kobiety, w której uczucie wywodzi się ze serca, a nie z rozumu... Wie, że mąż gotów ją w każdej chwili i byle z kim zdradzić... Cierpi, lecz, jak wiele kobiet, nie ma siły, by się go wyrzec.

— E, daj mi pokój! Nie lubię ślamazarnych bab, co ani za centa nie mają poszanowania własnej godności.

— Wybacz Szoszano. Ja bo wprawdzie ani w małżeństwie, ani w miłości nie jestem zbytnio doświadczona, ale zdaje mi się, że tam, gdzie w rachubę wchodzi rzeczywista miłość, czyli uczucie, wypływające z instynktu i krwi, tam trudno mem zdaniem, żądać tego, co ty nazywasz poszanowaniem własnej godności.

— Nie! — żywo zaprotestowała Szoszana — nie zgadzam się z tobą.

— O, co do tego, jak widzę, obie nie zmieniłyśmy się wielce. Wszak i we Wiedniu nie zgadzałyśmy się, kłóciłyśmy się, przepraszały i żyły...

— W serdecznej przyjaźni, co daj Boże i nadal — dokończyła, śmiejąc się Szoszana...

---

*) Kwucat poalot — osiedle robotnicze kobiet.

http://rcin.org.pl

W GDUDZIE

Już słońce miało się ku zachodowi, gdy Tirsa znów się znalazła w skromnym pokoiku Szoszany. Rozmyślnie ubrała najskromniejszą swą suknię, by zbytnio nie wyróżniać się z pośród tych ludzi, wśród których miała spędzić wieczór. Z zadowoleniem więc stwierdziła, że Szoszana, czy to z okazji nadchodzącej soboty, czy też ze względu na Tirsę, ubrała się odświętnie w ciemno-granatową suknię z wyszywanym na piersi kolorowym, jemenickim ornamentem.

Szoszana przywitała Tirsę słowami:

— O, czy to dla mnie te piękne róże?... Serdecznie ci dziękuję, droga Teres, ale poco to?... Czy przychodzisz sama? A gdzie Leja? Gdzie twój sympatyczny kawaler, Hektor?... Siadaj i opowiadaj...

— Hektora nie zaprosiłaś, a co do Leji... Przedstaw sobie upór tej dziewczyny. Nie chciała za żadną cenę iść. Prosiłam ją i ojciec mój ją namawiał. Uparła się i nie. Przyczyna?... Powiada, że nie ma co ubrać... Inna rzecz, że faktycznie nie grzeszy zbyt bogatą garderobą. Chciałam cię Szoszano właśnie prosić, byś wpłynęła na nią. Mogłaby sobie jedną lub dwie z mych starych sukienek skrócić. Obawiam się sama to jej zaproponować, bo gotowa się obrazić. A do tego u nas w Talpjot wieczory są chłodne, a ona ciągle bez pończoch i w sandałach. Jeszcze się dziewczyna przeziębi... Lecz co słychać u ciebie? Co porabia Zachawa? Gdzie twój Uri?

— Zachawa już śpi, a mój Uri... obraduje... Do kolacji mamy jeszcze kwadrans czasu. możemy więc pogwarzyć... Cóż, mówiłaś z ojcem?

http://rcin.org.pl

— Owszem. Bardzo chętnie się zgodził. A ponieważ ojciec obejmuje administracyjną stronę przedsiębiorstwa, więc nie będzie trudności w przyjęciu waszych ludzi... Ilu? Tego na razie nie wie. Ojciec powiedział, że dopiero po rozglądnięciu się w interesie, a więc przypuszczalnie za miesiąc, będzie mógł dokładnie ustalić ilość ludzi.

— Bardzo ci, kochana Tirso, dziękuję. Nasi chłopcy bardzo się ucieszą. Zwłaszcza teraz...

Tirsa zauważyła, że Szoszana, jak gdyby zagryzła resztę zdania.

— Nie, przed tobą, Tirso, nie mamy powodu ukrywać. Przypuszczam, że i twój ojciec nie zmieni z tego powodu swego postanowienia.

— A co takiego?

— Krótko ci opowiem... Tu w Ratisbon, gdzie nasze baraki się znajdują, należy ziemia do żydowskiego towarzystwa parcelacyjnego. Pojedyncze parcele rozkupili urzędnicy, nauczyciele i drobni kupcy, Żydzi. Musisz także wiedzieć, że wszystkie dotychczasowe domy wybudowali żydowscy robotnicy... Ostatniemi czasy znalazł się jednak między budującymi pewien Frenk. Nie wiesz, co to jest Frenk?... Tak tu zwie się ogólnie wschodnich Żydów, nie przebierających w środkach, jeżeli chodzi o zdobycie majątku... Otóż Frenk ten nie uznaje zasady żydowskiej pracy. Budowę domu rozpoczął najpierw Jemenitami. Gdy zaś Jemenici skończyli rozbijanie skał, przyjął do murowania Arabów. Nawet części robót nie chciał Żydom oddać. Wmieszał się w to rabinat, lecz daremnie: Frenk wyprowadził swą budowę aż pod dach... Otóż przedwczoraj w nocy ktoś połamał na jego budowie schody, zniszczył rusztowanie i uszkodził ściany... Zrobił się

http://rcin.org.pl

z tego powodu huczek. Policja, żandarmerja, śledztwo... Bolszewizm!... O, nie znasz jeszcze tej piosenki... Naturalnie wszyscy huzia na gdud. Wszak my tu najbliżsi i dzięki Bogu mamy opinję awanturników... Całe szczęście, że Arjego nie było... Zaraz byliby go zaaresztowali...

— Którego Arjego?... Czy mego obrońcę?

— Właśnie jego. Jeżeli bowiem gdudników uważa się za rozbójników, to jego ma się za herszta. Jak gdzie ktoś coś zbroi, zawsze i przedewszystkiem czepiają się Arjego. Na szczęście tym razem jeździł z turystami do Damaszku i dopiero wrócił dziś rano... Ale słyszysz?... To dzwonek, wołający na kolację... Musimy iść.

„Dzwonek", wzywający na kolację, był — jak Teresa wkrótce się przekonała — wielką, zardzewiałą obręczą, w którą jedna z dziewcząt uderzała równie zardzewiałą ciesielską klamrą. Wnet też ze wszystkich baraków poczęli wychodzić chłopcy i dziewczęta. Chłopcy w czystych, świeżo wypranych spodenkach i koszulach, w wyglansowanych trzewikach, o przygładzonych odświętnie fryzurach. Również i po stroju dziewcząt widać było, że w gdudzie już w *piątek* wieczór zaczynała się sobota. Przeważnie długie, aż po kostki sięgające, ciemne suknie, zwisające z ramion i nie uwydatniające talji. Pod tem koszula, której jedyną ozdobę stanowiły kołnierz, kończący się kryzą i krótkie, bufiaste rękawy. Żadnej chłopięcej fryzury. U większości w tył gładko zaczesane, na kark opadające włosy, spięte grzebieniem. Wszystko ubrane jednolicie, jak w klasztorze.

Gdy Tirsa z Szoszaną usiadły na ławce w baraku jadalnym, sala rozbrzmiewała już głosami licznie ze-

http://rcin.org.pl

branej młodzieży. Z nieoszalowanych belek dachowego wiązania zwisała na żelaznej lince lampa Lux. Wiatr, rzucający się na ludzi poprzez otwarte drzwi i porozbijane szyby, uderzał wykoszlawionemi kwaterami o ściany, kołysał lampą, poniewierając cieniami po twardej, z ziemi zbitej podłodze.

Chłopcy i dziewczęta spacerowali w pośrodku sali, rozmawiając albo po hebrajsku albo też i to przeważnie, po rosyjsku. Co zaś szczególnie Tirsę uderzało, to ten swobodny stosunek chłopców do dziewcząt. Widziała pary i trójki, spacerujące po baraku — chłopiec i dwie dziewczyny, albo też dwóch chłopców i jedna dziewczyna — ujęci pod ramię, lub ponad biodrami... Co za indywidualne twarze! Nie można nad niemi przejść do porządku dziennego. Jak w wielkim ogrodzie rozkwitające drzewa: każde o innym układzie gałęzi, o innym kolorze kwiatu, o innej formie swych liści...

I znów, jak już niejednokrotnie podczas swego krótkiego pobytu w Palestynie i rzadkiego zetknięcia się z tym dziwnym światem, zadała sobie Tirsa pytanie: jaki mus fizyczny pchnął tych ludzi z rodzinnego, ciepłego kąta w ten kraj surowy, w to niewiadome jutro, w to twarde, żadną pieszczotą prymitywnego bodaj komfortu, nieusłane życie?... Jaka siła omamiła dusze tych młodych pionierów rzekomego, szczęśliwszego jutra, że rzucili szkołę, karjerę, rodziców i rodzeństwo, że samotni stanęli na pustynnej przełęczy dwóch epok i mimo wszystko, wbrew niedostatkowi, czują się szczęśliwi...

Szczęśliwi?... A może to tylko sztuczny ogień, dobywający się ze spalających się rychło fajerwerków?! A jeżeli tak, to skądże ta niefrasobliwa radość, te na-

http://rcin.org.pl

turalne wybuchy śmiechu i ta gromka pieśń, porywająca się z nad stołów w takt łyżek uderzających o próżne, blaszane talerze?!

— Jedz Teres!... Masz tu łyżkę, nóż i widelec. A nie rób sobie nic z tego, że niema serwetki. Rychło się przekonasz, że i bez tego, jak bez wielu rzeczy, do których się przywykło, żyć można... Chcesz rosołu z ryżem?... Ja, bo się jeszcze nie nauczyłam jeść zup, choć po prawdzie, to tu niema obawy, by człek utył...

Mówiąc to, przysunęła Szoszana wielką jak kocioł misę rosołu, nabrała drewnianą warzechą gorącego, dymiącego płynu i napełniwszy blaszany talerz, podsunęła go Tirsie.

— Co, nie smakuje ci?... Pachnie naftą?... O, to ta nasza święta, jerozolimska woda... Odkażają ją naftą. Mój Uri twierdzi, że nafta jest arabskiego pochodzenia, bo czuć ją nawet po przegotowaniu...

— A gdzie Uri?

— Co, jeszcze się z tobą nie przywitał? A to ci dopiero! Zaraz go tu przyprowadzę.

Patrząc w kierunku, w którym szła Szoszana, by zawołać swego męża, zauważyła Tirsa, iż Uri siedział po przeciwnej stronie baraku. Giestykulując, rozmawiał i jadł, nie troszcząc się zupełnie o to, gdzie się Szoszana znajduje. Wogóle nie było tu przy tych stołach żadnego z góry ustalonego porządku. Każdy siadał, gdzie chciał, względnie gdzie mógł. Ponieważ jedzących było więcej, niż miejsc, więc niektórzy, nabrawszy na talerz grochowej przyprawy zmieszanej z mięsem, stali oparci o ścianę i jedli. Atoli i sposób jedzenia był inny, niż to Tirsa niejednokrotnie u robotników widziała. Jedzenie nie było tu czynnością, na której skupiała się cała uwaga, lecz czemś ubocznem, ko-

http://rcin.org.pl

niecznością, z którą się załatwiano, myśląc o innych sprawach.. Szkoda, że nie rozumiała ich języka... O czem oni mówią? Co ich zajmuje? Co ich pobudza do tego, iż...

— Dobry wieczór, panno Lampel. Przepraszam, ale omawialiśmy ważne, organizacyjne sprawy... Szoszana mi mówi, że pani nasze jedzenie nie smakuje; czuć je podobno naftą?... Co prawda, to prawda. I ja ciągle powiadam naszym kucharkom, by do zupy dolewały perfum, to nie będzie czuć tej przeklętej nafty. Choć po prawdzie, to niema co i naftą gardzić. Przecież i nafta — jak wszystko pożyteczne — z ziemi pochodzi. Jedynie człowiek dopiero po śmierci wraca do ziemi i staje się użytecznym elementem...

— Ej, nie filozofuj tyle. Siadaj tu przy nas i podziękuj Teresie za jej interwencję u pana Lampla — karciła Szoszana swego męża.

— Rzeczywiście, muszę pani podziękować imieniem gdudu... Postaramy się wybrać ludzi najlepszych i jestem przekonany, że nie będzie pani żałowała użyczonej nam protekcji.

— Ojciec wspominał jednak, iż według tego, co widział, praca jest bardzo ciężka i wymaga wielkiej wytrzymałości fizycznej.

— Co do tego, to niema powodu do obawy — wtrąciła Szoszana. — Przypatrz się naszym zuchom. Chłop w chłopa, karki jak u wołów, a ręce jak młoty — tylko gęby — pożal się Boże... Tylko ty Uri wyglądasz, jak kukiełka...

— Ałe i tak ci się spodobałem.

— Mnie? Ani trochę. To tylko Zachawa ma taki kiepski gust, że prawie ciebie wybrała sobie za ojca...

Z ostatniego docinku poczęli się śmiać oboje. Szo-

http://rcin.org.pl

szana czyniła to na swój sposób, perlistą kaskadą, głośno, rozszerzając przytem usta, a mąż jej cicho, spokojnie, ujmująco.

— No, ale wracając do rzeczy: kiedy, proszę pani, mamy się w tej sprawie zgłosić i gdzie? — zwrócił się Uri do Tirsy.

— Powiedziałam już Szoszanie, że przypuszczalnie za miesiąc sprawa dojrzeje tak dalece, by przyjęcie nowych ludzi było aktualne. A wtedy zawiadomię pana przez Szoszanę.

— Doskonale... Proszę wybaczyć... Pójdę podzielić się tą pomyślną wiadomością z członkami komitetu. Oho, już zaczyna się ruchawka...

— Jakto — zapytała Szoszana — wszak miało być jeszcze zebranie?

— Tak, — wyjaśniał siedzący obok Tirsy młodzieniec z narzuconą na ramiona kurtką — ale dziewczęta uparły się, by zaraz rozpocząć tańce, a zebranie odbyć jutro.

— Och, te baby, te baby — westchnął żałośnie Uri.

W międzyczasie poczęli dyżurni pośpiesznie zbierać naczynia ze stołów. Opróżnione zaś stoły przesuwano popod ściany, a na podjum, zajmującem blisko jedną trzecią część baraku, ustawiło się już pierwsze rondo. Pozakładały się już ręce na barki sąsiada, urosły skrzydła u nóg, zamknęło się koło i zakołysało się raz w lewo, raz w prawo... Najpierw wolno i oględnie, a potem coraz szybciej i żywiej. Wyprężył się łańcuch, wyprostowały się ramiona, zwisły w przestrzeni wyzbyte ciężaru ciała i rzuciły się w odmęt szalonej hory *). To milcząco, cicho, bezszelestnie, jak cienie,

*) Hora — taniec palestyńsko-żydowski.

http://rcin.org.pl

to znów głośno, dudniąco, rytmicznie, jak gdyby kto drzewo rąbał, lub armaty po moście jechały.

Gdy zatracał się rytm i poczynały się mieszać kroki, natychmiast z młodych piersi jak huragan buchała pieśń: „*mi iwne hagalil, hagalila hagalil*...". Co chwila ktoś wyrywał się z koła i oblany potem, słaniający się, blady, opadał na ławkę, a przerwany na chwilę łańcuch jeszcze silniej się sprzęgał nowo wstępującemi ogniwami.

Kiedy zaś zmęczenie zamykało usta, podcinało w kolanach nogi, rwało w strzępy zamknięty łańcuch i zdawało się, że już nieodwołalnie rozpadnie się wirujące koło hory, wtedy, w najkrytyczniejszej chwili, wpadała w środek koła czarna, skacząca jak djabeł dziewczyna, z latającemi w powietrzu włosami i dobywając z trzymanych w ustach organek rytm nowej, skocznej melodji, dolewała świeżej smoły do tej żywemi ciałami palącej się pochodni... I znów dudniało podjum, dzwoniły szyby w oknach, latały nogi, zamykały się w rozkoszy oczy, wbijały się w ciało sąsiada palce... Hej, hej — hoj, hoj... *Mi iwne hagalil, hagalila hahagil*...

Takiej szalonej hory Tirsa jeszcze nie widziała. Było w tej horze coś z ekstazy chasydzkiego tańca (tańca, który widziała we Wiedniu na przedstawieniu Dybuka), było coś z beztroskiej zabawy dzieci, a najwięcej z junackiego, ukraińskiego „kozaka". I jakkolwiek Tirsa nigdy nie tańczyła, rzecz dziwna, miała wrażenie, że i ona wplótłszy się w ten korowód sprzężonych ciał, zatańczyłaby bez trudu i bez wstępnych przygotowań zgodnym z resztą tańczących krokiem...

— Któż jest ta czarna, szalona dziewczyna w środku?

http://rcin.org.pl

Gdy Tirsa zwróciła się z tem pytaniem do stojącej obok niej Szoszany, zauważyła ze zdziwieniem, że Szoszana, choć stała na miejscu, cała zagubiła się w tańcu. Tułowiem poddała się ku podjum, ramionami poruszała w takt pieśni, pierś jej się podnosiła i opadała, oczy i policzki gorzały. Atoli nie tylko Szoszana... Wokół siebie widziała Tirsa podrygujące, przyśpiewujące, poklaskujące postacie.

— Ten czarny djabeł z głową Meduzy? to nasz „Kozaczek"... Tak ją tu zwiemy. Po części dlatego, że pochodzi z Ukrainy, a po części także z tego powodu; iż dziewczyna ta ma temperament Kozaka.

— Tak, to prawda — przyznawała Tirsa.

— Jeden z naszych chłopców poznał ją w Tyberji, gdy wychodziła ze szpitala po tyfusie. Wprowadził ją do gdudu. Dziś jest *satatem*...

— Czem powiadasz?

— A no kamieniarzem w spodnicy. Czyli, jak się to po hebrajsku nazywa „satat". Obrabia kamienie na budowie, jak inni kamieniarze i zarabia pół funta dziennie. Stale chodzi w portkach i marzeniem jej jest upodobnić się całkiem do mężczyzny... Chłopcy za nią, jak pszczoły za miodem...

— Między wami zdaje się, że niema człowieka bez historji. Każdy ma coś za sobą; coś przeszedł, coś przeżył, czemś się wyróżnia...

— O, co to, to prawda... Uri również powiada, że każdy z nas jest ilustrowaną kartką nowej, na naszej skórze piszącej się historji żydowskiej. Tylko...

— ...nie każdy stara się o to, by ilustracja była wyraźna, czysta i do tematu odpowiednio przystosowana...

Słowa ostatnie padły z tyłu Szoszany i Tirsy. Gdy

http://rcin.org.pl

Tirsa oglądnęła się za źródłem tego znanego jej skądś głosu, doznała fizycznego uczucia, jak gdyby ktoś przekręcił elektryczny wyłącznik, umieszczony na jej wnętrzu. Prąd przebiegł ją od stóp do głowy. Za nią stał jej mrukliwy towarzysz wycieczki do Morza Martwegy, ryczerz ze „Starego Miasta", szofer Arjeh. Szczupły, wysoki i nieco pochylony, patrzał na nią swemi niebieskiemi oczyma. I o dziwo! Nietylko podał jej rękę, ale raczył się uśmiechnąć i przemówić. Dłoń miał szczupłą; twardą, jakby z samych kości się składającą, o skórze suchej, chropowatej. Długie palce zacisnęły się lekko koło dłoni Tirsy.

— Jesteś nareszcie — nawpół zagniewanym głosem karciła go Szoszana. — Myślałam, że jego dostojność nie raczy nas już dziś zaszczycić swą obecnością. Nawet na kolacji cię nie było!... Gdzie ty się właściwie wałęsasz?

— No, no, nie gniewajcie się matusiu. Już nigdy nie będę. Ślubuję być grzeczny, jak — jak twoja Zachawa.

— Już ja ci dziękuję za taką grzeczność... Idź do kuchni, by ci dali co zjeść i wracaj zaraz do nas.

— Wedle rozkazu, panie komendancie!

Gdy się Arjeh oddalił, Szoszana zwróciła się do Tirsy, wskazując na kąt, utworzony przez ustawione pod ścianą ławki:

— Wiesz co Tirso, siadajmy sobie tam pod oknem. Stamtąd widać tańczących i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Już kilka razy zbierałam się, by spełnić twe życzenie i opowiedzieć ci coś niecoś z historji Arjego, ale zawsze coś stało na przeszkodzie.

— A może ty Szoszano chcesz tańczyć?... Proszę cię, nie przeszkadzaj sobie.

http://rcin.org.pl

— Ale cóż ty sobie, głupiutka Teres, myślisz! Ja, na moje stare lata, tańczyć z tymi warjatami?! Toćby mi wszystkie flaki wytrzęśli... Jak się pomęczą i tempo się umiarkuje, to może... Choć dziś nie mam jakoś ochoty... A więc to, co o nim opowiadał Herbst nad Martwem Morzem — to przeważnie zgodne jest z prawdą. Jak również prawdą jest, że nikt z nas nie zna szczegółów z jego pobytu wśród Beduinów... Więcej domysłów niż faktów. A on przed nikim się nie zwierza, a nawet mnie, którą lubi — tak mi się przynajmniej zdaje — jeszcze ani słowa nie opowiadał. Wogóle jest małomówny.

— Już to zauważyłam.

— Atoli czasem ma chwile, w których jest rozmowny, wprost wylany... Jednem słowem jest dziki, nerwus, ale silny jak stal i to pod każdym względem... To jednak może cię nie interesuje. Wszak jakkolwiek cię znam i wiem, że ty Teresko moja, jesteś inna, niż ci wszyscy goście ciekawscy, przychodzący do nas tak, jak się przychodzi do jakiegoś cyrku lub panoptikum, to przecież przypuszczam, że jego historja więcej cię zajmie, niż opis jego charakteru.

— Owszem, opowiadaj.

— Pochodzi gdzieś z pod Lwowa. Jego ojciec był austrjackim żandarmem. Dwaj jego starsi bracia wychrzcili się i są wysokimi urzędnikami w ministerstwie w Warszawie. Młodszy uciekł do bolszewików, do Rosji. Podobno ma również i siostrę, ale o niej nie chce mówić... On sam jest — jak mój Uri powiada — sjonistycznym bolszewikiem. Wygłasza bowiem zasady, o których jedni mówią, że są dziwaczne, inni, że są słuszne. Ja się tam na tem nie znam.

— Jak słyszałaś, uciekł z domu i po przyjeździe

http://rcin.org.pl

poszedł do Beduinów, z którymi pasł owce i podobno brał czynny udział w ich walkach szczepowych.... Później uczył w Tel-Josef chowu owiec, bił się w Jerozolimie w samoobronie i wstąpił do nas... Wszystkie nasze dziewczęta w nim się kochają. I ja — przyznaję się — durzyłam się w nim przez dłuższy czas, aż poznałam Urjego. Ale on jest jak z kamienia — święty... Są tacy, którzy mówią, że u niego wszystko, a nawet ta odporność na niewiasty, to — poza... Czy ja wiem? Pewnem jest, że między chłopcami ma również wielki mir.

— Cóż to tak na uboczu?... Sekreta, zwierzenia, obmowa? — pytał Uri.

— No, czy skończyłeś nareszcie twe posiedzenia? Nawet gdy mamy gościa, to też nie masz czasu!

— Ależ Szoszano — bronił się Uri — kiedyż nareszcie pozbędziesz się tych atawistycznych nawyczek? Bardzo cenię twoją — a daj Boże — i moją przyjaciółkę, ale bez twej i jej obrazy — cóż to jest „gość“?... Czy musi to być człowiek, którego się chcemy jak najprędzej pozbyć, ponieważ nie chce zrozumieć, że nam przeszkadza!... Zaraz, zaraz. Pozwól, niech skończę... Czyż nie lepiej, jeżeli „gość“ liczy się z interesami gospodarza i nie obraża się, gdy mu się poświęca czas wolny od zwykłych zajęć...

— Całkiem słusznie! Ma pan zupełną rację — oświadczyła, przytakując głową Tirsa. — A zresztą, ani przez chwilę się nie nudziłam. Tu u was jest tak jakoś swojsko, niewymuszenie i swobodnie!

— E, co do tego, to sądzę, że za dużo tej radości — przerwał nadchodzący Arjeh. — Namęczy się brać tańcami, a później przy pracy stęka. Czasby już był, by przestali i szli na spacer, albo spać...

http://rcin.org.pl

— Nie zgrzędź Beduinku — mówiła Szoszana, szturchając Arjego w bok. — Dopiero dziesiąta. Wszak jutro sobota, a co ludzie mają z tego życia, jak nie tę trochę tańca.

— Wiecie co, dzieci? — wmieszał się do rozmowy Uri. — Mam wspaniały pomysł. Dla uczczenia twego, Szoszano, gościa, a i ku naszej przyjemności również, proponuję wycieczkę na mury Starego Miasta... Noc jest księżycowa... Jest tu także Szlomo, nasz nadworny artysta-malarz. Pójdziemy z nim do jego pracowni.

— Wspaniale, bosko... Czasami masz Uri niezłe pomysły. — przyznawała, klaszcząc z radości w ręce Szoszana.

— Cicho! nie wydzierajże się tak, jak wrona, gdy znajdzie gąsienicę... Jak będziesz krzyczała, to wszyscy zechcą z nami iść — karcił swą żonę Uri.

— Masz rację Uri — przyznawał Arjeh. — Jak iść, to tylko małą grupą, bo inaczej będą łazić sobie po piętach... Najwyżej dziesięć osób.

— A więc słuchajcie — projektował w dalszym ciągu Uri. — Wyjdźcie we trójkę przed baraki. Ja tu poszukam za odpowiedniem towarzystwem i przyszlę je za wami. Hasło?

— „Zachawa!" — proponowała Szoszana.

— Ajua *) — zatwierdził Arjeh.

Towarzystwo, zestawione przez Uriego, składało się rzeczywiście z dziesięciu osób. Prócz Tirsy, Szoszany, Arjego i Uriego zjawiło się przed barakami z hasłem: „Zachawa" czterech mężczyzn i dwie kobiety.

Uri przedstawił gremjalnie: to nasz doktor Rubin, to nasz inżynier od maszyn Jakób, to nasz rodzimy

*) Ajua — po arabsku, *dobrze.*

http://rcin.org.pl

wierszokleta Eliezer, to nasz sympatyk Jehuda, a te dwie niewiasty, to Cipora i Wiera. A to, naodwrót: — Panna Tirsa Lampel, doniedawna obywatelka pięknego, naddunajskiego grodu Wiednia, a dziś, i z wolą Pana w niebiesiech i w przyszłości — obywatelka żydowskiej siedziby narodowej... Uf, jakże się zmęczyłem!... Szlomy niestety nie znalazłem. Szymek go widział, jak przed kwadransem wychodził z baraku. Znaczy to, że chłop się ulotnił.

— Nic nie szkodzi, wyciągniemy go z łóżka — oświadczył młodzieniec, zwany inżynierem Jakóbem

— W razie potrzeby obejdzie się i bez niego — dodał Arjeh.

— Nie, nie możemy pominąć jego budy.— upierał się przy swym pierwotnym planie Uri. — A więc: świetne towarzystwo; nogi pod pachę i parami, lub trójkami naprzód! Ja prowadzę, a ty Arjeh zamykaj pochód.

Szli przez układające się do snu ulice Jerozolimy. Gdy Tirsa spojrzała na zegarek, była godzina jedenasta. Gdzieś z daleka dochodził głos bijącego zegara, pianie koguta i ryk osła. Miasto było, jak wymarłe. Sklepy, bazary, okna — pozamykane; światła pogaszone. Jedynie tu i ówdzie szybkim krokiem przesuwali się spóźnieni przechodnie, a płaskie ich cienie załamywały się na ścianach domów, jakgdyby właściciele cieni nie byli z mięsa i kości, lecz z kartonu.

Na rogach ulic rzadkie paliły się lampy, pozostawiając miasto na opiece księżyca, który bez wysiłku jedynem, okrągłem swem okiem wielkie oświetlał przestrzenie. Błądzące światła zjeżdżających z gór automobili obszukiwały okolicę, ogarniając snopem długich, żółtawych promieni pogrążone w mroku przedmioty.

http://rcin.org.pl

Budująca się koło poczty zegarowa wieża błyszczała w poświacie księżyca sinawo-matowem światłem szkła. Na gzymsach domów, na płaskich i pochyłych dachach leżał blask, jakgdyby świeżo opadłego śniegu. Drzewa oliwkowe na stokach gór miały tylko dwa wymiary i wydały się ustawionemi w powietrzu sztychami. Cytadela zaś Dawida sterczała groźnie nad miastem, celując ku księżycowi głowicą swego minaretu.

— Czy prawdą jest — pytał Arjeh idącą obok niego Tirsę — że pani z nami zostaje?

— Tak. Postanowiliśmy pozostać i zamieszkać w Jerozolimie. Słyszał pan prawdopodobnie o zamiarach mego ojca?

— Owszem, mówiono dziś o tem w gdudzie... Jakie to dziwne w tej Palestynie: zamiary i plany jednego człowieka poruszają szerokie warstwy nawet niezainteresowanych bezpośrednio ludzi.

— Może to dlatego, że kraj jest taki mały?

— Po części tak. Ma pani rację. Lecz mnie się często zdaje, że wielką rolę odgrywa tu także i to, że my wszyscy nastawieni jesteśmy na oczekiwanie jakiegoś czynu, na spełnienie się wielkich planów. Chcielibyśmy, by budowano jak najprędzej i jak najwięcej... Wsłuchujemy się poprostu w to, czy nie nadchodzi jakiś człowiek z nadludzką wolą i z miljonami funtów. Oczekujemy tak, jak nasi przodkowie oczekiwali Mesjasza. A jak się później okaże, że ten nowy Mesjasz jest tylko zwykłym bankrutem — rozpaczamy... No, naturalnie, nie mam tu na myśli ojca pani; mówię ogólnie.

— Tak ja też to rozumiem — uspokajała Arjego Tirsa, myśląc równocześnie o tem, jakby z tego nieinteresującego ją w tej chwili tematu przejść do tego,

http://rcin.org.pl

co ją, po szczegółach, zasłyszanych przed chwilą od Szoszany, więcej zajmowało... Cóż to był za człowiek? Jakie nurtowały w nim pobudki?... Dlaczego na przykład, należąc do gdudu, nie pracował jak inni, lecz obrał sobie zawód szofera?

— Pan był niedawno w Damaszku, czy tak?

— Owszem, dopiero dziś rano wróciłem.

— Opowiedz pan, jak to tam, czy bezpiecznie?... Mówią, że częste są napady.

— Bardzo bezpiecznie, to tam nie jest. Niedawno dopiero zabito dwóch francuskich turystów. Obecnie jednak jedzie się pod osłoną wojskową... A dlaczego pani pyta? Czy ma pani może zamiar jechać tam z wycieczką. Nie radziłbym. Druzowie nie respektują płci pięknej.

— A dlaczego pan właśnie obrał sobie tę rutę?

— Nie robię z tego tajemnicy... Do niedawna, kto chciał jechać do Syrji, nie mówiąc już o Damaszku i Bagdadzie, musiał brać auto arabskie, gdyż żydowscy szoferzy nie ważyli się puszczać w tamte strony. A po drugie moi arabscy koledzy — niektórzy celowo, a inni tak poprostu zawodowo — zapominają, że prócz arabskiej Palestyny jest także żydowska.

— Nie rozumiem.

— Była pani już w Emeku?

— Tak, byłam przed miesiącem.

— To, co innego. Są jednak turyści-Żydzi, którzy objechali całą Palestynę, a nie widzieli Emeku, ponieważ ich arabscy szoferzy nie znają, względnie znać nie chcą tej drogi.

— I dlatego pan obrał zawód szofera?

— My, proszę pani, z gdudu musimy wtargnąć we wszystkie gałęzie pracy. Nasi ludzie pracują w osie-

http://rcin.org.pl

dłach i po miastach... Mamy murarzy, krawców, szewców, lekarzy, inżynierów; dlaczegóż-byśmy nie mieli mieć i szoferów... A propos turystów! Przypomniała mi pani zabawną historję... Hej, Szoszano, Rubin, czekajcie! Opowiem wam coś wesołego.

Idący na przedzie przystanęli. Tirsie było to nie na rękę, gdyż — jak się jej zdawało — była na najlepszej drodze do uzyskania informacyj, uchylających nieco rąbek tajemnicy, którą się ten młodzieniec świadomie otaczał.

Na wezwanie Arjego skupiło się całe towarzystwo na obszernej, kamiennej platformie, utworzonej przez płaski, wielkiemi płytami wykładany dach... Tirsa mimowoli zadała sobie pytanie: byłże to świadomy manewr ze strony jej towarzysza; manewr, mający na celu uwolnienie się od dalszych jej pytań, a może i od — jej towarzystwa?

— Otóż słuchajcie, co mi się przytrafiło przed ostatnią moją jazdą do Damaszku... — opowiadał Arjeh. — Było to dwa tygodnie temu. Stałem przed naszem biurem na ulicy Jafskiej i czekałem na przygodnych gości. Stoję tak i stoję...

— No, sądzę, żeś się już zmęczył tem staniem i możesz opowiadać dalej...

— Nie przerywaj, Uri — skarciła Uriego jedna z dziewcząt.

— Aż tu patrzę, a nasz Moszek — mam na myśli kierownika naszego biura szoferskiego — zaczepił przechodzących dwóch panów i coś z nimi gwarzy. Myślę sobie: może ta coś z tego się zrobi... Przyłączam się i ja do rozmawiających i słyszę, jak Moszek... no, krótko i węzłowato: okazuje się, że są to dwaj turyści-Żydzi, którzy w drodze z Ameryki do Egiptu wstąpili

http://rcin.org.pl

na dwa dni do Palestyny. Otóż Moszek namawia ich, by zwiedzili Tel-Awiw... Czy uwierzycie, że Żydy te nie wiedziały, co to jest Tel-Awiw, skąd się wziął i gdzie się znajduje!... Palestyna — to u nich Jerozolima. Pozatem nie słyszeli ani o Riszon l'Zion, ani o Petach Tikwie, nie mówiąc naturalnie o Daganji lub Bet Alfie! *).

— A cóż, pojechali do Tel-Awiwu? — zapytał ktoś z otoczenia.

— Sam ich obwoziłem. Musieliśmy im zaręczyć, że zobaczą Tel-Awiw, Mikwe Israel i Riszon l'Zion i że wrócą w porę na obiad... Chciałem ich po drodze wysypać, by sobie na całe życie zapamiętali, że byli w żydowskiem mieście, które się zwie Tel-Awiw, ale szkoda mi było auta.

— Cóż, jakże pani znajduje Jerozolimę w tem sztucznem oświetleniu? — z tem obcesowem pytaniem zwrócił się do Tirsy ów młodzieniec o okrągłej, prawie że kobiecej twarzy i zmierzwionej artystycznie grzywie, wskazującej niedwuznacznie na poetyckie powołanie jej właściciela.

— Cudownie! — odpowiedziała w szczerym zachwycie Tirsa.

— Czy te kopuły nie wyglądają, jak ludzkie łysiny, a dachy, jak gdyby pokryte były srebrną blachą! To jednak, proszę pani, jeszcze nic! Proszę sobie bowiem uprzytomnić, że na tem oto miejscu, przed tylu a tylu wiekami stał może król Salomon i patrzał z takim samym, jak my zachwytem w dolinę Kidronu, na zakryte płaszczem nocy wody Siloa, na nieobsiane jeszcze żydowskiemi grobami kamienne zbocza tych tam pagórków i snuł królewskie, mocarne plany rozbudo-

*) Kolonje żydowskie w Palestynie.

http://rcin.org.pl

wy Jerozolimy i swego państwa... Może ten kamień, na którym w tej chwili pani stoi, przetrwał po dzień dzisiejszy jako pozostałość z tej bramy, przez którą żołdacy Tytusa wynieśli stopiętnaście tysięcy poległych żydowskich bohaterów... Może z tego właśnie miejsca i takiej samej księżycowej nocy, a z większem niż my skupieniem, spoglądali na Święte Miasto owi *olej regel,* którzy według Josefusa, w liczbie przeszło dwóch miljonów zbierali się na pesach w świętej Jerozolimie... Jeruszalaim, Jeruszalaim! Kiedyż drugi powstanie ci Nehemia, by twoje rozpadające się mury znów w pięćdziesięciu i dwóch dniach odbudować?!...

— Proszę cię bardzo, nie deklamuj! — przerwał Arjeh zirytowanym głosem improwizacje poety. — To światło księżycowe niedobrze, jak widzę, działa na twe zwoje mózgowe... Stajesz się naprawdę mętnym... Kto ci będzie te mury budował?! Te dziady, co pod Murem Płaczu rękę wyciągają po jałmużnę? Czy może ci cherlacy, te zasuszone szkielety, co oczyma przewracają w bóżnicach Starego Miasta? A może cudu oczekujesz od tych paru zwarjowanych inteligentów, którym się uniwersytetu zachciało, choć jeszcze ani jednej szkoły utrzymać nie są w stanie!... Nehemiasz ci się marzy! Przypatrz się: ile tu kościołów, klasztorów, moszei, i tych na najwyższych szczytach miasta i okolicy pobudowanych kamiennych wieżyc?! Wszystkie strategiczne kunkta obsadzone... Twierdza stracona... Niema się już o co kusić.

— Rzeczywiście, dziwię się — wtrącił się do rozmowy Uri — dziwię się właśnie tobie, Arjeh. Ty, który nigdy nie rezygnujesz. Ty stałe i to tak lekko wyrzekasz się wszystkiego, ilekroć chodzi o Jerozolimę. Czy nie rozumiesz, że Palestyna bez Jerozolimy, to tak,

http://rcin.org.pl

jak źdźbło żyta bez kłosa, jak lampa bez żarówki! Czy nie rozumiesz, że odbudować Palestynę, a nie zdobyć Jerozolimy, to znaczy dokonać połowicznego...

— Znam, znam twoją piosenkę, Uri — mówił podniesionym głosem Arjeh. — Ale ja jeszcze raz powtarzam: jeżeli chcemy mieszkanie gruntownie z pluskiew oczyścić, musimy je siarką wykadzić; jeżeli cię żmija ukąsi, musisz ranę rozpalonym gwoździem pogłębić, o ile chcesz się przed dalszym wpływem jadu zabezpieczyć; gdy się ropa zbiera w jednym palcu, musisz palec odciąć, jeżeli chcesz resztę ocalić... Tak samo i tu: jeżeli chcemy żyć nowem życiem, musimy się bezwzględnie uwolnić od starego. Zniszczyć musimy wszystko to, co czuć golusem i gettem, stęchlizną, rabinami, jeszywą, talmudem, cherlactwem, chaluką!... W ten tylko bowiem sposób uwolnimy się od kul, co nam ciążą u nóg... Dlatego też powiadam: powinniśmy się modlić gorąco i to codziennie, by przyszła zaraza na Jerozolimę, by zmiotła to robactwo bez śladu, by...

— Człowieku! — zawołała przerażona Wiera, chwytając przytem Arjego za rękę. — Przecież, jak przyjdzie zaraza do Jerozolimy, to i nasz gdud zginie.

To przejęcie się Wiery słowami Arjego i ten szczery ton przerażenia w jej głosie, wywołały ogólny śmiech i rozwiały ów poważny nastrój, jaki się wytworzył na skutek dorywczej dyskusji. Atoli Tirsa wyczuła w tych odruchowych, gwałtownych, gromiących słowach Arjego krzyk głęboko zranionej i krwią serdecznego bólu ociekającej duszy. W głosie Arjego było tyle wewnętrznej prawdy, tyle groźnego echa toczącej się we wnętrzu walki, a zarazem tyle niewymówionych symptomów nieznanej Tirsie tragedji, że Tirsę ogarnęło uczucie nagłej sympatji ku temu człowiekowi,

http://rcin.org.pl

przeciwstawiającemu się ogólnie przyjętym poglądom. Tirsa odczuwała ogromną ochotę wyrażenia swej zgody na wygłoszoną przez Arjego teorję.

Atoli słowa Wiery i śmiech towarzystwa w dziwny sposób podziałały na Arjego. Zerwał się w sobie, zagryzł wargi i nie troszcząc się o postępującą za nim resztę towarzystwa, począł zwolna schodzić w dół po kamiennych stopniach.

Wtem nagle Wiera poczęła krzyczeć piszczącym głosem:

— Nie, ja nie idę dalej... Tu są szczury.

— Ależ głupia dziewczyno — skarcił ją ojcowskim tonem Uri — właśnie dlatego, że *tu* są szczury, trzeba iść dalej, *tam*, gdzie ich niema...

— Albo — dokończył inżynier — gdzie ich będzie więcej.

— Nie, ja nie chcę; — upierała się Wiera — ja się boję.

— Ale co, — zawołał doktor Rubin — ja biorę pod jedno ramię, a ty Kuba bierz pod drugie.

Po tym zabiegu Wiera dziwnie prędko się uspokoiła, a Uri zakończył epizod uwagą:

— Dziwne są te kobiety. By się uczepić dwóch mężczyzn na raz, muszą sobie szczura wezwać na pomoc.

Schodzili w dół, wychodzili w górę, szli prosto i zygzakiem na skraju stromo w dół opadającego muru. Mijali podwórza ciasne i mroczne jak wnętrza szaf. Przełazili przez niskie, żelazne bramy. Zaglądali w słabo oświetlone okna mieszkań podobnych do wielkich piekarskich pieców, aż wreszcie Uri, idący przodem, zawołał:

— Ostrożnie, jesteśmy na miejscu.

http://rcin.org.pl

Towarzystwo stało przed półokrągłym wejściem, ozdobionem kamiennym portalem. Portal ten zamykał otwór lochu, względnie obszernej jaskini. Środkowa część portalu zabita była deskami. W deski te zapukał Uri pięścią. Po dłuższem czekaniu zauważyli zebrani wychylającą się poprzez małe okienko łysą głowę. Na stojących przed drzwiami padł mdławy snop światła z podniesionej ku górze lampy naftowej.

— A kogóż to nocą prowadzą losy w moje malarskie progi?... Cóż to, jak widzę, przewielebni wodzowie gdudu napaść urządzają na biednego artystę!

— No, no. Nie mamrocz, tylko otwieraj — napierał Uri na przecierającego wciąż jeszcze oczy malarza.

— Zaraz, zaraz. Jak widzę, to i dziewuszki są tu z wami. Pozwólcie, że uzupełnię wpierw garderobę, a później...

— Idźże już wstrętny pędzelniku i nie gardłuj tyle.

Za chwilę malarz, ubrany w kolorowy, farbami upstrzony szlafrok, zapraszał gości głębokim gestem prawej ręki:

— Czem chata biedna, tem rada..

— A może rzeczywiście coś masz, ty pustelniku? — pytała Szoszana. — Chętnie napilibyśmy się czegoś.

— Wódki i wina niema, ale jeżeli u mego gospodarza jest jeszcze w dzbanie woda, to ściągnę i nagotujemy herbaty... Tylko z cukrem kiepsko.

— Nic nie szkodzi. Będziemy przygryzać.

Tirsa z ciekawością rozglądała się po tej oryginalnej malarskiej pracowni. Była to obszerna, jakby w skale wykuta izba, nakryta wysokiem sklepieniem.

http://rcin.org.pl

Tylna ściana przechodziła w nyżę, w której stała drewniana prycza malarza, zasłana prześcieradłem i płaszczem. Lampa, ustawiona we wnęce okratowanego okna, słabem świeciła światłem, tak, iż tylko domyślać się było można stojących w rulonach pod ścianami obrazów, rozpiętych na sztalugach płócien, ustawionych na półkach dzbanów i gipsowych figur, oraz wiszącej na ścianie zbroji.

W rogu obok drzwi leżał stos sporządzonych z kartonu sześcianów. Ze stosu tego wyrastała potężna, aż pod sklepienie sięgająca ściana, przedzielona kolumnami, dźwigającemi ciężki architraw.

Całe towarzystwo poczęło z uwagą oglądać tę ścianę.

— Dalibóg, — prawie że równocześnie zawołali doktór i inżynier — toż to całe zbudowane z papieru. Cóż to ten Szlomo wyrabia?!... Bawi się, jak dziecko, pudełkami.

Tirsa chciała wyrazić swój domysł, gdy wtem wrócił malarz i niosąc w obu rękach gliniane dzbanki, począł krzyczeć:

— O, la Boga! Uważajcie! Zwalicie mi zamek Holofernesa! Bardzo was i usilnie proszę, nie kręćcie się tu, jak świnie po chlewie.

— Druga tylko część twego porównania — zauważyła, jakby obrażona Wiera — jest trafna.

— Przepraszam was piękne panie za to, jak na Żyda, nieklasyczne i niewłaściwe porównanie... Ale siadajcie, proszę, na tych małych taboretach, a wy chłopcy na ścianach, albo na sklepieniu, tylko nie na obrazach... Szoszano i ty Wiero — gotujcie herbatę. Tu jest to, co się zwać zwykło herbatą, a co ewentualnie użyć można i za tytoń. Tu zaś są resztki cukru.

http://rcin.org.pl

— Słuchajno, Szlomo — interpelował Uri malarza — co to ty tu budujesz za twierdzę?

— Jest to, moi drodzy, najnowszy, jeżeli chodzi o Palestynę, sposób budowania teatralnych dekoracyj. Widzicie tę kostkę? To jest sześcian, sporządzony z drutu i oblepiony papierem. Musicie wiedzieć, że już Keppler uważał sześcian za najdoskonalszy i najważniejszy element, gdyż jak twierdził, jest on najbardziej pojedynczą bryłą, ograniczoną wyłącznie prostemi linjami. Prócz tego wyrasta w przeciwieństwie do elipsoidu i do kuli z własnej podstawy.

— Gadaj mniej uczenie, a do rzeczy — upominała z ponad primusu Szoszana.

— A teraz proszę patrzeć: biorę i kładę kilka takich luźnych pudełek jedno na drugie i naturalnie nie stąd, ale z należytego oddalenia, z przyćmionej widowni odnosi naiwny widz złudzenie, że patrzy na monumentalne, potężne łomy cytadeli Dawida. Czy nie tak?... Jeżeli zaś jeszcze rzucę na to całą rzekę różnokolorowego światła elektrycznego, będziecie mieli, to znaczy mielibyście, wrażenie, że to nie kolumny z papieru, ustawione ręką marnego jerozolimskiego adepta sztuki, ale owe potężne, jakby ręką giganta ciosane, marmurowe słupy, któremi wstrząsał Saul nad głowami Filistynów.

Pod wpływem słów malarza całe towarzystwo pogrążyło się na chwilę w rozważaniu poruszonego problemu. Wkrótce jednak z różnych stron posypały się sprzeciwy, wyłoniły się wątpliwości, odezwały się głosy uznania. Potoczyła się rozmowa na temat nowych środków scenicznej ekspresji, na temat wpływu kina na teatr i na temat przemian, jakie na skutek filmu dojrzewały w sposobie ujmowania i trawienia artystycz-

http://rcin.org.pl

nych wrażeń. Z ogólnego tematu przeszła dyskusja na senzacyjne sukcesy moskiewskiej Habimy, na próbne kroki hebrajskiego teatru w Palestynie i niepowodzenia spowodowane wzajemną konkurencją zawistnych reżyserów.

Wiele szczegółów z tej nader interesującej dyskusji, w której prawie że wyłącznie brali udział mężczyźni, usuwało się z pod świadomości Tirsy, trudno orjentującej się w rozmowie, prowadzonej w różnych żydowskich djalektach.

Ogólną burzę wywołał doktor Rubin, twierdząc, że gdyby klerykali i hebrajska burżuazja nie upierali się przy swych reakcyjnych żądaniach wyłączności hebrajskiego języka, zwyciężyłby sjonizm już dawno na całej linji.

Burza, wywołana tezą doktora Rubina, przeszła w gwałtowny spór językowy, w kłótnię, podczas której znane już Tirsie hebrajskie słowo *„niwzut“* *), powtarzało się w różnych intonacjach... Aż wreszcie Szoszana, ująwszy metalową tacę, poczęła tak silnie dzwonić nią o wystający ze ściany kamień, iż wszyscy, chcąc nie chcąc, zamilkli.

— No, dzieci, dość na dzisiaj... Czas wracać. Już wpół do pierwszej... Dziękujemy ci Szlomo za twą świetną herbatę i szczodrą gościnę... Szkoda, że nie możesz nam pokazać swych nowych rzeczy... Przyjdziemy tu wkrótce, w dzień... Szalom!

Gdy towarzystwo znalazło się w powrotnej drodze na murach, księżyc zdołał już obejść spory kawał nieba. Wisiał nad sterczącemi groźnie w górę skrzydłami młyna Montefiore. W niebieskiem, przez księżyc zaoranem polu, błyszczały miljardy złotawych kamieni. Tir-

*) Niwzut — po hebrajsku *„podłość“*.

http://rcin.org.pl

sie zaś się wydało, że powietrze jest bardziej czerstwe, krzepkie i świeże, niż zazwyczaj. Idąc obok Szoszany, myślała o tem, iż chcąc się znaleźć wśród tych ludzi, obcych jej językiem, kręgiem interesów i światopoglądem, musi jak najprędzej wyuczyć się hebrajskiego. Było jej niewymownie przykro, ilekroć otoczenie Szoszany zmuszało się dla niej do języka żydowskiego, którym ona sama nie władała wcale, rozumiejąc też jedynie język żydowski tych ludzi, do których wymowy przywykła. Jeżeli więc miała wśród tych ludzi nadal żyć, — a to było już postanowionem — nie było co zwlekać... A gdyby się tak zwrócić do Arjego o lekcje? Nim jednak myśl tę do końca przemyślała, już w połowie drogi przyszła refleksja: co za śmieszny pomysł! Dlaczego i poco wogóle czepia się ona tego dziwnego człowieka! Jak można wogóle wpaść na taki pomysł! Szofer, jako nauczyciel języka! Tu Tirsa mimowoli się roześmiała, tak, iż idąca obok niej Szoszana zapytała:

— Co ci się, Tirso, wydaje tak śmiesznem?

— Przypomniałam sobie pewne wydarzenie — odpowiedziała Tirsa wymijająco. — Ale słuchaj Szoszano. Mam do ciebie prośbę: może wiesz o jakimś nauczycielu języka hebrajskiego?

— Dla kogo? Dla ciebie?... Czy rzeczywiście masz zamiar?

— Ależ to zupełnie naturalne, skoro zostaję.

— Nie jest to znowu tak naturalnem — wtrącił się do rozmowy, idący w następnej parze Uri. — Są tu ludzie, mieszkający pięć i dziesięć lat, a wcale nie odczuwają potrzeby porozumiewania się językiem hebrajskim... Wszak słyszała pani przed chwilą... Ale jeżeli chodzi o nauczyciela dla pani, poszukamy, poszukamy... Nie! Już jest!

http://rcin.org.pl

Tu zwrócił się Uri do Szoszany i po krótkiej hebrajskiej wymianie słów, oświadczył Tirsie:

— Przyślemy go pani jutro. O której porze najstosowniej?

— Po południu, między trzecią a czwartą.

— Świetnie! Proszę się jednak nie zrażać zewnętrznym wyglądem swego przyszłego nauczyciela.. A co do zapłaty, to najlepiej będzie, jeżeli załatwi to pani z Szoszaną.

Gdy Tirsa, zdziwiona tą ostatnią uwagą Uriego, zwróciła się niemem pytaniem w stronę Szoszany, ta wzruszając ramionami, tłómaczyła:

— Uri nigdy nie mówi wyraźnie, tak i tak. Zawsze albo filozofuje, albo mówi zagadkowo. Uri myśli, byś się nie układała ze swym nauczycielem co do wynagrodzenia, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, człowiek ten, którego zapewnie po bliższem poznaniu polubisz, jest tak niezaradny, iżbyś się z nim, co do jego honorarjum nigdy nie dogadała. Pamiętasz naszego profesora rachunków?... Jakże się to on nazywał...

— Rupp.

— A właśnie, drugi Rupp. Chodzi i mówi, jak gdyby żył na innym świecie. Z nim możesz mówić o wszystkiem: o sztuce, o literaturze, o przyrodzie, tylko nie o pieniądzach. Jest już u nas rok, a nie wiem, czy umie rozróżnić piastra od szylinga. A ponieważ jego honorarjum i tak pójdzie do wspólnej kasy, więc... Ach, wciąż mi się zdaje, że ty Tirso jesteś naszym człowiekiem, to znaczy należysz do gdudu, a co najmniej wyznajesz się w naszych stosunkach...

— Trochę, przypuszczam, już was znam.

— Nie, nie, wcale nas nie znasz, Teres droga. Nie jest to tak łatwo wglądnąć w nasze życie... Pamiętasz,

http://rcin.org.pl

jakeśmy czasem szły za „labę“ do Wienerwaldu? Jakto, brocząc po kostki w leżących na ziemi żółtych, jakby rdzą okrytych liściach, błądziłyśmy, zgubiwszy główną drogę... Często zdawało się, że drzewa się przerzedzają, że już, już, a otworzy się przed nami ścieżka, prowadząca z leśnego gąszczu na główną aleję, a tymczasem było to złudzenie... Tak właśnie i u nas. Nie wiemy jeszcze, dokąd i którędy prowadzi droga... No, ale nie o tem chciałam z tobą mówić. Chciałam ci tylko wytłómaczyć, że my mamy wspólną kasę.

— To przecież wiem.

— Tak, ale przypuszczam, że nie wiesz, iż nasi ludzie, a takich jest wielu, mieszkający poza gdudem i zarabiający nie według normy robotniczej — och, zdaje mi się, że nie wydobędę się z tych obcych ci jeszcze pojęć — to znaczy zarabiający więcej niż osiem £ miesięcznie, że i oni wszystko odprowadzają do wspólnej kasy... Rozumiesz?

— Przyznam się, Szoszano — odpowiedziała, śmiejąc się Tirsa — że nic, a nic nie rozumiem.

— Szoszano, Szoszano, co też to z ciebie za profesor! — naśmiewał się z Szoszany Uri. — Możebyś ty tak chciała pannie Lampel udzielać lekcji języka hebrajskiego?... Otóż pozwoli pani, że ja to wytłómaczę. I tak np. idący za nami z Wierą doktor Rubin jest członkiem gdudu, choć pracuje w Hadassie. Tam pobiera trzydzieści £ miesięcznie. Naturalnie, jako lekarz Hadassy nie może chodzić tak, jak my w rubaszce i bez kapelusza, lub też golić się raz na tydzień. Potrzebne są mu również książki, fachowe miesięczniki i odrębny pokój, w którymby mógł dalej nad sobą pracować. A ponieważ zasady nasze domagają się życia we wspólnocie, domagają się wspólnych dochodów i wydatków,

http://rcin.org.pl

więc to, czego doktór Rubin nie potrzebuje celem należytego wykonywania swego zawodu, to odprowadza do wspólnej kasy gdudu.. Teraz przypuszczam, pani rozumie.

Gdyby Tirsa musiała w tej chwili odpowiedzieć na pytanie Uriego, byłby on prawdopodobnie zdziwiony małą pojętnością swej słuchaczki. Zapewne, to co mówiła Szoszana, co tłómaczył jej Uri, co widziała podczas swych objazdów po osiedlach i podczas dotychczasowych wizyt u Szoszany, to było powierzchownie nietrudnem do ujęcia. Gdy się jednak chciało wniknąć w tajne sprężyny działania tych ludzi, zamykało się wszystko, jak ślimak w skorupie. Gdzie jest — myślała Tirsa — owa wspólnota, o której przed chwilą wspominał Uri! Czyż taki np. doktór Rubin nie mógł jeść i mieszkać w gdudzie, choć był lekarzem Hadassy?! A czy Arjeh nie mieszkał również poza gdudem?! Czyż np. dzisiejsza wycieczka, dokonana w tajemnicy przed resztą tańczącego towarzystwa, nie wskazywała na to, że teorja nie pokrywa się z praktyką? Czyż dobór uczestników wycieczki nie dowodził czegoś wręcz przeciwnego?! Tak, nie ulegało wątpliwości, i tu, tak samo, jak w świecie niegdudowskim, odgrywały główną rolę osobiste sympatje i antypatje, wspólnota wytworzona równym poziomem wykształcenia i upodobania, harmonja i dysharmonja, zapładniane zawiścią, nienawiścią i miłością.

Nie! Życie nie ulegało zmianie nawet w swych zewnętrznych formach. Najwyżej zmieniała się nomenklatura. Ludzie ustawiali inny parawan, a za tym parawanem robili to samo, co dawniej, co przed dziesięciu i tysiącem laty. Gdy Szoszana mówiła — opowiadając jej o swym stosunku do Uriego — „poznali-

http://rcin.org.pl

śmy się, zbliżyliśmy się do siebie, a później zamieszkaliśmy razem", byłaż w tych słowach inna treść niż ta, którą Herbstowa wyraziła zwrotem: „pokochaliśmy się i pobraliśmy się". Brzmiało to wprawdzie inaczej, lecz określało to samo.

— O czem myślisz w tej chwili Teres?

— O czem? O Herbstowej... Tam coraz gorzej. Mam wrażenie, że zbliża się katastrofa.

— Nie, niema obawy. Gdyby bowiem wszystkie familijne lub małżeńskie naprężenia miały się kończyć katastrofą, brakłoby drzewa na trumny.

— Ależ Szoszano, cóż ty znów wygadujesz — strofował Szoszanę Uri — przecież Żydów nie grzebie się w trumnach.

— Nie przeszkadzaj, proszę cię Uri... A zresztą tak Herbstowa, jak i Herbst nie należą do ludzi, co to... rozumiesz mnie Tirso... Pokłócą się i znów się pogodzą, a w najgorszym wypadku — rozwiodą. Widzisz, u nas, gdzie niema tych cywilistycznych ceremonij przy tak zwanem pobieraniu się, niema też odnośnych, nie bardzo apetycznych ceregieli przy rozejściu... Nie zgadzamy się, nie możemy ze sobą żyć — do widzenia i już. Bez wielkich słów, rabinów, sądów, zapisów. Decyzja jest swobodniejsza. Niema obawy, że jak on sobie pójdzie, wypadnie ci z dzieckiem iść na żebry, lub wrócić na łono krzywo patrzącej rodziny.

Miałaż Szoszana rację? Tirsie zdawało się w pierwszej chwili, że tak. Ale wnet z poza tego, na pierwszy rzut oka tak niezawiłego problemu, wyłaniały się całe sploty ubocznych względów... Tak, to prawda: odpadał materjalny moment. Nie było tej obawy o własną przyszłość, obawy, która zmuszała większość kobiet do wiecznego kłamstwa, do znoszenia kapry-

http://rcin.org.pl

sów i seksualnych wybryków mężczyzny, do stłumienia w sobie buntu, łez, nienawiści i pogardy... To był może główny powód, dla którego małżeństwo w wielu wypadkach przemieniało się w niewolnictwo kobiety. Czyż matka Szoszany nie była klasycznym przykładem?...

A czyż u niej samej obawa przed takim właśnie stanem niewolnictwa nie była główną przyczyną odraczania ostatecznego terminu związania się na stałe z Karolem?... On był gwałtowny, a ona bez zawodu i możności ostania się w życiu. Czy można wiedzieć, jak zachowa się Karol, gdy przejdzie pierwszy szał zmysłowego upojenia i jej pozycja (co za słowa w stosunku do Karola!) osłabi się na skutek jego praw do ewentualnego, wspólnego dziecka!

Z drugiej jednak strony, czy ta obopólna łatwość zrzucania ze siebie tego małżeńskiego jarzma nie zamyka drogi do odwrotu, do wyrównania różnicy zdań, wyłaniających się często z błahych spraw codziennego życia, z różnic charakteru i trudności życiowych? Wszak dopiero niedawno opowiadała jej Leja o swej przyjaciółce. Przyjaciółka ta żyła w jednej z kwuc Emeku, jako trzecia z rzędu żona człowieka, którego dwie pierwsze „żony“ tułały się gdzieś po świecie. Nie byłoż to dla nich podwójną katastrofą, psychiczną i ideową: musieć się wyrzec ukochanego człowieka na skutek przejściowego może nieporozumienia, a równocześnie opuścić kwucę! Albo ta druga Leji towarzyszka. Po półrocznym pobycie u swych rodziców w Polsce, wraca do Palestyny. Dowiedziawszy się przy wysiadaniu z okrętu, iż jej „bachur“ żył podczas jej nieobecności z inną, rzuca się w morze... Gdyby i tu celem połączenia się z drugą, po-

http://rcin.org.pl

trzebna była zgoda pierwszej, potrzebny był ten ceremonjał, o którym tak lekceważąco i pogardliwie wyrażała się Szoszana, gdyby był czas wewnętrznego przygotowania się na tę zmianę w życiu — zapewne nie byłoby przyszło do katastrofy...

Chociaż, może i Szoszana ma rację. Może wyjątek stanowią tacy ludzie, co to konflikta życia przypłacają, bo przypłacić muszą, śmiercią.... O, gdzież ona znów zawędrowała swemi głupiemi myślami?!... Co ją to wszystko obchodzi?... Skąd się te myśli wzięły?... Aha, Herbstowa!... Współczuje z nią. Zapewne. Ale, co ona tu może poradzić?... Chociaż, coś trzebaby przecież zrobić! Nie można tak zostawiać kobiety na pastwę losu. Trzebaby może sprowadzić rodziców Herbstowej... Nie żyłoż się tu, w tej Palestynie, jak na jakiejś wyspie po rozbiciu się okrętu! Żadnych wypróbowanych przyjaciół, żadnych krewnych, którzyby mogli pomóc... Jakże szczęśliwą jest ona, że ma przy sobie ojca!... A może zwrócić się do ojca? Wszak on, jak jej wspominał, zna rodziców Herbstowej. Czy zechce interwenjować? Czy wogóle interwencja człowieka bądź co bądź obcego może tu coś pomóc?!

— Szalom, panno Lampel — żegnał się doktor Rubin. — Muszę pani podziękować za piękną wycieczkę.

— Mnie?

— Naturalnie, że pani. Uri nie ruszyłby się ze swego komitetu, gdyby nie konieczność zajęcia się gościem.

Tirsa domyśliła się, że plan wycieczki był pomysłem Szoszany, przeszczepionym uprzednio przez Szoszanę Uriemu. Była też Szoszanie bardzo wdzięczną, tem bardziej, że łącząca się z tem konieczność odpro-

http://rcin.org.pl

wadzenia jej przez towarzystwo Uriego do Talpjot, była bądź co bądź wielkim ciężarem dla ludzi, pracujących fizycznie przez cały tydzień.

W tej jednak chwili, jakby wyczuwając myśli Tirsy, Szoszana zaproponowała:

— Wiecie co, dzieci: tak, jak tu jesteśmy, odprowadzimy tę burżujkę do Talpjot. Noc jest cudną, a jutro sobota. Zgoda?

Z obecnych nikt nie oponował. Nawet Arjeh, idący na samym końcu, nie sprzeciwił się przedłużeniu drogi.

Wyszli już poza miasto, na wzgórze, skąd widać było migocące się światła stacji kolejowej, sterczące miotły cyprysów w niemieckiej kolonji i górę Talpjot, błyszczącą w księżycowej poświacie łysiną swych niezabudowanych jeszcze parcel. Wiera poczęła śpiewać hebrajskie pieśni swym miłym altem, a za nią, wtórując, starało się towarzystwo ożywić ospałe tempo pochodu. Szli rozwiniętą linją poprzez całą szerokość gościńca. Jedynie Arjeh trzymał się konsenkwentnie na uboczu, trwając jak gdyby w rozmyślnem, upornem milczeniu.

Gdy się już zmęczyły gardła, poczęto gremjalnie omawiać owe gorączkowe przygotowania z okazji uroczystości otwarcia Uniwersytetu. Opowiadano o przyjeździe sławnych ludzi, o wzmożonem tempie przy budowie uniwersyteckiego gmachu, gdzie główne prace wykonywali członkowie gdudu, a wkońcu: o wielkim napływie nowych imigrantów, o nowo powstających kolonjach, o nowych, wielkich zakupach ziemi.

— Tak, tak, — konkludował Uri — idziemy potężnym krokiem naprzód...

http://rcin.org.pl

W FABRYCE.

Jechali małą dorożką automobilową w stronę Mocy, do rozszerzonej fabryki ojca. Hektor, siedzący obok szofera, wystawił łeb poza krawędź karosjery i gwałtownie oszczekiwał każdego osła, oraz każdą grupę wielbłądów.

Minęli ostatnie domy Jerozolimy, wielki, w budowie będący Dom Sierot Diskina, przejechali mimo zakopcony arabski wapiennik i wolnem tempem zjeżdżali po wyboistej drodze, stanowiącej główny szlak dla automobili, zdążających z Jerozolimy do Jaffy. Pędzące w przeciwnym kierunku auta zakrywały ich co chwila tak gęstym welonem kurzu, iż droga nagle się urywała, gubiła, zapadała w ziemię, jak gdyby ją ktoś gumą wymazał. Tirsie dziwnem się też wydało, iż szofer znów za chwilę drogę odnajdywał, zamiast — co było wcale możliwem — zjechać wraz ze swymi pasażerami w zwisającą na krawędzi drogi przepastną kotlinę, na której dnie widać było, podobne do kop siana, chaty arabskie, lepione z błota i kamieni.

— Podobno nigdy jeszcze Jerozolima nie gościła na pesach tyle turystów, co tego roku.

— Jakto ojcze, czy zapomniałeś, że za tydzień otwarcie Uniwersytetu?

— Naprawdę, Teres, że na chwilę zapomniałem o tej uroczystości, o której tu powszechnie się obecnie mówi. Fabryka tyle daje mi roboty, że poza tem nie mam dla niczego zmysłu...

— Tak, ojczulku, widzę to i czuję bardzo dobrze. Ostatnio zupełnie się o twą Tirsę nie troszczysz. Nawet już nie żądasz, bym ci czytywała „Neue Freie Presse“.

http://rcin.org.pl

— Masz rację, kochanie. Ja sam sobie niejednokrotnie robię wyrzuty... Pocieszam się jednak tem, że masz Szoszanę, Herbstową i twych nowych znajomych z gdudu. No, ale przypuszczam, że najdalej za dwa tygodnie ureguluje się ruch w naszej fabryce i będziemy znów razem mogli spędzać wieczory... Jedno jednak trzeba już dziś zrobić...

— Co takiego ojczulku?

— Musimy zmienić mieszkanie.

— Czy to koniecznie?

— Koniecznie! Widzisz: ja muszę codziennie być we fabryce. Na mego spólnika, jak się zwolna przekonuję, nie we wszystkiem zdać się można. Z Talpjot zaś — jak wiesz — trudno o połączenie. Raz trzeba czekać na auto, to znów auto przepełnione, lub nagły strejk szoferów. A w sobotę jest się już zupełnie odciętym od świata. Auta nie kursują; dorożek niema, a nawet gdyby były, to jakoś nie wypada jeździć. Gdyby nie było tak gorąco, to człowiek mimo swoje stare lata nie zważałby na kurz i chodziłby pieszo do miasta, jak dawniej we Wiedniu: Ringstrasse, Praterstrasse, Prateralee i zpowrotem... Czy pamiętasz Teres?

— Jeżeli to konieczne, — przerwała Tirsa niepotrzebne jej zdaniem wspomnienia z przeszłości — to niema o czem mówić. Jutro zajmę się wyszukaniem odpowiedniego mieszkania. Poproszę Herbstową i pójdziemy razem... Gdzie sądzisz ojcze, byłoby ci najdogodniej zamieszkać? Czy koło Becalelu; czy w dzielnicy amerykańskiej, czy też może w pobliżu Herbstów?

— Co do tego, to zupełnie się zdaję na ciebie, droga Teres.

O, gdyby to od niej zależało — myślała Tirsa — nie opuszczałaby Talpjotu. Mimo bowiem pustkę, jaką

http://rcin.org.pl

przedstawiała ta nowa, w budowie będąca dzielnica ze swemi nielicznemi domami, to przecież w krótkim czasie swego w niej pobytu pokochała ciszę i spokój tego europejskiego przedmieścia Jerozolimy, a przedewszystkiem przywiązała się do widoku, otwierającego się z tarasu na starą część miasta, oraz na drzemiące w dali wody Martwego Morza. Ostatnio zaś, pod wpływem spóźnionych deszczów, stoki gór okalających Talpjot, okryły się żywym kobiercem różnobarwnego kwiecia, wydzielającego w porannych godzinach zapachy jakby róż rosnących gdzieś w ukryciu. A przedewszystkiem, co za różnica temperatury! W przeciwieństwie bowiem do miasta, tu w Talpjot rzadko kiedy, a właściwie tylko w dnie hamsinowe *) odczuwało się brak powietrza, lub dokuczały moskity, dwie główne plagi dla świeżo osiadłych w Jerozolimie ludzi.

Z drugiej jednak strony życie ojca układało się właściwie po linji jej własnych zamierzań... Zamierzań, czy postanowień? Byłaż już sama zupełnie ze sobą w zgodzie? Czyż ta myśl, która ostatnio w dzień i w noc absorbowała jej umysł, była już dostatecznie dojrzałą, by się nią dzielić z ojcem?... Nie! Musi pomówić jeszcze z Szoszaną... A i ojciec nie jest dziś w odpowiedniem usposobieniu.

Minęli ostatni zakręt i przedostali się poza zrąb góry, zasłaniający widok na Mocę. Moca leżała w wąskiej kotlinie, przeciętej gościńcem i wyschniętem łożyskiem rzeki. Ku rzece opadały strome zbocza gór, na których niby wielkie kwiaty, rozkwitały czerwone dachy żydowskich domostw, a nieco wyżej bielały wysokim parkanem otoczone osiedla arabskie. Stoki gór

*) Hamsin — gorący wiatr pustynny.

http://rcin.org.pl

nakrapiane były, niby szare płótno malarza, zielonemi plamami niskopiennych oliwek. Po przeciwnej zaś stronie drogi wznosiły się góry, poprzecinane równolegle biegnącemi linjami tarasów. Tarasy te zasłaniały się przed gorejącem słońcem świeżo oporządzonemi winnicami. Nad samym zaś brzegiem rzeki rosły gęste ogrody pomarańczowe. Na tle ich soczystej zieleni jaskrawo uwydatniały się pojedyncze, czerwono okwitające drzewka granatu, rozłożyste, złotawe korony eukaliptusów i w górę wyniośle strzelające, ciemnozielone pinje.

Fabryka stała po drugiej stronie budującego się betonowego mostu. W miejsce jednak jakiejś wielkiej, kamiennej fabryki, zauważyła Tirsa dwa, z blaszanych tafli zbudowane baraki, stojące w pośrodku ogrodzenia z kolczastego drutu. Jeden z nich mieścił wielki piec, służący do stapiana cynku, maszyny do prasowania blachy oraz sztance do wyrobu pocynkowanych wiader. W drugim znajdowały się: kancelarja, magazyny i mieszkanie stróża.

Gdy zajechali na podwórze, wyszedł na ich powitanie nieznany dotychczas Tirsie spólnik ojca. Był to mały człeczyna o mrugających stale nad małemi oczkami powiekach, o szpiczastej rudej bródce, o drobnej, jakgdyby zasuszonej twarzy. Wyglądał na lat czterdzieści, a ubrany był w coś, co zdaniem Tirsy stanowiło kompromis między niemieckim surdutem, a galicyjską bekeszą.

— Pan Weinreb, moja córka — przedstawiał ojciec.

— O, bardzo mi przyjemnie pannę Lampeł poznać. Dużo o pani już słyszałem.

Ciekawe, co on o niej mógł słyszeć — myślała

http://rcin.org.pl

Tirsa, zdążając za ojcem i jego spólnikiem do głównej hali fabrycznej. Czyżby ojciec znów swym dawnym zwyczajem przechwalał się jej zaletami przed tym obcym i bardzo niesympatycznym człowiekiem?

W głównej hali panował nieład, świadczący o gorączkowej pracy przygotowawczej. Trudno było się przedostać poprzez zwały wykopanej ziemi, stosy cegieł, worki cementu, pręty żelaza i składowe części maszyn.

— Pozostań tu, Tirso z panem Weinrebem, a ja tymczasem załatwię niektóre sprawy w kancelarji. Pan Weinreb wytłómaczy ci wszystko, a następnie przyjdziesz do kancelarji.

— Otóż tu, proszę pani — wywiązywał się ze zlecenia ojca pan Weinreb, zacierając przytem swe, jakgdyby zmarznięte ręce — obmurowuje się żelazny kocioł, w którym będziemy gotowali cynk dla pocynkowania naszej blachy. Gdy byłem sam, paliłem pod kotłem węglem. Rozumie pani, co to była za historja? Węgiel w Palestynie! Naturalnie, nie mogłem się utrzymać. Teraz, po przystąpieniu ojca pani, przerabiamy palenisko na opalanie ropą... Terek, panie Terek, chodź-no pan tutaj... Pozwoli pani, że przedstawię: to jest pan Terek, nasz dyrektor, maszynista, majster murarski, palacz i co tylko pani chce, a to, panie Terek, jest panna Lampel.

Przed Tirsą stał człowiek w zielonkowatych, na ramiona sięgających spodniach roboczych, o okrągłej i tak oliwą i sadzami zasmarowanej twarzy, iż w miejsce oczu widać było jedynie czarne, białkiem źrenic podkreślone plamy.

— Widzi pani — objaśniał w dalszym ciągu pan Weinreb — ten oto Terek, którego pani przed chwilą

http://rcin.org.pl

poznała, to proszę pani, mój wynalazek. Tak, tak, mój wynalazek... A co za dziwne ma on życie: Pochodzi z Temeszwaru. Był gojem, gdy uciekł przed bolszewikami do Palestyny wraz z jednym inżynierem Żydem. Tu wziął sierotę żydowską na wychowanie i dał ją wychrzcić na katolika. Przed rokiem ożenił się z Żydówką i zrobił siebie i sierotę także — Żydami. Co pani mówi do tego, co? To tylko w Palestynie możliwe! A co on za fachowiec! Powiadam pani, pierwsza klasa. A co za porządny z niego człowiek! W sobotę chodzi do bóżnicy. Ma tylko jedną wadę. Jak dopadnie flaszki, tak bądź zdrów. Pod tym względem, to nawet nasza święta Palestyna nie potrafi z goja zrobić całego Żyda...

Tu pan Weinreb począł się tak serdecznie śmiać ze swego własnego dowcipu, iż Tirsa uznała za stosowne przerwać śmiech pytaniem:

— Do czego służy ta maszyna?

— Ta maszyna? To elektryczny walec do prostowania blachy. Z tej strony wkłada się zgiętą blachę, a tam wychodzi prościutka i cienka jak papier listowy.

— A skąd macie prąd elektryczny? Przecież ani w Jerozolimie, ani w Mocy, niema jeszcze, o ile mi wiadomo, elektrycznej centrali.

Pan Weinreb przystanął, popatrzył na Tirsę i kiwając w lewo i prawo głową, rzekł:

— No, no. To ci bez uroku główka... Oby moje dzieci takie główki miały! Naturalnie, że tu niema centrali, ale widzi pani tę maszynkę z rurą, sięgającą ponad dach, tam w kącie, to nasz motor benzynowy, który porusza nasze maszyny, nasze dynamo i daje nam naszą elektrykę.

Tirsa zadowoliła się temi objaśnieniami i nie cze-

http://rcin.org.pl

kając na dalsze, prędko zdążała do kancelarji. Często się jej bowiem zdarzało, że w stosunku do ludzi ledwo poznanych, a nawet w stosunku do spotykanych na ulicy, opanowała ją nagła i bezwzględna antypatja. Było to uczucie, wypływające z głębi instynktu, nie dające się mimo najlepszych chęci ani wytłómaczyć, ani wolą opanować. Było to uczucie zbliżone do wrażenia, którego doznawała na widok zdeptanego robaka, plującego na ulicy człowieka, pomykającego po ciemku schodami szczura, lub też na widok kalectwem dotkniętego przechodnia... We Wiedniu stale rozmyślnie nakładała drogi, idąc z domu na uniwersytet, byle tylko nie spotkać owego beznogiego żebraka, który tułowiem, osadzonym na dwóch kółkach, pchał się rękami po trotuarze, zdążając na swe stanowisko pod Votivkirche... Ta wrażliwość była tem dziwniejszą, iż po pierwszem omdleniu, podczas sekcji na pierwszym roku swych studjów medycznych, wykonywała Tirsa później preparaty bez jakichkolwiek przykrych przejawów.

A więc, zdaje się, że wszystko jest tylko kwestją przyzwyczajenia. Z czasem przyzwyczai się również do pana Weinreba... Na razie jednak wzbudzał w niej poza antypatją także i fizyczny, nieprzezwyciężalny wstręt, a to na skutek jakiejś słodkawej, mdławej woni, którą wydzielało jego ciało.

Po drodze do kancelarji przechodzili przez świeżo dostawioną część zabudowania. Według wyjaśnienia pana Weinreba, miała ona służyć na pomieszczenie nowych, w Niemczech zamówionych maszyn.

— Szalom, panno Tirso!

Gdy Tirsa zwróciła się w kierunku pozdrawiającego ją głosu, zauważyła dwie dziewczyny, z których

http://rcin.org.pl

jedna układała posadzkę, a druga, pochylona nad pudłem pełnem wapiennej zaprawy, śmiała się, odsłaniając szereg zębów białych i równych, jak klawisze fortepianu.

— Nie poznaje mię pani? Czy aż tak się zmieniłam? Jestem Wiera.

Jakkolwiek Tirsa od czasu swego pobytu w Palestynie przygotowana była na różne niespodzianki, to przecież zrazu nie mogła swym oczom uwierzyć. Przed nią rzeczywiście stała Wiera z gdudu, jedna z tych dziewcząt, które poznała z okazji nocnej wycieczki. Biała, płócienna bluzka, przepasana w biodrach paskiem i wypuszczona na niebieskie, krótkie portki. Długie, czarne, niciane pończochy, drewniane sandały i biała, na tyle głowy zawiązana chustka, z pod której zalotnie wyglądały kosmyki blond włosów. Tak, to była owa Wiera, która tak pięknie śpiewała, gdy wracali do Talpjot. W jednej ręce trzymała kielnię, a w drugiej kwadratową płytę cementową. W tym roboczym stroju jeszcze piękniejszą wydała się Tirsie, niż przy poznaniu.

— A pani co tu robi? — zapytała stereotypowo Tirsa, zbliżając się do Wiery.

— O, proszę się nie zbliżać. Posadzka świeżo ułożona... Co robię? Zaraz pani zobaczy... No, Sara; jedziemy dalej!

Mówiąc to, Wiera uklękła, nabrała kielnią zaprawy i poczęła na podłożu z piasku układać posadzkę. Od czasu do czasu uderzała młotkiem poprzez drewniany podkład, kontrolując zarazem spadek posadzki małą libellą.

— Tak, tak. Pracuje się, droga pani, w pocie czoła na ten chleb codzienny — mówiła Wiera, nadając sło-

http://rcin.org.pl

wom komiczny akcent głośnem końcowem westchnieniem.

Patrząc na te dwie pracujące dziewczyny, przypomniała sobie Tirsa owe pierwsze spotkanie podczas wycieczki do Emeku, w tem budującem się żydowskiem mieście, och, jakże się nazywa... Afule... Tak, Afule. Zeszła właśnie z ojcem z auta, by się rozglądnąć po miejscowości i pierwsza rzecz, jaka ją uderzyła i do głębi, prawie że do łez poruszyła, była grupa dziewcząt, rozdrabiających kamienie na szuter... Siedziały okrakiem na kupie drobnych kamieni w szerokich, słomkowych kapeluszach. Nogi owinięte w szmaty, lub nakryte workiem; palce u rąk poobwiązywane. Słońce prażyło niemiłosiernie, a twarze dziewcząt czerwone były, jak dojrzałe pomidory. Siedziały w zupełnem milczeniu, podnosząc i opuszczając mechanicznie młotki na kamienne bryły, z których pod uderzeniem leciały ostre odłamki. Niektóre z pośród tych dziewcząt były jeszcze młode i fizycznie nierozwinięte, jak dzieci. Gołe, a szczupłe ramiona wydały się tak bezsilne, iż serce Tirsy zwinęło się z bólu i współczucia...

Dziś prawie że podobnego doznawała wrażenia na widok Wiery... Dlaczego? Wszak w międzyczasie już niejednokrotnie widziała żydowskie dziewczęta przy pracy... Czyżby dlatego, że Wiera była jej znajomą; że razem brały udział w nocnym spacerze po murach Jerozolimy; że widywały się i później?!... A może dlatego, iż Tirsa wiedziała o bliskim stosunku, łączącym Wierę z doktorem Rubinem, a więc o możliwości polepszenia sobie losu...

Polepszenie losu?... Cóż znowu za słowa w stosunku do gdudu! Czy to, że jest w mocy doktora Rubina uchronić siebie od niedostatku, a swoją dziew-

http://rcin.org.pl

czynę od pracy, czy to, że tego nie czynił, nie jest dostatecznym dowodem, iż u tych ludzi możliwość pracy, to właśnie polepszenie losu, że w istocie praca była tu celem i że mimo wszystko zasada, idea były silniejsze niż życie... Tak, tak. „Praca i idea, to są dwa czynniki, które mogą być ostoją w życiu"... Czyje to słowa, Arjego, czy jej nauczyciela?

— Długo pani tu zostaje, panno Lampel? — zapytała Wiera.

— Nie, zaraz jedziemy. Jestem tu z moim ojcem. O ile chcecie, zabierzemy was. Jest jeszcze miejsce w aucie na dwie osoby.

— O, dziękujemy. My musimy jeszcze dziś skończyć układanie posadzki w tym pokoju.

— A jakże dostaniecie się do miasta?

— Jest o czwartej autobus.

Gdy Tirsa znów znalazła się z ojcem sam na sam w aucie, zapytała:

— Kto to jest właściwie ten twój spólnik, ojcze? Skąd on pochodzi? Czy masz o nim jakieś bliższe informacje?

— Pochodzi ze Sosnowca, a miał zaświadczenia od naszych wspólnych znajomych z Wiednia... Dlaczego pytasz?

— Bo, by wyznać prawdę, to pan Weinreb nie szczególnie mi się podoba. Nawet Hektor warczał, gdy go zobaczył.

— Jestem, kochana Teres, z wielkim respektem dla psychologicznych zdolności naszego Hektora, ale spólnika nie można sobie dobierać tak, jak się dobiera męża lub żonę. Czasem i w małżeństwie można się przeliczyć nawet wtedy, gdy małżonkowie pobierają

http://rcin.org.pl

się z miłości. A cóż dopiero spółka z nieznanym człowiekiem.

— O, co do tego, masz ojcze rację... Właśnie w tej sprawie chciałam z tobą mówić, względnie o coś cię prosić.

— Cóż takiego?... Czy dotyczy ciebie, czy drugich? Przecież wiesz, że jak długo żyję, gotów jestem wszystko dla ciebie...

— Wiem ojcze, wiem — mówiła Tirsa, głaszcząc ojca po rękawie. — Lecz nie o mnie w tym wypadku chodzi. Chodzi tu o Herbstową.

— O Herbstową, powiadasz? — zawołał ze zdziwieniem ojciec Tirsy.

— Tak. Wiesz przecież, że często bywam u nich i od dłuższego czasu obserwuję, jak się tam zanosi na coś bardzo przykrego...

— No, więc cóż takiego? Czy nie mają czem zapłacić długów; czy nie mają pacjentów?

— Nie, ojcze. Coś bardziej poważnego... Herbst nosi się z zamiarem porzucenia żony.

— Co ty mówisz?! Skądże ty o tem wiesz?

— Z ust Muszki, ojcze... Przyczyny? Czy mam ci o nich mówić? Wszak go znasz i wiesz, co to za człowiek i jak on za kobietami...

— Tak wiem. Lecz żeby aż tak dalece...

— Niestety, tak jest... Otóż myślałam sobie: kobieta nie ma tu nikogo bliskiego, ktoby się za nią ujął.. Ty ją znasz, jak mi opowiadałeś, od dziecka. Sądziłam więc, że masz prawo, a nawet obowiązek pomówić z Herbstem. Może to poskutkuje.

Tirsa patrzyła niecierpliwie ojcu w oczy, oczekując zgody. On tymczasem zamyślił się, by po kilku minutach milczenia odpowiedzieć:

http://rcin.org.pl

— To nie taka łatwa misja, jak ci się wydaje, dziecko drogie. Przedewszystkiem stosunek małżeński, to tak, jak pajęcza tkanina. Ornament jest piękny, dopóki jest cały. Jednakowoż najdrobniejszy obcy przedmiot może ten pajęczy ornament uszkodzić. Tak samo i w małżeństwie, jeżeli obcy człowiek niepotrzebnie...

— Ależ ojcze — przerwała zniecierpliwiona Tirsa — wszak Herbstowa jest nam tu w Jerozolimie najbliższą!

— Masz, Tirso, rację. Właśnie do niej chciałem w pewnej sprawie się zwrócić.

— W jakiej sprawie?... Nie! Najpierw powiedz ojczulku drogi, — tu Tirsa poczęła ojca głaskać po wygolonym policzku — że pomówisz z Herbstem.

— No, trudno. Tak pieszczotliwym argumentom niesposób odmówić. Ale nie biorę żadnej odpowiedzialności za skutek. W każdym razie do Herbstowej o zamierzonej przeze mnie interwencji na razie ani słówka!

— Jesteś najlepszym ojcem pod słońcem — dziękowała Tirsa, tuląc się do ramienia ojca. — A teraz, co to za interes masz do Herbstowej?

— To nie ja właściwie, ale ty!

— Ja?

— Tak ty, kochana Tirso... Widzisz, sprawa ma się następująco. Za dwa, do trzech tygodni, puszczamy na nowo naszą fabrykę w ruch. Fabryka nasza potrzebuje, jak każde przedsiębiorstwo, kredytu, reklamy, poparcia, stosunków i t. d. We Wiedniu mieszkało się trzydzieści lat. Miało się wyrobione stosunki i znajomości. Tu trzeba wszystko stwarzać od nowa. Uradziliśmy więc z naszym spólnikiem, by urządzić na koszt fabryki przyjęcie z okazji otwarcia „Pierwszej pocyn-

http://rcin.org.pl

kowni na Wschodzie". Taką bowiem nazwę nadaliśmy naszym blaszanym barakom.

— Jeżeli chodzi o moje zdanie, to uważam ojcze, że plan jest niezły... Lecz kogo zaprosić i gdzie to urządzić?...

— W tem właśnie sęk. Z zaproszeniami, co prawda, to nie tak trudno. Mamy już spis gotowy. Naturalnie i ty możesz tych twoich gdudników zaprosić. Tylko niezbyt wielu i muszą przyjść jakoś porządniej ubrani. Właściwa trudność polega na wynalezieniu odpowiedniego lokalu. W tej też właśnie materji chciałem się z Herbstową poradzić. Zarazem chciałem ją prosić, by tobie, Tirso, była pomocną w przygotowaniu wszystkiego, co będzie potrzebnem. Same bowiem z Leją nie dacie sobie rady... Gdyby tu była ciotka Toni, to co innego. Ale tak...

W ostatnich słowach ojca dosłyszała się Tirsa głębszej nuty żałosnej. Prawdopodobnie myślał w tej chwili nietylko o ciotce Toni. Jakkolwiek bowiem od wyjazdu z Wiednia żadnych nie otrzymywał od tamtej kobiety listów, to przecież niemożliwem było, by z „tamtą" nie korespondował. W każdym zaś razie było to dla Tirsy zupełnie jasnem, że kobieta tego typu, co Kupfermannowa, nieprędko da za wygraną. Czyż nie wskazywały na to, owe, przynaglające do powrotu, listy ciotki Toni? A przecież ciotka wiedziała, że powrót ojca do Wiednia, to niechybny związek małżeński ojca z Kupfermannową...

Co więc wpłynęło na zmianę frontu? Czyżby ojciec otrzymywał listy także inną drogą?... Wykluczonem to nie jest... A, wszystko jedno. Niech się dzieje, co chce. Na razie wobec uruchomienia fabryki o powrocie niema mowy. A później? Zobaczymy. Zresztą, gdy przy-

http://rcin.org.pl

jedzie Karol, to nieodwołalnie przesunie się punkt ciężkości sam przez się z Wiednia do Jerozolimy... Czyż było i to ostatnie tak nieodwołalnie pewnem? Czemu właściwie Karol ostatniemi czasy coraz bardziej oddalał się od niej, względnie ona od niego? Często zacierały się w jej pamięci jego rysy, tak, iż musiała sięgać po jego fotograję. Czy może w duszy ludzkiej obowiązuje fizykalne prawo, wedle którego tak samo, jak w świecie materji nowe wrażenia wypierają dawne! Czyżby więc to było skutkiem owych nowych, licznych, silnych wrażeń, które przeżywała w ostatnich miesiącach?

A może dlatego, że w kole tych ludzi, w tym nowym świecie, który przez Szoszanę i Leję poznawała i do którego bezwiednie wnętrzną swą istotą coraz bardziej się zbliżała, nie było miejsca dla Karola... Dlaczego nie było miejsca? A dla niej byłoż tam miejsce? Czyż nie przychodziła ona z tego samego co i Karol świata?! A czy ta młodzież, wprzęgająca się w rydwan wzniosłej idei, nie była przedtem taką, jak ona, jak Karol, jak gros tych młodych ludzi, z którymi niedawno jeszcze we Wiedniu przestawała? Nie byłaż Szoszana i we Wiedniu jej przyjaciółką?!..

Nie, nie!... Z tego zdawała sobie sprawę. Napróżno starałaby się w gronie swych wiedeńskich znajomych znaleźć tego rodzaju człowieka, jak np. jej hebrajski nauczyciel Dubiński lub... Arjeh. Co za ludzie, co za ludzie... Było to, jak w lesie... Najpierw krzewy, później niskie drzewa, a ponad tą taflą równo obciętych koron jeszcze wyżej, z pośrodka, ku niebu wydzierające się wierzchołki...

Napróżno szukała w dawnem swem otoczeniu takich indywidualności. Zapewne, wielu było i tam sym-

http://rcin.org.pl

patycznych chłopców, to na lodzie, to na uniwersytecie. Lecz wszyscy byli w gruncie rzeczy do siebie podobni, jakgdyby według jednego skrojeni żurnalu, z małą różnicą w stroju, w ruchach, w głosie i w temperamencie. Byli nawet tacy, jak Ryszard Winkler, który świetnie się ślizgał, świetnie pływał i pięknie tańczył. Byli tacy, jak Bertold Stromwasser, który rzeczywiście był artystą z Bożej łaski. Byli tacy, jak Karol, który całą siłą swej woli dążył do wytkniętego zgóry celu...

Ot, to właśnie: wszyscy dążyli do swego celu. Lecz czyż był choć jeden z pośród nich, któryby potrafił poświęcić swą karjerę, swój zawód, swe zdrowie dla dobra narodu, dla dobra społeczeństwa, dla wyższych celów ludzkości?... Można było z nimi przyjemnie czas spędzać, zajmująco rozprawiać na temat sztuki i literatury. Mogli nawet zaimponować oryginalnemi poglądami na życie, miłość, śmierć... Czyż nie dyskutowali na ten temat często w mieszkaniu Karola aż do późnej nocy?! Lecz mimo wszystko brakło im tego bezresztnego przejęcia się odkrytą przez siebie prawdą życiową, brakło im tej zdolności i tej siły, by tak, jak to większość poznanej tu młodzieży czyniła, pójść bez namysłu za głosem wewnętrznego powołania.

— Jakże tam z twoją hebrajszczyzną? — zapytał nagle ojciec w chwili, gdy wysiadłszy z auta, zdążali ciasną ulicą w kierunku mieszkania Herbstów?

— Doskonale idzie. Mówili, że to język bardzo trudny, gdy tymczasem ja już piszę i czytam.

— A ten twój mizernawy profesor? Coś mi nie wygląda na energicznego nauczyciela.

— O, co do tego, to się mylisz ojcze. Nie dziwię

http://rcin.org.pl

się zresztą, gdyż i ja w pierwszej chwili uważałam go za *batłana*... *).

— Ho, ho, ho — śmiał się ojciec. — Skądże to słowo do ciebie? Czy również od twego nauczyciela?

— Nie. To Szoszana mi je przyswoiła. Co się zaś tyczy pana Dubińskiego, to ma on faktycznie zdumiewającą zdolność usuwania trudności. Lekcja staje się poprostu zabawką. Przedstaw sobie ojcze, że np. różnicę między *hifil* a *nifal* pojęłam raz dwa. A prawda; ty nie znasz nowoczesnej hebrajszczyzny.

— A czy ten pan Dubiński ma jakieś szkoły?

— Dokładnie nie wiem. Odnoszę wrażenie, że jest autodydaktą. Mówi biegle po rosyjsku, niemiecku, francusku, angielsku, no i hebrajsku... Ale oto jesteśmy na miejscu. Ty więc ojcze pomówisz z Herbstem, a ja tymczasem załatwię się z Herbstową w sprawie tego przyjęcia. Dobrze?

Tirsa zastała Herbstową — jak zwykle — w kuchni. Na twarzy Muszki widoczne były ślady niedawnych łez, a prześwietlone zazwyczaj dobrocią i weselem rysy, okryły się cieniem tajonego bólu. Przejścia ostatnich tygodni nie przeszły bez śladu. Rozmowna i ruchliwa ta kobieta zcichła i — jak się Tirsie zdało — ociężalszą się stała. Znać, że nie było w niej żadnej woli, ani też odrobiny siły do przeciwstawienia się wypadkom.

W pokoju z damasceńskiemi krzesłami, z szeroką kanapą i przysłoniętą abażurem lampą naftową, zastała Tirsa i tym razem gości. Byli to: znajomy już Tirsie nauczyciel z Tel-Awiwu, rysownik w przedsiębiorstwie budowlanem, oraz żona świeżo w Jerozoli-

*) Batłan — szlamazara.

http://rcin.org.pl

mie osiadłego adwokata. Ponieważ nie było nadziei, by goście ci prędko się wynieśli, więc Tirsa w kuchni przedstawiła Herbstowej projekt ojca odnośnie do zamierzonego uroczystego otwarcia fabryki, a zarazem prośbę przyjęcia przez Herbstową roli gospodyni.

W innych warunkach byłaby Herbstowa rozgłośnym wybuchem radości wyraziła swą zgodę i niezatamowanym strumieniem słów pytała o szczegóły, czyniła uwagi, przygotowywała program. Dziś prawie że milcząco przyrzekła pomoc w zaaranżowaniu wieczoru, w wyszukaniu odpowiedniego lokalu, w rozglądnięciu się za talerzami, szklankami i t. d.

Obcięto Muszce skrzydełka — myślała Tirsa. Biedactwo! Oby tylko ojciec pomyślnie się wywiązał ze swego zadania. Ze względu zaś na gości postanowiła Tirsa nie czekać na ojca. Umówiwszy się więc z Herbstową na popołudnie dnia następnego, pożegnała ją słowami:

— No, Muszko. Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. A memu ojcu, proszę z łaski swojej powiedzieć, że poszłam zakupić coś niecoś na kolację i że wracam zaraz do domu. Szalom!

Przechodząc ulicą Jafską, natknęła się Tirsa na wychodzącego z bocznej uliczki Arjego. Znowu oblała ją nagle ciepła fala krwi.

— Cóż to, pan próżniaczy? Nie wozi pan turystów?...

— Owszem — odpowiedział Arjeh, otulając postać Tirsy błękitem swych oczu. Właśnie wróciłem z Tel-Awiwu i wstawiłem wóz do garażu.

— Był pan w Tel-Awiwie? To może pan nas tak zakurzył, gdyśmy z ojcem jechali do Mocy?... A może

http://rcin.org.pl

mię pan odprowadzi? Wstąpię na chwilę do sklepu, a następnie idę do auta.

— Owszem, mogę... Była pani w Mocy? Cóż, fabryka wnet pocznie pracować?

— Za dwa, do trzech tygodni... Tak przynajmniej twierdzi mój ojciec...

W tej chwili rozważała Tirsa: czy zaprosić go osobiście na wieczór, czy nie?... Nie. Lepiej — nieosobiście. Gotów jeszcze odmówić. Lepiej będzie, jeżeli otrzyma zbiorowe zaproszenie przez Szoszanę. Prędzej przyjdzie.

Szli chwilę w milczeniu. Tirsie trudno było znaleźć odpowiedni temat do rozmowy.

— Panno Lampel, — przerwał pierwszy milczenie Arjeh — musi pani swego psa dobrze pilnować.

— Dlaczego?

— Bo ja go pani skradnę.

Słowa te powiedziane były tak poważnym tonem, iż Tirsa musiała się uśmiechnąć.

— Jakto, pan ukradnie? Wywłaszczenie według metod gdudu, czy też rozbój według prawideł beduińskich?

— Nie. Mówię zupełnie serjo. Psy, to moja jedyna słabość. Niestety nie siedzę na miejscu, więc nie mogę psa trzymać... Jeżeli jednak wyjadę gdzieś, by zatrzymać się na jednem miejscu na czas dłuższy, zabieram pani psa.

— O, co do tego nie mam najmniejszej obawy. Hektor do mnie zanadto przywiązany, by za panem poszedł. Nie opuści mnie za nic w świecie. — Prawda Hektorku?

Mówiąc to, chciała Tirsa pogłaskać idącego w pośrodku psa, przyczem jej prawa ręka spotkała się z le-

http://rcin.org.pl

wą Arjego. Nim jednak Tirsa zdołała sobie uświadomić to zupełnie przypadkowe zetknięcie się dwóch dłoni, już dziwny ten człowiek raptownie dłoń swą cofnął, jak gdyby dotknął się rozpalonej blachy.

— Trudno stwierdzić, że tak, lub nie... Po pierwsze sądzę, że pies bardziej przywiązuje się do mężczyzny, niż do kobiety...

— A to ciekawe. Dlaczego?

— Pies, proszę pani, ma bardzo subtelny dar wyczuwania. On wie, że kobieta zdradzi go... myślę, że gotowa go rzucić dla byle jakiego świecidełka, dla dancingu, dla mężczyzny.

— No, no. Nie bardzo przekonywująca teorja — oponowała, śmiejąc się, Tirsa.

— Po drugie, przekonałem się, że psy w mieście nie przywiązują się tak silnie do człowieka, jak na wsi, względnie tam, gdzie węch ich nie tępieje tak prędko, jak w tem wielkiem środowisku ludzkiem, gdzie wyziewy benzyny, zapach perfum, mydeł i t. p. działają na psi zmysł orjentacyjny, jak na człowieka ciężki sen. W mieście styka się pies ze zbyt wielką liczbą ludzi dobrych i złych, źle i dobrze ubranych, będących w stałym lub przejściowym stosunku do ich panów. Tak, iż z czasem zatraca się w nich owe, że się ta wyrażę, poczucie obowiązku rozróżnania przyjaciół od nieprzyjaciół, ludzi, którzy mogą nam przynieść szkodę od tych, którzy gotowi są stanąć w naszej obronie. W górach np. pies i człowiek...

— Chwileczkę — przeprosiła Tirsa, wstępując do sklepu kolonjalnego. — Zaraz się załatwię.

— Gdy Tirsa weszła do sklepu, z niemałem zdziwieniem stwierdziła, że Hektor wbrew swemu zwyczajowi, zamiast jej towarzyszyć, pozostał z Arjem na tro-

http://rcin.org.pl

tuarze... Czyżby wygłoszone przed chwilą poglądy Arjego na psie przywiązanie rzeczywiście odpowiadały prawdzie?

— Jak widzę, — podjęła Tirsa po wyjściu ze sklepu pierwotny temat rozmowy — ma pan szczególny dar zjednywania sobie psiej miłości. Mój bowiem Hektor nie tak prędko pozostaje sam na sam z obcym człowiekiem.

— Wie pani co? — mówił, uśmiechając się Arjeh. (Jakże piękną wydała się w tej chwili Tirsie jego twarz. Czarne brwi sprostowały się w jedną poziomą linję. A niebieski ton oczu promieniał jasno i intenzywnie). — Pozostaw mi go pani na dzisiejszy wieczór i noc, a zobaczy pani, że jutro nie pójdzie dobrowolnie za panią...

— Nie. Nie godzę się na pańską propozycję. Przyznam się bowiem, że wobec zasłyszanych przed chwilą teoryj, boję się wyniku tej próby.

— No, to w takim razie zostawmy ten psi temat i mówmy o czem innem... Jak tam pani z hebrajskiem? Czy Dubiński nie usypia pani podczas lekcji?

— Wcale nie. Wręcz przeciwnie! Nie mogłam trafić na lepszego nauczyciela.

— Rzeczywiście?... Któżby się tego spodziewał. A myśmy już myśleli, że już nic z niego nie będzie.

— ? ? ?

— No tak. Człowiek ten do niczego się w gdudzie nie nadawał. Ani do pracy na budowie, ani w obozie do drobnych posług, ani w kuchni, ani u szewca, ani w sekretarjacie... Już chcieliśmy go posłać do Tel-Josef, by go tam użyć do paszenia gęsi. Mówię zupełnie serjo.

http://rcin.org.pl

— Ależ to niemożliwe. Dubiński musiał przedtem mieć jakiś zawód. Człowiek, liczący około trzydziestki...

— Jakto, czy Szoszana pani nie opowiadała?

— Tylko tyle, że pochodzi z Rosji i że zesłano go na Sybir.

— Tak, zesłano go na Sybir za to, że wbrew rozporządzeniu kontynuował swój dawny zawód i uczył potajemnie dzieci i młodzież talmudu.

— Wcale o tem nie wiedziałam. Teraz dopiero rozumiem, skąd u niego te zadziwiające, pedagogiczne zdolności...

— Aż tak?... To dobrze się złożyło... Ale... jesteśmy na miejscu. To wielkie, czerwone auto idzie do Talpjot.

— Dziękuję panu za towarzystwo... Proszę pozdrowić Szoszanę i powiedzieć jej, by przyszła w sobotę popołudniu z Urim. A może i pan nas odwiedzi?

— Nie wiem. W sobotę mogę być także w Hajfie, w Bejrucie lub Tel-Awiwie. Do widzenia... Bądź zdrów Hektorze i uważaj na swój piękny ogon, by ci go nie przycięto drzwiczkami.

PRZYJĘCIE.

Tirsa, zmęczona kilkudniowemi przygotowaniami, witaniem gości, podawaniem i zapraszaniem, usunęła się do bocznego pokoju. Tu wychyliła się poprzez okno, a wzrok jej oparł się o zachmurzone lekko niebo, po którem płynęły białawe chmury niby tafle kry po olbrzymiej rzece. Przed oknem, w dole, szumiały jodły ogrodu otaczającego z trzech stron hotel, koły-

http://rcin.org.pl

sały się lekko ciemno-granatowe szczyty pinji, piętrzyły się jedne nad drugiemi czworogranne bryły domów. Tu i ówdzie, w przysłoniętych oknach migotało żółte światełko, słaniał się cień ludzki, a na bliskich, płaskich dachach wyrastały jak na ekranie jakieś tajemnicze postacie, by za chwilę znów z nich zniknąć. Gdzieś z dalekiego minaretu spowity płaszczem nocy, dochodził przeciągły, tęskny, melodyjny głos muzzeina, wołającego wiernych synów Mahometa do ostatniej przed spoczynkiem modlitwy.

Przez niedomknięte drzwi skakały ku Tirsie dźwięki charlestona, wygrywanego na rozstrojonym fortepianie przez najętego na ten wieczór muzyka. Gdy fortepian zamilkł, wpadał z wnętrza hotelu, tryskający jak fontanna, a kuszący jak głos gołębia, śmiech Wiery, tubalny i gniewliwy głos malarza Ackermanna i terkotliwy jak stukot maszyny do szycia, głosik Muszki, a wkońcu niski, łagodny, kochany głos ojca. Z tem mieszały się: pobrzęk talerzy i kieliszków, strzały odkorkowywanych flaszek, szurgot odsuwanych i przysuwanych krzeseł, echo biegnących po schodach kroków, odgłos zamykanych i otwieranych drzwi.

Tirsa oparła głowę o futrynę okna, otuliła się pieszczotą chłodu płynącego z kamiennego obramienia, przymknęła powieki i skupiła się, by jeszcze raz przywołać w swej pamięci ów ekstatyczny wyraz twarzy Arjego...

I znów wyrósł przed nią ów niezapomniany, przepiękny, radością, słońcem i barwą przesycony obraz na górze Skopus...Nieprzerwany sznur powozów, automobili i autobusów. Ona wraz z grupą gdudowców biegnie poprzez pola. Przekradają się przy pomocy Ben Dora, zajętego przy budowie Uniwersytetu. Ich grupa

http://rcin.org.pl

układa się wygodnie pod szeroką koroną sykomory. Za jej głową — niepokojąca obecność Arjego, a w miarę rozwijającego się obrazu, drażniący napór hamowanego za jej karkiem obcego, wzburzonego oddechu...

A później ten widok! Z jednej strony wykute w skale, amfiteatralnie wzniesione ławki, których stopnie znaczą się wystającemi ponad siebie, barwnemi kapeluszami pań i błyszczącemi cylindrami panów. — Z drugiej — zapełniające się dostojnikami drewniane podjum; nagi, garbami gór obsiany teren, opadający ku błyszczącym wodom Martwego Morza. A wreszcie: wejście orszaku Herberta Samuela, powiew chust i chorągwi, grzmot oklasków i zagłuszający wszystko tusz orkiestry... Znów Tirsa poczuła — jak wtedy — jakby ziarnka piasku pod powiekami. Chociaż — wtedy nie tylko ona sama... Gdy wycierając łzy chusteczką popatrzyła się na swych sąsiadów i oni szli za jej przykładem. Szoszana wierzchem dłoni rozmazywała łzy po twarzy, Wiera odwróciła się ku Uniwersytetowi, a chłopcy siedzieli, każdy z brylantem w oku. Gdy zaś jej wzrok doszedł do Arjego, ten jakby pod wpływem jakiejś nagłej decyzji, porwał się ze ziemi, jak zwolniona z uwięzi sprężyna. Trupia bladość okryła jego oblicze, a z otwartych i jakby konwulsją wykrzywionych ust dobył się jakiś niezrozumiały, do głębi przejmujący, gwałtowny okrzyk... Była wtedy w pierwszej chwili, wraz z resztą towarzystwa przerażona tym nagłym wybuchem nieokiełzanego temperamentu. Teraz zaś, wracając myślą do owego wydarzenia, nie mogła wybaczyć Uriemu i Rubinowi, że porwali Arjego za ręce i przemocą osadzili go na miejscu, zatykając mu przytem usta...

http://rcin.org.pl

— To aż tu się schowałaś — karciła Szoszana Tirsę. — Niema co; ładnie przyjmujesz swych gości. Wszyscy dopytują się o ciebie, a ty sobie tu najspokojniej w świecie podpierasz ścianę.

— Szoszano droga, popatrz przez to okno i powiedz, czy nie jest to, co widzisz, jak jakiś cudny, fantazją genjalnego malarza wyczarowany obraz! Czy widzisz tam, w górze cień wieży Cytadeli? Mam w tej chwili wrażenie, że jedziemy ze szkolną wycieczką z Wachau po Dunaju i patrzymy na zanikające, jakby przez noc połknięte mury zamczyska Kreuzenstein. Czy pamiętasz?

— Jedną rzecz doskonale sobie przypominam: ten bęben, sporządzony z ludzkiej skóry...

— Jakto? Nic więcej? Czy nie pamiętasz, jakeśmy stały, ująwszy się w pół — tak, jak teraz — oparte o barjerę statku, słuchały bulgocących tajemniczo nurtów wody i patrzyły na posuwające się wolno na brzegu plamy drzew, niewyraźne kontury will, mrugające światełka dalekich wsi?... Nie przypominasz sobie, jak to wtedy przysięgałyśmy sobie wieczną przyjaźń i jak to w chwilę później śmiertelnie się pogniewałyśmy na siebie z przyczyny przystojnego Winklera?

— Ha, ha, ha! — roześmiała się Szoszana. — Na śmierć o nim zapomniałam. To był jedyny sympatyczny antysemita między naszymi kolegami. Co on robi?

— Tak, jak inni koledzy Niemcy. Należy do bijącego się Związku; coś niby studjuje; rozbija się na uniwersytecie z socjalistami i Żydami, a poza uniwersytetem nie gardzi towarzystwem przystojnych Żydówek... Spotykaliśmy się od czasu do czasu na lodzie. Pytał się często o ciebie, a ja byłam zawsze w kłopocie, co mu odpowiedzieć. Nie chciał w żaden sposób uwie-

http://rcin.org.pl

rzyć, żeś wyjechała do Palestyny. Twierdził uparcie, że cię twój ojciec wydał za jakiegoś rabina do Galicji, lub sprzedał tureckiemu księciu do haremu.

— Ha, ha, ha... Coby też on powiedział, gdybym go tak oprowadziła po naszem księstwie gdudowem! Wiesz co Tirso, mam pomysł. Poślijmy mu widokówkę i zaprośmy go, by nas odwiedził.

— Nie! Mam wrażenie, że flirt ten na odległość i do tego z Jerozolimy byłby nietylko dziecińswem, ale i niestosowną zabawką... Ale wiesz, do kogo powinniśmy napisać?

— Do Karola?

— No, do niego również. Ale wyjątkowo myślę w tej chwili o Bertoldzie Stromwasserze, naszym nadwornym poecie. Czy pamiętasz ten wiersz, który napisał w dzień mych urodzin, a który później okazał się w N. W. Journal?...

— A później naciągaliśmy was, co się dało! Cóż on?

— O, z niego będą jeszcze ludzie! Przerwał studja i pracuje jako reporter. Prócz tego pisze i komponuje. Jego piosenki i melodje śpiewają po wiedeńskich kabaretach. Jestem przekonana, że...

— Aha — zawołał ożywionym głosem Uri, wchodząc do pokoju w towarzystwie Rubina i Dubińskiego. — Popatrzcie się! Tu się schowały... A myśmy szukali na dachu i w ogrodzie!... Proszę na chwilę przerwać to sam na sam. Wyłoniła się bowiem w pewnych sferach pewna propozycja, domagająca się pewnej sankcji...

— Widzę, Uri — strofowała Szoszana swego męża — że koniecznie chcesz zrujnować państwo Lamplów i pijesz zadużo wina.

http://rcin.org.pl

— Dalibóg, że nie. Jestem najtrzeźwiejszym człowiekiem w Jerozolimie.

— Więc o cóż chodzi? — pytała Tirsa.

— Właśnie o panią.

— O mnie?

— Tak. Więc: — Pozwoli pani, że sobie odchrząknę. A więc: Pewna grupa zebranych tu uczestników dzisiejszej wspaniałej, nową epokę w historji odbudowy naszej ojczyzny zapowiadającej się uroczystości, chcąc w należyty, godny i nieprzemijający i t. d. itd. sposób uczcić, miły, ciepły, podniosły itd., itd. nastrój, uchwaliła wybrać tę, oto tu prześwietną delegację i mnie, tego oto tu głównego złotoustego mówcę. aby...

— Na miły Bóg, Uri, powiedzże już, o co ci chodzi — domagała się zniecierpliwiona Szoszana.

— Aby, powiadam, uprosić wielce czcigodną panią Tirsę Lampel, aby raczyła z nami wypić „bruderszaft".

— O, jeżeli o to tylko chodzi, to bardzo chętnie.

— Zaraz, proszę mi nie przerywać; jeszcze nie skończyłem. Jeżeli bowiem powiedziałem z nami, to proszę sobie uprzytomnić, że jestem tu przedstawicielem pewnej towarzyskiej klasy, przedstawicielem domagającym się równych praw dla wszystkich mych wyborców.

— A któż to są ci „wszyscy wyborcy" — pytała Tirsa nie bez ciekawości?

— A więc; wymieniam po imieniu, względnie po nazwisku. Jeżeli zaś, które z poniżej wymienionych imion nie odpowiada, proszę przekreślić główką. A więc: przedewszystkiem ja; następnie ten oto doktór i ten oto filozof. A potem nieobecni tu w tej chwili;

http://rcin.org.pl

Wiera, malarz Szlomo, poeta Eliezer, inżynier Jakób ze swą Sulamit, Arjeh, Mirka, Stefka, Ben Dor...

— Dość! — zawołała Szoszana.

— A więc zgoda?... Świetnie!... Szoszano, przynieś kieliszki i likier, a ty Rubinku poproś resztę brakujących do kompletu osób.

Gdy Wiera napełniała kieliszki, rozważała Tirsa: coby też tak powiedział na to Karol?! On, towarzysko tak trudno przystępny i o każdą nową jej znajomość tak wielce zazdrosny...

— A więc — wołał Uri, podnosząc kieliszek wgórę. — Proszę uważać. Ustalamy warunki: Za każde „panie“ lub „pani“, wypowiedziane przez omyłkę po wypiciu „bruderszaftu“, płaci się piastra na fundusz bezrobotnych. Za członków gdudu wypłaca kasa gdudowa. By zaś ta umowa miała prawomocne znaczenie, pieczętuje się wypity kieliszek całusem. Zgoda?

— Nie! — zawołała energicznie Szoszana. — Zdaje się Uri, że ty rzeczywiście jesteś pijany.

— Ponieważ jest sprzeciw, a tego rodzaju wnioski muszą być przyjęte jednogłośnie, pozostaje więc przy „Bruderszaft“ bez całusów... poparła Tirsa sprzeciw Szoszany.

Wypróżniwszy kieliszki, przeszło całe towarzystwo na główną salę. Salę tę stanowił obszerny hall hotelowy. Z hallu prowadziły drzwi do pojedynczych pokoi i na wielki, ku ogrodowi zwrócony taras.

Tirsa z zadowoleniem stwierdziła, że goście załatwili się z kolacją i że Leja, wspomagana przez kelnera, obnosiła na wielkiej tacy czarną kawę. Przy pojedynczych stolikach, rozstawionych po kątach, siedzieli i stali: spólnik ojca ze swą przystojną żoną i Herbstem; przedstawiciele sjońskiej organizacji, delegaci Związku

http://rcin.org.pl

przemysłowców, jakiś wyższy urzędnik rządowy, prowadzący ożywioną rozmowę z doktorem Kraftem, dwóch Arabów z Mocy, dwóch przedstawicieli hebrajskiej prasy, gospodarz domu, w którym obecnie Tirsa z ojcem mieszkała, znajomy ojca, malarz Ackermann, który z Pragi przyjechał dla studjów do Jerozolimy, a wreszcie jakiś kupiec z Tel-Awiwu.

Młodzież i niektórzy z pośród starszych skupili się koło Ackermanna. Ten zaś, ująwszy za guzik od surduta jednego z redaktorów, wywodził:

— Więc jak pan, panie redaktorze, widzi, niema się czemu dziwić. Bo, kto tu ma właściwie kupować obrazy? Czy umierający z głodu robotnicy, czy też sekundująca robotnikom w tem sympatycznem przedsięwzięciu inteligencja? A może jemeniccy lub bucharscy Żydzi? Jestże tu choćby jeden człowiek, któryby, jeżeli już nie kochał sztukę, to przynajmniej, jak u nas w Europie, wieszał obrazy dla ozdoby ścian, dla lokaty pieniędzy, dla przekazywania się przed swoimi gośćmi: ot, widzisz, ja mam, a ty masz figę". Co, to ci klasa!

Tirsa znała już na tyle Ackermanna, iż wiedziała, że powtarzany przezeń zwrot: „to ci klasa", nie był wcale zakończeniem przemówienia, lecz jedynie pauzą, potrzebną malarzowi do zebrania myśli. O tem jednak nie wiedziała obnosząca ciastka Muszka, gdyż uznała za stosowne wtrącić swe zdanie:

— Nie, coś takiego! Pan, panie Ackermann, pan stanowczo przesadzasz. Czy nie pamięta pan koncertu Godowskiego? Czy nie powiedział pan wtedy, iż rzadko ma pan sposobność — nawet w Pradze — widzieć na koncercie tyle uduchowionych twarzy, tylu kultural-

http://rcin.org.pl

nych ludzi, przychodzących na koncert dla muzyki, a nie dla przekazania się toaletami.

— Za pozwoleniem! Pani doktorowa wybaczy, ale ja jeszcze nie skończyłem — przerwał Muszce malarz, pogłaskując nerwowo to swój siwiejący wąs, to znów swą brodę. Wsadziwszy zaś wkońcu swe ruchliwe ręce w głąb kieszeni szerokich pantalonów, grzmiał w dalszym ciągu:

— Chodzić na wystawy, to co innego, a kupować obrazy, to znów co innego. Chodzić na wystawy, się chodzi, bo trzeba się pokazać, z kimś się spotkać, a w końcu, by móc się pochwalić, że się było. Ale obraz kupić na własność i dzień w dzień cieszyć się jego pięknem — na to trzeba mieć duszę, zamiłowanie piękna, smak estetyczny... a tu, w Palestynie?... He, he, he... Ta nasza ojczyzna, ta nasza odbudowana Palestyna rozwija się na kraj gruboskórnych żydowskich plantatorów i yankesów. Artysta, nie hołdujący modzie, nie ma tu co robić.

— Dobrze. Przypuśćmy, że pan ma rację. Jakże więc — pytała Tirsa — zrozumieć to zjawisko, że co miesiąc mamy tu nową wystawę?

— I to pani nazywa sztuką?! — żachnął się Ackermann. — Tę kloakę malarskich plwocin! I pani uważa za malarzy ludzi nie umiejących rysować! Tych futurystów bez przeszłości, bez szkoły, tradycji i bez przyszłości! Tych kabotynów, goniących za prymitywem formy i treści nie z przekonania, lecz z ubóstwa ducha?!.. Pokażcie mi choć jeden obraz z głębszą, przewodnią ideą, obraz, świadczący o skupieniu ducha u artysty, o mozole twórcy, walczącego z bezwładem materji. Toć oni wszyscy gonią, nie jak my starzy —

http://rcin.org.pl

za wiecznością, lecz jak te amerykańsko - palestyńskie żydówki za — modą. To nie artyści, lecz...

— No, no, mój kochany Wiktorze — mitygował ojciec Tirsy zaperzonego malarza — jesteś, zdaje mi się, nie całkiem sprawiedliwy w swym sądzie.

Tirsa poszukała oczyma Szoszany i zauważywszy ją, rozprawiającą z Leją, zwróciła się do Leji:

— No, już dość Lejo. Zapakuj szkło do kosza i powiedz kelnerowi, by nie odsyłał naczynia do Talpjot. Weźmiemy je odrazu do nowego mieszkania... Ciebie zaś Szoszano chciałam o coś zapytać.

— O co chodzi?

— Przedewszystkiem muszę ci podziękować, żeś mnie wybawiła z kłopotu.

— ? ? ?

— Myślę to całowanie...

— Och, głupstwo. Niema o czem mówić. Przypuszczałam, że ci to gromadne cmokanie nie będzie przyjemnem. Przecież pamiętam twą dawną pod tym względem wstrzemięźliwość. A prócz tego...

— Jakto, jeszcze były i inne powody?

— No, widzisz; nie znasz Arjego. Zdaje się, że Uri jemu to na złość chciał zrobić.

— Na złość?

— Bo widzisz, Arjeh połknąłby raczej rozpalony kamień, niżby pocałował kobietę... nawet w żarcie.

— Co za dziwak!

— Tem większy, ile że kryją się za tem jakieś poważniejsze powody, których nikt z nas nie zna. Gdybym się nie była wmieszała, byłby z pewnością wyszedł z pokoju i byłabyś się obraziła.

— O co to, to nie. Nie sądzę, bym znowu dla wszystkich była tak ponętną... Ale przejdźmy do dru-

http://rcin.org.pl

giej sprawy. Chciałam cię, Szoszano, prosić o radę... Chcę pracować. Mówiłam ci już nie jeden raz, że między innemi powodami i to było przyczyną mego wyjazdu z Wiednia. Tam nie mogłam znaleźć stosownego pola pracy. Tu na szczęście cała atmosfera — że się tak wyrażę — przesiąknięta jest zasadą pracy. Dlatego też spodziewam się, że obrawszy jakiś zawód, wytrwam w nim dłużej, niż we Wiedniu, gdzie wszystko było zabawką... Co sądzisz o tem Szoszano?

— Jestem w zupełności tego, co ty zdania i przyznam ci się, że niejednokrotnie już myślałam o tem, jak ty możesz chodzić tak bezczynnie. Chciałam ci nawet zaproponować, byś wstąpiła do nas, do gdudu.

— Do gdudu? O, zdaje mi się, że już zbyt starą jestem, bym się mogła do waszych pojęć i zwyczajów przystosować.

Szoszana roześmiała się głośno.

— Co ci się wydaje tak śmiesznem? — pytała zdziwiona Tirsa.

— Bo, jak mówisz, kochana Tirso, o swej starości, przypominasz mi zupełnie twego ojca i twoją ciotkę Toni.

Tirsa nietylko przyznała Szoszanie rację, ale w uznaniu trafności spostrzeżenia, zawtórowała również śmiechem.

— Ale wróćmy do sprawy! Więc powiadasz Tirso, że chcesz pracować. Czy masz jakiś plan?

— Plan jest i zależy mi właśnie na twej opinji.

— Proszę, jeżeli moja niedoświadczona głowa może...

— Właśnie, że może. Chcę bowiem wstąpić za pielęgniarkę do Hadassy. A ponieważ wiem, żeś ty tam pracowała, więc...

http://rcin.org.pl

— Muszę ci powiedzieć Teres, że pomysł wcale dobry. Ja wprawdzie nie mogłam się tam utrzymać, ale u mnie co innego. Byłam jeszcze wtedy trzpiotem i nie mogłam się poddać dyscyplinie. Mimo wszystko byłabym może w końcu pozostała, gdybym w tym właśnie czasie nie była poznała Uriego, który nietylko przewrócił mi w sercu, ale swemi ideami o gdudzie i w głowie. Nadto zdawało mi się, że budować Palestynę, to nie znaczy zakładać opatrunki, lub wynosić nocniki. Dziś, od czasu, gdy Zachawa najdrobniejszem podniesieniem temperatury przyprawia mnie o niedający się opanować lęk, rozumiem, że i tam w Hadassie, jest równie ważny posterunek.

— To znaczy Szoszano, iż uznajesz mój plan za dobry?

— Tak, kochana Teres. Sądzę, że ty, z twoją wyszukaną grzecznością, dobrocią i cierpliwością, będziesz tam na swojem miejscu.

— Bardzo ci dziękuję, Szoszano. Bo, prawdę powiedziawszy, decyzję uzależniłam w całości od twego zdania. Teraz jest tylko jeszcze jedna trudność. Od Herbstowej...

— Jakto, czy mówiłaś już o tem z Herbstową?

— Uchowaj Boże! Na tyle jestem jeszcze ostrożną, by nie zwierzać się przedwcześnie jej gadatliwej, choć szczerej w gruncie rzeczy usłużności. Nie! Ale Herbstowa mówiła przy jakiejś sposobności, że chcąc zostać siostrą w Hadassie, trzeba trzy lata praktykować, a co najgorsze być uczennicą, czyli dzień i noc przebywać w internacie dla szpitalnych praktykantek.

— Tak, to prawda. Ale są również praktykantki, które tylko sześć tygodni praktykują. Naturalnie, nie mają one ani tych praw, ani też nie pobierają tej sa-

http://rcin.org.pl

mej gaży, co absolwentki kursów. Ale ty, Tirso, byłaś, jak mi wspominałaś, dwa lata na medycynie. Czy tak?

— Tak.

— A świadectwa masz?

— Mam index.

— Wiesz co, Tirso?... Czy twój ojciec zna bliżej Krafta? Nie?... Szkoda. No, to w takim razie trzeba się będzie zwrócić do Herbsta. Herbst się zna z Kraftem dobrze; on z nim pomówi.

— Nie! Nie chcę używać protekcji tego człowieka. Czy ty wiesz, co to za charakter?! Przyrzekł ojcu solennie...

— O, ojciec twój z nim mówił?

— Owszem; mówił z nim dwa tygodnie temu. I wtedy zobowiązał się wobec ojca, że w obecności Muszki nie będzie się umizgał do innych kobiet; a widziałaś, jak się dziś zachowywał?!...

— Tak, widzę. Chodzi za tą Weinrebową, jak kogut za kurą... Chociaż kobieta ma już dwoje dzieci. Jestem przekonana, że gdyby się nie bał naszych chłopców, toby i nam, gdudniczkom nie dał spokoju... No, dobrze, ale ktoś wpływowy musi w twej sprawie z Kraftem pomówić. Od jego bowiem opinji zależy wszystko.

— Zdaje mi się, Szoszano, że najlepiej będzie, jeżeli sama się do Krafta zwrócę. Wszak nie żądam nadzwyczajnych rzeczy. Chcę pracować i nadto, na początek nie żądam żadnego wynagrodzenia. Dlaczego nie miałby się zgodzić?... Choć po prawdzie, boję się odmowy, gdyż obaliłoby to wszystkie me nadzieje znalezienia jakiegoś punktu oparcia.

— Tu, Tirso, bez protekcji ani rusz... A zresztą spróbować nie zawadzi. Kraft wprawdzie stroni od ko-

http://rcin.org.pl

biet. Zauważyłam jednak, że ty się mu podobasz. O, nie myślę nic złego. Ot, tak, lubi twoje towarzystwo... Więc spróbuj. Nie pójdzie tędy, to Herbstowa znajdzie już drogę do wyższych instancji... Kiedy chcesz z nim mówić? Teraz?

— Ależ nie! Sądzę, że tu najmniej odpowiednie miejsce. Gdy tylko uporządkuję nasze nowe mieszkanie, pójdę do niego.

— Życzę ci Teres, dużo, dużo szczęścia. Nie masz pojęcia, jakbym chciała, byś się tu między nami czuła dobrze. Nietylko ja, ale wszyscy nasi okropnie cię polubili, z czego ja naturalnie szczególnie jestem dumna.

— Któż to są „ci wszyscy"?

— Nawet nasze dziewczęta. A chłopcy wszyscy się w tobie durzą. Gdyby tak nie wiedzieli, że jesteś już zaręczona, nie mogłabyś się opędzić.

— No, dobrze, ale któż są ci „wszyscy"?

— A więc przedewszystkiem twój nauczyciel Dubiński.

— Co ty mówisz?!

— On już i przedtem chodził, jakgdyby mu bolszewiki głowę ucięli. Ale teraz!... Wystarczy w jego obecności wspomnieć twoje imię, a rumieni się jak panienka. Nawet Ben Dor zaniedbuje, od czasu, jak ciebie poznał, Stefkę, a nasz nadworny poeta, Eliezer pisze na twoją chwałę sonety.

— A to ci zabawne! Nic o tem nie wiedziałam... Czy to już wszyscy?... Może jeszcze ktoś — dopytywała się Tirsa, sama zdziwiona, skąd do niej ta ciekawość. No, ale chodźmy zpowrotem do towarzystwa. Gotowi nas szukać! Zresztą chłodno się robi.

Gdy Szoszana otworzyła drzwi, prowadzące z ta-

http://rcin.org.pl

rasu do hallu, uderzyły ją podniecone odgłosy, prowadzonej na sali żywej dyskusji.

W pośrodku większej grupy stał Arjeh i wymachując ostro prawą ręką, wyrzucał ze siebie krótkie i ostre, jak komenda słowa. Każdy zwrot podkreślał raptownym ruchem głowy, tak, iż płowa jego czupryna przybierała co chwila inną formę.

— O co chodzi? — zapytała Szoszana pierwszą na obwodzie grupy napotkaną Wierę.

— A, bo znowu Arjeh zawraca głowę. Ktoś zaczął od tego, iż ostatniemi czasy Arabowie napadają na Żydów, modlących się przed Ścianą Płaczu. I wtedy Arjeh zabrał głos, no i słuchajcie, co mówi i osądźcie same, co to za warjat.

Szoszana i Tirsa przysunęły się bliżej miejsca, z którego Arjeh przemawiał donośnym głosem, jakgdyby na ludowem zgromadzeniu:

— Tak, tak. Gdyby Żydzi nie pamiętali tak dokładnie, ile razy zburzono starą świątynię, jużby ta nowa dawno stanęła.

— Yes, yes. That's true indead — przerwał Dr. Kraft. — Ma pan zupełną rację. Czy to bowiem słychane, by w soboty, w dwudziestym wieku, zamierało życie wielkiego miasta, dlatego, że gdzieś tam przed tylu a tylu laty nasi pobożni ojcowie nie mieli pojęcia o tem, że można będzie jeździć przy użyciu benzyny, bez wykonywania pracy?

— Skutek naturalnie ten, — dodał ojciec Tirsy — iż w soboty z braku fjakrów żydowskich musimy jeździć arabskiemi.

— Ależ p. Lampel i p. doktorze Kraft — oponował Arjeh — nie o to w tej chwili chodzi. Nie chodzi o to, czy te parę funtów żydowskich przechodzi w so-

http://rcin.org.pl

botę do kieszeń arabskich. Chodzi o zupełnie coś innego. Ja chciałem zaznaczyć, że ci wszyscy, którzy modlą się dziś przed Kotel Hamarawi, będą się tak modlili i dalsze 2000 lat, a nie przyjdzie im na myśl, że Mesjasz może przyjść i inną drogą, niż poprzez płacz i modły.

— Co to, to stanowczo nie masz racji — zaprotestował swym cienkim, prawie że kobiecym głosem Dubiński. — Zapominasz, że z tego właśnie płaczu, z tych modłów, z tej religijnej, mistycznej tęsknoty za Mesjaszem, zrodził się dzisiejszy sjonizm, zrodził się twój sen o potędze, zrodziło się...

— Przepraszam — zagłuszył Dubińskiego malarz Ackermann swym tubalnym głosem — przepraszam was, moi kochani państwo; ale rzeczywiście nie rozumiem, o co panu, panie łaskawy chodzi. Zawadza panu Ściana Płaczu? Czy tak? Czyli, że pan jest zdania, iż najlepiejby było rozkopać ją i pojedyncze kamienie sprzedać amerykańskim miljonerom do ich prywatnych muzeów? Czy tak?

— Gdyby to ode mnie zależało, zrobiłbym to natychmiast — upierał się w swych poglądach Arjeh.

— Ależ, Arjeh, mówisz w gorączce!... Cóż znowu?! Toć to bolszewik, anarchista, pomylony jegomość!... Posypały się z różnych stron protesty.

— Spokojnie, spokojnie! Nie mówię w gorączce i nie jestem bolszewikiem i nie myślę na wzór komunistów prowadzić z Bogiem walki na słowa. Niemniej oświadczam, że gdybym miał władzę nad naszymi kochanymi żydkami i mógł od Rządu palestyńskiego uzyskać zezwolenie, zburzyłbym ten nieszczęsny mur aż do fundamentów...

— Ależ Arjeh — starał się Dubiński znów przekonać Arjego o mylności jego zapatrywań — cóż to

http://rcin.org.pl

komu szkodzi, że kilkudziesięciu ludzi pobożnych i wierzących trwa w tradycji swych przodków i szuka przed tym murem pocieszenia w swej niedoli; że wypłakując sobie serca, krzepi się przed pomnikiem naszej narodowej chwały?

— Ot, właśnie, o to właśnie chodzi.. Dla ciebie Ściana Płaczu — to „pomnik chwały“. Lecz dla mnie Ściana Płaczu jest pomnikiem hańby.

— Co to jest pomnik hańby? — zapytał, uśmiechając się ironicznie Ben Dor.

— Przepraszam, źle się wyraziłem. Nie pomnik, lecz świadectwo hańby; oskarżający, bolesny, przygniatający dokument naszej narodowej niemocy, naszego narodowego upodlenia, naszego chorobliwego tchórzostwa. Dla mnie — każda przed tym murem uroniona łza żydowska, to kropla trucizny, przesiąkająca w głąb naszego narodowego organizmu. Na każdym kamieniu tego muru zda się być wyryte pytanie: dlaczego zamiast płakać, bić się w piersi i kajać się w pokucie za niepopełnione grzechy, zamiast wyciągać rękę, jak żebrak pod cmentarnym murem i pozwolić się obrzucać kamieniami przez arabskich wyrostków, dlaczego nie porywacie się do czynu, do zbrojnego wysiłku, do oderwania tego wieka, przygniatającego naszą energję narodową, naszą wolę do czynu i życia... Dlatego też — powtarzam to jeszcze raz — że gdyby to ode mnie zależało, rozebrałbym ten mur, a z jego potężnych ciosów wystawiłbym na Skopusie lub na Karmelu grobowiec Herzlowi....

— Lub — dokończył Dr Kraft — salę taneczną dla legjonu Żabotyńskiego.

— Ponieważ ktoś tu wspomniał salę taneczną, — przerwał Ben Dor dalsze uwagi Krafta — więc ja pro-

http://rcin.org.pl

ponuję, byśmy przeszli do poważniejszej części tego wieczoru, to jest do tańca.

Projekt Ben Dora nie znalazł jednak dostatecznego poparcia. Napróżno Ben Dor wabił swem gibkiem, jakgdyby stawów i kości wyzbytem ciałem, napróżno kołysząc się w biodrach i szurując nogami po posadzce, starał się sprowokować charlestona, względnie twostepa. Jakoś ludzie nie mieli ochoty do tańca. Tirsa zaś wyczuwała, że wiara z gdudu nie czuła się tu swojsko. Stale wytwarzały się na sali dwie grupy, których nawet gorąca, wokół poruszonego przez Arjego tematu żywo obracająca się dyskusja nie mogła połączyć. Poczuwając się jednak jako gospodyni do obowiązku zabawiania swych gości, zwróciła się Tirsa do Muszki z prośbą o poradę.

Odnalazła ją na tarasie szlochającą. Nie pytała wcale o przyczynę, lecz ująwszy ją za ręce, starała się ją uspokoić, pocieszyć. Słowa jednak pociechy wyzbyte były wewnętrznej prawdy i wiary. Tirsa zdawała sobie jasno sprawę, że tego zranionego serca już nic nie zdoła uleczyć. Przeznaczenie i los Muszki rozwijały się konsekwentnie z charakteru Herbsta. Tak, jak nie można zmienić charakteru, tak i w tym wypadku nie było siły, którąby potrafiła wpłynąć na pomyślny obrót małżeńskiego konfliktu. Jak słońce nagrzewa kwiaty, powodując ich rozwój i ich okwitanie, tak tu czas przyspieszał proces rozkładu małżeńskiej harmonji. To, co w pierwszych dniach po interwencji ojca wydało się ku ogólnej radości znajomych szczęśliwie sklejonem, to znów się obecnie rozpadało w popiół, z którego wyraźnie wyzierały spalające się resztki miłości, szczęścia i życiowej otuchy.

— No, dość Muszko! Nie trzeba się poddawać.

http://rcin.org.pl

Głowa do góry... Obetrzeć łzy i nie dać mu poznać...

— Tak, łatwo ci mówić; ale co począć, gdzie i jak szukać ratunku?

— Słuchaj Muszko, w tej chwili o tem mówić, byłoby nieodpowiednio. Wiesz, że na mojego ojca i na mnie możesz zawsze liczyć. Mojem niemiarodajnem zdaniem, powinnaś z twym mężem pomówić otwarcie i stanowczo. Sądzę, że tego rodzaju dalsze przewlekanie owej niejasnej sytuacji może cię całkiem zniszczyć... Ale o tem pomówimy jutro. Przyjdę do ciebie zaraz rano... A teraz głowa do góry!... Chodź ze mną na salę. Musimy nasze towarzystwo trochę rozruszać.

Gdy weszły na salę, Tirsa znów z niezadowoleniem stwierdziła, że gdudowcy siedzą osobno w jednym kącie, a reszta towarzystwa, rozbita na pary i grupy, podpiera ściany i okna.

Tirsa przystanęła na chwilę przy grupie, obejmującej malarza Ackermanna, jej ojca, urzędników organizacji sjonistycznej, kupca Gerszkowica z Tel-Awiwu, spólnika ojca Weinreba, Dr. Krafta i sprowadzonego przez Gerszkowica, czy też Weinreba, kolonistę Grossfelda. Toczyła się żywa dyskusja. Ackermann przemawiał, rzucając się górną częścią swego ciała, przyczem zwieszony na jego dolnej wardze papieros, wykonywał komiczne podrygi:

— Tak, tak. Nie sposób tu żyć. Kraj ten odpowiednim jest dla tych starych Żydów, co przyjeżdżają tu umierać. Tu bowiem, albo uśmiercą człowieka bieda i głód, albo połknie jedna z tych okropnych chorób... Często mam wrażenie, że cała Palestyna to albo dom tych tam warjatów, — tu wskazał głową w stronę członków gdudu — albo też jeden wielki szpital...

http://rcin.org.pl

— Tak, to rzetelna prawda, — przytakiwał kupiec Gerszkowic. — Tyfusu u nas w Palestynie nie brak. Dopiero niedawno u znajomych zachorowała córka, dziewczyna dwunastoletnia. Ni stąd ni zowąd ból głowy, gorączka. Posyłają po lekarza. Oglądnął, opukał. Mówi: nie wiadomo. Trzeba czekać. Zdaje się, papadaczi... Dano krew do zbadania. Djagnoza: tyfus. Wzięto do szpitala. Pomęczyło się biedactwo miesiąc i zmarło.

— Ba, śmierć, to jeszcze dobrze — wtrącił się do rozmowy — rudawy Weinreb. Ale co robić, jeśli choroba kończy się nie śmiercią, ale jakimś okaleczeniem tak, iż nie można ruszać ani nogą, ani ręką...

— Eh — żachnął się Dr. Kraft — nie gębowalibyście tyle na Palestynę. Czy was z przeproszeniem ktoś prosił, byście tu przyjeżdżali?... Pan, panie Ackermann jesteś najniewdzięczniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Tak, tak... Przyjechałeś pan tutaj, podpatrujesz pan Palestynę i robisz piękne obrazy, by je później sprzedać za piękne pieniądze zagranicą. By zaś pańskie obrazy osiągnęły jak najwyższą cenę, starasz się Palestynę przedstawić z najpiękniejszej strony, a więc te jej właściwości, w które sam nie wierzysz.

— Ale za przeproszeniem, panie doktorze Kraft — oburzył się Ackermann.

— Ależ tak, kochany mistrzu — wywodził niewzruszony Kraft. — To jest fakt. A co do chorób w Palestynie, to według mnie wszyscy jesteście w błędzie.

— Jakto w błędzie? Kto w błędzie — pytał jakby osobiście dotknięty Weinreb. — Przecież pan sam, panie komendancie, mówiłeś przed chwilą, że pański szpital jest przepełniony chorymi.

http://rcin.org.pl

— Tak mówiłem, bo tak jest i wcale z tego nie robię tajemnicy. Atoli wszyscy wiemy, że tam, gdzie goj raz idzie do lekarza lub do szpitala, tam Żyd dwa razy. Antysemici mówią, że robimy to z obawy przed śmiercią, a Żydzi powiadają, że czynimy to ze względu na wyższą kulturę. Tak jest jednak, że gdy Żyda zaboli palec, już leci do lekarza.

— Zwłaszcza, jeżeli go ten doktór nic nie kosztuje — wtrącił Dr. Herbst.

— Całkiem słusznie. A następnie, zupełnie niesłusznem i fałszywem jest twierdzenie, jakoby stan zdrowotny Palestyny był gorszy, niż to jest w innych krajach Europy lub Ameryki.

— Ależ doktorze, co pan mówisz? — krzyknął z oburzeniem malarz Ackermann.

— To, co pan słyszysz. Twierdzę stanowczo, że u nas nie o wiele gorzej, niż gdzieindziej. Czyście nie czytali o tyfusie, który niedawno grasował w Europie? Był na Śląsku, w Austrji, w Polsce, a nawet w samym Hamburgu było w jednym miesiącu 2000 wypadków, w tem 200 śmiertelnych. A czy niema malarji we Włoszech, nad Dunajem, w Kalifornji? A przecież w Europie i lekarzy i szpitali i lekarstw jest poddostatkiem. A nie tak, jak u nas, gdzie często z braku miejsca dwóch pacjentów kładzie się do jednego łóżka, albo też w korytarzu na posadzce; gdzie chorych wozi się w pięknych, specjalnych automobilach, a nie jak u nas dorożkami, których się później nie dezynfekuje; gdzie rząd utrzymuje szpital, a nie prywatne stowarzyszenie, niewypłacające miesięcznej gaży swym lekarzom i sanitarjuszom; gdzie ludzie piją wodę z wodociągu, a nie deszczówkę, zebraną w zimie do nieszczelnych studzien; gdzie ludzie nie odżywiają się należycie, bo...

http://rcin.org.pl

Jakże sympatycznym wydał się Tirsie w tej chwili Dr. Kraft z tym młodzieńczym ogniem w swych za wielkiemi okularami ukrytych oczach, z tym płomieniem oburzenia na starannie wygolonej twarzy, z tym szczerym sarkazmem w podniesionym głosie. Chętnie byłaby w tej chwili przystąpiła i uścisnęła silnie, silnie jego dłoń, podnoszącą się i opadającą, jakgdyby uderzała w jakiś twardy, niewidoczny przedmiot. Mimowoli dosłuchiwała się w jego głosie tego samego odcienia oburzenia, tych samych, z najgłębszych pokładów szlachetnej duszy wypływających fal, które szły ku niej stale ze słów Arjego, a które bez względu na treść wypowiadanych myśli, samym tonem ujmowały, przekonywały, zniewalały. Zdawało się jej w tej chwili, że zamierzone pójście do Krafta będzie jedynie towarzyską formalnością w sprawie już oddawna zadecydowanej. Miała bowiem wrażenie, że między nią a Kraftem istnieje w tej sprawie oddawna niewypowiedziane porozumienie i że osiągnięcie jego zgody zależnem jest jedynie od jej własnej woli.

Idąc ku grupie gdudowców, siedzącej po przeciwnej stronie hallu, myślała Tirsa o tem, jak często prawda, to istotne wnętrze człowieka, przejawia się dopiero poprzez gniew i uniesienie: Któżby na przykład przypuszczał, że ten jowialny, sarkastyczny, wiecznie ironizujący Kraft potrafi w ten sposób przemawiać!...

— Słuchaj Ben Dor — zwróciła się Tirsa do pierwszego napotkanego mężczyzny. — Możebyś ty tak coś wymyślił, by się towarzystwo nie nudziło?

— I owszem, ale co? Może zabawy towarzyskie; może sztuczki karciane? Mogę naśladować zwierzęta, albo mogę zagrać burżuja, bolszewika... O, mam!

http://rcin.org.pl

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołał Ben Dor. — Mam wspaniały pomysł, doskonałą zabawę...

— O, o, prosimy; cóż takiego?

— Proszę siadać!... Ot, tak, wkoło... Prędzej, prędzej... Już?... A więc... Każdy — każdą z góry się zwalnia — ma kolejno opowiedzieć coś wesołego. Na kogo przyjdzie kolej, a nie zdąży, płaci fant. Jeżeli to, co opowie, nie będzie wesołem, a conajmniej dowcipnem, płaci dwa fanty... Sędziami będą: Tirsa i Stefka.

— Nie — protestował Uri. — Stefka będzie dla ciebie stronnicza.

Wszyscy, znający bliski stosunek Stefki do Ben Dora, poczęli się śmiać.

— Słuchaj Uri — odciął się, nie tracąc humoru, Ben Dor — jeśli sądzisz, że ten dowcip zwalnia cię od powiedzenia czegoś rzeczywiście dowcipnego, to się grubo mylisz. A więc zaczynamy... Pierwszy z brzegu: Uri.

— Gdy pracowałem na kwiszu *), w górnej Galilei, przejeżdżało auto z turystami. Nie wiem, z jakiej przyczyny, auto zatrzymało się przed moją kupką kamieni. Z auta wysiadł jakiś gruby Amerykanin z cygarem w gębie, a za nim wcale przystojna panienka, zdaje się, jego córka.

— Czy rzeczywiście była przystojna, czy tylko się nie mylisz?

— Proszę nie przerywać!

— Naturalnie poczęto mnie pytać o różne rzeczy. Między innemi pytała mi się panna: „Czy praca sprawia panu przyjemność? A dlaczego pan nie pojechał do Francji lub Australji, lecz właśnie do Palestyny?“

— Płacić! płacić! — wołano ze wszystkich stron.

*) Kwisz — droga.

http://rcin.org.pl

— Skoro nie mam czem — usprawiedliwiał się Uri...

— Jak nie masz czem — rewanżował się tym razem Ben Dor — zastaw Szoszanę, albo pożycz sobie od tej młodej, pięknej Amerykanki...

— Dalej, dalej — kolej na Arjego.

— No, ponieważ Uri zaczął o Amerykance, więc ja opowiem o jednym Amerykaninie, turyście. Jeździłem z tym Amerykaninem do Tel-Awiwu. W powrotnej drodze wstąpiliśmy do Kirjat Anawim. Oglądnął chłop dokładnie stajnie, baraki, winnice. Wkońcu, wróciwszy do auta i żegnając się z tamtejszymi ludźmi, zawołał po żydowsku: „Blejbts gesynd, in machts gite Geschäften"...

— Zdał egzamin. Następny, Szlomo:

— Dobrze. Ale pozwólcie, że zamiast opowiedzieć anegdotę, zadam zagadkę. Czy Świetny Trybunał się zgadza? — pytał Ben Dor.

— Owszem, niech mówi — zadecydowała Tirsa.

— A więc: poczem można odróżnić wielbłąda od wielbłąda?... Po grzywie?... Nie!... Po dzwonku?... Nie! Po koralach?... Nie! Po ogonie?... Nie!

— No to już powiedz sam wreszcie — zawyrokowała zniecierpliwiona Stefka.

— Wielbłąda można rozpoznać po Arabie, który wielbłąda prowadzi...

— Oj! Oj! — krzyczeli ze wszystkich stron. — Płać! płać dwa fanty!

— Spokój! Następny, Jakób.

— Z Tel-Josef wysłano mnie zeszłej zimy w pilnej sprawie do Daganji. Zepsuł się mianowicie w Daganji motor, pompujący wodę z Jordanu, więc ja, jako inżynier od maszyn, miałem go naprawiać. Przyjechałem,

http://rcin.org.pl

oglądnąłem, naprawiłem. Ponieważ już było późno, zostałem na noc. Pod wieczór zajechało siedmiosiedzeniowe auto z turystami. Była w niem także jakaś żydowska działaczka z Berlina. Zjedli z nami kolację i postanowili przenocować. Dla gości opróżniono najlepsze pokoje. Gdy późno przechodziłem do mej pryczy...

— Oho, oho, słuchajcie, słuchajcie...

— Gdy późno przechodziłem przez wspólny korytarz, zauważyłem na korytarzu przed drzwiami działaczki damskie buciki. To ta biedna działaczka myślała, że się znajduje w hotelu i wystawiła buciki do czyszczenia.

— Przepadł — wołano ze wszystkich stron.

— Płać fant.

— Nie — zawyrokowała Stefka. — Wolny!

— No, a teraz na ciebie kolej Ben Dorku. Ale pamiętaj, jak nie opowiesz czegoś wesołego, to cię zakatrupimy.

— Nie — wołała Wiera. — Zamiast ma opowiadać jakieś stęchłe dowcipy, proponuję, by zatańczył two-stepa.

— Przyjęte. Tańcz, ale tak, po naszemu, z humorem i gracją!

Taniec Ben Dora był zdaniem Tirsy nawet na wymogi zachodnio-europejskie kunsztownym majstersztykiem. Co jednak Tirsę szczerze ucieszyło, to fakt, iż two-step Ben Dora rozruszał wiarę. Wnet też wokół Ben Dora utworzyło się szczupłe koło, a two-step ustąpił miejsca tradycyjnej. z werwą i animuszem tańczonej horze.

http://rcin.org.pl

U CELU.

Na nowem mieszkaniu Tirsa nie czuła się dobrze. Z trudem i tylko dzięki pomocy niestrudzonej Muszki Herbstowej wyszukała dwa pokoje na 2-em piętrze jakiegoś starego, arabskiego domu, przy ulicy Birkat Mamille. Kuchnia była wprawdzie wielka, lecz okna wychodziły na południe. To też nawet przy przymkniętych okiennicach słońce prażyło tak silnie i takie wytwarzało gorąco, iż biedna Leja stale chodziła z przewieszonym przez ramię ręcznikiem. W łazience, którą na koszt ojca trzeba było odmalować i piec naprawić, rzadko kiedy było poddostatkiem wody. Pokoje również były obszerne i wysokie, atoli jedyny, mały, żelazną barjerą zabezpieczony balkon wychodził na ulicę i użyczał widoku na podobny dom piętrowy, wznoszący się po przeciwnej stronie.

Najgorsze było to, że w nocy spać było trudno. Prócz brzęczących nad uchem moskitów, przed któremi ostatecznie można się było zabezpieczyć naciągniętemi na łóżko siatkami, istniała jeszcze plaga nikłych, prawie że niedostrzegalnych, podobno z piasku się rodzących muszek. Przechodziły one przez umieszczone w oknach siatki, dostawały się poprzez moskitery, a delikatne ich żądełko przenikało przez prześcieradło i koszulę. Ukąszenie zaś tych muszek było ostre, jak ukłócie igłą, a parzyło, jak dotknięcie listka pokrzywy. Było się wobec nich bezbronnnym i bezsilnym. Wprawdzie Szoszana radziła nacieranie skóry spirytusem. Leja znów twierdziła, że najlepsza rzecz, to kamfora. W rzeczywistości jednak żaden środek nie pomagał.

http://rcin.org.pl

Na szczęście gdzieś w sąsiednim domu mieściły się warsztaty naprawy automobili. Stojący tam benzynowy motor użyczał prądu elektrycznego również dla kilku pobliskich domów. Tirsa więc, korzystając ze światła elektrycznego, nakrywała się ponad głowę gęstem prześcieradłem i świeciła lampę. Miała bowiem wrażenie, że moskity i muszki boją się światła elektrycznego. Stanowiło to naturalnie tylko częściową ulgę, podobną do tej, jakiej się doznaje, tuląc bolący od zęba policzek do poduszki.

Ledwo zaś nadchodziło rano i jeszcze ciężki półmrok panował na polu, a już popod oknem mieszkania galopowały grupy osłów, spieszących gdzieś do pracy, lub rozwożących w blaszankach wodę. Osły te wydawały od czasu do czasu swoje żałosne, przeciągłe, jakby z pustej beczki dobywające się ryki. Wprawdzie Tirsa przez czas swego pobytu w Palestynie przyzwyczaiła się do tych nagłych odgłosów, przypominających otwieranie ciężkich, zardzewiałych wrót lub rozdzieranie wielkich kłód drzewa. Niemniej stale wyczuwała w tem pożądliwem, miłości domagającem się nawoływaniu, głęboki ton, jakgdyby utajonego ludzkiego bólu.

Te głosy, spędzające sen z powiek, mieszały się z pianiem kogutów, dudnieniem motorów, z nawoływaniem Arabów, zachwalających okrzykiem: „Ka-ek, ka-ek", swe ciastka, ułożone na szerokiej, mosiężnej tacy...

Nie, w tem nowem mieszkaniu Tirsa nie czuła się dobrze. I nie tylko ona. I Leja straciła swój dawny humor. Ze wszystkiego była niezadowolona. Wciąż była zachmurzoną; wciąż zgrzędziła. A nawet Hektor, pozbawiony możności biegania po ogrodzie, leżał leni-

http://rcin.org.pl

wie i ospale w kącie pokoju, zrywając się od czasu do czasu dla uśmierzenia zbyt natrętnych much. Jedynie ojciec nie odczuwał niedogodności nowego mieszkania, spędzając cały czas we fabryce lub w podróży to do Tel-Awiwu, to znów do Haify lub Bajrutu.

Tirsa odłożyła oprawny w skórę tomik poezji ulubionego przez się Piotra Altenberga i dobywszy z biurka świeżo otrzymany list, poczęła go jeszcze raz czytać.

Co za dziwne pretensje!... „A co do Twego planu, o którym w Twym ostatnim liście wspominasz, muszę Ci oświadczyć, że nie życzę sobie, byś wstępowała do Hadassy".

Nie życzy sobie!... Co za ton!... Poco wogóle pisała mu o tym zamiarze? Czy nie racjonalniej było pójść własną drogą i nie pisać mu wcale o swych planach?!... Czy można było we Wiedniu zrozumieć bodaj cząstkę z tego, co się tu, na tym gruncie nieprawdopodobnych możliwości i przemian działo? A jak, w szczególności, wymagać można tego zrozumienia od Karola?... Czyż nie należał on do ludzi, dla których na świecie nie istniały rzeczy niespodziane, nie istniały postanowienia, dające się wywieźć także z innego źródła, a nietylko z samego rozumu i logiki. „Spodziewam się, że się do tego mego życzenia zastosujesz"...

Co za pewność siebie! Co on właściwie sobie wyobraża?! Czy uważa mnie za manekina, którego wedle własnego widzimisię ustawia się za wystawową szybką? Czyż nawet na taką odległość nie może się zdobyć na odrobinę delikatnego wyrozumienia?

Tu poczęła się Tirsa zastanawiać nad tem, czy w jej dotychczasowym stosunku do Karola były tego rodzaju przesłanki, któreby pozwalały Karolowi wnio-

http://rcin.org.pl

skować, jakoby ona, Tirsa, była bez własnej woli, bez własnych duchowych potrzeb, bez własnego poglądu; zupełnie zdana na jego kierownictwo. W szeregu oderwanych od siebie obrazów stanęły przed jej oczyma wspomnienia owych pierwszych, niekuzynowskich już całusów na tle dojrzewającego pola żytniego, ścielącego się u stóp starego zamczyska pod Tarnopolem. — Miała wtedy może lat 12, a Karol 16. Rodzice Karola jeszcze żyli, a ona była wakacyjnym gościem u wujowstwa. Dużo wtedy przebywali razem, robili wycieczki, układali plany. Gdy wyjechała, poza rzadkiemi listami, pełnemi studenckich, przesadnych, miłosnych frazesów, nie widywali się wcale. Aż rok przed przyjazdem Karola do Wiednia, na skutek rychło po sobie następującej śmierci rodziców Karola, korespondencja zupełnie ustała. A potem na uniwersytecie, spotykali się w tym mansardowym pokoju, do którego przechodziło się przez jedyny mieszkalny pokój gospodarza, roznosiciela pieczywa. Pod oczyma „gospodyni“ przechodziła przez ten pokój, jakgdyby pod rózgami... Tam to, w tym, wnętrze wielkiej szafy przypominającym pokoju, nawiązał się na nowo przerwany stosunek ich rzekomej miłości. Rzekomej?... Już we Wiedniu niejednokrotnie zastanawiała się nad tem, dlaczego w jej stosunku do Karola panował wyłącznie pierwiastek zmysłowy, a nigdy nie było owego wzajemnego przenikania się i uzupełnienia dusz, o którem czytała w tylu a tylu powieściach. Czyżby dlatego, że między nią a Karolem nie było tego długiego procesu poszukiwania się, tego powolnego, wstydliwego, opornego odsłaniania duszy?! Czyżby dlatego, że jako kuzynowstwo mogli zbliżyć się bez zwykłych w podobnych wypadkach konwenansów, trudności i oporów?...

http://rcin.org.pl

Gdyby nawet tak było, dlaczegóż jednak, stale, ilekroć się sam na sam znaleźli, nie mieli sobie poza zdawkowemi frazesami nigdy nic do powiedzenia?... Nie byłże ich stosunek podobny do stosunku męża i żony, którzy poprzez długie lata wspólnego pożycia zdołali już wyczytać wszelkie tajemnice swych osobowości, zdołali wypowiedzieć wszystko, czego ich życie nauczyło, wydać zdołali bezresztnie wszelkie bogactwo swego wnętrza?...

Byłaż to wogóle miłość?... Jeśli nią była, to dlaczego ich wzajemny stosunek nie odbarzał jej ani drobiną zadowolenia, nie rozjaśniał jej serca słabym bodaj rozblaskiem szczęścia? Wszak po każdej wizycie u Karola odchodziła z przykrem wrażeniem zmysłowego nienasycenia, roztrzęsiona fizycznie, z bólem w przegubie kolan i na tyle głowy... Przedewszystkiem zaś z tak silną odrazą do siebie samej, iż na kilka dni zamykała się w swym pokoju i nie dopuszczała do siebie nikogo.

Czyż prawdziwa miłość rodzi tego rodzaju uczucia?... Nie, musiała przyznać, że jej uczucie nie rozwijało się na podobieństwo kwiatu, który z małego lepkiego, delikatnego pączka rozrasta się zwolna w puszystą, świecącą, różową okiść radości... Tak, tu zdala od niego, musiała przyznać (widziała to coraz wyraźniej), iż jego osoba nie odgrywała właściwie żadnej, decydującej roli w jej wewnętrznem życiu. Dziś wiedziała, że nie był on tym, za którym tęskniła, o którym myślała, do którego się garnęła. On wypełniał jedynie rolę niewiadomej w równaniu jej zmysłów... A tę rolę mógłby był grać każdy inny mężczyzna, któremu by danem było, tak jak Karolowi, dzięki sprzyjającym okolicznościom, rozbudzić w dziecku uśpione jeszcze

http://rcin.org.pl

popędy erotyczne, a następnie rozwijać i świadomie je pielęgnować...

Byłoż z jej strony niesłusznem i niesprawiedliwem, jeżeli posądzała Karola, iż czynił to rozmyślnie? Dzięki pokrewieństwu, a przedewszystkiem dzięki temu, że zbliżył się do niej, zanim skrystalizowała się wokół jej osobowości owa duchowa atmosfera, która w późniejszych latach trzymała mężczyznę w odpowiednim od jej duszy dystansie, dzięki tej okoliczności Karol pierwszy i jedyny przekroczył to koło odosobnienia i poszanowania, w którem Tirsa bezwiednie i naturalnie poruszała się między kolegami na uniwersytecie i między znajomymi w towarzystwie.

Lecz nie o tem wszak chciała w tej chwili myśleć. Wszakże chciała znaleźć odpowiedź na pytanie: co w jej dotychczasowym stosunku do Karola usprawiedliwiało i tłómaczyło jego autokratyczne zapędy?

Nie ulegało wątpliwości, iż jego dyktatorskie zamiary wynikały z zaborczości jego charakteru. Lecz z drugiej strony, to, że ona dopiero dziś poczynała sobie uświadamiać te cechy w charakterze Karola, było konsekwentnem następstwem tej roli, jaką ona sama grała w tej tak zwanej „miłości“. Teraz, zdala od Karola, zdala od ubocznych momentów, mącących spokojny pogląd na ich wzajemny stosunek, teraz widziała się Tirsa jasno w tem świetle, w jakiem, chcąc nie chcąc, musiał ją widzieć dotychczas stale Karol... Wszak dla niego niedwuznacznemi musiały być pobudki, dla których Tirsa zgodziła się odwiedzać go w jego pokoju. On, jako mężczyzna, dopatrujący się w każdym uczynku przyczyny i skutku, zdawał sobie chyba sprawę, dlaczego w pewnych tylko momentach szukała jego towarzystwa... On chyba wiedział, że ją

http://rcin.org.pl

ciągło ku niemu nie ciepło jego duszy, nie bogactwo jego intelektu, nie wewnętrzne lub zewnętrzne piękno.

Tak, tak, on wiedział... Bo inaczej, jakżeż możnaby sobie tłómaczyć ową pewność siebie, ową pewność, niedopuszczającą ani na chwilę myśli, że mogłaby się od niego pewnego dnia odwrócić. Czyż nie uśmiechał się prawie że lekceważąco, ilekroć, stojąc na progu i otrząsając się z tego, co za sobą pozostawiała, jak również z tego, co ze sobą zabierała, rzucała mu na pożegnanie stereotypowe już słowa. „Nie, nie przyjdę więcej...“ Tak on wiedział, on był pewny, że przyjdzie, że jest i pozostanie powolną jego woli — lalką... Tak, niczem innem jak tylko lalką.

I w gruncie rzeczy dziś, gdy tak jeszcze raz w szczegółach przeglądała ten zbiór podsuwanych przez pamięć obrazów z niedawnej jeszcze przeszłości, dziś widziała ku swemu wielkiemu upokorzeniu i niemałemu lękowi, że jej rola prawie że w niczem nie różniła się od roli tych Mizi, Stefi, Kati, od roli tych modystek i ekspedjentek z Leopoldsstadtu i Mariahilf, które w życiu towarzysko-seksualnem jej kolegów stanowiły główną pozycję... Jakżeż była zaślepiona, że dopiero dziś otwierały się jej oczy na tę bolesną, upokarzającą, lecz niemniej rzetelną prawdę!....

A może wina po jej tylko stronie?... To znaczy, nie tyle wina, ile nieodpowiednie, niecałkowite wypełnienie tej roli, która jej w stosunku do Karola przypadła w udziale?... A może Karol bez zastrzeżeń, ze wszystkiem, co było treścią jego ducha i fizycznej istoty, szedł ku niej i chciał cały skarb swego „ja“ ufnie złożyć w jej ręce? Może on wogóle nie był zdolny do innego rodzaju miłości?...

http://rcin.org.pl

A ona? Nie, tego była pewną. Gdyby w jej dotychczasowym stosunku do Karola zamykało się wszystko (czego sama żądać i co czynić była w stanie), nie widziałaby na dalekim widnokręgu rozkwitających ogrodów, nie odczuwałaby tak boleśnie pustych przestrzeni w swem wnętrzu, nie żałowałaby tych niewypełnionych miejsc na szachownicy swego życia, nie opłakiwałaby tych niespełnionych marzeń i niewykorzystanych posunięć ku innemu. pełniejszemu, idealniejszemu szczęściu...

A może przyczyny tego wszystkiego szukać należy w tem, że ona z natury rzeczy była istotą bierną, powolną obcej, silnej woli i że jedynie w stosunku do ludzi, których istotnie kochała, jak na przykład w stosunku do ojca, zdobywała się na energję i własnowolne określanie swych uczynków?... Tak, to prawda. Jej wola szła poprzez serce, a nie poprzez rozum.

Tak, ona była naturą bierną. Wystarczyło, by zjawił się ktoś z silniejszą bodaj trochę wolą, a już szła za nim, jak lunatyk za swemi sennemi zwidzeniami... Czyż nie ustępowała Karolowi na każdym kroku w sprawach od ich „miłości" zupełnie niezależnych? Wszak nigdy nie przeciwstawiała się otwarcie jego egocentrycznym poglądom na życie, nie wyrażała swego niezadowolenia z jego nieodpowiedniego ubierania się i niestosownego zachowania się w towarzystwie. Nigdy nie starała się zwalczać właściwej mu skłonności do pogardzania ludźmi, stojącymi niżej od niego intelektualnie lub socjalnie. Stale przyjmowała bez protestu jego wzgardliwe podnoszenie ramion na sztukę, piękno, poezję, muzykę, jednem słowem na wszystko, co nie było bezpośrednio związane z jego przy-

http://rcin.org.pl

szłym zawodem i obecną walką o dostateczną liczbę godzin korepetycji.

Przypomniała sobie w tej chwili ich wspólną wycieczkę do Rax. Było to na wakacjach po pierwszym roku jej studjów uniwersyteckich. Szli poprzez góry i lasy do Badenu, a następnie wśród ulewnego deszczu, cesarskim gościńcem, wrzynającym się między wysokie góry. Jakież to sceny wyprawiał, gdy pierwszy raz od czasu ich wzajemnej znajomości zdobyła się na ton stanowczy i nie zgodziła się na zamieszkanie we wspólnym pokoju!... Dziwne, jak z całej tej wycieczki pozostało jedyne wspomnienie wielkiego lasu, szeleszczących podczas pochodu liści dębowych, poryku pasących się gdzieś krów, i pobrzęku dzwonków na szczytach mgłą zakrytych gór. Równocześnie z tem trwał obraz owej nieprzeniknionej, gęstej, jak mokra płachta na ciało kładącej się mgły, oraz wspomnienie otworu okiennego bez kwater, wychodzącego gdzieś na dymiące się zbocze góry, a zamykającego się zieloną okiennicą.

W tym to hotelu chciała Tirsa sama kilka dni przeczekać, aż do zagojenia się odparzonych nóg. Atoli Karol tak długo nalegał, aż zmusił ją do ubrania bucików na obolałe stopy. Skutek był ten, że w pół godziny później usiadła w przydrożnym rowie, nie mogąc ruszyć nogą. Karol musiał wracać do hotelu. Wynajętą we wsi furą przewiózł ją do najbliższej stacji kolejowej, a następnie pociągiem do Wiednia. Jakże się wtedy irytował i jak to wyraźnie wtedy, poprzez gniew, wywołany pokrzyżowaniem planu wycieczki, przejawiał się jego egoistyczny charakter...

http://rcin.org.pl

— Tak, tak. W niezbyt różowem świetle widziała go dziś, gdy, przebywając zdala od niego, mogła objektywnie potrzeć na ich wzajemny do siebie stosunek. Jeśli jednak już dziś był despotą, jakimże się okaże później, gdy codzienność życia usunie z ich obopólnego stosunku resztki względów!... Czyż nie obserwowała w swem wiedeńskiem otoczeniu, jak najczulsi narzeczeni i kochankowie krótki czas po ślubie przeobrażali się w bezwzględnych panów domu, w małżonków, dla których żona istniała tylko jako bezpłatna służąca, jako niewolnica bez własnych potrzeb duchowych i materjalnych!...

— Nie, lepiej o tem nie myśleć! Przyjedzie — zobaczymy. Na razie zrobi to, co postanowiła.

Tirsa westchnęła. Schowała list do biurka i przebrawszy się, pogłaskała po głowie proszącego się o pieszczotę Hektora.

— Leż, kochanku. Nie mogę cię zabrać. Pilnuj mieszkania, aż Leja przyjdzie. Czy rozumiesz?

Pies wyczuł z tonu odmowę. Popatrzył smutno w oczy Tirsy, spuścił ogon i znów apatycznie ułożył się u stóp szerokiej kanapy, podścieliwszy przednie nogi pod swą kudłatą, a kształtną głowę.

Była godzina czwarta. Z Martwego Morza zerwał się chłodny wietrzyk i wśród tumanów kurzu zmiatał gorące fale z nad rozpalonego bruku. Niemniej promienie słońca były tak silne, iż światło raniło oczy jakgdyby szkłem. Tirsa założyła czarne okulary, przeszła przez pusty plac, a następnie ulicą Jafską wgórę ku rosyjskiemu kościołowi. Znajdujący się na placu Rosyjskim mały gaj młodych drzewek szpilkowych szumiał smętnie, starając się napróżno oczyścić swą zieloną szatę z grubej, białej warstwy prochu.

http://rcin.org.pl

Minąwszy wielki budynek rządowy oraz Zakład żydowskich sierot, znalazła się Tirsa przed szpitalem Hadassy. Na froncie stały niskie budynki mieszczące aptekę, magazyny i sekretarjat, a nieco w głębi, w pośrodku suchotniczych świerków, drzew morwowych, akacyj i sykomor, wznosił się główny, dwupiętrowy, budynek szpitalny. W cieniu drzew leżeli na żelaznych łóżkach, lub siedzieli na leżakach rekonwalescenci, w długich, krasiatych chałatach. Golone głowy, zapadłe oczy i policzki, bezkrwiste, bezsilne ręce świadczyły o świeżo przebytej chorobie.

Podawszy portjerowi cel swej wizyty, musiała Tirsa dłuższy czas czekać w korytarzu, gdyż Dr. Kraft zajęty był na sali operacyjnej. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach szpitalny, woń karbolu, wody kolońskiej, przypalonej ceraty i jakby gdzieś, w zakamarkach rozkładającego się mięsa.

Poprzez otwarte drzwi widać było żółte, cierpieniem znaczone twarze chorych. Od czasu do czasu spiesznym krokiem przechodziły siostry z białemi, sztywnie wyprasowanemi żetonami na głowie, wychodzili i wchodzili sanitarjusze i lekarze w białych płaszczach. Gdzieś w głębi chłodnych korytarzy, jakby z dalekich piwnic dochodziło kwilenie niemowląt, przytłumiony krzyk rodzących kobiet, zgrzyt uginających się pod krokami starych, drewnianych stopni, miarowy stuk pompy studziennej w podwórzu.

— Co ja widzę?... Pani tutaj, panno Lampel?

Tirsa była przygotowana na to zdziwienie Krafta, wywołane jej odwiedzinami. A że Kraft był wielce tą jej niespodziewaną wizytą zaskoczony, widać już było choćby z tego, że zapomniał swych angielskich wstęp-

http://rcin.org.pl

nych słów, i że nazywał ją po nazwisku, a nie jak dotychczas stale po imieniu.

— Co panią tu sprowadziło? Chyba nie choruje ktoś u was w domu?!... Proszę pozwolić do mej kancelarji. Proszę siadać i opowiadać. Which is your business?

— W sam raz, panie doktorze, powiedziałeś. Przychodzę bowiem zupełnie interesownie.

— O, proszę!

— Otóż nie chcę panu zajmować dużo czasu i dlatego pokrótce chcę panu powiedzieć, o co mi chodzi. Chciałabym mianowicie coś tu w Jerozolimie robić. Nie mogę już dłużej chodzić bezczynnie... W mych rozmyślaniach nad różnemi możliwościami pracy, zdawało mi się, iż najodpowiedniejszą byłaby dla mnie praca siostry w Hadassie... Wiem, panie doktorze, o wszystkich trudnościach i formalnościach. I właśnie dlatego postanowiłam się do pana zwrócić z prośbą o radę. Mam dwa lata medycyny na wiedeńskim uniwersytecie, mówię po angielsku, trochę już także po hebrajsku. Powiedziano mi, że gdybym się zgodziła na pracę bezpłatną...

— Rozumiem, o co pani chodzi... Sprawa nie jest jednak łatwą. Sądzę, no tak... przypuszczam... że się jednak da coś zrobić. To, że pani mówi po angielsku, ma wielkie znaczenie, a oprócz tego pani wyższe wykształcenie też wiele znaczy. Bo my tu, lekarze, a przedewszystkiem siostry, nie grzeszymy zbyt wielką inteligencją. Tak, tak. Nawał pracy, brak czasu, surowy materjał... Powiada pani, że bezpłatnie, to też coś znaczy. No, naturalnie na początek, a później jakoś to się zrobi... Otóż ja osobiście nie decyduję. Jest jeszcze wyższy „komendant“ ode mnie. Dlatego nie za-

http://rcin.org.pl

pewniam... Proszę napisać podanie, załączyć świadectwo, curriculum vitae i wnieść do sekretarjatu. Resztę proszę mnie zostawić. Odpowiedź nieoficjalną podam pani przez Muszkę... O! Na śmierć zapomniałem... Biedna kobieta... No, jakoś się z panią skomunikuję... Wybaczy pani, że tak pani na gwałt się pozbywam, ale muszę jeszcze obejść dwie sale.... A zatem do widzenia. Podanie proszę wnieść jak najprędzej! Nie zwlekać... Pozdrowienie dla ojca... Jakże tam z jego blachą?... Mieszkacie już w mieście?... Wybieram się do was już dawno, ale tak jakoś schodzi czas... Do widzenia panno Tirso... na sali operacyjnej.

A więc — myślała Tirsa, znalazłszy się na ulicy — poszło o wiele łatwiej, niż sobie wyobrażała. Może za tydzień, lub dwa będzie dnie i noce spędzała w tym szarym budynku i będzie jej danem nieść ulgę biedakom... Nowy rozdział w życiu... A może zacznie zarabiać?!... O, jakżeby chciała zarobić sobie na minimum tego, co potrzebnem jest do życia! Nie być zależną od drugich. Znaleźć się na równej platformie z tylu a tylu dziewczętami w jej wieku!... Nie uchodzić wiecznie za tę bogatą pannę na wydaniu!... A przedewszystkiem mieć cel przed sobą; wypełnić czas pożytecznie nietylko dla siebie i ojca, ale i dla drugich... Jakże to mówił Arjeh: „Tu w Palestynie kończy się życie osobiste jednostki, a rozpoczyna się jej społeczny i narodowy obowiązek. Kto tego nie rozumie, ten przeżywa tragedję"... Tak, to prawda, złota prawda!... Wszyscy oni tu tak żyją i swoje osobiste sprawy podporządkowują sprawie ogólnej. A kto tego nie umie, ten cierpi...

Co też Arjeh powie, gdy się dowie, że wstąpiła do Hadassy?... Jakże się cieszy tem, że zrówna się pod względem towarzyskim i społecznym z tymi, jak ich

http://rcin.org.pl

malarz Ackermann nazywa, „klasztornikami“ z gdudu. O, pracy się nie boi! Jeżeli ją tylko przyjmą, a ze słów Krafta odniosła wrażenie, że wszystko przemawia za przyjęciem — dołoży wszelkich starań, by udowodnić, iż nie dla jakiegoś kaprysu wstąpiła... Tak, dołoży wszelkich starań, by Kraft nie żałował użyczonego jej poparcia.

Czy też to prawdą jest, że cały szpital żyje intrygą? Któż jej o tem opowiadał?... A, Szoszana. Lecz czy nie odpowiedział jej wtedy trafnie Uri: „Intryga jest jak pokrzywa; ująć umiejętnie ręką, a nie parzy“. Czy ona będzie umiała odpowiednio ręce układać?... A, co tam! Będzie pracowała! Niech sobie intrygują...

Oh, jakże się cieszy! Już dawno nie doznała takiego uczucia radości... Dokąd teraz pójść? Godzina 5-ta. O godzinie 6-tej ma się z Szoszaną spotkać przed pocztą. Co robić z czasem?... Dziwne to miasto, ta Jerozolima. Niema nigdzie ławki, lub ogrodu, by spocząć, ani nawet kawiarni, do którejby można było wejść i przeczekać!

Z braku konkretnego celu poszła Tirsa prosto przed siebie. Przeszła obok nowo wykończonego szpitala Bikur Cholim, skręciła na prawo w kierunku ku Bejt Am, a następnie koło Szkoły Lemel weszła we wyboiste uliczki żydowskiej dzielnicy Zichron Mosze. Tu stara Jerozolima przechodziła bezpośrednio w nowoczesną część miasta. Stały tu parterowe, kamienne domki z małemi ogródkami, zwróconemi ku wyboistym, niby skiba w skale zaoranym ulicom. Tu i ówdzie wyłaniało się z nawierzchni ulicy coś, co przypominało chodnik.

Blaszane zbiorniki, ustawione na płaskich dachach domów, wskazywały na to, iż mieszkańcy używali wo-

http://rcin.org.pl

dy z własnego, dzielnicowego wodociągu. Idąc na obwodzie wielkiego podwórza, otoczonego kamiennym parkanem, znalazła się Tirsa niespodzianie na głównej ulicy Jafskiej, w pobliżu zakładu dla obłąkanych. Tirsa nie byłaby się może zorjentowała, gdzie się właściwie znajduje, gdyby nie wielka liczba automobili, krzyżujących się z licznym tłumem piechurów.

Zbliżał się wieczór. Słońce, zachodzące za góry Efraim, wydało się olbrzymim balonem, z którego wylewała się czerwona ciecz na skrawek zielonkowatego nieba, zawieszonego nod dzielnicami Bejt Hakerem i Bejt we Gan. W dali, w drżeniu wibrującego powietrza, w gęstniejącym nagle mroku, zdawały się podmiejskie wzgórza unosić ku ciemniejącemu niebu. — Z doliny zawiał chłodny, wieczorny wiatr.

Otuliwszy się szczelniej włóczkowym szalem, pospieszyła Tirsa w kierunku poczty. Tu czekała już na nią Szoszana.

— No, Tirso, jak wypadła twoja wizyta u Krafta?

— Tirsa opowiedziała szczegółowo przyjęcie, jakiego doznała, a Szoszana, wysłuchawszy relacji, wyraziła zupełną pewność pomyślnego załatwienia sprawy.

— Nie potrzebuję ci mówić — kończyła Szoszana — jak bardzo się cieszę, że i ty znajdziesz pracę. Zwłaszcza teraz, po wyjeździe Muszki. Nie miałabyś nikogo. Ale właściwie jeszcze mi nie opowiedziałaś, jak się Muszka urządziła w Tel-Awiwie i czy już całkowicie przebolała rozstanie.

— Ja wiem tylko tyle, ile ojciec mój mi opowiedział.

— Podobno ojciec twój dał jej potrzebne pieniądze.

http://rcin.org.pl

— Tego ojciec mi nie mówił, ale przypuszczam, że tak. Wszak musiało się jej pomóc... Za wynajęcie pensjonatu trzeba było za rok zgóry zapłacić. Urządzenie również kosztuje. Od Herbsta nic nie chce wziąć, dopóki formalności rozwodowe nie będą załatwione. A zresztą, co on może jej dać! Chyba, że sprzeda meble.

— Dziwna rzecz, jak to prędko poszło. Uri mówi, że prędzej i łatwiej się rozwieść, niż się znaleść i połączyć. Lecz ja tu gadu, gadu, a zapominam wytłómaczyć ci, dlaczego posłałam tę kartkę z zaproszeniem na to miejsce. Otóż chciałam, żebyś poszła ze mną do Arjego.

— ? ? ?

— Ot, widzisz, jakby ci to wytłómaczyć, stało mu się małe nieszczęście... O, nic wielkiego... Niema powodu do niepokoju. Lecz najlepiej będzie, jeśli ci opowiem po porządku... Otóż: wspominałam ci niedawno o tem, że Arabowie urządzają sobie ostatnio sport i napadają na samotnie idące dziewczęta.

— Na dziewczęta z gdudu?

— Przeważnie na nasze, ale i inne też... Kilka razy się to już przytrafiło, zwłaszcza w miejscu między budynkiem Becalelu, a owym placem budowlanym, który ci raz pokazywałam... Przed trzema dniami chcieli wracającą z miasta Stefkę wciągnąć do auta. Na szczęście Stefka nie straciła głowy i na jej krzyk wylecieli nasi z baraku. Naturalnie auto z Arabami zdołało w międzyczasie w ciemnościach zniknąć. Otóż wczoraj wieczór siedzimy z Urim w naszym pokoju i czytamy, aż tu nagle przylatuje Wiera i przestraszona woła: „Prędko, prędko. Chodźcie! Arjeh jest ranny!“ Polecieliśmy do jej pokoju i przedstaw sobie tę komiczną

http://rcin.org.pl

scenę. Na krześle siedzi Arjeh, ubrany w kobiecy strój i stara się jedną ręką ściągnąć ze siebie bluzkę. Zdjęłam z niego bluzkę i koszulę. Miał koło łopatki krwawiącą ranę. Uriego posłałam po Rubina, a sama oczyściłam i opatrzyłam ranę. Gdy przybiegł Rubin i oglądnął ranę, oświadczył, że niema żadnego niebezpieczeństwa, lecz do dwóch tygodni pacjent nie będzie mógł ręką ruszać.

— Ale skąd rana? Kto mu ją zadał? W jakich warunkach?

— Właśnie o tem chciałam mówić. Otóż słysząc o powtarzających się napadach, szalony ten człowiek postanowił sam zapobiec dalszym napaściom i to w dziwny sposób. Nie mówiąc nic nikomu, poszedł do naszego magazynu z odzieżą, dobrał sobie strój niewieści, u swej gospodyni zabrał cichcem kapelusz i parasolkę. Tak się przebrawszy, poszedł sobie już o zmroku na spacer w kierunku Becalelu. Niedługo czekał. Za chwilę nadjechało zamknięte auto, w którem siedziało dwóch młodych Arabów. Gdy auto przejeżdżało koło spacerującego Arjego, zwolniło tempa, a Arabowie wysiadłszy, zbliżyli się do Arjego, zarzucili mu abaję na głowę i wciągnęli go do auta... Pewni swej zdobyczy, zawrócili i galopem poczęli jechać w stronę greckiej kolonji... Naturalnie Arjeh nie czekał, aż przyjadą na miejsce, lecz jednego Araba ubezwładnił uderzeniem w brzuch, a drugiemu wykręcił rękę i bijąc go po twarzy, dał mu po arabsku do zrozumienia, by się drugi raz nie ważył napadać na żydowskie dziewczęta. Zajęty jednak swymi towarzyszami, nie zauważył, że auto przystanęło i że szofer zbliżył się do zamkniętej karosjery. Gdy drzwiczki się otworzyły, a Arjeh się odwrócił, poczuł silny ból w plecach. Zo-

http://rcin.org.pl

stawiwszy Arabów w aucie, pochwycił szofera za rękę gotową do drugiego uderzenia, palnął go pięścią między oczy i nie czekając, aż obalony szofer podniesie się z ziemi, skoczył w bok, w mrok przydrożnej parceli.

Tirsa, słuchając z drżeniem opowiadania Szoszany, czuła, jak powoli odprężało się w niej zastygłe na chwilę z lęku życie. Mechanicznie zaś powtarzała:

— Co za lekkomyślność, co za lekkomyślność!

— Naturalnie, — potwierdziła Szoszana — że lekkomyślność. Mogliby go byli tam zakatrupić i ani mysz by była nie wiedziała. Uri też go strasznie zbeształ. Naturalnie, że to nic nie pomoże. Ten człowiek już się nie zmieni... A więc pomyślałam sobie: zawiadomię ciebie i pójdziemy razem go odwiedzić.

— Jakto — pytała zdziwiona Tirsa. — Czy on nie leży u was w baraku?

— Ależ, gdzie tam!... Ledwo go przebrali, uparł się, iż musi iść do domu i nie chciał w żaden sposób pozostać. Mówię ci, chłopak ten jest ze żelaza, a przytem uparty, jak... no, jednem słowem, nie do wytrzymania.

— Słuchaj Szoszano, czy się nie obrazi, gdy mu zaniesiemy wina, owoców lub słodyczy?

— Wina i słodyczy?... Szkoda nosić. Wszak ci opowiadałam, że on żyje jak asceta. A owoce? Może; przypuszczam, że nie wyrzuci..

Tirsa kupiła wczesnych w tym roku winogron i wraz z Szoszaną wprost z ulicy Jafskiej, wąskim przesmykiem ulicznym, po stromych schodach, zeszły wdół, w dolinę Kufurje. Idąc, trzymały się za ręce, by nie potknąć się o wystające kamienie, a ze względu na zupełną ciemność, kierowały się instynktem, dotykając od czasu do czasu ścian domów. Wreszcie Szoszana

http://rcin.org.pl

uznała, że należy wejść do małego, kwadratowego, o kilka stopni niżej położonego podwórza. Na podwórze to wychodziło kilkoro drzwi i kilka słabo oświetlonych okien. Do jednych z tych drzwi zapukała Szoszana.

Wszedłszy, zastały Arjego, siedzącego na łóżku.

Pokój był niski i kwadratowy. Było w nim jedno małe okno okratowane, przysłonięte poruszającą się na wietrze firanką. Na stoliku pod oknem stała lampka naftowa, ocieniona sporządzoną z gazety umbrą. Światło lampy skąpo się udzielało rysującym się niewyraźnie po kątach przedmiotom. Umywalka z blaszaną miednicą i szklanną karafką w pośrodku; coś w rodzaju otwartej, prześcieradłem zasłoniętej szafy; półka z książkami i nieodcyfrowane cienie, przysłaniające resztę ścian.

Arjeh wydał się Tirsie nieco bledszy, niż zazwyczaj. Prawą rękę trzymał na temblaku. Po całem zaś jego zachowaniu nie było poznać jakiegokolwiek zdziwienia z tytułu tej niespodziewanej wizyty. Najnaturalniejszym swym głosem przywitał Tirsę i Szoszanę. Tirsa usiadła na krześle, podczas gdy Szoszana zajęła miejsce na łóżku.

— Jakże z twoją raną? — dopytywała się Szoszana — Tirso, potrzymaj lampę, a ja mu zmienię opatrunek.

Podczas zmiany opatrunku, Arjeh, zaciśnąwszy zęby, nie odpowiadał w zupełności na pytania Szoszany, odnoszące się do jakichś wewnętrznych spraw gdudu. Dopiero, gdy Szoszana uporała się ze swem zadaniem, a Arjeh, ubrawszy koszulę, widocznie zmęczony, oparł się o żelazną poręcz łóżka, odpowiadał na poprzednie pytania Szoszany. Równocześnie i on sam

http://rcin.org.pl

domagał się ze swej strony różnych wyjaśnień, odnoszących się do niezrozumiałych dla Tirsy wydarzeń, jakie zaszły ostatniemi czasy w wewnętrznem życiu gdudu.

Tirsa wprawdzie już od dłuższego czasu obserwowała, iż coś dzieje się w gdudzie, coś, co skrzętnie przed nią ukrywano. Miała wrażenie, że tworzyły się jakieś konflikty natury organizacyjnej, czy też gospodarczej. Nie rozumiała jednak na tyle po hebrajsku, by uchwycić właściwy wątek problemu. Atoli z zachowania się Szoszany, Uriego, jej nauczyciela Dubińskiego oraz innych członków gdudu, z którymi często się ostatnio stykała, wnosiła, iż coś się psuje w tem państwie „duńskiem". Już niejednokrotnie chciała prosić Szoszanę o wyjaśnienie. Zdawało się jej jednak, iż mimo ów serdeczny stosunek, który łączył ją z Szoszaną, stosunek, który tu na gruncie jerozolimskim jeszcze bardziej się zacieśnił, że mimo to, Szoszana niechętnie wyjawiłaby przed nią jakikolwiek, choćby najdrobniejszy szczegół z tajemnicy swego zrzeszenia. Pod tym względem była obcym człowiekiem, nie należącym do „sprawy". Do tego punktu widzenia gdudowców, przejawiającego się niejednokrotnie w dyskusji z Dubińskim i Szoszaną, miała Tirsa sposobność powoli się przyzwyczaić... Kto nie był członkiem gdudu, był jego wrogiem, a w najlepszym wypadku podejrzanym o wrogi dla sprawy gdudowej stosunek... Nie wierzono i nie ufano nikomu... Ilekroć mówiła o tem z Dubińskim, ten jej tę właściwość gdudowców w interesujący tłómaczył sposób: „My, proszę ciebie, jesteśmy jakgdyby w twierdzy, osaczeni ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół. Jest nas mało i uzbrojenie nasze jest niedostateczne. Musimy się strzec. A pierwszym skutecznym

http://rcin.org.pl

warunkiem strażowania jest — nieufność. Zaletę tę dziedziczymy od naszych ojczymów bolszewików i od naszych rodziców Żydów. Nie ufamy nawet naszym przyjaciołom".

Dalsze rozmyślania Tirsy na ten temat przerwał Arjeh pytaniem:

— Dlaczego Tirso, nie przyprowadziłaś Hektora?

— Nie wiedziałam, że tu przyjdę. Ale powiedz mi, jak można być tak lekkomyślnym i, zamiast pójść na policję, narażać życie dla błahostki?

— Mylisz się Tirso co do obu rzeczy. Policja, nawet gdyby miała dobrą wolę, niczby w tym wypadku nie zrobiła, ponieważ Arabowie nie daliby się przyłapać. Powtóre nie jest to błahostka. Tu chodzi nie tyle o bezpieczeństwo naszych dziewcząt, ile o stłumienie choroby w samym zarodku.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Otóż, sprawę trzeba ująć z ogólniejszego punktu widzenia. Arab jest, jak każdy człowiek, tym odważniejszym, im słabszym jest przeciwnik. To też natrafiwszy na tchórzliwego, lub ustępliwego przeciwnika, zacznie od polowania na dziewczęta, a skończyć może — nie wiadomo na czem... Jeżeli jednak wie, że przeciwnik się będzie bronił i że przytem może sam coś oberwać, daje za wygraną... A ponadto, Arab jest jeszcze prymitywnym człowiekiem. Dla niego to polowanie na żydowskie dziewczęta jest emocją, podobną do tej, którą przeżywa Beduin, galopujący na półdzikim koniu. On lubi, by mu niebezpieczeństwo wiało w twarz. Ten sport jednak tak długo uprawia, jak długo nie uświadomi sobie złączonych z tym sportem bolesnych skutków. Policja, więzienie, to dlań mało. Jedynie porządne l a n i e zdoła go na dłuższy czas

http://rcin.org.pl

wstrzymać od podobnych wybryków... Ale niema właściwie o czem mówić. Dostali swoje i będą siedzieć cicho... Przynajmniej jakiś czas... Powiedz mi raczej, co porabia twoja przyjaciółka, Muszka? Czy masz od niej jakie wiadomości?

— Tylko tyle, że ma już pełny pensjonat.

— Przy której ulicy znajduje się ten pensjonat? Może czasem będę mógł jej dostarczyć jakichś turystów, poszukujących w Tel-Awiwie pensjonatu.

— Przy ulicy Balfoura, liczba 8.

— A czy z Herbstem już zerwano ostatecznie i nieodwołalnie?

— Przypuszczam — wyręczyła Szoszana Tirsę w odpowiedzi. — Gdyby jeszcze do niego wróciła, nie mówiłabym więcej z nią. Taki drań! Z Arabkami romanse!... Tego jeszcze brakowało!...

— Szoszano droga, — zareagował na ten epitet oburzenia Arjeh — każdy z nas jest draniem w gruncie swej natury. Jeden tylko mniej skrytym, lub obłudnym, a drugi więcej. Jeden więcej panuje nad sobą, a drugi mniej..

— Może masz rację, Arjeh, ale...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Na „bwakasza“ *) Arjego zabłysła we drzwiach pochylona łysina młodego, wysokiego, prawie że głową sufitu sięgającego mężczyzny. Skórzana kurtka i czarna, wysoko pod szyją zapięta koszula świadczyły, że gość jest członkiem albo kwucy, albo gdudu.

— Szalom, Arjeh!

— Patrzcie się, Fredek! A ty co tu robisz? Nie znacie się? Fredek Grün z Kirjat Anawim... Szoszana, Tirsa.

*) Bwakasza — po hebrajsku, proszę.

http://rcin.org.pl

— Co tu robię? Przyjechałem w sprawach naszego osiedla. Mam do pogadania z panami z Centrali Rolniczej i z Funduszu Narodowego... Słyszałem w gdudzie, żeś podobno chory, więc przyszedłem cię odwiedzić. No, ale widzę, że nie w porę przyszedłem.

— Ależ, nie zawracaj gitary. Nikomu nie przeszkadzasz. Siadaj obok Szoszany i opowiadaj! Co u was słychać? Jak tam się mają wasze winogrona, wasze krowy i wasze dzieci?

— Eh, co tu gadać. Przecież wiesz. Przed dwoma laty zasadziliśmy najlepszą francuską latorośl winną. Teraz się pokazuje, że to, co się rodzi, jest małe i kwaśne. A pracujemy, jak muły. Od 6 rano do 6 wieczór, a wciąż mamy deficyt. Djabeł siedzi w tym przeklętym, skalnym gruncie.

— Jakto, przecież mieliście instruktora. O ile pamiętam, był tam Zagrodzki.

— Był. Zrobiliśmy tarasy na stokach, a zapomnieliśmy o drobnostce; zapomnieliśmy o tem, że nie wolno wrzynać się w stoki, lecz że trzeba tarasy robić za spadkiem. Skutek: lada wiaterek zasypuje nam winnice.

— O, wy nieboraki! A co z wodą? Skończono już rezerwoar? Macie wody poddostatkiem? — dopytywał się w dalszym ciągu Arjeh.

— O ile się nie mylę, to ostatni raz, jak byłeś u nas, kończono zbiornik. Tak? A więc z trudem uporaliśmy się z robotą przed deszczami. Nałapaliśmy 600 m^3 wody i byliśmy szczęśliwi. Myśleliśmy: przynajmniej jedna bieda się skończy. Aż tu ledwie deszcze ustały, stwierdzamy z przerażeniem, że woda w rezerwoarze opada. Badamy, szukamy i koniec końcem okazuje się, że zbiornik nie jest szczelny.

http://rcin.org.pl

— I cóżeście zrobili?

— A nic! Ażeby zbiornik uszczelnić, trzeba było wodę całkowicie wypuścić. A ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa Pan Bóg dla nas nie zechce przed zimą specjalnego urządzić deszczu, więc tego roku znów — i to już wkrótce, jak tylko nasze suchotnicze źródełko całkowicie wyschnie — trzeba będzie kupować wodę u Arabów. 3 £ miesięcznie i to 3 £ wydane gotówką, a nie asygnatami papierowemi.

— No, no. Nie narzekaj. Wy w kwucy już całkiem się upodabniacie do chłopów. Nic, tylko skargi i żale. Jestem przekonany, że nawet, gdy wam urosną tłuste brzuchy, jak pardesanom z Petach Tikwy, wtedy nawet nie przestaniecie płakać, że wam bieda dokucza. Grunt! Roboty wam nie brak?

— Jest jej aż zanadto.

— Ot widzisz; to ważne... Dopóki jest robota, jest życie i nadzieja lepszych czasów... Zacisnąć zęby i trwać...

— E, dobrze ci gadać. — Siedzisz w aucie i zbierasz hopy od turystów. A my?... A zresztą — wszystko jedno. Co będzie, to będzie.. Więc cóż ci to właściwie?

Arjeh w krótkich zdaniach opowiedział przebieg wypadku, traktując przytem swoją osobę, jako czynnik uboczny. Tirsie wydało się dziwnem, że i Grün do całego wydarzenia nie przykładał większej wagi. W toku dalszej rozmowy okazało się niespodzianie, że wielu z pośród wiedeńskich znajomych Tirsy należało również do koła znajomych Grüna, gdyż przed przyjazdem do Palestyny studjował Grün filozofję na uniwersytecie we Wiedniu. To też, kiedy Grün przy odejściu zaprosił Tirsę do Kirjat Anawim, Tirsa chętnie zaproszenie przyjęła.

http://rcin.org.pl

MIASTO.

Tirsa, wysiadłszy z auta na ulicy Herzla, postanowiła przejść się po mieście, zanim zagości u Muszki.

Pół roku blisko minęło, jak była po raz pierwszy i ostatni w Tel-Awiwie. Pobieżnie wtedy zwiedziła to miasto. Wtedy Tel-Awiw, ze względu na rozłożone na każdym miejscu cegły, deski i piasek, zrobił na niej wrażenie wielkiej, w budowie będącej fabryki. Przypomniała sobie, jakto po przyjeździe, z braku pomieszczenia w hotelu, zamieszkali z ojcem w jakimś podrzędnym, zaimprowizowanym „pensjonacie" w jednym pokoju. Przez „pensjonat" przewijały się podejrzane figury z Polski, Ameryki, Rumunji. — Atmosfera w pokojach przesiąknięta była zapachem śledzi i cebuli, a serwety stołowe wydały się Tirsie jakgdyby już poprzednio przez kogoś były używane. I jakkolwiek ojciec nie mógł się nachwalić jedzenia, ludzi i miasta, przecież na prośby Tirsy wyjechali już po dwudniowym pobycie z postanowieniem zamieszkania w Jerozolimie.

Od tego czasu prawie że nie ruszyła się poza obręb Jerozolimy. I dopiero teraz, stojąc na skrzyżowaniu się dwóch ruchliwych ulic i czekając na możność przejścia na przeciwległy chodnik, odczuła Tirsa, iż pobyt w kamienistej, wysoko na górach rozłożonej Jerozolimie, nie przeszedł u niej bez śladu. Oddychając lekką atmosferą tego skrzącego się od życia miasta, miała wrażenie, że ktoś zdjął nagle z niej ciężar, który nieświadomie dźwigała. Coś przytłaczającego i krępującego opadło nagle z jej ramion. Pierś swobodniej oddychała, jak u człowieka, który z przepełnionego,

http://rcin.org.pl

dusznego, zadymionego lokalu wydostał się bezpośrednio w góry, okryte gęstym, szpilkowym lasem.

Rzecz dziwna. Dla niej, która nie tak dawno swobodnie poruszała się po najruchliwszych ulicach Wiednia, dziś to przejście z jednej strony na drugą, w tej małej w gruncie rzeczy mieścinie, wydało się ryzykownem przedsięwzięciem. Oszałamiała ją ta fala ludzi i te wielkie wystawowe szyby sklepowe; onieśmielały ją te betonowe, gładkie, proste bruki i ulice, niepokoiły te upudrowane, wystrojone damy, peszyli ci pewni siebie, po rogach wystający młodzieńcy. Nie wiedziała, co począć z rękoma i głową. Miała uczucie chłopki, która z odludnej wsi przyjechała do wielkiego miasta... Uczyniwszy w myśli to porównanie, uśmiechnęła się sama do siebie. Uśmiech ten zrozumiał na swój sposób, jeden z pośród owych młodych ludzi, wystających przed kioskiem z wodą sodową, gdyż w sposób układny, a zarazem wielce obiecujący, w sposób któregoby się nie powstydził i rodowity Wiedeńczyk na Grabenie, starał się z Tirsą zawrzeć znajomość. Tirsa odpowiedziała mu na chybił trafił po francusku, co rycerza tak zbiło z tropu, iż Tirsa, korzystając z jego zdumienia, zdołała przejść poprzez ulicę i zmieszać się ze spieszącym w różne strony tłumem.

Tirsa przypomniała sobie, że morze leży po zachodniej stronie. Z początku orjentowała się według słońca, a następnie szerokością głównej ulicy i rosnącym poszumem morza. Szła i myślała:

Rzeczywiście, miasto to ma charakter zupełnie europejski. Szkoda!... A może i nie... Pewnem jest, że wyrosło ono nagle z piasków na podobieństwo okiści kwiatu, który przez noc rozwinął się ku uciesze swego właściciela. Od Jerozolimy różnił się Tel-Awiw tak

http://rcin.org.pl

gwałtownie, jak jego czerwoną i szarą dachówką kryte dachy różniły się od płaskich, arabskich tarasów Świętego Miasta. Lecz i tu, mimo europejską szatę, nie brak było oznak, iż tuż obok, kilkadziesiąt może kroków dalej, trwał Wschód ze swem prymitywnem, barwnem, egzotycznem środowiskiem, z pogrążoną w średniowiecznym jeszcze letargu ludnością.

Po betonowych bowiem, bielejących w słońcu ulicach, mimo sterczące w zadumie żelazne słupy elektrycznego światła, w pośrodku śmigających aut i autobusów, kroczyły poważnie, milcząco i majestatycznie jednogarbne wielbłądy, świadkowie biblijnych wydarzeń. Szły sznurem, wyciągając długie szyje, szurując szerokiemi stopami po betonowej nawierzchni, rozglądając się roztropnie po domach, ulicach i ludziach. Tirsę dziwiły liczne i wysokie sosny, rosnące po obu stronach domów. Tam zaś, gdzie ręka ludzka z braku czasu nie zdołała jeszcze przyozdobić zielenią brunatnego obrusa ziemi, tam z pośród murów pełzały na chodnik strugi żółtego piasku. Tirsie się wydało, że piasek ten, opanowany duchem opozycji, rósł przez noc, jak ciasto na drożdżach i wracał na miejsce, z którego go niedawno usunięto. Z pustych, nieoparkanionych i niezabudowanych jeszcze placów niósł się na chodniki, włazil między drzwi, rozkładał się na posadzkach i jak śnieg wiatrem pędzony, tworzył istne zadymki piaskowe na szczupłych podwórzach.

Nigdzie nie było śladu czarnoziemu. Gdzie nie wznosił się dom, lub barak, gdzie nie leżała twarda powłoka betonu, tam trwał piasek. A gdzie nie było piasku i domów, tam rozciągało się nieogarnięte okiem morze. Odnosiło się wrażenie, że z każdym nowowybudowanym domem cofało się morze, pozostawiając

http://rcin.org.pl

za sobą szmat przegranego terenu. Tak więc miasto było widomym znakiem zmagania się człowieka z elementami przyrody. A im bliżej ku morzu, tem wątpliwszym stawał się wynik tego zmagania. Dwa te bowiem żywioły, piasek i morze, zawarły, zda się, przymierze w walce z konstruktywnym wysiłkiem człowieka. Połączyły się, by wspólnemi siłami przeciwstawić się ludzkiej przebiegłości i zachłanności.

Takie też wrażenie odniosła Tirsa, gdy stanęła nad morzem, na szerokim, półokrągłym placu, w który rozlewała się główna ulica Tel-Awiwu. Tu bowiem, nad morzem niepodzielne rozciągało się królestwo piasku. Tu piasek był silniejszym i trwalszym, niż tam, między domami miasta. Żółtem, długiem, potężnem ramieniem otoczył pierś morza, cisząc ból i niepokój wiecznie ruchliwej fali. Mimo niezliczone wieki, mimo miljony ludzi i zwierząt, mimo burze i kataklizmy, które przeszły po jego elastycznej, lekko poddającej się powierzchni, nie znać było żadnego śladu na jego gładkiej powłoce. Powbijane nad brzegiem drewniane ławki również ochotnie właziły w chłodne i wilgotne wnętrze ziemi, znikając zwolna pod równą płachtą piasku.

Czego zaś ni zdołał zniweczyć piasek, tego dokonało morze. Ze zdumieniem stwierdzała Tirsa gigantyczną siłę tego żywiołu, skrępowanego szerokim pasem brzegu. Tuż bowiem obok wysokiego, w morze wchodzącego budynku, leżały poskręcane od naporu fali żelazne rury i sztaby, połamane i zardzewiałe resztki barjery, rozbite betonowe kanały. Ślady walki człowieka ze ślepym żywiołem.

A mimo wszystko przecież nie ulegało wątpliwości, że człowiek w końcu zwycięży. Rozbudowujące się

http://rcin.org.pl

bowiem miasto przystanęło wprawdzie nad morzem bezradne i bezsilne. Atoli wzdłuż brzegu, po lewej i po prawej ręce, poprzez wydmy piaszczyste, niby pełzające badyle winnej latorośli, poczęły się skradać pojedyncze, luźno rozstawione, szaraczkowe baraki, zdążające niewidocznym ruchem ku morzu. Już ciągnął się równolegle do brzegu sznur małych, niskich domków, sterczących z piasku niby domina ze stołowego blatu. Kamienne ich sześciany trwały dumnie nad morzem, twardo i zawzięcie broniąc zdobytego przez człowieka terenu.

Tak, to On był, On, upadający i dźwigający się Człowiek, On zwiewny, znikomy, słaby cień wszechświata, a przecież zwycięsko kroczący poprzez wszelkie trudności i czasy. Przed morzem słał tamy z betonu, przed piaskiem zasłaniał się zielenią, a słońca spiekotę witał kwieciem. Zdumiewającą była jego mrówcza zapobiegliwość, niezrównaną jego troskliwość o uproduktywnienie piaszczystych bezłogów, o użyźnienie tego gruntu, na którym mimo wszystko On, jako jednostka, lec z czasem musiał pokonany przez swego odwiecznego wroga — śmierć.

Gdy Tirsa spojrzała za siebie, na wznoszące się lekko ku górze miasto, zdziwiły ją liczne plamy zieleni, przysłaniającej goleniznę podwórzy. Długolistne banany okrywały dachy baraków, rozłożyste wierzchołki akacji i drzew pieprzowych spozierały zponad domków na morze, niebiesko-różowe dzwonki powoju pięły się na ganki, zaglądając w okna i tarasy. Tu, odmiennie niż w Jerozolimie, dokonywał się pod wpływem słonecznych promieni cudownie szybki proces przyjmowania się drzew, rozwijania się kwiatów, powstawania ogrodów. Ileż to na przykład trudu kosztowało

http://rcin.org.pl

jej gospodarza w Talpjot zasadzenie i utrzymanie przy życiu jednego krzewu róży!... A tu z szybkością ustawianych na scenie dekoracji tworzyły się trawiaste dywany, wysokie żywopłoty, kwieciste zasłony dla altan i ganków.

Zaiste, zdumiewająco szybko rosło to miasto, a przecież nie mogło nadążyć woli człowieka, wyprzedzającej rozwój miasta swym rozmachem i swemi planami...

Jakkolwiek była już godzina piąta i słońce nie prażyło tak silnie, jak w Jerozolimie, to przecież Tirsa poczuła, iż koszula lepi się do skóry i że w gardle jej zasycha. To też widząc przed sobą wysuniętą w morze kawiarnię, postanowiła napić się czegoś chłodnego.

Po prawdzie, najchętniej pozostawiłaby swą walizkę tu na brzegu, zerwałaby ze siebie suknie i rzuciłaby się w morze. Co za rozkosz powierzyć się tej, zda się, w nieskończoności poczynającej się fali... Zaraz jutro, z Muszką, albo też i bez niej, się ukąpie... Chyba w sobotę łazienek nie zamykają?

Usiadła na tarasie kawiarni. Pod spodem klaskała fala o betonowe słupy tarasu, a przed kamienną balustradą rozciągała się niezmierzona i równa jak łąka tafla morska. Poprzez jej niebieską, zlekka pomarszczoną powierzchnię, przewijały się jaśniejsze smugi, gubiące się nieco dalej w nieprzejrzanych, jakgdyby popiołem przypruszonych połach. Bliżej brzegu, poprzez ciemno-błękitną ciecz rozpuszczonego we wodzie krochmalu przezierały rdzawo-fjoletowe grzbiety skalnych gniazd. Na dalekim zaś horyzoncie rysowała się wyraźnie szara linja przecięcia się półkuli niebieskiej z płaszczyzną morską. Tuż przed linją unosił się, zda się, w powietrzu biały trójkąt rybackiego żaglowca,

http://rcin.org.pl

niby skrzydło motyla, pijącego słodycz z olbrzymiego liścia.

Na brzegu, w pośrodku okolonej parkanem plaży, na rozgrzanych piaskach leżały i uganiały nagie dzieci, prężyły się ciała boksujących się młodzieńców. Co chwila ktoś zrywał się ku falom. Niektórzy wypływali daleko na samotne morze. Czarne głowy pływających wydały się Tirsie niby główki maku, wyglądające z poza niskiego, szklanego płotu. Czasem zaś podobne były do porzuconych przez okręty garnków, a czasem trwały w miejscu, niby boje znaczące okrętom drogę do portu.

— Och, jakżeż tu pięknie —.szeptały wargi Tirsy.

Słowo zaś: „pięknie“ odbijało się na wnętrzu duszy wielokrotnem echem, służąc na określenie tego zachwytu, który od oczu przelewał się w głąb ciała strumieniem niewysłowionej rozkoszy.

Równocześnie jednak utrwalało się jakieś nieuchwytne wrażenie, iż ktoś stoi za nią, z groźnie podniesioną, ciemną zasłoną. Lada chwila zasłona opadnie, a ją pociągną do odpowiedzialności za popełnione, choć nieznane przestępstwo... Co to miało znaczyć?... Co ją niepokoiło?...

Gdy poczęła się zastanawiać nad przyczyną tego nieokreślonego uczucia, zakłócającego rozkosz płynącą z cudnego widoku, gdy poczęła analizować źródło wrażenia, dobywającego się na powierzchnię świadomości, przyszła do przekonania, że — rzecz ciekawa — miasto jest przyczyną jej niepokoju... Poczuła się winną, jakgdyby zdradziła ukochaną Jerozolimę... Miała wrażenie, że pojąc swe oczy widokiem kwiecistych ogrodów, że sycąc swą duszę obrazem spacerujących po gładkich trotuarach roześmianych ludzi, oraz tłumów, zwierza-

http://rcin.org.pl

jących swe nagie ciała rozkosznej fali morskiej, sprzeniewierza się cichemu majestatowi Dawidowego grodu i że ta kołysząca, ukojna pieśń morza zagłusza w niej coś, co w gruncie rzeczy ma cechy szlachetniejszego piękna, a temsamem prawo pierwszeństwa. Zdawało się jej, że piękno prochem wieków okrytego jerozolimskiego kamienia, piękno budzące myśl i modlitwę, zmuszające do wewnętrznego skupienia i bogobojnej zadumy, że to piękno rzetelniejszem i godniejszem jest umiłowania, niż ta kusząca fala, niosąca ku ociekającemu świeżem jeszcze wapnem miastu melodję zapomnienia, leniwego przeciągania się, snu...

Tirsa uśmiechnęła się do tej dziwnej myśli i zadecydowała:

— No dość! Trzeba iść! Słońce wnet zajdzie, a po ciemku trudno będzie znaleźć pensjonat Muszki... Płacić!...

Idąc w górę ulicą Allemby, myślała o tem, iż według informacji, udzielonej jej przez ojca, ulica Balfoura winna być odgałęzieniem ulicy, po której idzie. U zbiegu więc kilku ulic zwróciła się do stojącego w pośrodku jezdni palicjanta. Ten wskazał jej trzecią ulicę na lewo.

— A więc to tak już blisko — pomyślała. — Mam więc jeszcze dość czasu.

Wprost niej był sklep z kwiatami. Wstąpiła więc do sklepu i za pięć piastrów — ku wielkiemu swemu zdziwieniu — kupiła wielką naręcz kwiatów (w Jerozolimie trzebaby trzy razy tyle zapłacić). Następnie usiadła na kamiennej ławce i poczęła przyglądać się przechodniom. Rzecz dziwna: nie zauważyła ani jednego Araba, ani też nie widać było Żydów, ubranych jak w Jerozolimie, w długie barwne chałaty, lub pol-

http://rcin.org.pl

skie bekiesze. Wszyscy nosili się zeuropejska. Jak we Wiedniu... Cóż znowu za porównanie!... Ani cylindra, ani rękawiczek, ani jednej strojnej w kapelusz damy... Natomiast białe koszule z podwiniętemi rękawami, gołe głowy, lekkie sukienki. Wszystko czyste... A, prawda! Wszak wnet wieczór przedsobotni...

Oto, tuż przed nią, koło opuszczonej przez robotników maszyny, w pośrodku ulicy, szykował się stróż na nocne czuwanie. Wysoki, o siwej brodzie, o przyokrąglonym nosie, o dobrych, głęboko osadzonych oczach... Kochany staruszek... Biedaczysko... całą noc tu spędzi.. Staruszek rozkłada kożuch na dwóch próżnych beczkach z cementu, rozpina drut wpoprzek ulicy; na drucie wiesza latarnię. Czerwone światełko migoce i jakby zawstydzone białym jeszcze dniem chowa się między szyby latarni... Tak, to znak ostrzegawczy dla automobili i powozów...

Tych jednak coraz mniej....

— Ot, to jest ta sobota, którą się tak zachwycał Dubiński. To jest to „jedyne, żydowskie miasto na świecie“... jak się wyrażał ten dziwny człowiek...

Odzywa się trąbka Szomrej-haszabat *)... Tak, jak w Jerozolimie... Zamykają sklepy... Zamiera ruch uliczny... Zapalają się światła na ulicach i po mieszkaniach... Nadchodzi święto... W miarę zaś zamierania zgiełku ulicznego, ożywia się i rośnie wołanie pobliskiego morza. Gardłowy jego poszum upodabnia się do przeciągłego, miłosnego, z głębin ogromnego boru lecącego wołania synogarlicy.

Przewidywania Tirsy w całości się spełniły. Muszka, zaskoczona niespodziewaną wizytą, przyjęła Tir-

*) Szomrej haszabat — Strażnicy soboty.

http://rcin.org.pl

sę radosnym okrzykiem, by bezpośrednio po pierwszym uścisku rozpłakać się, niby dziecko, do którego zawitała matka. Płacz Muszki uważała Tirsa za naturalne następstwo przeżyć ostatnich miesięcy. Wszak Tirsa przyjeżdżała stamtąd, gdzie żył *on*. .Tirsa była świadkiem tych wszystkich wewnętrznych zmagań, poprzedzających decyzję Muszki. W tych ciężkich dla Muszki chwilach Tirsa wiernie służyła radą, pomocą i pociechą. Nic więc dziwnego, że Muszka, przywiązawszy się do Tirsy jak do siostry, witała ją ze łzami, przekraczającemi zwykłe u niej objawy wzruszenia.

A do tego wszystkiego przyłączała się u Muszki jeszcze wdzięczność wobec ojca Tirsy. Wszak on rzucił myśl założenia pensjonatu w Tel-Awiwie, a temsamem — udzielając również materjalnej pomocy — umożliwił Muszce uniezależnienie się od Herbsta. A że plan ojca był praktyczny, miała Tirsa sposobność niezwłocznie stwierdzić. Liczba dwudziestu gości, uczestniczących w piątkowej kolacji, świadczyła wymownie, że pensjonat „Jeruzalem" cieszy się nieprzeciętnem powodzeniem.

Dla Tirsy nie było to zresztą niespodzianką. Muszki bowiem wymowność, jej niczem niezrażająca się dobroć, gościnność i macierzyńska troskliwość, jej prosta, szczera i rzetelna natura były naturalnemi i dostatecznemi gwarancjami trwałego powodzenia. Poza tem miała Muszka rzadki dar odgadywania upodobań gości, wprowadzania obcych ludzi nieznacznem, strategicznem posunięciem w sam środek zamykającego się towarzyskiego koła, spajania ludzi, różniących się pochodzeniem, językiem i poziomem wykształcenia w jedno, wzajemną sympatją owiane towarzyskie grono.

http://rcin.org.pl

A to, zdaniem Tirsy, nie było rzeczą łatwą. Przedewszystkiem istniała trudność we wynalezieniu wspólnej platformy językowej. W pensjonacie „Jeruzalem“ zgodzono się — ze względu na właścicielkę pensjonatu — na język niemiecki. Niemniej co chwila ktoś przy stole wyłamywał się z tej reguły i porozumiewał się ze swem dalekiem vis à vis w języku rosyjskim. Następnie, większość tych ludzi, poszukujących możliwości stworzenia sobie na gruncie palestyńskim w jak najkrótszym czasie nowej egzystencji, otaczała się z natury rzeczy tajemniczością, starając się, jak najwięcej wiadomości wyciągnąć od przypadkowego sąsiada przy równoczesnem postanowieniu nieudzielania drugiemu niczego z tego, co się samemu wiedziało...

Między stołownikami Muszki zauważyła Tirsa znajomego. Był nim ów kandydat na kolonistę, Grossfeld, którego poznała na przyjęciu, urządzonem w Hotelu Amerykańskim z okazji otwarcia fabryki.

Muszka usadowiła Tirsę obok Grossfelda. W toku rozmowy opowiedział jej Grossfeld o ostatecznej swej decyzji osiedlenia się w Chederze. Zakupił tam pięćdziesiąt dunamów ziemi. Obecnie wycina rosnące na jego gruncie eukaliptusy, a wkrótce przyjdzie czas na głębokie oranie. Przed deszczami chce zasadzić pierwsze drzewka, które — nawiasowo mówiąc — jedzie kupić do Petach Tikwy.

Do rozmowy przyłączył się, siedzący po prawej ręce Tirsy, sekretarz rządowego Urzędu Zdrowia. Był to mężczyzna o niedającym się z powierzchowności ustalić wieku. Mógł liczyć trzydzieści, a może i pięćdziesiąt lat... W każdej sprawie miał swe odrębne zdanie. Zapatrywania swe wypowiadał ze stanowczością, wykluczającą jakikolwiek sprzeciw.

http://rcin.org.pl

— Dziwi mnie — mówił grubym, jakby zachrypłym głosem — że pan, będąc z zawodu — czem, jeśli wolno spytać — bankierem?... jeszcze lepiej!... że pan, jako bankier, zabierasz się do pardesu *), a więc do rzeczy, na której się pan tyle znasz, co na ten przykład ja na koronkach belgijskich, lub na porcelanie karlsbadzkiej.

— Może pan masz rację — usprawiedliwiał się, zaskoczony tym zarzutem Grossfeld. — Ale widzi pan, informowałem się u różnych ludzi i ze wszystkich tych informacyj wywnioskowałem, że to jest najodpowiedniejsze... A co się tyczy fachowych wiadomości...

— Sądzi pan — kontynuował sekretarz rozpoczęte przez Grossfenda zdanie — że pana sąsiedzi nauczą... Co?... No, niech pan tylko uważa, by ta nauka pana zbyt wiele nie kosztowała.

— Eh, nie o to chodzi — przyłączył się do rozmowy, siedzący po przeciwnej stronie stołu, brzuchaty, niski jegomość z podbródkiem, przechodzącym, jak u gołębia, bezpośrednio w worek gardłowy. — Żyd wkrótce wszystkiego się nauczyć potrafi. A co pan myśli? Któż to są owi dzisiejsi pardesani z Petach Tikwy lub Riszon l'Zion?... Byli kupcy, tak samo, jak ja, lub pan Grossfeld...

— No dobrze. Więc o co pańskiem zdaniem cho dzi? — pytał zniecierpliwionym głosem sekretarz.

— Chodzi o to, że kupić ziemię, zasadzić pomarańcze i następnie czekać sześć lat, — na to trzeba mieć dużo cierpliwości...

— Pieniędzy, chciałeś pan powiedzieć — upewniał się sekretarz.

*) Pardes — ogród pomarańczowy.

http://rcin.org.pl

— To na jedno wychodzi.

— Więc cóżby pan radził, gdyby pan, dajmy na to, miał, powiedzmy, jakie tysiąc do półtora tysiąca funcików? — pytał skwapliwie, siedzący na końcu stołu mężczyzna o szpakowatej brodzie i nasadzonym na końcu wielkiego nosa cwikrze.

— Ja! Broń Boże, wcale nie chcę radzić... Któż tu mówi o radzie!... Ja, tak tylko powiadam, że aż pomarańcze na drzewie się pokażą, tymczasem dziury porobią się w kieszeni... Ja sądzę...

— Właśnie, co pan sądzi? — napierał mężczyzna o szpakowatej brodzie, nasuwając cwikier na nos — to właśnie jest ciekawe, co pan sądzi?!...

— Ja sądzę — wywodził w dalszym ciągu brzuchacz, odkładając nóż i widelec — że lepiej kupić migrasz *) tu w Tel-Awiwie i budować na nim dom. Tu niema żadnego ryzyka...

— Jakto, niema ryzyka? — pytał, jakgdyby osobiście dotknięty, sekretarz. — Czy widział ktoś kiedyś interes bez ryzyka?!...

— Tak, jak powiedziałem, czcigodny sekretarzu: ryzyka niema. Do Palestyny przyjeżdżać ludzie będą zawsze. Mieszkania potrzebne będą zawsze. Więc cóż tu może być za ryzyko?... A to, co pan dziś włożysz, możesz już z tego za cztery do pięć miesięcy ciągnąć zyski... Mój na przykład znajomy, co to przyjechał przed rokiem, miał wszystkiego ośmset funtów. Za trzysta kupił sobie migrasz w Lejw-Tel-Awiw **), a za resztę wybudował dom, co wart między braćmi, cztery tysiące, a przynosi miesięcznie sześćdziesiąt funtów...

*) Migrasz — parcela.

**) Nazwa dzielnicy w Tel-Awiwie.

http://rcin.org.pl

— Co?... Jak?... A skądże wziął brakujące mu do budowy pieniądze? — pytano ze wszystkich stron.

— O, — groźnie marszcząc brwi, wyręczył brzuchacza w odpowiedzi sekretarz — znam ja te kombinacje! Znam... Od przyszłych lokatorów pobrał czynsz za rok z góry, od właścicieli materjałów budowlanych towar na weksle, a przedsiębiorcy budowniczemu też nie zapłacił... Tak, znam te sztuczki... A wiecie państwo, jakie są skutki tych „solidnych“ interesów? Skutki są takie, że za to, cośmy dziś wieczór zjedli, zapłacimy zamiast pięć, względnie siedem piastrów — piasterków piętnaście.

Na skutek tej uwagi sekretarza Muszka, stojąca za krzesłem Tirsy, spiekła raka. Sekretarz jednak, nie zrażony ogólną konsternacją, wywodził w dalszym ciągu, wymiatając przytem łyżeczką kompot z podstawka:

— Nie ma pani powodu się rumienić, łaskawa pani Herbst. Ja nie twierdzę, że pani na nas za dużo zarabia. Chciałem tylko powiedzieć, że ten system budowania Tel-Awiwu prędzej, czy później spowoduje katastrofę. Wszak u nas wszystko dziesięć razy jest droższe, niż w Europie, jakkolwiek jesteśmy na dalekim Wschodzie, gdzie człowiek bez koszuli z łatwością się obejść może... Tak, tak, musimy zbankrutować.

— Eh! — żachnął się jegomość z cwikrem. — Któżby tam, broń Boże, myślał zaraz o bankructwie! Tfu!... On potrzebuje przy stole wyjechać z taką armatą. Bankructwo?!... Interes jest interesem! Musi dać swoje 20 do 30 procent, bo inaczej...

— Nie jest interesem. — dokończył ironicznie sekretarz. — Ale ja się pana pytam: jeżeli pan, dejmy

http://rcin.org.pl

na to, zakupi towar drożej, niż pański konkurent, czy pan się potrafi utrzymać?!...

— Co za konkurent?... Gdzie, jaki konkurent?!...

— Myślę Arabów — mówił już przyciszonym, jakby zmęczonym głosem sekretarz. — Oni budowali swego czasu tanio, a my budujemy teraz drogo. U nich robotnik tani, u nas drogi. Czy możemy z nimi iść w zawody?

— Nie! — zaprotestował sąsiad sekretarza, a jak Tirsa z rozmowy wyrozumiała, profesor gimnazjalny z zawodu. — Panowie zupełnie fałszywie stawiacie kwestję. Nie chodzi o to, czy budujemy drogo, lub tanio. Ważnem natomiast jest to, że wydajemy pieniądze na kamienice po miastach, a nie kupujemy ziemi na wsi. A przecież w uprawie roli leży nasza cała nadzieja i możliwość ratunku... Dlatego, jakkolwiek nie znam się na kupiectwie, uważam, że pan Grossfeld, kupując ziemię w Chederze, bardzo dobrze zrobił...

Chcąc, nie chcąc, słuchała Tirsa komplikującej się z każdą chwilą dyskusji i myślała o fabryce ojca w Mocy, o ustawicznych lamentach ojca to na trudności z robotnikami, to na zbyt wysokie cło, to znów na wielkie koszta transportu i nieudolność spólnika... Widziała ojca w tej chwili leżącego samotnie na kanapie, zasypiającego po spożytej kolacji z Neue Freie Presse w ręce. Zdawało się jej, że zdala od ojca wyraźniej czyta w jego oczach jakgdyby cichą skargę... wyrzut. Czy może z powodu jej decyzji pozostania w Palestynie?... Czy z powodu jej zamiaru wstąpienia do Hadassy?... A może nie przebolał jeszcze rozłąki z tamtą kobietą?...

— Dziwna rzecz, że Muszka nie zapytała się jej dotychczas, co ją do Tel-Awiwu sprowadza?... Praw-

http://rcin.org.pl

dopodobnie Muszka była przekonaną, że tylko dla zobaczenia się z nią tu przyjechała... Nie, musi Muszce powiedzieć...

Przeprosiwszy sąsiadów, wstała od stołu i przeszła do kuchni, w której Muszka myła naczynie przy pomocy dwóch młodych Jemenitek.

— Cóż to, Tirso, uciekłaś od stołu?... Jak ci się twój sąsiad podoba?

— Który? Pan Grossfeld, czy też ten sekretarz?

— Sekretarz, Kleinzeler!

— Prawdę powiedziawszy, to nie wiem, kochana Muszko, co mam odpowiedzieć. Wiele bowiem z nim nie rozmawiałam.

— Bo widzisz, droga Tirso, to jest między palestyńskiemi dziwakami największy oryginał... Chwali się na przykład tem, że przez pięć lat, to znaczy od czasu, jak jest w Palestynie, nie czytał ani gazety, ani książki. Mówi okropności, a mieszka w pobliżu cmentarza, by — jak powiada — „szlachetni, a uczynni ludzie nie potrzebowali go po śmierci zbyt daleko nosić“. Ale przy tem bardzo dobry człowiek. Mnie pomaga na każdym kroku. Gdyby nie on, nie byłabym jeszcze mogła otworzyć pensjonatu. Magistrat, Urząd Zdrowia... Instalacja... Trzeba było odnawiać, poprawiać. Bieganina bez końca. On mi rzeczywiście dużo dopomógł... A o was, to już nie mówię. Naprawdę nie wiem, jak i kiedy się wam, kochana Tirso, odwdzięczę... Postąpiliście wobec mnie, jak gdybym była waszą bliską krewną, a nie...

— Ależ to drobnostka... Niema o czem mówić... Wiesz Muszko, co ci chciałam powiedzieć?

— Cóż takiego? Czy coś przyjemnego?

http://rcin.org.pl

— Osądź sama. Otóż od poniedziałku zaczynam pracować w Hadassie, w Jerozolimie, jako siostra.

— Czy być może? Żartujesz, by mnie nastraszyć, że już w niedzielę wyjedziesz...

— Nie żartuję. Patrz, oto oficjalny list od Dyrekcji... W poniedziałek rano o godzinie siódmej mam się zgłosić na oddział dzieci. Przyjazd mój do Tel-Awiwu to ostatnie dnie wakacji.

— O, jaka szkoda... Ja się tak cieszyłam, że będziemy razem. Tu nie mam nikogo bliskiego...

— Nie martw się Muszko. To wasze morze tak mi przypadło do serca, że jak tylko będę miała dzień wolny, zaraz będę twoim gościem... Choć, jak widzę, to ci gości nie brak...

— Chwała Bogu. Nie mam powodu się skarżyć. Choć po prawdzie, to czasem aż ręce drętwieją z roboty... I dla kogo?... To więc już w niedzielę wieczór wyjeżdżasz?

— Tak. Zamówiłam już miejsce w aucie Arjego.

— A prawda. Jeszcze mi wcale nie opowiadałaś o naszych gdudnikach. Co porabiają? Co porabia Szoszana? Czy Zachawa jeszcze taka słodka? A co twój pan profesor Dubiński?... Czy to prawda, co mówił Uri, gdy był tu ostatnio, że Dubiński chory na płuca? A czy między doktorem Rubinem a Wierą jest coś konkretnego?... Tak tu człowiek się zapracowuje temi garnkami, podłogami i praniem, że nic, a nic nie wie...

Tirsa nie mogła się wstrzymać od uwagi:

— Jak widzę Muszko, to nic się nie zmieniłaś. Nawet tu, w Tel-Awiwie chciałabyś znać szczegółowo wszystko, co się w Jerozolimie dzieje.

— Nie śmiej się, kochana Tirso, ze swej starej Muszki. Taka już moja natura... Ale wiesz co, Tirso.

http://rcin.org.pl

Siądź jeszcze na chwilę w jadalnym pokoju. Gdy tylko skończymy sprzątanie, pójdziemy nad morze odetchnąć świeżem powietrzem.

— Jakto, w nocy?

— Ależ głupiutka dziewczyno! To nie Jerozolima. Niema się czego bać. Całe miasto tam będzie.

— — — — — — — — — — —

Ulice Tel-Awiwu widziane w noc piątkową, wydały się Tirsie tak odmiennemi od ulic Jerozolimy, że Tirsa miała wrażenie pobytu w innym kraju. Trudno się było przecisnąć poprzez tłum ludzi, płynący szerokiemi chodnikami w dół ku morzu. Na zbiegu ulic, przed Kasynem, na płaskich dachach tańczono. Poprzez środek ulicy szły śpiewające grupy. Ani jednej dorożki, ani jednego auta... Tylko morze grało melodję kół, jadących po pustym, długim, żelaznym moście.

Tirsa i Muszka, idąc w towarzystwie sekretarza Kleinzelera, kolonisty Grossfelda i profesora Opatowskiego, musiały się zatrzymać na nadbrzeżnym chodniku. Ściśnięte bowiem koło ludzkie zatamowało chodnik, oraz piaszczystą przestrzeń, oddzielającą parkan plaży od ulicy, tak iż nie sposób było przejść. Z boku, na kamiennej balustradzie tarasu siedziało trzech młodzieńców, z których jeden wygrywał „kozaka“ na grzebieniu, a drugi wtórował na organkach. W pośrodku koła wyskakiwały głowy tańczących, a w miarę podniecającego rytmu melodji, słychać było tupot nóg, klaskanie rąk i urywane, namiętne: juch, juchaj-haja, juch...

Noc była księżycowa. Na opadającym ku morzu terenie, wzdłuż całego, uchwytnego dla oka brzegu, widać było siedzące i leżące postacie. Niby pątnicy, od-

http://rcin.org.pl

poczywający po długiej i męczącej.wędrówce. Z pogrążonych w cieniu miejsc szło nieuchwytne wołanie budzących się zmysłów. Szedł odgłos stłumionych westchnień, przyciszonych próśb, niezrozumiałych słów... Odnajdywały się głodne ręce, opadały na piersi pieszczoty żądne głowy, zwierały się wargi...

Tu i ówdzie ulatywała z piasku melancholijna, chóralna pieśń, lub szła skoczna, weselna, podrywająca melodja ręcznych harmonijek... Hen, w górze, sklepiła się ciemna kopuła niebios, podobna do rozpostartego nad łożem baldachimu. Ze szczytu zwisała malachitowa lampa księżyca ze swem łagodnem, przytłumionem, usypiającem światłem... W dali wygrywało morze na niewidocznej strunie brzegu swą cichą, jednostajną, zmęczoną pieśń...

Gdy legli na piasku, Tirsa milcząco wpatrywała się w tę nieprzeniknioną zasłonę, jaka trwała w miejscu zetknięcia się wody z ziemią. Miała wrażenie, że siedzi na fotelu w teatrze. Przed nią, na ciemnej zupełnie scenie, przy podniesionej kurtynie, dokonuje się zmiana dekoracji. Za chwilę rozbłysną światła reflektorów, a z ciemnej otchłani wyłoni się barwny światłem i ruchem, radosny świat bajki... W międzyczasie jednak dobrze jest lec na tem miękkiem, chłodnawem posłaniu, ułożyć głowę na kolanach Muszki, zamknąć oczy, zapaść się w otchłanne głębie bezwiedzy, zaprzestać myśleć i czuć...

Szkoda, że jej towarzysze nie umieją milczeć!... Poco oni mówią?... Czyż nie lepiej leżeć i wchłaniać w siebie ten słodkawo-słonawy oddech morza, nastrajać rytm swej piersi do rytmu fali i dać się nieść na podobieństwo Złodzieja z Bagdadu — na dywanie fantazji — w czarowny zaświat marzeń...

http://rcin.org.pl

— Czy pani pierwszy raz w Tel-Awiwie? — zaatakował jej milczenie profesor Opatowski.

— Prawdę powiedziawszy: po raz drugi — niechętnie odpowiadała Tirsa na zadane pytanie. — Ale po raz pierwszy jestem tak blisko morza.

— I jak się pani podoba ta nasza stolica? — indagował tym razem sekretarz Kleinzeler.

— Przyznam się, że jestem oszołomiona tym radosnym rozmachem, jaki...

— O, więc pani też zauważyła — przerwał kolonista Grossfeld, jakgdyby ucieszony nadarzającą się sposobnością wypowiedzenia swego zdania. — Co? Prawda? Jaki ten Tel-Awiw jest młody, wesoły, rozśpiewany! A w sobotę, dopiero pani zobaczy, jaki tu spokój, jaki nastrój, jakie święto...

— E, co pan wie — fuknął na kolonistę sekretarz. — Przyjeżdża pan raz na tydzień z tej pańskiej mysiej dziury i nie może się pan nacieszyć tem, że inni się radują... Naturalnie, że się radują! Bo któż to są w gruncie rzeczy ci „obywatele“ Tel-Awiwu?... Dzieci, młodzież. Uciekł taki smyk ze szkoły; nie potrzebuje zdawać matury; zarabia funta dziennie; przychodzi nad ranem do domu; ojciec nie wymyśla i nie pierze; dziewczynki są, więc co, skacze, jak źróbek na łące...

— Ale nie o to chodzi — protestował kolonista. — Ja mówię o sobocie!

— A, sobota się panu podoba!... Przestałby pan o tem lepiej gadać, bo żółć mi pęknie.... Czy nie widzi pan, że wracamy do tych czasów, w których nie było jeszcze aeroplanów, widzenia na odległość i podobnych rzeczy?... Czy poto przyjechałem do Palestyny, by mi taki zasmarkany Szomrej szabat zakazywał palić papierosa w sobotę?...

http://rcin.org.pl

— Przedewszystkiem — śmiejąc się, prostował profesor Opatowski — liczba pojedyncza od Szomrej haszabat brzmi: Szomer haszabat... Tyle chyba powinien pan już był się nauczyć hebrajskiego przez pięć lat, spędzonych na ziemi pańskich przodków.

— Przepraszam. Ja nie mam tu żadnych przodków. Jeden jedyny, o którym coś się zachowało w mej familijnej kronice, spoczywa na cmentarzu w Nikolsburgu...

— A powtóre — kontynuował niezrażony profesor — szomrej haszabat urzędują jedynie w święta. a więc zawsze są czysto ubrani i nie zasługują na pański epiteton ornans. A po trzecie: niema na świecie miasta o podobnem skupieniu żydowskiem, w którem-by mimo wszystko, tak mało było stosunkowo ortodoksów.

— Czy są ortodoksi, czy nie — przekomarzał się Kleinzeler — to w każdym razie idjotów nie brak... Czy zauważyliście państwo tego małego Żydka, który dziś wieczór siedział obok mnie przy stole?... A wiecie, poco on przyjechał do Palestyny?

— ? ? ?

— Nie mniej i ni więcej, jak tylko po to, by tu założyć wielką operę... Co za dziki pomysł! Operę dla ludzi, mieszkających w barakach i namiotach. Dla ludzi, którzy nie wiedzą, czy jutro zarobią na życie, czy nie... To tak samo, jak uniwersytet Weizmana. Zamiast zakładać kolonje, budować fabryki, lub...

— Oj, przestań pan już! — bronił się kolonista Grossfeld. — Znamy już tę pańską śpiewkę o uniwersytecie!... Lepiej opowiedz pan coś dokładniejszego o wczorajszych rozruchach...

http://rcin.org.pl

— O jakich rozruchach? — pytała zdziwiona Tirsa.

— Pan, jako kapitalista, odrazu mówisz: „rozruchy“ — irytował się Kleinzeler. — Panu się zdaje, że jeszcze pan siedzisz za kantorem w Gdańsku, a bolszewicy, przed którymi pan tu czmychnąłeś, idą z dokładnym pańskim adresem w ręce, by zrabować pańskie miljony. Dla pana nie istnieje obrona zagrożonych interesów klasy robotniczej...

— Panie Kleinzeler, proszę nam opowiedzieć, co to właściwie było — domagała się Tirsa.

— Żadnych rozruchów, proszę pani, nie było. Ot, na jednej budowie nie chciał przedsiębiorca płacić cen według przyjętego przez organizację robotniczą cennika. Robotnicy ogłosili więc strejk. Przedsiębiorca odpowiedział lokautem. Było kilku łamistrajków, których naturalnie robotnicy nie chcieli dopuścić do budowy. Przedsiębiorca wezwał policję. Przyszli żandarmi irlandcy, pobili porządnie pałkami kilku ludzi, a kilku aresztowali.

— A dlaczego pan nie mówi, — protestował Grossfeld — że zgłaszający się do pracy, to byli synowie przedsiębiorcy i jego wspólnika?!... Dokąd zajdziemy, jeżeli robotnicy będą rządzić się terorem?!... Nie, tak nie odbudujemy kraju!

Rozpoczęła się znów dyskusja o trudnościach, stwarzanych przez robotników; o golusowych formach wyzysku, przeszczepianych przez kapitalistów na grunt nowej Palestyny; o dążeniu organizacji robotniczej do opanowania narodowych kapitałów; o fatalnej gospodarce w osiedlach, kierowanych przez robotnicze kooperatywy; o niedopuszczeniu żydowskich robotników do pracy w ogrodach żydowskich plantatorów; o wy-

http://rcin.org.pl

górowanych żądaniach robotników, tak pod względem płacy jak i traktowania.

Bez końca odwijała się taśma wzajemnych zarzutów. Tirsie się zdawało, że znów znajduje się w kole swych znajomych, w Jerozolimie i przysłuchuje się dyskusji, prowadzonej między Urim, a wspólnikiem ojca. I tu zacietrzewiali się, odbiegali daleko od sedna rzeczy, gubili się w słowach, stawali się osobistymi. I tu napróżno siliła się Tirsa wyłowić z tej plątaniny słów i myśli — ziarno prawdy. Dlaczegóż — myślała — nie może dojść do porozumienia między ludźmi, kierującymi się temi samemi idealnemi pobudkami, a cierpiącymi na skutek tych samych trudności?... Czyż nie byli oni wszyscy jak pasażerowie zagrożonego burzą okrętu? Wszak czekał ich ten sam los! Czyż w gruncie rzeczy Uri, Ben Dor, Dubiński, byli rzeczywiście robotnikami na podobieństwo tych, którzy we Wiedniu wystawali przed Biurem pośrednictwa pracy, a w niedziele, nawpół pijani, śpiewali po kawiarniach i awanturowali się na ulicach?... A czyż większość tych przedsiębiorców nie porzuciła wygodnego życia w dawnej ojczyźnie, by tu budować nową?... Czy rzeczywiście kieruje nimi — tak, jak to przed chwilą powiedział Kleinzeler — tylko chęć wzbogacenia się?... Kiedyż nareszcie zdoła przejrzeć na dno tych powikłanych problemów?...

Gdy rozprawiała na ten temat z Dubińskim, ten jej stereotypowo odpowiadał: „dla nas robotników obojętną jest pobudka działania kapitalistów. Miarodajnem natomiast jest dobro sprawy robotniczej...“. Te same słowa, które przed chwilą słyszała... Co za paradoks! Dubiński, identyfikujący swe sprawy ze

http://rcin.org.pl

sprawami klasy robotniczej!! On, który nawet igły nitką nadziaćby nie potrafił...

Ale oto myśl jej znów wraca do towarzystwa na skutek ogólnego śmiechu, wywołanego słowami Kleinzelera:

— Pan jesteś paradny — kończył profesor Opatowski. — Gdyby się pańskie ideje spełniły, nie byłoby rzeczywiście przesileń gospodarczych, społecznych problemów, strejków, lokautów itd.

— O co chodzi? — dowiadywała się Tirsa. — Nie słyszałam ostatnich słów pana Kleinzelera.

— O, on, proszę pani, twierdzi, że Pan Bóg źle stworzył ten padoł ludzkich łez. Zdaniem pana Kleinzelera powinien Pan Bóg zamiast pustych muszel wyrzucać na brzeg morski same perły; drzewom powinien był kazać nosić zamiast niejadalnych liści — kapustę, ziemniaki, lub żyto; w miejsce odrastającej na rękach skóry winien był naszym butom przyznać tę samoczynną, a intratną zdolność reparowania się — bez pomocy szewca...

— Dzieci, już późno — poczęła upominać Muszka. — Czas wracać! Jutro wprawdzie sobota, ale jeść trzeba.

SOBOTA.

Ledwo zcichło bezustanne, rozgłośne i uprzykrzone piłowanie świerszcza, zaczajonego gdzieś pod drzwiami i Tirsa — jak się jej zdało — na chwilę zasnęła, a już obudził ją gromadny śpiew, lecący poprzez otwarte okno do wnętrza pokoju. Gdy Tirsa otworzyła oczy, z niemałem zdziwieniem zauważyła,

http://rcin.org.pl

iż przed oknem stoi już biały dzień, a zegarek wskazuje godzinę szóstą.

Zarzuciwszy na siebie pożyczony jej przez Muszkę szlafrok, stanęła przy oknie.

Ulicą, lecącą na przełaj poprzez brunatne piaski, szła grupa młodzieży. Na przodzie dziewczęta o szerokich słomkowych kapeluszach, a za niemi chłopcy w otwartych na piersiach koszulach, o kędzierzawych, słońce wyzywających czuprynach. Szli i wymachując rytmicznie rękoma, śpiewali: oj ra, ra-ra-ra, ho-ho hoooo!... A pieśń ich, niby radosny zwiastun, niosła się przez pustą jeszcze ulicę, wpadając niby promień słońca w świadomość budzących się ze snu ludzi.

Otwierały się okiennice i okna, wychylały się zagniewane postacie o twarzach zaspanych i zachmurzonych. Wnet jednak gniew ustępował pobłażliwemu uśmiechowi, zdającemu się mówić: oj, młodzieży, młodzieży! Dokądże to tak wcześnie?... Poczekaj chwilę... Nie uchodź, nie ulatuj, nie zostawiaj nas samotnych na pustyni kamiennego miasta!...

Tirsie przypominała pieśń maszerującej młodzieży jej własne, niedzielne wycieczki w okolice Wiednia. Jechało się gdziekolwiek bądź. Byle za miasto... Grinzing, Neuwaldeg, Nussberg, Mödling... Ile wspomnień, ile wspomnień!... Ludźmi przepełniona i dymem przesycona kolej podziemna... Natrętny, lub żebrzący wzrok mężczyzn... Ocierające się o pierś obce, pożądliwe ramię... A potem: pole. Pole świeżo zaorane, czarną, tłustą skibą pokrajane, błyszczące w słońcu jak pąkowie kasztana na wiosnę. Zielone łąki, czarno-fjoletowe plamy lasów ze strzelającemi w pośrodku wierzyczkami wil. Przesycony żywicą aromat drzew szpilkowych. Ukojny cień, orzeźwia-

http://rcin.org.pl

jący chłód i dalekie wołanie wygrywającego na fligelhornie niewidzialnego, niedzielnego grajka... Radość, radość, szczęście...

Jakże zazdrościła wtedy tym dziewczętom, zawieszonym na ramieniu swych kochanków, spieszącym ze śpiewem na ustach poprzez dywany łąk i zbóż, by w beztrosce o jutro i skutki oddać się ukochanemu na posłaniu z opadłych jesienią liści!... Gdzie te czasy, gdzie te czasy!... A później — powrót. Szturm na wóz tramwajowy... Błogie zmęczenie i szybkie, jakby we wodę zapadanie się w kamienny sen...

— Cóż to Tirso, już wstałaś? — pytała przebudzona Muszka. — Nie możesz spać? Czy może muchy ci zbytnio dokuczają?

— Dzień dobry Muszko... Owszem, spałam krótko, ale dobrze... Obudziłam się, słysząc śpiew na ulicy...

— Tu, w Tel Awiwie, to zawsze tak... W piątki późno w noc, a w soboty wcześnie rano hałasują... Kto nieprzyzwyczajony, temu trudno spać... A może się jeszcze położysz?...

— Nie. Jeżeli nie masz nic przeciw temu, to wstanę i pójdę się kąpać. Czy masz może kostjum kąpielowy?

— Naturalnie. Ale będzie dla ciebie za szeroki i za krótki.

— Nie szkodzi. Jakoś to się zrobi...

— Tylko Tirso, nie siedź długo i uważaj, byś się nie spaliła... Pierwszy raz trzeba się wystrzegać słońca.

Podczas ubierania się Tirsy dopytywała Muszka o szczegóły przyszłej pracy w szpitalu, o fabrykę ojca, o przyjazd Karola i o znajomych w Jerozoliemie.

http://rcin.org.pl

Gdy przyszła kolej na Wierę, nie mogła Tirsa ukryć zdziwienia, jak dalece Muszka mimo jej osobiste przeżycia, mimo dzielącą ją od Jerozolimy przestrzeń, przecież dokładnie o wszystkiem była poinformowaną. Nie mogła się też wstrzymać od pytania:

— Któż ci to Muszko tak wszystko szczegółowo —

— O, ja mam swoje źródła informacyjne i tutaj... A co do Wiery, to wiem od niej samej... Była tu w zeszłym tygodniu u znajomej, która ukończyła tę szkołę, by się dokładnie poinformować co do warunków przyjęcia.

— Cóż to za szkoła i jakie ma Wiera zamiary?

— Szkoła zawodowych pielęgniarek w Charlottenburgu... A co do planów Wiery, to przedewszystkiem chce się uniezależnić od Rubina i gdudu. Na ukończenie szkoły dostaje pieniądze z domu. Jeżeli zaś dziecko przyjdzie na świat, chce je sama wychować.

— A czy ci Wiera mówiła, dlaczego nie chce się zgodzić na żądanie Rubina?

— I ty się pytasz Tirso!... Czy nie rozumiesz, że dziecko poczęte z miłości nie jest ciężarem, który... którego się można, lub chce z lekkiem sercem pozbyć!... Ja doskonale rozumiem Wierę i w zupełności przyznaję jej rację... Nie pojmuję tylko, jak Rubin, jako ojciec, mógł czegoś podobnego żądać od Wiery...

— Szoszana tłómaczyła mi, że Rubin jest egoistą, i że jego stosunek do Wiery ma wyłącznie podkład zmysłowy... Wątpię też, czy Wiera nie myli się w swych kombinacjach, iż dzieckiem zdoła przywiązać do siebie Rubina.

http://rcin.org.pl

— Nie, Tirso droga. Szoszana się myli. Myślę: co do Wiery. Prawda jest, że Wiera chciałaby przy sobie zatrzymać Rubina, ale z drugiej strony jej chodzi wyłącznie o dziecko... Wszak wiesz, że Rubin chciał ją poślubić...

— Dla czegóż więc Wiera się nie zgodziła? Przecież to byłoby najlepszem rozwiązaniem...

— Nie sądź Tirso, iż nie pytałam się o to Wiery... I wiesz, co mi odpowiedziała?... „Nie mam — powiedziała — pod tym względem zaufania do Rubina. Jeżeli nie chciał się krępować dzieckiem, którego jeszcze nie znał i nie widział, jakżeż mogę przesądzać ten jego stosunek do mego dziecka przez formalny ślub! A nuż on tego dziecka nie pokocha! Czy nie zniszczy to resztki istniejącego jeszcze między nami uczucia?...“.

— Prawdę powiedziawszy Muszko, to po tem, co od ciebie słyszałam, przychodzę do przekonania, że Wiera ma rację. Muszę się jednak przyznać, że ani na chwilę nie przypuszczałam, że ta wesoła, wiecznie roześmiana Wiera ma taki stanowczy charakter.

— Tak, tak. Nigdy nie należy osądzać ludzi według ich zewnętrznego wyglądu... Cóż, kostjum dobry?... A pamiętaj Tirso i przyjdź wnet na śniadanie. Wieczór idziemy na koncert.

— Na koncert?

— Nie wiem jeszcze dokładnie. Profesor Opatowski bardzo zachwalał program. Kleinzeler przyrzekł postarać się o bilety. Więc może pójdziemy? Zgoda?

— Wedle twojej woli Muszko... Pa...

...Na ulicy trwał mimo wczesną jeszcze godzinę upał. Nie było żadnego przewiewu, gdyż wiatr nie

http://rcin.org.pl

wstał jeszcze z ponad morza, a słońce już z wysoka zaglądało w puste ulice. Rozgrzane płyty trotuarowe wydzielały promieniujące w górę, gorące fale powietrza.

Idąc znaną sobie już drogą, napotykała Tirsa jedynie na ludzi spieszących do bóżnicy, lub też zdążających, podobnie jak ona, w kierunku morza.

Gdy weszła do urządzonej prymitywnie kabiny, zrzuciła z nerwowym pośpiechem suknie, a minąwszy liczną grupę kobiet, kąpiących się u samego brzegu, rzuciła się crowlem w dal...

Morze było jakby obumarłe. U samego tylko brzegu tworzyły się, niby białe falbanki niebieskawej sukni, lekkie załamania, świadczące o niewygasłem życiu wód. Przy zetknięciu się z wyrzuconemi na brzeg muszlami wydawały fale cichy szelest, jak gdyby ktoś palcami mieszał orzechy we worku... Na horyzoncie znaczyła się szeroka, kolista taśma, wydzielająca takie jaskrawe białe światło, iż w blask tego światła tak trudno było patrzeć jak w słońce. Woda była cieplejsza niż powietrze i tak gęsta, iż Tirsa, upłynąwszy spory kawał, ułożyła się na grzbiecie i podłożywszy pod głowę ręce, trwała w zupełnym bezruchu.

O, jakżeż to już dawno nie czuła się tak swobodną, wolną, nieograniczoną ludźmi i ścianami, nieskrępowaną stanikiem i suknią... O, jakżeż to rozkosznie móc się tak zawiesić między lądem a bezmiarem wód, czuć wzdłuż ciała pieszczotliwe łaskotanie fali, pod sobą niezgłębione tajemnice morskich odmętów, a nad sobą niepokalany błękit niebios!

Przypomniała sobie w tej chwili owe trzy tygodnie wakacji, spędzonych z ojcem przed kilku laty w Lido... Wtedy po raz pierwszy widziała morze. Po

http://rcin.org.pl

czarnej, ciemnej i brudnej Wenecji wywarło morze tak silne wrażenie, iż pierwsze dnie spędzone na plaży uważała za jakiś złudny sen, który lada chwila na skutek zewnętrznego wstrząsu dozna rozwiania. Pamięta, jak to później stale irytowała się na strojące się kobiety i flirtujących mężczyzn, używających kąpieli jako zabiegu lekarskiego. Zażywali oni słońca, wody i piasku, niby medycyny z filisterską punktualnością, w dozach wyznaczonych przez lekarzy, albo też spędzali czas na przesiadywaniu po kawiarniach, ignorując zupełnie rozkoszne piękno morza. Nadto tam nigdy nie było się samą, nie poddaną konwenansowi i towarzyskim wymogom, dyktowanym przez współżycie z mieszkańcami luksusowych hoteli i pensjonatów... Niemniej Lido dało jej owe gorące, głębokie, prawie że zmysłowe ukochanie morza. Od tego też czasu datuje się jej, przez lata niespełnionych marzeń żywiona za morzem tęsknota i upodobanie wszelakiego z wodą łączącego się sportu...

Wróciwszy na brzeg, wyszukała Tirsa pod parkanem cieniste miejsce i ułożyła się na puszystym, a srebrzystym piasku. Piasek był tak gorący, iż Tirsa musiała odgarnąć jego wierzchnią warstwę, by móc uleżeć. Mechanicznie poczęła okładać ciało aż po piersi sypkim piaskiem, przelewającym rozkoszne ciepło w żyły. Z morza porwał się lekki zefirek, muskając od czasu do czasu chłodną, subtelną pieszczotą twarz, czoło i szyję... Tirsa poczuła lekkie zmęczenie, kładące się zwolna na dłonie i powieki, tak iż miała wrażenie zapadania w sen.

Przymknęła oczy, lecz sen nie nadchodził. Między leżącemi bowiem obok kobietami uganiały nagie

http://rcin.org.pl

dzieciaki, obrzucając się wzajemnie piaskiem i muszlami. W najbliższem zaś sąsiedztwie rozmawiały głośno jakieś trzy niewiasty o zatroskanych twarzach, nadętych brzuchach i obwisłych piersiach. Przysłoniwszy się parasolkami, uskarżały się kolejno na konieczność obchodzenia się bez służącej, na upały i choroby, na brak wygód i towarzystwa. Jedna twierdziła, iż od czasu przyjazdu do Palestyny dzieci jej nie przestają chorować. To odra, to zapalenie ucha, to znowu jakieś nigdy nie gojące się czeraki na rękach i nogach.

— Ach, proszę pani — mówiła druga, przesypując piasek poprzez palec pulchnej nogi — Palestyna to kraj dobry dla Arabów lub Jemenitów, ale nie dla człowieka z Europy... W domu miałam dwie służące, a tu muszę sama gotować i myć garnki. Już mych rąk nie czuję... Pół godziny muszę palce moczyć w ciepłej wodzie, nim tłuszcz z nich zejdzie, a z pod paznokci w żaden sposób nawet moja manikirzystka brudu nie wyciągnie...

— Nie uwierzycie panie, — skarżyła się trzecia — iż przy moich dwudziestu pięciu latach znalazłam wczoraj po raz pierwszy trzy siwe włosy.. Wyrwałam je wprawdzie, ale... mój mąż powiada, że ze siwymi włosami to tak w Palestynie jak z długami: prędko przychodzą i nie można się ich pozbyć...

Słuchając tych żalów, przypomniała sobie Tirsa słowa Uriego: „do kraju należy znaleźć odpowiedni stosunek, tak jak się go nabywa z czasem do obrazu lub książki. Trzeba się tu urodzić, lub dłużej tu mieszkać, by stosunek ten znaleźć... Kto jednak stosunek ten znalazł, ten tęskni za Palestyną, jak za swą prawdziwą ojczyzną“...

http://rcin.org.pl

Tirsa zapatrzyła się w morze i czuła, jak w jej myślach wytwarza się długa pauza bez treści i celu... Niespodzianie stanęła przed jej duszą postać Wiery I znów poczęły wokół jej postaci krążyć refleksje... Jakżeż upośledzoną była dusza kobiety w porównaniu z duszą mężczyzny... Z jednej strony miłość do Rubina, a z drugiej do tego jeszcze nie zrodzonego dziecka, którego on sobie nie życzył... dwie siły, rozpierające się na wnętrzu w przeciwnych kierunkach. Która zwycięży?... Jestże to możliwe, by Wiera nad tym brakiem uczucia dla wspólnego dziecka przeszła do porządku dziennego, by jej miłość ku Rubinowi wcale na tem nie ucierpiała?...

Co za niewiarygodne sytuacje wytwarza życie i jakie nieznane głębie odsłaniają się w człowieku pod wpływem dojrzewającego w bólu i radości serca!... Czy też w każdym człowieku śpią te bogate, nieodkryte ziemie, czy też może tylko nad duszami wyjątkowych ludzi i to tylko przypadkowo zakrąży aeroplan budziciela?... Czyby i ona w danym wypadku tak bogatą i tak szlachetną reagowała skalą?... Lecz pocóż się nad tem zastanawiać?! Czy droga jej życia nie była już wyznaczoną?! Czyż mogła jeszcze zboczyć na lewo lub prawo?!...

Było to może oka mgnienie, a może i godzina, że Tirsa zapadła w sen na jawie. Przez chwilę, a może i na dłużej straciła świat z przed oczu, a gdy się znów odnalazła, miała wrażenie, że ją obudziła jakaś myśl, dobijająca się na powierzchnię świadomości, jakaś przecierająca się prawda, jakiś pewnik jako nagłe rozwiązanie problemu kołującego gdzieś na wnętrzu, w podświadomości.

http://rcin.org.pl

A pewnik ten był tak bolesnym w swem nagłem objawieniu, iż Tirsa, — jak gdyby ją coś ukłuło, — zerwała się z piasku, ze zdumieniem patrząc tej nowej prawdzie w oczy... Nie, nie mogła uwierzyć!... Czyżby ta natrętna myśl istotnie oddawała faktyczny stan rzeczy?... Czyżby ona dla tego jedynie jechała do Tel-Awiwu, by być w towarzystwie Arjego, siedzieć obok niego i czekać na sposobność spojrzenia w błękit jego oczu?!... Czyż dla tego droga z Jerozolimy do Tel-Awiwu wydała się jej tak krótką i mimo gołe zbocza gór, mimo monotonję równiny, tak miłą? Czyż dla tego ruch ręki Arjego opadającej przy nagłych skrętach na koło kierownicy wydał się jej pełnym wdzięku niby uderzenie wirtuoza o wymowny klawisz fortepianu?...

A i teraz widzi te żylaste, pełne wyrazu i siły ręce, zdające się podczas drogi nieść ją w powietrzu wraz z szalejącem autem... Skąd się to wogóle wzięło, że jadąc pod górę, w chwili, gdy wskazówka, dygocąc, cofała się z sześćdziesięciu na trzydzieści km., a powolny ruch auta umożliwił rozmowę, że wtedy postawiła tak bezpośrednie i tak osobiste pytanie:

— „no dobrze, ale co właściwie ty zamyślasz w przyszłości? Przecież nie myślisz zostać na stałe szoferem?...“.

O jakże się wówczas sama zlękła tych pospolitych i nieoględnie wypowiedzianych słów! Wszak na skutek tego obcesowego mieszania się w jego osobiste sprawy łatwo mógł ich dotychczasowy, przyjazny stosunek doznać zamącenia... Ku jej jednak radości Arjeh spojrzał na nią zdziwionym błękitem swych oczu i milcząc, — aż się znaleźli na szczycie góry, na

http://rcin.org.pl

której sterczał kamienny dom angielskiej żandarmerji, — odpowiedział, przekładając dźwignię:

„Pytanie twoje, Tirso, jest krótkie, ale — odpowiedź nie może być również krótką... Widzisz, komu innemu powiedziałbym: i zawód szofera nie jest gorszym od zawodu, dajmy na to, adwokata lub doktora... Takbym się — wykręcił... Tobie jednak chcę odpowiedzieć szczerze i proszę tego, co powiem, nie uważać za pusty frazes. Otóż będę tem, czem mi obowiązek nakaże... Czy rozumiesz? Są sytuacje, że spełnienie przyjętego na się obowiązku daje większą satysfakcję, niż wszystko inne, co w życiu szczęściem się nazywa... I jeszcze jedno: gdybym chciał w życiu szukać innej przyszłości, nie przyjechałbym był tutaj...“

Tak mniej więcej brzmiały jego słowa, które tem dziwniejszemi wydały się Tirsie, ile że Arjeh, mówiąc, nie patrzył się na nią, lecz na drogę, wślizgującą się jak wystraszone zwierzę pod kadłub automobilu.

Wtedy Tirsa nie rozumiała odpowiedzi Arjego, tak samo jak i teraz sens tych słów jest jej niejasnym. Wsłuchiwała się jednak w ten niski, ciepły, niezwykły u Arjego ton, jak gdyby w tej chwili siedzący obok niej człowiek wtajemniczał ją w najgłębsze arkana swego wnętrza, w najbardziej utajone prawdy życia. I teraz również odnosiła wrażenie, że na chwilę otworzyło się zamknięte dotychczas szczelnie okno jego duszy, a wpadający, słoneczny promień rozświetlił pogrążone dotychczas w cieniu obszary.

W jakim to właściwie związku, — usiłowała Tirsa przypomnieć sobie — stało jej pytanie?... A, już wie..... On się jej pytał, czy prawdą jest, że odwiedza domy biedaków w Meja Szaarim i w Starem Mieście,

http://rcin.org.pl

rozdzielając pieniądze i lekarstwa?... Skąd on o tem wie?... A czy w tem jego powiedzeniu: „..ta twoja praca społeczna...“ ma się dopatrywać ironji?... A z tego przeszli na temat jej przyszłej pracy w szpitalu, a następnie na jego stosunek do gdudu. I tu znów napróżno starała się Tirsa przeniknąć poza tajemnicę wewnętrznych wydarzeń w gdudzie. A może Arjeh mówił prawdę, gdy odnośne jej pytanie zbywał twierdzeniem, iż nie bierze czynnego udziału w polityce?!... Więc przecież słusznym był jej domysł, iż tłem tego niezadowolenia, które od dłuższego czasu obserwowała u Szoszany, Uriego, Dubińskiego i innych gdudowców, były nieznane jej bliżej konflikty politycznej natury...

Lecz nie! Nie o tem chce w tej chwili myśleć... O, jakże cudnie załamują się spiętrzone fale... Jak gdyby były ze szkła weneckiego, a z ich wnętrza wylewały się płynne, srebrne koronki.

Tak, chciałaby jeszcze raz przejść słowo po słowie z odpowiedzi Arjego. Ale za czem szukać, lub czego się spodziewać?!.. O, znów ta nieznośna myśl!... A więc tak! Tylko dlatego jechała do Tel-Awiwu, by — by siedzieć blisko niego... Więc cóż z tego?... Co to kogo obchodzi?...

O, za pozwoleniem!.. Jakto, co to kogo obchodzi!... A Karol?... Karol? Czy mu się sprzeniewierzyła? Czy było w jej postępowaniu coś, za co... Na miłość boską, przecież nie robiła tego świadomie!.. Jakto nieświadomie?!... Czy możliwość, względnie pewność powrotu w jednem aucie z Arjem, nie przepełnia jej podniecającą, radosną nadzieją?... Czy może temu zaprzeczyć?...

Ach, dość! Milczeć!...

http://rcin.org.pl

Tirsa wstała zirytowana. Jak często, tak i teraz przedostawały się z nieznanych mózgowych pokładów nieznośne myśli, których na żaden sposób nie można było stłumić. Towarzyszyły one często przez chwilę, a często wlokły się dzień i noc, przerywając i burząc najbardziej logicznie uporządkowany proces myślowy. Bywało, że robak taki ukrywał się na jakiś czas, by niespodziewanie znów się stawić do podziemnej pracy i wiercić, wiercić... bez końca... do krwi..

— — — — — — — — — — —

W pośrodku młodego, lecz pięknego parku ciągnie się wielka, podobna do hali fabrycznej, sala koncertowa. Gołe, zimne ściany; widoczne drewniane belkowanie stropu i dachu. Wysokie, z desek zbite podjum, ujęte w ramy szarych, prostych płaszczyzn, utworzonych przez sceniczne dekoracje.

— Niech się pani nie dziwi — tłómaczył Tirsie profesor Opatowski. — Ta sala „koncertowa“ — to pozostałość po tegorocznej Wystawie Wschodu... Tak, tak. Trudno tu co prawda o właściwy nastrój, ale my, mieszkańcy Tel-Awiwu jesteśmy tak spragnieni dobrej muzyki, iż słuchamy jej wszędzie z wielkiem nabożeństwem...

— Nawet policyjnej orkiestry na plaży — dodał z przekąsem Kleinzeler. — Jakto, nie słyszała pani o tem najnowszem przedsiębiorstwie? Nie?... Otóż nasz przewielebny magistrat zarządził, by dla rozweselenia publiki grywała policja w soboty wieczorem na plaży... Co? Paradny pomysł?!.. Gdzieindziej grają w święta popołudniu, a u nas ze względów religijnych w nocy, gdy trzeba iść spać!... I tylko dla tego, by — broń Boże — nie zrazić sobie prześwietnego kleru!... Wspaniały, oryginalny pomysł! Nieprawdaż?...

http://rcin.org.pl

— No, nie każdy tak wcześnie chodzi spać jak pan, panie Kleinzeler — wyręczyła Muszka Tirsę w odpowiedzi

— Obawiam się, — zauważył profesor Opatowski — że pan Kleinzeler ze względu na spóźnioną, jak dla niego porę, gotów tu dziś usnąć na złość Bethovenowi...

— O, niech się pan o mnie nie troszczy. O pana się we śnie z pewnością nie oprę.

— Ale o mnie też nie — prosił z drwiącą miną kolonista Grossfeld.

Tirsa rozglądnęła się po sali... Znów sama młodzież! Co za zróżniczkowanie w strojach, wyrazie, twarzy, chodzie i zachowaniu! Ani jednej twarzy pełnej, sytej, opuchłej od dobrobytu i zadowolenia!... O, nawet smokingi i prasowane gorsy!...

Prócz Muszki i jej trzech towarzyszy nikogo tu nie zna. — Wołanie dzwonka... Ściemnia się. Gwar cichnie i rychło zupełnie zamiera... Przy świetle ostatnich gasnących lamp spoziera szybko na program drukowany po hebrajsku i angielsku... Dla kogo ten angielski tekst?. . No, choćby dla niej!...

Czyta: *Bethoven, c-moll Op. 30, Nr. 2...*

Grają... Fortepian i skrzypce... Po niezdecydowanem *Allegro con brio* idzie poważne, tęsknotę wyzwalające, głębokie, a śpiewne *adagio cantabile...* Potem: uskrzydlona melodja niespostrzeżenie uprowadza rozpraszającą się myśl na dalekie od sali i koncertu przedmioty. Niesie ją ponad morzem i górami, ponad lasami i miastami, na te ulice, po których ongiś kroczył Bethoven...

...Jakże genjalnym był ten człowiek, iż już pierwsze akordy jego pieśni na przestrzał otwierają ludzką

http://rcin.org.pl

duszę... Ileż to razy patrząc w jego maskę, wiszącą nad łóżkiem, tam we Wiedniu, odczuwała, jak zastygły w gipsie ból tego nadczłowieka materjalizuje się i żywym, współmiernym, płynie w jej duszę płomieniem... Nie potrzebowała słuchać jego tonów. Wystarczyło — w pewnych dniach — zamknąć się na klucz w swym pokoiku, zapatrzeć się w tę szeroką, gipsową maskę, by wszystko, co było na wnętrzu dobrocią i smutkiem, tęsknotą i nadzieją, co było lękiem przed życiem i śmiercią, co jak niepoczęta melodja czekało w niej wyzwolenia, by to wszystko tajało, wzbierało i spływało w serce cichą, łagodną, ukojną falą krwi...

Do fortepianu i skrzypiec przyłączyło się czello... Trio grało niby jeden instrument *g-dur Largo con expressione...*

..Lato... Niedziela... Prater ze swym jarmarcznym hałasem rozbawionego tłumu... Ona stoi, mała dziewczyna, obok wielkiej budy z woskowemi figurami i ogromną rozgłośną kataryną. Kataryna gra jak kościelne organy. Niskie tony wywołują drżenie na całem ciele... Jak gdyby przeciągała burza i rozlegały się ponure grzmoty... A potem te piskliwe klarnety i flety, wesołe i swawolne jak dzieci sąsiadów Bergmanów... A wreszcie triumfalne, radosne, masywne finale... Organów tych słuchała godzinami... aż nadchodził wieczór i trzeba było wracać... W domu siadało się z książką na kanapie, gasiło się światło i wsłuchiwało się w ciszę pustych pokoi, w które od czasu do czasu wpadał głos tramwajowych sygnałów... Cisza... Oczy się przymykają. Ręka z książką opada. Stłumione westchnienie... Jakieś litosne ręce kładą się na głowę, niewidoczne wargi szepcą słowa

http://rcin.org.pl

ukojenia, ciepłym oddechem pochyla się nad nią jakaś zamglona, dobra twarz kobieca...

Ach, nie! To złudzenie... To trio gra swe largo con expressione... To ten siwowłosy staruszek głaszcze tak subtelnie klawisze, iż tony dłużą się jakby wypływały z wielkiej harfy. A ten czupurny skrzypek wyciąga swym smyczkiem takie pieszczotliwe tony, iż kładą się one płaszczem pocieszenia na dusze słuchaczy... Czuje, jak łzy wielkie, ciche, słodkie niby krople pszczelnego miodu spływają po policzkach. A gdy łzy te spłyną do warg, wtedy niespodzianie z ich chłodnej, słodkiej oprawy wylewa się słono gorzkawa treść... o smaku wody zaczerpniętej z Martwego Morza.

Ot, po finale... zabłysły światła... Ludzie, a wraz z nimi i ona chowają wstydliwie swe, z nabożnego skupienia przebudzone twarze, jak gdyby ktoś schwytał ich na świętokradzkim uczynku. Dusza, która co dopiero jak ślimak wyszła ze swej skorupy, by grzać się na słońcu muzycznej emocji, dusza ta z trudem wraca do swej powszedniej rzeczywistości...

— Dobry wieczór Muszko. Dobry wieczór Tirso... Szukam was, jak Żydzi Mesjasza...

— A ty co tu robisz, Uri? — pytała Tirsa, zdziwiona tem niespodzianem pojawieniem się Uriego na sali.

— Jestem w przejeździe i — za interesami... Byłem w twym pensjonacie Muszko po południu. Powiedziano mi, żeście poszły z wizytą. Byłem więc teraz poraz drugi, no i dowiedziałem się, że jesteście na koncercie.

— A gdzie ty siedzisz? — dowiadywała się Muszka.

http://rcin.org.pl

— Nigdzie. Ja tylko wszedłem, korzystając z pauzy, by tobie Tirso z polecenia Arjego zakomunikować, że Arjeh jutro nie przyjedzie po ciebie, gdyż wraz ze mną musi być w pilnej sprawie w Tel-Josef. Każe ci jednak powiedzieć, iż zamówił dla ciebie miejsce w aucie firmy Kadimah, przy ul. Herzla... No, a teraz bądźcie mi zdrowe... Muszę uciekać, bo już dzwonią.

— A możebyś po koncercie przyszedł do nas na herbatę? — zapraszała Muszka.

— Nie mogę. Ważne posiedzenie. Kto wie, kiedy się skończy... Do widzenia...

— Wiecznie ma posiedzenia — gniewała się Muszka.

— Któż to jest ten młodzieniec z brodą Sokratesa? — dowiadywał się Kleinzeler.

— To nasz, mój i Tirsy, wspólny znajomy, Uri — tłómaczyła Muszka.

— Czy należy do gdudu? Tak? Ah, to ten, co go to aresztowano w związku z pańskiemi, panie Grossfeld „rozruchami" — usiłował Kleinzeler podrażnić zapatrzonego w program kolonistę.

— Jakże go aresztowali — dziwił się profesor Opatowski — skoro jest na koncercie?

— Wypuszczono go na wolność po złożeniu kaucji — tłómaczył Kleinzeler.

— Ciekawym, — dowiadywał się Grossfeld — skąd tego rodzaju ludzie biorą pieniądze na składanie wysokich kaucji, podobno sześćdziesiąt funtów?

— Z pewnością pan sobie wyobraża, — mówił z ironją Kleinzeler — że dostał pieniądze od bolszewików.,.

http://rcin.org.pl

— No, a gdyby?...

— Cicho, panowie, — prosiła Muszka. — Już zaczynają...

W SZPITALU.

Była już godzina ósma, gdy Tirsa załatwiła wstępne prace. Odebrała od dyżurnej Raji raport. Zmierzyła swym dzieciom temperaturę i puls, powypełniała odnośne „giljonot“ *); u najmniejszych skontrolowała i zmieniła bieliznę i poczęła przygotowywać ostatni przed nocą posiłek.

Obliczyła dokładnie, ile porcji trzeba będzie „kalkala ragila“ (zwykłego pokarmu), ile kalkala raka (pokarmu lekkiego), ile nozlit (płynnego), a ile mijuchedet (szczególnego). Następnie porozumiała się co do wspólnego przygotowania kolacji ze siostrą Pniną, czynną na tymsamym oddziale; a ponieważ tak w kuchni, jak i na dwóch, jej opiece powierzonych salach wszystko było w porządku, więc usiadła na krzesełku w korytarzu i myślała:

...właściwie, to służba nocna była o wiele przyjemniejszą niż dzienna. Nie było tego niepokoju, powodowanego częstemi wizytami lekarzy i rodziców, nie było hałasowania dzieci, będących w rekonwalescencji, nie było pracy przy przyjmowaniu nowych i zwalnianiu starych pacjentów. To, czego się najbardziej obawiała tj. zaśnięcia podczas służby, było — jak się przekonywała — najmniejszem niebezpieczeństwem... Wogóle wszystkie jej obawy żywione w zwią-

*) Giljonot — arkusze.

http://rcin.org.pl

zku z pracą szpitalną okazały się w rzeczywistości przesadnemi. Często zastanawiała się nad tem, z jaką łatwością przyszło jej wpleść się w to życie szpitalne, stać się w przeciągu trzech ledwo miesięcy jednem z niezbędnych kółek, poruszających ten skomplikowany mechanizm.

Jedna tylko rzecz była, której nie mogła zrozumieć... Tak, mimo starannych dociekań nie rozumiała tej niechęci, z jaką się do niej odnosiły jej koleżanki i jej achot-raszit, (siostra naczelna) Rachel Kaspi... Dlaczego? Czy wyrządziła im jakąś krzywdę? Czy mieszała się do ich plotek i intryg? Czy odbierała im chleb?... Wszak pracowała bezpłatnie i niejednokrotnie odrzucała proponowane jej przez kancelarję wynagrodzenie. Czyż nie starała się ze swej strony na każdym kroku o zaufanie u swych koleżanek? Ilekroć która zwracała się do niej z prośbą o zastępstwo, ani razu nie odmawiała, nawet gdy sama upadała z nóg ze zmęczenia.

A może Pnina miała rację, gdy twierdziła, że jedną z przyczyn, dla której siostry jej nie lubiły, było właśnie to, że nie pobierała tych kilku funtów miesięcznej pensji... A może rzeczywiście upatrywały w niej ową dumną arystokratkę — jak jej to Pnina zwierzyła?... Wszak przedwczoraj przy obiedzie ni stąd ni z owąd warknęła na nią ruda Sonia Stolarska: ...„ja na twojem miejscu nosiłabym stale rękawiczki, by sobie palców nie powalać jodyną...“.

Czego one właściwie chciały? Czy brały jej za złe, że z żadną z nich nie żyła bliżej? A może chodziło im o to, że trzymała się zdala od ich stałych konszachtów, zwróconych raz przeciw ekonomce, raz

http://rcin.org.pl

przeciw sekretarzowi, czasem przeciw temu, czasem przeciw innemu lekarzowi?...

Tirsa nie mogła tego zrozumieć, jak wobec tylu cierpień, jak wobec tej niezmierzonej nędzy, przewalającej się poprzez sale nieprzerwaną i niestłumioną falą, można było tak egoistycznie, tak zawodowo patrzeć się na swój stosunek do chorych i do pracy... Być może, że i ona z czasem dojdzie do tego odrętwienia i do tej zawodowej doskonałości, które zezwalają pracę siostry spełniać z tą nieobecnością serca i tą mechaniczną wprawą rąk, z jaką pisze się na maszynie, lub robi pończochy. Być może, że z czasem i jej dusza stanie się gładką i pojemną, jak rynna na dachu, przez której wnętrze wszystko się przelewa, nie pozostawiając śladu wilgoci lub brudu... Ot tak, jak u Racheli Kaspi... Cóż to za dziwna kobieta!... Słusznie się o niej wyraził Dr. Szapiro: „żelazo, ubrane w suknię i skórę...".

Na samą myśl o swej przełożonej poczęła się Tirsa trwożnie rozglądać po korytarzu...

... Istny pruski oficer... Burzyła swym charakterem wszelkie jej dotychczasowe pojęcia o kobiecie. Dotychczas bowiem nie przeszło jej przez myśl, by kobieta mogła posiadać tyle męskiej energji, co ta Kaspi... Gdyby tak od niej, od Kaspi, zależało, robiłaby wszystkie operacje bez maski i bez chloroformu... Była jakby bez serca. Gdy szła przez salę sztywna, wyprasowana, bez cienia uśmiechu, jakby z nożem w oczach i obcęgami w rękach, truchlały dzieci, chowając się trwożnie pod kołderki. Na kursach młodsze uczennice jej jedynej nie płatały figlów podczas lekcji, bojąc się jej jak ognia... A ona sama, czyż nie drżała na widok tej kobiety?!...

http://rcin.org.pl

...Co za pech! Nigdy się jej nie przytrafiło, by się zdrzemła podczas nocnej pracy, a tu prawie wczoraj... Trwało może minutę... Słyszała poprzez sen otwieranie drzwi korytarzowych, rozpoznawała chód Kaspi i na żaden sposób nie mogła oczu otworzyć!... Ileż to zgryźliwej złośliwości leżało w tem upomnieniu: ...„czy panny łóżko w domu nie jest dość wygodnem, że aż tu przychodzi wypoczywać?...“.

O, wolałaby się zapaść w ziemię, niż to słyszeć!... Z pewnością doniosła Kraftowi...

I wszystko się jej na oddziale nie podoba... To niewyraźne pismo, to niedobrze zasłane łóżka, to znów nieodpowiednio wymyte flaszki. Nawet błędów się czepia ortograficznych, choć inne siostry pisały protokoły taką hebrajszczyzną, iż się naśmiewano po całem mieście... Czego ona właściwie chciała?... Jeszcze ani razu nie wizytowała oddziału, by jej czegoś nie wytknąć... Czekała przy drzwiach, by stwierdzić, czy się nie spaźnia. Wyznaczała jej służbę nocną, choć nie jej była kolej. Zmuszała ją do chodzenia na wykłady wraz z młodszemi uczennicami, choć wiedziała dobrze, że jej nie można porównywać z Dorą Kranz lub Stefą Kurz, a nawet z większością koleżanek, które z minimalnem wykształceniem szkolnem, jedynie na podstawie trzechletnich kursów urządzanych przez Hadassę *) dobijały się tytułu dyplomowanej siostry.

A może wreszcie miał rację Rubin, twierdząc, iż Kaspi dlatego jej nie znosi, ponieważ ona, Tirsa, cieszy się sympatjami Krafta?!... Jestże to możliwem,

---

*) Hadassa — Organizacja kobiet żydowskich w Ameryce, utrzymująca pod tą nazwą kilka szpitali w Palestynie.

http://rcin.org.pl

by ta kobieta kochała się w Krafcie, by wogóle zdolną była kochać, być zazdrosną, cierpieć, czuć?!...

Choć z drugiej strony tu — wszystko było możliwem. Wszak cała atmosfera szpitalna przesiąknięta była jak gdyby erotycznemi falami... Nawet jej się czepiano... Nawet ona, umiejąca utrzymać mężczyzn w należytym dystansie, była narażona na zaczepki; nawet jej nie zostawiono w spokoju. Nawet ona narażona była na owe dwuznaczne półsłówka, wymowne spojrzenia i zaproszenia... Nie mówiąc o cichem nabożeństwie Dra Szapiry i bezczelnem zachowaniu się sanitarjusza Holzmana, czyż nie wyczuwała niebezpiecznych zamiarów Dra Kapłana!... Dopiero w zeszłym tygodniu miała z nim poważną przeprawę na tle „przypadkowego" potrącenia w korytarzu oddziału chirurgicznego... Stale i niepotrzebnie czepiał się jej rąk, narzucał się na towarzysza w drodze ze szpitala do domu, zachodził w nocy do jej dyżurnego pokoju... Co on sobie właściwie myślał?!...

Jakżeż małostkowemi, pogardy godnemi, a przedewszystkiem śmiesznemi były te wszystkie, — jak je Rubin słusznie określał — „kogucie zabiegi w klatce"!... Jakżeż np. śmiesznym był jej bezpośredni zwierzchnik z oddziału dzieci, Dr. Lojko Nemes... Żona śledziła go na każdym kroku, co jednak nieprzeszkadzało panu doktorowi nadskakiwać siostrze Heli z oddziału chorób wewnętrznych... Trudno istotnie było wstrzymać się od śmiechu, gdy pan doktór, przybierając minę człowieka znudzonego, mówił: „Siostro Tirso! Ja tylko na chwilę schodzę na szklankę gazos *). Mam pragnienie, jak gdybym zjadł całego śledzia...".

*) Gazos — woda sodowa.

http://rcin.org.pl

Naturalnie, gdy go było potrzeba, posyłało się nie do kawiarenki, lecz wprost na oddział wewnętrzny, lub do ogrodu... Jakże niezrozumiałem wydało się Tirsie to wieczne balansowanie ludzkiego serca, to wszelkiej logice, prawu i uczciwości urągające odchylanie się od nakreślonej obowiązkiem linji, ten pociąg do zakazanego owocu...

Tak jak np. u niej!...

Nie! Nie myśleć o tem!... Nie chce... nie!...

Pod wpływem nacierającej myśli zerwała się Tirsa tak gwałtownie z krzesła, że ustawiony na wątłym stoliku kałamarz, zachwiał się i upadł, wylewając ze swego wnętrza czarną strugę atramentu.

— A to co; czy panią coś ugryzło?

Przed Tirsą stał, jak gdyby z pod posadzki wyskoczył, Dr. Kraft. Tirsa była jego nagłem pojawieniem się tak zaskoczona i zmieszana, że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, czy to zwidzenie, wywołane nagłym zwrotem w wirze kołujących, a nieposłusznych myśli, czy też rzeczywistość.

— No cóż, czy ja tak panią przestraszyłem, że pani aż atrament wylewasz na posadzkę?... Proszę się nie lękać. Nie przychodzę oficjalnie... Zabłądziłem tutaj, ponieważ wiem, że pani sama, a chciałbym, tak trochę, z panią pogwarzyć... Siadajmy... Od czasu, jak pani Herbst przeniosła się do Tel-Awiwu, niema w Jerozolimie zbornego punktu... No, a tu trochę trudno... Yes, Yes... Więc jak praca, panno Tirso?

— Dziękuję — wykrztusiła Tirsa, zdumiona tym towarzyskim tonem, jaki Kraft starał się nadać swym słowom.

— Cóż, nic się nie poprawiło? Czy ciągle jeszcze tak na panią... huzia?... Co?... Ach, to jest banda! Gdy-

http://rcin.org.pl

bym tak był od siebie zależnym, połowę przepędziłbym tam, gdzie pieprz rośnie. Gdyby pani wiedziała, co ja od nich cierpię!... Teraz mi już sanitarjuszy buntują... te pani serdeczne „przyjaciółki"... O, wiem o wszystkiem — o wszystkiem... Właśnie dlatego przyszedłem. Chcę pani coś poradzić... A więc niech pani zgodzi się przyjąć pensję... To zmieni wiele. A następnie niech się pani niczem nie zraża. Zagryźć zęby i sprawa załatwiona. Zgoda?

— Ja, panie doktorze... z mej strony naturalnie, że... bardzo jestem zobowiązana panu.

— Już dobrze, dobrze... A teraz, co u pani?... Kiedy przyjeżdża narzeczony?...

— Za miesiąc.

— W czem się specjalizuje?... Wewnętrzne?... Kto wie, może u nas coś się dla niego znajdzie... O, głupstwo! Niema za co dziękować! Chciałbym pani pomóc... Bo widzi pani, panno Tirso, ja mam do pani słabość... A wie pani dla czego?... Przypomina mi pani — nawet nie wie pani, jak bardzo — moją młodszą... Betti się nazywa... Całkiem do pani podobna. Taka cicha i smutna... No i tak samo dumnie głowę nosi, jak pani... Nie, to nie komplement... Tylko trochę niższa od pani i nie taka ładna... Zupełne przeciwieństwo do mej starszej Klary... Wie pani, panno Tirso — jak Betti była mała ciągle powtarzała: „ja chcę być doktorem, tak jak tatuś. Chcę zarabiać dużo pieniędzy i dawać biednym, by nie chorowali"... A teraz matka nie pozwala jej do mnie pisać... Rozumie pani, zakazuje jej pisać do własnego ojca... Eh! Głupstwo. Sprawa załatwiona. Niema oczem mówić!... Cóż ojciec pani? Spotkałem go wczoraj w organizacji sjońskiej. Zabiega o pożyczkę?... Postarzał się, posta-

http://rcin.org.pl

rzał... Coś ta wasza fabryka nieszczególnie idzie?... No, wszystko się jakoś ułoży. Tylko głowa do góry! Tak, do góry i nie dać nikomu nic poznać! Na zewnątrz, niech wszystko będzie all right... Życie i tak...

Tu nagle Kraft zmienił głos i ku największemu zdziwieniu Tirsy przeszedł w swój zwykły ton urzędowy:

— Tak, właśnie to jest przyczyna, że dzieci zbyt długo pozostają w łóżkach, że nie można ich wypisać i zwolnić miejsca, na które czeka się tygodniami. Trzeba siostro Lampel dołożyć więcej starań. Bardzo proszę...

Ukończywszy tę admonicję, skinął sztywnie głową i udał się na drugi koniec korytarza. Dopiero gdy znikł na zakręcie, zauważyła Tirsa, iż poprzez szklane drzwi, oddzielające korytarz od klatki schodowej, przeciska się Pnina z kolacją dla swych pacjentów.

— A, — pomyślała, — to ze względu na zbliżającą się Pninę Dr. Kraft zmienił ton i słowa.

— Cóż, — pytała Pnina, przystając z tacą przed stolikiem Tirsy — czy znowu ten „kościotrup“ poskarżył na ciebie?

— Później ci opowiem — wymawiała się Tirsa. — Muszę iść do kuchni po swoje porcje.

Karmiąc dzieci, czyniła to Tirsa z roztargnieniem i cichem życzeniem, by bliska kontrola naczelnej siostry jak najprędzej minęła. Wielce się też ucieszyła, gdy ją niespodzianie Kaspi wezwała do telefonu i poinformowawszy się o stanie na oddziale, zawiadomiła, że zaglądnie na oddział dopiero nad ranem.

Od jedenastej do dwunastej przypadała Tirsie godzina wypoczynku. Ułożywszy się więc na kanapie, poczęła w myśli jeszcze raz przechodzić słowa Krafta.

http://rcin.org.pl

Mówiły te słowa o dwóch sprzecznych uczuciach. Z jednej strony napełniały Tirsę nadzwyczajną radością. Wyjaśniały, iż owe źródło sympatji, którą darzył ją Kraft od samych początków jej szpitalnej pracy, było źródłem czystem i nie miało nic wspólnego z tem wszystkiem, czego się z różnych stron dopatrywano, a o co i ona sama skłonną go już była posądzić... O jakżeż to dobrze nie dopatrywać się w swem otoczeniu nieprzyjaciół, nie być zmuszoną chodzić stale z bronią na ramieniu, nie być tą zwierzyną, czujną na każdy szelest czyhającego na swą ofiarę mężczyzny.

I wogóle, czyż wszystkie te nieprzyjemności, które wyczuwała, nie były również tylko zwidzeniami, zwykłem niedopatrzeniem duszy, przesadnem pomnażaniem i uogólnianiem nic nie znaczących słów, gestów i uczynków? Z drugiej zaś strony dzisiejsze zwierzenia Krafta, dając jej klucz do wnętrza tego człowieka, otwierały przed nią widok na bezmiar cierpień, które Kraft przeżywał, ukrywając je przed okiem obcych... Zdaje się, że od Muszki słyszała o przywiązaniu Krafta do kraju i o powstałym na tem tle zatargu między Kraftem a jego żoną, która o przyjeździe do Palestyny ani słyszeć nie chce. Tirsa nie przeczuwała jednak, jak dalece to Krafta dotyka i jaka głęboka kryje się na dnie tego zatargu rodzinna tragedja...

— Ach, tak. Napisze do niej i to zaraz!... Choć po prawdzie, dlaczego o n a nie pisze?... Czy zakaz matki może być przeszkodą dla słuchaczki uniwersytetu i to Amerykanki?... Wszak miłość ojca do swej córki, miłość tak gorąca nie może być nie odwzajemnioną... Więc dla czegóż nie pisze?... Trzeba się do-

http://rcin.org.pl

wiedzieć! — A adres? Z pewnością w kancelarji jej powiedzą... Tak napisze i to zaraz.

Tirsa wstała z kanapy i wyjąwszy z teczki papier listowy poczęła pisać:

„Kochana Panno Betti!

Jeżeli Pani inaczej na imię, to proszę się nie gniewać. Jak wogóle nie bierz mi Pani za złe, że mieszam się w nieswoje sprawy. Ale Ojciec Pani, którego bardzo, bardzo cenię, powiedział mi przed chwilą, że jestem do pani podobna. To pozwala mi przypuszczać, że i Pani na mojem miejscu tak samo-by postąpiła.

A więc o co chodzi?

Otóż ja pracuję jako pielęgniarka w tym właśnie szpitalu, którego Ojciec pani jest przełożonym. To dało mi sposobność poznać Go nieco bliżej i dowiedzieć się, że cierpi... Nie mogę wyrazić, jak bardzo Ojciec Pani cierpi! Boli go — o ile dobrze pojmuję — nie tyle rozłąka, ile to, że Pani z nim całkiem zerwała... Koniecznem jest, by Pani do niego choćby parę słów napisała... Jeżeli to niemożliwem, to napisz Pani o sobie w liście, skierowanym do mnie... Wiem, że jest to dziwne z mej stronę żądanie. Uważam jednak, że jest to ze względu na Ojca Pani koniecznem.

Oczekuję...“

Tirsa przerwała pisanie listu na skutek hałasu, który ze względu na ciszę zalegającą budynek szpitalny tem głośniejszym się jej wydał. Gdy wyszła na korytarz, natknęła się na starego służącego Morchie-

http://rcin.org.pl

go, który ciągnął za sobą jakąś małą, dziko się rzucającą istotę.

— Kogóż to Morchi prowadzi? — pytała zdziwiona tą niezwykłą sceną Tirsa.

— Oh, geweret *) — odpowiadał zagadnięty, ciężko sapiąc i przeciągając z jemenicka samogłoski. — Tego tu robaka znalazłem i myślałem sobie, przyprowadzę go do geweret... Jak kto, to z pewnością geweret Irsa coś poradzi...

Tirsa przypatrzyła się uważniej owej wiązance szmat, trzęsącej się jakby we febrze, a podnosząc wzrok od gołych, czarnych od błota i prochu nóg ku bladozielonkowatej twarzy, rozpoznała w znalezionym przez służącego przedmiocie — kilkoletniego, wynędzniałego i wystraszonego chłopca.

— A gdzie go Morchi znalazł?

— Szedłem właśnie do domu... Idę tak wzdłuż muru na dół ku ulicy Jafskiej, aż tu nagle natarasiłem na coś miękkiego, co poczęło jęczeć. Patrzę się, a to jakieś żydowskie dziecko. Pytam: skąd, jak i gdzie, a ten nic, tylko się rzuca i do muru się obraca... Myślę sobie: zaprowadzę go do geweret. Geweret Irsa taka dobra i mądra, ona coś poradzi...

Tirsa poleciła wprowadzić ociągającego się chłopca do pokoju dyżurnego. Usiadłszy na krześle rozpoczęła śledztwo. Chłopak jednak uporczywie milczał, włożywszy ręce tam, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w jego ubraniu znajdowały się swego czasu kieszenie. W pewnym zaś momencie, gdy Tirsa odwróciła się na chwilę, by przysunąć bliżej lampę elektryczną, znajda rzucił się do drzwi i byłby

*) Geweret, gweret — pani.

http://rcin.org.pl

z pewnością czmychnął, gdyby w ostatniej chwili nie był go Morchi przytrzymał za sięgającą mu do kostek połę potarganego żakietu.

— A to ci djabeł! — irytował się Morchi, głaszcząc swą czarną, kozią bródkę. — Nie możesz ośle odpowiadać, gdy cię geweret Irsa tak grzecznie pyta? Hamor Kmocha *)!...

— On z pewnością głodny — zawnioskowała Tirsa. — Ja ci tu coś przyniosę dla niego do zjedzenia... Teraz nie będziemy z nim robili przedstawienia... Zamkniesz go do komórki pod schodami, a jutro oddamy go policji...

Słowo „policja“ podziałało na chłopca, jak tusz zimnej wody na zmarzniętego. Począł się trząść jak liść osiki, przestępować z nogi na nogę i szarpać palce u rąk.

— A co, — groziła w dalszym ciągu Tirsa — nie uśmiecha ci się, jak widzę, nadzieja spotkania się z policją, co?... Masz z pewnością nieczyste sumienie, co?... A więc dobrze. Nie oddamy cię policji, ale pamiętaj: jutro rano masz wszystko opowiedzieć. I to szczerą prawdę. Zrozumiano?!... A teraz pójdziesz, dostaniesz jeść i miejsce do spania... Nie boisz się sam spać?... Nie?... O, popatrzcie się! Myślałam, że nie umiesz mówić... No, dobranoc. A niech go Morchi dobrze zamknie.

— Z pewnością, geweret Irsa. Ptaszek mi już nie ucieknie.

Zakończywszy pracę, spisała Tirsa protokół i punktualnie o godzinie siódmej rano oddała swój oddział dziennej siostrze, Sarze Barkaj. Drżąc z chło-

---

*) Hamor Kmocha — ośle nad osłami,

http://rcin.org.pl

du i niewyspania zeszła do podworca, skąd przez otwór w drzwiach zaglądnęła do komórki, mieszczącej się pod zewnętrznemi schodami. Znajda — jak go Tirsa w myśli nazwała — leżał na starym sienniku, zwinięty w kłębek jak jeż. Jedno wątłe ramię podłożył pod głowę, a drugiem zasłaniał się przed wpadającemi przez szczeliny promieniami słońca.

Serce Tirsy wezbrało litością. Skurczona postać chłopca przypomniała jej nagle biednego Hektora, gdy to, podrygując całem ciałem od wewnętrznych bólów, dogorywał na szerokiej kanapie... Biedne, a ukochane psisko... Jakże chętnie byłaby wtedy oddała część swego życia, by uratować tego drogiego, tak do niej przywiązanego towarzysza lat ostatnich... Weterynarz nie miał jednak dlań ratunku... Dogorywał niemy, z łzawym żalem swych wiernych, prawie że ludzkich oczu...

— Co robić z tym gościem? — zastanawiała się Tirsa. — W szpitalu, w zamknięciu zostawić? Nie można. Chyba zabrać do domu, umyć, nakarmić i odesłać rodzicom... Leja będzie się irytowała... Trudno. Już sobie da z nią radę...

Odszukała Morchiego, wzięła od niego klucz, a otworzywszy komórkę, musiała długo szarpać chłopca za ramię, nim się go dobudziła. Gdy zbudzony chłopak stwierdził, iż znajduje się w nieznanem pomieszczeniu, zerwał się na równe nogi, rzucając się w kierunku drzwi. Tam jednak stała Tirsa.

— No, nie rób głupstw! Czy nie poznajesz mnie? Wczoraj w nocy przyrzekłeś mi, że będziesz grzeczny, bo inaczej — wiesz — policja... A więc słuchaj po dobroci... Pójdziesz teraz ze mną do mego mieszkania i tam pogadamy... Dobrze?... Co powiadasz? Nie

http://rcin.org.pl

chcesz wracać do domu?... Dlaczego? Boisz się ojca, co? Uciekłeś może z domu? Powiedz!

Nagły błysk dzikich, jak u kota oczu, pouczył Tirsę, iż trafiła w sedno.

— Nie chcesz, to nie... Ale, jak się nazywasz, to chyba powiedzieć mi możesz... Szmulik?... Wcale ładne imię... A więc słuchaj Szmulik! Idziemy teraz razem. Ja cię ani trzymać, ani gonić nie będę. Radzę ci jednak, chodź ze mną. Pojesz sobie, a uciec będziesz mógł potem... Zgoda?... Kadimah *), marsz!

Tirsa przepuściła chłopca naprzód, a niedowierzając swym pedagogicznym zdolnościom była pewną, iż malec po drodze czmychnie... Ku jej zdziwieniu i zadowoleniu szedł przed nią ze spuszczoną głową, wymachując rękami, rzucając od czasu do czasu podejrzliwem spojrzeniem na idącą za nim i uśmiechającą się przychylnie Tirsę.

PRZYWITANIE.

— Więc w żaden sposób nie możesz u mnie pozostać dłużej jak do pojutrza? Mogłabyś zatelegrafować, a z pewnością ci urlop przedłużą.

— Wykluczone, kochana Muszko. Przecież wiesz, jak chętnie bywam teraz w Tel-Awiwie; jak pokochałam to miasto i morze, nie mówiąc już o tem, że u ciebie czuję się, jak gdybym przebywała u siostry... Ale wiesz, iż z trudem udało mi się wyrwać na trzy dni, a Rachel Kaspi zgodziła się dopiero, gdy jej przedłożyłam telegram, zapowiadający przyjazd Karola... Nie masz pojęcia, co to za kobieta!...

*) Kadimah — naprzód.

http://rcin.org.pl

— O, słyszałam o niej! Opowiadał mi o niej i o tobie Rubin, gdy odprowadzał Wierę do okrętu.

— A propos. Czy masz o Wierze jakieś wiadomości?

— Żadnych. Do mnie nie pisuje. Od Kleinzelera dowiedziałam się, iż pracuje gdzieś, w jakimś zakładzie w Berlinie. A może ty Tirso wiesz coś dokładniejszego?

— Nic nie wiem. Stykam się wprawdzie bardzo często w szpitalu z Rubinem, ale od czasu, jak się dowiedziałam o jego zachowaniu się wobec spodziewanego własnego dziecka, omijam każdą sposobność do jakichkolwiek zwierzeń, lub pytań. A ty Muszko nie mówiłaś z nim?

— Nie. Ja już mam taką naturę, iż przyjmuję tylko to, co mi się dobrowolnie mówi, względnie co mi ktoś trzeci opowiada. I tak np. słyszałam o twej nowej miłości...

Tirsa czuła, jak jej policzki i czoło pokrywają się rumieńcem.

— Myślę — tłómaczyła Muszka — tego twojego znajdę... Opowiadała mi o tem Stefka — Ben Dorowa...

— Jakto? Pobrali się? Kiedy?

— Nie tylko się pobrali, ale nawet pod baldachimem w asystencji rabina.

— A to ciekawe! Nigdybym nie przypuszczała, iż Ben Dor pójdzie po błogosławieństwo do rabina.

— Byłby też nie poszedł, — tłómaczyła Muszka, — gdyby nie mus. Z chwilą bowiem, gdy wystąpili z gdudu, z tą chwilą musieli szukać zajęcia. Ona, jak ci może wiadomo, ma w Polsce bogatych rodziców. Postanowiła więc założyć ogródek dla dzieci.

http://rcin.org.pl

Świadectwa potrzebne miała, lecz o pieniądze trzeba było pisać do domu. Rodzice zgodzili się dać pieniądze, ale zażądali przesłania aktu ślubnego. Nie było więc innego wyjścia, jak...

— A to ci zabawne. A gdzież to ona ma ten ogródek? Możebyśmy ją odwiedziły... A on, czy jeszcze roztańczony, tak jak swego czasu w Jerozolimie.

— Nie bardzo... Pobyt w Tel-Awiwie przyciął mu nieco skrzydeł. Ona cały dzień zajęta dziećmi. A ponieważ taki interes dużo nie przynosi, więc on jej pomaga.

— Jakto pomaga? — zdziwiła się Tirsa. — W czem?

— Uczy dzieci gimnastyki i śpiewu, a w godzinach wolnych od zajęcia — gotuje.

— Nie, chyba żartujesz Muszko?

— Wcale nie. Mówię zupełnie serjo. Tu u nas na skutek bezrobocia przyjmuje się to zwolna, iż żony idą na posługę, a mężowie załatwiają się z kuchnią i dziećmi.

— Tobie Muszko — żartowała Tirsa — teżby się taki mąż przydał.

Ku zdziwieniu Tirsy Muszka wcale poważnym tonem odpowiedziała:

— Kto wie, może więcej w twych słowach, droga Tirso, racji, niż w tej chwili myślisz... No, ale opowiedz coś o twym znajdzie... Czy to prawda, że jest zawodowym złodziejem.

— O, nawet i te szczegóły są ci znane!... Otóż przyjm do wiadomości, że nie jest tak strasznie, jak ci opowiadano. Jestem przekonana, że i ty Muszko tak samo byś się nad nim ulitowała, jak ja.

— Czy jeszcze trzymasz go u siebie w domu?

http://rcin.org.pl

— Cóż miałam zrobić — usprawiedliwiała się Tirsa. Do domu nie mogłam go wypędzić. Ojciec jego jest Rosjaninem, który tu w Palestynie przyjął żydowstwo. Był stróżem w Moszaw Zkejnim i cieślą. Ponieważ pił, więc wszędzie po krótkim czasie tracił zarobek. W końcu mieszkał z żoną i mym znajdą w pieczarach i starych grobowcach. Szmulik, czyli znajda jest jedynakiem, a jego skóra pełną jest śladów ojcowskiej miłości. Ojciec walił za nic i za ciężkie wybryki. A gdy w końcu malec z garścią rówieśników włamał się do sklepu maszbiru, wyrzucił go z domu. Wtedy go przyprowadzono do mnie, do szpitala...

— No, a teraz?

— Za moją protekcją przyjęto go do drobnych posług w szpitalu. Mam nadzieję, że chłopak jeszcze nie jest całkiem stracony...

— Nie gniewaj się Tirso, ale ty masz wyjątkowe szczęście we wynajdowaniu odpowiednich przedmiotów dla twego litościwego serca... Czy jeszcze odwiedzasz tych biedaków w Starem Mieście?

— Gdzież znowu! Brak na to czasu. Nawet czytać nie mam kiedy.

— A jak myślicie się urządzić z Karolem? Czy prawdą jest, że ma otrzymać posadę asystenta przy doktorze Szapirze?...

Ostatnie pytanie Muszki pozostało bez odpowiedzi. Tirsa bowiem, spojrzawszy na zegarek, rzekła:

— Muszę już iść... Czy ty wiesz Muszko, gdzie tu gdud ma swe baraki?

— Owszem. Ale prawdę powiedziawszy, nie radziłabym ci tam iść. Ten twój nauczyciel — biedaczysko i tak nie długo pociągnie. Twoja wizyta w ni-

http://rcin.org.pl

czem mu nie dopomoże, a sama niepotrzebnie się zdenerwujesz...

— Nie Muszko, muszę go odwiedzić.

Tu przypomniała sobie Tirsa gorącą prośbę Szoszany, by nie omieszkała odwiedzić Dubińskiego, dopytującego się w każdym liście o swą uczennicę.

— Muszę — powtórzyła Tirsa dla dodania swemu postanowieniu czegoś nieodwołalnego.

— A dla czego właściwie przyjechał on do Tel-Awiwu? — dopytywała się Muszka.

— Lekarze poradzili mu pobyt w Tel-Awiwie, gdyż Jerozolima dlań zbyt jest zimną.

— Idź więc zresztą, jeżeli koniecznie chcesz. Pójdziesz, począwszy od łazienek, wzdłuż brzegu, aż natkniesz się na drewniane baraki.

— Dziękuję ci Muszko... Do widzenia...

— Wracaj prędko....

Idąc ulicą Alemby, myślała Tirsa o tem, jakąby była dała Muszce odpowiedź, gdyby Muszka była nalegała... Gdyby to ona sama była przynajmniej ze sobą w zgodzie!... Gdyby ona sama wiedziała, jak się ułoży jej dalszy stosunek do Karola... Czyż nie zwlekała — wedle zwyczaju — z powzięciem postanowienia!... Jedna rzecz jednak nie ulegała wątpliwości: Karol wiedział, względnie wyczuwał, iż ich dawny stosunek ulegał po jej stronie zasadniczej przemianie. Gdyby bowiem było inaczej, nie spieszyłby się z przyjazdem, nie przerywałby swego praktycznego wyszkolenia na klinice profesora Mörscha, nie pisałby listów pełnych niepokoju i wyrzutów...

...O, jakże morze było dziś wzburzone!... Gra ono poszumem tysiącznych wodospadów, waląc od czasu do czasu hukiem dalekich, armatnich strzałów. Gdy

http://rcin.org.pl

Tirsa zbliżyła się do brzegu i stanęła na jego kamiennem obramieniu, nie pewną była przez chwilę, czy znajduje się na znanem jej z pierwotnych spacerów placu przed kasynem. Morze bowiem szalało. Już daleko od brzegu wyrywały się z jego rozhuśtanej powierzchni kilkupiętrowe fale, by stawiając dęba niby znarowiony koń, opadać z rozgłośnym trzaskiem na dno rozwierających się, głębokich, wodnistych przepaści...

Wracająca zaś od brzegu fala zwierała się z nadchodzącemi z dali, a w miejscu potyczki unosiły się lekkie dymy, wypryskiwały w górę fontanny piany i zielonkowato-białych strug, jak gdyby kto lód rąbał na olbrzymim, krą zalanym stawie. Zwycięska fala wylewała się daleko w głąb brzegu poprzez ulicę i chodnik ku opuszczonym przez ludzi sklepom... Port i zwarta masa domów w Jaffie przesłonięte były srebrzystą kurzawą. Na dalekim widnokręgu kołysały się okręty rozstawione w szerokiem półkolu, jakgdyby gotowały się do ataku. Na zanieczyszczonej piaskiem i zielskiem fali pływały deski, szczątki rozbitych łodzi rybackich, porzucone beczki z benzyny. W górze, blisko brzegu, kołowały w poszukiwaniu za żerem czarno-białe mewy, poddając się podmuchom wiatru niby kartki papieru.

Galerja kasyna, wsparta na betonowych słupach, podobna była do pokładu wyrzuconego na brzeg okrętu. Fale waliły z taką wściekłością w słupy opierające się ich niszczycielskiej sile, iż Tirsa miała wrażenie bliskiej katastrofy. Zdawało się jej, iż jeszcze chwila, a morze wstrzymywane przypadkiem w swych granicach wyleje się żywiołowo z olbrzymiej swej

http://rcin.org.pl

misy szerokim i ślepym potopem na bezbronne, a niewinne miasto.

Tirsa po raz pierwszy oglądała burzę na morzu. Mimowoli porównywała ją do płaczu, któremu nie towarzyszą ani ból jako przyczyna, ani też łzy jako skutek. Najdziwniejszą bowiem wydała się jej okoliczność, iż mimo burzę szalejącą na morzu, niebo było zupełnie wolne od chmur. Słońce świeciło jak zawsze, a nawet wiatr niosący się na miasto, nie odznaczał się większem nasileniem niż zazwyczaj. Burza szalała bez widomej przyczyny, dźwigając i łamiąc zwały wód, prąc naprzód i cofając się wstecz, wyzwalając bezmierne a nieużyteczne siły — wszystko na zasadzie nieogarniętych ludzkim rozumem praw...

Idąc wzdłuż brzegu, myślała Tirsa o tem, że burza ta jest wedle tego, co wiedziała o klimacie palestyńskim, zapowiedzią nadchodzącej zimy... Dziwny to zaiste kraj! Niema przejścia z dnia w noc, z zimy w wiosnę, z wiosny w lato i z lata w zimę. A czyż Arjeh nie twierdził słusznie, że niema też przejścia z miasta w wieś, z miasta w miasto!... Petach Tikwah i Riszon l'Zion — to jego zdaniem małe miasteczka, a Tel-Awiw i Jerozolima klimatem i charakterem ludzi tak różne są od siebie jak np. Wiedeń i Peking. Tak, to prawda. Ale czyż nie przesadzał — jak często — twierdząc, że ten brak przejścia w przyrodzie wpłynie na charakter przyszłego Palestyńczyka; że będzie on albo zły albo dobry, w każdym zaś razie zdecydowany, silny, a nie taki „golusoidowy“, mdły, nieokreślony, niewyraźny.

Tak, to prawda: w Jerozolimie już zimno, a tu jeszcze lato. W ogrodach zielono. Kwitną różowe,

http://rcin.org.pl

bujne oleandry; czerwienią się hibiscusy niskie, okwitające sterczącemi pręcikami niby rajskie jabłka; pną się po parkanach karmazynowe bignonje niby powoje. Dzieci biegają boso, kury wgrzebują się w ciepły piasek, a koty grzeją się na słońcu. A przecież to już połowa listopada... W Volksgartenie i Praterze zapewne drzewa stoją już bez liści, a ludzie z żalem stwierdzają zanikanie ostatnich nitek babskiego lata...

A więc wnet nadejdzie zima, a z nią również minie rok, jak opuściła Wiedeń... Rzecz dziwna, jak od chwili przyjęcia pracy w Hadassie czas prędko leci. Jak gdyby ktoś odkręcił kurek wodociągu i woda lała się ciurkiem w nieznane głębiny bezpowrotnie i bezapelacyjnie... Ileż to wrażeń przeżyła w tym krótkim czasie... A nad niemi wszystkiemi trwało wciąż jeszcze nie rozwiązane zagadnienie: co dalej?... jaki cel i po co?...

Gdy zadawała sobie pytanie, czy Palestyna dała jej to, czego oczekiwała, musiała odpowiedzieć, że tylko w małej, bardzo małej mierze nie zawiodła jej nadziei. Prawdą jest: poznała wielu wartościowych ludzi; znalazła dużo przyjaciół; zbliżyła się do narodu; uwierzyła w jego sny i dążenia; poznała uczucie szczęścia, jakie daje praca i samodzielność; zrozumiała tragizm wielu społecznych zagadnień; widziała zbliska cierpienia i walkę ludzi gotowych wszystko poświęcić dla urzeczywistnienia swych ideałów...

Lecz czyż z tą rozszerzoną skalą poznania i odczucia nie szło w parze jeszcze większe rozprzężenie duszy? Czyż przez cały czas pobytu w Palestynie nie żyła jeszcze w większym niepokoju, niż dawniej? Dlaczego właściwie życie domaga się tak zdecydowanych odpowiedzi: tak lub nie!... Czyż nie byłoby lepiej żyć

http://rcin.org.pl

na planecie, na której sprawy ludzkie nie są tak ściśle rozgraniczone linjami wykreślonemi wskazówką kompasu?... A może Arjeh miał rację twierdząc, że we walce z przeciwieństwami człowiek odradza swe siły!... Czułaż się ona silniejszą niż dawniej?... Czyż nie lękała się decydującego kroku w stosunku do Karola? Nie byłaż skłonną odsuwać decyzję, czekać, zwlekać!... jak dawniej... jak zawsze?!...

— A, to zapewne tu... Te baraki przypominają osiedle gdudu w Jerozolimie — pomyślała Tirsa na widok kilku długich, zaniedbanych, na spadającym ku morzu terenie ustawionych baraków.

Gdy Tirsa, dopytawszy się, weszła do pokoju, uderzyło w nią i dech jej zaparło ciężkie i jakby od przegrzanych kaloryferów bijące powietrze źle zwentylowanego pomieszczenia. W kącie, na żelaznem łóżku leżał Dubiński w spodniach i nie bardzo czystej koszuli. Na widok Tirsy odłożył książkę, a przy podnoszeniu głowy długie jego włosy opadły na poduszkę, tworząc ciemne tło dla wysokiej, stożkowato przyciosanej głowy.

— Szalom, towarzyszu Dubiński!

Było to przywitanie, którem Tirsa jeszcze za czasów pobierania nauki języka hebrajskiego naciągała swego nauczyciela.

— No cóż, czy mnie nie poznajesz? — starała się Tirsa własnemi słowami pokryć zakłopotanie Dubińskiego. — To ja, Tirsa Lampel, twoja wdzięczna, a niepojętna uczennica... Przyjechałam trochę do Tel-Awiwu, więc chciałam cię odwiedzić... Wcale źle nie wyglądasz... Czy można tu na tej skrzynce usiąść?... Czy masz coś przeciw temu, iż uchylę trochę okiennicy?... Co za wspaniały stąd widok! Nic nie widać

http://rcin.org.pl

jak tylko morze. Odnosi się wrażenie, że się jest na okręcie, stojącym w pośrodku oceanu!... Mam dla ciebie pozdrowienia. Od Szoszany, Uriego, Arjego, Szlomy, Eliezera i innych...

— O, dziękuję ci Tirso — mówił Dubiński powoli, przeciągając każde słowo, jak gdyby chciał się jego dźwiękiem nasycić. — Dziękuję ci, żeś o mnie nie zapomniała... Bardzo ci dziękuję... Już od kilku dni nie wychodzę. Lekarz powiada, że wiatr jest zbyt ostry, chociaż tam na Sybirze jeszcze ostrzejsze bywały wiatry... Mówisz, że piękny stąd widok? Tak, to prawda... A i morze codziennie jest inne. Lecz po prawdzie, to tęskno mi za Jerozolimą. Chciałbym tam wrócić, lecz nie pozwalają. Każą leżeć i połykać te gorzkie lekarstwa... A cóż u ciebie, Tirso? Mówiono mi dużo o tobie... Zapracowujesz się w szpitalu, przybladłaś, posmutniałaś.

— Ależ, gdzież tam! To światło cię myli. Jestem z pracy zadowolona, a i hebrajskiego się w szpitalu poduczyłam. Wprawdzie siostry mówią między sobą przeważnie po rosyjsku, ale ja mam dobrego nauczyciela. Ani byś nie zgadł, kto to taki... Nasz służący, Morchi. Jest to Jemenita, mieszkający od trzynastu lat w Jerozolimie, a mówi taką piękną hebrajszczyzną, że chciałabym, byś go ty słyszał...

— A z naszymi się widujesz?

— Rzadko, gdyż przeważnie mam nocną służbę, więc we dnie trzeba spać. Z Szoszaną jednak często się spotykamy. Skarży się, iż Uri wciąż gdzieś wyjeżdża...

— Wiem, wiem. To ta głupia polityka... Jak gdyby słowem można było kraj zbudować... Naiwni!...

http://rcin.org.pl

— Nie tylko to... Zdaje mi się, że podróże Uriego stoją w związku z przesileniem w gdudzie. Przyrzekłeś mi — pamiętasz — wyjaśnić tę sprawę.

— Jeżeli cię to zajmuje, to proszę. Choć po prawdzie, wolałbym o tem nie wspominać. Bo dawniej, gdyśmy tam na wygnaniu, odcięci od świata informowali się z przeszwindlowanej hebrajskiej gazety o panujących tu stosunkach, myślałem, że tu w Palestynie, dokąd się przecież i przeważnie przyjeżdża z pobudek sjonistycznych, że tu nie będzie chyba miejsca na komunistyczne zachcianki.

— Jakto, wszak cały gdud jest komunistyczny. A ty przecież dobrowolnie wstąpiłeś...

— Tak, to prawda. Powinien być komunistycznym w znaczeniu gospodarczem. Ale oni chcą, by stał się nim i pod względem politycznym.

— Któż to są „oni“?

— Znasz ich Tirso. To są te niedowarzone głowy, którym się zdaje, że za mało jesteśmy lewicowi, że przewódcy robotników sprzedają burżujom interesa swych towarzyszy, starając się przedewszystkiem o sjonizm, a w drugiej dopiero linji o socjalizm.

Tu mówiący zakaszlał długim, suchym kaszlem, a jego wychudłem ciałem wstrząsał jakby nadmiar nagle wypitego trunku. Oczy przesłoniły się mgłą; czoło pokryło się potem, a w kątach ust ukazała się sina ślina...

Gdy kaszel minął, chory chciał znów mówić, lecz Tirsa poprosiła go, by się nie męczył... Gdy stan jego zdrowia się poprawi, przyjedzie do Jerozolimy i tam jej dokończy... Czy będzie mógł wnet wrócić?... A może będzie mógł wziąć udział we wycieczce, którą planują za trzy tygodnie do Ejn Fary, do owego

http://rcin.org.pl

źródła, z którego mają doprowadzić wodę do Jerozolimy.

— O, jakże chętnie pojechałbym z wami... Ta wycieczka podobno nie męczy, gdyż jedzie się na osłach. Ale któż wie, czy jeszcze za trzy tygodnie będę wogóle...

— Ależ Mosze, co mówisz!... Nie wolno być pesymistą w życiu. Wszak sam ciągle mi to powtarzałeś. Ładny z ciebie nauczyciel!... Jestem przekonana, że wkrótce wrócisz do Jerozolimy i będziemy znów razem czytali Bialika i Graeza.

— Czy rzeczywiście chciałabyś dalej kontynuować naukę, mimo że... twój... kuzyn przyjeżdża?...

Tirsa zrozumiała, iż chory skwapliwie uchwycił się podsuniętej mu myśli.

— Z pewnością, Moszku — zapewniała Tirsa, starając się podtrzymać rozpalający się w sercu chorego płomyk nadziei. — Wiesz przecież najlepiej, jak mało umiem, a sam mówiłeś mi niejednokrotnie, że umieć po hebrajsku, to nie znaczy czytać gazetę i przekomarzać się ze sklepiczarką, ale trzeba znać i biblję i Talmud... Wprawdzie moje ambicje nie sięgają tak daleko, ale chciałabym z tobą przeczytać przynajmniej księgę Hioba, w której jestem oddawna zakochana... Staraj się więc, jak najprędzej przyjść do sił i wrócić do Jerozolimy.

— O, gdyby tak wszystko zależało od naszej woli, światby inaczej wyglądał. Choć po prawdzie... Jak sądzisz Tirso, czy lepiejby było, gdyby się nasze życzenia spełniały; gdyby na świecie nie było niespełnionych snów, nie urzeczywistniającej się tęsknoty; gdyby nie było rozczarowań, rezygnacji, rozpaczy?... Czy nie czułby się człowiek jak król Midas...

http://rcin.org.pl

— Przyznam ci się, że nie zadawałam sobie dotychczas podobnych pytań. Ale i mnie się zdaje, że mając szczęścia poddostatkiem, ludzie również nie byliby zadowoleni...

— Nie! Ja sądzę, że jest to sprawa, której nie należy uogólniać; dla każdego, sądzę, problem ten się inaczej przedstawia. Każdyby na to pytanie inną dał odpowiedź... No, ale zaczynamy filozofować, zamiast się cieszyć, że po długim czasie znów się widzimy. Czy długo zostajesz w Tel-Awiwie? Tylko do pojutrza?!... Czy nie mogłabyś tu jeszcze raz zaglądnąć?... Nasi ludzie są wprawdzie bardzo dobrzy, ale zajęci gospodarstwem i pracą poza osiedlem. Trochę tu samotno... Gdyby ci to Tirso nie sprawiało trudności...

— Bardzo chętnie. Atoli nie przyrzekam na pewno, gdyż przyjeżdża mój kuzyn. Muszę mu pokazać kawałek naszej Palestyny... W każdym razie jeszcze przed odjazdem do Jerozolimy cię odwiedzę... Na razie szalom i staraj się jak najprędzej wyzdrowieć... A, jeszcze jedno: czy nie potrzeba ci czego?... Tylko bez żenady!

— Nie, nic, Tirso! Bardzo ci dziękuję. Ale faktycznie niczego mi nie trzeba... Bo czego człowiek złożony chorobą może potrzebować? Wystarczy, że o nim pamiętają... Dziękuję ci, żeś przyszła i pozdrów wszystkich naszych... Szalom!...

Wyszedłszy z baraku, miała Tirsa obcesowe wrażenie, iż widziała swego nauczyciela po raz ostatni... Co za żałosny koniec! Umierać zdala od rodziny!... Co za los!... Tak, to było pewnem: najbardziej oddany towarzysz i przyjaciel nie zastąpi matki, ojca, brata lub siostry... Tak będzie i z nią... gdy jej przyjdzie kolej... Ona też tu nie ma nikogo i nie będzie miała

http://rcin.org.pl

nikogo. Samotną była przez całe życie i zdaje się, nie, pewnem jest, że taką pozostanie do końca... A Karol, ojciec?... To mężczyźni! Egoizm płci!... A w gruncie rzeczy każdy boi się, by go przy chorym śmierć nie zaskoczyła... Nie, ona chorować nie będzie. Śmierć musi przyjść prędko i bez wstępnych ceregieli... Co znaczy: „musi“? Czy można lekarstwo to kupić na zasadzie wystawionej przez lekarza recepty?... Śmieszne!...

Rozmyślając nad zawiłym tym problemem zeszła Tirsa najkrótszą drogą po piaszczystym brzegu w dół, ku morzu, uskakując co chwila w bok przed wylewającą się na brzeg falą. Piasek zwilżony wodą twardniał i opierał się stopie. Szło się jak po asfaltowym, przez słońce ogrzanym chodniku. W elastycznej powłoce pozostawały lekkie ślady, które z najbliższą falą znów znikały, zapełniając się świeżym piaskiem.

Gdy Tirsa, chcąc się otrząsnąć ze smutnych myśli, popatrzyła w stronę zachodzącego słońca, przystanęła oszołomiona nie dającem się wysłowić pięknem... Na niebie, nad dalekimi domami Jaffy potworzyły się bajkowe pejzaże. W poszarpaną płachtę żółtawo-pomarańczowych chmur wrzynał się jasny język nieba niby szmat morza w zaciszną zatokę. Odbijające się od chmur słoneczne promienie, prześwietlały subtelnym karminem połacie nieba. Miało się wrażenie, jakgdyby ktoś przez wielki pryzmat szlachetnego kryształu przepuszczał światło z tysiąca niewidocznych reflektorów. Refleks karminowych świateł padał na morze i rozpalał się w niem ognistą, ruchliwą strugą, pogłębiając półcień, w którym zwolna pogrążały się domy w porcie i kołyszące się w dali okręty.

http://rcin.org.pl

Co chwila, jak gdyby pod działaniem ukrytych w chmurach kolorowych świateł, zmieniały się barwy na niebie i morzu. Bronz przechodził w złoto, opal w ametyst, a bursztyn topił się i rozlewał świecącą cieczą okru i cytryny... A przy tem wszystkiem między niebem a morzem trwało współzawodnictwo pod względem bogactwa i natężenia barwy. Na niebie świecące minerały, a w morzu płonące chorągwie zatopionych tęczy.

— Co za cudo, co za cudo! — westchnęła Tirsa. — Żaden malarz tego nie namaluje i nikt tego nie wyśpiewa... Jeno uklęknąć i modlić się w niemym zachwycie...

Tirsa czuła, jak się coś rozwiera w jej duszy, jak jakaś twardość topnieje, jak coś nieokreślonego wyrywa się z jej wnętrza... Jak gdyby z jej ramion wyrastały skrzydła i niosły ją w przestworza hen, hen, ku niebu.

— — — — — — — — — — —

Na przywitanie wyszła Tirsa w nieszczególnym nastroju. Słuszne były przewidywania Muszki. Wizyta u Dubińskiego pozostawiła po sobie głębsze wrażenie, niż się sama spodziewała. I nie przerażała ją tak owa pewna i bliska śmierć, trzymająca niejako straż w ponurym pokoju chorego. Nie! Od czasu bowiem, jak pracowała w szpitalu, zdołała się już przyzwyczaić do śmierci we wszelakich jej nagłych i powolnych, łagodnych i okrutnych, wstrząsających i wyzwalających odmianach... Nie! W tym wypadku nie mogła się pogodzić z myślą, że wkrótce odejdzie bezpowrotnie człowiek, któremu zawdzięczała tak dużo... Wszak on jej przyswoił nowe punkty widzenia na ży-

http://rcin.org.pl

cie i ludzi. Przez niego danem jej było wniknąć w tajemnicę palestyńską. On ją nauczył czytać w księdze tworzącego się, nowego świata i rozumieć pobudki i uczynki tych ludzi... Niejednokrotnie miała Tirsa wrażenie — zwłaszcza po ukończonej lekcji, w chwili gdy Dubiński, zapominając się, ujawniał swe najbardziej skryte nadzieje co do przyszłego ukształtowania się stosunków w kraju — iż na jej duszy wyrasta nowe piętro o kryształowych, przeźroczystych ścianach. Z po za ścian tego piętra odsłaniały się nowe perspektywy, nowe horyzonty... I tego człowieka już prawdopodobnie więcej nie zobaczy!...

Jakiż cel miało to wszystko?... Czytać, uczyć się, myśleć — jeżeli z nią, z jej śmiercią rozpadnie się wszystka wiedza, zaniknie skrzętnie zbierane bogactwo myśli a ci, co przyjdą po niej, muszą zacząć od nowa, tak jak gdyby nie było Dubińskiego, Uriego, Arjego...

Gdzie też Arjeh właściwie teraz może być?... Czy przyjdzie dziś wieczór do Muszki — jak przyrzekł?... Czy myśli o tem, że ona czeka teraz na przyjazd swego narzeczonego?... Czy go to dotyka choć trochę?... O, jakżeby chciała wiedzieć!...

I on, podobnie jak Dubiński, nie mówił z nią o bliskim przyjeździe Karola. Atoli u Arjego mogła być inna przyczyna niż u Dubińskiego. U Dubińskiego wszystko było jasnem i przeźroczystem. Nie chciał mówić o tym, którego uważał za szczęśliwego konkurenta. Ale u Arjego? Wszak nie tylko obce, ale i jego własne sprawy były mu obojętnemi. Miałże Eljezer rację mówiąc, że Arjeh idzie przez życie jak lunatyk?...

http://rcin.org.pl

Nie. Arjeh nie był lunatykiem. Często odnosiła wrażenie, że człowiek ten ma przed sobą jasno określony cel i że temu celowi podporządkowuje wszystko.

Lecz po cóż ona myśli o tem w tej właśnie chwili. Przecież raczej należałoby się zastanowić, jak przyjąć Karola!... Wszak swoim zwyczajem zechce on na nią spaść obcesowością narzeczonego; zechce ją zagarnąć pod skrzydła swej osobowości; zechce zburzyć to, co skrystalizowało się w niej pod jego nieobecność, a co podejrzanem wydało mu się nawet w jej listach... W każdym razie będzie się domagał wyraźnego postawienia sprawy. A ona, mimo najlepsze chęci, nie zbliżyła się dotąd ani na krok do decydującego wniosku.

Tak, co począć; jak się zachować; co powiedzieć?... I jak na złość ojciec spaźniał się z przyjazdem. A ona tu sama. Nawet Muszka nie mogła jej towarzyszyć z powodu przygotowań do obiadu!... A czy wogóle było koniecznem, by ona tu nań czekała?... Co za pytanie! Czyżby to nie był afront?!... Lecz z drugiej strony, czy oczekiwanie nie pogarszało sprawy?... A gdyby nawet, więc cóż?!...

Zmęczona, usiadła Tirsa na kamiennych schodach, prowadzących na mur nadbrzeżny. Przez wąski, jak trumna, przesmyk ulicy przeciskały się obładowane węglem wozy, szły, kołysząc się, objuczone pakami wielbłądy, przemykali tragarze, dźwigając na plecach kufry przywiązane sznurami do głowy. W żelaznej, rdzą okrytej bramie portowej przeszukiwał wychodzących policjant. Za czem on szukał? Za kontrabandą? Za bronią?

Morze się uspokaja. O potężny mur bije jego miarowy oddech. Fale wyskakują na kamienną ścianę,

http://rcin.org.pl

starając się wypluć pływające po powierzchni wielkie i okrągłe, jak kwiat słonecznika, meduzy, gnijące odpadki owoców, blaszane puszki, gniazda słomy i morskiej trawy. Tuż przy kamiennym brzegu, przywiązane do kotwic, kołyszą się lekko rybackie łodzie. Po łodziach uganiają pół nadzy Arabowie. Wylewają z wnętrza wodę, rozwijają sznury, dźwigają maszty, naciągają żagle, gotują się w drogę. Wał brunatnych skał legł półkolem przed portem, chroniąc jego wnętrze przed zbyt gwałtownymi atakami morza. Na grzbietach skał załamują się fale, a ból spowodowany uderzeniem fali o skałę strzela w niebo okrzykiem puszystej jak śnieg wody.

Za wałem, na głębokiem i otwartem morzu fale śmiało podnoszą swe ugrzywione głowy, uderzając w żelazne kadłuby wielkich, niby wyspy, okrętów. Tirsa naliczyła dziewięć jedno i dwukominowych. Na ich białych, czerwonych i czarnych bokach mglą się jakieś napisy. Okrągłemi oczyma swych kajut zdają się okręty patrzeć zdziwione na barjerę, którą ziemia zbudowała na swym brzegu, z białych, kamiennych domów... Nagle z wnętrza jednego z pośród okrętów zrywa się ryk, jakby zranionego zwierza. Głęboki, przeciągły, ochrypły wstrząsa powietrzem, domami, ziemią i sercem, aż zamiera gdzieś hen, na łonie gór okalających miasto.

Sygnał syreny okrętowej przypomina Tirsie jej marzenia o dalekich morskich podróżach, o nieznanych, egzotycznych krajach, o wyłaniających się ze złotawej, porannej mgły samotnych wyspach, o spokojnej, nerwy usypiającej tafli usłanej w przytulnym zakroju zacisznych fjordów... W pamięci kręci się film obrazów przeżytych w rzeczywistości i myśli...

http://rcin.org.pl

Po mokrym jeszcze pokładzie długie spacery wczesnym, chłodnym rankiem. Drzwi kajut jeszcze zamknięte. Tu i ówdzie przesuwają się postacie majtków. Okręt jeszcze śpi... Głuchy, miarowy stukot śruby okrętowej jest jak serce wiernej na pustyni istoty. Mówi ono, że czuwa i nie da zginąć... Wielki, mahoniową boazerją zdobny salon jadalny o niskim, kasetonowym suficie. Uwijają się wyfraczeni kelnerzy i ciche, usłużne, uśmiechnięte stewardes... Otwierają się serca nieznanych, lecz wzajemnie na siebie skazanych ludzi... Muzyka, kino i plac tenisowy... Cisza i spokój. Przewiązano oczy, zahamowano zegar myślowy, zizolowano na kilka dni przed przeciwieństwami życia... Ani na powierzchni morza, ani na płaszczyznach myśli nie znajdziesz punktu, o któryby mogła lub skłonną była zaczepić analizująca zazwyczaj dusza... Wszystko równe, gładkie, spokojne — jak ten bezmiar morza ze swemi ginącemi w nieskończoności granicami...

O, gdyby tak można wsiąść na jeden z tych, stojących tam okrętów i uciec od wszelkich myśli na...

— Halo! Ojcze, tu jestem — wołała Tirsa uradowanym głosem do przechodzącego szybkim krokiem ojca.

— O, to ty Tirso! Byłem pewny, że się spóźnię... Po drodze zepsuło się coś w motorze i staliśmy pod Mocą blisko godzinę. Dopiero w obcem, przejeżdżającem aucie udało mi się znaleźć miejsce. Czy nie wiesz, kiedy okręt nadchodzi?

— Nie. Nigdzie nie można się czegoś dokładnego dowiedzieć.

— Zaraz zobaczymy... Mam lornetkę... To ten w środku, całkiem biały, to Heluan... O, ludzie już

http://rcin.org.pl

wysiadają, więc i Karol zaraz tu będzie. Stańmy bliżej bramy, gdyż do środka nas nie wpuszczą.

Radość Tirsy z racji pojawienia się ojca była tem większą, ile że już zwątpiła w jego przybycie. To też rychło minął jej pierwotny niepokój i na myśl, iż w pierwszej chwili spotkania się z Karolem nie będzie sama, zrobiło się jej lżej na sercu.

Przy bramie rozgrywały się tymczasem wzruszające do łez przywitalne sceny... Jakiś młody pan witał się ze swą żoną i dwojgiem małych dzieci. Starszy chłopczyna rzucił się ojcu na szyję, a trzymając się jej kurczowo, nie pozwalał na przywitanie się ojca z resztą rodziny... To znów po rosyjsku rozmawiające małżeństwo witało staruszkę - matkę po sześcioletniej rozłące. Staruszka w ciężkiem futrze, oszołomiona podróżą, mrużyła wciąż oczy, z których spływały łzy, torując sobie drogę po żółtych, zmarszczonych policzkach. Inni, poprzez sztachety bramy ściskali sobie ręce, wymieniali urywane powitalne słowa, a spychani w bok wynoszonymi bagażami, znów przypadali do bramy, chcąc swe oczy nasycić widokiem drogich, dawno niewidzianych osób.

— Dzień dobry Resi! Dzień dobry wuju!... Tu jestem, halo!... — wołał Karol, wymachując ręką przez otwarte okno znajdującego się tuż przy bramie budynku. Jego kwadratowa twarz przybrała pod wpływem rozszerzającego ją uśmiechu kształt spłaszczonego prostokąta. To też uśmiech sam podobny był raczej do grymasu niż do przejawu uczucia radości.

— Zaraz schodzę, tylko przejdę kolejkę szczepienia. Jeszcze dwie osoby są przede mną.

Nastąpiło przywitanie, które ze względu na

http://rcin.org.pl

obecność ojca wypadło — ku zadowoleniu Tirsy — dość znośnie.

— Słuchajcie dzieci, — proponował ojciec, gdy, idąc przez ciasne uliczki Jaffy, stanęli na szerokim placu przed miejskim ratuszem. — Mój plan jest następujący: Przypuszczam, że się i ty Tirso zgodzisz. Wprawdzie Herbstowa bardzo serdecznie nas wszystkich zapraszała, byśmy u niej zamieszkali, ale ja wiem, że tam niema miejsca. Proponuję więc, byś ty Tirso pozostała w pensjonacie Jeruzalem, a ja z Karolem zamieszkamy do jutra w Palatynie. Czy zgoda?

Tirsa szybkim, potakującym ruchem głowy uprzedziła protest Karola.

— A więc dobrze — konkludował ojciec. — Jedziemy teraz do Palatynu, gdzie zjemy razem okazyjny obiad, a potem rozglądniemy się po mieście i pogadamy.

Gdy zajechali do świeżo wykończonego, luksusowego hotelu, Karol poszedł się przebrać, a ojciec ogolić. Tirsa pozostała sama w westibulu wysłanym dywanami. W związku z przybyciem okrętu był tu ruch nieustanny. Przewijali się w białych fartuchach usłużni Sudańczycy z czarną plamą swych — jakby naoliwionych twarzy. Zwinnie szybowali między pozłacanemi krzesłami wyfraczeni kelnerzy. Znoszono grube, w krokodyle skóry odziane walizy, laski i parasole przyobleczone w wykwintne futerały, ciężkie i jak szafy wielkie kufry. Niemniej, mimo ten ruch gorączkowy, mimo zajeżdżające co chwila auta i powozy, zalegała gmach hotelowy jakaś skupiona cisza, udaremniająca wszelkie głośniejsze słowo.

W ciszy tej śpiewał swą smętną melodję ukryty gdzieś w piwnicy motor hotelowej windy. To brzęczał

http://rcin.org.pl

jak mucha, uganiająca po szybie, to znów grał jak wnętrze telegraficznego słupa. Była to słodka, monotonna, usypiająca melodja. Z wnętrza windy co chwila wychodzili hotelowi goście. Mężczyźni dystyngowani, z grubymi cygarami między wargami i angielskie lady's, płaskie jak wahadło zegara, o krótkich, ponad kolana sięgających spódniczkach, z zielonkowatemi welonkami u kapeluszy, z czerwonemi Baedeckerami w ręce, zamknięte w sobie i ciche, jak gdyby szły na nabożeństwo... Skąd przyjeżdżali ci ludzie?... Jaki był ich wzajemny stosunek?... Dokąd spieszyli.

— Dziwna rzecz — myślała Tirsa — jak nieposłuszną była dziś myśl... Zamiast zastanowić się nad tem, co ma powiedzieć Karolowi, czepiała się zewnętrznych rzeczy, rozwiązując zagadnienia, odnoszące się do pochodzenia, zawodu i celu podróży spotykanych w hotelu ludzi... Co ją to mogło obchodzić?!... Jeszcze szczęście, że ojciec stale był w ich towarzystwie... Czy czynił to rozmyślnie? Czy przeczuwał, że coś dojrzewa na dnie jej duszy? Czy obawiał się, by pierwsze chwile po długiej rozłące nie spowodowały słów brzemiennych w skutki, słów nie dających się więcej wycofać?... Czyżby chciał swą obecnością temu zapobiedz?

Gdy po obiedzie usiedli na ławce w Alejach Rotszylda, poczęto systematycznie omawiać sprawy rodzinne, przypadające we Wiedniu pod nieobecność Tirsy śluby, wypadki śmierci, literackie i polityczne wydarzenia ostatnich miesięcy. Atoli każde z osobna zdawało się odczuwać poprzez te wszystkie ważne i drugorzędne relacje — jedno, obcesowo narzucające się pytanie: Jakie i jak rychłe będą następstwa przy-

http://rcin.org.pl

jazdu Karola w ich pogodnym dotychczas, wzajemnym stosunku? Pytanie wisiało niejako w powietrzu i groziło, niby luźno w gzymsie osadzona cegła, opadnięciem za lada słowem w sam środek ich familijnej narady... Gdy zaś wkońcu ojciec począł układać szczegółowy plan pierwszych dni pobytu Karola w Jerozolimie, Karol ku zdumieniu Tirsy oświadczył:

— Na razie nie mam zamiaru wiązać się i to w żadnym kierunku. Chcę się rozpatrzeć w kraju, nim się zdecyduję na przyjęcie posady. Prócz tego ostatni rok był dla mnie rokiem intenzywnej i ciężkiej pracy. Egzamina i szpitalna służba odbiły się ujemnie na mych nerwach. Muszę trochę wypocząć. I jeżeli wuj nie ma nic przeciw temu, to chciałbym z udzielonej mi pożyczki część użyć na krótki — powiedzmy — jednomiesięczny urlop. A potem zobaczymy...

Słysząc te, niezwykłe u Karola, słowa, była Tirsa pewną, że coś głębszego kryje się poza zamiarem „urlopowania“. Wszak Karol, od czasu jak tylko pamięcią sięgała wstecz, nie użyczył sobie ani chwili wypoczynku, stale będąc w pozycji lekkoatlety, bojącego się, by go drugi nie uprzedził przy mecie. A najmniej leżało w charakterze jej kuzyna wypoczywanie za obce, pożyczone pieniądze. Wiedziała jednak, iż wszelkie w tym kierunku perswazje, byłyby wobec stanowczości charakteru jej narzeczonego bezcelowe. I dlatego też milczała, jakkolwiek nieprzyjęcie posady przez Karola stawiało ją w przykrem świetle wobec Krafta, którego życzliwości i poparciu zawdzięczał Karol pomyślne załatwienie przesłanego z Wiednia podania.

Wieczór spędzono na tarasie Węgierskiej Kawiarni.

http://rcin.org.pl

Tirsa znała to zaciszne miejsce już z poprzednich wizyt w Tel-Awiwie. Zbierały się tu intellektualne sfery z pośród węgiersko-austrjackiej imigracji. Doktorzy, adwokaci, inżynierzy z żonami i przyjaciółmi schodzili się tu zazwyczaj po przedstawieniu w kinie, lub w teatrze, na karty lub szachy, na czarną kawę, lody i świetne kremówki. Zimową zaś porą specjalność kawiarni stanowiły mielone kasztany ze śmietanką. Tu omawiano ostatnie wypadki miejscowej chronique scandaleuse, tu żalono się i wzajemnie pocieszano w pośrodku kołyszących się poważnie cyprysowych wierzchołków, szumiących do wtóru dalekiego morza.

Dziś, z okazji przyjazdu Karola oraz obecności ojca i Muszki, zebrało się liczne koło znajomych i przyjaciół pensjonatu Jeruzalem. Prócz sekretarza Kleinzelera i profesora Opatowskiego, była obecną pani Ellenbergowa, żona kupca z branży tekstylnej, pani Szwarcowa, działaczka społeczna, lekarka Preussowa, jakiś redaktor, jakiś łysawy adwokat, a wreszcie opasły tenor miejskiej opery, podobny raczej do handlarza bydła, niż do odtwórcy Wagnera.

Omawiano zarysowujące się coraz wyraźniej gospodarcze przesilenie w kraju i związane z tem problemy... Ten kupiec zbankrutował; tamten, pozostawiwszy niezapłacone długi, zwiał autem do Beyrutu... Zmniejszała się zastraszająco szybko liczba pacjentów. Ci zaś, którzy się leczyli, zazwyczaj nie płacili. Pozatem Hadassa i robotnicza Kasa Chorych konkurowały w sposób niebezpieczny dla prywatnych lekarzy... Dlatego też, zdaniem doktorki Preussowej, słusznie postępowali doktorowie Morgenbesserowie, ucząc się, zamiast hebrajskiego, na gwałt języka angielskiego..

http://rcin.org.pl

Trzeba bowiem być przygotowanym na wyjazd... Dokąd? Wszystko jedno. Do Ameryki, Kanady, Australji. Tylko nie zpowrotem!

— Gdyby to tak łatwo było się dostać do Ameryki! — wyraził swe zdanie adwokat, gryząc końce swego czarnego wąsa. — Czy pani wie, co to jest „kwota“? Gdyby się tak człowiek dzisiaj na przykład zapisał w konsulacie amerykańskim, to za trzy lub cztery lata przyjdzie nań kolej.

— Co znaczy kolej? Jaka kolej? Poco kolej? — irytował się redaktor, mrużąc stale oczy, jakgdyby słońce świeciło mu w twarz. — Można jechać i tak...

— Jak, jak? — dopytywano się ze wszystkich stron.

— Dokładnie naturalnie nie wiem, ale słyszałem, to znaczy opowiadano przy porcie, że są agenci, co za czterdzieści, lub pięćdziesiąt funtów wyrabiają wszystkie papiery...

— Chciał pan, panie redaktorze powiedzieć — przerwał, śmiejąc się chrapliwym głosem adwokat — fałszują wszystkie potrzebne papiery... Ha, ha, ha... A potem jedzie pan i nagle szmuglujący właściciele statków wrzucają cię, jak zdechłego szczura, w morze... Nie! Z takimi my się nie wdajemy.

— Nie rozumiem — zabrała głos pani Szwarcowa, wstrząsając swą siwą czupryną — czy aby państwo nie patrzą zbyt czarno na sytuację?!... Ja jeżdżę po kolonjach i miastach i dalibóg wcale nie widzę, by się zanosiło na kryzys. Ludzie pracują, chorują i cierpią, ale są zadowoleni — z małemi naturalnie wyjątkami...

— Eh, dobrze to pani być optymistką — przerwała Preussowa. — Dostaje pani przecież swoją pensję,

http://rcin.org.pl

regularnie co miesiąc i już. Ale u nas, gdzie trzeba czekać na pacjenta, jak na dobroczyńcę...

— Przepraszam — prostowała pani Szwarcowa — ale z tą moją „regularną“ pensją nie jest tak różowo, jak pani sobie to wyobraża. Od trzech miesięcy nie widziałam piastra. Jeszcze szczęście, że mój mąż nie jest skazany na mój zarobek...

— Jakto? — pytano zewsząd.

— Ano wstąpił do kwucy.

— Co, co? Co też pani opowiada?! — dziwiono się powszechnie. — Kiedy?... Jakże on tam może wytrzymać! Przecież już starszy człowiek... Koło pięćdziesiąt lat... Coś takiego?...

— Nie jest tak strasznie, jak wygląda — tłómaczyła Szwarcowa. — Byłam u mego „bachura“ wczoraj po drodze z Hajfy. Na razie, ponieważ jest buchalterem z zawodu, załatwia sprawy administracyjne. I zdziwicie się zapewne, jeżeli wam powiem, że czuje się bardzo dobrze w tej swej roli chaluca...

— No, dobrze — pytała zaciekawiona Muszka — ale jak się państwo zamierzacie na przyszłość urządzić? Czy pani także zamierza pójść w ślady męża?

— Nie — zaprzeczyła energicznie Szwarcowa. — Przynajmniej jeszcze nie teraz. Na razie, gdy się chcę z mym „bachurem“ widzieć, jadę do niego, albo posyłam mu na bilet kolejowy, by on do mnie przyjechał. Nasza córka, jak państwo może słyszeli, studjuje w Pradze. Mam wobec niej obowiązek nie zamykania domu, do którego w razie potrzeby może przyjechać. A i mnie trudno-by się było na starość przyzwyczaić do wielu rzeczy, które życie w kwucy z konieczności ze sobą przynosi.

http://rcin.org.pl

Tu poczęła się ogólna dyskusja o znaczeniu kwucy i o celowości jej ustroju, o możliwościach jej utrzymania się, o jej wpływie na przyszłe ukształtowanie się życia w Palestynie.

Rozglądając się po obecnych, nie dziwiła się Tirsa wcale, że w tem gronie kwuca nie miała, poza milczącym dziś Kleinzelerem i neutralnym jak zwykle profesorem Opatowskim, ani jednego sympatyka. Najgwałtowniej występował przeciw kwucy opasły tenor. Powoływał się przytem na swe doświadczenie, nabyte dwuletnią przynależnością do kwucy, która w międzyczasie się rozpadła. Tenorowi najżywiej wtórowała pani Ellenbergowa. Opowiadała ona kiepską niemczyzną o złym wpływie kwucy na moralność dziewcząt. Gdy zirytowany Kleinzeler zapytał, wskazując na tenora:

— Czy pani zna ustrój i życie kwucy, podobnie jak pani sąsiad, z własnego doświadczenia? — odpowiedziała:

— Znam kwucę, gdyż przed trzema laty, gdyśmy przyjechali do Palestyny, zwiedzaliśmy Petach Tikwę, Riszon l'Zion i inne kwuce, których nazwy już nie pamiętam...

— Ależ, droga pani Ellenberg — pouczał adwokat — Riszon l'Zion, to przecież nie kwuca. To wieś plantatorów, kapitalistów, „burżujów".

— E, co mi tam kwuca, nie-kwuca. I poco uczyć się na miejscu! Miałam do niedawna taką dziewczynę, co to przyszła z kwucy do miasta. Przed dwunastą w nocy nigdy jej nie było w domu. Więcej siedziała nad morzem, na piaskach, niż w kuchni. Myć podłogi i robić „szponzę" — tak, jak to robią Jemenitki — nie chciała, tylko ledwo szmatą liznąć i już.. Dzieci, proszę

http://rcin.org.pl

państwa, tak się przy niej rozpuściły, że wczoraj, gdy z mym Joseczkiem siedziałam na plaży, a brzegiem przechodziło dużo młodych ludzi do połowy nagich — to też taki dziki, palestyński zwyczaj — mój Joseczek nagle się pyta: „Mamusiu, czy ci panowie to wszyscy są nasi *chawejrim* (towarzysze partyjni)?... Niema się co śmiać!... Tu ze wszystkiem tak!... Czy się tu na przykład wie, co święto?... A nawet, jak się już świętuje, to tak jakby się szło za trumną...

— Daruj pani, ale co to, to już pani nie ma racji! — protestował redaktor.

— Co znaczy: nie mam racji?!... Czy może być radość w mieście, w takiem jak Tel-Awiw, gdzie ani jednego kościoła, i gdzie nigdy nie słyszy się bicia dzwonów?... Czy widzieliście państwo pochód w Tel-Awiwie?... Czy zauważyliście choć jedną chorągiew?... U nas w Warszawie, pamiętam, w święto Matki Boskiej, to był pochód! Dzwony dzwoniły, aż łzy człowiekowi stawały w oczach. Szedł las chorągwi, orkiestry grały, lud śpiewał a ja sobie stałam w oknie jak w loży, w teatrze... Tu zaś szczyt każdej uciechy, to ta „hora“ na środku ulicy! Wszędzie i zawsze jedna i ta sama hora!... Naprawdę, to już człowiekowi gardłem wyłazi...

Tirsa słuchała słów Ellenbergowej z wielkiem zdenerwowaniem. Rozumiała wprawdzie, że były to żale kobiety, której ptasi mózg nie sięgał poza próg własnego domu. I gdyby nie obecność Karola, byłaby prawdopodobnie śmiała się wraz z całem towarzystwem z naiwności tej kobiety, która, idąc na lep niewinnych, a podstępnych słówek profesora Opatowskiego, w dalszym ciągu zwierzała się ze swych kłopotów, opowia-

http://rcin.org.pl

dając niestworzone, a do śmiechu pobudzające historje.

W tym jednak wypadku czuła się, jakgdyby odpowiedzialną za wrażenie, jakie to zachowanie się towarzystwa i jego stosunek do Palestyny wywrze na Karolu... Czyż nie uczył jej Dubiński: „pięknem jest tylko to, na co się człowiek patrzy okiem miłości, a świętem to, przed czem się staje ze czcią w duszy“... Jakże sprawiedliwemi były te słowa i to nietylko w odniesieniu do Palestyny!... A zwłaszcza, jeżeli chodziło o stosunki palestyńskie, to ta głęboka prawda była kluczem, otwierającym tajemnicę serca każdego z jej nowych i dawnych mieszkańców... Tak, to prawda. Ona z tą przez Dubińskiego żądaną czcią tu przyjechała, a przez gdudowców odnalazła i drugi pierwiastek tj. umiłowanie kraju. Bo czyż inaczej bolałyby ją słowa tej kobiety? Czy obchodziłyby ją konsekwencje, jakie ze słów tych wyciągnąć może Karol?

W dalszym zaś ciągu żywo przy stole toczącej się dyskusji, myślała Tirsa o tych wszystkich nowych przybyszach, dla których Palestyna stawała się tragedją życia. Arjeh mówił o nich, że są jak „trujące grzyby: gdzie się je zasadzi, nigdzie trucizny się nie wyzbędą...“ Tirsa nie godziła się na ten pogląd. Miała wrażenie, że gdyby tych nowych ludzi jakaś litościwa ręka poprowadziła na trudnej drodze zżycia się z krajem, gdyby dano tym ludziom czas i możność zaklimatyzowania się, gdyby ich nie pędziła konieczność natychmiastowego szukania chleba i oni napewno odnaleźliby się na tym skalisto-piaszczystym gruncie. Choć z drugiej strony musiała przyznać rację Arjemu. Istotnie, nie było tu miejsca na tylu lekarzy, adwokatów, kupców, na tę rozliczną rzeszę, której Europa strawić

http://rcin.org.pl

nie mogła. „Pasożytującymi golusoidami“ zwał ich Arjeh...

— Czy wypowiedziałaś Leji przed twym wyjazdem Tirso? — zapytał ojciec, gdy pożegnawszy towarzystwo, schodzili po stromych schodach na ulicę.

— Nie jeszcze. Czy to musi być ojcze?...

— Gdyby to nie było koniecznem, nie żądałbym tego od ciebie.

Tirsa nie rozumiała tego żądania. Czyżby wzgląd na wydatek, związany z utrzymaniem Leji, decydował w tym wypadku? Prawda, że ona, Tirsa, jada w szpitalu, a ojciec albo w Mocy, albo na mieście i że te nieznaczne usługi domowe, wykonywane przez Leję, mogłaby ostatecznie spełniać dochodząca kobieta. Ale Tirsa tak się przyzwyczaiła do cichej i skrzętnej Leji, że myśl o rozstaniu napełniała jej serce głębokim smutkiem... Jakże ona sama będzie spędzała wieczory w tych pustych pokojach? Czy istotnie żądanie ojca wypływało z chęci oszczędzania? Czy fabryka rzeczywiście tak źle prosperowała, iż wydatek trzech funtów miesięcznie poczynał odgrywać rolę? A może był to ze strony ojca manewr strategiczny?!... Może ojcu się zdawało, iż w tem osamotnieniu prędzej zdecyduje się wyjść za mąż?

A nawet, gdyby tak było w istocie, czy mogła ojcu poczytać za złe, że chciał przyspieszyć to, co jego zdaniem łączyło się z jej szczęściem. Przecież był jej ojcem, najlepszym, najdroższym i najbardziej jej oddanym człowiekiem pod słońcem...

http://rcin.org.pl

WŁAŚCIWE OBLICZE.

O, jakże to dobrze leżeć w łóżku, wyczuwać ciepło własnego ciała, zapadać w półsen bez nerwowego niepokoju, iż budzik zadzwoni o nastawionej godzinie. O, jakto dobrze leżeć i wiedzieć, że minie godzina siódma, a ona nie będzie zmuszona lecieć z zapartym oddechem i z obawą w duszy, iż z pewnością przy drzwiach lub w korytarzu uderzą w nią szydercze oczy Racheli Kaspi... O, jakże to dobrze czuć się wolną od obowiązku przez dwadzieścia cztery godzin!... Nigdy przedtem nie doznawała tego uczucia radości, wynikającego z przekonania, iż są godziny, które można wyłącznie sobie poświęcić; że jest dzień taki świąteczny, sobotni, zupełnie odmienny od innych; że każda minuta takiego dnia jest jak piękny ptak w przelocie, jak drogocenne, rzadkie lekarstwo, którego zażywać należy uważnie, oszczędnie, by nie uronić zeń ani kropli...

Cóż ona ma dziś robić? Pisać listy, uporządkować bieliznę w szafie, naprawić pończochy, a prócz tego coś, co — nim jeszcze uświadomiła sobie przyczynę — już rozlało się gorącą falą radości po jej wnętrzu. A więc: ma się zobaczyć z Arjem... Jakże to przyszło? Wczoraj — co za przypadek — idąc ze szpitala, spotkała go na ulicy. No więc i cóż?... Przyznaje się, że to nie był przypadek, że celowo przechodziła koło Biura Związku szoferów z cichą nadzieją, że go tam spotka... Czy popełniła przestępstwo? Czy na każdym kroku winna się liczyć z Karolem?...

Tak, to on sam proponował spotkanie. Z pewnością ma jej coś ważnego do powiedzenia... Jakże rzadko spotykali się teraz, od czasu jak Karol przyjechał!...

http://rcin.org.pl

Nie przyjeżdżał już po nią autem wieczorami i nie woził jej daleko za miasto, w okolicę Betleem, na ciche wzgórza obok grobowca Racheli, lub na Skopus, pod uniwersytet... Nie siadywali teraz razem na stopniach auta i nie patrzyli w zupełnem milczeniu na zamierające światełka Jerozolimy...

Nawet gdy się przypadkowo spotkali, nie był taki, jak dawniej. Często Tirsa miała wrażenie, że jej unika... To już nie to, co dawniej, a co zawsze u niego wydało się jej zagadkowem, niezrozumiałem i co przypisywała jego dumnej naturze. Dawniej zdawało się jej często, że idzie ku niej i znów się oddala; zbliża się o krok, by znów pod wpływem niezrozumiałych refleksji cofnąć się o dwa...

A u niej?

Któryż to już raz zadawała sobie to pytanie i nie dochodziła do żadnego, konkretnego wniosku... Byłoż to ciągłe domaganie się jego widoku, ten stale powtarzający się napływ nagły krwi w okolicę serca z chwilą, gdy go zobaczyła, lub gdy do niej przemawiał, to każdoczesne myśli obcowanie z jego obrazem, byłaż to miłość? Byłaż miłością chęć ułożenia swojej głowy w uchwycie jego silnych ramion, chęć trzymania swej dłoni na jego niebieskich oczach, nieopanowane pragnienie ułożenia jego ręki na swym, pieszczoty domagającym się policzku? Byłaż to rzeczywiście miłość, to uczucie, za którem tęskniła, którego dawno wypatrywała... Uczucie szlachetne, czyste, oderwane od zmysłów?... A może to tylko znów, jak dawniej, jak stale dotychczas, jedynie głos krwi, domagającej się podniety i nasycenia!...

Nie, to było zupełnie co innego, niż dotychczas. Czyż nie bolał ją jego ból; nie martwił ją jego smutek;

http://rcin.org.pl

nie cieszyły ją jego radości i powodzenie? Czyż nie była fizycznie i sercem po jego stronie, jakkolwiek jej rozum wyraźnie mówił, że w słowach jego mieści się przesada...

Na przykład wtedy, w tej wielkiej barakowej sali, na którą ją wpuszczono dzięki protekcji Uriego!... Omal nie zemdlała z obawy o niego w chwili, gdy się zebrani rzucili ku podjum, ku niemu — podrażnieni jego wywodami... Zdawało się jej wtedy, że musi skoczyć na front i zasłonić go własną osobą... A przecież i ona nie przyznawała mu wtedy racji... Nie, już wcześniej!... W ów wieczór na przykład, w chwili, gdy Szoszana zawiadomiła ją o zranieniu Arjego przez Arabów, wszak już wtedy musiała użyć całej siły woli, by się przed Szoszaną nie zdradzić... z czemś, z czego sobie sama jeszcze wtedy nie zdawała sprawy.

A dziś bezwzględnie stała pod jego duchowym wpływem. Jakżeż bowiem często odnajdywała w swych myślach okruchy jego zapatrywań, przyswajając sobie zupełnie mechanicznie nie tylko jego poglądy, ale nawet i pojedyncze słowa... Gdy porównywała wpływ Dubińskiego na swoją duszę, z wpływem, który wywierał Arjeh, już z tego porównania wynikało uprzywiljowane znaczenie osoby Arjego w stosunku do swej własnej osobowości. Z myśli bowiem Dubińskiego dobierała tylko te, które po krytycznej rozwadze uznawała za słuszne. W stosunku zaś do Arjego, proces ten dokonywał się mimo jej wolę i świadomość, w sposób od niej zupełnie niezależny, tak, jak promienie słoneczne zapładniają ziemię niezależnie od jej położenia i uwarstwowania...

Lecz jeżeli to była miłość, dla czegóż wbrew swej woli prześladowały ją „nieczyste“ myśli? Dlaczego

http://rcin.org.pl

często zastanawiała się nad tem, czy i w stosunku do Arjego, tak jak dawniej w stosunku do Karola, zachowałaby jasną, przytomną myśl w szale zmysłowego podrażnienia? Czy i w jego krzepkim uścisku, poprzez przelewający się żyłami war namiętności, poprzez opór i poddawanie się zwierających się ciał i teraz rozum stałby wciąż na straży, wołając: pamiętaj, to ostatnie, nie wolno — czuwaj!... Czyż z każdem uczuciem miłości kojarzyły się tego rodzaju brudne obrazy, nawiedzające ją często, bez powodu i niespodzianie? A może wyobraźnia jej była zatruta świadomością tego, co było tam we Wiedniu, w pokoju Karola i co na wieki zda się już osiadło na gruncie, z którego poczynała się myśl i pamięć? O, jakże nienawidziła Karola za to, iż odebrał jej niewiedzę i otworzył przed nią ogród zatrutej rozkoszy, ogród, do którego obecnie myśl zakradała się na przekór jej woli!..

A on?...

— Dzień dobry, Tirso! Co gotujemy dziś na obiad?

— Ach, daj mi pokój Lejo z tem gotowaniem!... Tak mi dziś wesoło na duszy, że aż się wstydzę przed tobą.

— Przede mną?

— Siadaj tu, na łóżku... Masz jeszcze czas gotować... Dlaczego się wstydzę tej mojej radości? Toć przecież dziś ostatni dzień jesteś u nas i jak sobie pomyślę, że jutro już się nie zobaczymy, to cała moja radość...

— Głupstwo! Nie widzimy się po raz ostatni... Palestyna jest mała... Raz się to musiało skończyć... Moi już dawno się domagają, bym wracała... Ale człowiek zawsze łakomy na pieniądze...

http://rcin.org.pl

— A czy twój brat długo jeszcze pozostaje w Pradze?...

— Jeszcze pół roku. To, co mu posłałam, wystarczy na ukończenie studjów. A potem tu przyjedzie. Zobaczymy...

— A co do Szmulika, Lejo, to pozostaje przytem, cośmy ułożyły. Tak?

— Z pewnością, Tirso. Zabieram go. Przypuszczam, że się u nas będzie czuł lepiej niż w mieście.

— Że się będzie czuł lepiej, w to nie wątpię. Byleby się tylko równie dobrze sprawował!...

— Wybacz Tirso, ale nie wierzę w tę całą historję. Łakomić się w jego wieku na marki? Nie, to niemożliwe...

— Ja też chętnie-bym nie wierzyła. Są jednakże niestety fakta. Sekretarz zrewidował kieszenie Szmulika i znalazł nietylko odlepione marki, ale i nieodesłane listy, które ten nicpoń, zamiast wrzucać do skrzynki pocztowej, chował do kieszeni.

— A cóż on robił z pieniądzmi uzyskanemi ze sprzedaży skradzionych marek?

— Czy ja wiem! Z pewnością kupował łakocie.

— Dziwny zaprawdę chłopak. Ale my go tam w Bet Alfie już wykierujemy na człowieka.

— Tylko go nie bijcie!

— Bić?... Cóż znowu!... Są inne sposoby... No — gadu, gadu, ale co z obiadem?

— Oh, Lejo. Nawet w ostatnim dniu jesteś niemożliwą z tym obiadem... Ja najchętniej nicbym nie jadła. Albo... poszłabym z tobą Lejo gdzieś na jakąś tłustą, arabską baraninę...

— Możnaby. Myśl wcale niezła. Ale, co zrobisz z twym gościem?

http://rcin.org.pl

— Oh, dla Boga! Na śmierć zapomniałam!...

— Ładnie, zapominać o swym narzeczonym!

— Prawda. Wszak to on dziś przyjeżdża. Gdzie podziałam ten jego telegram?... Aha jest: „Wracam dziś, Hajfa. Będę na obiedzie“... To się nazywa zaproszenie!... Powiedz mi Lejo, tak między nami... na sam koniec... ale szczerą, najszczerszą prawdę: jak ci się podoba mój narzeczony?...

— Wybacz Tirso, ale wymagasz rzeczywiście dużo!... Co znaczy, jak mi się podoba? Czy chcesz mi go odstąpić?

— No, nie gniewaj się kochanie. Dość się nagniewałaś przez te parę miesięcy, podczas których byłaś u nas... Chciałabym jednak koniecznie słyszeć twoje zdanie... No, więc Lejo!... Ja proszę — na sam ostatek — nie odmawiaj.

— Jesteś dziś Tirso rozkapryszona, niczem małe dziecko. A może dziś twe urodziny?...

— Nie, nie. Nie wymawiaj się Lejo! Widzisz, przecież byłam ci dobrą „panią“... Powiedz sama, czy nie wypłacałam ci punktualnie pensji? Nigdy nie zabraniałam ci przychodzić późno do domu... Powiesz, żeś z tego zbytnio nie korzystała, ale czy wytrąciłam ci choć piastra za rozbite talerze i filiżanki?!...

— No dość już, dość. Chcesz, to ci powiem... Ale pamiętaj, byś nie żywiła do mnie z tego tytułu urazy...

— Przysięgam!

— A więc: nie podoba mi się ani trochę. A jeżeli już mnie ciągniesz za język, to ci powiem, że ja na twojem miejscu — mówię to zupełnie poważnie — dobrzebym się namyśliła, nim...

. Tirsa zerwała się z łóżka i objąwszy Leję za szyję, ucałowała ją serdecznie w same usta.

http://rcin.org.pl

— Dziękuję ci Lejo. Teraz widzę, że mnie rzeczywiście lubisz... Chodź, ucałujemy się jeszcze raz!... Na pożegnanie!... Bo potem, może ktoś będzie w domu i nie będzie można tak sobie pozwolić.

— Słuchaj Tirso. Jeżeli to ma być nasze pożegnanie, to ja mam jeszcze prośbę.

— Jeżeli to tylko ode mnie zależy... z całej duszy to zrobię.

— Nie chodzi o mnie, Tirso, lecz o ciebie...

— O mnie?

— Tak, o ciebie. Chcę cię prosić, byś pamiętała, że jeżeli ci tu będzie źle, lub będziesz potrzebowała rady, pomocy, spokoju... wtedy pamiętaj, że ja jestem w Bet Alfie i że możesz tam przyjechać, niezapowiedziana, każdej chwili. Przyjmę cię tam jak — no — jak własną siostrę... Przyrzekasz?

— Ależ naturalnie! A już teraz dziękuję ci za to serdeczne zaproszenie z całego serca... Przyjadę... naturalnie, że przyjadę. Wszak będę już tam miała całą rodzinę: ciebie, moją ukochaną starszą siostrę, no i — mego syna — Szmulika... Na dowód zaś, jak ci jestem wdzięczną za to zaproszenie, gotowa jestem ułożyć z tobą menu obiadowe... A więc: na pierwsze danie wątróbka. Wszak kupiłaś wątróbkę? To doskonale. Danie drugie: zupa. Ale jaka? Może grochowa z ferfelkami?... Nie, nie... Już mam... Ojciec, ja i ty zupy nie jemy. Niechże więc gość wie, że jest na palestyńskim obiedzie!... Zrób więc zamiast zupy „Kusy“ nadziewane ryżem! Zgoda?

— A prócz tego mięso? Czy nie będzie zadużo?

— Ach Lejo, Lejo!... Wszak to ostatni obiad, który gotujesz!... Zawsze się bałaś roboty, ty leniuchu!... Nie wiem rzeczywiście, za co my ci tyle pieniędzy płacili!...

http://rcin.org.pl

— Żart, żartem Tirso, ale czy to rzeczywiście nie będzie za dużo?...

— Za dużo, powiadasz?... No to zrób, jak sama uważasz... Zdaję się na ciebie, jak zawsze... A to co?. Ktoś puka... Chyba nie Karol?...

Za chwilę wróciła Leja z przedpokoju bardzo wzburzona.

— Co się stało Lejo? Czemu tak poczerwieniałaś?

— A to ten gburowaty jegomość tak mnie zirytował.

— Kto, Karol?

— Nie! Powiada, że jest z Tel-Awiwu i że do ciebie przychodzi.

— Do mnie, z Tel-Awiwu?... Jak się nazywa?

— Właśnie o to poszło... Wchodzi, nie mówi: szalom, ani dzień dobry, tylko chce iść dalej. Pytam się: „do kogo?“ — „Do panny Lampel“ odpowiada. — „A jak pańska godność?“ — „Jestem“ powiada „bez godności“. — Myślę sobie: zwarjował, czy co! „A nazwisko pańskie?“ — A on na to: „Czy pani jest sędzią śledczym? Urodziłem się bez nazwiska. Jestem, ot... człowiek z Tel-Awiwu... Czy tu u was trzeba najpierw posłać lokaja z wizytówką, czy co?“...

— Któż to może być? — myślała głośno Tirsa. — Powiedz mu, że zaraz będę gotowa.

Gdy Tirsa skończyła pospiesznie swą poranną toaletę i wyszła do przedpokoju, ze zdziwieniem rozpoznała w gościu „bez nazwiska“ sekretarza Kleinzelera.

— O, a pan co tu robi?

— Zaraz pani opowiem. Tylko proszę mi wprzód powiedzieć, czy u pani stale tak trzeba czekać, jak nie przymierzając u cesarza?...

http://rcin.org.pl

— Wybacz pan, panie Kleinzeler, ale u mnie dziś dzień wolny od pracy, więc trochę dłużej leżałam... Co pana do nas sprowadza?

— Przedewszystkiem mam dla pani pozdrowienia od Herbstowej. Następnie mam zlecenie również od Herbstowej zaproszenia pani na jej ślub, który się odbędzie we wtorek o godzinie dwunastej w południe na dachu przewielebnej izraelickiej gminy wyznaniowej w Tel-Awiwie.

— Co za ślub? Czyj, z kim?... Co pan sobie znów wymyślił?

— Ślub pani Muszki, dawniej Herbst primo voto z panem Kleinzelerem Isakiem recte Izydorem, sekretarzem P. M. O. w jednej i tej samej, to znaczy, w mej osobie.

— Panie Kleinzeler, ja pana nic, a nic nie rozumiem... Muszka, powiada pan, wychodzi za mąż za...

— Tak, za mnie — jak mnie pani tu widzi... Czy to pani wydaje się tak niemożliwem? Pociesz się pani, że mnie również... Ja nawet mam wrażenie, że jest to największe głupstwo, jakie można tu w Palestynie za najtańsze pieniądze popełnić. I zdaje się — nie — pewnem jest, że ja, uchodzący we własnych oczach za mądrego człowieka, głupstwo to zrobię.

Tirsa była tak zaskoczoną niespodzianą wiadomością o bliskim ślubie Muszki, że wcale nie reagowała na rezonowanie Kleinzelera.

— Pani znów mi nie wierzy? Widzi pani, sprawa ma się tak. Muszka uzyskała, jak pani wiadomo, rozwód. Ona sama i ja sam... Jeden plus jeden, może być trzy... Pani rozumie?... Myślę sobie: jeżeli już, to lepiej teraz, niż potem. Nuż przyjdzie wielka imigracja i te Żydki z urzędu kahalnego zmądrzeją i powiedzą sobie:

http://rcin.org.pl

„poco nam przyrost ludności na skutek ślubów i dzieci. Dość nam — na skutek imigracji... Trzeba podnieść taksę za śluby“... Panno Lampel! Jeszcze raz powtarzam: małżeństwo w Palestynie, jest to największe głupstwo i najtańszy szpas... Czy wie pani, co kosztuje ślub w kahale z rabinem, baldachimem, winem, sążnistym skryptem i t. d.?... Pięć-dzie-siąt piastrów, a dla członka organizacji robotniczej jeszcze taniej... I gdyby nie to, że Muszka tak nagli, ja jeszczebym poczekał. Nuż zaczną nowożeńcom dopłacać?!... Pani się śmieje? Pani nie docenia, zdaje się, znaczenia i wartości ślubu. Bo inaczej wiedziałaby pani, że kahał, dopłacając kandydatom do małżeńskiego stanu...

— E, pleciesz pan, panie Kleinzeler, głupstwa. Opowiedz pan raczej, jak i skąd to tak nagle się wzięło?

— To wcale nie było tak nagle. Żeby pani wiedziała, co nas to kosztowało trudu! Muszka wprawdzie miała swe papiery w porządku. Ale ja!... Nie chcieli wierzyć na słowo, że się urodziłem. A gdy wreszcie dokumentami dowiodłem prawdziwości tego dziejowego faktu, żądali, bym udowodnił, że jestem kawalerem. Chciałem ich zaprowadzić do mego mieszkania obok cmentarza. Przypuszczam, że gdyby byli zobaczyli panujący u mnie porządek, byliby bezwarunkowo w moje kawalerstwo uwierzyli... Ale ponieważ wierzyć nie chcieli, wziąłem mego kolegę biurowego, który zaświadczył, że mnie zna z Pragi (choć on, między nami mówiąc, pochodzi z Preszburga i w Pradze nigdy nie był) i że nigdy nie byłem żonaty... A wie pani, co się przy tem zdarzyło? Omal, że sprawa nie wzięła szczęśliwego dla mnie obrotu... Urzędnik kahalny wziął mego kolegę za właściwego kandydata do

http://rcin.org.pl

stanu małżeńskiego i jego chciał z Muszką połączyć ślubnym węzłem. Jednem słowem: porządek — żydowski...

— Więc kiedy to, we wtorek? Obym tylko mogła się uwolnić ze szpitala.

— Choćby zdezerterować, a musi pani przyjechać. Muszka obraziłaby się na śmierć.

— Ale też to nowinę pan przywiózł!... Nie spodziewałam się takiego obrotu rzeczy... A co poza tem słychać?

— Nie tak zimno, jak u was w Jerozolimie. Toż to istny Sybir, tylko zamiast śniegu macie błota po kostki. Można uszy i nogi odmrozić. Brrr... Jak wy tu możecie wytrzymać?!

— Nie tak straszno, jak pan to przedstawiasz. Trzeba się tylko przyzwyczaić... A co z Dubińskim? Może pan co słyszał?

— Owszem, dobrze.

— Jakto, czyżby choroba wzięła pomyślny obrót? A ja sądziłam...

— To, nie! Ależ z nim jest lepiej. Jest w szpitalu.

— A ja myślałam... Tak się ucieszyłam...

— Naturalnie, że lepiej. Ma przynajmniej pewność, że rychło umrze i nie będzie się męczył.

— Panie Kleinzeler, pan jest rzeczywiście bez krzty serca!... Czy pan nie wie, że i najniebezpieczniej chory człowiek trzyma się kurczowo nadziei, iż śmierć jeszcze daleka.

— Naturalnie, że wiem. Lecz czy to zmienia postać rzeczy? Czy to zmniejsza jego cierpienia, przywraca mu zdrowie, pociesza jego bliźnich. Im prędzej umrze, tem lepiej dla niego i dla jego otoczenia.

— Nie, nie wierzę, by to pan mówił serjo...

http://rcin.org.pl

— Proszę, jak pani uważa... No, ale na mnie czas! A ojciec pani?

— We fabryce, jak zwykle... A możeby pan przyszedł do nas na obiad.

— Dziękuję pani, ale właśnie dziś jest dzień, w którym zazwyczaj dla wygimnastykowania mego żołądka nie jadam... A zatem proszę nie zapomnieć: wtorek, południe, godzina dwunasta, dach budynku kahalnego przy Sztejrot Rotszyld, Tel-Awiw... Adres, sądzę, dokładny... Szalom u bracha.

Całe przedpołudnie stała Tirsa pod wrażeniem wieści o ślubie Muszki. Jeszcze nie minęło pół roku, gdy Muszka wyjechała z Jerozolimy i rozstała się z Herbstem, a już ponownie wychodzi za mąż!... Jakżeż zrozpaczoną i niepocieszoną była, gdy stwierdziła, że kocha Herbsta bez wzajemności!... I za kogo? Za tego dziwacznego człowieka!... Teraz dopiero rozumie, dlaczego ten Kleinzeler przesiadywał tyle w pensjonacie „Jeruzalem"!... A ona myślała, że prędzej z tym profesorem coś będzie... Czyżby u Muszki decydującą była chęć posiadania dzieci... Co ojciec na to powie? Będzie to napewno znów woda na jego młyn... Pomyśli sobie: „widzisz, wszyscy się spieszą; tylko ty czekasz... i na co?"... I rzeczywiście, na co ona czeka? Czyż nadzieja szczęśliwszego obrotu w jej życiu nie była daremną? Nie lepiej, zaraz skoczyć pod ten zimny tusz?! Bo i skądże ów szczęśliwy zwrot przyjść może? Arjeh?

I tu przypomniała sobie to, o czem myślała, leżąc dziś rano w łóżku... Skądże znowu ta nagła zmiana nastroju? Przed chwilą wydało się jej wszystko w oprawie z różanego drzewa, a teraz owa złota kanwa, na której wyszywała wzory radujące oko, leżała u jej stóp potargana w strzępy... Co było tego przyczyną?

http://rcin.org.pl

Czyżby wiadomość o zamążpójściu Muszki, lub o bliskiej i nieodwołalnej już śmierci Dubińskiego?... E, wszystko jedno. Trzeba coś robić. Szkoda czasu... Wnet dziesiąta, a ona się jeszcze nie myła... A, prawda. Miała przecież jeszcze raz przeczytać ten list. Gdzież to ona go położyła?... Prawda... pod poduszkę...

.... „Droga Panno Lampel! Czy mam Pani pisać, jak się listem Pani ucieszyłam? Poprzez rozdzielającą nas przestrzeń całowałam to dobre, a szlachetne serce, które mi ten drogi list nadesłało...

Nie znam Waszej Palestyny, chociaż od czasu, jak ojciec tam bawi, rozczytuję się w odnośnej literaturze i gorączkowo szukam po gazetach za wiadomościami z tego kraju... Sądzę jednak, że kraj, który mój ojciec obrał dobrowolnie, a wbrew woli swej rodziny za ojczyznę, musi być piękny, a ludzie, z którymi ojciec mój obcuje, szlachetni... Być może, że to wnioskowanie wyda się Pani naiwnem, ale przypuszczam, sądząc z tego podobieństwa naszych charakterów, o którem Pani w swym liście wspomina, że i Pani zapewne wie, co to jest instynkt serca... Więc, czy chcesz Pani przyjąć na siebie rolę pośredniczki między mną, a mym ojcem? Będę pisała do Pani, jako do mej nowej przyjaciółki, a Pani podzieli się wiadomościami z ojcem. Od czasu zaś do czasu odpisze mi Pani kilka słów o nim... Czy dobrze? Czy mogę Panią o to prosić?

Tak, ja zdaję sobie sprawę z tego, że prosząc Panią o przyjęcie tej roli, popełniam coś, co

http://rcin.org.pl

w sprzeczności pozostaje do danego mej matce słowa. Ale wierzaj mi Pani, ja sama gotowa jestem i nadal cierpieć z powodu tego tragicznego rodzinnego powikłania, łączącego się z wyjazdem mego ojca. Nie mogę jednak milczeć, gdy wyczuwam z listu Pani, jakie katusze przechodzi mój ojciec...“

Tak samo, jak wczoraj, tak i obecnie miała Tirsa łzy w oczach, gdy list przeczytała... Cóż to za dziwne sytuacje stwarza przypadek w życiu? Z jakich utajonych źródeł czerpie ludzkie serce karm dla swego bólu? Jakgdyby śmierć, zawiedzione nadzieje, tęsknota, złość i podłość nie dostarczały dość materjału... A z drugiej strony, z jakich to zalążków rozwija się przyjaźń?!...

Ciekawe, jakie wrażenie wywrze ten list na Krafta?... Najchętniej sama-by go oddała, lecz poco niepotrzebnie wywoływać wilka z lasu. Coby sobie bowiem Kaspi pomyślała, gdyby się dziś, w dzień wolny od pracy, pokazała w szpitalu i do tego w pokoju Krafta! Czyż nie umocniłoby to w Kaspi podejrzenia co do stosunku miłosnego między nią a Kraftem?... Co za babsko wstrętne! Najlepiej list ten zaraz odesłać... Tak. To będzie najodpowiedniej... A więc zbierać się!...

— — — — — — — — — — — — —

Gdy Leja sprzątnęła ze stołu, począł ojciec bez obsłonek tłómaczyć Karolowi opłakany stan swego przedsiębiorstwa. Dwie — jego zdaniem — przyczyny składały się na to, iż pierwotne kalkulacje zawiodły. Po pierwsze: jego spólnik. Był to sobie taki zwykły Żydek z Polski. Umiał pisać jedynie po żydowsku,

http://rcin.org.pl

a o prowadzeniu interesów w sposób nowoczesny, w sposób europejski, nie miał najmniejszego pojęcia... Poza tem nie był zdolny nagiąć się do nowych warunków pracy. Z niekwalifikowanego zastępcy majstra w małej polskiej pocynkowni, wyrósł na właściciela fabryki... Reklamę uważał za rzecz zbędną, a o należytą, zewnętrzną formę produkowanych towarów, o należyte opakowanie, o estetyczną markę, o odpowiedni papier listowy trzeba było z nim walczyć... Nadto, co najważniejsze, nie był uczciwym. Ojciec nie miał wprawdzie konkretnych dowodów, lecz podejrzywał go o robienie interesów na własną rękę...

Skąd to podejrzenie?

Sprawa miała się następująco: Po długich i uciążliwych zabiegach udało się ojcu nawiązać stosunki z egipskimi importerami blaszanych wiader. Przed miesiącem wysłał ojciec Weinreba z transportem gotowych, doborowych wiader do Kaira, by tam sprzedać je francusko - egipskiemu towarzystwu „Oriente-Import". Dodatkowo zasięgnięte informacje wskazują na to, iż Weinreb sprzedał wiadra rozmyślnie innej firmie, by móc uzyskaną nadwyżkę schować do własnej kieszeni. Jeżeli informacje te się potwierdzą, to naturalnie o dalszej współpracy w jakiejkolwiek formie nie może być mowy.

— A co wtedy? — zapytał obojętnym głosem Karol, podczas gdy w Tirsie serce zamierało z lęku przed otwierającemi się nagle perspektywami.

— Co wtedy? Czy ja wiem — odpowiedział ojciec, wzruszając bezsilnie ramionami. — Jeszcze się nad tem nie zastanawiałem... Są dwie możliwości, albo wypłacę Weinrebowi i zostanę sam przy fabryce, albo zlikwidujemy wogóle całe przedsiębiorstwo.

http://rcin.org.pl

— A która z tych dwóch możliwości wydaje się wujowi bliższą rzeczywistości?

— Powiedziałem ci przecież: jeszcze nie zastanawiałem się nad tem pytaniem... Chcąc pozbyć się Weinreba, trzeba mieć kapitał, którym niestety nie rozporządzam. Całą gotówkę włożyłem w interes. Mój udział, na skutek ciągłych, dalszych z mej strony inwestycyj, wynosi około 80 %. Należałoby więc postarać się o dalsze 20 %, co naturalnie przy obecnej ciasnocie pieniądza w kraju jest rzeczą trudną, a właściwie prawie że — niemożliwą. A poza tem trzebaby fabrykę przenieść z Mocy gdzieś w pobliże stacji kolejowej. Transport surowca i gotowego produktu zjada dochody. Również należałoby za granicą, w Polsce albo w Belgji, poszukać za tańszemi źródłami surowca, by móc skutecznie konkurować z niemieckiemi wyrobami...

— Z tego wszystkiego widzę, kochany wuju, że nie pozostaje nic innego, jak tylko: pakować prędko manatki i wracać.

— Jakto wracać? Dokąd? — prawie że równocześnie z ojcem zawołała Tirsa.

— Dokąd? — odpowiadał spokojnie Karol, zaciągając się dymem z papierosa. — Naturalnie do Wiednia... Proszę cię, Tirso, siedź i nie gniewaj się... Jest to tylko propozycja, na którą się możesz zgodzić, lub nie... A więc kochany wuju: stan twojej fabryki jest, według twych własnych słów zły, obawiam się nawet, że beznadziejny... Ty, jako kupiec, wiesz chyba najlepiej, co to znaczy prowadzić interes bez kapitału obrotowego i to ze spólnikiem, któremu nie można ufać. Nie trzeba również być szczególnie w sprawach

http://rcin.org.pl

kupieckich doświadczonym, by zrozumieć, że „likwidować“, to znaczy tracić...

— Tak, to prawda — przytakiwał ojciec.

— A więc przypuśćmy, że udało ci się szczęśliwie znaleźć innego spólnika. Czy nie powiadasz sam, że fabryka źle jest położoną i że chcący, by prosperowała, trzebaby ją przenieść gdzieś w pobliże stacji kolejowej, czy też portu?... I poco to wszystko? Czy jesteś sjonistą? Czy ty wuju masz jakieś narodowe lub osobiste ambicje w kierunku odbudowy „żydowskiej siedziby narodowej“, tak, jak ci idealiści po kolonjach, które zwiedziłem...

— Nie rozumiem Karolu — przerwała zniecierpliwiona Tirsa — jak możesz..

— Zaraz, zaraz. I o tobie będzie mowa, kochana Tirso... Toby była jedna strona medalu... A teraz zastanówmy się nad drugą. Rozchodzi się, drogi wuju, o mnie i o Tirsę. Czy tak?... Wszak to było główną przyczyną twego wuju i Tirsy wyjazdu do Palestyny? Otóż co do mnie, okazuje się, że większe możliwości zarobkowania mogę mieć we Wiedniu, niż w Palestynie. Mörsch zaręczył mi płatną asystenturę, a powoli można przy tem dojść do — powiedzmy — średniego koła własnych pacjentów. Zwłaszcza, że mam zamiar specjalizować się w dziedzinie chorób nerkowych... I to było przyczyną, że we Wiedniu nie zrywałem za sobą mostów i że nie mam zamiaru tu się wiązać. Ponadto, ze wszystkich informacyj, które zebrałem wśród poznanych tu lekarzy, odniosłem wrażenie, że w Hadassie stosunki służbowe są ze względu na amerykańskie metody zarządu, nie do zniesienia, a następnie...

http://rcin.org.pl

— Wybacz — przerwała Tirsa — ale co przez to rozumiesz? Przecież co do tego, to i ja coś wiedzieć powinnam.

— Całkiem słusznie. Przypuszczam też, że wiesz, dlaczego np. odszedł znany bakterjolog Dr. Katz; dlaczego nie mógł się utrzymać kierownik szpitala w Tyberjadzie; co było przyczyną dymisji cenionego w kołach lekarskich ginekologa Szlanga z Tel-Awiwu... Wiesz? No, to wobec tego nie odmówisz mi racji... A zatem praca w Hadassie zupełnie mi się nie uśmiecha, a prywatna praktyka wogóle nie wchodzi w rachubę. Praktykujących lekarzy jest wnet w Palestynie więcej, niż pacjentów... Oto stan rzeczy, widziany z bliska i bez iluzji...

— A teraz, co do ciebie, Tirso... I tu chciałbym mówić również szczerze i również bez iluzji... Otóż, co za cel ma twoja praca w Hadassie? Czy nie widzisz, że cię ta praca wyczerpuje; że wyglądasz już jak cień i że wnet gotowaś sama stać się pacjentką Hadassy?... Zarobek?... Czy te parę funtów mogą coś zmienić w sytuacji twojej, lub twego ojca? Albo fabryka idzie, w takim razie wuj może cię aż do naszego pobrania się utrzymać, albo nie idzie, w takim razie — przypuszczam — nie liczysz na to, iż wuj będzie tu siedział i żył z tego, co ty zarobisz... Czy nie widzisz, że powoli zesuwasz się ku — nie powiem nędzy, ale — ku coraz prymitywniejszym warunkom życia?... Tak, jak zresztą wszyscy imigranci w Palestynie!... Przedtem mieszkaliście w dzielnicy will. Teraz w starej Jerozolimie. Dziś odprawiliście służącą i zaczniecie jadać po restauracjach; będziecie bez domu i wygód... A jutro?... Co to za życie?!... A przedewszystkiem: poco?... Pytam się: poco i dla kogo?... Prawda.

http://rcin.org.pl

Mówiono mi, że pod wpływem twych nowych przyjaciół stałaś się sjonistką... Wybacz, ale nie mogę w ten sjonizm z dziś na jutro uwierzyć. Ale przypuśćmy, że tak w istocie jest. Czy sądzisz, że twoją obecnością w Palestynie lub pracą w Hadassie pomagasz w urzeczywistnianiu sjońskiego ideału? Czy nie uważasz na przykład, że pobierając pensję w Hadassie, odbierasz ją innej dziewczynie, mogącej zająć twe miejsce i potrzebującej tych siedmiu, czy też ośmiu funtów bardziej niż ty?..

— Rozumiem, względnie nie rozumiem tych robotników po osiedlach. Przypuszczam jednak, że ich praca, praca na roli, przynosi w końcu, jeżeli już nie Żydom, to przynajmniej Arabom jakiś pożytek. Ale to twoje trwanie na rzekomym „posterunku“ jest co najmniej — wybaczysz to wyrażenie — naiwnem... Przed wyjazdem z Wiednia czytałem świeżo w niemieckiem tłómaczeniu wydaną książkę: „Zement“ jakiegoś rosyjskiego autora. Otóż, gdym przyjechał do Palestyny i powierzchownie się tu rozglądnął po ludziach, miastach i kolonjach, byłem zdumiony tem podobieństwem, jakie zachodzi między przedstawionemi w tej książce stosunkami w bolszewickiej Rosji, a tą twoją Palestyną. I tam najmoderniejsze metody wychowania dzieci, przyczem z braku środków do życia dzieci w łachmanach, głodne, skrobiące się od wszy. I tam panowie „towarzysze“ uganiają z teczkami po biurach, napchanych różnego rodzaju trutniami i tam „delegaci“ rozbijają się autami na koszt swych instytucyj. I tam siedzi się na stole, zamiast na krześle; nosi się czarne koszule, by zaoszczędzić mydła... Ale tam idjotyczne wypociny degenerata Lenina, socjalne szaleństwa niedowarzonych półgłówków wszczepia „Czeka“

http://rcin.org.pl

siłą w bezwolne, anemiczne, senne dusze słowiańskie. Ale tu? Przy trzeźwo obliczającej duszy Żyda polskiego... to tylko zawracanie głowy, marnowanie czasu, pieniędzy, energji i życia, niepoczytalne wybryki pomylonych młodzieniaszków...

Jeszcze długo przemawiał Karol w tym duchu. Każde jego słowo miało w sobie coś z logiki noża, krającego chorego pacjenta, którego choloroform obezwładnił na operacyjnym stole. W Tirsie wszystko burzyło się od wewnętrznego protestu, a nie mogła ani słowa ze siebie wydobyć. Jak gdyby ktoś przemocą zahamował koła myślowej maszyny... Wiedziała, że w gruncie rzeczy Karol nie miał racji. W tej jednakże chwili, w najaktualniejszym momencie, w chwili najwyższej potrzeby, nie znajdywała argumentów na odparcie oburzających słów Karola... Widziała wyraźnie niebezpieczeństwo, jakie dla niej urastało z wpływu Karola na ojca, z osiadających na dnie duszy ojca wątpliwości, a nie była w stanie odpowiednio zareagować, przeciwstawić się sposobowi ujmowania przez Karola problemów palestyńskich... O, jakże pragnęła, by w tej chwili był tu Dubiński, Arjeh lub Uri... Oniby z pewnością odparli ten atak!...

Atak?...

Tak. Uświadamiała sobie, że był to rzeczywiście atak, skierowany nie przeciw sjonizmowi i nie przeciw Palestynie, lecz przeciw niej, przeciw jej wolności, przeciw swobodzie poczynania według własnej woli... Tak. Nie ulegało żadnej wątpliwości. Poprzez nienawiść Karola ku Palestynie, poprzez brak najmniejszego zrozumienia dla tego, co się tu działo, poprzez gniew i szyderstwo, przeglądała wyraźna myśl, przedzierał się wyraźny plan osaczenia jej duszy, jak

http://rcin.org.pl

się osacza leśną zwierzynę... Przebijała chęć zniesławienia wszystkiego, co uważała za piękne, szlachetne, godne walki, cierpienia i ukochania, by następnie, po wywołaniu odpowiedniej reakcji, tem łatwiej dokonać zamachu...

Teraz dopiero rozumiała Tirsa całe zachowanie się Karola od pierwszej chwili wylądowania aż po dzień dzisiejszy... Tak. Był to atak, skierowany przeciw jej osobie i to w chwili — ze względu na stan psychiczny ojca — najodpowiedniejszej... I złość wzbierała na jej wnętrzu przeciw sobie samej za to, iż była tak nie dostatecznie uzbrojoną i o tyle — w tej walce na słowa — od niego słabszą.

W parze zaś z tem uczuciem złości szło uczucie buntu... Nie! Choćby się na głowie postawił, przecież nie dopnie swego... Tuż jednak za tem postanowieniem szła bezpośrednia refleksja: a jeżeli ojciec ustąpi i uzna się za pokonanego nie tyle może wywodami Karola, ile katastrofalnym stanem swej fabryki? Co wtedy?...

Tak, co wtedy?

Nie! Nie chciała o tem myśleć. Roztwierały się przed nią bezdenne otchłanie, ogarniało ją uczucie niewysłowionej trwogi, usuwała się ziemia z pod stóp. Doznawała podobnego uczucia zawrotu głowy i lęku, jak ongiś, gdy stała zawieszona hen, wysoko między niebem a ziemią, w pośrodku, jakby lecącego w przepaść, wagonu Riesenradu we Wiedniu... Zamknęła oczy i mimowoli chwyciła się krawędzi stołu...

Gdy przyszła do siebie, stał nad nią pochylony ojciec, a obok niego Karol z wyrazem przestrachu na twarzy.

— Co to Tirso?... Co ci się stało?... Czy jesteś słaba?...

http://rcin.org.pl

— Nie, nie. Tak mi się tylko mroczno zrobiło...
— Może napijesz się wody?
— Nie. dziękuję... Już przeszło.

NA HAR ZION.

Arjeh już czekał, gdy Tirsa gdzieś koło godziny czwartej z bijącem lekko sercem stanęła przed Szaar Zion.

Była już druga połowa lutego, a zima jeszcze nie ustępowała. Jak długo słońce świeciło, było ciepło, jak w lecie. Z chwilą jednak, gdy słońce poczynało zachodzić nad domami Bejt Hakerem, natychmiast twardy, przejmujący chłód przenikał poprzez ściany i skórę. Ulice i trotuary lepkie były od błota, a nogi, odwykłe od tego rodzaju przeszkód, ślizgały się jak po lodzie.

Stąd ten trud wspinania się w górę po drodze, prowadzącej na Har Zion i stąd to bicie serca... Choć może to ostatnie wywołane zostało oczekiwaniem tego, co jej Arjeh ma powiedzieć...

Idąc ciasną ulicą wzdłuż muru okalającego starą część Jerozolimy, spostrzegła Tirsa Arjego, siedzącego na kamieniach, ułożonych we formie ławki, wprost naprzeciw Bramy. Łokcie oparł na kolanach, a głowę schował w dłoniach. Na Tirsie wywarła jego skulona postać jakieś dziwne i niepokojące wrażenie. Nie nawykła do tego widoku. Zawsze w rzeczywistości i myśli widziała go prostym, jak cyprys, kroczącego zamaszystym krokiem z dumnie podniesioną głową. Smutek odbijał się u niego zazwyczaj w ciemniejszym błękicie jego oczu. Przestawały one wtedy świecić i miało się wrażenie, że są jak owe zgaszone lampy na ulicach

http://rcin.org.pl

miasta, gdy silna poświata księżyca prześwietla ich szklane klosze... Czyżby mu się przytrafiło jakieś nieszczęście?

— Szalom Arjeh!... Czy się bardzo spóźniłam?

— Szałom Tirso!... Przypuszczam, że nie. To ja wcześniej przyszedłem. Mam bowiem teraz dużo czasu. Jestem bezrobotnym...

— Jakto bezrobotnym?... Przecież dopiero wczoraj spotkałam cię w Biurze szoferów.

— Tak, to prawda. Właśnie się rozliczałem. Składałem pożegnalną wizytę.

— Nie rozumiem... Pożegnalną wizytę? Skądże tak nagle?

— Właśnie dlatego prosiłem cię, byśmy się tu spotkali. Chciałem ci to wytłómaczyć... Lecz cóż: siadamy, czy idziemy?

— Jeżeli nie masz nic przeciw temu, to siądźmy tu na tym kamieniu.

— Proszę... Otóż, widzisz Tirso... jakby ci to bez długich wstępów wytłómaczyć... Pamiętasz to burzliwe zebranie w gdudzie? Ja, który nie znoszę pustych frazesów, uniosłem się wtedy tak, że... No, mniejsza z tem... Grunt, że nie mogłem się więcej przypatrywać w spokoju temu, co się między naszymi ludźmi działo. Jakby na komendę szli wszyscy za tem, co wychodziło z Tel Josef. I do czego to prowadzi?... Rozumiem różnicę zdań. Ale zupełne odwracanie się od tego, w co się wierzyło?!...

— Wybacz Arjeh, ale jeżeli chcesz, bym zrozumiała, musisz jaśniej mówić. Przecież wiesz, że prawie wcale nie jestem wtajemniczoną w to, co się w gdudzie dzieje.

http://rcin.org.pl

— Tak, to prawda. Trzymają wszystko w wielkiej tajemnicy... Idjoci! Sądzą, że świat się nie dowie! Ale mniej więcej wiesz, o co chodzi... W gdudzie jest tak zwana lewica, która dąży do stworzenia w Palestynie czegoś podobnego do Sowdepji. Naturalnie, na małą skalę... Są to ludzie, którzy przyjechali z Rosji; a co najdziwniejsze, są między nimi galicyjscy i niemieccy studenci, którzy w pogoni za nowemi prawdami wylądowali w przystani komunizmu... Prowadzi ich Simcha, Simcha Opatowski...

— Opatowski?... Znam skądś to nazwisko... Czy to nie profesor z Tel-Awiwu?

— Nie! To brat jego. Zupełnie człowiek pomylony!... Doskonały jednak mowca i — jak się to mówi — warjat, co własną głową mury rozbijać gotów... I on to właśnie od kilku dni siedzi tu w gdudzie i przeciąga ludzi na swoją stronę... Rozbija gdud, a niczego w gruncie rzeczy nie dokaże... Starałem się to wytłómaczyć tym baranim głowom... Wiesz sama, widziałaś, że o mało co, a byliby mnie na tem zgromadzeniu zjedli, ponieważ powiedziałem im to, co myślę... A od czasu, jak przyjechał Simcha, to już nawet głosu mi udzielić nie chcą... Zresztą, zawsze na mnie się patrzyli, jak na błędną owcę, bo pozwalałem sobie wypowiadać odmienne zdania... O, sądzisz, że nie wiem!... Nie myślę tu naturalnie o tych wszystkich karjerowiczach, co to tak długo trzymają się kupy, jak długo im się zdaje, że w ten sposób dostaną się na wyższy szczebel w organizacji.

— A Uri? — pytała Tirsa, zdziwiona nie tyle odsłaniającą się nagle przed jej oczyma istotą zawikłanych problemów gdudu, ile rozgoryczonym tonem

http://rcin.org.pl

słów Arjego. — Przecież Uri był, o ile wiem, tego samego, co ty, zdania...

— Uri?... Przedewszystkiem mylisz się, jeżeli sądzisz, że on był tego samego zdania, co ja. Zresztą nie chodzi o to. Faktem jest, że Uri jest z charakteru porządny, ale słabeusz, kompromisowiec, polityk. Jemu się zdaje, że przez lawirowanie, przez sztuczne przedłużanie przesilenia, przez odraczanie decyzji uratuje gdud. Za nim też idzie większość nietylko w gdudzie, ale w całej organizacji robotniczej... Tak sprawy stoją obecnie. Ja nie umiem walczyć o słowa i na słowa... Więc odchodzę...

— Jakto odchodzisz? Dokąd?... Chyba nie wyjeżdżasz?

— Wyjeżdżać? Poco?... Gdud — to jeszcze nie Palestyna. Na razie występuję z gdudu. A potem — zobaczymy. Może Rutenberg rozpocznie swoją rzecz w Transjordanji... Zna mnie z dawniejszych czasów. Mogę się mu na coś przydać... A może wstąpię do Ejn Charod. Pisali mi, bym do nich przyjechał. Chociaż po prawdzie... Na razie wybieram się pieszo do Górnej Galileji. Chcę obejść te wszystkie nasze stare i nowe dziury, do których auta turystyczne nie zaglądają... Oto to, co ci chciałem powiedzieć.

Tirsa słuchała słów Arjego i czuła, jak ciężkie kamienie spadają na dno jej duszy. Miała wrażenie, że lada chwila, a zwisający nad otworem bramy wykusz rozleci się i spadnie na jej głowę. Patrzyła na czerwoną, rdzawą blachą kute drzwi sterczącej przed nią Bramy i zdało się jej, że poprzez ciemne wnętrze Bramy prowadzi droga do grobowca, w którym do wieczystego snu się układają własne, nieuświadomione jeszcze nadzieje... Więc to, to było to radosne szczęście,

http://rcin.org.pl

którego wyczekiwała od wczoraj... a może oddawna! Tak rychło kończyła się droga, mająca ją prowadzić na słoneczny szczyt życia?... Czy wszystko się przeciw niej sprzysięgło?... Czy to ma być pożegnanie? Nic już jej więcej nie powie? Czy chociaż czuje, jak w niej wszystko się łamie, kruszy i zapada? Jak z pod jej nóg usuwa się grunt, a ona zwisa w powietrzu?... Czy choćby zna tajemnicę jej serca?... A on, czy nic nie czuje?... Co będzie dalej?...

— Właśnie dlatego cię tu poprosiłem. Chciałem się z tobą pożegnać... Wiem Tirso wszystko... Rozumiem... Ale... No, mniejsza z tem... Nie chciałem pójść do was do domu. Domyślasz się dlaczego? Choć po prawdzie — może i źle zrobiłem. Przecież nie wyjeżdżam za granicę. Palestyna jest mała. Zobaczymy się może jeszcze... A zatem, szalom i dużo szczęścia...

Tirsa mechanicznie wyciągnęła rękę. Atoli w połowie drogi ręka jej zawisła w powietrzu, jakby zdrętwiała. Z poza wyskoku bowiem, wytworzonego przez mur, okalający klasztor armeński, ukazała się w tej chwili przysadkowa postać Karola.

Tem nagłem pojawieniem się Karola była Tirsa tak zaskoczona, że wszystko to, co przed chwilą odczuwała, zastygło, jak woda ścięta nagłym mrozem. Osoba Karola zakryła nagle, niby wielki cień, rzeczywistość z jej bolesnemi, nie przemyślanemi jeszcze następstwami, a wśród tego zaćmienia rozpierała się złowróżbna groźba obustronnego, przydługiego nieco milczenia.

Milczenie to przerwał pierwszy Karol. Uchylając kapelusza, przemówił ironicznym tonem:

— Przepraszam, jeżeli przeszkadzam, ale nie wiedziałem...

http://rcin.org.pl

— Mnie pan wcale nie przeszkadza — oświadczył krótko Arjeh. — Do widzenia zatem Tirso.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się Arjeh ku Bramie i znikł wkrótce w jej ciemnem wnętrzu.

— O, — zwrócił się Karol do stojącej bezradnie Tirsy — któż to jest ten przystojny, a źle wychowany młodzieniec, z którym sobie wyznaczyłaś randkę na tem wcale romantycznem miejscu? Z pewnością jeden z twych znajomych z gdudu?... A może to ten szofer, o którym łącznie z twą osobą wcale dużo słyszałem?... Niema co, opłaciło się przyjechać do Palestyny... Takich przystojnych szoferów we Wiedniu niema... Cóż, czemu milczysz?

Tirsa stała z opuszczonemi bezsilnie rękoma. Wzrok utkwiła w jednej ze szpar muru, w miejscu, w którem wyrastał krzaczek zielska i czuła jak wewnątrz niej dwie odrębne, nieskojarzone, trwają istoty. Jedna ta, która odbierała mechanicznie wrażenia, zastanawiała się nad piękną linją łuku, rysującego się na frontonie bramy i nad dziwnem zjawiskiem wyrastania rośliny z pośrodka kamiennej spoiny. A druga widziała się tu stojącą, opuszczoną, samotną, wydaną na pastwę słów zgryźliwych, wrzących od stłumionej złości, a wyrzucanych poprzez zaciśnięte zęby...

— Co począć, co począć? — myślała.

— Czemu milczysz? Czy nie masz mi nic do powiedzenia? Czy nie uważasz za stosowne się wytłómaczyć?... Więc sądzisz, że wszystko jest w porządku; że wolno ci poza plecyma twego narzeczonego zadawać się z pierwszym lepszym szoferem, spotkanym na ulicy?

Tirsa odczuła, jakby ktoś rozpalony pręt wetknął jej w serce.

http://rcin.org.pl

— Dość — rzuciła jakby kamieniem w stojącego przed nią Karola. — Dość! Nie chcę więcej nic słyszeć!...

— Naturalnie! To byłoby najprzyjemniej dla ciebie... Nie słyszeć, że ktoś żąda wytłómaczenia się...

— Nie mam się z czego tłómaczyć... A nawet, gdy bym miała, nie chcę!... Między nami skończone...

Wypowiedziawszy te słowa, miała Tirsa wrażenie, że wyszły one nie z jej ust, lecz że pochodzą od kogoś trzeciego, niewidzialnego, idącego z tyłu. Wsłuchiwała się w dźwięk tych obcych słów i widziała, jak układają się one w pewien rodzaj świetlnych napisów, szykują się w czarne szeregi kwadratowych, płonących trzcionek, lecących w przestrzeń po niewidzialnych drutach... Słowa te, w miarę, jak się oddalały, tem bardziej rosły i olbrzymiały, a treść ich stawała się Tirsie coraz bardziej zrozumiałą i bliską. W końcu dwa pierwsze wyrazy stopniały niby płatki śniegu w słońcu i pozostało jedno, wielkie, w sobie zamknięte słowo: s-k-o-ń-c-z-o-n-e. Świeciło ono na firmamencie krwawą plamą w pośrodku olbrzymiej łuny, aż oczy bolały od wpatrywania się w jego mieniące się, przekrwawione, ostre kontury...

— Co znaczy: „skończone“? — zapytał, przystanąwszy Karol.

— Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, jak tylko to jedno słowo... Od tej chwili między nami idzie wszystko w niepamięć! Nie jestem więcej twoją narzeczoną. Pozostajemy nadal tylko w stosunku kuzynowstwa. I nic więcej!...

Byli już obok stanowiska automobili, w pobliżu Bramy Jafskiej. Po prawej ręce wznosiły się ku ciemniejącemu niebu mury cytadeli, a po lewej, na tarasie

http://rcin.org.pl

arabskiej kawiarni, oświetlonej acetylenowemi lampami, siedzieli brzuchaci efendi z gumowemi szlauchami nardżili w opasłych gębach. Z głębi kawiarni dochodził chrapliwy głos gramafonu, wygrywającego sentymentalne pieśni arabskie.

Nagle Karol zastąpił Tirsie drogę i ująwszy ją za obie dłonie, zapytał:

— Czyś zwarjowała dziewczyno?... Czy wiesz, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

Tirsa omal nie krzyknęła z fizycznego bólu. Szarpnęła się całem ciałem wstecz, wyrywając swe ręce z zaciskających się palców Karola.

— Tak! Zdaję sobie zupełnie jasno sprawę z tego, co mówię i powtarzam ci jeszcze raz: między mną a tobą raz na zawsze się skończyło. Nieodwołalnie! Nie jestem, nie chcę być więcej twoją narzeczoną i nie masz do mnie żadnych praw... Proszę się do tego zastosować...

— O, za pozwoleniem!... Jesteś, moja droga kuzyneczko w błędzie, w zasadniczym błędzie... To tak łatwo się nie zrywa... Co trwało lata, nie kończy się tak... w jednej sekundzie, dlatego, że ktoś zawrócił ci głowę... Nie, nie! Na to i druga strona musi wyrazić swą zgodę... A ja się nie godzę!... Nie, nigdy i za żadną cenę!... Rozumiesz? Nigdy!... Nawet, gdybym miał to życiem przypłacić... Proszę się więc nad tem dobrze zastanowić... Czy słyszałaś Tirso?... Do widzenia zatem, do jutra...

— — — — — — — — — — — — —

Tirsa nie zdawała sobie sprawy, którędy i jak zaszła do domu, jak otworzyła kluczem drzwi mieszkania, skąd wzięła się w niej świadomość wyjęcia klucza

http://rcin.org.pl

z jednej strony i przekręcenia go z drugiej. Mechanicznie myślała o tem, że Leji już niema w domu, że należy klucz wyjąć, by ojciec wracając, mógł drzwi otworzyć.

Nie świecąc lampy, weszła do swego pokoju, ściągnęła kapę z łóżka, zdjęła ze siebie suknie i buciki i rzuciła się w łóżko, dygocąc na całem ciele, jakby przed zbliżającą się chorobą... Naciągnąwszy kołdrę ponad głowę, wcisnęła twarz w poduszkę i poczęła, kurcząc się od wewnętrznego bólu, wśród spazmatycznego szlochu, połykać lejące się w gardło łzy.

— Tylko nie myśleć — prosiła sama siebie — tylko nie myśleć!...

NA KARMELU.

Po skończonym obiedzie Tirsa wstała, skinąwszy głową w stronę siedzących po przeciwnej stronie stołu Dominikanów. Ułożywszy się następnie z ojcem, iż wróci za dwie godziny, wstąpiła do swego, klasztorną celę przypominającego pokoju, zdjęła z wieszadła kapelusz i wyszła poprzez mroczny korytarz na szeroki, słońcem zalany taras, a następnie wskróś ogrodu otaczającego klasztor na drogę, prowadzącą między białe wille. Wille te grzały się na słońcu, wychyliwszy swe dachy, jak jaszczurki głowy, z pośród zwartych wałów świętojańskiego chleba, mimozy, pinji i krępej kosodrzewiny.

Z głównej ulicy skręciła Tirsa w lasek drzew szpilkowych, wydzielających rozkoszny aromat. Znalazłszy się na swem ulubionem miejscu, usiadła na niskim, kamiennym murze, służącym za podporę dla obsuwa-

http://rcin.org.pl

jącej się na gościniec ziemi. Stąd roztaczał się rozległy, wszechstronny, a cudowny widok. Na prawo: żółtawa półelipsa hajfejskiej zatoki z białem obramieniem zapadającej się w brzeg fali, a w dali: syryjsko-palestyńska granica z białemi, przysłoniętemi mgłą domkami miasteczka Ras l'Nakura.

Morze lekko pomarszczone mieniło się zielonkowatemi smugami podwodnych prądów. Czasem, gdy wiatr zmieniał kierunek, a szczyty palm ugrupowanych wokół fabryki Szemen silniej się zakołysały, układały się zmarszczki na wodzie w głębokie bruzdy, jak gdyby ktoś niedawno przejechał pługiem po wierzchu tego szklistego ugoru.

Na wodzie leżały pasażerskie okręty, niby zabawki z kartonu, porzucone przez dzieci na niebieskim dywanie.

Hajfy nie było widać. Jej kamienne domy schowały się w szare zanadrze Karmelu... Dalej, na lewo, błyszczą w słońcu szyny toru kolejowego, a oko, szukające punktu oparcia, ślizga się het po gładkiej powierzchni morza aż do rozwalonego zamczyska wysuniętej w morze dawnej twierdzy Atlit.

Bliżej zaś, w pośrodku opadającego w przełęcz zielonego lasku, widać klasztor francuski, domy w budowie, oraz czerwony dach niemieckiego schroniska... Nad wszystkiem rozpostarła skrzydła cisza, niezakłócona zgiełkiem dalekiego miasta, niezamącona żadnym ludzkim głosem, głęboka, ukojna, błogosławiona cisza. Czasem jedynie w ciszę tę, niby kamień w szybę, uderza alarmowy ryk pędzącego wśród will auta, turkot powozu, załosne wołanie osła, przeciągły gwizd spieszącego gdzieś pociągu, a wreszcie dalekie, żałosne,

http://rcin.org.pl

przejmujące, do płaczu dzieci podobne nawoływanie szakali.

— O, jakże tu dobrze, chłodno, zacisznie!...

Tirsa zdjęła kapelusz, oparła głowę o chropowaty pień jodły, przymknęła oczy i wsłuchała się w modlitwę lasu.

— A więc jeszcze tylko dwa dni. Dwa dni jeszcze w tym hotelu-klasztorze, w którym ojciec wrócił do zdrowia, ona do równowagi... Dziś rano przyszedł telegram od Karola, że papiery ojca są załatwione... A więc nieodwołalnie postanowione... Ojciec nie wróci już do Jerozolimy, lecz już wprost... stąd... może jednym z tych białych, kołyszących się tam w dole okrętów... Nie byłoż więc dzieciń每stwem wciąż jeszcze oczekiwać cudu, odwrócenia się przeznaczenia, podniesienia się zapadającej klamki!...

Tak, to było nieuchronnem. Ojciec wracał za dwa dni do Wiednia, a ona pozostaje sama...

Co za dziwne echo słowo to budziło w duszy!...

Cel wyjazdu do Palestyny w połowie stracony... Ojciec wraca do Wiednia, gdzie niezawodnie po tem wszystkiem, co od Karola słyszała, popadnie w ręce przebiegłej trafikantki... Czy słusznie postępowała, puszczając ojca samego?... A czy istniała inna możliwość?... Wszak nie ulegało żadnej wątpliwości, że jadąc z ojcem, niczegoby we Wiedniu nie uratowała. Trafikantka bowiem zdołała pozyskać dla swych planów nietylko ciotkę, ale i Karola... Jakże ona sama mogłaby się przeciwstawić woli całej rodziny?...

Zwłaszcza w tym momencie finansowej katastrofy!... Wszak ojciec będzie musiał dołożyć wszelkich sił, by znów dojść do czegoś!... Kto wie, czy właśnie trafika Kupfermanowej nie będzie obecnie dla ojca je-

http://rcin.org.pl

dyną, materjalną ostoją... Z drugiej jednak strony możliwem również jest, iż wobec zubożenia ojca, trafikantka, straciwszy właściwą podnietę dla swych zabiegów, da za wygraną i odwróci się od ojca...

W każdym razie pewnem jest, że i *to* nie może stanowić dostatecznego powodu, przeważającego decyzję w kierunku powrotu..

A z innych względów?

Tak, nie ulegało wątpliwości, iż rozstanie się z ojcem, po raz pierwszy w życiu, już dziś przejmuje ją niewysłowionym bólem. Mimo, że nie zgadzał się na jej zerwanie z Karolem, ba nawet do dnia dzisiejszego nie przestał cichej żywić nadziei, że to tylko chwilowe nieporozumienie — to przecież on był jej najbliższym, jedynym, najdroższym... Od czasów, jak tylko pamięcią wstecz sięgnąć zdoła, widzi go w nieustannej trosce i ciągłem zabieganiu o jej dobro materjalne i jej zdrowie, gotowym do największych ofiar z własnych zapatrywań, upodobań i życzeń na jej rzecz i w myśl jej woli...

Choć po prawdzie, czyż niebyłoby dla niej lepiej, gdyby ojciec był wobec niej bardziej stanowczym i mniej ustępliwym. Byłaby dziś zapewne już żoną Karola i mieszkaliby we Wiedniu, gdzieś w pierwszym obwodzie, w luksusowo urządzonem mieszkaniu... jak królowa w ulu pełnym skrzętnych pszczół...

I kto wie, czy tak nie byłoby lepiej... gdyby się to wszystko stało wbrew jej woli, z rozkazu silniejszego człowieka! Możeby wtedy mniej cierpiała; możeby jej serce mniej trwożyło się o to, co przyjdzie. Może zrezygnowawszy z nieprawdopodobnych urojeń, nie stałaby całą swą istotą raz na słonecznych wyżynach, by za chwilę znów opaść na samo dno rozpaczy...

http://rcin.org.pl

Lepiej?... Co za naiwna myśl!... Szczęście to zawsze osiągnąć może. Jeszcze dziś mogłaby ku najwyższej radości ojca zmienić postanowienie i wrócić... Atoli tu nie chodzi o zmianę postanowienia!... Tu chodzi o sprzedanie się ciałem i duszą... Co za przesadne słowa!... Przesadne? Nie, nie! Niema w tem żadnej przesady. Wrócić — to znaczy, wyrzec się wszystkiego, co z takim trudem i z tylu ofiarami zdołała w przeciągu tego jednego roku zbudować w sobie... A przedewszystkiem znaczyłoby to: zatracić tę samodzielność i niezawisłość, którą sobie wywalczyła tak pod względem duchowym jak i materjalnym... Pozatem przywiązała się całem sercem do tego pięknego kraju i do tych pięknych ludzi, chodzących z koroną cierpienia na głowie i hartem bohaterów w duszy... Nie może sobie wogóle wyobrazić, jakby się dziś mogła znaleźć w kostjumie najnowszej mody, wśród zblazowanych, zawiścią i plotką ożywionych wiedeńskich znajomych, z ich małym, polotu i radości wyzbytym celem życia, któremu miano: sport, flirt i zmysłowe wyuzdanie...

O, nigdy! Siedzieć i liczyć godziny, dzielące rano od obiadu, a południe od wieczora?!... Nigdy!...

Nie wyobrażała sobie nadto, jakby mogła żyć, gdyby w krótkich przerwach nie widywała ukochanego morza, z jego wciąż zmiennem pięknem i zmienną pieszczotą, z jego nieuchwytną pieśnią o wieczności, mocy i głębi.

A potem... A może to było decydującem?... Nawet, więc cóż?... Tak przyznaje się, że to było decydującem... Nie, nie zgasły w niej wszystkie nadzieje... Gdzieś w utajonych zakamarkach wnętrza, na samym dnie duszy tliła się jeszcze iskierka, która może przy sprzyjających okolicznościach, któż to może wiedzieć,

http://rcin.org.pl

ogniem rozpali się szczęścia... Wszak tam, gdy na Har Zion żegnał się z nią w ten pamiętny dzień, wyraźnie słyszała: „nie na zawsze“... A co miały wtedy znaczyć jego słowa: „ja wiem o wszystkiem“... O czem? Czyżby miał na myśli jej uczucia ku niemu?...

O, jakżeż mozoliła się przez cały czas choroby ojca, gdy siedziała przy łóżku, a wiatr tłukł w kiepsko domykające się okiennice — o jakże wtedy natężała swój mózg, by odcyfrować tajemnicę tych słów!... Choć, cóżby jej z tego przyszło?... Gdyby nawet wiedział, że jej dusza poszukuje drogi do jego duszy, nawet, gdyby mu doniesiono, że jej serce dogorywa z miłosnej za nim tęsknoty, czyżby to co zmieniło w ich wzajemnym stosunku?!..

Zaraz; cóż to za argument nasuwał się jej stale w podobnych momentach wątpliwości?... A, prawda. Wszak żegnając się z nią, wiedział, że Karol jest jej narzeczonym i liczył się z tem. Czyż wobec tego mógł mówić wyraźniej?!... Tak, to prawda... Ale, czy z drugiej strony nie upłynęło już od zerwania z Karolem przeszło dwa miesiące? Czyż nie pisała o tem do Leji? Nie miałże czasu i sposobności dowiedzieć się o tem? Choć, któż mógł zaręczyć, iż Leja dzieliła się treścią jej listów z Arjem?

Nie, nie mogła tego zrobić!... Co za myśl!... Opuszczać ojca i robić wycieczki do Bet Alfy?!... Cóżby sobie ojciec pomyślał!... A może, gdy ojciec wyjedzie? Nie!... Narzucać się? Nie, nigdy!... Choćby nawet serce pęknąć miało z tęsknoty, nigdy tego nie zrobi!...

Jakże dobrze byłoby tu siedzieć razem na tym niskim murze i patrzeć w zupełnem milczeniu na ten świat tak rozkosznie piękny i wiernie milczenie przyjmujący!... Niczego więcej nie żądała, byleby go tylko

http://rcin.org.pl

widzieć i czuć blisko siebie... Jakże lekkomyślną była wtedy w swem niedocenianem szczęściu, gdy po całodziennej pracy szpitalnej, siedząc z nim razem na przedniem miejscu auta, pędzili w stronę Szchem tak szalonem tempem, że aż go prosić musiała, by jechał wolniej... Jakżeż lekkomyślną i rozrzutną zarazem była wtedy, nie doceniając bezpowrotnej rozkoszy!...

Pamięta, jak to razu pewnego nabawiła się porządnego strachu... Było to późnym już wieczorem. Wracali z jednego ze swych rzadkich spacerów, gdy nagle, w połowie serpentyny, koło sanatorjum w Mocy, motor odmówił posłuszeństwa. Ostrożnie stoczyli się do mostu. Tu począł Arjeh majstrować przy świetle kieszonkowej lampki elektrycznej. Trwało to długo. Sądziła, że wypadnie im pieszo wracać do miasta. Ojciec wprawdzie nigdy się nie wywiadywał, gdzie była, skąd wraca, lub co robiła. Atoli, gdyby tak późno nie było jej w domu, z pewnością byłby w największym stopniu zaniepokojony... Tymczasem Arjeh długo odkręcał i opukiwał, aż wreszcie poprosił ją, by potrzymała coś w rodzaju lejka, skręconego z papieru. Sam zaś wyciągnął z kieszeni swej skórzanej kurtki łokieć rurki gumowej. Jeden koniec zanurzył w zbiorniku z benzyną, drugi włożył do ust i zaciągnął się tak silnie, iż benzyna poczęła spływać do papierowego lejka. Zdobytą w ten sposób benzynę wlewał następnie do jakiegoś wentyla przy motorze, wypluwając przytem benzynę z ust i klnąc niezrozumiałemi dla niej wyrazami. Gdy mu zaś zwróciła uwagę na niebezpieczne następstwa pompowania benzyny ustami, roześmiał się swym rzadkim u niego, a tak kochanym śmiechem, tłomacząc jej, że benzyna nie ma wprawdzie smaku mleka, ale szlachetniejszym jest produktem, niż nafta. A prze-

http://rcin.org.pl

cież i chłopi piją naftę jako środek dezynfekujący żołądek, o czem ona, jako córka Hadassy, powinna chyba lepiej być poinformowaną od niego... Długo jeszcze potem widziała go z tym szlauchem gumowym w ustach.

— Cóż to, wciąż na jednem i temsamem siedzimy miejscu? Czy to się pani nie znudzi?

Było to stałe przywitanie, którem oznajmiał swą obecność jeden z właścicieli will. Był to krzepki staruszek, o czarnych, łagodnie świecących oczach, o krótko strzyżonej, siwej brodzie. Zawarłszy pewnego dnia przypadkową z Tirsą znajomość, zachodził w to ustronie na pogawędkę. Tirsa wiedziała o nim tylko tyle, że posiadał gdzieś w okolicy Tel-Awiwu pomarańczowe ogrody, któremi zawiadywał jego syn. On sam spędzał większą część roku na Karmelu.

— Jakże tam w waszym klasztorze? Czy przyjechali nowi Żydzi?

Tirsa uśmiechnęła się, ustępując staruszkowi miejsca na murze. Wiedziała, że staruszek znów swym ulubionym zwyczajem zacznie psioczyć na Żydów, przebywających nie w żydowskich pensjonatach, lecz w klasztorze niemieckich Sióstr.

— Rzeczywiście przyjechali?... I pani to tak mówi spokojnie, z uśmiechem?... Co za naród, co za naród!... Nigdy się nie nauczą poszanowania własnej godności... Podobno są tam teraz jacyś zakonnicy?

— Tak. Przyjechali przedwczoraj z Jerozolimy Dominikanie w białych habitach..

— No, no. Miej się pani na ostrożności, bo to z pewnością misjonarze. A zadanie mają łatwe, gdyż rybki same lecą do saka.

— Powiedziałam już panu, panie Schraga, że nie podzielam pańskiego zdania o konieczności izolowa-

http://rcin.org.pl

nia się drutem kolczastym od wyznawców innej wiary. A co do tych zakonników, to prawdę powiedziawszy, są mi sympatyczniejsi, niż niejedna z tych Żydówek, które siedzą razem z nami przy stole, a których dzieci są tak niewychowane, że się często...

— Pani wstydzi — kończył staruszek niedopowiedziane przez Tirsę zdanie. — Tak, tak. Znam ja to, znam. Wstydzimy się nie dlatego, że zachowanie dzieci jest nieodpowiednie, ale z obawy, że się to może właścicielkom klasztoru niespodobać... Prawda?

— Nie. Pan mnie nie rozumie... A co do tych misjonarzy, to rzeczywiście są bardzo sympatyczni. Jeden nawet mówi doskonale po hebrajsku.

— Rzeczywiście?... I to go w oczach pani rozgrzesza? Czyni sympatycznym?!... Jacy wy młodzi jesteście naiwni! Sądzicie, że jeżeli ktoś mówi po hebrajsku i zatrudnia robotnika żydowskiego, to już temsamem — charakter biały. Natomiast każdy inny, nawet gdy jest dobrym Żydem, to charakter czarny.

— Nie, panie Schraga... Ja przynajmniej nie osądzam ludzi z tego punktu widzenia.

— Pani może... nie. Ale pani przyjaciele!

— Jakto, pan zna moich przyjaciół?

— O tak, proszę pani. Palestyna jest mała i każdy wie, co u drugiego w garnku się gotuje... A co do pani, przyznaję się, miałem — żeby tak powiedzieć — specjalny w tem interes, by się o panią szczegółowo informować...

— Informować o mnie?

— Tak, tak... Bo widzi pani, ja mam syna kawalera... Więc myślałem sobie...

— Ach, dlatego... — roześmiała się, zarumieniwszy się Tirsa. — To dlatego pan tak często tu zachodził...

http://rcin.org.pl

O, nie przypuszczałam, że z pana taki podstępny człowiek. Trzeba się z panem mieć na baczności, bardziej niż... z tymi misjonarzami...

— No, jeszcze o tem kiedyś obszerniej pomówimy... A co do tych misjonarzy, to proszę się nie śmiać... Będzie temu pół roku, a poznałem przypadkowo takiego jegomościa... Przyjechał jako turysta z Niemiec i przedstawiał się za redaktora i wielkiego przyjaciela Żydów. Wciąż obcował z Żydami; jadł u nich i spał... Mówię pani, że i najlepszy sjonista nie pisałby gorliwszych pochwał na cześć naszą... Poza tem dowodził, że można być protestantem, a mimo to być Żydem narodowym!... Czy słyszała pani kiedyś coś podobnego?!... A i biblję, względnie talmud wciąż cytował... Mój syn żywił jednak do niego uprzedzenie. Prowadził więc z nim długie dyskusje, a chcąc wydobyć z niego prawdę, począł go namawiać — w żarcie — by jako ten wielki przyjaciel Żydów, przeszedł na judaizm... No, i co pani powiem: okazało się, że ten wielki nasz przyjaciel był wychrzczonym Żydem, gdzieś z okolic Poznania. Z nauczyciela religji żydowskiej przemienił się w... misjonarza.

— Więc cóż zrobiliście z nim?

— Zdaje się, że zwąchał na czas pismo nosem i zwiał... Tak, tak, panno Lampel. Takich przyjaciół nie brak nam na świecie. Tak nas tulą do swego chrześcijańskiego serca, że aż nam tchu brak. Ale nietylko nas...

— A więc innych również?

— A co pani myśli, że nienawiść Arabów do Żydów — to czyje to dzieło?... Ho, ho, ho! Buntują ich przeciw nam, by w ten sposób odwrócić ich uwagę

http://rcin.org.pl

od tego, jak ich szybko i skutecznie wynaradawiają, pozbawiając ich religji, stroju i obyczajów...

— A to stąd ta pańska wielka przyjaźń ku Arabom?!

— Co, znów mi pani wypomina, że wolę zatrudniać Araba niż Żyda? Znów się pani chce ze mną kłócić, he?... O, dzisiaj się nie dam złapać...

— Już niedługo będziemy się kłócili, panie Schraga...

— Jakto, niedługo?

— Pojutrze bowiem wyjeżdża mój ojciec, a ja wracam do Hadassy...

— O, co za szkoda!... Rzeczywiście?... Co za szkoda, co za szkoda! A ja właśnie pisałem do mego syna, by tu przyjechał... Co za pech!...

Tirsa odczuła w głosie staruszka tyle zawiedzionych nadziei, tyle szczerego żalu, iż nietylko uwierzyła w jego poważne zamiary w stosunku do niej i jego syna, ale uznała za konieczne pocieszyć staruszka:

— Co się odwlecze, to nie uciecze. Może przy innej sposobności będzie mi danem poznać pańskiego syna.

— Rzeczywiście, chciałaby pani?... Proszę się panno Lampel, nie obrazić. Choć może to z mej strony niestosowne, ale wobec tego, że już wyjeżdżacie i kto wie, kiedy się zobaczymy, bardzo panią proszę, by pani zechciała odwiedzić nas w Tel-Awiwie przy najbliższej okazji... Czy mogę o to prosić? Czy przyrzeka pani?... Bardzo pani, serdecznie pani dziękuję. Czekamy na panią... Z tego jednak nie wynika, by pani już uciekała.

— Już czwarta, panie Schraga... Podwieczorek..

— Czwarta? Z panią czas tak ucieka, jak z bicza strzelił... A cóż ojciec? Już zupełnie zdrów?

http://rcin.org.pl

— Lekarz powiada, iż przy zachowaniu odpowiedniej djety, może jechać.

— Szkoda, szkoda!... Lecz oni wszyscy tacy — ci nowi... Odrazu chcieliby całą Palestynę zdobywać. Ani za piastra cierpliwości... Ja przed dwudziestu laty przyjechałem tu prawie z niczem. A teraz... Co się za robiło, wkładało się w nowy dunamek gruntu... Trza iść powoli. Piędź za piędzią, krok za krokiem. A nie, kupować maszyny, budować na gwałt, rozszerzać i zakładać, aż później długi wszystko zjedzą i człowieka uduszą... Oni wszyscy tacy... ci nowi, te mądrale... I nie chcą nas wcale słuchać. Nas, cośmy tu zęby zjedli!... Szkoda, naprawdę szkoda, że ojciec pani odjeżdża... Porządny człowiek, a takich nam tu potrzeba... A zatem do widzenia, panno Lampel... Przyjdę do was wieczorem, by się pożegnać...

— Bardzo nam będzie miło, panie Schraga. Ojciec się bardzo ucieszy... Do widzenia.

Wracając okrężną drogą na tyłach świeżo w skalistym gruncie założonych ogrodów, znalazła się Tirsa wkrótce w klasztorze. Już na schodach poznała po stuku filiżanek, iż pensjonarjusze zasiedli do stołu, czyli, że się zjawia w samą porę.

Gdy stanęła na tarasie, z ławki umieszczonej obok kamiennej balustrady, dźwignęła się na jej przywitanie postać kobieca, w której Tirsa ku swemu radosnemu zdumieniu rozpoznała Leję.

— Lejo, ty tutaj?... Skąd, jak?...

— Czekam na ciebie, Tirso, dobrą godzinę — odpowiadała Leja, całując Tirsę w oba policzki. — Gdyby nie twój ojciec, który mię zapewniał, że niezawodnie przyjdziesz na podwieczorek, jużbym...

— Och, jakże się cieszę Lejo, że cię widzę... Jakżeż

http://rcin.org.pl

cię już długo nie widziałam... Przeszło dwa miesiące!... A w międzyczasie!... Ale ty wyglądasz! Czarna jesteś, jak jemenitka... Zeszczuplałaś... Opowiadaj, co słychać u was, myślę... u ciebie... Co tam porabia mój Szmulik?

— Przepraszam cię Tirso, ale ja nie mam niestety wiele czasu. Teraz jest wpół do piątej... Za pół godziny muszę lecieć na dół, gdzie nasz wóz czeka.

— Jakto, to wozem przyjechałaś z Bet-Alfy?

— Gdy tylko list twój otrzymałam, postanowiłam cię w Hajfie odwiedzić. Ale tak jakoś schodziło, że dopiero dziś — może siędziemy tu na ławce — dopiero dziś, właśnie w chwili waszego wyjazdu zdążyłam. A ja jechałam tutaj, by cię przemocą na parę bodaj dni uprowadzić. Szmulik taki zły na ciebie, że nie wymawia twego imienia, mówiąc stale „ona“.

— Ma rację, kochana Lejo... Rzeczywiście chciałam was odwiedzić. Powiedz jednak sama: czy mogłam zostawić ojca?... No, a po jego wyjeździe muszę wracać do Jerozolimy. Domagają się mego natychmiastowego powrotu... Cóż robić... Trzech tygodniowy urlop dostałam tylko dzięki życzliwości Krafta, no i dzięki tej okoliczności, że ojciec musiał mieć kogoś przy sobie.

— Cóż to właściwie za choroba ta żółtaczka?... Już niejedną chorobę widziałam, ale tej na szczęście...

— Ot choroba. Nie niebezpieczna, ale długotrwała.

— Z czego to przyszło?

— Zaniedbane zepsucie żołądka i zdenerwowanie.

— Słyszałam, słyszałam. Czy wszystko stracone?

— Tak i nie. Spólnik, Weinreb, uciekł autem przez granicę do Syrji, a ojciec został sam. Trzeba było pła-

http://rcin.org.pl

cić zaciągnięte na rozbudowę długi. Wreszcie po długich targach z wierzycielami pogodzono się. Teraz fabryka ma być wraz z urządzeniem sprzedaną.

— A co z mieszkaniem?... Już nie mieszkacie na Birkat Mamille?

— O, już dawno. Miesiąc może po twoim wyjeździe wyprowadziliśmy się. Ja mieszkam obecnie w uliczce, w której jest sklep mej modniarki. Pamiętasz?...

— Owszem, pamiętam doskonale. Schodzi się z Placu Rosyjskiego do Meja Szaarim... A jak się urządziłaś? Gdzie się stołujesz?...

— Różnie. Przeważnie w nowo otwartej kuchni jarskiej przy ul. Jafskiej. Prawdę powiedziawszy, jedzenie trochę gorsze, niż z twej kuchni... No, ale dość o mnie... Opowiadaj o sobie i o znajomych... Jak się zachowuje Szmulik? Pisałaś mi, że macie z nim kłopot?...

— Ot tak, pracuje się i żyje... Szmulik jest urwisz, co się zowie. Czasem rzeczywiście trudno z nim wytrzymać. Gdy jednak zbyt jest krnąbrny, wystarczy wspomnieć, że tobie poskarżymy, zaraz gałgan mięknie... Arjeh... pisałam ci, że wstąpił do nas, jako hospitant; pracuje, jak my wszyscy. Kazał cię pozdrowić. Roboty jest dużo. Zakładamy nowe winnice. Czasem chorujemy, czasem nie dojemy — jak kwuca na dorobku... Naogół jednak dobytek wzrasta... Rzeczywiście Tirso, najwyższy czas, byś przyjechała!

— Lejo! Czy mam cię jeszcze raz zapewnić, że z całej duszy chciałam to już dawno uczynić? Nawet na Pesach miałam już zamówione w aucie miejsce i chciałam być u was na sederże. Tymczasem choroba ojca pokrzyżowała plan.

http://rcin.org.pl

— A co z... — Tu Leja zacięła się i zarumieniwszy się, nie mogła dokończyć zdania.

— Myślisz, co z Karolem?... Pisałem ci przecież, że poszłam za twoją, kochana Lejo, radą i zerwałam. Jeżeli zaś chodzi o jego koleje, to on pracuje jako internista w szpitalu Bikur Cholim w Jerozolimie. Widujemy się, bo przecież jesteśmy kuzynami. Przypuszczam, że się już pogodził z losem... Gdybyś tak chciała u mnie, tu w klasztorze — naturalnie na mój koszt — pozostać przez noc, tobyś się z Karolem zobaczyła. Jutro przyjeżdża, by się z ojcem pożegnać. A i Muszka będzie... Możebyś więc została?...

— Ależ Tirso, o pozostaniu niema mowy!... A któżby wydzielił z magazynu?!... Nawet już muszę iść... A więc Tirso pamiętaj: jeżeli najdalej do miesiąca nie będziesz z wizytą w Bet Alfie, to nie chcę cię więcej znać. A Szmulika wyrzucimy i odeszlemy ci go do Jerozolimy. Pamiętaj!...

— Dobrze Lejo, dobrze... Zgoda... Pozdrów Szmulika i wszystkich. A pisz, co u was się dzieje... Naturalnie, ja też będę pisała... Czy znasz drogę do auta?

— Co za auto?!... Biegnę na piechtę krótszą drogą koło techniki... Pa... Tirso!...

— — — — — — — — — — — — —

Gdy łódka dopłynęła do okrętu, Tirsa, Muszka i Karol również znaleźli się na pokładzie.

Jak zwykle w takich wypadkach, słowo najbliższe nie pojawiało się wcale i stawało się najdalszem. Najpilniejsze i najistotniejsze sprawy cofały się za jakieś odrętwienie myśli. A myśl czepiała się błahych, podrzędnych wypadków, spraw i przedmiotów, tylko nie tego, co było w tej chwili najaktualniejszem i naj

http://rcin.org.pl

ważniejszem. Mówiono spokojnie i wyczerpująco o morzu, pogodzie, o flaszce wina na drogę, o konieczności wystrzegania się zaziębienia, o potrzebie przestrzegania djety, a pomijano milczeniem żywotne sprawy, będące w związku z bliskim odjazdem i dalszym, ich wzajemnym losem.

Dopiero, gdy poczęto na okręcie naglić gości do wysiadania, ojciec ujął Tirsę za rękę i podprowadziwszy ją w pobliże kabiny sternika, począł mówić zdławionym ze wzruszenia głosem:

— Kochana Tirso... Nie chciałbym w tej chwili... no tak, nie przypuszczałem, że to tak będzie trudno... Losy tak zrządziły... Zostajesz tu sama... Gdybyś kiedyś potrzebowała... rady, zwróć się do niego — myślę — do Karola. On mimo wszystko jest ci przecież najbliższym. A jeżelibyś się z czasem namyśliła, to... nie zostańcie tu, tylko przyjedźcie razem. W tej chwili, droga Tirso, zaklinam cię, rozważ dobrze, co czynisz... Nie, nie prosił mnie, bym z tobą mówił. Sądzę jednak, że jako ojciec mam obowiązek zwrócić ci uwagę... prosić cię... bardzo cię prosić, byś się nie upierała w postanowieniu, powziętem może zbyt pochopnie... Wiesz Teres, czem mi jesteś... Wszak nie mam nikogo prócz ciebie... A tam we Wiedniu nie zaznam spokoju, dopóki będę wiedział, że jesteś sama... A gdybyś się namyśliła i... zechciała wrócić, nawet sama... ucieszysz mnie więcej, niż... Lecz pocóż ci tłómaczyć, jaką radość sprawiłabyś swemu ojcu, gdybyś chciała wraz ze mną dawne rozpocząć życie... Myśl o tem... A teraz bądź zdrowa i uściskaj mię jeszcze raz... A, jeszcze słowo... Karol ma w przechowaniu sześćdziesiąt funtów. Gdybyś potrzebowała pieniędzy, możesz w każdej chwili zażądać od Karola...

http://rcin.org.pl

Tirsa ucałowała ojca rękę, a trzymając się poręczy spuszczonego pomostu, schodziła wolno do łódki, w której czekali już na nią Karol i Muszka. Nie czuła się — rzecz dziwna — wcale tak silnie wzruszoną, jak się tego przed pożegnaniem ze względu na ojca obawiała. Ani jednej łzy dotychczas nie uroniła, w przeciwieństwie do Muszki, której chusteczka mokrą już była od cichego płaczu... Serce jej okryło się — czuła to — powłoką lodu, a męczyło ją jedynie pewnego rodzaju dławienie, jakby po spożyciu zbyt wielkiej ilości gruszek...

Siedziała w płynącej do brzegu łódce i nie spuszczała oka z okrętu i z ojca, wymachującego w jej stronę dżokejką. Nie mogła się obronić wrażeniu, że ten człowiek, żegnający ją z wysokiego pokładu, to ktoś obcy, a ojca spotka niezadownie w Jerozolimie, w dawnem mieszkaniu na Birkat Mamille, siedzącego przy stole z gazetą w ręku... Gdy zaś uprzytomniła sobie rzeczywisty stan rzeczy, dreszcz ją przeszedł... Napróżno starała sobie uzmysłowić swe przyszłe życie bez ojca. Nawet na najbliższą metę nie była w stanie przedstawić sobie, jak się ułożą jej stosunki towarzyskie, jej osobiste sprawy i realne, choć drobiazgowe zagadnienia jej codziennego bytu... Najbardziej zaś dokuczała jej świadomość, iż w tej chwili nietylko nie odczuwa bólu pożegnania, ale że ponad wszystkiem unosi się myśl o... tamtej, na ojca czekającej kobiecie, o jej trjumfie i o własnej równocześnie klęsce... Nie byłoż to niskie i małostkowe, nie godne ani tej poważnej chwili, ani też własnego charakteru?!... Tak, tak. Myśl o tej intrygantce przesłaniała o wiele ważniejsze sprawy, które — rzecz dziwna, teraz sobie dopiero przypominała — postanowiła przy pożegnaniu poruszyć

http://rcin.org.pl

A więc wbrew postanowieniu — nie zdążyła prosić ojca o przebaczenie, iż go do Palestyny sprowadziła i o utratę majątku przyprawiła... Nawet na jedno bodaj serdeczniejsze, cieplejsze słowo nie zdobyła się dla tego człowieka, który swe przywiązanie do niej opłacił takiemi ofiarami i tylu cierpieniami!... A nuż widziała ojca po raz ostatni w swem życiu?!...

Nie, nie myśleć o tem!...

Stanąwszy na brzegu, jeszcze raz rzuciła Tirsa okiem na zacierające się sylwetki ludzi na okręcie. Z boku wielkiego, powoli poruszającego się, białego kadłuba okrętowego wylewała się struga wody, a z tyłu rozpryskiwała się biała piana, wyrzucana w górę gwałtownemi obrotami okrętowej śruby. Obróciwszy się bokiem, zakołysał się okręt kominami i począł posuwać się wolno, niby wielki ptak, zanurzony do połowy we wodzie. Wodząc oczyma po lśniącej bruździe, którą okręt za sobą pozostawiał, poczuła Tirsa, iż dwie wielkie łzy spływały jej po policzkach...

— No, chodźmy — zadecydował Karol.

— Chodźmy — wyraziła swą zgodę Muszka.

ROZWAŻANIA.

Tirsa zarzuciła szlafrok, zaścieliła łóżko, posprzątała pokój, umyła się i uczesała. Wyjąwszy z podręcznej, siatką zaopatrzonej spiżarki, resztki wczorajszej kolacji: chleb, masło i hałwę, wypiła szklankę nastawionej uprzednio herbaty, nie tykając jedzenia. Przysunąwszy następnie mały stolik pod okno, ułożyła na nim papier listowy i postanowiła pisać do ojca.

http://rcin.org.pl

Ledwo jednak zasiadła do pisania, żywiony od kilku dni zamiar rozwiał się wśród innych, nagłych i pilniejszych myśli... Z pośród wszystkich, podnoszących swe głowy niby fale na wzburzonem morzu, wysuwała się na front jedna, najpilniejsza: co będzie dalej?... Jak się ułoży jej służbowy stosunek do Kapłana po tej awanturze? Czy będzie mogła z nim współpracować?... Co za niefortunny, a dla niej przykry w skutkach pomysł Karola!... Poco on się wogóle wmieszał w tę sprawę? Co go to obchodzi?... O, usłyszy on dziś od niej, usłyszy!... W gruncie bowiem rzeczy, gdyby nie ten zwarjowany czyn Karola, byłoby może wszystko przeszło w spokoju. Kapłan z pewnością po ostatniej „lekcji" zachowałby się poprawnie...

Czego właściwie chciał ten ohydny człowiek?!... Jak długo nazywało się, że Karol jest jej narzeczonym — poza dwuznacznemi słówkami i zbytecznym, przydługim uściskiem rąk — miała względny spokój, nawet wtedy, gdy po przeniesieniu jej na oddział chorób wewnętrznych, wypadło jej stale być w pobliżu Kapłana. Ale gdy się tylko dowiedział o zerwaniu z Karolem, nie mogła się wprost opędzić jego miłosnym zapędom...

Tak, to nie ulegało wątpliwości. W tem wszystkiem przejawiała się robota Racheli Kaspi. Czyż nie Kaspi zażądała od Krafta, by ją przeniesiono na oddział Kapłana, rzekomo dlatego, że na oddziale chorób wewnętrznych potrzebną jest energiczna siostra?!

Jednej rzeczy nie mogła dociec... Skąd się wziął Kraft w pobliżu pokoju dyżurnego właśnie w chwili, gdy Kapłan, jak dziki zwierz rzucił się na nią, chcąc ją obalić na kanapę... Już tydzień — tak, dziś siedem dni temu — minął od tego przykrego zdarzenia, a ona

http://rcin.org.pl

nie mogła wyrozumieć, czy był to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, czy może i... w tem tkwiła ręka Recheli Kaspi... Co za okropna kobieta!... Kiedyż ta zazdrosna intrygantka wreszcie uwierzy, iż sympatje Krafta dla niej, jako pielęgniarki, mają za źródło uczucie czyste, ojcowskie, przyjacielskie... Tak, wykluczonem to nie jest, że Kaspi zręcznie zainscenizowała całą tę historję... Wszak Kaspi wiedziała, iż Kapłan prześladuje ją swą miłością. Kaspi zna jego nieokiełzany temperament. Mogła więc liczyć na to, iż Kraft, pochwyciwszy ją z Kapłanem na „niemoralnym“ uczynku, nietylko raz na zawsze wyleczy się z rzekomej miłości, ale bezwzględnie wyrzuci ją ze szpitala... Choć z drugiej strony, czyż Kaspi mogła przeczuwać, że właśnie tego wieczora, w tym momencie, da się Kapłan unieść swemu temperamentowi?...

Co za szalony człowiek!... Furjat, nie liczący się z niczem. Nie liczący się ze smutnemi następstwami tego wydarzenia dla swej karjery!... Rzecz dziwna — w tej chwili dopiero sobie tu uświadomiała — iż właśnie wzgląd na karjerę Kapłana jako lekarza, głównym był powodem, iż do ostatniej chwili, gdy już pod naporem walącego się na nią Kapłana tchu jej brakło i mrok począł jej oczy przysłaniać, iż w najkrytyczniejszym momencie szamotania się, nie krzyczała, lecz się broniła... Co za lekkomyślność z jej strony!... A gdyby tak wtedy do pokoju wszedł kto inny, a nie Kraft?! Nie byłbyż tłómaczył sobie całej awantury po myśli Racheli Kaspi?!... Tak. I w tem była niezawodnie jej ręka. Czyż nie spotkała jej w pobliżu drzwi dyżurnego pokoju, gdy wzburzona, pozostawiwszy Krafta z Kapłanem wśród poprzewracanych krzeseł, wybiegła na korytarz.

http://rcin.org.pl

A może to wszystko, to tylko obrazy pracującej chorobliwie fantazji? Zwidzenia, przypuszczenia bez logicznej podstawy, urojenia, pozbawione sensu i istotnej treści?!... Czyż nie miała wrażenia, że zachowanie się chorego Nr. 5 było następstwem jakiejś zmowy, jakiegoś buntu od zewnątrz, jakiejś intrygi!... W gruncie zaś rzeczy było ono jedynie wypływem bezczelności człowieka, rozzuchwalonego użyczaną mu pomocą. Bo inaczej, dlaczegóż inni chorzy zachowywali się wobec niej przez cały czas pracy z największem poszanowaniem i posłuszeństwem? Tylko on jeden, tylko ten Bromberg...

Co za djabeł siedział w tym człowieku! Ileż to już nieprzyjemności doznała przez niego! Próbowała dobrocią i surowością. Wszystko na nic się nie zdało. I jakgdyby wiedział, że Rachela Kaspi to jej wróg. Zawsze przed Kaspi się skarżył na rzekome, niesprawiedliwe traktowanie go... Już niejednokrotnie zastanawiała się nad tem, czy w zachowaniu się jej wobec chorego nie stosuje fałszywych metod. Nie odnajdywała jednak niczego. I w tym wypadku nie czuła się winną. Wszak stale, gdy o godzinie wpół do ósmej rano rozdzielała śniadanie, stale Bromberg udawał śpiącego. Gdy go zaś budziła, nie chciał wstawać... O godzinie dziewiątej, gdy wszyscy chorzy na sali już zjedli i resztki jedzenia już wyniesiono, on natarczywie domagał się swej porcji... Gdy zajętą była prześcielaniem łóżek, Bromberg żądał kąpieli. To znów chodził po innych salach, krzyczał z powodu rzekomych reumatycznych bólów i opowiadał o tem, jakto w Hadassie pielęgniarki flirtują z przystojnymi, młodymi pacjentami, zamiast się zajmować wszystkimi chorymi... A czy ten jego reumatyzm nie był symulo-

http://rcin.org.pl

wanym?! Wszak dopiero wczoraj rano, gdy mu o godzinie dziewiątej odmówiła śniadania, wyskoczył z łóżka i goniąc po sali, krzyczał: „A co ty sobie myślisz, że my tu dla ciebie leżymy?... O, nie! Ty winnaś robić, co my ci każemy!“... Zdaje się, wiedział, iż Tirsa nie pójdzie ze skargą ani do Kaspi, ani do Kapłana... Na tem też opierał swą dufność i dokuczliwość...

Ach, co! Głupstwo... Bromberg, nie-Bromberg. Wiecznie na oddziale leżał nie będzie. Czy zechce, czy nie, musi prędzej, czy później szpital opuścić. Nie pomoże mu ani jego talent symulanta, ani też protekcja pani Racheli... Gorzej z Kapłanem!...

No, ale trzeba pisać... Już dwa tygodnie nie pisała do ojca, a jutro czwartek, dzień odejścia poczty... Będzie zaniepokojony i gotów znów przysłać z upomnieniem Karola...

Tirsa zamaczała pióro w atramencie, lecz ręka z piórem znów bezwładnie opadła na stół. Odłożywszy pióro, ujęła Tirsa głowę w obie dłonie i zapatrzyła się w wiązankę palestyńskich nieśmiertelników, tkwiących w szklanym dzbanuszku... Jakże dziwnie nazywały się te kwiaty po hebrajsku!... „*Al mawet... al mawet*“... Dziwna nazwa i dziwne kwiaty... Jakkolwiek w dzbanku nie było wody, a łodyżki pozbawione pokarmu już dawno zeschły, przecież kwiat trwał tygodniami w zachwycającej świeżości swych niebieskawych ocząt... *Al mawet, al mawet* — śmierć przezwyciężający. Jakżeż to pocieszająco, kojąco brzmi...

Naturalnie, że jest podobieństwo między tym kwiatem, biorącym swój pokarm, jak gdyby z powietrza, a nią, żyjącą zdala od środowiska, wśród którego wyrosła i wychowała się. I ją niejako wstawiono w ten

http://rcin.org.pl

sztuczny dzban, do którego nie nalewano wody i kazano żyć, rozkwitać i sycić swem pięknem obce oczy... I pocóż jej to piękno? I cóż jej z tego przyjdzie, że nietylko na ulicy oglądają się za nią mężczyźni i kobiety, że co miesiąc ktoś inny nieszczęśliwą płonął do niej miłością, że co chwila kto inny z pośród pacjentów posyłał jej kwiaty, szukając oczyma przyzwolenia na flirt i swawolę... Nie byłoby jej lżej w życiu, gdyby była mniej piękną, tak, jak na ten przykład Pnina, lub ruda Sonja!... Z pewnością nie przyszłoby do awantur, a i Karol dałby wreszcie za wygraną...

Na co on właściwie jeszcze czeka? Kiedyż wreszcie zrozumie, że nad przepaścią, którą jednoroczny przeszło pobyt w Palestynie wykopał między niemi, że nad tą przepaścią nie prowadzi żaden pomost... Dlaczego nie wraca on raczej do Wiednia, marnując się w tym podrzędnym, z jałmużny utrzymującym się szpitaliku?... Czyżby nie dość wyraźnie dała mu dotychczas do poznania, iż do jej serca niema dlań powrotnej drogi!... Nie mogła w żaden sposób zrozumieć, jak Karol, człowiek trzeźwo myślący, nie wyczuwał, iż wypoliczkowanie Kapłana i łącząca się z tem awantura, utrudnią jej pracę w szpitalu. A... może to ze strony Karola świadome pociągnięcie strategiczne?... Izolować ją od ludzi i pracy, by zpowrotem wpadła w jego sieci...

Niesprawiedliwe, Karola krzywdzące podejrzenie? Więc czemuż krążył wciąż koło niej, jak złowróżbny nietoperz?

O, tak. Gdyby była mniej piękną, mniej cierpiałaby w swem dotychczasowem życiu... Biedny Dubiński! Leży już tam, w ukochanej przez niego ziemi... jeszcze bardziej samotny, niż za życia... Nawet na po-

http://rcin.org.pl

grzebie nie była... Czyż i jego serce nie spaliło się zbyt prędko na skutek nieszczęśliwej miłości?!... Tak, niema uczucia bardziej szlachetnego i czystego, niż nieszczęśliwa miłość...

Lecz cóż z tego za pożytek, że uczucie jest czyste i szlachetne, jeżeli od jego śmiercionośnych promieni umrzeć można?... Śmieszne! Nieszczęśliwa miłość dobrą jest dla takich ludzi, jak ona: Dla ludzi, lubujących się w sytuacjach nieszczęśliwych, by mogli sami nad sobą się litować, sami nad sobą popłakiwać. I ona należy do tych, co lubią chodzić z opuszczonemi rękoma, zamiast zdobywać przemocą... Przemocą? Czyż miłość można zdobywać przemocą? Czyż nie widzi po sobie i Karolu, że rzecz ma się wręcz przeciwnie? Im bardziej jedna strona nalega, pożąda i o osiągnięciu swego celu myśli, tem bardziej druga strona się oddala, odwraca, ucieka...

Gdzież to było?... Tak na wycieczce do Ejn Fary. Mówiono o nieszczęśliwej miłości z okazji nieudałego samobójstwa jakiejś dziewczyny z gdudu. Wszyscy naśmiewali się z biedaczki, gdyż z wielkiej rozpaczy, spowodowanej opuszczeniem jej przez bachura, chciała się otruć mydlinami... Wtedy to Arjeh porównał nieszczęśliwą miłość do pękniętego szlaucha automobilowego, który się na gwałt chce napełnić powietrzem. Im więcej się pompuje, tem marniejszy rezultat...

A czy z nią nie było tak samo? Jak długo uczucie trwało w niej nieuświadomione, tak długo widywała Arjego, rozmawiała z nim i była przynajmniej fizycznie mu bliską. Zaledwie jednak uświadomiła sobie, co w niej się przemienia i rozwija, co źródłem jest budzących się na dnie jej duszy tęsknot, nadziei

http://rcin.org.pl

i zmiennych nastrojów, już go straciła... Dlaczego „straciła“? Wszak tylko od niej zależało nawiązanie dawnych nici. Dlaczegóż nie wyjechać z całą świadomością tego kroku, do Bet Alfy?... Na co czeka? Czy zawsze z zewnątrz przychodzić mają decyzje, stanowiące o jej szczęściu lub nieszczęściu? Dlaczegóż od przypadku, a nie od własnej woli uzależniać ma swe postanowienie? Dlaczegóż niema postąpić stanowczo, tak, jak swego czasu z objęciem posady w szpitalu?...

Właśnie dlatego... Wszak tu w szpitalu jej sytuacja staje się z każdym dniem trudniejszą. Po tem wszystkiem, co zaszło między nią, a Kapłanem i po aferze z Karolem, albo Kapłan musi ze szpitala wystąpić, albo też ona się usunie... O, znów gotowa do ofiary!... Dlaczegóż ona ma się usuwać? Czy znów w myśl tej zasady: stale ustępować innym z drogi?!...

Ach, te myśli, te myśli...

— — — — — — — — — — — — —

Lubiała chodzić do tej restauracji, która nosiła dźwięczną, piękną, hebrajską nazwę: „Cymchonja“... Jakie obrazowo dobrane słowo! Wymawiając je, czuło się mimowoli, jak coś rośnie i się rozwija. Jak gdyby przyłożyło się ucho do trawą okrytej ziemi i słyszało, jak pod chłodną jej skorupą coś pęka i ku światłu się dobywa...

O, tak mile siedziało się tu, w tym cienistym kącie, utworzonym przez grube mury, wydzielające przyjemny chłód na rozpaloną od gorąca skórę... Był to jej kąt. Gdy przypadkowo się spaźniała i kąt był zajęty, jedzenie jej nie smakowało. Miała wtedy wrażenie, że siedzi w obszernej, szpitalnej jadalni i z goryczą połyka zeschnięty chleb, o którym ruda Sonja twier-

http://rcin.org.pl

działa, iż rozmyślnie podają go w nieświeżym stanie, by siostry w zbyt wielkich nie konsumowały go ilościach...

Dziś kąt był wolny. Usiadła więc przy stoliku, zasłanym białą, wyświechtaną ceratą. Na ceracie widoczne były odciski talerzy oraz żółte plamy po papierosach. Za ladą, obciążoną różnego rodzaju sałatami, bułkami i ciastkami, stały, jak zawsze, dwie tłuste członkinie „Kooperatywy“. Ich spocone twarze błyszczały, jak tłuste rosoły. Z pod lady wyzierały niewymiecione odpadki chleba i jarzyn, brudne ścierki, gazety i szczotki.

A choć Cymchonja nie grzeszyła czystością i w niczem zaiste nie przypominała kawiarni „Unter den Arkaden“, to przecież Tirsa z przyjemnością tu zachodziła. Po pierwsze jedzenie było tu prawie za darmo. Trudno było poprostu uwierzyć... Za dwa i pół piastra — ćwiartka chleba, talerz gęstej zupy, smażone zrazy jarzynowe i ów rosyjski „Kisjel“, sporządzony z owoców kaktusa, czerwony jak barszcz buraczany, a smaczny, jak winna polewka. A powtóre — ciągło ją tu towarzystwo. Uczęszczali tu bowiem przeważnie ludzie, z których większość — Tirsa poznawała to po ich zaniedbanym wyglądzie — staczała się szybko po równi pochyłej ku... biedzie. Za dużo jeszcze mieli ambicji i przesądów, by jadać za piastra w kuchni ludowej, a za mało już pieniędzy, by pójść do obywatelskiej restauracji.

Zdeklarowanych zwolenników jarskiej kuchni było tu właściwie mało. Chyba ten... sympatyczny, starszy nauczyciel, który stale starał się ją skaptować dla swej „wypróbowanej“ metody utrzymania się w czerstwości: długie spacery, gimnastyka i unikanie

http://rcin.org.pl

wzruszeń... Tych nielicznych nieprzyjaciół mięsa poznawała Tirsa odrazu po specyficznym sposobie zachowania się. Siedzieli, jakgdyby zasłuchani w siebie. W oczach zaś mieli lęk, a w ruchach ostrożność, ociąganie się, dziewczęcą wprost wstydliwość. Większość jednak bywalców Cymchonji stanowili bankrutujący kupcy, szyjące po prywatnych domach dziewczęta, bezrobotni mężowie kobiet, pracujących po obcych domach, literaci — cała ta lotna armja świeżych imigrantów, których losy osadziły na mieliźnie miasta.

Tirsa zjadła zupę i zastanawiała się nad doborem następnego dania, gdy do jej stolika przystąpiła Pnina.

— Nareszcie cię znalazłam — wykrztusiła, siadając na wolnem krześle naprzeciw Tirsy, zdziwionej tem niespodziewanem pojawieniem się koleżanki na tem miejscu i o tej porze. — Byłam u ciebie w domu, a nie zastawszy cię, pomyślałam sobie, że cię tu odszukam.

— Czy stało się coś w szpitalu? — zapytała zaniepokojona Tirsa.

— Nie... to znaczy: nic szczególnego. Ale ja również mam dziś dzień wolny od pracy, więc chciałam cię odwiedzić. A prócz tego byłam dziś rano w kancelarji po pocztę, no i dowiedziałam się — zgadnij!...

— ? ? ?

— Że Kapłan podał się do dymisji!...

— Co ty nie mówisz! Czy rzeczywiście?..

— Tak. Stanowczo. Powiedział mi to sekretarz, który osobiście chodził z podaniem do dyrekcji. Podobno myśl dobrowolnego zrzeczenia się posady pod-

http://rcin.org.pl

sunięto mu z dyrekcji. A więc cóż Tirso, czy cieszysz się?

— Cieszyć?... Jakże mogę się cieszyć, jeżeli człowiek ten przeze mnie traci posadę...

— No, wiesz Tirso, ty jesteś zabawna! Jak można litować się nad człowiekiem, który się wobec ciebie tak ordynarnie zachował. A to, że dostał po gębie, czy to nic nie znaczy?... Ja bo się bardzo cieszę, że — nie dlatego że oberwał, co zresztą słusznie mu się należało, ale dlatego, że odchodzi. Taki bezwstydny spodniczkarz... Gdyby tak jeszcze ten drągal Kaspi chciała się z nami pożegnać, byłby istny raj w szpitalu.

— Cóż on teraz pocznie?

— Kto, Kapłan?... O, z pewnością z głodu nie zginie. Na reklamie mu nie braknie. Będzie prywatnie praktykował... Ale jeszcze jedna nowina: Mówiła mi Józka Reiner, że miała w nocy awanturę z tym reumatykiem z twojej sali. Chodził w nocy po sali, nie pozwalając spać innym chorym. Gdy mu zwróciła uwagę, że czas spać, począł ją wyzywać. Wtem nadszedł „stary“, a dowiedziawszy się, o co chodzi, kazał mu się wynosić... i reumatyk już popołudniu ma być wypisanym.

Tirsa z wielkiego zdumienia zapomniała o stygnącej na talerzu marchewce. Tymczasem Pnina, pozbywszy się ciążących jej nowin, pożegnała Tirsę, spiesząc na obiad do szpitala. Po odejściu Pniny, Tirsa w dalszym ciągu myślała o tem, jakto niespodzianie i prędko ważne i przed chwilą jakby nierozwiązalne problemy same się usuwały z drogi... Usuwały się?... Wszak dopiero teraz, po odejściu Kapłana, będą wszyscy, tak zawistne siostry, jak i urzędnicy, wytykać jej, że przez nią Kapłan stracił posadę... A to, że ten symulant

http://rcin.org.pl

wreszcie znajdzie się dzięki przypadkowi poza szpitalem, czyż tego nie będzie Rachela Kaspi przypisywała jej wpływowi na Krafta?... Nie, nie mogła do tego dopuścić, by Kapłan odszedł! Musi pomówić z Kraftem...

Nie kończąc obiadu, zerwała się Tirsa z poza stołu, a zapłaciwszy, poczęła szybkim krokiem zdążać w kierunku szpitala. W połowie jednak drogi przypomniała sobie, że przecież dała znać Karolowi, iż będzie nań czekała przed Cymchonją o godzinie pierwszej. Wróciła więc i już zdaleka zauważyła Karola, oczekującego ją przed restauracją.

Stał wsparty na swej nieodstępnej, grubej lasce, ze zwieszoną nieco głową, zapatrzony w rynsztok. Gdy się doń zbliżyła, podniósł głowę, a Tirsa — nie bez pewnego przykrego uczucia — stwierdziła, że Karol jakby się postarzał przez te dwa, czy trzy tygodnie, podczas których go nie widziała... Z kwadratowej twarzy jeszcze bardziej wystawały kości policzkowe, a wąs nie był już tak starannie przycięty, jak dawniej. Pojedyncze włosy opuszczały się między wargi, zakrywając po części ich nieproporcjonalną grubość. Krawat, krzywo zawiązany, wykazywał widoczne ślady zużycia, a na szarym surducie znać było ciemne, okrągłe plamy...

— Czemu zawdzięczam ten wyjątkowy zaszczyt? — pytał bez żadnego wstępu swym głuchym, jakby z próżni wychodzącym głosem. — Czy zamówiłaś mnie interesownie? A może przyszłaś, by ująć się za twym przyjacielem, Kapłanem.

Tirsa, znalazłszy się bezpośrednio przy Karolu, straciła tę odwagę, z którą zapraszała Karola na spotkanie. Jak zawsze, tak i teraz czuła się w jego towa-

http://rcin.org.pl

rzystwie małą i słabą, pozbawioną własnej woli i własnego zdania. Sarkazm jednak słów Karola obudził w niej bunt i przywołał w pamięci powzięte postanowienie.

— Prosiłam cię, by ci powiedzieć...

— Czy to, co masz mi powiedzieć, czy tego nie mogłaś mi powiedzieć u siebie w mieszkaniu, tylko tu, na ulicy... tak, jak posłańcowi?!

— Może masz rację — przyznawała Tirsa, znów zbita z tropu. — Przepraszam cię za ten nietakt... Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Chodzi mi o to, że już niejednokrotnie prosiłam cię, byś się moją osobą przestał zajmować. Nie życzę sobie tego. Czy nie możesz tego zrozumieć?!

— Owszem, ja to bardzo dobrze rozumiem, lecz ku memu najwyższemu ubolewaniu nie mogę twemu życzeniu zadość uczynić i — proszę to przyjąć do łaskawej wiadomości — życzenia tego w przyszłości również nie spełnię.

— Słuchaj, Karolu. Przecież nie jesteśmy sobie obcy, więc...

— O, bardzo ci jestem zobowiązany za to stwierdzenie.

— Jako twoja kuzynka, Karolu, błagam cię, przestań mnie swą opieką prześladować.

— Prześladować?... Nie rozumiem cię, Tirso. Czy prześladowaniem nazywasz ten ostatni incydent z Kapłanem? Czy uważasz, że miałem spokojnie przyjąć do wiadomości owe niepochlebne wersje, krążące w kołach lekarzy o tobie, o... mojej kuzynce? Wybacz, ale ja mam inne pojęcia o tem, co można połknąć, a co należy wypluć.

— Słuchaj, Karolu. Nie wiem, kiedy znów się

http://rcin.org.pl

spotkamy. A pozatem winnam ci się wytłómaczyć choćby z tego powodu, że choć niepotrzebnie, to przecież poważnie zaangażowałeś się w tej sprawie...

— Nic nie jesteś mi winna...

— Ja jednak uważam, że muszę się wytłómaczyć. Otóż nie wiem, jakie krążą wersje o mnie, ale faktem jest, że nie ponoszę żadnej winy...

— Jakto, nie ponosisz winy?! Więc pocóż siedzisz w tym szpitalu? Czy ci ojciec nie pisał, byś wróciła?... Co za cel ma to zamęczanie się?... Czy nie tłómaczyłem ci już tysiąc razy, że zmarnujesz się tu w tej Palestynie — podobnie, jak inni?!

— Proszę cię, nie poruszaj tej sprawy... Czy się zmarnuję, czy nie — to moja rzecz... Do ojca, do Wiednia wrócić teraz, gdy się ożenił z tą... za żadne skarby! Raczej śmierć, niż to.

— Ależ Tirso! Poco te wielkie słowa! Czy poza domem ojca mało jest miejsca we Wiedniu?!

— Być może. Nie chcę jednak nad tem się teraz zastanawiać... Chcę ci tylko jeszcze powiedzieć, że — czy wierzysz, czy nie — nie dałam doktorowi Kapłanowi żadnego powodu do zachowania się tak, jak się zachował... Twoje zaś postępowanie wobec niego postawiło mnie w taką trudną sytuację, że faktycznie nie wiem, co tobą powodowało, czy chęć bronienia mnie, czy też... chęć szkodzenia mi...

— Dobrze, Tirso. Ponieważ mówisz do mnie tak, jak już dawno nie przemawiałaś, więc ci również szczerze i otwarcie odpowiem... Znasz mnie i wiesz, że jestem twardy i nieustępliwy, lecz nie jestem podstępny... Oświadczyłem ci już raz — wtedy, gdy zrywałaś ze mną — że mych praw do ciebie za żadną cenę i dla nikogo się nie wyrzeknę. Przy tem i nadal

http://rcin.org.pl

trwam. I choćby ziemia miała się w przeciwną stronę obrócić, celu swego dopnę, tak, jak dopiąłem innych... Lecz nie podstępem i nie fałszem. Znasz mnie dość długo, by wiedzieć, że nie kłamię. Idę prostą drogą, a droga ta, to moja miłość ku tobie...

— Wiem o tem... Powiedziałam ci jednak już niejednokrotnie, że wszelkie twe starania i nadzieje są daremne. W każdym zaś razie tego rodzaju historje, jak ta — z Kapłanem — dyskredytują mnie i ciebie i jeszcze bardziej oddalają mnie od ciebie... Tak... Prawda za prawdę. Jeżeli chcesz, by wreszcie i nasz obecny stosunek, stosunek kuzyna do kuzynki, nie doznał ostatniego szwanku... przestań się mną opiekować. Dam sobie sama w życiu radę... To jest moja ostatnia prośba... Do widzenia!

Nie podawszy Karolowi ręki, uciekała... Uciekała? Tak. Była to ucieczka przed tem, co jej Karol mógł w tej chwili jeszcze powiedzieć... Co za niedołęstwo z jej strony!... Wszak zupełnie o czem innem chciała z nim mówić! A tymczasem... Zamiast nagadać mu głupstw, co się zowie, ona się musiała usprawiedliwiać i słuchać jego miłosnych wynurzeń... Co za niedołęstwo! Tak się głupio zachować! Poco go zamawiała! Wszak już najwyższy czas, by zrozumiała, że wobec niego zawsze będzie stroną przegrywającą... Czyż wtedy, gdy mówił, że dopnie swego celu, choćby się ziemia w przeciwną stronę miała obrócić, czy wtedy nie doznawała prawie że fizycznego uczucia, iż ziemia poczyna się z nią obracać!... Poco wogóle mówiła o tem, że nie chce do Wiednia wracać. Co go to obchodzi! Wszak to jej osobista sprawa... Poco się usprawiedliwiała odnośnie do awantury z Kapłanem? Czyż nie przyznawała temsamem, że Karol ma jeszcze pra-

http://rcin.org.pl

wo żądać tych wyjaśnień?!... Co za głupota!... Och, gdyby tak mogła wymazać całą tę rozmowę, odwołać to zaproszenie Karola na to nieszczęsne spotkanie, cofnąć się wstecz o te pół godziny życia!...

W toku tego rozumowania Tirsa nie zauważyła, jak zupełnie bez jej woli nogi automatycznie zaniosły ją przed szpital. Dopiero, gdy się znalazła w cieniu drzew rosnących w podwórzu, dopiero wtedy przypomniała sobie, że przecież dziś dzień wolny od pracy. Więc pocóż tu przyszła?... A więc dobrze; jeżeli tu już jest, pomówi z Kraftem. Może on jej poradzi, co ma zrobić...

KU NOWYM CELOM.

Po raz pierwszy jechała Tirsa pociągiem za dnia z Jerozolimy. Gdy ostatnio po wyjeździe ojca wracała z Hajfy, już się ściemniało, a cała okolica nakryła się cieniem, w którym wszystko zlewało się w nieodcyfrowaną zagadkę. To też teraz nie mogła się napatrzeć tym majestatycznie wznoszącym się nagim grzbietom gór, tym sztucznie na skalistym zboczu przed wiekami krzesanym tarasom, tworzącym potężne schody, prowadzące ku niebu. Ze zdziwieniem ścigała wzrokiem znikające na skrętach wyschłe łożyska rzek, prowadzących w miejsce wody — białe odłamki skał i krzaki dziko rosnących oleandrów.

W pewnym momencie zagniewany, sapiący pociąg, znudzony tylu zakrętami i przeszkodami, przecinał górę, niby nóż jabłko, a przed zdumionemi oczyma otwierało się wnętrze nieprzesklepionego, kilkupiętrowego tunelu z czerwonawo-zielonemi żyłami

http://rcin.org.pl

skośnie lecących warstwic kamienia i z wielkiemi otworami pieczar, podobnych do bazarów w Starem Mieście... Gdy pociąg, pnąc się w górę, zwalniał biegu, rozróżnić było można grzejące się w rozpadlinach i znikające po szczelinach jaszczurki. Hen w górze kołysały się orły, wielkie i zrównoważone, jak aeroplany. Powietrze zaś było tak przeźroczyste, iż oko mogłoby sięgnąć w nieskończoność, gdyby nie te niebosiężne ściany. Po opadających w dół zboczach prowadziły tu i ówdzie białe ścieżyny, — niby strugi rozlanego mleka, — gdzieś hen w góry, na samotne szczyty, na których leżała świętość, pełna uroku, tajemnic i milczenia. Tam to z pewnością, za dawnych, dawnych czasów, stawiano owe ołtarze, na których ludzie składali groźnym bogom ofiary... — Czy dziś — mimowoli pytała się Tirsa — chodził ktoś jeszcze po tych zawiłych ścieżynach? Czy mieszkał ktoś w tych dzikich pieczarach? Czy byli jeszcze ludzie, odczuwający potrzebę odszukiwania w tem skalistem pustkowiu siebie lub swojego boga?...

Tak, nie ulegało wątpliwości: droga ta była jeszcze piękniejszą, niż autem poprzez Mocę... Gdy zaś pociąg wydostał się z gardzieli gór judejskich na równą, jak stół dolinę, doznała Tirsa jakiejś nagłej ulgi. Jakgdyby niosła ciężki plecak na grzbiecie i nagle pozwolono jej zrzucić go ze siebie. i wyprostować zmęczone ciało... Już oddawna nie trwał w niej taki niepodzielny spokój; już oddawna nie czuła takiego uciszenia nerwów. Wszystko się jej wydało — nawet w tym brudnym wagonie — pięknem i jasnem. Nawet ci nieogoleni, w różnokolorowe chusty poobwijani Arabowie byli dziś sympatyczni. Arabki zaś, sprzeda-

http://rcin.org.pl

jące po stacjach miszmisz *), melony, gotowane jaja — i one poruszały się lekko i zgrabnie. Żydowskie zaś szkraby szkolne, jadące z wycieczką, rozśpiewane i hałasujące, były miłe, kochane, bliskie...

Ona zaś sama siedziała jakgdyby w pośrodku szklanej, różanem światłem przepełnionej kuli, poruszającej się ku utęsknionemu celowi. Do kuli tej przytwierdzone były, gdzieś u spodu, dzwony, które w miarę uderzania kół o szyny, rytmicznie wydzwaniały: jutro, jutro go zobaczysz... jutro... Leciała ta kula w przestrzeń, unosząc ją lekko ku skrzyżowaniu się dalekich dróg, gdzie stał ktoś, on — jej serca bliski, on — ukochany, drogi, o promienistych, a wielkich jak gwiazdy oczach, on — śmiejący się do niej i wyciągający radośnie ku niej ręce... Oczy te ciągną ku sobie jak dłonie hypnotyzera. Nawet przez przymknięte powieki czuje czarownych tych oczu moc przepotężną i wie, że w ich niezgłębionym błękicie leży jej szczęście, niby łódź między żyznemi, a zielonemi brzegami Jarkonu...

Otwiera oczy, a obraz znika. Migają natomiast żelazne słupy telegraficzne; przypadają do ziemi białe ich porcelanowe fajki i uwiązane na fajkach miedziane druty; uciekają spalone upałami pola; cofają się w biegu stada owiec; chowają się w fałdy czarnej ziemi szare dachy żydowskich osiedli i kamienne skrzynie arabskich domów. Na dalekim zaś horyzoncie rysują się kopuły, palmy, minarety nieznanego miasteczka; błyszczy w słońcu ukochane morze, rozciągnięte za żółtemi wydmami piachu; świecą jak złote tarcze szyby w wyniosłych wieżach. Tuż obok toru,

*) Miszmisz — owoc podobny do rajskiego jabłka.

http://rcin.org.pl

na świeżo zaoranem polu, stoi wielbłąd, zaprzągnięty do drewnianego pługa. Wyciągnąwszy swą długą szyję z przestrachem spogląda na sunące w dal żelazne domy.

A domy te żelazne pędzą pospiesznie poprzez pustkowie, zwijając się niby żmija, to znów prostując się i skręcając niby gąsienica... Otrząsając się przed osiadającemi na twarzy czarnemi płatkami węgla, myśli Tirsa o tem, ile to jeszcze ziemi nieuprawionej i niezamieszkałej jest w tej, rzekomo małej, Palestynie! Ileż to jeszcze ludzi, przez los i przez świat wyrzuconych za próg życia, mogłoby tu przyjść i po poprawieniu rozpadających się tarasów, po zalesieniu nagich gór, po zasadzeniu winnej latorośli, drzew figowych i oliwkowych, mogłoby tu żyć w spokoju, zadowoleniu i szczęściu... Ileż to jednak jeszcze czasu upłynie, nim ta naga, skalista ziemia, spalona od słońca, a sterana deszczem i wichurą, znów otworzy swe zamknięte łono i odpowie człowiekowi błogosławieństwem zieleni, owocu i zboża...

W Lud przesiadła się Tirsa do pociągu, zdążającego do Hajfy. Przeczuwała wprawdzie, że Muszka będzie śmiertelnie obrażoną, iż będąc w Lud, nie wstąpiła do Tel-Awiwu, lecz Tirsie spieszno było. Jak zwykle, tak i teraz, znalazł się jakiś usłużny młodzieniec, który pomógł przenieść walizkę i umieścić ją na półce. Atoli jak zawsze, tak i teraz — nie chcąc kontynuować zadzierżgniętej w ten sposób znajomości — uciekła się Tirsa do wypróbowanego podstępu. Wyjęła z podręcznej torebki książkę i poczęła czytać. W rzeczywistości zaś myślała o tem, czy Szoszana otrzymała już telegram i czy będzie na stacji...

O, jakżeż to tu w tej Palestynie wszystko jest je-

http://rcin.org.pl

szcze zmiennem, niepewnem, chwiejnem. Dziś tu, jutro tam. Dziś na wozie, jutro pod wozem... Ot np. ona sama... Albo Szoszana... Dziecko w gdudzie, a oni w Chederze... Z czego oni właściwie żyją?... Czem się ta nietrwałość warunków życia tłómaczy? Czy leży ona może w charakterze ludzi, a nie w charakterze kraju? A może jest to następstwem tego, że tu wszystko rośnie i na skutek tego nie stoi trwale na jednem i temsamem miejscu, lecz zmienia swą pozycję w miarę, jak się rozrasta podstawa... A z drugiej strony, większość nowo przybyłych ludzi szuka możliwości do szybkiego stworzenia sobie egzystencji i szybkiego wyjaśnienia, czy możliwości takie istnieją. Stąd też jedną nogą są tu, a druga tam, skąd przyszli. Zawsze gotowi do odlotu, jak ojciec, jak Karol, jak spólnik ojca, Weinreb... jak może i ci, co w tym ot, wagonie naprzeciw niej siedzą... Cóż tò mogą być za ludzie? Ubrani z europejska, a przecież z ich zachowania się przebija nuta wschodnia... Siedzą w kapeluszach, a ten w środku nie przestaje gryźć i wypluwać pestek melonu, czy słonecznika... O czem oni mówią?...

— Przypomniał mi pan — opowiada brunet, żujący pestki — ową historję, która swego czasu tyle narobiła wrzawy w kołach prawniczych. Żyd rosyjski, zamieszkały oddawna w Londynie, ożenił się z chrześcijanką. Chrześcijanka ta, wyszedłszy za naszego Żyda za mąż, przeszła na judaizm i jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, *wurde päpstlicher als der Rabiner*... Świece w piątek wieczór, *streng koszer*, post i t. d. Nie dość jednak na tem. Wkrótce ta neofitka tak się przejęła swą nową wiarą, że zażądała, by jej mąż chodził w soboty do bóżnicy i zamykał sklep w święta żydowskie. Mąż wściekły. Już o wszystkich

http://rcin.org.pl

tych rzeczach zapomniał. Londyn, to nie Homel. Bronił się więc, jak mógł, aż wreszcie, nie widząc innego wyjścia, zażądał rozwodu, podając za powód, iż przejście jego żony na wiarę żydowską było tylko formalnością... Najciekawsze jednak w całej tej historji jest stanowisko sędziego. Sędzia bowiem nie przyznał Żydowi prawa do rozwodu, twierdząc, że z wiarą przyjmuje się również jej wszystkie zalety i wady, jej zwyczaje i obowiązki.

— O tak, u nas Żydów — uogólniał trzeci podróżny — wszystko wychodzi dziwacznie, albo dziwnie. W mej szkole np. mam za ucznia również młodego Araba z Hajfy. Ojciec jego zajmuje wybitne stanowisko w partji Naszaszibiego. Być może jednak, że z innej przyczyny wstydzi się oddać syna do żydowskiej szkoły realnej w samej Hajfie, więc posyła go do Zichron Jakob, do mej szkoły. Ostatecznie — wieś, to nie miasto... Gdy się go raz pytałem, dlaczego posyła syna do szkoły żydowskiej, oświadczył mi, że chce, by syn po ukończeniu naszej szkoły miał ułatwione przyjęcie do szkoły rolniczej w Mikweh Israel... Mówi się, że żydowskie dzieci są zdolne. Ale ja twierdzę, że Arabowie są jeszcze zdolniejsi niż Żydzi. Trudno uwierzyć, ale faktem jest, że ten mój Arabczyk po dwóch miesiącach nauczył się płynnie po hebrajsku. Prócz tego jest już dziś aktywnym członkiem „Organizacji młodzieży hebrajskiej“ i odgraża się, że gdy pojedzie na święta do domu, zabierze ze sobą puszkę „Żydowskiego Funduszu Narodowego“ i puszka ta w jednym dniu będzie pełna..

„Chedera, Che-de-ra!“ wołał konduktor, stukając nożycami o ławki wagonu.

Tirsa oddała swój bilet i poczęła ściągać walizkę

http://rcin.org.pl

z półki. Usłużny młodzieniec i tym razem pospieszył jej z pomocą, a z krótkiej wymiany słów dowiedziała się Tirsa, że i jej towarzysz wysiada w Chederze, gdzie jako sanitarjusz rządowy ma odwiedzić kolonję. Gdy Tirsa wspomniała, iż zajeżdża do hotelu, prosił o sposobność dalszego spotkania pod pocztą. Na tą obiecującą propozycję Tirsa nie dała wyraźnej odpowiedzi, tłómacząc się tem, iż znajoma jej nie przyszła na stację, więc będzie zmuszoną ją odszukać.

Ze stacji rozległy roztaczał się widok na czarno-brunatne pola, na eukaliptusowe gaje i na dwurząd biało-czerwonych domków kolonji.

— Tam — tłumaczył sanitarjusz, gdy znaleźli się już w autobusie — za tym eukaliptusowym laskiem, znajduje się kolonja, a te domki, to osiedle Jemenitów... Czy pani była tu już kiedy? Nie? O, tu bardzo ładnie, a jacy tu bogaci koloniści! Widzi pani ten budynek przy drodze? To tartak. Pierwszy w Palestynie od czasów Abrahama... Ha, ha, ha... Tu rzną drzewo eukaliptusowe na deski. Są tu, proszę pani, takie grube eukaliptusy, że niktby nie pomyślał, iż urosły w Palestynie... Bo teraz wycinają koloniści zasadzone swego czasu gaje eukaliptusowe i w miejsce eukaliptusów sadzą drzewka pomarańczowe...

— Och, co za nieznośny jegomość — myślała Tirsa — ze swemi eukaliptusami... Co się też stało, że Szoszana nie przyszła? Czy jej tu niema? Toby dopiero wpadła!...

Gdy Tirsa zajechała do hotelu, wzdrygnęła się przed jego zewnętrznym, a następnie i wewnętrznym wyglądem. Stare, odrapane mury; tłusta i szeroka Żydówka; zamknięte okiennice, niewietrzone pokoje, ku-

http://rcin.org.pl

lawy stół, obdarta z glazury miednica, wyszczerbany dzbanek na wodę; kołdra czerwona, budząca odrazę.

— Trudno — orzekła Tirsa, wieszając kapelusz na gwoździu, wbitym w ścianę — do wszystkiego trzeba się w życiu przyzwyczaić.

Obmywszy twarz i ręce, zeszła do „sali jadalnej". U tłustej gospodyni zamówiła jajecznicę, a czekając na ten zaimprowizowany obiad, obserwowała siedzącego przy stole brzuchatego Araba. Rozmawiał po żydowsku z siedzącym obok niego Żydem, właścicielem hotelu. Omawiali jakieś transakcje pardesowo-pomarańczowe. W pauzach, między pytaniem a odpowiedzią, tłuste, jak ogórki, palce Araba uganiały po blaszanym talerzu z jajecznicą, skąd wyławiane kawałki wędrowały do pity *) z ułożonemi w jej fałdach oliwkami i kawałkami sera. Tak przyrządzoną „kanapkę" ładował Arab w otwierające się, jak przepaść, usta. Olbrzymi, jak beczka, brzuch wydał się Tirsie jeszcze obszerniejszym na skutek opasującego go czerwonego szala, z poza którego wyglądała rękojeść noża. Obleśne usta zamykały się pięknie zakrojonemi wargami. Wypadające zaś z osad oczy, z nieomylnemi śladami choroby Basedowa, zerkały pożądliwie w stronę Tirsy.

— Brr — myślała Tirsa — co za monstrum. Lecz jakie śliczne ma usta i zęby!...

Załatwiwszy się prędko z „obiadem", wyszła Tirsa na poszukiwanie Szoszany.

Kolonję przecinała szeroka ulica, obramiona zielonemi wałami okwitającej mimozy. W miejsce bruku leżała gruba warstwa rdzawego, brunatnego piasku, w którym grzęzło się po kostki.

Miał rację ten „eukaliptusowy" sanitarjusz. Pięk-

*) placek arabski.

http://rcin.org.pl

nie tu było i odmiennie, niż np. w obrzydliwej Petach Tikwie... Murowane domy z zaniedbanemi ogródkami stały wysoko. Z każdego prawie miejsca wzrok obejmował zielone, zwarte bukiety sadów pomarańczowo-migdałowych i wysoko w górę strzelające wierzchołki eukaliptusów, z których raz wraz zrywały się stada krzykliwych i jak gołębie, wielkich czyżów. W dali czerniały namioty Beduinów, a w pośrodku kolonji trwał, jakby sztucznie z wielkiego miasta w tę wieś przeniesiony ogród-park, o cudownej, starej aleji palmowej, o krzewach dziko rosnących cytryn, o splątanych, czerwonych głogach. Park otaczał gęsty żywopłot mimozy, której złotawe, okrągłe kwiaty świeciły w słońcu, jak małe elektryczne żarówki... Tak, tu było rzeczywiście pięknie.

Tirsa przystanęła przed jedną z palm. U spodu układała się kora w zwartą, gęsto siatkowaną obsłonę, podobną do plecionego koszyka. Z tego koszyka wyrastał smukły pień palmowy. U góry wisiały zwiędłe, nieobcięte, zębate liście. Ileż to lat trwało — zastanawiała się Tirsa — nim korona takiej palmy zdołała się dźwignąć tak wysoko... Ileż to ludzi stało w międzyczasie, tak jak ona w tej chwili, pod tą palmą z niezdecydowanem jutrem przed sobą?... Ileż to już ludzi zastanawiało się tu nad sobą i nad swym losem?... Czy istnieje ustalony z góry los, czy też rodzi się on i kształtuje z woli człowieka, względnie z przypadku?... Co ją tam czeka?... Co jej przeznaczono?... Czy wróci do Wiednia?... A może rzeczywiście spełni się w końcu to, czego sobie w tej chwili najmniej życzy, a nieosiągalnem będzie to, do czego rwie się jej serce!...

Z dali dochodziła Tirsę pieśń dziewcząt, pracujących w sąsiednim ogrodzie. W zawiniętych wokół gło-

http://rcin.org.pl

wy chustkach, luźnie zwisających bluzkach i niebieskich spodniach, rozbijały motykami twarde bryły zeschniętej ziemi. Śpiewały znaną Tirsie smętną pieśń:

A w szałasie płacze dziecię,
bo ząbki mu rosną.
O, samotne jest na świecie,
sierotką żałosną.
Jeruzalem, miasto święte,
jakżeż i dlaczego,
nie dałoś mi w tym tygodniu,
pracy dnia jednego.

Słuchając pieśni, myślała Tirsa o tem, że i te *chalucot* kiedyś przed laty, w romantycznym porywie swego życia, inaczej wyobrażały sobie szczęście wyżycia się w wolnej Palestynie. Może i one śniły o gwiazdach, spadających z wiecznie pogodnego nieba, o drodze, usłanej różami, o cienistym namiocie, w którym czekać będą na ukochanego, wracającego z pługiem po całodziennej pracy na własnym zagonie. Zapewne i one kiedyś marzyły o młodości pełnej swobody i przygód, pełnej wrażeń i miłości. Prawdopodobnie i one nie wyobrażały sobie, że trzeba się będzie spalać w stałej, cichej, niekończącej się ofierze szarego, powszedniego dnia, uginać się pod brzemieniem pracy i troski o chleb codzienny, upokarzać się w bezimiennym trudzie najemnej robotnicy, wykopującej w opornej ziemi bogactwa dla wyzyskującego chlebodawcy.. Któż wie, może i ona za miesiąc lub dwa stać będzie taksamo z motyką w ręce... i z taką smętną pieśnią w zasychającem gardle i zdławionem sercu...

— — — — — — — — — — — — —

http://rcin.org.pl

— Pyta się pani, czy jestem zadowolony?... Podwójnie... Tak, podwójnie!... Pamięta pani, jakto półtora mniejwięcej lat temu, siedzieliśmy razem w Tel-Awiwie, w pensjonacie Herbstowej?... Namawiano mnie wtedy, bym budował dom w Tel-Awiwie... Co za szczęście, że się nie dałem nakłonić!... Domy w Tel-Awiwie — czy wie pani o tem, panno Lampel — wartają teraz połowę z tego, co kosztowały, a nie przynoszą ani sześciu procent. A tak, kupiłem ziemię, zasadziłem i wiem, że za trzy, względnie cztery lata będę żył z mego ogrodu pomarańczowego. Poza tem spokój tu jest, dobre powietrze, dzieci zadowolone. Chodzą do szkoły i mówią po hebrajsku, że aż serce w człowieku rośnie z radości... Tylko żona, jak to pani miała sposobność stwierdzić — narzeka. Prawda, wieś. Niema koncertów, teatru i znajomych... Lecz i ona się z czasem przyzwyczai...

— Więc pan, panie Grossfeld, nie żałuje, że pan do Palestyny wyjechał?

— Gdybym, proszę pani, pozostał był w Gdańsku, byłbym stracił wszystko. Miałem porozpożyczane pieniądze wśród dobrych znajomych. Ledwo wyjechałem, rozpoczęły się tam bankructwa, że strach... Tak. tak. Wyjechałem w samą porę... Długów nie mam, a jeżeli uzyskam pożyczkę, będę budował — naturalnie, że z ogródkiem na kwiaty...

— A czy to prawda, co Kleinzeler opowiada, że pan również zatrudnia Arabów?

— Widzi pani, panno Lampel: to jest tak, żeby to powiedzieć, nie bardzo prosta sprawa... z tymi Arabami. Co, prosta.. to jest sprawa bardzo zawikłana. Z początku i ja próbowałem. Myślałem sobie: przyjechałeś tu nie po to, by się wzbogacić... Ale wnet

http://rcin.org.pl

się przekonałem, że nawet przy najlepszej woli... Widzi pani: robotnik żydowski nie chce pracować dłużej, jak tylko ośm godzin. A czy to możliwe w rolnictwie, które przy czternastu nawet godzinach charówki przynosi w najlepszym wypadku 4—6 % dochodu?!... „Kablanut“ — mówią; praca akordowa?... Próbowałem i tego. I co? Taki dół, sześćdziesiąt centymetrów w kwadrat i 60 na głębokość, dół, za który Arabowi płacę 2 ½ piastra, kopie żydowski robotnik tak, że nawet w akordzie nie zarabia więcej, jak dwanaście do trzynastu piastrów dziennie! Prócz tego...

Dziwna rzecz — myślała Tirsa — jak prędko życie przemienia człowieka. Ten oto, niedawno gorący idealista i patrjota, przemawia tak, jakgdyby wszystko dawniejsze było frazesem...

— Ot, widzi pani, tam? To jest obóz robotniczy. Tam mieszka pani znajoma... Proszę jednak nie zapomnieć i przyjść przed wieczorem. Po kolacji odprowadzimy panią do hotelu, jeżeli pani stanowczo nie chce u nas przenocować...

Między drzewami przerzedzonego eukaliptusowego lasku stał drewniany barak, a obok kilka stożkowatych, płótnem krytych szałasów. Dopytawszy się o szałas Uriego, zastukała Tirsa w kołek, do którego przywiązaną była jedna połać płótna, a nie słysząc wewnątrz żadnego głosu, weszła do środka. Wewnątrz było ciemno i duszno. Gdy się oko przystosowało do panującego w namiocie mroku, zauważyła Tirsa, iż na drewnianej, chudym siennikiem przysłanej pryczy, ktoś spał, przysłoniwszy głowę prześcieradłem. Po czarnych, zwichrzonych włosach poznała Tirsa, że na pryczy leży Szoszana. Gdy Tirsa uchyliła zlekka prze-

http://rcin.org.pl

ścieradło, Szoszana, wzdrygnąwszy się, otworzyła oczy i poczęła wpatrywać się w Tirsę, niby we wizję.

— Szoszano, Szoszano, to ja... Tirsa. Cóż się z tobą dzieje; w biały dzień śpisz? Chora jesteś, czy co?

Szoszana wsparła się na łokciu prawej ręki i nadal obejmowała postać pochylonej nad sobą Tirsy nieprzytomnym wzrokiem.

— No cóż, Szoszano, nie poznajesz mnie?

— Czy to ty rzeczywiście, Tirso? — pytała Szoszana, odgarnując włosy na tył głowy. — Myślałam, że mi się znów majaczy... Napad malarji... Już tydzień leżę... Ale skąd się ty tu wzięłaś tak niespodzianie?

— Czy nie dostałaś mego telegramu?

— Telegramu? Nie!... Ale siadaj, Tirso droga i wybacz ten nieporządek... Ostatnie trzy dni tak mnie zmogły, że nie miałam siły sprzątać... Siadaj tu, na tem „łóżku“... O, jakże dawno cię już nie widziałam! Będzie chyba już z górą pół roku? I tyś się też nie spasła, Tirso!...

— A ty, Szoszano! — wyrwało się mimowoli z piersi Tirsy. — Z ciebie tylko cień pozostał... Jak wy tu żyjecie? Kto ci tu podczas choroby co podawał? Gdzie Uri?...

— E, głupstwo, już przeszło i gdy tylko wyjdę na powietrze, zaraz nabiorę mięsa i kolorów... Przynajmniej mi piegów nie znać... Pytasz o Uriego? Gdzieżby był! Znów w misji, w Tel-Josef.

— A ty, Szoszano, co tu sama robisz?

— Czasem idę na robotę w pole, a czasem, gdy niema roboty, siedzę i czekam na Uriego.

— A dlaczego wyjechaliście tak nagle z Jerozolimy... bez pożegnania? Przyrzekłaś pisać, a tu ani sło-

http://rcin.org.pl

wa... Z trudnością, od Szapiry dowiedziałam się, gdzie jesteście.

— Masz zupełną rację Tirso. Należy mi się bura, ale w takich warunkach odchodzi człowieka ochota od pisania. „Pisane słowo, to dokument“ powiada mój Uri. A z dokumentami trzeba być ostrożnym... No, a główna przyczyna w tem, że Uriego wysłano tu nagle, by pilnował tych panów z Chedery...

— Wybacz, ale nic o tem nie wiem.

— Widzisz Tirso, tu w Chederze ma Bank Sjonistyczny wielkie ogrody owocowe i zatrudnia w nich Arabów, choć żydowscy robotnicy umierają z głodu. Organizacja robotnicza już dawno walczy z tymi dyrektorami, pobierającymi wysokie gaże, a teraz wysłała Uriego, by tu na miejscu coś wskórał.

— A dlaczegóż więc wyjechał do Tel-Josef?

— O, tam, to cała chryja. Tamtejsi pobili się pałkami i nożami. Ale o tem... potem... Opowiadaj ty Tirso, co u ciebie słychać. O tem, że ojciec twój wyjechał, wiem. Jak tam w Hadassie?

Tirsa opowiadała o przejściach z dni ostatnich, przyczem Szoszana nie mogła wyjść ze zdziwienia, słuchając relacji o zajściu z Kapłanem.

— Jakto — pytała — i tyś poszła za nim się jeszcze wstawiać? O, Tirso, Tirso! Zdaje się, że ty się już nigdy nie zmienisz.

— A najgorsze to — kończyła Tirsa swe opowiadanie — że nic nie wskórałam. Dr. Kraft mi oświadczył, iż taka jest uchwała Zarządu Hadassy, więc Kapłan musi odejść. Mnie zaś poradził, bym aż do uspokojenia się wzburzonych umysłów, wzięła bezpłatny urlop... Usłuchałam tej rady i wyjeżdżam — jak wi-

http://rcin.org.pl

dzisz — na dwa miesiące, a może i na dłużej do Bet Alfy, do Leji i Szmulika.

— Doskonale robisz. Wypoczniesz sobie po tych wszystkich awanturach... A to się też Leja ucieszy... O, jakżebym chętnie z tobą pojechała... Byłybyśmy znów razem, jak dawniej... Choć prawdę powiedziawszy, to już chyba nigdy nie będziemy tak kupą, jak dawniej, pamiętasz... na wycieczkach, na murach Starego Miasta, u malarza Szlomy... Niektórych już biedaków niema... Biedny Dubiński!... Muszka w Tel-Awiwie; Stefka z Ben Dorem również, a Wiera...

— Co z Wierą? Czy masz o niej jakieś bliższe wiadomości?

— Wiera ma śliczną córeczkę i pracuje w Opiece nad dzieckiem, w Hajfie.

— I cóż, nie pobiorą się z Rubinem?

— Zdaje się, że nie... Ona nie chce. Nie chce, aby przez ślub zyskał prawo do córki, której sobie nie życzył...

— Dumna, bo dumna. Ale tak się męczyć, gdy tymczasem on zarabia wcale dobrze.

— Proszę cię, każdy ma swoje zasady i zapatrywania. A co myślisz, Tirso, naprzykład ja... Jeżeli jeszcze długo będę musiała żyć zdala od Zachawy, to bezwarunkowo rzucę Uriego...

— E, nie mów tak nierozsądnie, Szoszano!

— Tak, łatwo ci... oburzać się. Ale, cóż my to za życie prowadzimy?! Ja tu, on wciąż w podróży, a dziecko osobno!... Tylu jego kolegów siedzi w Tel-Awiwie, w sekretarjacie w C. K., w A. C.; obijają się po różnych biurach, komisjach, zarządach, dyrekcjach, a jego wciąż pchają coraz to do innej dziury!...

http://rcin.org.pl

Już mi to obrzydło... Mówię zupełnie poważnie: długo to tak trwać nie może...

— Wierzę ci, Szoszano i poniekąd przyznaję rację... Ale bez tych konsekwencyj, które chcesz wyciągnąć.

— A więc co, sądzisz, że można tak długo siedzieć i czekać, aż los sam się zechce za człowiekiem ująć?...

— Nie, Szoszano. Właśnie, że przeciwnie. Sądzę — może moje wnioski wydadzą ci się dziwne — ale tak ja przynajmniej na twojem miejscu bym zrobiła. A więc zdaniem mojem, powinniście z gdudu wystąpić. Do czegóż to bowiem prowadzi? Co was w końcu czeka?

— Nie gadaj głupstw, Tirso! Co znaczy: „co nas czeka"... A co czeka innych, co tak samo, jak my do gdudu należą?!... Te wszystkie wewnętrzne tarcia przecież raz się skończyć muszą. Przeniesiemy się na własną ziemię w okolicę Talpjot i tam na stałe gdud się urządzi.

— Trudno, nie mam daru przekonywania. Rób, jak uważasz. Ale ja na twojem miejscu napisałabym, nie... pojechałabym do domu, do ojca, wydostałabym od niego pieniądze, kupiłabym sobie ziemi i urządziłabym się, jak wielu, na własną rękę.

— Gadasz dzieciń每stwa, kochana Tirso. Ja... i do domu! Czy nie znasz mego ojca? Ani złamanego piastra, by mi nie dał. A myślisz, że Uri by się na to wystąpienie z gdudu zgodził? On, przywódca, miałby się sprzeniewierzyć swym ideałom!

— A Arjeh?

— Arjeh, widzisz, to co innego. Przedewszystkiem wystąpił z gdudu i natychmiast wstąpił do kwucy, a nie począł „prywatyzować", jak ty nam dora-

http://rcin.org.pl

dzasz. To naturalnie zupełnie co innego. A następnie Arjeh, wiesz, zawsze szedł luzem. Arjeh ma swoje idee i on też długo w kupie nie wytrzyma. Nie wierzę też, by tam, w Bet Alfie długo przesiedział... No, ale my tu gadu, gadu, a ty z pewnością głodna. Wiesz co Tirso, nastaw prymus. Herbata jest tam na półce. Cukier jest obok... Ja się również napiję... O, jakże te kościska bolą... A co z Muszką? Jeszcześ o niej nie mówiła.

— U Muszki zanosi się na dziecko. Jest też nad wyraz szczęśliwa. Jej mąż, taki sam dziwak, jak dawniej, ale śpiewa według nut Muszki, jak się Opatowski wyraża. Pensjonat idzie słabo, ale on ma posadę... W każdym zaś razie lepiej jej niż z Herbstem.

— A Herbst?

— Nie wiem. Widywałam go czasem na ulicy. Przypuszczam, że się nie nudzi.

— Jak się to dziwnie składa: ludzie się odnajdują, schodzą, rozchodzą i znów szukają... A to np. nie wydaje ci się dziwnem, że ja i ty Tirso siedzimy tu razem w namiocie przy herbacie, gdy tymczasem, przy innym, przypadkowym i szczęśliwym, a może i nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, ja mogłabym być tam, we Wiedniu, wielką panią z fortepianem i dwiema służącemi w sześciopokojowem mieszkaniu; mogłabym robić przyjęcia, tańczyć, jeździć do badów. A ty...

— Niedawno myślałam o tem samem... Powiedz Szoszano szczerze: czy żałujesz?

— Żałować?!... Gdyby tak można obrócić karty życia wstecz, tak, jak się czasem robi z książką mądrą, lub zajmującą, wierzaj mi Tirso, iż mimo wszystko, mimo chorobę i niedostatek, mimo rozłąkę z Zachawą, mimo to wszystko, znów-bym z zainteresowaniem czy-

http://rcin.org.pl

tała „książkę“ mego życia i to... od samego początku... Najwyżej... zaczęłabym nie od Blauweissu, lecz od Triestu. Toby była cała różnica... Lecz ty Tirso?... Czy nie żal ci, żeś porzuciła Wiedeń, żeś nie wróciła z ojcem, żeś...

Tirsa rozumiała, że ostatnie, niedopowiedziane pytanie odnosić się miało do zerwania z Karolem, której to sprawy tak ona, jak i Szoszana, jakby rozmyślnie nie poruszały.

— Mówiłaś Szoszano o książce, którą się czyta, a choć się wraca do miejsc pięknych i wartościowych, przecież się książki nie odkłada, lecz czyta się ją w dalszym ciągu. Otóż co do mnie, gdyby tak życie rzeczywiście się składało z drukowanych kartek, które można dowolnie przewracać, ja-bym zaczęła od tej stronicy, którą obecnie czytam... Czy pamiętasz Szoszano naszego wspólnego kolegę Stromwassera? Pamiętasz może jego ulubione wyrażenie: „Fad“?... Otóż nie wiem, dlaczego, ale ile razy myślę o mem poprzedniem życiu, ciągle mi to słowo na myśl przychodzi.

— Masz zupełną rację, Tirso. Tu jak jest, to jest. Uri mój mówi: „Raz na wozie, drugi raz pod wozem“. Prawda, że częściej się jest pod wozem. Ale człowiek czuje, że koła tego wozu się obracają... A to całe ludzkie życie, co ono warte, jeżeli niema w niem ruchu, zmiany, jeżeli jest jak zsiadłe, grubym kożuchem nakryte kwaśne mleko... Czy nie tak?

— — — — — — — — — — — — —

Gdy kolonista Grossfeld podał Tirsie walizkę poprzez okno wagonu, sięgły po walizkę dwie męskie, piegami nakrapiane ręce. Gdy się Tirsa obróciła, stał za nią poznany wczoraj sanitarjusz, rumiany

http://rcin.org.pl

i uśmiechnięty, a równocześnie przyganiający Tirsie jej niesłowność:

— Pozwoli pani, że jej pomogę?... Wprawdzie wczoraj pani nie stawiła się na umówione miejsce mimo przyrzeczenie, ale zato Pan Bóg panią karze i musi pani znów razem ze mną jechać.

Tirsa usprawiedliwiała się chorobą przyjaciółki i żartując, przyrzekła, iż następnym razem, przy najbliższem spotkaniu w Chederze, będzie już napewno punktualną i słowną. Chcąc zaś uprzedzić przymus dalszej konwersacji, dobyła książkę i zapatrzywszy się w zadrukowane jej kartki, myślała: dlaczego, żegnając się dziś rano z Szoszaną, doznawała prawie tego samego uczucia, co przy rozstawaniu się z ojcem. Wiedziała, że żegna kogoś drogiego, że poprzez chłód skóry całuje kochane, oddane serce przyjaciółki, a nie czuła nic, jak tylko fizyczne dotknięcie warg o wychudzony policzek. Pozatem zdawało się jej, że Szoszana zapada się gdzieś w próżnię powoli, nienaturalnie, jakimś sztucznym, jak we filmie, na składowe części rozłożonym ruchem. Tirsa odczuwała wtedy jakiś niezrozumiały lęk, a zarazem nieodpartą potrzebę wyciągnięcia ręki, jakgdyby ta próżnia, w którą Szoszana zdała się zwolna zapadać, była przepaścią bez dna i ratunku... Miałaż Szoszana rację, twierdząc, że życie o tyle tylko jest pięknem, o ile obejmuje i użycza zmiennych sytuacyj?... Zdaje się, że tak. Jednakowoż pod warunkiem, że zmienność połączona jest z jakąś głębszą treścią... Czy zmiana w jej np. obecnem życiu będzie taką głębszą treścią wypełniona?... Znów to pytanie, nad którem zastanawiała się wczoraj w tej pięknej aleji palmowej!... Ach, co będzie, to będzie. Na razie czuje, jakgdyby za nią zamknięto bramy szkolnego budyn-

http://rcin.org.pl

ku, a ona — mała dziewczynka — jedzie z dobrem, szkolnem świadectwem w ręce do domu. Do domu, w którym każdy kąt pełen jest słońca, ciepła i radosnych nadziei... Oto coraz bliżej i bliżej jest tego domu. Oto wzdyma się przed nią ziemia w długi, ku Hajfie biegnący garb Karmelu. Oto kochane, cudowne morze białemi chorągiewkami swych fali wita pociąg, pędzący tuż nad brzegiem morza. Myśl wyprzedza pociąg. Wydziera się serce z piersi, każdy nerw drga odrębnem życiem. Zamiera pamięć dawnych rzeczy wraz z tem wszystkiem, co dotychczas trwało, a obecna chwila wyczekiwaniem jest tego, co nastąpi.... Oto znów słyszy, jak z nieustannego, miarowego stukotu kół o szyny, rodzi się wczorajsza, radosna pieśń: dziś, już dziś go zobaczysz. Dziś, dziś... A ona siedzi w pośrodku szklanej, świecącej, różanej kuli... i przymknąwszy oczy widzi rozlewającą się wokół, olśniewającą poświatę bliskiego już szczęścia.

http://rcin.org.pl

CZĘŚĆ DRUGA.

W DRODZE.

Konie szły stempa. Wóz wprawdzie był próżny, a droga, prowadząca równolegle do morskiego brzegu, środkiem moczarów Kiszonu, była prosta i równa Niemniej siwucha, Surja, nie chciała ciągnąć. Cały ciężar zwalała na swego towarzysza, szpakowatego Radka. Arjeh prał wprawdzie batem, co się zmieściło lecz nie odnosiło to żadnego skutku. Za każdem uderzeniem Radek zrywał się z miejsca, przyczem wraz z orczykiem leciała i Surja w tył, dotykając swym tłustym zadkiem wozu. Strzygła przytem uszami, przekładając jedno do przodu, a drugie do tyłu. W takich chwilach łeb jej przybierał tak komiczne formy, iż siedzący obok Arjego Fredek wybuchał śmiechem:

— Popatrzno Arjeh — wołał, trącając łokciem towarzysza — i powiedz, co ci Surja przypomina? Popatrz na jej pysk i łeb.

— A cóż mi ma przypominać?! Naturalnie, że kobyłę, której się nie chce ciągnąć.

— No, dajże już spokój — wstrzymywał Fredek dalsze zamachy Arjego na lenistwo klaczy... Powiedz, czy nie jest ona podobna do gładko zaczesanej baby, która sobie na głowie zawiązała chustkę końcami ku górze zamiast w dół?... Czy widzisz, jak przebiera

http://rcin.org.pl

uszami? Myśli, że to taka wielka sztuka! Patrz głupia kobyło, ja też tak potrafię!...

— Nie figlowałbyś — karcił Arjeh Fredka. — Nie wiem, co za licho wlazło dziś w tę klacz, że ani ruszy z miejsca. Jedziemy z próżnym wozem, a idzie to, jak w mazi... Jeżeli tak dalej pójdzie, gotowiśmy do domu zajechać za miesiąc.

— Ty, mój kochany, przyzwyczajony jesteś do auta i zawsze-byś chciał jeździć galopem. Nasze zaś konie nie wożą turystów. Chudeusze to, jak my, ludzie osiedla... A po prawdzie nie wiem, co ci się tak spieszy. Jutro sobota i tak roboty niema. Mamy czas... Wiesz Arjeh, co ci powiem. Ja-bym, gdybyś się zgodził, zboczył z gościńca, wyprzągł konie, schował wóz za pagórek i pasł przez całą noc... Pięknie tu jest; trawiska dość, a noc będzie księżycowa... Zgoda?

— Wiesz co, Fredek, ile to ty właściwie masz lat?

— Ja? Zdaje się... no tak, od matury upłynęło trzy lata, więc powinienem mieć dwadzieścia jeden wiosen.

— Masz więc chłopie dwadzieścia jeden lat, a gadasz, jak dziecko. Wystarczy, byśmy się tylko spóźnili o parę godzin, a zaraz w osiedlu pomyślą, żeśmy pieniędzy za owies nie dostali, albo żeśmy konie sprzedali, albo że nas wilki zjadły...

— Albo — dodał, śmiejąc się Fredek — żeśmy przeszli do tych bolszewików w Tel-Josef.

— Przypuszczam, że o to niktby nas nie posądził...

— Mnie, przypuszczam, nie, ale ciebie...

— Co, sądzisz, że mnie...

— Nie, ja tylko tak, żartuję.

http://rcin.org.pl

Atoli Arjeh, podrażniony słowami Fredka, podraził lejce pod lewe udo i obróciwszy się twarzą do Fredka, mówił:

— Ty, Fredek, jesteśmy tu sami. Nie potrzebuję cię zapewniać, że każde twoje słowo, to jak kamień rzucony we wodę. Możesz więc mówić śmiało... A więc powiadasz, podejrzewają mnie o sympatje z... tamtymi?... Co?... A może nawet o...

— E, przesadzasz. Albo to my z Kibucu cię nie znamy!... Z igły, robisz niepotrzebnie widły... Czy cię nie znaliśmy, nim jeszcze do nas wstąpiłeś? Prawda, że do Kibucu przyjęto cię niedawno. Ale przecież wszyscy, myślę ci, co są przeciw temu, co się dzieje w Tel-Josef, my wszyscy dobrze wiemy, kto jest Arjeh Weissmann. U nas ty nie potrzebujesz przedkładać świadectw.

— No dobrze, ale dlaczego wspomniałeś, że mnie mogą podejrzewać o możliwość przejścia do Tel-Josef?

— Uwziąłeś się, jak widzę. Mówię ci przecież, że żartowałem. Gdybyś chciał tam przejść, nie byłbyś opuszczał gdudu w Jerozolimie... Zawsze im to powtarzam.

— Komu? — podchwycił Arjeh. — A widzisz, teraz cię złapałem... Słuchaj Fredek: albo mówisz wszystko i prawdę, albo — dalibóg, jak mnie tu widzisz — zostawię cię tu na tej drodze i możesz pieszo iść do Bet Alfy.

Gdy Fredek spojrzał w twarz Arjego, zauważył pionowe zmarszczki na jego czole i groźny błysk gniewnie spoglądających oczu. Uwierzył też, iż groźba może być poparta czynem.

— Nie wiem faktycznie, dlaczego i poco się tak rozsierdziłeś. Jeżeli już koniecznie chcesz wiedzieć, to

http://rcin.org.pl

ci powiem... Młodsi, a więc Kałmek, Zygmunt, Lipek i Dwora nie dowierzają ci, bo cię nie znają. Że się zaś u nas każdemu nowemu nie ufa, to wiesz. Ze starszych to tylko Chaskiel trzyma z Kałmkiem i Lipkiem.

— A dlaczegóż prawie Chaskiel? — spokojniejszym już głosem pytał Arjeh.

— On, przecież wiesz, uważa się za odpowiedzialnego za wszystko i za wszystkich. Jemu się zdaje, że nikt tak nie umie zarządzić, poradzić, pokierować, jak on. Zresztą ty wiesz najlepiej... Znasz go przecież oddawna...

— No, co do mnie — to może Chaskiel spać spokojnie.

Chwilę trwało milczenie. Konie w dalszym ciągu szły zwolna, a klacz zdawała się wisieć w chomoncie.

— Słuchaj Fred — przerwał milczenie Arjeh — jak ci się zdaje: wybiorą mnie delegatem na konferencję do Petach Tikwy, czy też nie?

— Przypuszczam, że tak. Przecież nikt inny się nie zgłosił... Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego ty, co to się nigdy nie ubiegałeś o mandaty i zaszczyty, tym razem...

— Prosta rzecz; mam coś nowego do powiedzenia tym radcom, prezydentom, członkom różnych K. C...

— Cóż takiego; czy można wiedzieć?

— Po prawdzie, chciałem o tem mówić dopiero na zebraniu. Ponieważ jednak konie idą, jakby im ktoś pedały związał, więc chcę usłyszeć twoje w tej mierze zdanie.

— A od kiedy to ty się liczysz z mem zdaniem?

— A czy ja ci powiedziałem, że się będę z twem zdaniem liczył?... A więc sprawa ma się tak. Ilu nas jest teraz w osiedlu? Osiemdziesięciu. Ile mamy ziemi?

http://rcin.org.pl

Pięć tysięcy dunamów. Ile wypada więc na każdego? Sześćdziesiąt i coś. Czyli, jak łatwo z tego algebraicznego zestawienia wywnioskować można, na każdego z nas wypada w przybliżeniu o 40 dunamów mniej, niż być powinno. gdyby wszystko inne, wiesz chyba, co myślę, było w porządku... A teraz dalsze pytanie: ile dzieci jest w osiedlu? Dwadzieścia sześć. Że rosną, jedzą i ubrań potrzebują, rzecz wiadoma. Że ich przybywać będzie, z tem też liczyć się trzeba... Co z tego wszystkiego wynika? Z tego wszystkiego wynika, że jeżeli każdy kibuc nie będzie miał w jak najkrótszym czasie rezerwy ziemi, to się podusimy, jak króliki.. Czy się kto o to troszczy? Czy myślą o tem ci krawaciarze z Merkaz hakłai ?... *) Ale to wszystko nic, głupstwo. Nasz głód za ziemią, to jeszcze bagatela. U nas jeszcze pół biedy. Nie starczy... to się nie zje...

— O, zjadłoby się wszystko w jednym dniu, gdyby Leja nie pilnowała magazynu — śmiał się Fredek.

— Albo Fred słuchasz poważnie, albo nie? — irytował się Arjeh.

— Słucham, już słucham. Wal dalej!

— A więc wiesz chyba tak dobrze, jak ja, że w kwucach i chawurach jest jakie dwa, względnie trzy tysiące ludzi, którzy już od trzech lat i dłużej czekają na możliwość osiedlenia się na ziemi. Np. taka grupa, jak Grodno... Gdzie oni już nie byli! Gdzie oni już nie pracowali! Co już przeszli! A dziś część jest przy osuszaniu Kiszonu, część przy budowie Uniwersytetu, część gdzieś koło Chedery... Czy takie rozbicie nie musi w końcu osłabić ducha tych ludzi?!...

— Co to, to masz rację. Ja sam wiem o kilku wypadkach ucieczki do Tel-Awiwu, gdzie wycierają kąty

*) Merkaz haklai — centrala rolnicza.

http://rcin.org.pl

jako sadrani *) po teatrach, jako fryzjerzy, szoferzy, policjanci...

— A cóż ty sobie myślisz — pytał z udanym gniewem Arjeh — że szofer to nie człowiek?

— A, prawda. Na śmierć zapomniałem — usprawiedliwiał się Fredek — że i ty Arjeh, byłeś szoferem. Przepraszam.

— Ale do rzeczy — strofował sam siebie Arjeh. — Pytam się więc: co będzie w końcu z tymi ludźmi? Dlaczego ci panowie, prezesi, nie myślą o tem? Jakże tu nowi ludzie mają się przygotowywać do pracy na roli, jeżeli ci, co są już przygotowani, chodzą bez nadziei na jutro?...

— Więc to jest ta sprawa, z którą chcesz jechać do Petach Tikwy?

— Naturalnie... Z tonu twego głosu wnoszę Fred, że ci się to nie podoba. Co?

— Mnie, to ta odpowiada. Boję się jednak, że i naszym towarzyszom z lewicy bardzo się to spodoba... Rzucą się na to, jak nasz Mops na kość...

— A cóż mnie to obchodzi! Niech się rzucą. I kość można zgryść, jeżeli się weźmie do tego z umiarkowaniem i cierpliwością... A kto tych zalet — jak nasza lewica — nie posiada, ten z pewnością kością się udławi.

— E, całkiem taniego gatunku ta twoja filozofja. A czy zdajesz sobie sprawę, jakiem to echem odezwie się u tych, co Krymem chcą Żydów uszczęśliwić??

— A choćby nawet... Czy dlatego, że oni cieszyć się będą naszą bolączką, my mamy przemilczeć najważniejszy problem naszej przyszłości?!... Nie! Uważam Fred, że to jest z gruntu fałszywa taktyka. To jest

*) Sadran — utrzymujący porządek — bileter.

http://rcin.org.pl

właśnie taktyka takich jak Uri, Awiwi, Ben Zew, Zucker i innych im podobnych przywódców.

— E, wiesz, co ci powiem, Arjeh?... Powiem ci, że to mnie nic nie obchodzi. To już wyższa polityka, a tej nienawidzę. Gdyby tak i u nas mniej politykowano, a więcej zajmowano się gospodarstwem, z pewnością nie czekalibyśmy ciągle z wywieszonym językiem na pieniądze z Jerozolimy.

Na to uogólniające stwierdzenie, Arjeh nic nie odpowiadał. Po chwili milczenia znów Fredek rozpoczął:

— Słuchaj Arjeh, czy czytałeś już tę książkę, którą Mańka przywiozła z Wiednia?

— Jaką książkę?

— *Zaren, Popen, Bolszewiken.*

— Czytałem.

— Jak ci się podoba?

— Cóż, papier jest cierpliwy. Ślepy książek nie czyta, a widzący potrafi odróżnić plewy od zboża.

— Ale, cóż ty gadasz, Arjeh? Czy wiesz, że Zygmunt jest zachwycony, a z Mańką tośmy się o tego idjotę pokłócili...

— O którego idjotę, o Zygmunta?

— Myślę o autora książki. Kisz się nazywa.

— Mój kochany, nie rozumiem, o co się tu irytować. Każdy żurnalista — rzecz wiadoma — jest, jak chorągiewka na dachu. Za wiatrem się obraca. Dziś jest za socjalizmem, jutro za bolszewizmem, a pojutrze będzie ci dowodził, że niewolnictwo to... niezbędny warunek dla wychowania nad-ludzi.

— Że też ludzie mogą być tak zaślepieni!... Mańce się nie dziwię. Wszak kobieta zawsze głupsza jest od mężczyzny.

http://rcin.org.pl

— No, no. Twoja Mańka stanowi stanowczo wyjątek, bo mądrzejsza jest od ciebie.

— Dobrze — przyznał dobrodusznie Fredek. — Może masz rację, ale Zygmunt! Wiesz Arjeh, on święcie wierzy w to, co ten Kisz pisze. On ci wierzy, że w Rosji więzienia to tak, jak u nas sanatorja. Więźniowie czytają, co chcą. Codziennie na obiad jedzą mięso, grają w tenis, chodzą na przedstawienia do teatru i kina, mają urlop, który spędzają poza więzieniem... Tfu! Co za bzdury...

— No, no. Coś tam już w tych bzdurach będzie prawdy.

— Proszę cię Arjeh, nie gadaj, bo mi się nie wiem, co stanie... Jakże to, czy się nie słyszy, czy nie mówią, jak to eldorado wygląda w rzeczywistości! Znałeś nieboszczyka Dubińskiego?... Otóż opowiadał mi Moniek, że będąc w Tel-Awiwie poznał jedną z jego towarzyszek z bolszewickiego więzienia. Dubiński i ona siedzieli razem w jakiejś dziurze, 1000 wiorst od Tobolska. Gdy pewnego dnia Dubiński zachorował na dezynterję, nie pozwolili mu wychodzić do wychodka, jak tylko raz na dzień! Rozumiesz, według przepisu — raz na dzień! Aż urządzili strejk głodowy. Tak to wygląda ten *gan ejden* *) pana Kisza!

— Zapomniałeś, że bolszewicy inaczej traktują przestępców politycznych, a inaczej zbrodniarzy. U bolszewików niebezpieczniejszym jest mienszewik, socjalista, sjonista, niż morderca. Tamci bowiem gotowi obalić system rządzący...

— I — dokończył Fredek — pozbawić komunistycznych przywódców ich tłustych posad!

---

*) gan eden — raj.

http://rcin.org.pl

— Cóż chcesz, a czy u nas pod tym względem dużo lepiej? Czy np. taki Awiwi, lub inny partyjny truteń..

— E, co mię tam oni obchodzą — wzruszył obojętnie ramionami Fredek.

— Co, nie obchodzą cię?!... Jaki z ciebie dziwak! To bolszewicy w Rosji cię irytują, a tu...

— Naturalnie! Cóż ci tu nasi panowie na wysokich organizacyjnych stanowiskach mogą zaszkodzić? Że tam biorą pieniądze, za któreby niejedną krowę kupić można? Niewielka szkoda. Nie będzie krowy teraz, to będzie za rok... Ale tam, w Rosji z Żydów nie pozostanie nic, jak tylko..

— Jak tylko... żargon z nową, bolszewicką pisownią...

W tej chwili przeleciały mimo ich ciężko wlokącego się wozu, dwa małe Fordy z szybkością, którą Arjeh oceniał na 60 km. na godzinę. W powietrzu rozległ się brzęk, jakby ktoś szybę rozbił, względnie jakgdyby struna pękła na olbrzymich skrzypcach. Gęsta chmura porwała się z gościńca, zasłaniając wóz, konie i ludzi.

— Ach, te djabły! Pędzą, jak warjaty — irytował się Fredek.

— To arabscy szoferzy — tłumaczył Arjeh. — Jadą sobie z tą niedozwoloną szybkością, tak: *l'musz fantazja*... Nie rozumiem tylko, gdzie angielska policja. Na drodze Jaffa—Jerozolima, to się ci angielscy dżentelmeni chowali pod mosty. Puściłeś, Bogu ducha winien, maszynę o parę kresek szybciej, a tu... chyc z pod mostu i stop!... Płać bracie karę...

— Wiesz co Arjeh?... Uśmiejesz się ze mnie, jeżeli ci się przyznam, że ilekroć siadam do auta, stale mam uczucie jak wtedy, gdy w Tel-Awiwie, z początku

http://rcin.org.pl

mej palestyńskiej karjery, stałem na trzeciem piętrze na rusztowaniu i wyprawiałem fasadę..

— Dlaczego? Czy ci się w łepecie zawraca?

— Nie. Ale powiedz sam: nie jest-że to karygodna lekkomyślność, powierzać się w ręce jednego człowieka. Niech tylko szofer na sekundę utraci przytomność umysłu lub równowagę rąk, a już jesteś trup, lub na wieki wieków kaleka...

— To znaczy — wnioskował, śmiejąc się Arjeh — żebyś ty nie chciał jechać aeroplanem?

— Za żadne skarby świata! Raczej iść piechotą...

— A to z ciebie baba... Ale wiesz co, Fred? Możebyśmy tak coś przetrącili? Moje kiszki tak się modlą, jakgdybym jeszcze dziś nic nie jadł... Któraż to właściwie godzina?

— Czwarta na mojej cebuli.

— A do cholery! Co to będzie z tem końskiem ścierwem? Przecież my jeszcze nie dojechali nawet do tych Żydków z Jabłonny!

Podczas gdy Fredek wyciągał owinięty w gazetę chleb, sposobiąc również kiełbasę, Arjeh zeskoczył z wozu i począł oglądać klacz... Tak, tak — zadecydował. — Klacz nie była w porządku i to dość poważnie. Była spocona, choć jechali krok za krokiem. Dyszała też ciężko, a rozkraczone przednie nogi trzęsły się, jakgdyby na ich skórze siedziało mrowie dokuczliwych much. Łeb opuściła ku ziemi, a w jej wielkich, lekką mgłą przyćmionych ślepiach, rysowały się przydrożne, figowe drzewa niewyraźną plamą.

— Wiesz co Fred: coś mi się ta nasza Surja nie podoba...

— Możeby jej coś dać przegryźć... Możeby jej narwać świeżej trawy?

http://rcin.org.pl

— Nic to nie pomoże. Już w Hajfie żreć nie chciała... A prosiłem Chaskla, by dał innego konia... Przecież ja Surję znam. To już stary flak. Trza było już dawno ją sprzedać... Mówię ci Fred: niema to jak auto. Zrobi się pancza, dziura na kole, założysz koło zapasowe i jazda... A tu? Trzebaby chyba wziąć kobyłę na plecy i nieść. No, ale jazda dalej, wio!

Po posileniu się chlebem i zimną herbatą, Fred, jakgdyby sobie przypomniał nagle sprawę, ciążącą mu oddawna na sercu, zwrócił się do Arjego:

— Ty, Arjeh, już ci się dawno chciałem zapytać: co to za niewiasta, ta Tirsa Lampel? Ty ją podobno znasz z Jerozolimy.

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, więc w dalszym ciągu pytał:

— Leja tak ją wychwala, że jestem w wielkim kłopocie...

— W kłopocie? — zdziwił się Arjeh.

— A tak. Bo po prawdzie to mi się ta jej Tirsa wcale nie podoba.

— Nie podoba ci się? — naśmiewał się Arjeh. — A ja myślałem, że ty poza Mańką na nikogo się nie patrzysz i nikogo, względnie żadnej z pośród białogłów nie widzisz....

— Bez żartu! Mówię zupełnie poważnie... Ładna, bo ładna. Wszystkie nasze dziewczęta w kąt odstawiła.

— Ładniejsza od Mańki?

— Proszę cię, Arjeh, nie docinaj mi wciąż Mańką! Bo... ja też potrafię... Nie podoba mi się, bo taka jakaś dumna, nieprzystępna... Wiesz Arjeh, kogo ona mi przypomina? Ową królowę Jadwigę... ach, prawda, ty jej nie widziałeś. Była to kamienna figura u nas

http://rcin.org.pl

w miasteczku, w ogrodzie nad stawem. Tam umawialiśmy się na randki... Czy ta Tirsa zamierza u nas pozostać?

— Cóż mnie się pytasz?! Czy to ja jestem jej sekretarzem, lub ojcem?!...

— Ależ, przecież ty ją znasz!...

— Znasz i znasz!... Znam ją z Jerozolimy. Porządny, inteligentny z niej człowiek i tyle; obracała się w towarzystwie gdudowców i stąd nasza znajomość...

— Najdziwniejsze wydaje mi się to, jak ten hycel Szmulik zmienił się od czasu jej przyjazdu. Chłopak — nie ten sam. Nie bije się z chłopcami z Komuny, nie drażni indyków, nie dokucza psom, a nawet do nauki się przykłada. Wczoraj przyszedł ci do mnie na pastwisko i po długich ceregielach prosił mnie, bym się wstawił za nim u Mańki. Nawet-byś za sto lat nie zgadł, czego ten mikrus chciał...

— Czego?

— Ponieważ w magazynie niema ubrania na jego miarę, więc chce, by mu albo nowe uszyto, albo gotowe kupiono... Pytam się go: „a pocóż ci nowe ubranie? Przecież masz buty, koszulę, portki, więc pocóż ci więcej?“ — Jak ci ten smark nie skoczy na mnie z pyskiem: „a cóż wy! Wy myślicie, że ja zawsze i w sobotę będę chodził jak dziad, a wy, to się będziecie stroić!“... W pierwszej chwili myślałem, że pęknę ze śmiechu, taki był komiczny w tym swym gniewie. Wnet go jednak udobruchałem, przyrzekając wstawić się za nim u Mańki, a wypytując go dalej, doszedłem po nitce do kłębka. Wiesz ty Arjeh, że ten smark chce się stroić dla... Tirsy... Ha, ha, ha... Ha, ha, ha... Mam wrażenie, że ten trzynastoletni smyk podkochuje się w tej...

http://rcin.org.pl

— E, do djabła! Wy wszyscy w tej Bet Alfie jesteście na tym punkcie kompletnie pomyleni. Wszędzie widzicie tylko miłość, całowanie się, parzenie... Zdaje mi się, że chorujecie na...

Arjeh nie dokończył zdania. Wóz bowiem tak nagle przystanął, jakgdyby ktoś chwycił za szprychy koła i w miejscu wóz zatrzymał.

— Na Boga — krzyknął przerażony Fredek — co się stało?!

Nim Fredek wymówił te słowa, już Arjeh jednym skokiem znalazł się obok powalonej na lewy bok Surji. Tułów jej wisiał na rzemieniach, któremi wprzągnięta była do orczyka. Łeb zaś, tkwiący w pętlicy naszyjnika, ciągnął swym ciężarem dyszel i wóz do przydrożnego rowu.

Odruchowo poprzecinał Arjeh rzemienie, a wtedy klacz runęła na ziemię, jak podcięty eukaliptus. Z jej nożdży poczęła się sączyć ciemno-czerwona posoka. Nigdy nienasycony brzuch wzdął się, jakgdyby klacz świeżego najadła się koniczu, a długie, dotychczas niechętnie w pracy i pochodzie prostujące się nogi, wyprężyły się nagle z przykładną skrupulatnością, niby żołnierz na odwachu. Jedno i jedyne jej widzące oko zaszło szkliwem, a na aksamitnych brzegach nożdży poczęły spokojnie żerować małe muszki...

Tak, nie ulegało żadnej wątpliwości: Surja zakończyła swój pracowity żywot. Ilekroć Arjeh podnosił łeb klaczy, stale łeb opadał na ziemię bez życia. Był to koniec nieoczekiwany, nagły i bezapelacyjny. Śmierć i nic...

Fredkowi łzy stanęły w oczach. Zdawało mu się, że odszedł od niego ktoś bardzo mu oddany, ktoś

http://rcin.org.pl

drogi, ktoś z najbliższego rodzeństwa. Tu, na tej wielkiej i beznadziejnie smutnej płaszczyźnie, zdala od ludzi i towarzyszy, w obliczu zapadającej nocy, śmierć ta nabierała jeszcze bardziej przerażających rozmiarów. On, Fredek, widział się małym, opuszczonym, godnym litości. Gdyby się nie wstydził Arjego, w głos by się rozpłakał. W żaden zaś sposób nie mógł zrozumieć zachowania się Arjego. Ten bowiem strzelił ze złości kapeluszem w rów i klął, ciskając się jak ukąszone zwierzę.

— A niech to szlak trafi takie zasr... życie. Mówiłem Chasklowi, że klacz jest nie w porządku, a on nic: „jedźcie i basta"... Cholera cię cisła! Nie mogłaś, ścierwo przeklęte, zaczekać, aż przyjedziemy do domu!... Tu się świnia rozłożyła, jak jakaś hrabina w połogu i leży... Do wszystkich djabłów z takiem życiem...

Latał koło wozu i czerwony był, jak burak. Fredek się zląkł, że jeszcze i Arjeh gotów się ze złości rozchorować. Ale odezwać się nie ważył.

— No, czemuż tak stoisz, jak kołek w płocie? — obudził wreszcie Fredka z zadumy głos Arjego. — Cofnij karego z wozem w tył i skręć na prawy brzeg gościńca, a ja tymczasem zepchnę to ścierwo do rowu, żeby jej ktoś nie przejechał.

Nie zdołali jeszcze uporać się z pracą, gdy od strony Hajfy nadleciało auto z turystami. Na widok zapory auto przystanęło. Za szoferem wysiadło z auta dwóch po angielsku rozmawiających turystów. Obeszli zdechłą klacz dokoła, pokiwali głową i wsiedli zpowrotem do auta. W międzyczasie jednak Arjeh zdołał się porozumieć ze szoferem. Ponieważ auto jechało do Tyberjady, łatwo dali się turyści nakłonić, by zmienić kierunek i zamiast przez Nazaret, jechać przez

http://rcin.org.pl

Emek i by w ten sposób umożliwić Fredkowi szybkie przedostanie się do Bet Alfy.

— Słuchaj Fred — pouczał Arjeh siedzącego obok szofera Fredka. — Pojedziesz z tymi pasibrzuchami. Niech Chaskiel zaraz przyśle konia. Ja tu zostanę przez noc. Rano powinien koń już tu być...

Siedzący w aucie turyści krótko coś między sobą pogwarzywszy, zwrócili się do szofera z poleceniem, wyrażonem w angielskim języku. Szofer, wykonując zlecenie, wyciągnął pled z tobołka i wręczył go Arjemu, mówiąc:

— Pled pożyczają ci moi goście na noc, byś nie zmarzł. W niedzielę wracamy przez Bet Alfę, to oddasz.

Arjeh przyjął koc, a siedzącego już w aucie Fredka upominał:

— Pamiętaj! Zaraz niech przysyłają konia, a prócz tego łopatę i kilof.

— A to poco? — pytał zdziwiony Fredek.

— Jakto, poco?... Czy może zostawimy ją tu na gościńcu dla Arabów lub szakali?!... Czy nie zasłużyła sobie na to, by ją pochować? Taka psiakrew drania!... Tu ci przyszła zdychać!

— — — — — — — — — — — — —

Poczęło się rozjaśniać, gdy Arjego leżącego na spodzie wozu obudził tętent konia i głośne: „Hallo" Fredka.

— O, toś się prędko sprawił — przywitał go Arjeh spokojnym już głosem. To pięknie... Narzędzie też przywiozłeś?... Doskonale... A to co?

— Termofor z czarną kawą. Kazali zabrać dla ciebie... Bardzo się tem naszem nieszczęściem zmart-

http://rcin.org.pl

wili. Wszyscy wsiedli na Chaskla, gdy się dowiedzieli, żeś nie chciał zaprzęgać Surji.

— Dużo to pomoże... tyle, co tej zdechłej kobyle owies... Ale teraz nie czas na gadanie. Zabierajmy się, Fred, do roboty. Tylko raźno. Dobrze, żeśmy jej wczoraj nie zepchnęli do rowu. Będzie teraz łatwiejsza sprawa. Wykopiemy w rowie dziurę, ale tak, by nieboszczka wpadła wprost do grobu.

Kopali dobrą godzinę, aż wreszcie ustalili, iż dół jest dostatecznie długi i szeroki. Łopatą i kilofem podważyli oporną — nawet po śmierci — Surję, aż jej nogi przybrały pozycję wycelowanych ku niebu karabinów. A gdy punkt ciężkości ziemskich resztek klaczy przesunął się w stronę rowu, całe ciało z głuchym łoskotem opadło na dół przestronnego grobu.

— No, niema co — mówił nawpół poważnie, nawpół żartem Arjeh. — Wytrwała na posterunku do ostatniego tchu... Niech jej ziemia będzie lekką, a Bóg niechaj łaskawie raczy przyjąć przed swój tron jej grzeszną duszę.

— Amen — zasekundował Fredek.

— A teraz syp bracie ziemię, a ja tymczasem zaprzągnę gniadego.

Gdy Fred uporał się z robotą, zaproponował Arjeh:

— Wiesz co Fred? Zasłużyliśmy sobie uczciwie na śniadanie. Czy jest jeszcze chleb?

— Jest.

— To otwieraj ten twój termofor, a potem kładź się na spód wozu i nakryj się tym amerykańskim kocem. Nie spałeś całą noc, więc cię trzęsienie wozu nie obudzi...

http://rcin.org.pl

— Nawet trzęsienie ziemi nie da mi rady — potwierdził Fredek.

Atoli nadzieje Fredka na twardy, niczem nie zakłócony sen były przedwczesne. Miał wrażenie, że dopiero co zasnął, a już czuł, że go jakieś zgiełkliwe budzą głosy... Nawpół przytomny usiadł na spodniej desce wozu. Przecierając kułakami oczy, patrzył i nie wiedział, czy śni, czy też czuwa... Wóz bowiem — zdało mu się — stoi na gościńcu, a wokół wozu gromada odświętnie ubranych żydowskich kobiet i dzieci. Obok wozu Arjeh z biczyskiem w ręku, a wokół Arjego kilkunastu brodatych Żydów, bez chałatów, w koszulach, ze zwisającemi po bokach „cyces". Wszystko krzyczy, wymachując groźnie rękami.

Niezwykły ten widok spędza z oczu Fredka resztki snu. Zeskakuje z wozu i pierwsze podchwycone zdanie wyjaśnia mu głupią, a komiczną zarazem sytuację, w jakiej się dzięki wczorajszemu przypadkowi znaleźli. Droga ich bowiem prowadziła w tej chwili koło osiedla Żydów z Jabłonny. A ponieważ była sobota. więc chasydzcy chłopi siłą zatrzymali wóz i nie pozwalali Arjemu dalej jechać..

— Szkucem, drabes — krzyczał właśnie jeden z pośród chasydów, młody, o płonących, aksamitnych oczach i płowej, jedwabistej brodzie. — Nie dość, że trefne żrycie, to jeszcze wycieczki w soboty urządzać będziecie!... Po moim chyba trupie pojedziecie!...

Gryząc dolną wargę, szedł Arjeh milczący poprzez cisnącą się ku niemu grupę, a trzymającego za cugle Żyda o czarnej brodzie chwycił za przeguby dłoni tak silnie, iż ten z jękiem opadł na kolana. To naturalnie jeszcze bardziej podrażniło kolonistów-Chasydów. Na krzyki oblegających wóz poczęli spieszyć z leżących

http://rcin.org.pl

na stoku górskim baraków młodsi i starsi mężczyźni... Poczęło się zanosić na porządną awanturę. Widząc to Fredek, podszedł do Arjego i ująwszy go za ramię, odprowadził go na drugą stronę drogi. Tu począł perswadować:

— Słuchaj Arjeh! Tu niema co, trzeba się poddać... Przecież nie będziemy się bili z dziećmi i kobietami... Zaraz napiszą w gazetach, że chalucim napadli w sobotę na chasydzką kolonję... Usłuchaj mnie... Co ci to szkodzi i tak dziś sobota... Zostaniemy tu... Muszą dać koniom obroku, a nam porządny, koszerny obiad... Być może, że mają ryby i ciulent, takie z okrągłym grochem i kiszką nadziewaną kaszą...

— Ha, ha, ha — począł się niespodzianie śmiać Arjeh. — Już jestem ośm lat w Palestynie, a jeszcze mi się coś podobnego nie przytrafiło... Ale masz rację, Fred! Trzeba ustąpić, bo powiadasz, dadzą czulent z kiszką. Doskonała myśl, Fred... Zostajemy...

— Świetnie — zauważył pospiesznie Fred, niezmiernie ucieszony nieoczekiwanem przyzwoleniem Arjego. Zostajemy! Dziewczęta tu, jak widzę, też niczego... Ale pozwól Arjeh, że ja z nimi pogadam. Dobrze?

— Rób, jak chcesz — zgodził się Arjeh, wzruszając ramionami.

Fredek zabrał się dyplomatycznie do sprawy. Z góry oświadczył, że zostają, a następnie opowiedział o wypadku z Surją. Wynikało z tego, a więcej z przekonywującego tonu opowiadającego, że tylko vis major, a nie lekkomyślna chęć grzeszenia, zmusiła ich do naruszenia soboty. Ponieważ jednak kolonistom tak bardzo się o to rozchodzi, więc oni chętnie do zachodu słońca u nich zaczekają...

Chasydzi słysząc słowa usprawiedliwienia i wi-

http://rcin.org.pl

dząc skruchę grzeszników, zmienili natychmiast front; pomogli wyprządz konie, zdjąć z wozu rzeczy, przetransportować to wszystko w górę, między własne baraki. Następnie potraktowali gości zaimprowizowanem naprędce drugiem śniadaniem. A gdy się jeszcze w trakcie rozmowy dowiedzieli, że nieoczekiwani goście są z Bet Alfy, a pochodzą z Galicji, serdecznościom nie było miary i granic.

NA WSI.

Na wsi panowały cisza i spokój. Cisza leżała na polach i górach, a spokój był w tym wietrze, który wpadał przez otwarte okna i wylatywał otwartemi drzwiami. Wylatywał i łączył się z poszumem pszenicznych łanów, a wracał zmieszany z zapachem polnych kwiatów i winnic, z wonią krowiego łajna i świeżo zaparzonej kawy, wlewając w spragnioną duszę złocisto-bursztynowy miód ukojenia i pieszczoty. Słodka i głęboka była cisza mimo przeciągłe a rozgłośne beczenie cieląt w oborze, mimo brzęczenie much na szybach, mimo dźwięczny śpiew skowronków w powietrzu i triumfalne gdakanie kur w kurniku... W ciszy tej wyprzęgały się wszystkie części ciała i leżało się na tym twardym barłogu, jak na kopie... puszystego pierza...

Była sobota i dzień wolny od pracy. Słońce stało już wysoko, a z drewnianego dachu promieniowało ciepło, jak od rozpalonej, kuchennej blachy. Gdy Tirsa spojrzała na zegarek, nie chciała oczom dać wiary. Wszak to już godzina dziesiąta, a ona jeszcze w łóżku! Zerwała się prędko, zarzuciła na siebie suknię, zabrała

http://rcin.org.pl

mydło i ręcznik i na tyłach osiedla — by nikt jej spóźnienia nie zauważył — biegła do baraku, mieszczącego tusze. Gdy wróciła odświeżona kąpielą i poczęła zaczesywać włosy przed ustawionem na stoliku ręcznem lusterkiem, po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaka gwałtowna zmiana zaszła w jej zewnętrznym wyglądzie od czasu jej pobytu w Bet Alfie. Ciemna jej cera nabrała pod działaniem słońca i wiatru oliwkowego koloru; twarz jeszcze pociąglejszą się stała, a jej oczy, z natury wielkie i stale pełne zadumy, patrzały obecnie „we wizje światów zbudowanych sonatą"..

Tirsa uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie owe porównanie, którego autorem był najnowszy jej adorator, czelista Maks... Biedny chłopak! Grał wprawdzie, że aż łzy stawały w oczach, ale coś nie całkiem był z rozumem w porządku... „Jak każdy Jek" *) mówił Chaskiel... Co oni właściwie chcieli od tego biedaka. Czyż należało mu tak dokuczać tylko dlatego, że pochodził z Wrocławia?!... Tirsa niejednokrotnie musiała go brać w obronę przed docinkami, których ten stale zadumany czelista nawet nie rozumiał. Dobrze, że wyjechał na kilka dni z koncertem okrężnym po osiedlach. Nie będą mu przynajmniej dokuczali!...

Ukończywszy fryzurę, w której zawijanie nad uchem warkoczy najbardziej skomplikowany stanowiło szczegół, zarzuciła Tirsa coś w rodzaju fartucha, a zarazem płaszcza, przepasała się wąskim, czarnym, rzemiennym paskiem i postanowiła pójść do Stefki. Po Leji bowiem, która zajęła się nią po przyjeździe do Bet Alfy, jak matka córką, była Stefka najsympatyczniejszą i najbardziej oddaną towarzyszką...

*) Jek — przezwisko stosowane do Żydów pochodzących z Niemiec.

http://rcin.org.pl

Barak, w którym Stefa mieszkała z Moszkiem, przylegał do baraku Tirsy. Gdy Tirsa weszła do pokoju Stefy, zastała ją zamyśloną nad książką.

— Szalom Stefo! Co robisz, modlisz się z okazji soboty?

— Nie! — odpowiedziała zagadnięta, wstając od stołu. — Próbowałam czytać, ale jakoś mi się w głowie kręci.

— A jak zdrowie?

— Dziękuję. Pół biedy — odpowiedziała Stefa, przyczem na jej twarzyczce, małej, jak rajskie jabłuszko, zaświtał smętny uśmiech. W uśmiechu tym— rzecz dziwna — oczy nie brały żadnego udziału. Wysuwały się jedynie drobne, białe zęby, rozciągały się szeroko wąskie usta i lekko drżały spuszczone na pierś krótkie warkoczyki.

— Zawsze w lecie, gdy powietrze z powodu gorąca staje się dusznem, brak mi tchu.

— Mówiłam wczoraj z Leją i uradziłyśmy, byś wyjechała do Jerozolimy. Leja wspominała, że masz tam siostrę.

— Owszem. Zamężna. Byłam u niej zeszłego roku. Ale widzisz Tirso, to nie tak łatwo rozstać się z Hamutal i z Moszkiem.

— Co do Hamutal, to nie potrzebujesz się o nią troszczyć. Będzie pod moją opieką. A co do Moszka...

Tirsa nie dokończyła zdania, pomyślawszy jedynie, że ten zdrowy i młody mężczyzna, o ile go zdołała w ciągu miesiąca poznać, z pewnością zbytnio nie będzie tęsknił za swą, wiecznie schorowaną żoną. Wszak taka to już kolej rzeczy i taka dola kobieca...

— Tak, tak. Ale nie oto tylko chodzi... Przecież ma się również i pewne obowiązki wobec Kibucu...

http://rcin.org.pl

Ja sobie będę co roku wyjeżdżała na lato, niby jakaś wielka pani, a oni tu będą na mnie pracowali i za mnie się męczyli!

— Ależ Stefo kochana, czy sądzisz, że to coś zaważy, jeżeli ty nie będziesz pomagała w gospodarstwie?

— No, zawsze przecież się na coś przydam, mimo moje nieposłuszne serce. Nawet i tę trochę szycia w szwalni coś znaczy.

— Nie przeczę. Ale, jeżeli się musi wyjechać, to wtedy ustają wszelkie względy. A poza tem masz również obowiązek szanowania się dla Hamutal...

— Nie dziw się Tirso, ale ile razy rozmyślam nad sobą, zawsze przychodzi mi na myśl, jak mało mają obcy ludzie zrozumienia dla naszego kibucowego ustroju; jak dobrze to być człowiekiem takiego zrzeszenia, jak nasz Kibuc. Przedstaw sobie, że jestem np. w mieście z moją Hamutal i tu nagle z jakiejś tam przyczyny, czy też przypadku Hamutal zostaje sama... Coby się z biedną sierotą stało? Ktoby się nią zajął?... Tak przynajmniej człowiek jest spokojnym...

Patrząc na mówiącą przyjaciółkę, miała Tirsa wrażenie, że szron ścina delikatną skórę na tej dziecinnej jeszcze twarzyczce, a wokół powiek, dźwigających się leniwo z ponad szarych oczu, zdają się tworzyć świeże zmarszczki... Odruchowo przysunęła Tirsa swe krzesło do krzesła Stefy i objąwszy ją za wychudzone ramiona, poczęła ją gładzić po twarzy i po zimnych dłoniach.

— Stefo, Stefo. Jesteś mizantropem... Poco te wszystkie smutne myśli?!... Nie wolno ci tak myśleć... Pojedziesz do Jerozolimy. Mam tam znajomych leka-

http://rcin.org.pl

rzy. Dam ci listy... Dasz się porządnie zbadać i jestem przekonana, że wrócisz całkiem zdrowa...

— Być może... No, mniejsza z tem... Ale gdzieżeś ty Tirso była podczas śniadania? Szukałam cię wszędzie. Myślałam, żeś wcześniej zjadła i poszłaś do dzieci.

— Nie. Dziś mam wolny dzień. Wstałam jednak dopiero przed chwilą.

— A śniadanie?

— Głupstwo. Zaczekam już do obiadu.

— Dziewczyno! Czy masz dobrze w głowie? Obiad będzie dziś późno, bo dziś sidur awodah... *) I dlaczegóż masz się głodzić?

— Prawdę powiedziawszy, to jakoś nie wypada jeść śniadanie o godzinie jedenastej.

— Och, Tirso, Tirso. Widzę, że z ciebie niepoprawny burżuj. Przedewszystkiem u nas nie uznaje się słów: wypada, lub nie wypada. Następnie powinnaś raz na zawsze pamiętać, że w tym klimacie jeść wypada o każdej porze, gdyż inaczej opadniesz ze sił... Chodź! Pójdziemy razem do kuchni i tam coś ściągniemy.

W kuchni ruch był wielki. Z ponad głównego pieca, z wielkich żelaznych garnków, nakrytych blaszanemi pokrywami unosiła się para, jak z nad wulkanu. Krępa Karola mieszała w głębokim kotle drewnianą, długą warzechą. Szaja, pełniący dziś obowiązki kelnera, stał z podkasanemi rękawami koszuli, opasany niebieskim fartuchem i spłukiwał pod wodociągowym kurkiem blaszane garnuszki. Czerwona, jak burak Mańka, pakowała pod blachę kawałki drzewa, irytując się na ich zbytnią długość:

*) Sidur awodah — ustalenie planu pracy.

http://rcin.org.pl

— Cóż to za niezgrabne chłopy są w tym naszym Kibucu. Narąbią, narąbią, a później to wleźć nie chce!

Przez otwarte drzwiczki pieca dobywał się dym na kuchnię, smolił garnki, gryzł w oczy, zatruwając i tak już z powodu gorąca nieznośną atmosferę.

— Niepotrzebnie się ciskasz — mitygował Szaja gniewającą się Mańkę. — Przecież nie kto inny, tylko właśnie twój Fredek drzewo to wczoraj rąbał.

— A cóż z tego — odcięła się Mańka — że to Fredek. Czy on to już szczyt zgrabności! Taki sam leń i niezdara, jak wy wszyscy...

— Dzień dobry! Cóż to się tak irytujesz Maniu? Czy masz może jeszcze coś ze śniadania? — zapytała Stefka, wchodząc z Tirsą do kuchni.

— Lepiej nie kręciłybyście się niepotrzebnie po kuchni. Obiad ma być za godzinę, a tu drzewo w żaden sposób do pieca wleźć nie chce.

— Ależ Mańka, masz czas. I za dwie godziny nie skończą — zapewniał Szaja, wycierając naczynie mokrym ręcznikiem.. — Wszak dziś obrady i wybory. Jak się to wszystko skończy dziś na drugą, to będzie dobrze.

— Słuchaj Szaja — gromiła na nowo Mańka. — Ileż to razy już ci mówiłam, że naczynia nie obciera się mokrą szmatą. Powieś na piecu i poczekaj, aż wyschnie.

— Poco ma schnąć, jeżeli za chwilę i tak będzie mokrą? — filozofował Szaja.

— A pocóż ty masz jeść obiad, jeżeli i tak za chwilę będziesz głodny? — przyszła Mańce w sukurs Karola.

— Słuchajno Karola! Nie wtrącaj się ty do moich garów, bo ja się też nie wtrącam do twoich — odgrażał się Szaja.

http://rcin.org.pl

— No dość, dzieci. Spieszmy się — łagodziła sprawę Mańka. — Chciałabym i ja też coś dziś usłyszeć.

— Ja także — oświadczył Szaja. — Podobno Arjeh wygłosi dziś swoją mowę kandydacką.

— No cóż, Stefa? Pojadłyście sobie? Może chcecie klusek ze serem? Już są gotowe. A może herbaty?

— Idźże z tą twoją herbatą — obruszyła się Stefa. — Bez cukru! Co też tam oni wyrabiają w tym maszbirze (konsumie), że zawsze pod koniec miesiąca trzeba pić gorzką herbatę.

Nie zważając na słowa Stefy, wzięła Mańka dwa osuszone przez Szaję garnuszki, nalała z kotła gorącej herbaty, podeszła w kąt, w którym stały Tirsa i Stefa, a oglądając się na resztę obecnych, wyjęła z kieszeni fartucha dwie białe, jak śnieg kostki cukru. Wrzuciwszy je do garnuszków, prosiła, kładąc palec na swych czerwonych ustach:

— Tylko sza!... To od Leji dla ciebie i Tirsy... Sza!....

Stefa patrzyła zdumiona na wir, wytworzony przez kostkę, opadającą na dno garnuszka, a Tirsa stała obok zarumieniona, nie mogąc się zdecydować na podniesienie do ust garnuszka. Wprawdzie wdzięczną była Leji za jej pamięć i okazywaną jej na każdym kroku serdeczność, lecz z drugiej strony wstydziła się tego wyróżnienia. Niejednokrotnie też już prosiła Leję, by ją traktowała narówni z innymi ludźmi w Kibucu. Przecież wszelkie udogodnienia, któremi Leja starała się uprzyjemnić jej pobyt w Bet Alfie, wyglądały w oczach ludzi z Kibucu na przywileje. Mogłaż je przyjąć, jeżeli niezłomnem jej postanowieniem było pozostać tutaj?!... Jakżeż mogła liczyć na uznanie jej za członka Kibucu, jeżeli wyróżnianiem zrazi sobie

http://rcin.org.pl

ludzi!... Zyskać zaś sobie ich zaufanie i sympatję nie było rzeczą tak łatwą. Tak. O tem się już przekonała... Większość z nich była zamkniętą, nieufną, stale zaabsorbowaną — jak się Tirsie zdało — jakimś własnym, wewnętrznym problemem... A ona? Czyż była tak łatwą w obejściu? Czyż jej własny „problem"" nie zamykał dostępu do obcych dusz? Czy nie była ona w porównaniu z tymi ludźmi zbyt poważną, zbyt się odosabniającą?...

Tak, to prawda. Tu trzeba się było tak śmiać i tak brykać, jak Lola. Tak z każdym chłopcem być za pan brat, jak Karola. Tak każdego otoczyć matczyną opieką i siostrzaną miłością, jak Mańka lub Leja... No, trudno! Nie wszyscy mogą być według jednego fasonu. Przyjęte na się obowiązki w każdym razie spełnia według najlepszej woli i wedle wszelkich sił. Żadna z matek w Kibucu nie może się chyba skarżyć, że jej dziecko nie ma należytej opieki... Nikomu też dotychczas nic złego nie wyrządziła...

A może ten negatywny stosunek tu nie wystarcza? Możliwe... Ale ma jeszcze czas. Dopiero miesiąc jest w Bet Alfie, a przed sześciu miesiącami sprawa jej przyjęcia nie będzie omawianą.

— Czemu się tak Tirso zamyśliłaś nad tą herbatą? — zapytała Stefa. — Wypij. Pójdziemy na narady. Już się zaczęło.

— — — — — — — — — — — — —

Sala jadalna mieściła się w odrębnym baraku, zajmującym środek prostokąta, utworzonego przez baraki mieszkalne oraz przez budynki gospodarcze, a więc przez stajnie, warsztaty, magazyny. Widocznem było, że osiedle rozrastało się bez wytyczonego z góry

http://rcin.org.pl

planu. W miarę, jak przybywało w osiedlu mieszkańców, dostawiano nowe baraki na wschodniej i zachodniej stronie osiedla. Charakter zaś wszystkich budowli był prowizoryczny. Co roku bowiem spodziewano się przesunięcia osiedla dalej na wschód, na nowo zdobyte placówki nad Jordanem. Na razie wszystko było z drzewa, desek, papy, wszystko nosiło znamiona gospodarczego obozu, zakładanego z pośpiechem, bez ładu i składu. Jedynie dla krów budowano stajnie z betonu, a i kurniki sposobiono z trwałego materjału. A ponieważ po krowach i kurach najczulszą opieką otaczano w kibucu dzieci, więc kto chciał, mógł oglądać dwa piękne, jednopiętrowe domy dzieci. Domy te na razie wisiały we formie planów w jadalnym baraku. Ich budowę miano również rozpocząć wkrótce, choć po prawdzie nikt nie wiedział, jaką porę roku to słowo: „wkrótce"" oznacza. A choć budowy jeszcze nie rozpoczęto, już na tem tle — jak Tirsa miała niejednokrotnie sposobność stwierdzić — istniały różnice zdań. Jedni żądali, by domy były parterowe, a inni twierdzili, iż z przyczyn sanitarno-ekonomicznych, winny domy być piętrowe... Grunt jednak, że plany były i że Berek, który — nim został kowalem w kibucu — był słuchaczem politechniki we Lwowie, mógł codziennie przed obiadem wytykać błędy „zasadniczej natury" i przedstawiać, jakby to „we właściwy sposób" plany należało sporządzić.

W baraku jadalnym wisiały poza planami „Domu niemowląt", również obrazy przywódców robotniczych i sjonistycznych. Był tam między innemi jeden obrazek, przedstawiający kilku staruszków o poetyckich czuprynach, stojących, względnie siedzących w łodzi. Obrazek był bez szyby, upstrzony śladami wypoczy-

http://rcin.org.pl

wających na nim much. Wyróżniał się zaś tem od innych, że u spodu wydrukował Arjeh drugi tytuł: golus — nie Hirschenberga... Pozatem ściany były gołe. Dach był od spodu widoczny. Wisząca w pośrodku sali lampa, przypominała Tirsie żywo ów barak gdudu w Jerozolimie, gdzie to po raz pierwszy zetknęła się bliżej z towarzystwem Szoszany

Zazwyczaj o tej porze był barak jadalny pusty, pominąwszy naturalnie uganiające pod dachem i po stołach wróble oraz Mopsa, wiernego czworonożnego stróża, szukającego pod ławkami chłodnego i cienistego miejsca. Dziś atoli barak był pełny. Wpoprzek baraku stały ustawione ławki, a równolegle do ławek usytuowano na czole sali stół prezydjalny. Przy stole tym siedział Waad *), złożony z pięciu osób: z Chaskla, Moszka, Zygmunta, Fredka i Leji.

Tirsa już kilka razy była obecną na tych wspólnych naradach, a przecież dotychczas nie była wstanie zrozumieć, jak mogły się obrady odbywać w porządku bez przewodniczącego. Waad bowiem składał się z równouprawnionych członków, a podrzędne zazwyczaj stanowisko sekretarza urastało tu do pierwszorzędnego znaczenia. Sekretarz był właściwie tym, który obrady zagajał i je prowadził. Gdy się razu pewnego Tirsa zapytała Leji, skąd się to bierze i jak może kibuc rządzić się bez głowy, otrzymała odpowiedź, która, co prawda, niezupełnie ją zadowoliła...

— O to właśnie chodzi — tłómaczyła jej wtedy Leja. — Nie potrzebujemy głowy, którąby sobie wmawiała, Bóg wie co, i którejby się wnet zachciało wszystkimi i wszystkiem rządzić... Tak, wola wszystkich dochodzi do głosu.

*) Waad — wydział, komitet zarządzający.

http://rcin.org.pl

Może — Leja miała rację. Wszak Leja należała do kibucu już parę lat i wiedziała, co jego ustrojowi wychodzi na pożytek, a co szkodzi. Ale w głębi duszy nie mogła się Tirsa pogodzić z tą formą rządów. W ten bowiem sposób cała praca przechodziła na sekretarjat, który, nie mając naturalnie odpowiedniego autorytetu, nie mógł wielu rzeczy załatwić... Dziś np. sekretarzem był Fredek. A przecież Tirsa poznała go już na tyle, by zdać sobie sprawę z tego, iż był dobrym i uczynnym, ale ani się umył do energicznego Chaskla, do gospodarnego Moszka lub do inteligentnego Zygmunta. Z drugiej jednak strony — przyznawała Tirsa — wyłączone były z pod zakresu czynności Waadu decyzje, związane z samem gospodarstwem. Tu decydowali towarzysze, doświadczeni w odnośnych działach gospodarstwa.

Z tych zaś wszystkich, którzy tu, w kibucu ton nadawali, najmniej zrozumiałą wydała się jej Leja. To też niejednokrotnie stawiała sobie Tirsa pytanie: jest-że to ta sama Leja, która tam, w Talpjot sprzątała, gotowała i myła garnki? Byłaż to samodzielna, w najważniejszych sprawach kibucu decydująca, przez wszystkich poważana dziewczyna, tą Leją, która u nich spełniała podrzędne funkcje służącej? Tu bowiem Leja miała pod swym zarządem magazyn żywności; ona jeździła do maszbiru w Ejn Tabun na zakupy; u niej zgłaszano zapotrzebowanie z różnych gałęzi gospodarczych; ona układała wspólnie z dyżurującymi kucharzami i kucharkami menu. Odnośne wprawdzie obrady były — jak na kibuc przystało — demokratyczne. Atoli uczestnicy obrad z góry przygotowani byli na to, że będzie tak, jak Leja postanowi. Tam, w Talpjot nie chciała Leja sama decydować o tem, co ma być na

http://rcin.org.pl

obiad, a tu, co Leja powie, to tak jak gdyby ktoś szybę rozbił. Przepadło i nie może być inaczej...

I nie było to wypływem dyktatorskich ambicyj ze strony Leji. Nie! Wszyscy bowiem chętnie poddawali się jej silniejszej woli, uznając jej przyrodzoną mądrość, jej wypróbowane przywiązanie do kibucu, jej niewyczerpującą się nigdy cierpliwość i dobroć. Odnoszono się do niej z czcią i z miłością. Do niej szły dziewczęta kibucu o poradę w sprawach intymnej natury. I te, które nie chciały mieć dzieci, jak i te, które spodziewały się porodowych bólów. Do niej szło się na skargę, gdy ktoś kogoś zdradzał i za jej pośrednictwem można było dyskretnie załatwić sprawę wspólnego pokoju w chwili, gdy „który z którąś“ się porozumieli i chcieli razem zamieszkać... Leja też czuwała nad tem, by sroki — jak Fredek je nazywał — nie szły zbyt późno spać, by się zbyt daleko nie wydalały w noc, dzwoniącą rechotem żab, pachnącą świeżo skoszoną trawą, wabiącą nieprzeniknioną tajemnicą mroku... Wszystko to czyniła Leja tak delikatnie i z taką wyrozumiałością, że jej nikt tego nie brał za złe.

Tak, Tirsa nie poznawała dawnej Leji. Tu, na tym swoistym, rodzimym gruncie wydała się postać Leji większą i silniejszą, a przedewszystkiem obcą. To też niejednokrotnie, gdy Leja się do niej zwracała, dopiero głos przypominał Tirsie, że przecież ich dusze już dawniej się odnalazły w serdecznej przyjaźni i że już dawniej, jak siostry, do siebie się zbliżyły... Objawieniem była też dla Tirsy możliwość stwierdzenia, jak ludzie rosną, postawieni przez przypadek lub przez własną wolę przed wielkie zadania. Czy też ona, Tirsa, zdolną by była do takich przemian?... W jednem tylko Leja przypominała Tirsie ową Leję z Talpjot. A to wtedy,

http://rcin.org.pl

gdy w wielkim będąc afekcie — tak jak np. w tej chwili — zakładała ręce na biodra i domagała się czegoś, lub odmawiała. Wtedy miała Tirsa wrażenie, że oto znów są razem na tarasie kamiennego domku w Talpjot... Leja targuje się z Arabką, a do niej, siedzącej na leżaku, zbliży się za chwilę kochany Hektor ze swą niemą pieszczotą wilgotnego języka.

— A ja wam powiadam, że nie jest to — jak wam się zdaje — rzecz błaha. Nadchodzą gorąca; okres różnego rodzaju chorób. Pamiętacie, jak zeszłego roku tyfus się zmniejszył, gdy poczęto codziennie sypać wapno na podłogę i do dołu kloacznego?...

— To można i teraz robić — przerwał ktoś ze słuchaczy przemawiającej Leji.

— Można, ale to samo nie wystarcza. Trzeba utrzymywać czystość, a nie tak, jak teraz, że zawsze podłoga jest zalana...

— No, sądzę Lejo, że dość będzie na temat klozetów — przerwał tym razem Chaskiel. — Wnoszę, by na razie sprawić sprężyny do drzwi wychodkowych i umieścić napisy, przypominające obowiązek utrzymywania czystości.

— Czy — pytał Fredek zebranych — ma ktoś coś przeciw wnioskowi Chaskla?... Nikt... Przyjęto... A teraz przechodzimy do następnej sprawy. 'Prosiłbym jednak, by się nie rozwodzić (głos z pośród słuchaczy: u nas niema małżeństw, więc niema rozwodów!...) długo, bo musimy jeszcze wybrać dziś delegata na konferencję Organizacji robotniczej w Petach Tikwie. Po kolei przemawiać będą w sprawach porządku dziennego Mańka, Moszek, Lipek, a następnie odbędzie się krótka dyskusja, poczem wybory.

— Ja — mówiła, rumieniąc się i krztusząc Mań-

http://rcin.org.pl

ka — chciałam tu poruszyć (głos na sali: kogo, Fredka, Tu nie wolno...).

Docinek ten chichotającej w kącie Loli, wywołał ogólny śmiech i całkiem zbił z tropu mówczynię.

— Ja chciałam się tylko, no tak, chciałam, właściwie mówiąc, ja muszę się zapytać — jąkała się w dalszym ciągu Mańka — jak mamy postępować, gdy ktoś wstępuje do kibucu? Czy należy żądać od niego całego uposażenia, czy też my mu mamy dać wszystko z magazynu? Jest to rzecz bardzo ważna. Bo np. może ktoś przyjść bez butów, a my musimy mu dać buty dobre. A prócz tego i w naszym magazynie się nie przelewa...

— Ale wody do mleka, to się dolewa — mówił półgłosem do swej sąsiadki, Dory, stojący obok Tirsy Berek, kowal.

Na to oszczerstwo oburzyła się Mańka, tak, aż jej łzy stanęły w oczach.

— No dość — mitygował ją Fredek. — Głos ma Moszek.

— Chodzi mianowicie o to. Zgłaszają się ostatniemi czasy ludzie i chcą jechać na krótszy, względnie dłuższy czas do domu, to znaczy, przepraszam, chciałem powiedzieć: za granicę. Jest więc kwestja, czy kibuc ma ponosić koszta wyjazdu? Jeżeli tak, czy w całości, czy też w części?...

— Z próżnego i Salomon nie nalewał — z miejsca rozwiązywał problem chudy i wysoki, jak tyka Kałmek.

— Tak, to jest racja — przyznawał Moszek. — Że w kasie niema pieniędzy, jest rzeczą wiadomą.

— O, jeszcze jak wiadomą — przymawiał ktoś z obecnych.

http://rcin.org.pl

— Ale z drugiej strony, albo jesteśmy komuną, to w takim razie musimy pokrywać wszystkie potrzeby naszych ludzi, a jeżeli nie jesteśmy, to w takim razie...

— To co, to co? — pytano z różnych stron.

— Spokój! — wołała z poza stołu Leja, której w sukurs przyszedł Chaskiel swym silnym barytonem:

— Sza chewraja! Przecież wiecie, o co chodzi. Czemu się denerwujecie?... Czy skończyłeś Moszek?

— No... niby skończyłem.

— A to w takim razie głos ma Lipek.

— Lipek! Lipek! — wołano na wszystkie strony.

— No, cóż się tak udzieracie, przecież jestem — mówił Lipek, wskakując poprzez okno i mrużąc przytem figlarnie jedno oko. — O co właściwie chodzi?

— Masz głos — informował Lipka Fredek. — Mów, co masz na sercu.

— Nie, nie! — wołała Lola. — Jak będzie mówił o tem wszystkiem, co ma na swojem lekkomyślnem sercu, to nigdy nie skończy.

— A będziesz ty cicho, ty pyskata sroko — beształa ją Leja.

— A więc sprawa ma się następująco — rozpoczął Lipek. — Jako tak zwany „referent mieszkaniowy“ mam ostatnio tyle kłopotów, że muszę słyszeć w tej sprawie, co koledzy, no i... koleżanki też... co sądzicie o tem. Mianowicie sprawa ma się następująco: W ostatnim czasie „bawi“ u nas dużo gości. Otóż jednemu z nich oddałem mieszkanie, opróżnione po... no, nie powiem. Otóż ten bez nazwiska, gdy wrócił, był z tego zakwaterowania bardzo niezadowolony... Toby była jedna sprawa. A teraz sprawa druga. Co mam robić, jeżeli dwoje chce mieszkać razem?

http://rcin.org.pl

— Tylko bez nazwisk... Zamknąć oczy i odejść... Pobłogosławić... Cicho!... Nie przeszkadzać... Mów Lipek dalej...

— Spokój!

— Spokój!... Więc pytam się, co w tym wypadku mam zrobić... Toć na zwolnione przez nich miejsca nie da się przenieść innych, bo między tymi nowymi współmieszkańcami niema sympatji... A teraz sprawa trzecia...

— Odebrać mu kartkę, bo inaczej nie skończy ze swemi sprawami — domagał się Berek.

— Berek, nie masz głosu — stwierdzał z poza stołu naczelnictwa Fredek.

Ostatnia uwaga Fredka wywołała śród obecnych salwę śmiechu. Berek bowiem znanym był z tego, że w chórze kibucu śpiewał fałszywym głosem.

— A więc powiadam: nadchodzi, a nawet już jest lato Zeszłego roku w lecie, w barakach ustawionych równolegle do wiatru zachodnio - wschodniego, nie można było mieszkać z braku powietrza. Pytam się więc, co będzie tego roku?... Osobiście, jestem zdania, że należy coś wybudować...

— O ile naturalnie plany budowy zrobi Berek — naśmiewał się z Berka tym razem krawiec Kałmek.

— ...może szałas, może namioty, czy ja wiem. Należałoby więc uchwalić, co najmniej 35 piastrów na ten cel.

— Czyś zwarjował?! — wołano ze wszystkich stron. — Trzydzieści pięć piastrów! Skąd je wziąć?... Nie poduszą się w starych barakach... Niech śpią nago, będzie im chłodniej... Na przyszły rok i tak się przenosimy... Trzydzieści pięć piastrów! Jeszcze czego!

— Spokój, spokój!

http://rcin.org.pl

Nastąpiła krótka dyskusja. Tirsa przysłuchiwała się z wielkiem zainteresowaniem całemu przebiegowi obrad. Nie obchodziło ją tyle, co mówiono, ile — kto mówił. Tu bowiem była sposobność poznania ludzi, do których w codziennem zetknięciu nie znajdywała drogi. Każdy zazwyczaj obcował w pośrodku swej szczupłej grupy, do której przynależność okupiona była długiem wspólnem pożyciem, pamięcią wspólnie przeżytych dni w walce i cierpieniu, smutku i radości. Ona, Tirsa — była dla większości obcą, a mała garstka przyjaciół, których zdołała sobie zjednać, nie była w stanie użyczyć jej klucza do duszy i serc reszty. Na tych zaś zebraniach przejawiały się, jeżeli nie serca, to w każdym razie charaktery. Odnośnie zaś co do przebiegu obrad, to było zupełnie jasnem, że Waad ma we wszystkich tych sprawach z góry ustaloną opinję. Jasnem również było, że Chaskel, przemawiający jako pierwszy w dyskusji, narzuci zebranym wolę Waadu.

Nie czekała więc na wynik, lecz poszła w kierunku swej „pracowni“. Tak Tirsa nazywała ów barak, w którym na zmianę z Dorą pracowała. Barak ten mieścił „Dom niemowląt“. Niemowląt było nie wiele. Kibuc bowiem był jeszcze młody, a więc mało było dzieci poza temi, które przyjechały tu do swych sióstr i braci. Praca też nie była zbyt ciężką. Tirsa żywiła jednak nadzieję, iż dzięki swej praktyce w Hadassie będzie mogła i w innym kierunku być ludziom z kibucu pomocną. Tu i ówdzie zdarzali się przecież jacyś lżej ranni, których trzeba było opatrzeć, jacyś chorzy, którymi trzeba się było opiekować aż do zbadania przez lekarza, względnie aż do chwili przewiezienia do szpitala. I jakkolwiek do szpitala, do Ejn Charod,

http://rcin.org.pl

nie było daleko, to przecież ręka doświadczonej pielęgniarki mogła się przydać w tak licznem zbiorowisku ludzi.

A Tirsie zależało na tem, by się okazać pożyteczną. Do Hadassy wracać?... Znów do tego ula intryg, walk i bajek?... Znów w pobliże Karola, Kapłana i Racheli Kaspi?!... Nie! Tu przynajmniej był spokój. Nie zajmowano się tu drugim ponad normalną miarę. Nie było tu naczelników, przymusu, służby, kaprysów, raportów... Prawda, człowiek rzadko był sam, rzadko mógł myśleć i żyć według własnych reguł. Lecz czyż to w jej położeniu nie było obojętnem!... Wszak największym jej wrogiem była dotychczas stale jej własna myśl. Zwłaszcza teraz, gdy ani o krok nie zbliżała się do celu... Do jakiego celu?... Czego ona właściwie chce i wyczekuje?... Czyż jadąc tutaj, nie uważała za największe szczęście, iż będzie mogła żyć obok niego, widywać go, a czasem obojętne bodaj zamienić z nim słowo!... A teraz... A więc prawda: to jej nie wystarczało... Więc cóż z tego? Czy było zbrodnią, że nie mogła serca opanować, że za dnia szukały go jej oczy po podwórzu, przy stole, na drogach wiodących do osiedla. A w nocy... w nocy niosło się ku niemu ciało; wyciągały się ramiona, wołała krew... Jestże to w jej mocy? Wszak stara się nie zbliżać się do niego, omijać go i nie myśleć o nim... Cóż jednak ma zrobić, jeżeli nie może nad myślą tak zapanować, jak panuje nad ciałem i słowem...

...Byłoby lepiej i mądrzej wogóle tu nie przyjeżdżać, albo — zaraz wyjechać!... Może. Prawdopodobnie byłby to odpowiedni środek... Możeby to było odpowiedniem, radykalnem lekarstwem... Atoli na to trzeba mieć więcej siły, niż ona posiada.

http://rcin.org.pl

A co będzie dalej?... Nic!... Cierpieć i milczeć!... Żeby też przynajmniej można się przed kimś zwierzyć, zrzucić z siebie połowę tego ciężaru, wypłakać połowę goryczy i bólu... Lecz przed kim?... Przed Leją lub Stefą?... Czy one domyślają się czego?...

A on! Czy wie?... Czy nie byłoby właściwiej pójść i powiedzieć mu: Słuchaj Arjeh! Tak i tak; co ty na to?... Co kryje się za tą zimną życzliwością, za tym chłodnym, uprzejmym, nieco smutnawym uśmiechem, którym wita ją i żegna? Dla czego dziś mniej serdecznym i otwartym jest wobec niej niż wtedy, podczas ich wspólnych wycieczek autem!... I to właśnie teraz, gdy — zerwała z Karolem — dla niego...

Myśl ostatnia uderzyła w nią taką olśniewającą prawdą, że przystanęła... Dla niego? Czyżby rzeczywiście ze wszystkich głównych motywów, kierujących jej postanowieniem ten właśnie, ten jedynie był miarodajnym, — ten, który sobie dotychczas najmniej uświadamiała?... A więc dla niego to zrobiła! Jestże to możliwe?... Czy istnieje w człowieku podświadomość woli? Czy można temu podświadomemu zaufać i zawierzyć swój los?...

— Szalom Tirso!

— O, jak się masz Szmulik? A gdzież to tak uzbrojony — w sobotę?

— E, jedziemy z Fredkiem na paszę. Czekam na niego, aż wyjdzie z baraku. Konie już gotowe.

— A jedzenie zabrałeś sobie?

— Owszem, mam w torbie. — Tirso, chcesz widzieć coś ładnego?

— Cóż takiego?

— Baśka ma źrebiątko. Takie słodkie i ładne, jak sarna. Chodź zobacz! Nic się nie bój.

http://rcin.org.pl

Tirsa przyjęła zaproszenie i zamiast do „Domu niemowląt“ poszła za kroczącym przed nią Szmulikiem w stronę stajen. Przeszli przez całą szerokość podwórza, po którym spacerowały zagniewane indyki, orząc opuszczonemi skrzydłami ziemię i dobywając z czerwonych gardzieli głos przypominający Tirsie głos — Racheli Kaspi... Jak zawsze tak i teraz patrzyła Tirsa z uczuciem strachu na byka Buttermana, stojącego w pośrodku prowizorycznego ogrodzenia. Ważył on, według zapewnienia Szmulika, ośmset kg. i był wcieleniem zapładniającej siły. Nogi jego były jak kłody eukaliptusowe, a tułów jak lokomotywa. Z łba, podobnego do zawieszonego w powietrzu kowadła, patrzyły oczy niewinne, tajemnicze i pełne dobroci. U pyska miał przymocowany łańcuch, którego drugi koniec przytwierdzony był do drewnianego pała.

— Cóż Szmulik, nie boisz się ty Buttermana?

— Bać się, nie boję. Przecież — przywiązany. Ale Moszek powiedział, iż wszędzie mogę iść sam, tylko do tego byka mi nie wolno.

— O, jak cię znam, to z pewnością już próbowałeś...

Szmulik popatrzył na Tirsę i zaczerwieniwszy się, nic nie odpowiadał.

Gdy mijali koryto do pojenia bydła, (koryto sporządzone z greckiego sarkofagu wykopanego na pobliskim stoku górskim), uleciało z jego wnętrza stado wróbli i gołębi. Łopot ich skrzydeł jeszcze w większą złość przyprawił zagniewane indyki, budząc ze snu Achbara i Muśkę, psy strzegące stajen. W stajni panował mrok. Czuć było zapach końskiego łajna i potu. Konie stały przywiązane do drewnianych żłobów. Za zbliżeniem się Szmulika odwracały łby i rżąc lekko,

http://rcin.org.pl

grzebały nogami. Muły natomiast, — które Tirsa, ku wielkiemu ździwieniu Szmulika, odróżniała od koni jedynie po ich wielkich, kłapciastych uszach — trwały ze spuszczonemi łbami ospałe i — jak się Tirsie zdawało — smutne.

Zbliżywszy się do kojca, w którym stała młoda klacz syryjska, zwana Baśką, zatrzymała się Tirsa w korytarzu, podczas gdy Szmulik, otworzywszy furtkę, śmiało wchodził do wnętrza.

— Wchodź Tirso. Nie bój się. Ona ci nic nie zrobi. Pogłaskaj ją... O popatrz się tu, w kącie...

Na posłaniu, sporządzonem ze świeżej słomy, w kącie obok żłobu, leżało zwinięte w kłębek źrebię o skórze ciepłej i delikatnej jak jedwab. Szmulik usiłował postawić je na nogi, lecz na próżno.

— Czy wiesz Tirso, że Baśka się z nim porozumiewa?... Ale jak się nikt nie patrzy... Przyłóż rękę do jego nożdrzy... Co? Czy nie czujesz, jak gdybyś się dotknęła policzka Kuszi!...

Tirsa mimowoli się roześmiała. Wszak trzechletnia, czarna i kędzierzawa Kuszi, sierota — była ulubieńcem kibucu.

— Słuchajno Szmulik, — zagadnęła Tirsa chłopaka, gdy po wizycie złożonej Baśce wychodzili ze stajni, — jakże tam z twoją nauką? Uczysz się ty czego, czy tylko znów tak sobie?... Już dawno cię nie egzaminowałam. Jak wrócisz z pastwiska, zgłosisz się. Zobaczymy, co umiesz...

Beztroska mina Szmulika spoważniała nagle. Łzy stanęły mu w oczach. Tirsie żal się zrobiło, iż zakłóciła chłopcu radość, więc dodała:

— No, dziś sobota. Odłożymy to na jutro... Pa-

http://rcin.org.pl

miętaj jednak! Przyjdziesz po obiedzie do Domu niemowląt... A tam w polu nie uganiaj zanadto...

— Tirso, Tirso! — wołano z pod baraku, stojącego samotnie na granicy między Bet Alfą a sąsiednim osiedlem Chef Cibą.

Wnet też Tirsa zauważyła Lolę, biegnącą ku niej w tradycyjnych, niebieskich portkach, przepasaną — mimo sobotę — nieodstępnym powrózkiem. Gdy stanęła przed Tirsą zdyszana, ledwo ją Tirsa mogła zrozumieć.

— Chodź prędko Tirso! Heli się coś stało. — Jakieś konwulsje. Kopie i gryzie. Nie można do niej dostąpić. Leja tam jest. Szukamy cię już długo.

Gdy Tirsa weszła do pokoju i rzuciła okiem na łóżko i na leżącą na łóżku w podartej koszuli, bladą Helę, wyprosiła przedewszystkiem dziewczęta, a następnie, zbadawszy puls i wypytawszy Lolę, jako współlokatorkę Heli o przebieg napadu, zrozumiała, że jest to spotęgowany „macaw ruach“, ów tak częsty w kibucu stan przejściowego, duchowego rozprzężenia, coś pośredniego — zwłaszcza u dziewcząt — między zwykłym „katzenjamerem“, a melancholją, względnie histerją.

— No, nic nie jest — zwróciła się po chwili Tirsa do stojącej obok łóżka Leji. Nerwy!... Dam jej trochę bromu, a ty Lolu zostaniesz przy niej, aż zaśnie... Szukając zaś za przyczyną napadu, przypomniała sobie Tirsa, iż wczoraj był dzień poczty.

— Nie wiesz, — zapytała Loli — czy Hela dostała wczoraj listy?

— Tak. Widziałam, jak czytała. Zdaje się, że z domu.

— Więc mamy przyczynę choroby — tłómaczyła

http://rcin.org.pl

Tirsa, poprawiając posłanie i nakrywając chorą prześcieradłem. — Przypuszczam, iż po bromie atak się już nie powtórzy. Gdyby jednak coś się stało, to wiesz Lolu, gdzie masz mnie szukać.

— Jak zjemy, — dodała od siebie Leja, — to przyślę tu kogoś na zmianę. Chodźmy Tirso, bo obiad się już zaczął.

— Jakto, — zdziwiła się Tirsa, — czy obrady się już zakończyły?... Kogo wybrano?

— Wybory odłożono na wieczór. Mańka mówiła, że już późno i jedzenie będzie zimne... Ale wracając do Heli, czy nie sądzisz Tirso: może trzeba posłać po lekarza? U niej te ataki zbyt często się powtarzają.

— Tu, mojem zdaniem, lekarz dużo nie pomoże. Według mnie trzebaby Helę gdzieś wysłać. Zmiana powietrza i otoczenia dobrzeby jej zrobiła.

— I ja już o tem myślałam... Ale to tak trudno w naszych warunkach. Teraz właśnie tyle roboty w polu. Potrzeba ludzi. A prócz tego... Wiesz przecież, że... że każdy piaster to u nas majątek...

— Posłuchaj Lejo. Tylko spokojnie i bez obrazy. Wiesz, że ja mam kilkanaście funtów zaoszczędzonych.

— Proszę cię, Tirso, nie gadaj głupstw!... O tem nie może być mowy...

— Ależ Lejo! Przecież ja jestem tu u was i chcę tu pozostać. Dlaczegóż wy się macie dzielić ze mną, a ja z wami nie.

Przerwały rozmowę, ponieważ wchodziły do sali jadalnej. Tu jednak wszystkie miejsca były już zajęte, tak iż Leja zaproponowała:

— Wiesz co, Tirso, pocóż mamy się tu gnieść; siadajmy na schodach...

http://rcin.org.pl

— Owszem.

Zabrały łyżki, widelce i dwa blaszane talerze i usiadły na kamiennych stopniach, przed progiem, obok wylegującego się w słońcu Mopsa.

— Cóż to tak dziś pełno? — pytała Tirsa.

— Goście z Tel Awiwu, oraz kilku bezrobotnych w drodze do Daganji. Przyjechali również znajomi Dory. A i z Ohelu przybyli do nas z wizytą. Dają dziś w Tel Josef przedstawienie, więc przyszli nas odwiedzić... Czy pojedziesz z naszymi do Tel Josef?

— Nie. Nie mam ochoty... Ale wracając do tego, o czem przed chwilą rozpoczęłyśmy mówić...

— Nie! Co do tego, to szkoda słów, droga Tirso.

— Ależ, dla czego Lejo? Przecież te pieniądze nie są mi potrzebne. A prócz tego. Tu nie chodzi tylko o Helę. Przecież wiesz, że stan Stefy jest poważny. Kobieta musi w najbliższym czasie stąd wyjechać. Jej serce — wiesz przecież...

— Po pierwszym będą pieniądze od kupca z Hajfy za owies, to —

— Nie można, kochana Lejo, czekać do pierwszego. Stefa musi zaraz wyjechać, a w kasie, jak mi Fredek mówił, niema nawet na znaczki... Wogóle nie rozumiem cię Lejo. Przecież to dla mnie obraza... Jakżeż ja mogę liczyć na innych ludzi z kibucu i spodziewać się, że mnie uznają za równą i godną przyjęcia do kibucu, jeżeli ty Lejo...

— O, co do tego, to możesz Tirso być spokojną. Moja to już w tem głowa. Jeżeli zechesz, to jutro... nie, zaraz możesz być przyjętą...

— No, cóż to tak na progu rozsiadłyście się razem z Mopsem? — pytał Szaja, niosąc na wielkim, jak koło od wozu, półmisku, kluski sporządzone z ziem-

http://rcin.org.pl

niaczanej mąki. — Chcecie klusek?... bo jak nie, to przez protekcję mogę wam przynieść jajecznicy...

— Ty nas, Szajo — zaprotestowała Leja — nie proteguj. Jajecznicę zanieś komu się należy: Stefie, Heli. Nam zaś dej klusek...

— Popatrz się Lejo — kontynuowała Tirsa rozpoczętą rozmowę. — Już ci to dawno chciałam powiedzieć: ja wiem, że ty masz tu wielkie słowo i jeżeli ty zechcesz, to z pewnością nie odważą się prośby mej nie przyjąć. Atoli winnaś zrozumieć, że ja wtedy będę się tu dobrze czuła, gdy mnie przyjmą z własnej, dobrej, nieprzymuszonej woli... Ja nie chcę żadnych wyróżniań... Pamiętasz, jak się u nas w Talpjot gniewałaś, gdy leżałaś przeziębiona w łóżku, a ja chciałam za ciebie posprzątać?! Pamiętasz, jak się zerwałaś z łóżka i omal żeś mię nie zbiła?...

— Tak, to co innego...

— Nie Lejo! Irytowało cię wtedy to, że chciałam ci ulżyć. Nie chciałaś korzystać z protekcji i przywilejów... Zrozumże więc, że ja też nie żądam i nie chcę, by mnie inaczej traktowano niż Dorę, Stefę, Karolę i wszystkie inne dziewczęta.

— Tu, co innego, a tam w mieście, — co innego.

— Nie, nie masz racji Lejo... Ale o co właściwie chodzi. Zgódźmy się na kompromis. Ja pożyczam Kibucowi pieniądze... Nie! Jeszcze lepiej! Ja pożyczam je tobie, oddasz mi, gdy będziesz miała. Zgoda?

— Cóż robić, jeżeli tak już obstajesz przy swojem... No, a teraz jedz, tylko porządnie, całą gębą, tak jak nasi chłopcy jedzą, a nie jak w Hadassie... Tu są rodzynki zamiast cukru... Wiesz, co mi przed chwilą przeszło przez głowę?

— ?

http://rcin.org.pl

— Czytam teraz, w nocy, gdy usnąć nie mogę: *misbrauchte Kraft, Ellen Key.* Zapewne znasz tę książkę?

— Czytałam ją, ale już dawno temu.

— Otóż wczoraj wyczytałam zdanie, które mi się tak spodobało, że je sobie wypisałam. Przeczytaj!

Tirsa wzięła kartkę, podaną jej przez Leję i czytała na wpół głośno: „Es ist ein grosser Irrtum der Frauenemacipation gewesen, dass sie das Hauptgewicht auf die Arbeit der Frauen und nicht auf ihr Arbeitsgebiet gelegt hat“...

— No, cóż ty na to, Tirso?

— Ja sądzę, że jest w tych słowach dużo prawdy.

— A mnie się zdaje, że jest to pełniusieńka prawda... Myślałam właśnie o tem, tam przy łóżku Heli... Naprzykład ona, Hela... Delikatna, wychuchana, słabowita, jedynaczka. Poszła, jak większość naszych z hasłem: fizyczna praca, praca na roli, komuna... Czyż nie byłoby słuszniej dla niej, a dla wszystkich lepiej, gdyby przy swych warunkach głosowych ukończyła konserwatorjum i została śpiewaczką?... Albo weźmy naprzykład taką Lolę... Bardzo się o nią boję...

— O Lolę? Cóż ty mówisz?... Przecież między wami niema chyba bardziej zadowolonej, weselszej i szczęśliwszej istoty, jak Lola...

— To się tylko tak zdaje. Czy nie słyszałaś jednak o tem, że czasem zamknie się w stajni i beczy, że aż się serce kraje?!...

— Nic o tem nie wiedziałam. Dziwne, to dziwne... A ja myślałam...

— A to wy tutaj? — wołał uradowany Fredek. — Szukam ciebie, Lejo. Uradziliśmy bowiem z Chasklem,

http://rcin.org.pl

by dziś wieczór, zanim wiara pojedzie do Tel Josef, urządzić sicha *) przed wyborami. Chaskel twierdzi, że ludzie jałowieją i że należy się im trochę strawy duchowej...

— Jakżeż mają nie jałowieć, — dodała od siebie Leja — jeżeli pracują jak niewolnicy. Toć już ręce opadają z roboty...

— Więc się zgadzasz?... To w takim razie ogłoszę na sali.

— A kto zagaji?

— Naturalnie, że Zygmunt... Taib?

— A na jaki temat odbędzie się pogadanka? — dopytywała się Tirsa Leji, gdy Fredek wszedł do baraku.

— To już zostawiamy Zygmuntowi. On sam obierze temat. Być może, że w czasie pogadanki wyjdzie w końcu na coś zupełnie innego, niż to, od czego zagajono. Ale to już tak u nas... A co ty masz za zamiary na popołudniu?

— Ja? Czy ja wiem!... Będę pisała listy, a potem pójdę się przejść.

— Idź, idź! Siedzisz cały tydzień w tym gorącym baraku... Ja jutro jadę na zakupy do maszbiru, więc muszę przygotować spis potrzebnych rzeczy.

W EUKALIPTUSOWYM LASKU.

Tirsa wzięła ołówek i papier i postanowiła pójść do lasku. Słońce wprawdzie stało jeszcze wysoko, atoli nagrzane ściany baraku wydzielały ciepło na zewnątrz, wytwarzając w pokojach zaduch, którego nie

*) Sicha — pogadanka.

http://rcin.org.pl

można było usunąć nawet poprzez otwarte drzwi i okna.

Na polu niebo było tak czyste, a błękit tak wysoko sklepiony, że Tirsa widziała nad sobą kopułę niebios, jakgdyby odźwierciadlającą się na dnie szmaragdowego stawu.

Przeszła poprzez podwórze osiedla i za chwilę stanęła poza obrębem baraków, na wąskiej drodze, prowadzącej pośrodkiem młodych winnic, błyszczących w słońcu, jak gdyby ktoś ich liście klejem posmarował. Tu i ówdzie, na lewo i prawo, prowadziły na wnętrzu winnic miarowe aleje, wysadzane młodemi pinjami. Aleje te, jedyny zbytek, na który sobie osiedle pozwolić mogło, zarośnięte były gęstą trawą. Znać, że drzewa sadzono według jakiegoś ogólnego planu, gdyż wszystkie aleje wspinały się na stoki gór Gilboa, tam, gdzie między szarymi odłamkami skał rosły czerwone maki, niebieskookie niezapominajki, dzbanuszkowe tulipany, dziki, rozłożysty kminek i popielaty, pięknie haftowany oset.

Po lewej ręce, poza oparkanionym ogrodem bananów i jarzyn, ciągły się pola kibucu, pszeniczne łany i soczyste łąki, po których, niby gospodarze ubrani we fraki i koszule, kroczyły bociany, przeszukując uważnie trawę za tłustemi żabami. Ponad głowami bocianów dzwoniły czubate skowronki, zawieszone w przestworzu na niewidzialnych drutach, a obok skarżyły się przepiórki, przelatywały barwne motyle, brzęczały trzmiele, uczyły się świerszcze po cichu melodji, którą w nocy na głos miały wygrywać ku utrapieniu śpiącego kibucu... Sylwetki zaś białych uli, szarych baraków osiedla i dalekiej, szeroko rozpartej góry Tabor zlewały się w swej martwocie i sen-

http://rcin.org.pl

ności harmonijnie z trwającą bez ruchu, jakby zmaterjalizowaną ciszą, która na czas sobotniego święta obrała sobie tę ciasną kotlinę za miejsce wypoczynku.

Przy drodze, pod młodym krzewem świętojańskiego chleba, leżał wielki kamień. Tirsa postanowiła usiąść na kamieniu i odpisać Muszce.

Dobyła z kieszeni list Muszki i poczęła go jeszcze raz czytać:

„Moja najdroższa Tirso!... O jakżeż tu, w tej Palestynie, wszystko nagłej ulega zmianie. Nic i nikt nie trwa na swojem miejscu. Jerozolima — Tel Awiw — Bet Alfa... Ty tam, Szoszana w Chederze, a my w tem mieście, które z dnia na dzień staje się biedniejszem, smutniejszem i bardziej politowania godnem... Często mam wrażenie, że to czyste, nieskończenie wielkie, to błękitne niebo i to południowe słońce — to sen. W rzeczywistości zaś jestem, jak przed czterema laty pod szarym, ciężkim i zimnym dachem naszego domu w Czerniowcach... Jedynie ukochane przez Ciebie morze, stojące w porcie okręty i znów rozkwitający w naszym ogródku oleander przypominają, że przecież jesteśmy w innem, nowem, żydowskiem mieście.

..Gdy on, myślę: mój mąż, idzie do biura, a ja z braku zajęcia — teraz prawie że nikt do nas nie zagląda, a nawet podczas pesach bardzo mało mieszkało w naszym pensjonacie gości — siedzę na tarasie, — pamiętasz: widok na zieloną Saronę, na nowe osiedla Boruchow, Ramat Gan — wtedy Tirso droga, chciałabym Cię mieć przy sobie, ująć Cię za rękę, położyć na niej policzek i poskarżyć się przed Tobą... Tak tu ciężko!...

http://rcin.org.pl

...Mówią, że po kolonjach jest lżej. Czy to prawda? Tu bowiem nietylko robotnicy, ale i stan średni głodują. Odprawionych zaś, zredukowanych urzędników kręci się bez liku. Gdy sobie tak pomyślę, że i mój Kleinzeler mógłby stracić swą posadę, teraz, gdy za dwa miesiące mam zostać matką, aż czarno mi się robi przed oczyma...

Nie masz pojęcia Tirso, jak się tu wszystko zmieniło. Nie poznałabyś tego ongiś rozśpiewanego i roztańczonego miasta. Mam często wrażenie, że miasto wymiera, opróżnia się i że wnet pozostaną puste ulice, próżne domy, miasto bez ludzi...

Czy przypominasz sobie Kleinów? Byliśmy raz razem z nimi na wycieczce w Saronie. Klein wtedy śpiewał piękne, arabskie pieśni. Pamiętasz? Delektowałyśmy się czarnym chlebem i świeżą szynką u tego Niemca w ogrodzie. Pamiętasz tego Araba, kelnera, który tak śmiesznie mówił po niemiecku, że od śmiechu zakrztusiłam się piwem i oblałam sobie nową suknię?... Otóż przedstaw sobie: kooperatywa Kleina zbankrutowała. On chodzi bez zajęcia, a ona leży w łóżku z przeziębioną grypą. Byłam wczoraj u nich. Okropne!... Przedstaw sobie taką sytuację: ciemny pokój. Ona w łóżku obwinięta chustkami i kocami, a mąż gotuje na kopcącym prymusie grysik na wodzie. Nie wiadomo, od ilu dni pokój nie sprzątany, od ilu dni nic pożywnego nie jedli. Niema nikogo, coby wyprał, posprzątał, ugotował. Przedewszystkiem zaś — niema ani piastra w domu. Gdy zaś w rozmowie radziłam im, by wyjechali z Palestyny — chcieli mię zjeść.

Okropne położenie!... Co mogłam, na miejscu zrobiłam. Lecz wiesz, że nie umiem być siostrą miłosier-

http://rcin.org.pl

dzia. Nie umiem sobie dać rady sama, jakże pocieszyć drugich. O, okropny los kobiety w Palestynie — chorej i bez rodziny! Ani matki, ani siostry, ani służącej. A cóż dopiero, gdy się jest bez grosza!... Pod tym względem, to wy tam w Kwucy w lepszem jesteście położeniu. Stanowicie wszyscy jedną, wielką rodzinę. Choć różnie tu opowiadają...

Wczoraj znów mi było okropnie. Często miewam takie chwile niczem nieuzasadnionego strachu. Wzięłam więc naszego Ajaksa — (od czasu, jakeś go widziała, urósł, a jego mordeczka upodobniła się całkowicie do gęby Waszego byłego spólnika, Weinreba) i poszłam wzdłuż brzegu morskiego aż ku Jarkonowi. Jest to jedyna rzecz, która w tym odmienionym do niepoznania Tel-Awiwie trwa w swem upajającem pięknie. Z powrotem szłam Kwiszem (już ukończony aż do samej rzeki) i wstąpiłam do osiedla Kwucat hapoalot *). Pamiętasz tę oazę z kwiatów, kapusty i buraków w pośrodku piaszczystych rozdołów?... Rozgadałam się tam z dziewczętami i przy tej sposobności poznałam niejaką Rachelę Singer. Twierdziła, że jest Twoją koleżanką szkolną. Dopytywała się o Twój adres. Miała polecające listy od wpływowych osobistości z Wiednia, więc ją przyjęto. Piszę Ci o niej, by Cię tem zwabić do Tel Awiwu. Przyjedź moja kochana, moja najdroższa Tirso. Nie mogę wszystkiego pisać, a muszę przed kimś kochanym, dobrym, a mądrym me głupie serce otworzyć. Więc przyjedziesz?

Liczę na pewno, że nie odmówisz Twej kochającej Cię nad życie

Muszce“.

---

*) Kwucat hapoalot — osiedle robotnic.

http://rcin.org.pl

Tirsa, przeczytawszy list, wstała i schowała go z powrotem do kieszeni. Odeszła ją na razie ochota odpisywania. Bo i cóż miała odpowiedzieć?!... Że przyjedzie?... Przecież o tem nie mogło być mowy. Czyż miała tak ogólnikowo pocieszać Muszkę, jak ogólnikowo Muszka się skarżyła? Czy istnieje wogóle możliwość pocieszenia, jeżeli serce jest chore i trzebaby je w jakikolwiek, nieznany jeszcze w medycynie, sposób leczyć! A gdyby nawet pojechała, — czyż Muszka nie miała racji — jakżeby i skąd wziąć tyle siły, by móc uspokoić drugiego, jeżeli samemu potrzeba słów pociechy i porady!...

...Czy rzeczywiście „po kolonjach jest lepiej"? Czy ludzie w Kwucy i Kibucu istotnie stanowią jedną powiększoną, a kochającą się rodzinę?

Nie, wcale się nie dziwi Muszce, ani tym, stojącym zewnątrz. Wszak ona sama do niedawna tego samego poniekąd była zdania. Dziś — już przejrzała... Jedno jednak jest słusznem: tu ludzie nie umierają z głodu, jak w mieście. A drugie to to, co dziś rano Stefa słusznie zauważyła: w razie śmierci, lub choroby ma się istotnie wielką rodzinę za sobą. Poza tem jednak i tu miarodajnem jest pokrewieństwo dusz, sympatja i antypatja, przyjaźń i nienawiść...

Nie! Nie była na tyle naiwną, by nie zauważyć, że i tu, tak samo, jak w świecie „cywilistycznym" — och, ta Szoszana; czemu ona nie daje znać o sobie! — pełno jest, prawie że nierozwiązalnych problemów. Nawet dawne grzechy, przeciw którym walczyło się od początku, nie poznikały. Wszak i tu protekcja ma swe zastosowanie. Jedni lepiej chodzą ubrani niż inni, choć wszyscy biorą ubrania z tego samego, wspólnego magazynu. Niektórzy więcej otrzy-

http://rcin.org.pl

mują papierosów, częściej pod różnymi pretekstami jadą do miasta, lżejsze spełniają prace niż ich towarzysze... Dlaczego?... Leja twierdzi, że kto spał w pierzach, ten z trudnością po przebudzeniu pierzy się pozbywa. Słusznie!... Może Leja ma rację. Trudno się wyzbyć przywar zalegalizowanych tradycją tysiącleci. Wszak to dopiero pierwsza generacja, — nie wychowana w tradycji wspólnoty... Lecz, czy właśnie d z i e c i, wychowujące się w komunie, nie stanowią największej przeszkody w osiągnięciu tego ideału wspólnoty, do której kibuc zdąża... Czy na przykład Dora, od czasu jak ma dziecko, nie zamyka się przed wszystkiem, co dotyczy dobra kibucu, co dotyczy przyjaźni i związku ze zewnętrznym światem? Nic ją już nie obchodzi, jak tylko jej Herzl, którego omal siłą trzeba jej odrywać od piersi... A co będzie z dziećmi dorastającemi? Skąd weźmie kibuc pieniędzy na ich wychowanie i osiedlenie?... A jaki los czeka ludzi z kibucu na starość?... Starzeć się, rzecz — tu przy tej uciążliwej pracy, w tych warunkach zdrowotnych — zaiste łatwa i prędka.

— Nie, kochana Muszko. I tu nie jest tak, jak się na pierwszy rzut oka wydaje...

Idąc i rozmyślając, znalazła się Tirsa na skraju młodego lasku eukaliptusowego, zasadzonego bezpośrednio po osiedleniu się kibucu na moczarach, rozpościerających się na wschodniej granicy osiedla. Drzewa były wysokie, a ich grube pnie, o blado-żółtej korze, wyrastały w regularnych odstępach prosto i śmiało ze świeżo zaoranej ziemi.

Tirsa często tu zachodziła, lecz dotychczas nie mogła się pogodzić z charakterem tego lasku. Drzewa jego podobne były z liści i gałęzi do wierzby. Lecz czy

http://rcin.org.pl

widział ktoś, by wierzby rosły tak gromadnie i z takimi widocznymi śladami zabiegów ludzkiej ręki?... Bez trawy lub paproci, bez igla lub zeschłych, żółtych liści na ziemi, robił lasek ze swą geometrycznie odmierzoną odległością jednego drzewa od drugiego, wrażenie czegoś nienaturalnego a sztucznego, czegoś, co przypominało raczej dekorację teatralną, niż istotny, żywy las... Jakżeż odmiennym był np. Wienerwald... Nieraz śmiała się Tirsa sama z siebie, gdy zapominając się na chwilę, zwłaszcza w dzień spokojny, wpatrywała się uważnie w ten las kibucowy, chcąc stwierdzić, czy szczyty tych drzew rzeczywiście się poruszają — tak, jak to ongiś czyniła w kinie, chcąc się przekonać, czy zdjęć dokonywano na tle żywej przyrody, czy też na tle malowanego płótna... Dziś tego dowodu nie żądała. Dziś lasek szumiał, jak lecąca po kamiennem łożysku rzeka; śpiewał naturalnym głosem złotawych liści, wybijając takt chrzęstem ocierających się konarów.

Za laskiem, tworząc naturalną granicę między ziemią żydowską a arabską, płynął szczupły górski potok. Wypływał on z pod kamiennego mostku wprost u podnóża góry, cichym obijając się pluskiem o kamienne koryto, zbudowane przez ludzi z kibucu. Żelaznem stawidłem można było bieg strumyka skierować na lasek eukaliptusowy i na pola kibucu, co niejednokrotnie czyniono, zwłaszcza w czasie trwałej posuchy. Woda w korycie była czysta, błękitnawa, przejrzysta i wiła się na tle żółto-szmaragdowego kobierca łąk, niby delikatna żyłka na kobiecej piersi. Tu Tirsa często przesiadywała na swem ulubionem miejscu obok stawidła. Z rozpalonych i przepoconych nóg

http://rcin.org.pl

ściągała buciki i oddawała się rozkoszy kąpieli w płynącej, chłodnej wodzie.

Dziś jednakowoż ulubione przez Tirsę miejsce było zajęte. Tirsa z początku swym własnym oczom nie chciała wierzyć. Nad brzegiem bowiem strumyka siedziały starsze dzieci Bet Alfy i Chef Ciby, — w liczbie około dwudziestu. Tworzyły one koło, na którego obwodzie siedział obrucony do Tirsy plecami — Arjeh. Zdala dochodził ją jego głos, rwący się w miarę, jak wiatr zmieniał kierunek. Widocznie opowiadał coś zajmującego, gdyż dzieci nie zauważyły Tirsy, dopóki się nie zbliżyła na odległość kilku kroków. Podchodząc ostrożnie, zdołała Tirsa usiąść tak blisko, by móc wraz z dziećmi słuchać słów Arjego. Położywszy palec na ustach, dała dzieciom znak, by nie zdradziły jej obecności, a za chwilę całkowicie zatraciła się w opowiadaniu Arjego na równi z dziećmi, nadsłuchującemi z zapartym oddechem.

...A więc, jak powiedziałem: było nas pięćdziesięciu ludzi. Chłop w chłopa. Gdyśmy się dowiedzieli, że Anglicy nie wpuszczają naszych do Starego Miasta, chcieliśmy zrazu napaść na Anglików, rozbroić ich i przedrzeć się siłą. Ale Żabotyński — wiecie kto to jest Żabotyński?

— Wiemy — odpowiedziały dzieci chórem.

— A więc Żabotyński nie pozwolił i zagroził każdemu wykluczeniem z samoobrony, jeżeli nie będziemy go słuchać. Natomiast Żabotyński wybrał nasz oddział jako odsiecz dla zagrożonych dzielnic Szewet Cedek i Nahlat Zion. W dzielnicach tych mieszkali Żydzi z Kurdystanu i Babilonu. Silni i odważni, a nie tacy tchórze i mazgaje, jak w innych dzielnicach Je-

http://rcin.org.pl

rozolimy. Żydzi z Szewet Cedek i Nahlat Zion sąsiadowali z Arabami ze wsi Lifta. Arabowie ci, — jak nam doniesiono — również sposobili się do napadu na Żydów. A słyszeliście zapewne, że Arabowie, mieszkający w niektórych wioskach pod Jerozolimą, to jeszcze dziś najwięksi rabusie. Otóż każdy z nas miał conajmniej jeden rewolwer i pięćdziesiąt kul. Rewolwery schowaliśmy do kieszeni i idziemy. Nagle po drodze napotykamy się na oddział Anglików z oficerami i gubernatorem Jerozolimy na czele.

— Co to jest gubernator — zapytała nagle mała Cipora?

— No, kto jej to wytłómaczy? — zwrócił się Arjeh do swych małych słuchaczy.

— Ja, — zawołał czupurny Urjel — gubernator, to jest tak, jak generał.

— To jest więcej niż generał — poprawił Arjeh. — To jest najwyższy urzędnik w mieście... Otóż gdy nas ten gubernator zobaczył, zawołał po hebrajsku...

— Jakto, czy był to Żyd?

— Nie, Anglik. Ale trochę po hebrajsku umiał... A więc zawołał: „Szalom!“ A ponieważ był wtedy drugi dzień Pesach, więc dodał: „hag sameach“... A potem rzekł: „chłopcy, macie się natychmiast rozejść!“. A na to jeden z nas odpowiedział: — wiedzieliśmy już wtedy, że tylko z winy gubernatora przyszło do pogromów — „ein lanu hag sameach, ein szalom l'raszaim“! (niema dla nas święta wesołego, niema pokoju dla zbrodniarzy).

Odpowiedź ta tak przypadła do gustu dzieciom, że niektóre poczęły klaskać i wołać „hedat“!

http://rcin.org.pl

Gdy się uspokoiło, Arjeh znów podjął nić swej opowieści:

— Naturalnie, że nie usłuchaliśmy rozkazu gubernatora, lecz spokojnie poszliśmy dalej. Ale nie szliśmy już środkiem miasta, lecz bokami. Gdyśmy przyszli do Nachlat Sziwa, natknęliśmy się na bandę uzbrojonych murzynów-arabów, grasujących w tej dzielnicy. Poczęliśmy do nich strzelać, a oni do nas. Wreszcie uciekli. Po naszej stronie było kilku rannych, a u nich kilkunastu. Gdy wojsko posłyszało strzały, nadbiegło w sile kilku oddziałów i poczęło nas ostrzeliwać z maszynowych gwerów. Nasz dowódca dał rozkaz: „Rozprószyć się! Rannych zabrać! Zbiórka pod budynkiem Becalelu *)!“ Za kwadrans znów byliśmy w kupie. Rannych zostawiliśmy w Becalelu, a cały oddział znów bokami miasta pośpieszył na pomoc Żydom z Kurdystanu i Babilonu... Ledwo weszliśmy w pierwsze domy Nachlat Zion, a tu — może dwustu Arabów — uzbrojonych w laski, noże i rewolwery — wylatuje z przecznicy wprost na nasz oddział. Nasz dowódca dał rozkaz: „na ziemię, strzelaj!“... Rzuciliśmy się na ziemię, ale strzelać nie mogliśmy. Za Arabami bowiem pędzili Żydzi tej dzielnicy, uzbrojeni w kije, kamienie i garnki z wrzącą wodą. Gdybyśmy strzelali, bylibyśmy i naszych zranili. Komendant więc zawołał: „chłopcy naprzód! Walić pięściami!“ Porwaliśmy się więc ze ziemi i nuże prać Arabów. Ci jednak wzięci we dwa ognie, uciekali, aż się kurzyło.

— Ledwo przepędziliśmy Arabów, aż tu słyszymy krzyk i pisk, jakby ktoś psu wlazł na ogon. Pędzi-

*) Becalel — szkoła przemysłu artystycznego w Jerozolimie.

http://rcin.org.pl

my więc w tę stronę i widzimy, jak jedna Żydówka, żona szewca z tej dzielnicy, trzyma jedną ręką Araba za abaję, a drugą wali go po gębie, co wlezie. Arab krzyczy jak osioł. Cóż się okazało? Oto Arab ten, podczas gdy jego towarzysze uciekali, wlazł do domu szewca i schował się pod łóżko. Szewcowa, widząc, jak się Arab chowa pod łóżko, nie mówi ani słowa, lecz bierze miotłę w rękę, odsuwa łóżko i pierze. Wtedy Arab na nią z nożem. Złapała szewcowa stołek i bęc stołkiem w Araba. Arab w nogi, ona za nim. Żydówki w krzyk, a szewcowa nic, tylko pędzi za Arabem. Arab, widząc naszych, staje i nie wie, co robić. Szewcowa łapie go pod gardziel, wyrywa mu nóż i wali... Gdyśmy szewcową oderwali od Araba, musieliśmy ją zamknąć w domu, bo się uparła i chciała iść z naszym oddziałem bić się z Arabami... Taka to dzielna była ta żona żydowskiego szewca z Nachlat Zion...

— A w jaki sposób ustały pogromy? — zapytał rudy Dan.

— A no, gdyśmy widzieli, że już trzeci dzień mija, a napaści na Żydów nie ustają, mimo że wojsko angielskie patrolowało po ulicach miasta, — daliśmy gubernatorowi znać, że jeżeli następnego dnia Arabowie zranią choćby jednego tylko Żyda, nasza samoobrona rzuci bomby bez żadnej litości na domy arabskie. Ponieważ Anglicy wiedzieli, że mamy bomby, więc — nasza groźba poskutkowała. Na czwarty dzień żadnego Żyda nie zraniono i nie pobito.

— Tak ustały pierwsze pogromy w Jerozolimie. A wiecie dzieci, jaka z tego wynika nauka?... Z tego wynika, że nigdy nie należy się bać, a zawsze nie dać

http://rcin.org.pl

się, bo zawsze silniejszym jest ten, kto się nie boi... Czy będziecie pamiętać?

— Będziemy!... Będziemy!...

— Dobrze! A teraz zaśpiewamy coś. Zaczynaj Mordchaj, albo ty Elka...

— Nie, nie jeszcze, Arjeh! Opowiedz nam jeszcze coś!... Przyrzekłeś dwie historje... Opowiadaj o Beduinach... Nie, nie!... Opowiadaj!...

— Słuchajcie-no, banda! Co wy sobie właściwie myślicie? Czy ja jestem waszą niańką? Będę was może usypiał bajeczkami?

— Nie; opowiadaj!... Musisz!... Powiedziałeś, że jeżeli się tak schowamy, że w ciągu kwadransa nie znajdziesz połowy, opowiesz nam dwie historje. Tak, czy nie? — obstawał imieniem całej gromady rezolutnie Szyja, syn nauczyciela Ben Zewa.

— No, prawda. Urwisze z was — morowi... Pochowaliście się tak, że i rok mógłbym was był szukać...

— A czy nie powiedziałeś, że jak się przyrzeka, to trzeba dotrzymać?...

Ostatni argument, wypowiedziany przez małą, czarną Kuszi, przekonał Arjego, że na darmo wszelki opór.

— Dobrze więc... Jeżeli już nie dajecie spokoju, to słuchajcie. Ale nie przerywać!...

Arjeh na chwilę zamyślił się, by pogładziwszy się po płowej czuprynie, rozpocząć:

— Ponieważ Kuszi przypomniała mi, że przyrzeczeń trzeba dotrzymywać, więc opowiem wam, jak to raz było z pewnem przyrzeczeniem... Kiedy do Erec weszli Anglicy, wtedy Beduini, zamieszkujący dolinę Hulel, która jak niektórym z was wiadomo, leży między górami Golen i Naftali, rozdzielili się na Bedui-

http://rcin.org.pl

nów palestyńskich i syryjskich. Beduini syryjscy, pochodzący ze szczepu Eraw el Hemdon, a mieszkający w górach Naftali, są wrogami Beduinów palestyńskich, mieszkających w granicznej wsi Halsah. Zapamiętajcie sobie: H a l s a h...

— Pamiętamy.

— Otóż w tej wsi Halsah stał na czele Beduinów Kiamal efendi. Często tam bywałem, zwłaszcza, gdy w górach brakło paszy i trzeba było z owcami zejść w dolinę, na pola, z których zebrano kukurudzę, albo też na łąki, z których zwieziono siano. Z czasem Kiamal stał się mym przyjacielem. Radził mi się w różnych sprawach, a i mnie nieraz był pomocnym. Pewnego razu, właśnie wiozłem z gór sery, widzę, przechodząc koło namiotu Kiamala, że mój przyjaciel siedzi zmartwiony przed namiotem, a jego żony i dzieci płaczą i rozpaczają.

— Pozdrawiam go: naharag sajid — dzień dobry, a on odpowiada załzawionym głosem: Said imbarak — dzień dobry... Kif hałak — jak ci się powodzi, — pytam.

— Allah jach fadak, musz taib — bóg cię ustrzedz, nieszczególnie — odpowiada.

Myślałem, że ktoś mu umarł w rodzinie. Siadam więc koło niego i pytam o przyczynę zmartwienia, a Kiamal opowiada mi, że tej nocy przyszli złodzieje, rzucili psom zatrute mięso i zabrali mu trzy krowy, dwa konie i cztery wielbłądy, prawie że cały jego majątek. Skoro się w dalszym ciągu opowiadania dowiedziałem, że jeszcze nie zaczęto śledzić za złodziejami, bardzo się ucieszyłem, ponieważ nienaruszone ślady łatwo mogły naprowadzić na kryjówkę złodziei. Po-

http://rcin.org.pl

wiedziałem więc Kiamałowi, by się nie martwił, bo ja mu przyrzekam sprowadzić skradzioną trzodę.

Wziąłem się odrazu do roboty. Dokładnie zbadałem odciski nóg w błocie nad przepływającą obok rzeczułką i wnet wymiarkowałem, że złodziei było sześciu. Idąc tak za śladami, doszedłem do granicy syryjsko-palestyńskiej. Tu złodzieje rozpalali ognisko. Przeszukałem popiół i z odpadków papierosów, wydłubując tytoń, przekonałem się, że tytoń był francuski, czyli, że złodzieje byli z tamtej, a więc syryjsko-francuskiej strony. Wróciłem więc do Metuli... Wiecie, gdzie leży Metula?

— Tak jest, wiemy... Niedaleko Tel Chaj...

— Słusznie, niedaleko osiedla Tel Chaj. Tam był najbliższy posterunek angielskiej żandarmerji. Opowiedziałem na posterunku, co wiedziałem, a komendant Szuket efendi wsiadł z czterema żandarmami na konie i tej samej jeszcze nocy pojechał ze mną na poszukiwanie złodzieji. Gdyśmy przejechali granicę, zmiarkowałem z braku jakichkolwiek dalszych śladów, że złodzieje muszą być jeszcze po palestyńskiej stronie. Szuket efendi uparł się jednak przy zdaniu, że złodzieje są w górach między Beduinami syryjskimi.

— Wiesz co, — powiedziałem mu w końcu — idź ty w góry, a ja pójdę swoją drogą. Jeżeli jednak nie znajdziesz złodziei, wróć się do tego samego miejsca na granicy, w którem złodzieje rozpalali ognisko i czekaj tam na mnie do południa. Jeżeli nie wrócę do południa, możesz wracać do Metuli...

— Taib — odpowiedział Szuket efendi i rozstaliśmy się. On ze swoimi ludźmi pojechał w góry, a ja na swoim Paszy wzdłuż granicy. Gdy zbliżyłem się do

http://rcin.org.pl

wsi Arhasas, wsi położonej również nad granicą, patrzę się, a tu we młynie światło... Była już godzina dwunasta w nocy, więc nic dziwnego, że światło w młynie arabskim o tak późnej porze wydało mi się nieco podejrzanem. Przywiązałem więc Paszę do pnia palmy, a sam ostrożnie skradam się pod młyn. Woda, spadająca po młyńskiem kole, szeleściła, więc bez trudu przypełzałem aż do siedzącego przed młynem Araba.

Po stroju poznałem, że Arab pochodzi ze szczepu Eraw el Hemdon. Siedział on na straży i pilnował bydła skradzionego Kiamalowi. Biedaczysko zdaje się był bardzo zmęczony, a może pijany, gdyż chrapał, jak wielbłąd... W pierwszej chwili myślałem: wezmę bydło i zostawię śpiącego Beduina w spokoju. Później jednak wpadło mi do głowy: a, co będzie jeżeli Beduin się obudzi za godzinę lub za dwie, i wraz ze swymi towarzyszami poczną mię ścigać!... Bić się nie chciałem. Zabić bowiem, lub zranić któregoś z nich, znaczyłoby narazić się na wieczystą zemstę. A ja i po tamtej stronie granicy miałem moich przyjaciół...

— Nie, pomyślałem, — trzeba się dowiedzieć, kto są ci złodzieje. Może między nimi znajduje się jakiś mój znajomy i będzie można ugodowo rzecz załatwić... Udaję więc Araba, co to niby szuka noclegu i pukam do drzwi. Długo trwało, nim mi otworzyli. Ledwo zaś próg przestąpiłem, a oni wszyscy razem — łap mię za ręce i buch na ziemię. Mogłem się wprawdzie bronić, bo choć ich było pięciu, to i ja nie jestem słabeusz, a prócz tego od razu poznałem, że są pijani. Ale myślałem: czekajmy końca. Związawszy mnie, odebrali mi rewolwer i nóż, przynieśli lampę i poczęli oglądać. Następnie rzucili mnie w kąt, w któ-

http://rcin.org.pl

rym leżał postękujący właściciel młyna, również związany i pobity.

Zdaje się, że mnie poznali, bo słyszałem, jak mówili, naradzając się w sąsiedniej izbie: „Jehudi...“.

Długo się naradzali, aż wreszcie wszystko ucichło i słychać było jedynie plusk wody, grzebanie kopyt końskich i chrapanie śpiących Arabów... Nie namyślając się wiele, przysunąłem się do jęczącego młynarza i powiadam: „jestem twoim przyjacielem i chcę cię ratować... Mów jak było“. Młynarz płacząc opowiada: „przyszli i prosili o wodę. Gdy im wodę wyniosłem, pobili mię, związali i tu w ten kąt rzucili. Potem, potem wypili całą moją wódkę i zjedli moje zapasy grochu, tłuszczu i suszonych daktyli... Przeklęte psy! Oby się w ziemię zapadli...“.

— Słuchaj, — powiadam mu. — Rozwiążesz mi sznury, a ja tu wrócę nad ranem z żandarmami.

— Ale, jakże rozwiążę, skoro sam się ruszać nie mogę.

— To nic — powiadam. — Czujesz ten węzeł na mych rękach? Trzymaj zębami, a ja będę ciągnął, aż się węzeł rozwiąże... I tak się stało. Najpierw rozwiązaliśmy węzeł na moich rękach. Ponieważ zaś sznur był z wielbłądziego włósia, więc młynarz, pełno miał kłaków w gębie. Pluł też biedaczysko, że z trudem wstrzymywałem się od śmiechu... Mając wolne ręce,— rozumiecie, — iż szybko pozbyłem się reszty. Dalsze zaś zadanie było łatwe. W komórce, w której nas porzucono, był otwór wychodzący na wodę, zabity deską. Odsunąłem więc deskę i przez otwór wydostałem się na koło młyńskie, a z koła do wody. Znalazłszy się w wodzie, popłynąłem z prądem aż do miejsca, w którem stał mój Pasza, a z Paszą znalazłem się za

http://rcin.org.pl

godzinę w miejscu umówionem z komendantem policji. Za dalsze dwie godziny, gdy już zaczynało dnieć, zjawił się Szuket efendi ze swymi żandarmami. Był zły, bo Beduini strzelali do jego żandarmów i zranili jednego konia. Bardzo się też zdziwił, gdy mu powiedziałem, iż znalazłem złodziei. Nie chciał dopóty wierzyć, dopóki ich sam na własne oczy nie zobaczył, gotujących się do dalszej drogi.

Gdyśmy bowiem z pierwszym blaskiem słońca stanęli pod młynem, Beduini pakowali już do torb i worków mąkę młynarza. Z początku chcieli strzelać. Gdy ich jednak powiadomiłem, że za każdy strzał oddany na angielskiego żandarma, czeka strzelającego śmierć, poddali się... Najpierw odebrałem mój nóż i rewolwer, następnie zwolniłem młynarza i oddałem mu mąkę, a potem pożegnałem się z Szuket efendi, który z Beduinami i żandarmami udał się w powrotną drogę do Metuli. Wkońcu zabrawszy bydło, odprowadziłem je nieposiadającemu się z radości Kiamalowi... Tak, kochane dzieci, dotrzymałem przyrzeczenia, danego memu przyjacielowi Kiamalowi.

— Brawo, hedat — wołały uradowane opowieścią dzieci.

— A teraz, — banda, — pokażcie, co umiecie!... Chłopcy osobno, dziewczęta osobno!... Kto pierwszy będzie na podwórzu kibucu, ten zuch.

Gdy Arjeh rozglądnął się za gromadą dzieci rozlatującą się jak stado królików, zauważył siedzącą pod laskiem Tirsę. Przystanął, zdziwiony tą jej niespodziewaną tu obecnością.

— A ty skąd się tu wzięłaś?

— Przyszłam słuchać twoich zajmujących historji...

http://rcin.org.pl

— ???

— Przypadek. Naprawdę przypadek. Chciałam się przejść, a to jest zazwyczaj cel mych spacerów... Przypuszczam, że się nie gniewasz...

— Gniewać? I za cóż? Tak mnie dziś ta dzieciarnia opadła, że już w żaden sposób nie mogłem się opędzić.

— A ja, przyznam się, sądziłam, że to rozmyślna lekcja wychowania...

— Lekcja wychowania?

— Tak, lekcja odwagi... Myślałam, że chcesz uczyć dzieci męstwa i siły.

— No, no... Nie przypuszczałem, żeś taka domyślna... A więc rzeczywiście była to lekcja... Trzeba z wiosną zaorać i zasiać, jeżeli się chce latem zbierać... W tej zaś naszej szkole kibucowej uczą ich wszystkiego, tylko nie tężyzny.

— A czy sądzisz, że odwaga da się tak samo przyswoić, jak fizyczna sprawność?

— Bezwzględnie! Gdyby Chrystus nie był głosił zasady: kto cię uderzy w lewy policzek, temu nadstaw prawy, — zasady, którą sobie zamiast chrześcijan — Żydzi przyswoili; gdyby rabini nie byli Żydów zamęczali talmudem i postami, nie byłoby nas w historji spotkało tyle nienawiści i pogardy.

— Nie rozumiem. Czy sądzisz, że to było przyczyną...

— Uważam, że z naszej fizycznej słabości, z cechującego nas braku odwagi, z braku woli do przeciwstawiania się krzywdzie siłą, wytworzyły się w naszem otoczeniu źródła pogardy i nienawiści, aż w końcu utrwaliło się przekonanie, że jesteśmy tym bez-

http://rcin.org.pl

bronnym robakiem, którego zgnieść można i należy... No, ale mniejsza z tem. Czas wracać. Czy idziesz?

— Naturalnie. Już się ma ku zachodowi.

Szli przez chwilę w milczeniu. Pierwszy raz od czasu pobytu Tirsy w Bet Alfie, zdarzyło się, iż byli sami, zdala od osiedla i ludzi. Tirsa niejednokrotnie miała wrażenie, że Arjeh unikał pozostawania z nią sam na sam i nieraz łamała sobie głowę nad tem, co mogło być przyczyną tego świadomego unikania jej towarzystwa... Gdy tak szła w tej chwili obok niego, napróżno starając się swój krótki krok uzgodnić z jego długim krokiem, serce jej biło dwutaktem wzruszenia. Z jednej strony radość i szczęście, że była w jego fizycznem pobliżu, że idąc obok niego, jej ręka poruszała się równolegle do jego ręki, że ich oczy patrzyły równocześnie na ten sam skrawek drogi, na te same drzewka przydrożne i na to samo, ku zachodowi chylące się słońce... Nie byłże to nadmiar niespodziewanego szczęścia?!... A jeżeli prawdą jest, że myśl często bierze pokarm z zewnętrznych przedmiotów, to i u niego musiały w tej chwili pokrewne treścią rodzić się myśli... Ach, co za naiwne przypuszczenia.

A z drugiej strony serce biło na alarm. Nuż przemówi!... Nuż w tej chwili dokończy rozmowy rozpoczętej na Har Zion... Przecież wie, co się z nią dzieje. Przecież widzi, że jego milczenie niepokoi ją, męczy, do krwi rani... Czyż nie powiedział jej wtedy tam, przed Bramą Zion, że wie wszystko...

— Słuchaj Tirso! Już ci się dawno chciałem zapytać: jak się czujesz tu między nami? Myślę tu, w kibucu?... — uśmiechając się zaś cicho, tłómaczył:

— Powiedziałem: między nami, jakkolwiek oboje jesteśmy jeszcze gośćmi.

http://rcin.org.pl

— Owszem — odpowiadała Tirsa, zdziwiona nieco tem pytaniem. — Ludzie są dobrzy. Praca sympatyczna. Niema przełożonych...

— Jednem słowem: zupełna swoboda — nie bez pewnej ironji uzupełniał Arjeh słowa Tirsy. — Czy tak?

— Tak sądzę.

— Mem zdaniem trudno nazwać człowieka swobodnym, jeżeli nie może zjeść, ubrać się i mówić według swojej myśli, jeżeli nie może z braku pieniędzy kupić sobie pięknego obrazka, ulubionej książki, lub wyjechać do miasta, do krewnych lub znajomych... A prócz tego: czy każdy z kibucu do tej „swobody“ dorósł, jest jej godnym, umie ją odpowiednio zużytkować?

— Wybacz Arjeh, ale sądzę, że w gdudzie nie było lepiej...

— Nie, mylisz się. Nie chodzi tu o mnie. Mnie ostatecznie wszystko jedno. Znaleźć się potrafię we wszelkich warunkach życia. Nie jestem pod tym względem wymagającym. Uważam jednak, że ta swoboda prowadzi do rozluźnienia, zwłaszcza, jeżeli niema wewnętrznej, regulującej siły w każdym członku kibucu z osobna.

— Czyli twojem zdaniem?...

— Mojem zdaniem idea kibucu jest sama w sobie szczytną i godną urzeczywistnienia. Urzeczywistnienie jej winno jednak ograniczyć się do kilku ludzi, do poszczególnych małych grup. Członkowie tych grup winni być związani surową regułą...

— Klasztorną?

— Bodaj klasztorną. W każdym razie winni wyróść, winni wychować się od dzieciństwa razem, jak rodzina — we wzajemnej miłości.

http://rcin.org.pl

— No, to się przecież robi! Wszak dzieci kibucu po tej mniej więcej wychowują się linji...

— Nie wiem, może... U nas w kibucach są dopiero w poszukiwaniu właściwych metod wychowawczych. Brak nam odpowiednich nauczycieli.

— A mnie się zdaje, że im mniejsze będą grupy kibucowe, tem większe grozi im niebezpieczeństwo...

— Niebezpieczeństwo?

— Tak, — twierdziła Tirsa, dziwiąc się równocześnie, jak równolegle z odpowiedzią i pytaniami kołowało w jej mózgu zupełnie odrębne, całkiem osobiste pytanie: W jakim celu rozpoczyna on tak poważną dyskusję? Czy może dlatego, by nie dopuścić do żadnych, osobistych zwierzeń?... — Tak, niebezpieczeństwo rozbicia. Niebezpieczeństwo ze strony otoczenia, żyjącego według starej tradycji, bez woli do przyjęcia nowych form społecznych i duchowych, bez dążności do wewnętrznego przeobrażenia... Cóż będziesz miał z tego, choćbyś nawet dzieci kibucowe wychował na nowych ludzi, jeżeli wyjdą stąd i pójdą w świat stary, w którym znów muszą się nagiąć do dawnych pojęć, do obowiązujących zwyczajów? Wszak u nas niema ustaw, — jak na przykład w Rosji, — działających po myśli zasad kibucowych.

— Masz rację, Tirso. Ale czy właśnie z tego stanu rzeczy nie wynika, że każdy z nas winien być silny jak dąb i ostry jak nóż!... Dla tego też, jeżeli już mowa o niebezpieczeństwie, to ja widzę je w odniesieniu do kibucu w innym zupełnie kierunku..

— W jakim?

— W małżeństwie, względnie w tem, co się powszechnie małżeństwem nazywa... Brzmi to na pierwszy rzut oka dziwnie, ale tak jest... Małżeństwo burzy

http://rcin.org.pl

poczucie wspólnoty. A bez tego poczucia niema kibucu... Małżeństwo wytwarza wprawdzie silniejsze i intymniejsze więzy, ale ogranicza je tylko do dwóch osób.

— Masz rację — przyznawała Tirsa, myśląc w tej chwili o Dorze. — Ale wobec tego, na czem, twem zdaniem, należałoby kibucowe życie oprzeć?... Czy na klasztornym regulaminie, jak wspomniałeś, czy też może na przyjaźni, lub na — wolnej miłości...

Słowa ostatnie wypowiadała Tirsa nie bez lęku... Zmierzałże on do tego?... Wszak już niejednokrotnie w swem życiu miała sposobność się przekonać, że mężczyzna, znalazłszy się sam na sam z kobietą, rozpoczyna dyskusję społeczno - filozoficzną, dostrajając argumenty i poglądy do tej końcowej, pożądanej przez się, zasady... Czyżby i Arjeh należał do tej kategorji mężczyzn? Czy i jemu się zdaje, że w ten sposób utoruje sobie drogę do celu, którego, swem zdaniem, w inny sposób osiągnąć nie zdoła?... A gdyby nawet!... Była gotową! Była gotowa oddać mu wszystko, byleby... byleby tylko słowem, jednem bodaj słowem dał poznać, że o tem myśli, że prosi, że żąda...

— Przyjaźń, wolna miłość?... Nie! Przyjaźń — może zachodzić tylko między człowiekiem silnym i słabym. Między silnymi nie może być mowy o przyjaźni, gdyż jedna i druga strona nie zdolną jest do kompromisu, do ustępstwa. Dlatego-też przyjaźń nie może służyć za podstawę dla takiego ośrodka społecznego, jakim jest kibuc... Wolna miłość? Wolna miłość — tem mniej. Wszak jeszcze w większym stopniu, niż przyjaźń, ograniczyć się musi do kilku osób.

— A więc, co w takim razie — pytała rozczarowana Tirsa — ma być według ciebie tym spajającym elementem?

http://rcin.org.pl

— Powiedziałem już przed chwilą: albo surowa reguła, albo odpowiednie wychowanie dzieci od samych zaczątków.

Tirsa nie odpowiadała. Dusza jej bowiem zachodziła mgłą smutku, jak szyba parą... Wiedziała, że w poglądach Arjego był jakiś błąd logiczny. Bo przecież bez małżeństwa, bez wolnej miłości nie mogło być dzieci, a więc nie mogło być mowy o wychowaniu „od samych zaczątków". Reguła zaś zakonu zabijała swobodę — ową główną podstawę nowego życia... Nie! On nie miał racji... Atoli w tej chwili jest jej zupełnie obojętnem, czy teorje głoszone przez Arjego, idącego obok niej ze spuszczoną ku ziemi głową, są słuszne, czy nie. Jej chodzi o to, że zamiast zbliżać się do celu, znów się widzi daleko, daleko odrzuconą od mety... Czyż bowiem te poglądy Arjego na małżeństwo i wolną miłość, a nawet na przyjaźń, czyż poglądy te nie obalają owych filarów, na których spodziewała się zbudować swoje jutro?!... Czyż nie usuwał się ów grunt, na którym jej tęsknota w nietrzeźwych godzinach marzeń stawiała pałac różanego szczęścia?!... Czegóż więc jeszcze mogła się spodziewać?...

Czuła, jak pod wpływem wymienionych między nimi zdań noc bezkresna zapada w jej duszę, w nieskończoność rośnie pustka dnia jutrzejszego, przeraźliwie i boleśnie uderza świadomość braku celu i treści w ludzkiem, we własnem życiu...

Zbliżali się do osiedla. Z blasku zachodzącego słońca wyłaniała się wielka ciemna plama, kładąca się szarym, szerokim, z każdą minutą rosnącym cieniem na transjordańskie góry. Ze zlewających się w półmroku baraków kibucu dochodziła skoczna me-

http://rcin.org.pl

lodja tańczących gdzieś na tarasie dzieci. Pieśń odrywała się ciężko od ziemi i niosła się leniwie na zatopione w ciemności pola, na gasnące kontury gór Gilboa, na płynący hen daleko, na wschodnim widnokręgu Jordan, na serce kurczące się z bólu...

W POLU.

Tej nocy nie mógł Arjeh zasnąć. Być może dlatego, iż nie pojechał z innymi na koncert do Tel Josef i wcześnie poszedł spać. Być może jednak, iż przyczyną bezsenności był ów wiatr, który po hamsinowej sobocie zerwał się z nad morza i gnał śród świstu ku pustyni. Pod naporem wiatru dygotał barak, jak człowiek we febrze. Tłukły się drzwi o futrynę, jęczały deski, dzwoniły szyby, jak gdyby deszcz siekał po ich powierzchni. Nie mogąc do wnętrza baraku dostać się drzwiami i oknami, dźwigał wiatr pojedyncze dachówki, wdzierał się poprzez szpary popękanego od słońca oszalowania, miotał się po podłodze, zaglądał do łóżka i nie wiadomo jak, wydostawał się na pole, popod blachą kryte szopy i spichlerze, między piejące po kurnikach koguty, by wreszcie zamrzeć gdzieś i ścichnąć między winnicami... Ledwo wiatr zamilkł, a już za nim szło dalekie, żałosne, płaczliwe wycie szakali, zawzięte ujadanie Mopsa, stłumiony bek cieląt.

Arjemu zdawało się, że ledwo się zdrzemnął, a już Mundek, pełniący tej nocy służbę stróża, biegnie od drzwi do drzwi, pukając i budząc, zwiastując nowy dzień pracy i znoju. I jakkolwiek wstające słońce nie zaświeciło jeszcze świateł na ścianie gór zajordań-

http://rcin.org.pl

skich, jakkolwiek jeszcze szary mrok panował na polu, a sprzęty w pokoju nie wyłaziły z ciemności, to przecież w kibucu ruch się rozpoczynał. Biło serce wystraszone pukaniem Mundka, otwierały się sklejone snem powieki, prostowało się, choć niechętnie, odrętwiałe ciało. Kibuc się budził... Trzaskano drzwiami, tupano przy obuwaniu butów, biegano do łaźni, nawoływano się i spieszono.

Arjeh ubrał się i umył; zjadł kromkę chleba z twarogiem, napił się gorącej herbaty i poszedł do stajni, stroić konie. Ponieważ już jutro miał jechać do Petach-Tikwy, więc postanowił pilnie się dziś sprawić i porządny kawał pola skosić.

Jadąc drożyną i rozglądając się po oblanych słońcem polach, irytował się na to niedbalstwo, którego świadkiem był tu w kibucu na każdym kroku, a do którego jeszcze nie nawykł... Oto jeszcze z piątku pozostawione przez dziewczęta leżały między zagonami pocynkowane wiadra, do których zbierano bób...

— Te sroki przeklęte!... Zostawiać nowiusieńkie wiadra w polu!... Koncerty, przedstawienia i figle im tylko w głowie... Posłyszą one od niego dziś wieczór, posłyszą!... Prrr!...

Stanął; zlazł z wozu, zabrał trzy wiadra i jadąc, myślał:

— A niech szukają!

Nagle jednak coś sobie przypomniał, gdyż uderzywszy się pięścią w czoło, głośno zawołał: — Ach, cóż to za idjota ze mnie! Przecież to grunta dzieci. No więc cóż z tego? — zreflektował się po chwili. — Czy dla tego, że są młodsze, to już nie mają obowiązku zabierać naczynia do domu?!... Czy już zawczasu uczyć się mają niechlujstwa, prowadzącego do tego,

http://rcin.org.pl

iż w zeszłym tygodniu kosząc, znalazł całusieńkie, zardzewiałe brony, które, zdaje się, zeszłego roku ktoś z kibucu przez „zapomnienie“ pozostawił w polu!... Cóż to za gospodarka! Do czego to prowadzi!... Nie wskazuje to na brak silnej ręki w kibucu, na brak odpowiedzialności i obowiązkowości!...

— Albo ta cała „republika“ dzieci!... Nie jestże to warjactwo! Dzieci, żeby same o sobie stanowiły, same rządziły, same pracowały w polu, same decydowały co, kiedy i gdzie siać, sadzić i orać!... Czy widział kto coś podobnego?!... Choć po prawdzie, to pole tych śpików nie gorzej było obrobione, niż pole kibucu. Kapusta „republiki“ miała nawet pełniejsze głowy, a pomidory były większe i gęściej się sypały... A niedawno przypatrywał się temu smykowi Herzlowi, jak orał jedną szkapą. Płytko, bo płytko, ale zagony były proste, a szkapą kierował lepiej niż ten „filozof“ Zygmunt. Ach bo te szkraby, to jedyna radość w tym kibucu!... Jakże im wczoraj podczas opowiadania świeciły oczy!... O, zrobi on z nich ludzi, zrobi! Mogą tacy Chaskle i Zygmunty pęknąć ze złości, nic im to nie pomoże... Wio, do roboty!...

Sporo już nakosił trawiska zmieszanego z dźbłami jęczmienia i wyki, aż tu nagle kosiarka prawie że po osie zapadła się w bajoro, utworzone przez rozlaną w tem miejscu wodę. Była to woda, przeprowadzona ze strumyka świeżo kopanymi rowami na dalej położone pola kibucu... Gdy Arjeh zlazł z żelaznego siodła kosiarki, ugrzązł w bajorze po kostki. Z trudem wyciągnął buty, ociekające wodą... Klął też, na czem świat stoi. Ująwszy zaś silnie biczysko, począł tak zawzięcie okładać batem muły, że te, fikając tylnemi nogami, wyrzucały w powietrze całe gniazda ziemi i trawy.

http://rcin.org.pl

Bicie jednak i zaklęcia nic nie pomagały. Nie widząc innego sposobu, zdjął Arjeh buty i z wielkiej złości rzucił niemi z taką siłą, że poleciały hen między pomierzwione krzaki grochowiska. Następnie podwinąwszy spodnie, odgrzebał rękoma ziemię z przed kół; chwyciwszy zaś za sprychę koła, wrzasnął z taką siłą: — Rafa, Tendra, wio! — że muły od pierwszego przyłożenia się porwały kosiarkę. Ruszywszy jednak z miejsca, popadły w taki szał zadowolenia, iż Arjeh musiał się całym ciężarem swego ciała przeciwstawić ich pędowi. Przy tej sposobności, nie wiadomo jak i kiedy, złamało się biczysko.

— A niechże was szlag trafi, przeklęte mieszańce! — klął zirytowany tem drugiem nieszczęściem. — Co ja teraz z wami pocznę?!... Chyba zwarjować wypadnie z tymi klocami!...

Wnet się też okazało, iż obawy Arjego były uzasadnione. Rafa i Tendra, mimo oślą przymieszkę w swej krwi i naturalny brak inteligencji, wnet przecież zmiarkowały, że biczysko się złamało. To też, na skutek tego, dla ich delikatnej skóry nader pomyślnego wydarzenia, poczęły chodzić coraz wolniejszym krokiem, nie żałując sobie nawet — postoju w pośrodku pokosu. Powodowało to owijanie się trawy wokół zębów podających trawę pod noże. Skutek był ten, iż kosiarka zamiast kosić, tarmosiła trawę, zwijając ją na ziemi w kudły... Trza było cofać wstecz, wyciągać trawę palcami z pomiędzy zębów kosiarki i próbować szczęścia na nowo.

W końcu dał jednak Arjeh za wygraną i przestał się irytować. Na policzki wystąpiły mu czerwono-ceglaste plamy. Rozwiana wiatrem czupryna opadła na

http://rcin.org.pl

czoło, a koszula przylepiła się do ciała, jak łata na gumowym szlauchu.

— Do południa już i tak niedaleko, — myślał. — Przyjedzie tam któryś z obiadem, wezmę od niego biczysko, a wtedy panno Rafo i Tendro się policzymy... Już ja was nauczę, co to znaczy kosić uczciwie. Poczekajcie, ośle córy, zatańczymy sobie... Właściwie najlepiej będzie zrobić już teraz pauzę obiadową. Za to po południu, łaskawe panie, raczycie przyśpieszyć kroku!...

Wyprzągł muły, przeprowadził je do wozu stojącego na drodze, nasypał do starej miednicy obroku, a sam, odszukawszy porzucone buty, ułożył się po drugiej stronie wozu i począł myśleć o wczorajszej rozmowie z Tirsą:

— Co za dzielna dziewczyna! Jaka inteligentna i mądra! Można z nią rozmawiać, jak z mężczyzną... Z tych wszystkich, które znał, najbardziej mu się podoba... Czemże te sroki kibucowe wobec niej! Jedynie Leja... Tak, ale Tirsa w porównaniu z Leją, to tak jak pawie pióro z gęsiem... Nie, to nie jest to, co dawniej. To już nie sama krew przemawia. Czy nie myśli o niej stale?... Czy nie rosną te myśli, im bardziej się od niej oddala... Gdy ona była w Jerozolimie, a on tu, gryzł się po rękach, by uciszyć ból tęsknoty za nią. A w Jerozolimie trzymał rozmyślnie ręce w kieszeniach kurtki — tak się w nim wszystko ku niej rwało... Nigdy w sobie nie odnajdywał tego rodzaju uczuć, jak od czasu, gdy ją poznał: Ktoś siłą i wbrew własnej woli odwraca mu głowę w jej stronę i każe jego oczom patrzeć w okno jej baraku. Często musi sam siebie gwałtem ciągnąć, jak psa na łańcuchu, by nie kręcić się koło baraku niemowląt, gdzie ona pracuje... Śmieszna

http://rcin.org.pl

jest często ta walka między głową a nogami. Głowa mówi: idźcie tędy, a nogi idą owędy...

Gdy się nań patrzy swemi wielkiemi, smutnemi, kasztanowemi oczyma, coś jakby bryła lodu w nim nagle taje. Chciałoby się wtedy wziąć ją na ręce i kołysząc, uspakajać jak małe dziecko... Częściej jednak chciałoby się sztaby żelazne łamać, ściany burzyć lub lecieć aeroplanem i wołać: to dla ciebie Tirso! Nie smuć się, jam jest silny! Wyrównam wszystko pod twemi stopami! Będę ci osłoną w każdej sytuacji!... O przyczynę smutku nie miał powodu pytać. Wszak nie był ślepy i widział, że lgnie do niego, że dla niego zerwała z tamtym... Nie byłoż z jej strony lekkomyślnością przyjść tu w jego najbliższe sąsiedztwo? Zdołaż on jeszcze długo nad sobą panować? Potrafi jeszcze długo przeciwstawiać się tej pożerającej go miłości?...

Miłości? — Śmieszne! — On i miłość!... Głupcze, idjoto! Nie chodzi tu o nazwę... Faktem jest, że na to, co go od pół roku gryzie, niema innej na razie nomenklatury. To jest popęd krwi plus popęd uczucia — czyli miłość... Tak jest! Bo dlaczegóżby i na niego nie miała przyjść ta choroba. Czemże on właściwie jest lepszy, lub gorszy od innych...

Miłość?!... Gdyby tak ktoś mu był powiedział przed rokiem, że się zakocha, jak jakiś student, lub średniowieczny rycerz, byłby się mu roześmiał w pysk. A teraz... Co za dziwna w tem uczuciu mieści się siła! Podobna do rzecznego wiru: ciągnie i odpycha. Możesz nie wiedzieć jak znać się na sztuce pływania, nic ci to nie pomoże. Wnet ci ręce osłabną, kurcz w nogach cię chwyci, tchu ci zabraknie, zginiesz... Co znaczy tu ludzka wola, świadomość, lub

http://rcin.org.pl

rozum?! Nic, zero, taki sobie podmuch wiatru, który staw chce osuszyć... Po za tymi motorami ludzkich uczynków istnieją jeszcze inne siły, nie dające się ujarzmić... Tak, tak... Inne siły...

Ileż to razy wybuchały w nim z taką djabelską mocą i takim niespodzianym ogarniały jego ciało płomieniem, taką zwiastowały eksplozję, iż na gwałt musiał na dzień lub dwa się zamykać, ukrywać przed ludźmi i upuszczać sobie krwi... Jakiś nieokiełzany djabeł zdał się wtedy w nim siedzieć i gospodarować w poprzek jego woli, w poprzek jego zasadom i postanowieniom. Ten to djabeł, nie licząc się z niczem, pożądał, świnił się, cudzołożył... Nic dlań nie było świętem i poszanowania godnem...

Gdy był tam, w górach z owcami, stan taki był bagatelą. Ale w mieście i tu — napady takie były istną plagą, nieszczęściem, katastrofą, której się lękał, jak inni ludzie lękają się choroby lub śmierci. Tu, w tem bezustannem zetknięciu się z innymi, w izbie zamieszkałej przez towarzyszy, tu na widoku publicznem niemożliwem było ukrywanie tego podniecenia, przejawiającego się w oczach, w głosie, a przedewszystkiem w rękach, rwących się do bitki, do niszczycielskiej roboty, do oporu i gwałtu, domagających się trudu... Tak, tak. Nie było innego wyjścia, jak uciekać w góry, chować się pod różnymi pretekstami, kłamać, aż — burza minie.

Z tego zaś zdawał sobie sprawę: najdrobniejszy nawet cień zwycięstwa, któreby ewentualnie nad nim odnieść mogła przemieszkująca na jego wnętrzu niszczycielska siła, byłby moralną, a może i fizyczną katastrofą. Byłoby to kompletne wyczerpanie się benzyny w tanku życiowym. Byłby to koniec wszystkie-

http://rcin.org.pl

go... Dlatego też walczył, jak gdyby chodziło o śmierć i życie, jakkolwiek każde zwycięstwo okupywał okropnemi cierpieniami...

Nieraz zastanawiał się nad tem, dlaczego ludzie nazywają drogę, prowadzącą od jednego takiego zwycięstwa do drugiego, drogą ku — doskonałości... Doskonałość?!... Czyż nie tkwi w całem ujęciu tej kwestji, w całym sposobie ludzkiego i jego własnego myślenia błąd zasadniczy? Czyż nie określa się zupełnie błędnie słowem „doskonałość“ czegoś, co tak dalekiem jest od tego pojęcia, jak niebo od ziemi? Czyż w rzeczywistości nie ma się rzecz wręcz odwrotnie? A może to, co ludzie nazywają doskonałem, jest w rzeczywistości okaleczonem drzewem, przez którego nacięcia wylewają się i marnieją prężne soki życia?!...

Doskonałość!... Czy doskonałym może być aeroplan, pozbawiony skrzydeł? Czy doskonałym może być człowiek, który jak manekin za przyciśnięciem sprężyny reaguje zawsze w ten sam sposób, chodzi, mówi, działa w ściśle zakreślonem polu, w granicach pomyślanych przez innych, mądrzejszych, lub głupszych manekinów... Na co i komu zdadzą się te wszystkie piękne i szlachetne zasady, ideały, uczynki, to stałe, a ostrożne chodzenie po ostrej linji obowiązku?... „Nie wolno, musisz, milcz, pracuj!“...

Dla kogo urasta z tego pożytek?... Czyż nie byłoby mądrzej rzucić to wszystko i pójść za naturalnym głosem instynktu szarą, wydeptaną ścieżką codziennego, przeciętnego człowieka?... Wyspać się, pojeść, ubrać się czysto, zabawić się, potańczyć, po... Carpe diem!... Przeczytać piękną książkę, pójść do teatru lub kina, kupić pięknej panience purpurowych

http://rcin.org.pl

róż, być wogóle jak wielu, wielu innych. Uciekać stąd, jechać do Ameryki, Australji, Kolumbji; dorabiać się majątku i patrzeć się z pobłażliwym uśmiechem na tych warjatów, co to tu, głodując, chcą ofiarą własnego życia realizować szczytne ideały... Czyż koniecznie trzeba się chrzcić, jak jego „najukochańsi“ braciszkowie, by dostać się do żłobu? Czy Luftglas nie dorobił się w partji tłustej posady?! Wicedyrektor Banku robotniczego! Czterdzieści funtów miesięcznie!... A Awiwi, nie „agituje“ już dwa lata w Ameryce wraz z żoną i dzieckiem?! Albo nawet ten Rotstein Mundek. Jakże się ta świnia wyżywała po kwucach! Brał jedną dziewczynę za drugą. I nic! Cicho, sza...

Czyby też Tirša poszła na lep słodkich słówek tego Rotsteina?... O co, to nie! Ona z innego była krzesana materjału. Ona by w pysk świni dała. Nie leciałaby na takiego idjotę, który tak długo mełł językiem, aż biedne gąski widziały w nim owego rycerza w złocistej zbroi, co to w portkach nosił klucz wyzwolenia dla śpiącej na dnie gęsiego serca tęsknoty!...

— Cześć, czcigodnemu delegatowi!...

— A, to ty Fredek! Zajechałeś tak cicho, że anim słyszał.

— Cóż to, chciałbyś i przez sen słyszeć?!

— E, nie marudź; przecież nie spałem.

— Nie, tylko coś robił? Przecież ci muchy właziły do gęby, a ty nic. No, zabieraj się do jedzenia, póki gorące. Tyś dziś ostatni w kotle... A cóż to, widzę, że złamałeś biczysko?

— Widzisz przecie! Paskudnie idzie dziś robota. Jak gdyby się wszystko zmówiło przeciw mnie. Te

http://rcin.org.pl

ścierwa ani ogonem nie chcą ruszyć. Musisz zostawić swój bat, bo inaczej trzeba chyba zaraz wracać.

— Z pewnością jesteś zdenerwowany z tytułu tej mowy, którą masz wygłosić na konferencji...

— Nie wiem, dlaczego uwziąłeś się i wciąż naciągasz mnie tą konferencją. Wielkie rzeczy przemawiać! Lepiej powiedz mi Fred, — ale proszę cię mów prawdę: mówiłeś z kimś z waadu, że ja mam zamiar poruszyć w Petach Tikwie kwestję ziemi? Mówiłeś: tak, czy nie? Gadaj!...

— A gdyby nawet, to co?

— A widzisz, zaraz się domyśliłem, że wniosek Chaskla to twoja sprawka... Po kiego djabła opowiadałeś to, co ci wtedy na drodze z Hajfy w tajemnicy zwierzyłem. Czy zawsze musisz się zachowywać jak baba, która nie może utrzymać języka za zębami?!...

E, lepiej byś jadł spokojnie, a nie irytował się. Z pewnością, że musiałem donieść, iż chcesz tam przemawiać imieniem kibucu. Kibuc zaś musiał przyjąć wniosek Chaskla, musiał zakazać ci przemawiać naszem imieniem. Gotowi tam na konferencji powiedzieć: ot macie — Bet Alfa — to drugi Tel Josef. Rewolucji się im zachciewa... Tak zaś, możesz we własnem imieniu mówić, ile zechcesz.

— O, dziękuję ci za wspaniałomyślne zezwolenie. Ale mnie właśnie chodziło o to, by sądzili w Petach Tikwie, że wybrany wolą większości, imieniem tej większości domagam się...

— Właśnie o to chodzi, byś nie narzucał swej woli większości. Czy nie rozumiesz tego, Arjeh? Bo po pierwsze byłoby to niesprawiedliwe, a powtóre bezcelowe.

http://rcin.org.pl

— Jakto bezcelowe?... Właśnie taką, jak wy trzodę, trzeba postawić wobec faktu dokonanego, a z pewnością przyjmie obce zdanie i obce dążenia za swoje.

— Jesteś mem zdaniem w błędzie i to w grubym. Chcieć narzucić wolę większości jest nietylko niesłusznem przedsięwzięciem ale i daremnem... Czy próbowałeś już swoją wolę narzucić sobie samemu, a jeżeli tak, to z jakim skutkiem?

— Zdaje mi się, że z pozytywnym. Mam chyba siebie w garści.

— Nie, mój szanowny delegacie. Ośmielam się twierdzić, że jesteś w błędzie; w błędzie wywołanym własną zarozumiałością, albo też niedopatrzeniem.

— Daruj Fred, ale wszystko można mi zarzucić, tylko nie zarozumiałość.

— I w tem również się mylisz. Jesteś na swój sposób zarozumiały, tak jak ja, lub Chaskel, lub Zygmunt, względnie każdy z nas. Jeden mniej, drugi więcej... I musi tak być. Gdyby bowiem było inaczej, rozpadłby się człowiek, jak się rozpada bryła ziemi, gdy słońce wilgoć z niej wyciągnie.

— E, ty z twoją filozofją! Jeszcze gotów jestem nabawić się niestrawności i nie będę wiedział, czy to z twojej filozofji, czy też z tej przesolonej kaszy.

— No, to dość dyskusji! Już i tak dostanę od Mańki burę, że tak późno wracam z naczyniem... Szalom więc Arjeh, a nie zapomnij po powrocie oddać mi bat.

— Szalom Fred.

Wcześniej niż zazwyczaj wrócił Arjeh z kośby, a to na skutek skróconej pauzy obiadowej. Nie zdążył jeszcze całkowicie rozebrać uprząży z Rafy i Ten-

http://rcin.org.pl

dry, aż tu na podwórzu powstał okropny wrzask. Trwożne nawoływanie ludzi, tupot pędzących ku barakom nóg, trzaskanie drzwiami, ujadanie psów przywołały Arjemu w pamięci obraz obleganej przez Arabów Petach Tikwy.

Nienamyślając się wiele, porwał za stojące w kącie widły od gnoju i wypadł ze stajni. Ku niemałemu jednak zdziwieniu zauważył, iż podwórze jest puste. Nigdzie ani żywej duszy, choć słońce dopiero zachodzić poczęło. Drzwi kuchni, pralni, warsztatów i pojedynczych mieszkalnych baraków szczelnie pozamykane, a z poza szyb jadalnej sali wyglądają wystraszone twarze dziewząt.

Nie pojmując przyczyny paniki, począł się Arjeh bacznie rozglądać wokoło, przygotowany na odparcie ataku. Nagle doszedł go głos Fredka, skrytego na szczycie kopy siana.

— Schowaj się Arjeh. Schowaj się, jak najprędzej!... Butterman się urwał. Stoi pod oborą.

Teraz dopiero Arjeh zrozumiał, skąd ta panika w osiedlu. Spojrzawszy bowiem we wskazanym przez Fredka kierunku, zauważył Buttermana, stojącego z pochylonym łbem przed zamkniętą furtką obory. Łańcuch, którym zazwyczaj przymocowany był do pala, leżał na ziemi, a ogon byka zakręcony z fantazją w górę, zdradzał gwałtowne i niebezpieczne dla otoczenia podrażnienie nerwów.

Błyskawicznie zastanawiał się Arjeh nad tem, w jakiby tu sposób schwytać zbiega. W takich wypadkach, — wiedział o tem od Leji — jedynie Moszek mógł bez niebezpieczeństwa dla swych kości zbliżyć się do buntownika. A Moszek jeszcze z bydłem nie wrócił z paszy. Niebezpieczeństwo zaś w istocie było

http://rcin.org.pl

wielkie, gdyż lada chwila mógł ktoś wrócić z pola i stać się ofiarą oszołomionego wolnością Buttermana.

W tej właśnie chwili Butterman znów przebiegł przez całą długość podwórza z łbem pochylonym do ataku, zatrzymując się od czasu do czasu, jakby w poszukiwaniu nieprzyjaciela.

— Fred — zawołał Arjeh pod wpływem nagłego postanowienia.

— Co?

— Czy są tam w spichrzu płachty nieprzemakalne?

— Są.

— No to weź i rzuć je tak, by spadły na traktor. Tylko celuj dobrze!

Fredek, wywiązując się z danego polecenia, rzucił płachty, służące do nakrywania wozów podczas deszczu, o tyle zręcznie, że opadły na ziemię obok traktora.

— Dobra nasza — zawołał uradowany Arjeh. — A teraz uważaj! Zejdź z kopy na przeciwną stronę podwórza i zachodź tyłami budynków tak, byś się znalazł jak najbliżej traktora. Jak mię zobaczysz na traktorze, wyłaź tam również. Tylko uważaj na byka, by cię nie pocałował...

Mówiąc to, porzucił Arjeh widły i w chwili, gdy Butterman oddalił się od traktora, rzucił się tam pędem, a podnosząc po drodze płachty, szybko i zręcznie osiadł na wierzchu maszyny, jak rozbitek na wyspie. Tuż za nim znalazł się tam blady ze wzruszenia Fredek.

— A teraz — pouczał Arjeh Fredka, — wyciągniemy te chusteczki i jak pan Butterman w drodze do obory znów przespaceruje się obok naszej twierdzy,

http://rcin.org.pl

rzucimy mu te chusteczki na jego mądre oczy, a resztę ja już załatwię. Tylko grunt: żgrabnie i ostrożnie!...

Fredek ze swej strony miał wielkie wątpliwości co do udania się planu i radził, by zaczekać na Moszka. Atoli Arieh obstawał przy swym planie, twierdząc, że aż do powrotu Moszka może się stać jakieś nieszczęście, a nadto Buttermana, podrażnionego wracającemi z paszy krowami, jeszcze trudniej będzie poskromić.

— A więc uważaj: — pouczał Arjeh Fredka — na raz: rzucamy płachty na łeb byka; na dwa: ja zsuwam się na dół i obwijam płachty koło łba, a na trzy: ty skaczesz na dół i chwytasz za łańcuch. Zrozumiano?

— Spróbujemy — niepewnym nieco głosem wyrażał swą zgodę zdenerwowany Fredek.

— Nic się nie bój; wszystko będzie w porządku — dodawał Arjeh otuchy Fredkowi.

Za chwilę Butterman, rozpędziwszy cztery, pozostałe na podwórzu indyki, znów szedł swym ciężkiem, a statecznym krokiem ku oborze. Gdy zbliżył się pod traktor opadło nagle na jego łeb i rogi szerokie płótno, zakrywając mu oczy i kark. Nim oślepiony i oszołomiony zmiarkował, z jakim nieprzyjacielem ma do czynienia i w którym kierunku należy się zwrócić, by atak odeprzeć, już Arjeh silnie zaciągał końce płótna koło karku, a za sekundę trzymał Fredek trzęsącemi się rękoma koniec łańcucha przeciągniętego przez nożdrza Buttermana.

Ubezwładniwszy w ten sposób byka, zaprowadzili go w wielkim triumfie do stajni, a ze wszystkich drzwi sypała się wiara na podwórze, omawiając żywo całe zajście.

http://rcin.org.pl

KONFERENCJA.

Główne obrady toczyły się w obszernym, na prędce z desek skleconym baraku. Barak stał na wolnem polu, poza kolonją i jakkolwiek do kolonji trzeba było iść dobre pół godziny, przecież barak pełnym był ludzi — niedelegatów. A i na polu, jakby w stałem znajdował się oblężeniu, zwłaszcza gdy przemawiał wybitny mowca, lub znany prowodyr.

Na frontonie baraku wznosiła się półokrągła brama triumfalna z widocznym już zdala czerwonym napisem: „W i t a j c i e t o w a r z y s z e“. Wewnątrz, na ścianach baraku wisiały fotografje działaczy zasłużonych koło ruchu robotniczego, z czerwonego papieru klejone łańcuchy, oraz czerwone, złotemi literami upstrzone wstęgi, na których widniały hasła: „R o b o t n i c y w s z y s t k i c h k r a j ó w ł ą c z c i e s i ę!“ — „W j e d n o ś c i w a s z a s i ł a i z w y c i ę s t w o!“ — „P r z e z p r a c ę k u w y z w o l e n i u!“ — „P r e c z z k a p i t a l i z m e m!“ — „Ż ą d a m y...“

Na przodzie, na wąskiem podjum, siedzieli liczni członkowie prezydjum i sekretarjatu. Z boku zaś, przy stoliku nakrytym gazetami, usadowiła się garstka przedstawicieli prasy.

Nawet niewtajemniczonego w ceremonjał obrad uderzał ów przedział wytworzony między dwiema częściami baraku: między podjum, a salą. Między siedzącymi ospale tam w górze starszymi, milczącymi, wytrawnymi dowódcami, a między rzucającymi się na ławkach, wykrzykującymi, odgrażającymi się, młodymi delegatami w dole. Tam bowiem w górze zasiadali ludzie, u których powoli wypalał się i dogasał dawny,

http://rcin.org.pl

zniczowy ogień bojowców. Z pierwotnej beztroski życiowej, z młodzieńczej, światoburczej, rozpędowej, rewolucyjnej siły, pozostała jedynie rutyna zawodowego partyjnika, wyczuwającego instynktem, kiedy należy głos podnieść, kiedy pięścią w stół uderzyć, kiedy — niedosłyszeć przykrego słowa opozycji...

Patrząc się w stronę podjum, miał Arjeh wrażenie, że ci weterani robotniczego ruchu przed chwilą dopiero wyszli z poza lady własnego sklepu, w którym sprzedawali płótno na łokcie, lub cukier na pudy. Ich bowiem twarze były pełne, syte, zadowolone. Większość nosiła kołnierze i krawatki, a niektórzy kręcili młynki na okrąglutkich brzuszkach. Jedynie oczy, wędrujące nerwowo po sali, starające się przeniknąć poprzez zimną, jakby z lodu zbudowaną ścianę, oddzielającą „górę“ od „dołu“, — oczy te zdradzały niepokój...

O, on wiedział, co ich niepokoiło, co im tam w górze zasnąć nie pozwalało... Tych panów z tłustemi posadami męczyła obawa przed upadkiem. Upadek bowiem, to znaczyło powrót w szeregi zwykłego, raz na tydzień trzydzieścipięć piastrów zarabiającego wyrobnika. Znaczyło to: być pozbawionym wpływu na bieg wypadków, możności dojścia do głosu, sposobności wyjazdu zagranicę w roli delegata lub agitatora. Przedewszystkiem zaś znaczyło to powrót z burżuazyjnej stopy życiowej do proletarjackiej, w ścisłem, praktycznem tego słowa znaczeniu. To znaczyło: nie dojeść, chodzić w podartych butach, bez grosza i papierosa w kieszeni. To łączyło się z wyrzutami żony, żądającej sukien, kapeluszy, kawiarni. To łączyło się z lamentem dzieci, domagających się lodów, kina, teatru...

http://rcin.org.pl

O, on znał tych panów, co to dzięki swemu wielkiemu pyskowi, dorobiwszy się znaczenia w partji, chwytali się oburącz i z taką siłą posad w burżuazyjnych instytucjach, w radach miejskich, wydziałach, komitetach — nie mając zresztą żadnych potemu fachowych kwalifikacji — iż gotowi byli za tę misę soczewicy i partję sprzedać i daną instytucję do ruiny doprowadzić. To też każdy z nich używał najrozmaitszych sztuczek, by swym oportunizmem nie zrazić sobie towarzyszy, by swem milczeniem nie utorować drogi dobijającym się na powierzchnię partyjnego życia młodszym delegatom.

O, przenikał on ich myśli na wskróś. Znał ich jak własną kieszeń. Wiedział, co którego gniecie. Bali się konkurencji, jak się boji sklepikarz swego sąsiada, również sklepikarza... Naprzykład ten, chodzący od jednego do drugiego, Apfelbaum. Stary wyga partyjny! Z pewnością myszkuje, z której strony wiatr wieje, w jaki ton należy uderzyć. Ze słów i myśli, które od innych zasłyszy, sklei sobie mówkę, piękną, naszpikowaną obrazami i cytatami z Marksa i talmudu, mówkę mistrzowską, tak iż później przy jej czytaniu w kwucach i zagranicą ludzie z zachwytu gęby rozdziawią, wargi lizać będą... Niktby nie przypuszczał, że człowiek ten pusty jest w środku jak pudło gramofonu, jak zgniły melon.

Albo ten Ratzner! Pobiera trzydzieścipięć funtów w Hadassie, a tu „proletarjusz" co się zowie!... A Wachman, z tą mordą pijaka czy też syfilityka! Nigdy nie uczesany i należycie nie umyty, ze stałymi śladami wczorajszego jedzenia na surducie, wiecznie zazdrosny, iż ten pisze artykuły, a tamten zgoła broszurę już wydał, a ów na kongresie II. Międzynaro-

http://rcin.org.pl

dówki reprezentował organizację..., gdy tymczasem on, Wachman, cóż on znaczy... Tak, trafne porównanie: podobny do próżnej szklanki piwa, ociekającej od piany, a przecież bez treści... Ledwo się trzyma na tej obsuwającej się górze z partyjnej obłudy, intrygi, lizuństwa i szalbierstwa... Tfu, do cholery!...

...Nareszcie z dwugodzinnem spóźnieniem rozpoczęły się obrady. Był to już trzeci dzień, a dopiero wczoraj, późno w noc, względnie o godzinie piątej nad ranem dnia dzisiejszego doszły pojedyncze frakcje do porozumienia co do — składu prezydjum! O, jakże on nie znosił tego gadulstwa, tej niepunktualności, tej frakcyjnej ambicji, starającej się przeforsować swych ludzi nawet za cenę rozbicia organizacji...

Trzykrotne uderzenie młotka i głos zabrał Furgin.

Dziwna rzecz. Człowiek ten znów, jak zawsze, działał na Arjego jak olbrzymi las, lub gwałtowna fala morza. Było w nim coś z żywiołu, z głębin bez dna, z tajemnicy kosmicznej siły. Twarz zeszpecona ospą, łysina aż po kark, a dolna szczęka upstrzona zębami ze złota. Gdy się jednak zagrzał w przemowie, zdawało się, że to nie człowiek, składający się z mięsa i kości, ale pochodnia obleczona ludzką skórą. Wylewała się wtedy z jego wnętrza lawa słów ognistą strugą i szła wprost na słuchaczy, niosąc w ich dusze pożogę entuzjazmu i ekstazy... Działał na słuchaczy jak elektryczna iskra na proch.

— Towarzysze! — mówił, jakby poprzez megafon swym potężnym, w każdy kąt sięgającym głosem. — Nasz ruch przeżywa kryzys. Lecz nie jest to kryzys żołądków, lecz kryzys duszy... Atoli mylą się ci wszyscy, a także i ci, co przyszli tu na salę, by na

http://rcin.org.pl

naszej chwilowej słabości budować nadzieję zwycięstwa w swej destruktywnej robocie. Mylą się. Mylą się grubo... Nie poddajemy się i nie poddamy się! Nie!... Nigdy!... Dopóki pustkowie tego kraju wołać będzie o wyzwolenie, dopóki w krajach golusu proletarjat żydowski napróżno będzie domagał się równouprawnienia, dopóki Żyda wykluczać się będzie ze szkoły, urzędu i warsztatu, jak długo numerus clausus odnosił się będzie do robotnika żydowskiego nietylko jako Żyda, ale i robotnika, jak długo proletarjat żydowski parjasem będzie wśród parjasów, — tak długo my tu w Palestynie będziemy twardą, czujną, niezniszczalną siłą. Tak długo my tu trwać będziemy, nie dającym się zgnieść płomieniem, budzić i prowadzić będziemy nie dającym się zwinąć i zniszczyć sztandarem...

Wstrzymano imigrację. Zamknięto bramy kraju. Pozbawiono nas rezerw, by nas w ten sposób osłabić i pozbawionych dopływu nowej, zdrowej krwi zdławić, zgnieść, złamać... Tego się jednak również nie bójcie. Posiew krwi zawsze bujnym wzejdzie plonem. Tysiące waszych braci zginęło tu, na tej świętej ziemi od kuli, malarji i głodu. Tysiące może jeszcze zginie. Ten i tamten zdezerteruje. Tu i ówdzie poniesiemy klęskę. Ale dzieło nasze po wieczne czasy trwać będzie, gdyż czyn człowieka silniejszym jest niż jego twórca...

Przyznaję: niejednokrotnie popełnialiśmy błędy. Niektóre z naszych instytucji się chwieją, a niektóre musimy poświęcić. Lecz niechaj ci panowie, którzy dziś z tego powodu radośnie zacierają ręce, przedwcześnie nie triumfują. Upadaliśmy już nieraz na naszej drodze ku szczytom. Lecz po każdym upadku

http://rcin.org.pl

wstawaliśmy silniejsi, mądrzejsi i bardziej zaciekli... A dopóki w naszych sercach trwa ta zawziętość pionierów pracujących — pod gradem kul — most zbudowanym będzie!...“.

Furgin mówił pół godziny. Przejściowy napływ krwi wypełniał ospą wyznaczone zagłębienia skóry, rozlewał się po łysinie i znikał gdzieś wewnętrz kołnierza szeroko rozwartej koszuli. Zapadła zazwyczaj pierś falowała gorączkowym, nierównomiernym ruchem, niby miech kowalski, podsycający ogień na dogaszeniu. Stał przez cały czas mowy bez ruchu, jakgdyby wraz ze stołem z jednej rzeźbiony był skały, a jedynie niesamowite światła oczu, żywe rumieńce na twarzy, oraz krople potu, spływające z nad czoła po policzkach i wzdłuż szyi, świadczyły, iż poza głosem jest w tym człowieku jeszcze inny przejaw życia.

Co za moc — myślał Arjeh — jest w tym małym, niepokaźnym człowieku. Ani palcem nie ruszy, a zdaje się, jakby z tego podjum w środek skakał słuchacza; brał go w garść i rzucał w przestrzeń pełną płonących gwiazd, przepastnych głębin, niebosiężnych szczytów, dech zapierających, szalonych wirów... Nie byłże właściwie cały ten poprzedni rachunek mylnym i niesprawiedliwym?... Miałże on, Arjeh, prawo generalizować, jak długo tego rodzaju ludzie, jak Furgin, stali na czele ruchu? Wszak mówiono o nim, iż pięć lat spędził na Sybirze wśród specjalnych, zadawanych mu przez bolszewików katuszy; iż siłą zmuszano go do przyjmowania partyjnych godności; iż ciągle chciał wracać do pracy na roli; iż całą swą prawie gażę, którą pobiera jako członek Egzekutywy, rozdziela między chorych towarzyszy... Czyż człowiek ten, włada-

http://rcin.org.pl

jący podobno sześcioma językami w słowie i piśmie, o zdolnościach retorycznych Jaures'a, o energji Napoleona, o czystości rąk Herzla, czyż człowiek taki nie zająłby śród burżuazji o wiele odpowiedniejszego stanowiska?!...

Lecz pocóż szukać aż tak daleko!... Czy taki Zygmunt z kibucu przy swych fundametalnych wiadomościach z dziedziny botaniki i zoologji nie byłby przy kontynuowaniu swych studjów doczekał się docentury i profesury?... Czy taki Kałmek ze swą fenomenalną pamięcią, ze swem frapującem uzdolnieniem do matematyki nie byłby może przy sprzyjających warunkach poszedł w ślady — Einsteina?!...

Nie! Stanowczo on, Arjeh, był niesprawiedliwym. A co najgorsze, niesprawiedliwość ta wywodziła się z przyrodzonej mu skłonności do pogardzania drugimi, ze skłonności do patrzenia złym okiem na swe otoczenie, do podejrzewania drugich o nieczyste, nieuczciwe pobudki... Tak, ów brak tolerancji, którym od dzieciństwa się odznaczał, odbierał mu zdolność trzeźwego patrzenia na ludzi i rzeczy...

— Halo, towarzyszu! To do was...

Temi słowy przerwał rozmyślania Arjego siedzący z tyłu sąsiad, wręczając zwinięty skrawek papieru. Arjeh, wygładziwszy kartkę, z trudem czytał pośpiesznie nakreślone słowa:

„Po mowie Furgina wyjdź i czekaj na mnie przed barakiem. Fr. Grün".

— O, to on też tutaj? — myślał Arjeh nie bez pewnego uczucia radości.

Rozglądając się następnie po sali, zauważył Grüna, siedzącego na przedostatniej ławce. Głowa

http://rcin.org.pl

Grüna, osadzona jak główka maku na przydługiej szyi, wznosiła się wysoko ponad czuprynami sąsiadów.

Przywitali się oczyma, a Arjeh skinieniem głowy wyraził swą zgodę na przesłaną mu propozycję...

— — — — — — — — — — — — —

Powoli opróżniał się barak. W pustą salę, poprzez nieoszklone otwory okien, poprzez szpary między niedopasowanemi deskami ścian, poprzez belkowanie dachu skradał się na salę przedwieczorny wiatr. Niosąc się z migdałowych sadów, pomarańczowych ogrodów, gęstych płotów mimozy, igrał swawolnie między palmowemi liśćmi, nakrywającemi dach baraku w miejsce papy, czy też dachówki.

Z wnętrza baraku wychodzono grupami, żywo dyskutując. Arjeh przedarł się przez tłum otaczający barak i stanąwszy nieco z boku, czekał na Grüna. Za chwilę ukazała się pływająca w tłumie głowa Grüna, podobna tym razem do balonika unoszącego się nisko ponad głowami ludzkiemi.

— Grün — wołał Arjeh, wymachując w powietrzu żokiejką.

— Już idę — odpowiadał zdala Grün.

Wydostawszy się na wolne miejsce, uścisnęli sobie ręce, a Grün przedstawił Arjemu małego człeczynę, o starannie wygolonych policzkach i wielkich okularach w czarnej rogowej oprawie:

— Pozwolisz: Dr. Einhorn, korespondent amerykańskiego Vorwärtsu i mój znajomy z golusu. W drodze ze Syrji do Egiptu wstąpił także do nas. A to: mój przyjaciel Arjeh z Bet Alfy...

Arjeh kiwnął lekko głową. Nie bardzo był zadowolony z obecności świeżo poznanego towarzysza. Nie

http://rcin.org.pl

znosił żurnalistów wogóle, a w szczególności tych, co to, nie mając żadnego wewnętrznego stosunku do Palestyny, przyjeżdżali tu jak na nieodkryty jeszcze biegun ziemi, jak do ojczyzny Kafrów, głodni senzacji i widowiska.

Z natury rzeczy, — przedstawiając to, co się tu działo, — przesadzali albo in minus, albo in plus. Albo wydawało się im wszystko przepięknem, albo też mostem z baniek mydlanych, mostem, podmytym przez bolszewizm... Wymagało tego ich rzemiosło, wymagał ich redaktor i ich czytelnik... To też najchętniej wziąłby tego pisarczyka za jego rudą, świński pysk przypominającą gębę i wrzucił zpowrotem do opróżniającego się baraku.

Szli okrężną drogą, by po długiem przesiadywaniu w dusznej, zadymionej atmosferze baraku zaczerpnąć świeżego powietrza. Minęli wzrorowo urządzony ogród Kwucat poalot, sklecone z blaszanych puszek baraki Jemenitów, a brodząc po kostki w brunatnym piachu ulic, weszli między szeregi zaniedbanych domostw, obramionych smukłemi pinjami i wyniosłymi świerkami, dumającymi na porośniętych chwastem podwórzach.

Milczenie przerwał Dr. Einhorn pytaniem:

— Jak się nazywa ów główny mowca na dzisiejszem posiedzeniu?

— Furgin — odpowiedział Grün.

— Mowca first class. Choć po prawdzie nie rozumiem, jak w okresie winobrania może tyle ludzi siedzieć bezczynnie i tracić czas na gadaniu, nie wyczerpując przytem tematu. Przecież w ten sposób, to i za dwa tygodnie wasza konferencja się nie skończy. A przypuszczam, że na konferencję zjechali się wasi

http://rcin.org.pl

najdzielniejsi ludzie, nie mówiąc już naturalnie o tych licznych kibicach, którzy też niepotrzebnie czas swój tracą... U nas w Ameryce oblicza się na ułamki sekund ekonomję ruchu i pracy, a tu...

— Tu proszę pana — tłumaczył Grün — nie można stosować metod Taylora. My dalecy jeszcze jesteśmy od amerykańskich metod i to pod wielu względami. Dlatego też przejawów naszego politycznego i społecznego życia nie można mierzyć amerykańską miarą. — Po chwilowem zaś milczeniu dodał:

— A o ile chodzi o gadulstwo naszych ludzi, to musi pan sobie uprzytomnić, że większość delegatów, to ludzie, którzy ongiś żyli w środowiskach intelektualnie bogato rozwiniętych. Dziś — na wsi, w odosobnieniu i zdala od źródeł-duchowych emocji — jest dla nich konferencja tem, czem dla inteligenta w Europie, kawiarnia, teatr, sala odczytowa. Tu przez chwilę odpoczywają po ciężkiej fizycznej pracy. Tu spotykają się ze swymi przyjaciółmi, towarzyszami, wyznawcami wspólnego politycznego programu. Tu wyżywają się jakgdyby na łonie rodziny i tu wchłaniają w siebie nowe, żywe idee, nabierając duchowych rezerw — że się tak wyrażę — na dłuższy...

— Rozumiem, rozumiem — przerwał Grünowi Dr. Einhorn, podnosząc jakby do obrony prawą rękę ze szczerozłotą branzoletą na przegubie. — Powiedz mi pan jednak, ile te „duchowe rezerwy" kosztują?... Sto ludzi, powiedzmy po 8 dni — czyni ośmset dni. Ośmset dni po trzydzieścipięć piastrów — tyle słyszałem zarabia u was robotnik dziennie, czy tak? Czyli ośmset razy trzydzieścipięć równa się dwieście ośmdziesiąt. A czy tu u was dwieście ośmdziesiąt funtów chodzi piechotą?

http://rcin.org.pl

— O, co do tego, to się pan, panie doktorze, myli — protestował Grünn — i to co najmniej o trzy czwarte rezultatu.

— Jakto, dlaczego?...

— Proszę posłuchać, a łatwo to pan zrozumie... Dziś w południe, gdy szedłem na konferencję i piłem po drodze gazos, spotkałem znajomego, również delegata. Ledwo się przywitał, już chciał sobie pożyczyć pieniędzy. Pytam się go: jakto przyjacielu, przyjechałeś na konferencję bez pieniędzy? A on na to: gdybym miał flotę, tobym już dawno uciekł z konferencji...

— Nie o to chodzi, — śmiejąc się, tłumaczył żurnalista, — ile kto tu wyda, ale o to, ile przez czas trwania konferencji nie zarobi.

— O, i co do tego mogę pana uspokoić. Wszak bezrobotnych i tak jest więcej niż uczestników konferencji.

Idąc i rozmawiając zbliżali się powoli do jednej z licznych kwater, w której na czas trwania konferencji rozmieszczono delegatów. Gdy stanęli przed kwaterą, Amerykanin począł się żegnać, dziękując Grünowi za użyczone informacje i wprowadzenie na salę obrad. Ledwo zaś żurnalista oddalił się o parę kroków, zirytowany Arjeh napadł na Grüna:

— A skądże wytrzasnąłeś tego rudego, amerykańskiego szczura? Nie miałeś nic lepszego do roboty, tylko takiego parszywca wtajemniczać w nasze sprawy!

— Cóż mogłem zrobić — usprawiedliwiał się Grün. — Furgin prosił mnie, bym się nim zajął. Miałem go zostawić na środku gościńca?

— Taki kundel — irytował się w dalszym ciągu Arjeh — zaraz z Tel Awiwu wyszczeka wszystko telegraficznie do Ameryki.

http://rcin.org.pl

— I, co ci tam na tem zależy? — uspokajał Grün Arjego. — Czy z nim, czy bez niego, i tak zrobimy, co uznamy za stosowne... Powiedz mi raczej Arjeh, jak tam z tobą? Jak ci w Bet-Alfie? Dlaczego właściwie nie wstąpiłeś do nas, tylko do Bet Alfy?... Gdybym był wiedział, że masz zamiar wstąpić do Kibucu, byłbym cię siłą do nas uprowadził.

— Cóż to, czy ja jestem piękną Heleną, by mnie siłą uprowadzać... Ale żart żartem... W gruncie rzeczy chętniebym z tobą pracował, bo z ciebie klawy towarzysz. Ale po tem, coś mi raz opowiadał... pamiętasz... wtedy, w Jerozolimie, gdy byłem ranny... myślałem sobie: dość mają w Kirjat Anawim swoich ludzi i własnych kłopotów...

— Ależ Arjeh! Od tego czasu u nas gruntownie się zmieniło.

— Na lepsze, czy na gorsze?

— Mój kochany. Jesteś już tak długo w Erec, żeś powinien wiedzieć: Tylko w golusie zmienia się u Żydów na gorsze. W Erec — zawsze na lepsze.

— No, no! Nie przesadzajmy...

— Osądź, czy przesadzam. Z nami rzeczywiście nie było jak najlepiej; ba, nawet można powiedzieć, było poprostu: źle. Ot, widzisz, prawie że to samo, co swego czasu z kolonistami w Riszon l'Zion... Dopóki baron się nimi opiekował, nie mogli końca zeszyć z końcem. Gdy zaś zaczęli myśleć własną głową, rosną im brzuchy...

— Porównianie nie bardzo stosowne. Tobie chyba nigdy brzuch nie urośnie...

— Masz rację — śmiał się Grün swym miłym, kobiecym głosem. — Mierząc bowiem mój ewentualny brzuch moją długością, urósłby do takich rozmiarów,

http://rcin.org.pl

iż musiałbym go wozić na wózku albo na osiołku... Ale wracając do rzeczy: widzisz, sprawa ma się tak: dopóki słuchaliśmy naszych opiekunów, doradców i instruktorów i opieraliśmy nasze gospodarstwo na owocach i jarzynach, było źle, Był nawet czas, gdyśmy myśleli, że trzeba będzie kapitulować... Równocześnie jednak ludzie nasi nabierali doświadczenia w mleczarstwie, traktowanem dotychczas po macoszemu.

— Jakto, przecież opowiadałeś, gdy raz byłem u was, żeście —

— z tą piękną panienką z Hadasy? Gdzież też ona jest teraz? Nie widuję jej w Jerozolimie.

— Jest w Bet Alfie.

Grün popatrzył się bacznie na Arjego, by za chwilę bez żadnego odcienia zdziwienia w głosie kontynuować opowiadanie:

— Właśnie o tych krowach chciałem mówić. Gdyśmy zakupili dziesięć krów fryzyjskich, okazało się ku naszemu największemu zdziwieniu, że nasze pięćdziesiąt krów, nie tylko mogą wyżywić naszych ludzi, ale że jesteśmy w stanie upłacić dwieście funtów przypadających w tym roku długów; że mamy własny sklep z nabiałem w Jerozolimie, gdzie stale siedzi pięciu naszych ludzi; że rozbudujemy się i wprowadzamy ulepszenia...

— Wiesz co, Grün, daj pyska!... Tak mię ucieszyłeś tą wiadomością, jakgdyby ktoś słońce zdjął z nieba i włożył mi do duszy... Po wszystkich tych skargach i żalach, które się ostatnio słyszy, to te twoje słowa, jak pierwsze deszcze dla wyschniętej ziemi... Należałoby bodaj gazosu napić się na uciechę...

http://rcin.org.pl

— Nie teraz. Potem... Mam do ciebie pilny interes i dlatego ci kaıtkę posłałem...

— Interes?

— Tak, Arjeh. Ale wejdźmy do pokoju.

W małej izdebce, stanowiącej część parterowego domku o obmurowanem wokół podwórzu, stało, jak w koszarach, sześć żelaznych łóżek, nakrytych prześcieradłami, z pod których przeglądały brudnawe sienniki. Z każdego łóżka zwisał ręcznik, a przed łóżkiem leżały w miejsce chodników czy też dywanów — stare gazety.

— Siadaj Arjeh tam na krześle... Może zapalisz?

— Wiesz przecie, że nie palę...

— Nie zmieniasz się, jak widzę... A więc słuchaj Arjeh... Chcę z tobą pomówić o tym twoim planie...

— O jakim planie? — pytał Arjeh z niemałem zdziwieniem.

— O tym, z którym chcesz wystąpić na konferencji.

— A skądże ty już o tem wiesz?

— Mówił mi Henek z Merchawji... A prócz tego mówiono już o tem również na posiedzeniu komisji permanencyjnej.

— O, co za zaszczyt! Nawet w najwyższych sferach raczono...

— Słuchaj Arjeh, znasz mnie nie od dzisiaj i wiesz, jak się do ciebie zawsze odnosiłem... Wprawdzie na komisji permanencyjnej polecono mi mówić z tobą oficjalnie, ale ja i takbym był...

— odmawiał cię od zamiaru poruszania tej sprawy... Czy nie tak?

— Nie, Arjeh... Słuchaj bez uprzedzeń i bez sarkazmu. Posłuchaj w spokoju...

http://rcin.org.pl

— Mów!

— Najpierw: dlaczego komisja nie chce, byś mówił o tem na plenum, a następnie: dlaczego ja życzenie komisji popieram.

— Z pewnością się boją, że będą musieli odsłonić przyłbicę i oświadczyć się przeciw tym, co siedząc na naczelnych stolcach, nie chcą przejrzeć.

— Tak i nie... Nie boją się prawdy, lecz obawiają się Opatowskiego. Obawiają się, że Opatowski ze swymi ludźmi chwyci się twych słów, by rozbić konferencję... Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę z tego, co znaczy rozbicie konferencji w tym dla naszego ruchu tak krytycznym momencie, w chwili, gdy ludzie rozgoryczeni są brakiem pracy i chleba, gdy wre po miastach, a tu w Petach Tikwie co dopiero krew się polała... Zauważyłeś chyba, jak ludzie Opatowskiego milczą, bo czekają, aż ty ze swym planem wystąpisz i rzucisz wiatr w ich żagle... Wiedz, mój kochany: komisja permanencyjna posiada dostateczne informacje, iż lewica omawiała stawiane przez ciebie żądania... Chce je też całą parą forsować, bo to jest woda na młyn...

— Wiesz co, Grün. Widać, żeś kiedyś studjował prawo. Byłbyś niezłym adwokatem... Przypuśćmy więc, że się godzę na propozycje komisji, lecz co komisja daje mi w zamian za...

— Komisja permanencyjna proponuje ci, byś plan swój przedstawił na specjalnem posiedzeniu komisji przy udziale prezydjum konferencji. Jeżeli plan twój będzie odpowiadał, przyjmie się go na konferencji po twoim referacie bez dyskusji. Jeżeli nie...

— O to właśnie chodzi: co będzie, jeżeli tym panom rządowcom plan się nie spodoba? Co wtedy?

http://rcin.org.pl

— Otóż słuchaj Arjeh... Teraz ja mówię od siebie. I to nietylko jako twój, no — powiedzmy przyjaciel, ale jako ten, który się całą duszą na twój plan pisze... Otóż ja jestem zdania, że sprawy tej nie należy poruszać ani na plenum, ani na komisji... Zaraz ci powiem, dlaczego... Według mnie ludzie ci zanadto dużo mają u r o j o n e g o poczucia odpowiedzialności, by uchwalić coś, za czem nie wypowie się ani Londyn ani Jerozolima... Nie przypuszczasz chyba ani na chwilę, że w obecnej sytuacji finansowej Londyn lub Jerozolima zgodzą się na oddanie ziemi na cele nowych osiedli, nie mówiąc już o tworzeniu nowych rezerw ziemi... Tak, czy nie?

— Przypuśćmy... Więc jak sobie ty właściwie wyobrażasz urzeczywistnienie mego planu?

— Mojem zdaniem: tylko w tajemnicy i siłą. Myślę — pierwszą część planu, to jest zajęcie ziemi gotowej do zajęcia. Co się zaś tyczy drugiej części, to znaczy stworzenia rezerw ziemi pod nowe osiedla, pozostanie to tak długo pobożnem życzeniem, jak długo w kasach sjonistycznych nie będzie pieniędzy.

— Powiedzmy, że masz rację. Przyznasz jednak, że dopóki myśl ta nie wyżłobi sobie w mózgach naszych przewódców szerokiego łożyska, dopóty nie ma mowy, by znalazła posłuch w szerszych sferach sjońskich.

— Może masz rację, Arjeh. Ale moment, w którym chodzi o kwestję, co jutro dać jeść bezrobotnym, moment ten nie jest mem zdaniem odpowiednim do forsowania daleko idących postulatów i na szeroką skalę zakrojonych projektów... Usłuchaj mnie i zrób, jak ja ci radzę... Agitujmy wśród ludzi, od osiedla do osiedla; od człowieka do człowieka... Za miesiąc zwo-

http://rcin.org.pl

łamy tajną konferencję. Gdziekolwiek bądź. Do Tel-Awiwu lub do Hajfy; gdzie zechcesz i uchwalimy, co należy.

— Wiesz co Grün, pomyślę nad tem, coś mi powiedział... Zobaczymy.

— A kiedy dasz odpowiedź?

— Najpóźniej dziś na nocnem posiedzeniu.

— Doskonale. — Idziesz już?

— Idę... Poszukam Uriego z gdudu... Szalom!

— Szalom.

PRZY PRACY.

Pod szopą krytą blachą prasowano siano. Lipek i Dwora brali siano z kopy, nadziewali na żelazne widły i podawali je Fredkowi. Ten pchał je w gardziel maszyny. Arieh stał na dole i zakładał uważnie druty. Siano, ściśnięte w prasie tłokiem i sprężyną, wychodziło z maszyny spojone drutem, podobne do wielkiej paczki chłopskiego tytoniu. Ile razy z maszyny wysuwała się taka, jakgdyby żelazkiem sprasowana, cegła siana, Dora przystawała w pracy, opierała się o stylisko wideł i otwierała z podziwu gębę.

— Dora, — wołał wtedy z wierzchu kopy Lipek, trącając ją widłami w ramię — spisz, czy co?

— E, — odpowiadała Dora, wpychając brzuchem widły w oporne siano — patrzę się na tę maszynę i nie mogę się napatrzyć. Fastryguje ci ta jucha tak zgrabnie, że naprawdę lepiej niż Stefka koszulę.

— Ileż to razy trzeba ci rzecz tłómaczyć, by nareszcie wlazła do twej mózgownicy?... Mówię ci przecież: sprężyna przymocowana jest do tłoka, a tłok do

http://rcin.org.pl

sprężyny w kieracie, a kierat do dyszla, a dyszel do Balfourji, a Balfourja do kibucu, a kibuc do Palestyny, a Palestyna do Żydów, *had gadju, had gadju*...

— Ty się Lipek naśmiewasz ze mnie, a ja dalej nic nie rozumiem.

— No, to popatrz się na poczciwą Balfurję... Zaprzągnięta do kieratu, zasłonięte ma ślipia workiem. Nic nie widzi i nic nie rozumie, a chodzi i charuje... Charujże i ty dziewczyno, a nie mędrkuj. Halas... *).

Lipek miał istotnie rację. Długoucha Balfurja, zaprzągnięta do dyszla kierata, otumaniona workiem, przewiązanym poprzez oczy, chodziła wokoło wolnym, statecznym krokiem, niby spensjonowany generał po miejskim ogrodzie. Prawdopodobnie nie uświadamiała sobie roli, jaka odgrywała w ogólnym procesie tworzenia żydowskiej siedziby narodowej. Apatycznie bowiem, cicho, posłusznie i ofiarnie stąpała po usłanem słomą klepisku, a worek, przesłaniający jej widok, usuwał z przed jej nóg i z przed jej świadomości wszelkie przeciwieństwa i wszelki trud życia. Użyczał iluzji, iż kolista droga pracowitego jej żywota jest w gruncie rzeczy drogą prostą, prowadzącą gdzieś do ostatecznego celu.

Czasem tylko, gdy worek na skutek gwałtownego opędzania się muchom, opadał na nożdża, wydawała Balfurja głos, podobny do głosu zarzynanego koguta. Dworze, wystraszonej temi „melodyjnemi" dźwiękami, wydawało się, że Balfurja przeciwstawia się nie tyle trudności w normalnym procesie oddychania, ile nagłemu przejawieniu się zewnętrznego świata, beznadziejnej kolistości drogi. opacznemu trudowi wykony-

*) Halas — koniec.

http://rcin.org.pl

wanej przez się pracy, Dwora miała wtedy wrażenie, że Balfurja nie życzy sobie, by jej odbierano iluzję widzianych poprzez worek rzeczy. Balfurja bowiem, po każdorazowem obsunięciu się worka, przystawała i czekała, aż jej Arjeh zawiąże zasłonę na właściwem miejscu i przywróci zakłóconą równowagę ducha i kroku.

Czasem zaś, na skutek braku wprawy u pracujących, wychodziły paczki siana z gardzieli maszyny, skrzywione jak gąsienica, przyczem luźno związane siano prostowało się krnąbrnie i wyzywająco. Wtedy Arjeh klął i wyzywał Fredka:

— Czemu, do djabła, nie uważasz! Przecież to nie papieros, byś go lepił śliną... Zakładaj, jak się należy i pchaj z całych sił... Niech ci się zdaje, że to widelec z mięsem, który pchasz do gęby...

Fredek bronił się, składając całą winę na Arjego:

— Nie krzycz, a zakładaj porządnie druty. Ja już wiem, co robię...

Naturalnie, że wzajemne przypisywanie sobie nieuwagi i niezręczności nie wpływało na polepszenie sytuacji. Słowa nie wiązały siana silniej, niż drut i maszyna. Trzeba więc było pomierzwione druty przecinać nożycami, rozbierać snopki i ponownie pchać siano w gardło prasy. Gdy zaś Fredek, przejmując się opowiadaniem Arjego, zapominał na czas wstawiać deski, przegradzające jeden snopek sprasowanego siana od drugiego i na skutek tego zbyt wiele siana właziło w gardziel maszyny, wtedy sprężyna się zacinała, kierat stękał, a Balfurja przystawała... I jakkolwiek Arjeh i Fred wołali: Balfurja, wio! wio! a nadto Arjeh dodawał jej otuchy kijem, mulica stała spokojnie na jednem miejscu, strzygąc jedynie swemi długiemi usza-

http://rcin.org.pl

mi i zagryzając swą oślą melancholję pozbieranemi ze ziemi źdźbłami słomy.

— ...A więc powiadasz — pytał Arjeh Fredka, przystając na chwilę w pracy — że to Szmulika była ręka z tym Butermanem?... Jakoś nie chce mi się wierzyć...

— Mógłbyś z Tirsą zrobić spółkę. Ona też w żaden sposób nie chciała uznać jego winy i broniła go do ostatniej chwili. Dopiero, gdyśmy go porządnie przycisnęli do ściany, a Moszek go wziął na spytki, smarkacz sam się przyznał.

— A jakeście wpadli na to, Fred?

— Przypadkowo. Gdy Moszek na drugi dzień po twoim wyjeździe przyniósł Berkowi do kuźni ów przerwany przez Butermana łańcuch, Berek, oglądając łańcuch, zauważył, że jedno pęknięte ogniwo było nadpiłowane... Naturalnie, że podejrzenie odrazu padło na Szmulika, bo smarkacz ten stale gdzieś coś komu na złość robił... Prócz tego brakował Berkowi pilnik...

— I cóżeście zrobili?

— Cóż mieliśmy zrobić? Wylaliśmy na pysk, mimo, że Tirsa, a przez nią i Leja, wstawiały się za nim... Omal, żeśmy się z Leją nie pokłócili.

— Jakoś, Fred, nie pod dokładnym adresem odesłaliście tego małego bohatera, skoro znów jest w kibucu — mówił z przekąsem Arjeh.

— Mówię ci, Arjeh: ten chłopak, to i po śmierci z grobu wstanie... Gdy go przed tygodniem żandarm z Bejt Szan przyprowadził zpowrotem do kibucu, nie pokazywał się po barakach, tylko latał jak bezpański pies po polach, żywiąc się grochem i bananami. Dopiero Moszek i Tirsa go obłaskawili... A wiesz, co ten śpik robił, gdyśmy go wyrzucili?...

http://rcin.org.pl

— ? ? ?

— Nie uwierzysz, gdy ci opowiem... Wiem to od Moszka... Pojechał do domu, do Jerozolimy. Stamtąd na drugi dzień uciekł do Tel-Awiwu. Tu kręcił się między szoferami, pilnował aut gościom, zajeżdżającymcym do kina, a jakiś czas należał do bandy chłopców, sprzedających się arabskim homoseksualistom w Jaffie... Gdy go raz przycapnęła policja in flagranti, uciekł z jakimś szoferem do Jerozolimy, a następnie do Hajfy i Tyberjady. Tu pomagał rybakom łowić ryby na jeziorze Kineret... Ciągło go jednak do Bet Alfy, więc ciężarowym pociągiem przeszwarcował się do nas.

— A to ci morowa sztuka!...

— Jak widzę, to i ty Arjeh, trzymasz z nim?

— Trzymam, nie trzymam. Uważam, że z człowiekiem to tak, jak z tem, ot tu, sianem. Dopóki drut trzyma, siano siedzi w kupie. A gdy drut pęknie, to mażesz kląć do jutra, nic ci nie pomoże. Dopóki więc jest dobre słowo i odpowiednie otoczenie, nie trza tracić nadziei. Być może, że i ze Szmulika będą porządniejsi jeszcze, niż my, ludzie... Jak widzę, toście mieli dość kłopotów podczas mej nieobecności...

— Kłopotu i roboty. W najgorętszy czas zrobiłeś sobie wakacje.

— Masz Fred rację, czyniąc mi wyrzuty. Ale wiesz, że nie próżnowałem. Obszedłem prawie wszystkie osiedla w Judeji i Dolnej Galileji. Sprawa zaś tak jest przygotowana, że jeszcze przed deszczami...

— A gdzie jest właściwie ta twoja ziemia, Arjeh?

— Między Hajfą a Nahalal.

— A wieluż was jest?

— Więcej, niż chciałem... Fredek Grün z Kirjat Anawim ma koło pięćdziesięciu, a ja zwerbowałem

http://rcin.org.pl

studwudziestu... Same weterany... Z Trumpeldorem w Tel Haj niektórzy walczyli i w Tel Josef szańce sypali... Każdy co najmniej trzy lata w kraju... Czekanie na kawałek ziemi już im serca zeżarło... Zdecydowani są na wszystko. Jak przyjdzie do czego, to pójdą na noże... A ty, postanowiłeś już?...

— Jeszcze nie. Przecież jeszcze czas...

— Czas, nie czas. Do dwóch tygodni masz dać odpowiedź: tak, lub nie.

— A czy w kołach miarodajnych, myślę w Jerozolimie i Tel Awiwie, wiedzą coś o waszych planach?

— Skądżeby!... Fredek Grün dobrze radził. Wszystko załatwia się cichcem. Dowiedzą się, gdy zabierzemy pola, zaorzemy i zasiejemy...

— A skądże weźmiecie konie, wozy, pługi, zboże?

— Moja w tem głowa... Jak się zdecydujesz, to ci powiem... Widzę Fred, że kiwasz swoim głupim zwyczajem głową. Nie wierzysz?... A czy wiesz ty, co to jest pięć lat charówki bez widoków na osiedlenie się?!... Czy wiesz, co to znaczy zwątpić we wszystko, co było świętem, w co się wierzyło, jak w matkę i ojca?... Czy wiesz, co to jest patrzeć w przepaść i widzieć, jak się grunt usuwa pod nogami?!... Nie, ty nie możesz tego zrozumieć, bo... bo wam tu w Bet Alfie za dobrze się wiedzie. Ale ja, ja chodziłem i widziałem. Wszędzie, wszędzie głód za ziemią jest tak wielki, że się to nie da opisać... Po miastach zaś, to już nie głód za ziemią, ale taki sobie zwyczajny głód za kawałkiem chleba lub pity...*).

— Przesadzasz Arjeh, przesadzasz.

— Nie! To nie przesada... Dwa tygodnie siedziałem teraz w Tel-Awiwie... Gdy ostatni raz tam byłem,

*) Pita — placek pieczony na sposób arabski.

http://rcin.org.pl

było to na pogrzebie Nordaua. Wtedy, bracie, na pogrzeb szli, jak nie przymierzając, na wesele. Tak ich rozpierała radość i chęć życia. A teraz... Teraz idą na wesela, jak na pogrzeb... Powiadam ci Fred, chodzą ze spuszczonemi nosami, gorzej niż nasza leniwa Balforja... A i policja nie próżnuje... Szuka, wącha, maca... i wylewa.

— Podobno — wtrąciła się do rozmowy Dwora — przed tygodniem znaleźli u jakiejś kobiety bibułę w pięciu językach?...

— Prawda — potwierdził Arjeh. — A najgorsze, że kobieta ta pracowała jako sekretarka w miejskiej bibljotece... Tak, tak. Nasi przyjaciele, bolszewicy, też nie zasypiają gruszek w popiele.

— Głupiby byli, gdyby nie korzystali z ogólnego niezadowolenia — krzyczał z góry Lipek.

— A czy to prawda, Arjeh — dowiadywała się Dwora — że chcieli i ciebie zamknąć?

— I, głupstwo... Towarzysze z Poalej Cion urządzali demonstrację...

— O co?

— O co? A o jakiegoś tam ich towarzysza, którego sąd zasądził na wydalenie z kraju za przynależność do komunistów... Poszli więc sobie wbrew zakazowi pod Magistrat. Nadjechała konna policja i waliła pałkami. Byli ranni, a między nimi i mój jerozolimski znajomy, Ben Dor...

— Znam go — oświadczył Lipek. — Pracowaliśmy razem w kamieniołomach na Giwat Saul.

— Miał głęboką ranę na głowie. Ponieważ wiedziano, iż Zarząd Hadassy otrzymał rozkaz zgłaszania na policji nazwisk rannych, a ponieważ i w domu nie było całkiem bezpiecznie, więc zaprowadzili Ben

http://rcin.org.pl

Dora do znajomego, mieszkającego na przedmieściu, w Newe Szanan... Tam, w tym baraku go odwiedziłem... Miał zawiązany łeb, że mu tylko ślepia było widać... Siedzimy tak i gwarzymy, ja, Ben Dor, jego żona i właścicielka pokoju, aż tu nagle żona Ben Dora widzi przez okno: policja!... Gwałtu, co robić?!... „Rozbieraj się“, powiadam do żony Ben Dora „i wal do łóżka, ale raz dwa! A ty Ben Dor właź do szafy!“.. Gdy policja weszła, z angielskim kapitanem na czele, Ben Dor siedział w szafie, a jego żona leżała w łóżku z obwiązaną głową... Musicie wiedzieć, że między policjantami był ku naszemu szczęściu znajomy, towarzysz z samoobrony jerozolimskiej... Mrugnąłem mu okiem, a ten nic... Myślę sobie, czekaj ty drabie. To się nie chcesz do nas przyznać?... Już ja się z tobą porachuję! Tymczasem oficer, Żyd sefardyjski, rozgląda się po wszystkich kątach... „Kto jest ta chora i na co?“ pyta. „Właścicielka pokoju, napad malarji“ odpowiadam... „Odwinąć kompres“... „Proszę!“... „Otwierać szafę!“... Na to żona Ben Dora cichym powiada głosem: „Szafa, panie kapitanie, zamknięta; klucz wziął mąż na robotę“... „Gdzie?“... „Na Kwisz, do Petach Tikwy“... „A wy kto?“ pyta mnie... „Ja... znajomy z Bet Alfy“... „Tak jest, panie kapitanie“ potwierdza mój znajomy policjant. „Znam go i ręczę za niego“... „No to dobrze. Good bay“... Powiadam wam, już dawnośmy się tyle nie uśmiali, jak wtedy, gdy Ben Dor wylazł ze szafy...

— Hej — upominał Lipek — skończcie już to gadanie. Musimy do południa naprasować i zważyć. Po południu trzeba siano odesłać na kolej.

— Masz rację, Lipek — przyznawał Arjeh. — Raźno banda! Jeszcze mamy godzinę do południa.

http://rcin.org.pl

Wkrótce zupełna zalegla pod szopą cisza. Słychać było jedynie szurganie wróbli po blaszanem pokryciu szopy, uderzanie wideł o widły, chrzęst naciąganej i zwalnianej sprężyny i regularny, stłumiony tupot Balfurji, kroczącej z umiarem po klepisku.

W BEJT SZAN.

Jechali wzdłuż podnóża gór Gilboa, gór, wyciągniętych jak szyja wielbłąda. Minęli lasek eukaliptusowy, mostek na strumyku Sachne Ktana, by za chwilę znaleźć się nad Sachne Brejcha. Był to rodzaj stawu, utworzonego przez zlewające się w tem miejscu wody. Nieco wyżej stał stary, opuszczony, zapadający się młyn arabski. Wokół rosły dziko palmy i bujnie zieleniły się łąki, poprzecinane licznemi strumieniami wody.

Wskazując batem w stronę stawu, zwracał Szmulik Tirsie uwagę:

— Tu przed dwoma laty bili się ludzie z kibucu z Arabami.

— O co? — pytała Tirsa nie tyle z ciekawości, ile mechanicznie.

— Brejcha ta — tłómaczył Szmulik — służy Arabom z Bejt Szan za miejsce kąpieli. We święta przyjeżdżają tu Arabowie na osłach lub bryczkami. Czasem i ludzie z kibucu też tu przychodzą, by trochę popływać. Stąd przyszło do bijatyki...

Tirsa nie pytała o wynik walki, więc i Szmulik zamilkł, zrażony tym brakiem zainteresowania dla swego opowiadania. Tak więc jechali w zupełnem milczeniu. Szmulik, przejęty zaszczytną i odpowiedzialną rolą woźnicy, całą swą uwagę skupił na dokuczaniu biczy-

http://rcin.org.pl

skiem leniwem Siwkowi, a Tirsa głębiej niż zazwyczaj pogrążyła się w rozmyślaniu... Nie mogła bowiem zrozumieć, co miała znaczyć owa kartka, przesłana jej żandarmem z Bejt Szan przez tamtejszego lekarza. Lekarża, Dra Szabataja, prawie że nie znała. Przypominała sobie słabo, iż go przelotnie poznała swego czasu w Jerozolimie, na odczycie urządzonym z ramienia Hadassy dla lekarzy i pielęgniarek przez świeżo zaangażowanego rentgenologa z Wiednia... Cóż więc miały znaczyć przesłane dziś do Kibucu słowa: „Proszę przysłać kogoś dziś jeszcze. Najlepiej siostrę Tirsę. Sprawa bardzo pilna“... Miałożby to jakiś związek z Arjem?

Na wspomnienie Arjego serce Tirsy skurczyło się z bólu i wstrzymawszy na chwilę swe funkcje, poczęło po krótkiej pauzie ponownie bić gwałtownie i niespokojnie... Co też ten człowiek wyrabia?!... Co za impulsywna, awanturnicza natura!... Czyżby i we więzieniu znów coś zbroił?... Dlaczegóż *ją* się wzywa?... Wszak nikt chyba nie wie o... że Arjeh jest jej najdroższym człowiekiem na świecie, że duszę by sobie wyrwała, by mu się przysłużyć, by mu ulżyć, by złożyć mu w ofierze to, co najświętszem jest i najdroższem...

Co za człowiek, co za człowiek!... Najpierw ten fantastyczny i niebezpieczny plan owładnięcia przemocą ziemią!... Przecież to szaleństwo!... Przecież stosunki w Palestynie były na tyle uporządkowane, iż wprost nie do pomyślenia było, by można siłą zajmować grunta, nawet jeżeli grunta te należą do Żydowskiego Funduszu Narodowego... Och, Boże, ileż to ją trudu i zabiegów kosztowało, nim się dowiedziała wszystkiego! Jakich brzydkich środków musiała się chwytać, by wywiedzieć się o szczegółach tego nieroz-

http://rcin.org.pl

ważnego planu... Wdawała się rozmyślnie z Fredkiem w długie dyskusje o przyszłym ustroju kibucu, a naiwnego i zakochanego w niej Maksa namówiła, by się również zapisał na listę ochotników... Biedaczysko... Z pewnością teraz już jest pewny, iż gdy tylko zajmą ziemię, ona, Tirsa zgodzi się na wielokrotnie ponawiane prośby o wspólne z nim zamieszkanie... Biedny Maks!... Lecz cóż miała począć! Musiała się za wszelką cenę dowiedzieć, jak daleko posunięto przygotowania... Nawet Szmulika nakłoniła, by szpiegował i podsłuchiwał Arjego...

Nie, nie mogła dopuścić do realizacji tego szalonego przedsięwzięcia, które w każdym wypadku, czy plan się uda, czy nie, przynieśćby musiało Arjemu, jako inicjatorowi, parę lat więzienia w Akko, albo wygnanie z kraju! Tak, prawdą jest, że nie zależało jej tak dalece na tem, co z tego wyniknie dla ludzi idących za Arjem, ani też jakie skutki awantura ta pociągnie za sobą dla całego kraju... Przyznawała, iż jej chodziło tylko o niego... Dlatego też zdecydowaną była na wszystko. Zdecydowaną była za wszelką cenę przeszkodzić zamiarom Arjego. Nawet, gdyby się miała uciec do ostatniego środka. Tak. Była zdecydowaną. W ostatniej jeszcze chwili pojedzie do Jerozolimy i zawiadomi Dyrekcję Żydowskiego Funduszu Narodowego!...

Nie. Najpierw pomówi jeszcze z Arjem. Wytłómaczy mu, jaką szkodę wyrządza sobie i drugim. Będzie go usilnie prosiła, by tego nie czynił. Zaklnie go na wszystko... A jeżeli i to nie poskutkuje, w takim razie pojedzie... Nawet, gdyby to miało na zawsze i nieodwołalnie zagrodzić jej drogę do serca Arjego... Do jego serca? Czyż człowiek ten miał wogóle serce?...

http://rcin.org.pl

Czyż bodaj najdrobniejszym faktem, od czasu, jak go poznała, zdradził, iż posiada to, co u innych ludzi sercem się nazywa?... Wszak stale był nieprzystępnym dla jakiegokolwiek intymniejszego uczucia. Do nikogo się nie przywiązywał. Nikogo nie kochał. Za nikim nie tęsknił. Nikogo nie potrzebował... Wszak sam się przyznawał, iż nie uznaje przyjaźni i miłości... Niejednokrotnie szukała między listami, przychodzącemi do kibucu, listów, adresowanych do niego. Przez cały czas jednak pobytu w Bet Alfie — blisko pół roku — ani słowa. Do nikogo nie pisał i znikąd listów nie otrzymywał... Ani nawet do domu nie pisał!... Często miała wrażenie, że nawet ta jego miłość do dzieci kibucu jest sztuczną i wypływa z jakiegoś wewnętrznego postanowienia — z rozumu, a nie ze serca... A przecież — musiała to przyznać — dzieci za nim przepadały. We wszystkich sporach do niego się odnosiły, i nikomu, nawet Moszkowi, tak nie ulegały...

— Widzisz Tirso — odezwał się znów Szmulik — ten pagórek tam na prawo? To Tel-Szok, posiadłość bogatego Araba-katolika. Te pola i te łąki naokoło należą do niego. Tego roku kupił sobie dwa traktory i młockarnię taką, jak nasza. Zatrudnia siedmiu chaluców i płaci im po cztery funty miesięcznie; mieszkanie i jedzenie mają darmo. Ten Opatowski, co był w sobotę u nas, też tam pracuje... A tam na lewo, widzisz te czarne szałasy?... Tam siedzą Beduini. U jednego z nich jest obłaskawiony szakal... Taki, powiadam ci, śmieszny!... Beduin mi mówił, że musi szakala trzymać na łańcuchu, bo się boi, by mu w nocy nie uciekł...

Gdy Szmulik spostrzegł, iż Tirsa nie zwraca uwagi ani na Tel-Szok, ani też nie zdaje się doceniać zna-

http://rcin.org.pl

czenia, jakie obłaskawiony szakal mieć może w życiu Beduina, znów zamilkł obrażony.

W pierwszej chwili — rozmyślała Tirsa w dalszym ciągu — była tak przerażoną, że o mało nie popełniła głupstwa. Chciała biec do Chaskla, jadącego wraz z Arjem i żandarmami do Bejt Szan, by wręczyć Chasklowi resztki zaoszczędzonych w Jerozolimie pieniędzy na przekupienie żandarmów i sędziego, na złożenie kaucji, opłacenie adwokata... Sama nie wiedziała na co; byleby tylko wydobyć go z rąk żandarmów i nie dopuścić, by go zatrzymano we więzieniu... Jakże to pod wpływem afektu można stracić głowę!... Całe szczęście, że Leja weszła za nią do baraku i przeszkodziła jej w popełnieniu głupstwa... Wszak byliby się wszyscy domyślili pobudek... Tak, jak Leja... O, tak. Leja wie... Bo czyż inaczej ściskałaby jej tak współczująco ręce, głaskałaby ją bez przyczyny po włosach i twarzy... Skądże przyszło Leji do głowy iść za nią w chwili, gdy wbiegła do baraku po pieniądze i tak, niby od niechcenia, mówić o tem, że Arjemu nic się nie stanie, że pobicie Araba, to rzecz drobna, że Chaskiel ma wszędzie wyrobione stosunki, że zna się z urzędnikami w Bejt Szan i że sprawa będzie z wszelką pewnością rychło i pomyślnie załatwioną...

A nawet, gdyby Leja do tego wieczora nie znała tajemnicy jej serca, czyż nie ujawniła ona swego sekretu sama, swem dziecinnem postępowaniem, godnem podlotka. Rzucić się komuś na szyję i płakać, jak małe dziecko!... Zresztą niema powodu żałować, że się zdradziła. Wszak Leja, to najbliższy jej człowiek w kibucu. Leja jedna, kochana, ujęła się za Szmulikiem, gdy wrócił, i wszyscy byli za jego ponownem odesłaniem. O, ileż taktu posiada ta kobieta!... Czyż

http://rcin.org.pl

inni nie czynili Arjemu ciężkich wyrzutów, twierdząc, że przez pobicie Araba przysporzył kibucowi niepo trzebnych kłopotów; że psuje dobre stosunki sąsiedzkie, z trudem nawiązane z Arabami; że nie było powodu do tej całej awantury. A Zygmunt nawet odgrażał się, iż zarządą wykluczenia Arjego z Bet Alfy za jego nieodpowiednie zachowanie się... Tak, jakgdyby Arjeh pobił Arabczyka dla swej przyjemności, a nie w interesie kibucu!...

Co oni sobie właściwie myśleli? Miałże Arjeh czekać, aż go Arab uderzy?... Zamiast Arjemu podziękować, iż wypędził owce arabskie ze zboża kibucowego, a opornemu pastuchowi dał nauczkę, oni jeszcze huzia na niego... Prawdą jest, że uderzywszy w polu Araba, przyprowadził go następnie do kibucu z napuchniętym policzkiem i zbolałym obojczykiem. Ale któż kazał Berkowi zamykać Araba w kurniku i lecieć po żandarmów do Bejt Szan?!... Wszak jeden z żandarmów powiedział przy kolacji do Leji, że gdyby się było Araba nie więziło, możnaby było sprawę z właścicielami owiec ugodowo załatwić i byłoby się obeszło bez procesu i kary... A tak przyszli Arabowie, właściciele owiec i zrobiła się wielka awantura...

— Co się stało? — zapytała Tirsa Szmulika, widząc, iż zatrzymuje konie.

— E, nic. Chwilę tylko...

Mówiąc to, zeskoczył Szmulik z wozu, przykucnął nad rowem, pełnym wody zmieszanej z gliną i począł rwać jakieś zioła.

— A cóż ty tam rwiesz — zapytała zaintrygowana Tirsa.

— A, to — tłómaczył Szmulik, gramoląc się na wóz — dzika cebula.

http://rcin.org.pl

— A pocóż ci dzika cebula? Czy mało w Kibucu prawdziwych?

— Prosił mię Berek, bym mu narwał dzikiej, bo chce narobić klajstru szewskiego.

— Popędziłbyś raczej konie, byśmy prędzej zajechali.

— O, już niedaleko... Widzisz tam tę gromadę drzew? To Bejt Szan. Tam na lewo, owe budynki o czerwonych dachach, to stacja kolejowa, a ta góra, to miejsce wykopalisk... Jeżeli chcesz, to cię tam zaprowadzę. Są tam ciekawe rzeczy.

— Nie wiem, czy będziemy mieli na tyle czasu... W każdym razie zajedziesz najpierw przed dom doktora, a później spróbujemy zobaczyć Arjego.

— O, ja już to zrobię... Znam się z zarządcą więzienia... On nas wpuści.

— A doktora Szabataja znasz?

— Jeszcze jak!... Ile razy jeździliśmy z Moszkiem do Bejt Szan, zawsze go odwiedzałem. Ma on żywego orła w klatce z takim wielkim dzióbem, iż mi się zawsze zimno robi, gdy na klatkę spojrzę... A skrzydła ma takie duże, jak gęś. Prócz tego jest tam żywa sarna i różne wypchane zwierzęta. Ale najciekawsze, to ta jaszczurka, która leży u doktora na biurku. Brzuch ma biały, a grzbiet zielony. Oczy ma zamknięte i leży jak nieżywa... Myślałabyś, że cała jaszczurka zrobiona jest z gumy... Dopiero, gdy się jej dotknie, rusza nogami, taka śmieszna...

Wjeżdżali do Bejt Szan. Była to mała mieścina arabska o wąskich uliczkach, zamkniętych podwórzach, o domach lepionych z błota. A ponieważ otwory w ścianach nie wychodziły na ulicę, ale do podwórza, miała Tirsa wrażenie, jakgdyby domy, obrażone

http://rcin.org.pl

na przejeżdżających ulicą, obróciły się rozmyślnie plecami do widza.

Gdy Tirsa na zaproszenie ugrzecznionego Araba, usiadła na jednej z ławek, ustawionych w sieni, służącej równocześnie za poczekalnię, niespodziewanie i nagle uświadomiła sobie myśl, która zgoła inny charakter nadawała zajściu, łączącemu się z zaaresztowaniem Arjego.

Równocześnie zaś z treścią intrygowało ją owe, niezależne od woli i otoczenia przejawienie się myśli. Myśl ta przyszła bowiem w chwili, gdy uwaga jej zupełnie była zaabsorbowaną skromnem urządzeniem poczekalni oraz uczuciem litości nad dolą tego lekarza, który tu, zdala od kultury i ludzi, na najdalej na palestyński wschód wysuniętej placówce, pełnić musiał swą ciężką i odpowiedzialną służbę... Nie byłże ten lekarz takim samym pionierem, jak ludzie z kibucu?!... Wszak wśród tych arabskich mieszkańców miasteczka, oraz tych kilkunastu żyjących tu rodzin Sefardów, musiał się czuć, niby rozbitek na jakiejś odludnej wyspie. I on miał potrzeby kulturalno-towarzyskie!... To już pobyt w kibucu wydał się Tirsie w porównaniu z tem osamotnieniem o wiele lżejszym. A przecież i w kibucu byli ludzie, których pożerała tęsknota za miastem, teatrem, kawiarnią, za balem, strojem, a przedewszystkiem za zmianą zbyt jednostajnych warunków życiowych. To też Tirsa wyobrażała sobie, że człowiek inteligentny musi w tem osamotnieniu albo nauczyć się pić, albo zdziwaczeć. Ciekawą też była fizjognomji tego lekarza, który ją w tak obcesowy wzywał sposób...

Do tego punktu doszła Tirsa w swym myślowym procesie, gdy nagle, jakgdyby z otwierających się

http://rcin.org.pl

obcesowo i samoczynnie magazynów mózgowych, wypadła nowa myśl, myśl spychająca w kąt wszystkie poprzednie rozważania, a rozpinająca się jak tęcza na zachmurzonym firmamencie... A myśl ta mówiła:

Przecież zaaresztowanie Arjego było najpomyślniejszem wyjściem z tej niebezpiecznej sytuacji, na jaką się na skutek awanturniczego planu Arjego zanosiło... Na drugiego listopada, a więc za tydzień, wyznaczony był termin zajęcia ziemi przez ludzi Arjego. Jeżeli więc areszt Arjego się przeciągnie, groźny ten termin minie i cały plan sam przez się upadnie. Wszak bez Arjego tego nie zrobią!... Że też jej to dotychczas do głowy nie wpadło!... Niema złego, myślała, coby na dobre nie wyszło...

Rozluźnił się ucisk skroni; słonecznie i radośnie zrobiło się na wnętrzu, jakgdyby pierwsze, ciepłe promienie słońca wpadły do przyćmionego dotychczas pokoju... Mimowoli odetchnęła tak głośno, iż zdziwiona oglądnęła się poza siebie w przekonaniu, że jeszcze ktoś obcy znajduje się w poczekalni.

I poco się ona tyle namęczyła, od owego wieczoru w którym Arjeh przyprowadził napuchniętego Araba; od chwili, gdy badając obolały obojczyk pastucha, myślała ze strachem w sercu o skutkach, jakie to zajście mieć może dla tego lekkomyślnego człowieka?...

Dlaczego jednak ta zbawienna myśl nie objawiła się jej wcześniej?

Prawdopodobnie z powodu wielkiego zdenerwowania, w jakiem ostatnio żyła. Najpierw długa, blisko miesiąc trwająca nieobecność Arjego; wielka, żywiołowa, jej samej niezrozumiała, sen i spokój odbierająca za nim tęsknota. Równocześnie zaś z tym stanem duszy, niepokoiła ją nieuzasadniona w gruncie rzeczy

http://rcin.org.pl

obawa, iż Arjeh gotów, w związku z werbowaniem ludzi dla swego planu, nie wrócić więcej do kibucu. Wszak w rzeczywistości nic go z kibucem nie łączyło, prócz dzieci, które starał się przeciągnąć w stronę swych, nieco ekstrawaganckich idei... A potem, ta historja ze Szmulikiem!... Jakże przykrą była jej ta cała sprawa!... Wszak ona niejako moralnie odpowiedzialną się czuła za tego chłopca, w którym złe instynkty kotłowały, niby para w czajniku... A i historja z tą szaloną Lolą; jej nagłe trucie się w nocy rozczynem octowym; przestrach i uciążliwe koło niej zabiegi, wszystko to razem składało się na to, iż czuła się ostatniemi czasy jakby źle związanym pakunkiem. Częste napady migreny, bicie serca, nagły, nieregularny odpływ krwi, brak apetytu, bezsenność...

Głupstwo. Byleby tylko ta historja z Arjem pomyślnie się skończyła, a z pewnością zimą wróci do sił. Zresztą nietylko ona czuje się zdrowotnie nie najlepiej. Wszyscy prawie ludzie w Kibucu wyczerpani są pracą i chorobami lata. Wszak tego, rzekomo pomyślnego pod względem zdrowotnym lata, pochowali Szyję i Ciporę... na owym skromnym, zwykłemi kamieniami znaczonym cmentarzyku, który leżąc w pośrodku winnic i zielska, rósł z roku na rok w miarę, jak osiedle się rozwijało i ludzie w kibucu się starzeli...

— Szalom, panno Lampel!... Przepraszam, że pozwoliłem pani tak długo czekać, ale nie ma pani pojęcia, co za wymagania mają tutejsi moi pacjenci. Nietylko trzeba ich zbadać i dać odnośne lekarstwo, ale trzeba równocześnie wysłuchać wszystkich żalów i plotek familijnych... Proszę, niech pani siada i wybaczy,

http://rcin.org.pl

iż mój „pokój ordynacyjny“ trochę mniej elegancki, niż u Dra Krafta w Jerozolimie.

Podczas gdy Dr. Szabataj mówił swą trudną do zrozumienia, język arabski przypominającą hebrajszczyzną, poczuła Tirsa, żę jakiś lęk ją ogarnia. Przed czem i z jakiego powodu? Nie była w stanie wytłómaczyć... Szedł-że ten lęk ze skośnych, jakby tatarskich oczu lekarza, z oczu, które jak pijawki chodziły po jej twarzy i postaci?... Głupstwo. Znowu te nieszczęsne nerwy... Czegóż się ona właściwie obawia?... Przecież to nie Dr. Kapłan!... Zapewne, ta ospą zeszpecona twarz o oliwkowej cerze, te obleśne, krótko strzyżonym wąsem słabo nakryte wargi, ta krępa, szeroko w krześle rozpierająca się postać nie bardzo zasługiwały na zaufanie...

— No, proszę, czemu pani nie siada?... A więc: moje dzisiejsze zaproszenie wydało się pani zapewne nieco dziwnem. Ale sprawa nie cierpi zwłoki... Myślałem zaś, że najlepiej będzie, jeżeli przyślą panią...

— No dobrze, panie doktorze; ale o co właściwie chodzi? — przerwała Tirsa zniecierpliwiona tym, nieco przydługim wstępem.

— Arjeh Weissman jest chory i to dość poważnie. Ależ panno Lampel, co jest, co pani wyrabia?... Zaraz. Niech pani siada... Panno Lampel... siostro Lampel... czy pani słyszy?... Słyszy pani?... No, nareszcie!... Proszę się napić... To pani dobrze zrobi... Jakżeż można tak się przejmować!...

— Przepraszam pana, panie doktorze... Ta nagła wiadomość i to gorąco... Rano wcześnie wstałam i jakoś ostatniemi czasy nie czuję się dobrze... Ale teraz już przeszło... Co mu jest, panie doktorze? Co za choroba?... Gdzie...

http://rcin.org.pl

— Otóż to właśnie! — mówił Dr. Szabataj już ostrożnie, dobierając zwolna słów i nie spuszczając oka z bladej twarzy Tirsy. — Na razie nie tak łatwo, a nawet bardzo trudno, myślę, nie bez możliwości popełnienia błędu postawić djagnozę... Od przedwczoraj pacjent gorączkuje. 39^0, $38\,^1/_2{}^0$, 40^0... Pani chyba, jako zawodowa pielęgniarka wie, że to jeszcze nic niebezpiecznego.... Być może, że jest to zwyczajna papadaczi i że jegomość będzie za dwa dni zdrów tak, jak ja w tej chwili... W każdym jednak razie uważałem za stosowne zabrać go z więzienia.

— Jakto? Pan go stamtąd uwolnił?

— Uwolnić, nie uwolniłem. Takich wpływów nie posiadam. Przed rozprawą wogóle nie można tego zrobić, a rozprawa się przeciąga, bo sędzia jest na urlopie... Atoli, gdy się dowiedziałem od mego kolegi Araba, lekarza rządowego, iż jedyny Żyd-więzień jest chory, domyśliłem się, że chodzi tu o Arjego, o którego zaaresztowaniu wiedziałem. Wysłuchawszy więc szczegółowej relacji mego kolegi, przy jego pomocy i życzliwości, zaręczyłem za więźnia i zabrałem go na razie do siebie.

— Więc u pana mieszka?

— Tu, w mojem ambulatorjum i z tego powodu prosiłem, by ktoś tu przyjechał, bo pani zrozumie, że mnie osobiście trudno czuwać...

— A czy pan, panie doktorze, nie uważa, iż byłoby lepiej przewieźć chorego do Bet Alfy?

— Nie, panno Lampel... Jeżeli ma leżeć w Bet Alfie, to już lepiej, by pozostał w mem ambulatorjum. Tu przynajmniej jestem ja i jest moja apteczka, nie pierwszorzędna wprawdzie, ale zawsze na pierwsze potrzeby dostateczna.

http://rcin.org.pl

— A możeby najpraktyczniej było przewieźć chorego do szpitala, do Ejn Charod? Tam miałby...

— Pomysł niezły... Zobaczymy... Najpierw zbadamy chorego, a następnie postanowimy... W każdym razie, gdyby nawet koniecznem było postąpić tak, jak pani proponuje, to trzeba będzie pomówić z mym kolegą Arabem, gdyż ja zaręczyłem, iż więzień nie wydali się poza obręb Bejt Szan... To jednak nie będzie rzeczą trudną. Gorzej, że niema wozu i będzie trzeba posyłać do Bet Alfy...

— O nie; ja tu przyjechałam wozem.

— W takim razie wszystko doskonale się składa, choć — po prawdzie — nie widzę jeszcze potrzeby... Ale chodźmy zobaczyć pacjenta.

Przeszli przez poczekalnię, a następnie przez pokój, stanowiący pewnego rodzaju laboratorjum, a zarazem i aptekę. Z laboratorjum prowadziły drzwi do obszernej izby o lakierowanych na biało ścianach. Znajdował się tam stolik z przyborami lekarskiemi, a obok stała lakierowana na biało szafa z obcęgami, kleszczami i nożami, oraz błyszcząca umywalka, z małym, zwisającym nad nią, blaszanym rezerwoarem na wodę. Na środku pokoju stało coś w rodzaju łóżka żelaznego, nakrytego ceratą, a pod ścianą, obok przyćmionego żaluzją okna, gubiła się w półmroku kanapa. Na kanapie leżał Arjeh. Twarz chorego odcinała się czerwoną plamą od bieli poduszki i prześcieradła. Otwarte usta chwytały drżącemi wargami powietrze, a prawa, obnażona ręka, opadłszy z wąskiej kanapy, zwisała bezsilnie ku podłodze.

— Chłopak śpi — mówił przyciszonym głosem doktór. — Musimy go jednak obudzić... Proszę, niech pani siada tu, na tem krześle.

http://rcin.org.pl

Tirsa pochopnie skorzystała z zaproszenia. Siadając bowiem na przystawionem jej przez Dra Szabataja krześle, odwróconą była od światła i łatwiej mogła ukryć łzy, cisnące się ku oczom.

Tymczasem doktór ujął chorego za zwisającą rękę, co chorego natychmiast obudziło. Otworzywszy oczy, błądził Arjeh przez chwilę, jakby nieprzytomnym wzrokiem po pokoju, a zobaczywszy Tirsę, podniósł nieco głowę i uśmiechnął się zbolałym rozblaskiem na twarzy.

— No, cóż pacjencie — pytał Dr. Szabataj, licząc puls chorego — lepiej, czy gorzej?... Przypuszczam, że dziś nie dalibyście Arabowi rady... Co?... No, ale wszystko, jak Arab powiada: *Kulszi min Allah,* wszystko w rękach Boga... Cóż, czy nic was nie kłuje? Może w boku; może w plecach?... A stolec był?... No, no, niema się co żenować... Ta pani już przystojniejszych widziała pacjentów. Nie prawda, siostro Lampel?... A teraz młodzieńcze proszę oddychać i termometru nie gubić... oddychać... raz, dwa... raz...

Gdy lekarz badał mocz, Tirsa przysunęła krzesło do kanapy i poczęła wypytywać:

— Jakże to Arjeh wszystko tak nagle przyszło?

— Dalibóg, że nie wiem — odpowiadał Arjeh odmiennym niż zazwyczaj, jakby obcym głosem. — Poczęło się to od dreszczy, braku apetytu i zemdlenia... Nigdy w życiu nie mdlałem, więc myślałem, tracąc przytomność, że to już śmierć...

Tu chory znów się uśmiechnął. Uśmiech ten, nienaturalny i jakby wymuszony, zdał się zamarzać w drodze z warg opowiadającego ku sercu Tirsy, niosąc w to serce szpiczaste i kłujące sople lodu. Tirsa

http://rcin.org.pl

mimowoli pospiesznie zadanem pytaniem starała się zagłuszyć bolesne echo ostatniego słowa:

— A czy cię coś boli?

— Właściwie nic, tylko okropnie pić się chce. Wypiłbym całe koryto wody... Dziękuję ci, żeś przyszła...

— Doktór Szabataj pisał po mnie, bym...

— I samaś tu przyszła, piechotą?...

— Nie. Przyjechałam wozem... Szmulik powoził. Jest teraz w zwierzyńcu doktora... Chcemy cię zabrać do Bet Alfy... Doktór jednak twierdzi, że lepiejby było do szpitala, bo nie wiadomo jeszcze, co się z tej gorączki wywiąże... — przygotowywała Tirsa Arjego na wszelki wypadek. — Czy czujesz się na siłach, by z nami jechać?

— No, jak mnie ułożycie na wozie, to chyba nie zlecę... Co słychać w kibucu?... Czy bardzo na mnie zagniewani?

— Pogadamy o tem później — wymawiała się Tirsa, nie chcąc drażnić chorego, u którego wysoki stan gorączki znaczył się przymglonym kolorem i nienaturalnym połyskiem niebieskich oczu. Patrząc w te, zazwyczaj głębię i spokój palestyńskiego nieba przypominające oczy, miała Tirsa wrażenie, że z drogich jej klejnotów wyjęto bezcenne kamienie, wstawiając w ich miejsce sztuczne, blasku, barwy i daru ukojenia pozbawione świecidełka...

— A więc tak, siostro Lampel. Uważam, że dla kawalera będzie najlepiej, jeżeli go pani zawiezie wprost do Ejn Charod. Tam wszystko będzie miał, co potrzeba i w porę. Tu właściwie nie mogę orzec, co to za choroba... Pewnem jednak jest, że pacjent nie potrzebuje jeszcze robić testamentu... Przy takim zdro-

http://rcin.org.pl

wym i silnym organizmie... sambym sobie życzył!... A więc zrobimy tak: Ja pożyczę z mego zapasowego łóżka materac, poduszki i kołdrę. U mojego gospodarza kupimy trochę słomy... Pani ubierze kawalera, zaściele wóz i nakryje go dobrze w drodze, by go, broń Boże, jakaś Arabka nie urzekła... W Bet Alfie niema się co zatrzymywać, bo im prędzej zajedziecie, tem prędzej będzie kawaler mógł spocząć na wygodnem łóżku... Zanim zaś pani chorego ubierze i na wóz załaduje, — w razie potrzeby proszę, prócz służącego, wziąć do pomocy i moją Fatmę, — ja tymczasem porozumię się z lekarzem rządowym oraz z zarządem więzienia... A zatem do widzenia...

SPOWIEDŹ.

Chory leżał na biało zaścielonem łóżku. Głowa ciążyła jak kula ołowiu. W skronie wbijał ktoś rozpalone gwoździe, a raczej młotkiem tłukł od wewnątrz, chcąc siłą wydobyć się na zewnątrz, z poza ciasnego więzienia... Na skórę kładły się rozpalone powijaki, a zbolałe od leżenia ciało, bezsilne poddawało się łamaniu w krzyżach i bolesnemu skrętowi jelit. Najdokuczliwszym był jednak ów przykry niesmak w jamie ustnej, wytwarzany czemś, co żywcem rozkładało się na oblepionym jakgdyby wrzodami języku. Nie było żadnego środka, by niesmak ów usunąć, by wypłukać, by wypluć ze siebie ten smród, co zdał się zatruwać atmosferę całego szpitala... Błogosławione też wydały się choremu te chwile, trwające — niewiadomo — minuty, czy dnie, w których sen, czy też gorączka zabijały świadomość bólu oraz zdolność czucia i myślenia.

http://rcin.org.pl

Wtedy zdawało się choremu, iż jest eterem, odrywającym się lekko od ludzi i ziemi, od ciała i kości, od wszystkiego, co piołunową goryczą cierpienia się poczynało i w otchłannej, czarnej przepaści cierpienia się kończyło.. Wtedy zdarzało się, iż zrodzone w półśnie i półzjawie, śniły się dziwne obrazy, goniąc po rozpalonej głowie; poczynały się nienaturalne zwidzenia, rozkwitające na granicy opanowanej świadomością i na polu, po którem buszowały bezpańskie myśli. To, co w chwilach normalnego żywota, w chwilach, wypełnionych pracą i logicznem poczynaniem, skrzętnie się kryło po zakamarkach instynktu, to teraz wypływało nagle na powierzchnię, nieskrępowane żadnym nakazem i żadną tradycją. Poczęte i w zarodku zdławione myśli, niewypowiedziane chcenia, ongiś z trudem stłumione przekorne idee, zwalniały się teraz z pod kontroli rozumu, rozbijały bramy niestrzeżonego więzienia i na przekór wszelkim pojęciom o słuszności, o moralności, o prawie — śmiało dobywały się na światło dzienne...

Dziwnym zaiste był ten stan, w jaki choroba pogrążyła duszę i ciało. Zatraciła się pierwotna współmierność funkcji ciała i duszy. Te dwie składowe siły ludzkiej myśli i ludzkiego czynu były teraz, jak dwa kółka zegara o przesuniętych nagle osiach. Na skutek zmiany w pierwotnem ustawieniu osi, przestały tryby kółek o siebie zaczepiać. Wprawdzie myśl i ciało spełniały swoje dawne zadania, lecz czyniły to każde na swoją rękę i według własnych prawideł. Wytwarzało to dziwne sytuacje. Ciało uprzedzało myśl, tak, jak światło wyprzedza głos... Ciało wędrowało po miastach, ulicach i placach, gdy tymczasem myśl spóźniona, zdyszana i zaniepokojona nadbiegała z innych

http://rcin.org.pl

światów, z trudem się orjentując i pospiesznie szukając za przyczynami i celem wędrówki ciała...

Ciało wykonywało też różne czynności, nieodpowiadające życzeniom duszy. Wymiotowało, doznawało kurczy, rozpalało się i marzło bez przyczyny i miary. Z drugiej zaś strony dusza, nie troszcząc się zupełnie o swą cielesną powłokę, nie znała granic w dążności do pokonywania oporu tak co do przestrzeni, jak i co do czasu. Sięgała więc pamięcią do najwcześniejszych chwil życia, do faktów dawnych, gruntownie gruzem późniejszych wydarzeń zasypanych, odgrzebywała je, czyściła, nadawała im treść i formę współczesnych przeżyć.

Zadziwiającą, a zarazem lęk budzącą była ta zdolność duszy do obcowania w różnych, przestrzenią i czasem odległych okresach życia, do łączenia dwóch rozbieżnych obrazów w jedno myślowe ogniwo... Oto szedł z rewolwerem w kieszeni na czele oddziału samoobrony po ulicach Jerozolimy, by nagle widzieć się na czele tegoż samego oddziału przy zrywaniu agrestu w ogrodzie dyrektora gimnazjum we Lwowie... To jechał z Fredkiem szerokim gościńcem w stronę Bet Alfy, gdy wtem nagle zastępuje mu drogę jego ojciec w stroju wachmistrza austrjackiej żandarmerji i mierzy weń ze swego karabinu...

...Był wielki staw... Tak, nie ulega wątpliwości, był to staw w jego wsi rodzinnej, staw obrośnięty dokoła cicho szeleszczącem sitowiem. Na wodzie jest łódka, a w łódce jest wiosło. Siada do łódki i wyjeżdża na środek stawu... Wtem zrywa się wicher... Słyszy trzaskanie drzwi... nie, to nie drzwi, to woda wali o burt łódki. Zanurza wiosło w wodę, całym ciężarem ciała przechyla się w tył i ciągnie, aż wiosło się łamie...

http://rcin.org.pl

Ogląda złamane wiosło i widzi, że wiosło ktoś nadpiłował pilnikiem... Któż to mógł zrobić?... Naturalnie Szmulik!... Nie ma jednak czasu nad tem się zastanawiać. Musi się ratować, gdyż łódź z braku wiosła zbytnio poddaje się fali... Wskakuje do wody, by dopłynąć do brzegu, gdzie na niego czeka jego wierny koń, Pasza.

Wzburzona jednak fala zalewa go. Napróżno się sili, by wydobyć się z fal metodą, którą mu swego czasu przyswoił znajomy chaluc na jeziorze Kineret. Czuje, że siły go opuszczają... O ratunek jednak wołać nie będzie, wołać nie wolno!... Wtem widzi znów opuszczoną przez się łódź, wypływającą ze wzburzonego stawu, który właściwie nie jest już stawem, lecz morzem, falującem wokół ujścia Jarkonu. Łódź przekracza srebrną linję, znaczącą zmieszanie się wód morza ze słodką wodą rzeki, a w łodzi siedzi jego siostra Gusta... Uśmiechając się dobrotliwie, podaje mu rękę, a wskazując na nowe wiosło, wiszące na rzemieniu, pomaga mu w wydostaniu się na łódź. Siedząc już w łodzi, ku niemałemu swemu zdziwieniu stwierdza, że to nie Gusta, lecz Tirsa siedzi w łodzi... Pada bez namysłu do jej kolan, całuje jej ręce, jej twarz, jej pierś nagą, ciepłą, różową...

Tworzą się inne obrazy. Powstają one zwolna, ze świetlnych kół, wirujących dokoła niewidzialnej osi. Błyszczące punkty latają w przestrzeni, niby elektryczną energją naładowane kulki... Kuleczki te szeregują się, łączą i jak nici na walcu tkackiego warsztatu, tworzą wreszcie szeroką, świetlaną taśmę, ciągnącą się od okna do łóżka. Pokój cały wypełnia się srebrzystym rozblaskiem słońca, jakgdyby poświatą elektrycznych reflektorów. Naprzeciw jednak jedzie jakieś auto. Sie-

http://rcin.org.pl

dzą w nim angielscy żandarmi. Trzeba więc szybko przytłumić światło własnych latarni. I nagle jego auto staje, a on wraz z irytującym się pasażerem pogrąża się w zupełną ciemność... leci w czarną, przerażającą otchłań. Z nim leci wszystko. Pochyla się stojąca w kącie biała szafka. Odrywają się obrazy od ściany. Wykrzywiają się powała i podłoga. W ślad za podłogą przechyla się łóżko, stawiając dęba niby znarowiony koń... Nagle obraz się zmienia... Otchłań zamknięta, a on z lekkością płatka śniegu unosi się gdzieś w niezmierzone dale, przez piaszczyste, gorącym wiatrem zamiatane pustynie, w nieznaną krainę... Rzecz dziwna, jak ta kraina przypomina mu wieś, w której mieszkał jego wuj, karczmarz. Wielka, drewniana karczma, z drewnianą podwaliną i gontem krytym dachem. W pośrodku sieni otwór, przez który po drabinie wychodzi się na strych, pełen pachnącego siana... Na polu mróz i śnieg. Szyby pokryte szronem, tworzącym srebrne liście paproci... Ponieważ chce widzieć, co na polu się dzieje, rysuje paznokciem po szybie, a potem chucha. Od gorącej pary taje szron i tworzy się mała, blada, nawpół przeźroczysta plama, przez którą widać wierzbę, okrytą gwiazdkami śniegu, niby drzewo migdałowe, gdy rozkwita... Czas już do szkoły. Ponieważ jest mały, więc parobek Józek bierze go na ręce i niesie go... Gdy siada w ławce, rzecz dziwna, nie widzi dzieci. Rozglądnąwszy się dokładniej, stwierdza, że nie siedzi w ławce szkolnej, lecz na starym pniu eukaliptusowym, na którym uścielił sobie strażackie gniazdo. Z gniazda tego obejmuje okiem całą winnicę, której pilnuje. Na białej, zakurzonej drodze nic się nie rusza, a monotonny jęk kieratu, wylewającego

http://rcin.org.pl

z pluskiem wodę w rowy pobliskiego ogrodu pomarańczowego, nastraja go do śpiewu...

Nie, to nie on śpiewa... Nie... Wszak słyszy wyraźnie. Taż to Hadidże, córka Kiamala... Znów krąży koło jego namiotu... Nie, nie chce jej znać. Cóżby na to jego przyjaciel Kiamal powiedział!... Ktoś jednak związał mu ręce i nogi... Hadidże klęka nad nim, a jej krucze włosy niby fala morska zalewają mu oczy... Odwraca twarz. Broni się przed jej nagłym, namiętnym, krew rozpalającym uściskiem, podrzuca swem skrępowanem ciałem i całą siłą zanikającej świadomości stara się uwolnić od lubieżnego żaru, który z rąk i warg Hadidży przechodzi w jego, warem chuci kipiącą krew.

Budzi się, oblany potem... Nad nim pochyla się blada, wycieńczona, uśmiechnięta twarzyczka Tirsy... Jej ukochane ręce obcierają mu skroń kolońską wodą i jakby jeszcze z tamtego świata pełnego męczących wizyj, dochodzi go jej stroskany głos:

— Co to, Arjeh?... Czy boli bardziej?... Czy mnie słyszysz Arjeh?

Chory dźwiga głowę, ciążącą, jak niedojrzała dynia, rozgląda się po pokoju i rozszerzonemi źrenicami, nawpół przytomny, patrzy się w Tirsę. Za chwilę jednak szkliste oczy zdają się czegoś szukać poza Tirsą i upatrzywszy sobie coś na przeciwległej, białej ścianie, trwają w bezruchu. Gdy Tirsa odwraca głowę, chory znów bezsilnie opada na poduszki, a rozpalone palce jego prawej ręki, zaciskają się wokół chłodnych, ból uśmierzających palców Tirsy...

— — — — — — — — — — — — —

Wyszli ze szpitalnego baraku i idąc poprzez świeżo zasadzony ogródek, poprzez drogę, prowadzącą

http://rcin.org.pl

z Ejn Charod do Bet Alfy, weszli w cień małego, eukaliptusowego lasku, rosnącego nad strumykiem. Strumyk ten wypływał w osiedlu z pod olbrzymiej skały i przewijał się przez zarosłe bujnem zielskiem łąki, niosąc spragnionym zagonom pokarm i błogosławieństwo urodzaju... W pośrodku lasku, w miejscu, w którem strumyk tworzył pewnego rodzaju naturalny basen, ustawiono nad wodą drewnianą ławę. Ława ta służyła w lecie ludziom z Ejn Charod za miejsce do rozbierania się podczas kąpieli.

Mijając mechanicznie drzewa, zdążała Tirsa do owej ławy. To, że Karol szedł za nią, wydało się jej w tej chwili tak naturalnem, jak naturalnem było to wszystko, co się z nią działo od chwili, gdy znalazła się w ambulatorjum, w Bejt Szan. We wszystkiem, co od tej chwili czyniła, nie było z jej strony ani trochę woli, względnie oporu. Szła, jak gdyby za głosem instynktu, za czemś, co z góry było już przewidziane, przemyślane i postanowione. Jak lunatyk idzie na najwyższy szczyt dachu, nieświadom niebezpieczeństw i skutków, tak i ona przyjmowała odgłosy świata zewnętrznego, bez zdawania sobie sprawy, jakie następstwa odgłosy te będą miały w stosunku do niej samej. Dusza jej całkowicie oddzieliła się ścianą apatji od tego, co się wokół jej osobistych, a żywotnych spraw działo. Wszystkie swe myśli, swą wolę i energję skoncentrowała na jeden jedyny cel: pomóc *jemu*... ratować *go* za wszelką cenę... wydobyć ze siebie, z otoczenia i z jego organizmu wszystko, to co przyczynić się będzie w stanie do złamania choroby...

Gdy usiadła na ławie i ruchem ręki zaprosiła Karola do zajęcia obok niej miejsca, nie obawiała się, jak zazwyczaj, iż nie znajdzie odpowiednich słów, do wy-

http://rcin.org.pl

powiedzenia tego, co powiedzieć chciała. Wiedziała, iż słowa potrzebne, sprawie oddane, a właściwemu celowi służące, przyjdą we właściwej chwili i w odpowiedniem skoordynowaniu. I jakgdyby zapomniała o Karolu, o przyczynie spaceru, o tem wszystkiem, co już było postanowionem, a co w tym momencie mogło być rozstrzygającem na całe życie — zapatrzyła się w płynącą u jej stóp wodę. Automatycznie utrwalał się w jej świadomości obraz żeglujących po wodzie skorupiastych żółwi, uganiających gromadami kijanek o wielkich głowach i krótkich ogonach, wygrzewających się na brzegu skorpjonów i żerujących między butwiejącemi korzeniami drzew, długich, jak żmije, glist.

— Więc, czy dowiem się wreszcie, co było przyczyną twego telegramu, Tirso?... Myślałem w pierwszej chwili, żeś zachorowała... Po prawdzie to twój wygląd nie wskazuje na to, byś była zdrową... Ku memu jednak zdziwieniu — o ile wogóle twoje postępowanie w przeciągu ostatnich miesięcy może wywołać pewnego rodzaju stopniowanie w ciągłym procesie zdziwienia — zastaję cię w stroju pielęgniarki... w szpitalu. Czy wolno mi wreszcie wiedzieć, co masz mi takiego do zakomunikowania, że aż specjalnem autem kazałaś mi przyjechać?...

— Wybacz, że cię tak zaniepokoiłam mym telegramem, ale sądziłam, że niema innego wyjścia...

— Z czego niema wyjścia?... Co się stało?... Czy może masz niepomyślne wiadomości od ojca z Wiednia?... Błagam cię Tirso, na miłość Boską, mów!... Moje nerwy rzeczywiście...

— Słuchaj Karolu. Wszystko ci opowiem... Wszak po to cię tu wezwałam... Ale wysłuchaj mnie w zupeł-

http://rcin.org.pl

nym spokoju. Tak... W zupełnym spokoju, nawet, gdyby moje słowa wydały ci się dziwne.... Gdyśmy się we Wiedniu rozstali i ja tu w Palestynie poczęłam się zastanawiać nad naszym wzajemnym stosunkiem, przyszłam do przekonania, że to nie jest to, czego oczekiwałam, o czem jako młoda dziewczyna marzyłam. Tak, tu w Palestynie, zdala od ciebie, ujrzałam to, cośmy oboje nazywali miłością, w zupełnie innem świetle. Wtedy też w mych, może nieco wygórowanych pojęciach o miłości, poczęłam zastanawiać się nad tem, czy przy twym gwałtownym, wybuchowym temperamencie, a moją pasywną naturą, będziemy mogli bez miłości, bez tego naturalnego elementu, któryby wyrównał występujące nagle przed memi oczyma różnice w naszych charakterach, czy, krótko mówiąc, możemy w tych warunkach być szczęśliwem małżeństwem. I nim doszłam do jakiegoś konkretnego wniosku, ty swojem zachowaniem na Har Zion — pamiętasz — przyspieszyłeś ten dojrzewający we mnie proces...

— Pamiętam. Więc cóż...

— I zerwałam wtedy z tobą... Chcąc jednak być szczerą, muszę się przyznać, że już wtedy zrodziło się we mnie nowe uczucie, uczucie inne i silniejsze niż to, które mię z tobą łączyło. Uczucie to rozwijało się w mem sercu powoli, lecz stale, by w końcu w całości mną owładnąć... Tak, w całości...

— Nic, a nic nie rozumiem, Tirso! Co i kogo masz na myśli?... Chyba nie tego...

— Tak, jego... Tego szofera...

— Czy po to mnie wezwałaś, by mi to wyznać?...

— Słuchaj dalej, Karolu... Wierzaj mi, że i mnie nie łatwo przychodzi mówić o tem, właśnie do ciebie

http://rcin.org.pl

i to w tej chwili... Ale trudno, musi być powiedziane... Musi być powiedziane, więc wysłuchaj w spokoju... Wkrótce sobie uświadomiłam to, co w pierwszych dniach decyzji nie było mi jeszcze jasnem... Za *nim* poszłam do Bet Alfy i... z *nim* jestem tu w szpitalu, w Ejn Charod.

— Jakto z nim?... W jakiej formie?... Zaklinam cię Tirso... chyba...

— Słuchaj dalej spokojnie — błagała Tirsa, przytrzymując za rękę zrywającego się z ławki Karola. — Rozchodzi się Karolu o śmierć i życie... Niema ani chwili do stracenia...

— Nie rozumiem...

— Arjeh, Arjeh Weissmann, ów szofer, jest niebezpiecznie chory... Najpierw tyfus, a teraz komplikacja: ostre zapalenie płuc... Ponieważ na tutejszych lekarzach nie można polegać, więc zawołałam ciebie...

— Ależ Tirso! To już przechodzi wszelkie granice... Więc ty sobie wyobrażasz, że ja potrafię, że zechcę leczyć kogoś, co...

— Nie unoś się!... Wiem i rozumiem ciebie... Mógłbyś mieć rację, gdyby — tu Tirsa cicho zaszlochała i dopiero po chwili kontynuowała. — Niestety twoje obawy są zupełnie nieuzasadnione... Byś zaś w całości i wszystko rozumiał, nie waham się dać ci ten oto list do przeczytania.

Karol popatrzył uważnie na drgającą od stłumionego płaczu twarz Tirsy, wziął od niej dwie pomięte kartki papieru i począł czytać:

„Tirso! Czuję, że się coś niedobrego ze mną dzieje. Od czasu, jak wróciłem z mej wędrówki po kwucach, nie mam najmniejszego apetytu, a tu w tem cuchnącem więzieniu żołądek mi nie dopisuje, słabość mnie

http://rcin.org.pl

opada i gorączka mnie morduje... Dziś wezwał dozorca lekarza, a ze słów doktora wyrozumiałem, że się zanosi na tyfus, czy też na inną obrzydliwość. Nie jest to naturalnie tak straszne i nic bym sobie z tego nie robił, gdyby nie ponowna wizyta lekarska i to w osobie Dra Szabataja z Hadassy. Nie wiem, dlaczego właśnie jego obecność, obecność człowieka życzliwie mi usposobionego, tak deprymująco na mnie podziałała. Prawdopodobnie tłómaczy się to mym ogólnym, duchowym i fizycznym stanem... Gdy mi dziś Dr. Szabataj oznajmił, że ma zamiar mnie stąd zabrać i wysłać do Bet Alfy, a równocześnie zapytał, po kogo z Bet Alfy ma posłać — podałem mu Twoje imię, Tirso. Bo przecież wiem, jesteś mi z pośród wszystkich ludzi w Bet Alfie najbliższą... A gdy Dr. Szabataj poszedł, postanowiłem do Ciebie napisać list, by Ci go wręczyć przy najbliższej sposobności...

„I nie sądź, Tirso, że list ten — wybacz mą kiepską niemczyznę — jest następstwem mego, chorobą podnieconego, duchowego stanu, lub obawą, że wkrótce opuszczę ten ziemski padół płaczu... Tego się wcale nie obawiam. Takie chwasty, jak ja, silnie się trzymają ziemi. Pisząc do Ciebie ten list, wykonuję powzięte już dawno — zaraz po Twojem pojawieniu się w Bet Alfie — postanowienie. Postanowienie powiedzenia ci wszystkiego. Szczerej, może bolesnej, bolesnej dla Ciebie i — dla mnie, lecz szczerej prawdy... Pamiętasz Tirso... gdyśmy się żegnali na Har Zion, powiedziałem ci, że wiem.. Otóż już wtedy znane mi były Twoje uczucia ku mnie... A to, żeś była zaręczoną z innym, nie byłoby żadną przeszkodą, gdyby — nie było przeszkód silniejszych...

http://rcin.org.pl

„Lecz nie!... Sądzę, że muszę parę słów napisać o sobie, byś mogła mnie, względnie moje postępowanie w całości zrozumieć. A o to, byś mnie zrozumiała, o to mi przedewszystkiem chodzi...

„Wychowałem się w domu, w którym nie było ani trochę słońca. Ojciec w decydującym okresie mego rozwoju był na wojnie. Matki zupełnie nie znałem, gdyż umarła przy moim porodzie. Macochy nienawidziłem nienawiścią dziecka, któremu się zdaje, że ta druga matka odbiera należną mu miłość ojca... Gdy ojciec wrócił z wojny, moi dwaj starsi braciszkowie się wychrzcili, a moja siostra poszła na bezdroża i żyła z jakimś oficerem. Ja zaś w szkole nauczyłem się pogardzać ludźmi fizycznie słabymi, nie mogącymi, względnie — jak sobie wtedy wyobrażałem — nie chcącymi się bronić...

„Te i inne przyczyny złożyły się na to, iż postanowiłem uciec z domu, z tej atmosfery, której charakterystyczną cechą była zgnilizna fizyczna i duchowa... Postanowiłem iść tam, gdzie, jak słyszałem, buduje się nowe żydowskie społeczeństwo na nowych społecznych i moralnych podstawach... Postanowiłem pójść tam i własną osobą, własnym przykładem budzić drugich do czynu... W drodze ślubowałem nie zaznać żadnej ziemskiej i cielesnej rozkoszy, dopóki mego celu w całości nie osiągnę.

„Ślubowanie to było naturalnie poczęciem dziecinnem, było romantycznym gestem egzaltowanego młodzieńca, liczącego wtedy ośmnaście lat... Późniejsze koleje mego życia są ci mniej więcej znane... I choć moje ślubowanie było śmiesznem, to przecież wytrwałem w jego wskazaniach aż do tej chwili... A wiesz dlaczego?... Poprostu dlatego, iż z każdym dniem coraz

http://rcin.org.pl

wyraźniej widziałem: siła człowieka wywodzi się z dwóch źródeł jego duszy. Po pierwsze: jeżeli człowiek chce coś wielkiego osiągnąć, musi konsekwentnie realizować ideę przewodnią własnego życia. Powtóre: siła człowieka, to umiejętność, względnie talent przyrodzony — nierozpraszania się. Czy mnie rozumiesz? Widziałem przecież u wszystkich mych znajomych i towarzyszy, że z chwilą, gdy się poczynali kochać, zmysłowym oddawać się uciechom, żenić, płodzić dzieci — rychło się zatracali i załamywali. Zjadał ich moloch kompromisu. Nietylko nie szli po dawnej linji, pełnej przeciwieństw i oporu, ale często zdradzali dawne swe ideały... Być wiernym sobie, jeżeli się chce być wiernym idei — oto grunt...

„Naturalnie, że ślubowanie mi ciążyło, że cierpiałem, walczyłem. Nie tylko dlatego, że na drodze nie brakło pokus. Więcej z tego powodu, iż otoczenie, nie rozumiejące, względnie nie znające mych pobudek, poczęło uważać mnie za dziwaka, będącego na najlepszej drodze do kompletnego zbzikowania... Miałem do wyboru: wyjawić pobudki mego postępowania (coby naturalnie jeszcze w bardziej śmiesznem świetle przedstawiło mą osobę, pozbawiając mnie wszelkiej możności oddziaływania na otoczenie), albo też zamknąć się, milczeć i iść naprzód. Obrałem, jak wiesz, drogę drugą... Cierpiałem wiele... Nieraz przychodziły słabe chwile, którym się wyrywałem z natężeniem wszystkich sił duchowych...

„Najtrudniejszy jednakowoż okres mego życia przypada na czas, w którym Ciebie poznałem... Mówię szczerze i niema w tem dla Ciebie żadnej obrazy, lub zdawkowego komplementu... Poznałem Cię piękną, dobrą i szlachetną. Poznałem Cię, jako najbardziej war-

http://rcin.org.pl

tościowego człowieka wśród kobiet, których, jak Ci wiadomo, stale i rozmyślnie unikałem. Często chciałem rzucić wszystko, co mi dotychczas wydało się godnem walki i chciałem Cię prosić, byś zechciała pójść ze mną na drogę, którą inni szli, idą i — pójdą... Ciągło mię do Ciebie z taką mocą, iż musiałem Cię unikać z obawy o siebie i — o Ciebie. Czy rozumiesz bowiem Tirso, iż nasz związek w jakiejkolwiekby on formie przyszedł do skutku, byłby zaczątkiem tragedji!... Ja nigdybym nie mógł zapomnieć, przeboleć, iż sprzeniewierzyłem się sobie. Nawet, gdybyś mi oddała bezresztnie wszystkie skarby Twej pięknej duszy, nawet, gdyby fizyczne piękno ludzkiego ciała nie było przemijającem...

„Teraz zrozumiesz, że ilekroć Cię szukałem, czy w szpitalu, czy w towarzystwie gdudowców, czy wreszcie na naszych wspólnych spacerach autem po okolicy Jerozolimy, zawsze później cofałem się, z obawy, iż stracę nad sobą władzę i powiem coś, co nieodwołalnie pogrąży nas w nieszczęście... A rzeczy — powiedzmy — połowicznych, zabawy w miłość, tego nie chciałem. Uważałem bowiem za punkt honoru być dżentelmenem w każdej dziedzinie życia. Może i to jest przestarzały, romantyczny, fałszywy, dziecinny punkt widzenia; ale trudno. Moja czcigodna familja rzuciła plamę na honor naszego rodowego nazwiska. a na imię Żyda dość plam pada z winy różnych wychrztów i podobnych im odszczepieńców. Uważałem sobie za obowiązek ratować to, co jeszcze da się przez jednostkę ratować w honorze rodziny i narodu. Choćby tego rodzaju poczynanie nawet w oczach innych ludzi było śmiesznem...

„Oto moja spowiedź, Tirso... Wiesz teraz, jak między nami sprawy stoją. Gdybyś mimo wszystko

http://rcin.org.pl

uznała, że warto walczyć o tę szczyptę szczęścia, jakiebyśmy oboje mogli znaleźć razem, oświadczam, że będę przeciw Tobie, a zarazem przeciw — sobie samemu. Ja muszę iść dalej sam... Jeżeli zaś uznasz, że w prawdzie mego życia jest racja, odejdź i idź swoją drogą i niech Bóg ma Twe biedne serce w swej opiece.

Arjeh".

„*P. S.*... Gdy czytam ten list, pisany na raty w stanie podniecenia, mam wrażenie, że to ktoś stoi na scenie i deklamuje. Tak napuszonemi, tak nieprawdziwemi wydają mi się te przelane na papier słowa... A przecież są prawdziwe! A przecież sądziłem, że słowo pisane będzie mniej fałszywie brzmiało, niż słowo z ust do ust... Ale raz to się stać musi... Więc przyjmij te słowa, jako rzecz długo przemyślaną i dawno już postanowioną..."

Gdy Karol skończył czytanie listu, oparł głowę o laskę i w głęboką popadł zadumę.

— Jak widzisz — przerwała jego myśli Tirsa — to nie masz w nim... to znaczy, żadne z jego strony nie grozi ci niebezpieczeństwo w odniesieniu do mej osoby. Teraz wiesz, co to za człowiek i czy go należy ratować... Jeżeli ci to jeszcze nie wystarcza, więc ja... od siebie... mogę... chcę ci tu... już teraz powiedzieć, że... tak jest... że wyjdę za ciebie i wrócę z tobą do... Wiednia... pod warunkiem, że on pozostanie przy życiu... Pod tym jednak tylko warunkiem!... Musisz go wyratować... Czy rozumiesz?... Musisz!... Bo inaczej...

— Uspokój się Tirso!... Rozumiem bardzo dobrze... Naturalnie... Wszystko, co tylko będzie w mej mocy, zrobię... Zrobię to dla ciebie, Tirso... Co się zaś tyczy wypowiedzianego przed chwilą przyrzeczenia,

http://rcin.org.pl

czy też zobowiązania, nie waham się wziąć twych słów w zastaw... Będziesz moją, gdy on wyzdrowieje... I jeszcze coś... Być może, że gdybyś zdolną była lepiej panować nad swemi nerwami, nie wyrażałabyś tak prędko i tak stanowczo swego postanowienia... Ale ja, przyznaję się... wykorzystuję twą sytuację także i dla... twego dobra... Może to kiedyś lepiej zrozumiesz, niż w tej chwili... A teraz, Tirso, musimy się oboje porządnie ująć w garść, jeżeli chcemy ratować jego i siebie... Chodźmy!... Po drodze opowiesz mi szczegóły i przebieg choroby... Podaj mi rękę Tirso — na razie na znak zawieszenia broni... A następnie dla dodania mnie i tobie odwagi i otuchy...

NAD MORZEM.

Tirsa skończyła pisanie listu i włożywszy zapisany papier do koperty, wzięła z wieszaka płaszcz i kapelusz.

Przed wyjściem oglądnęła się — więcej ze zwyczaju, niż z potrzeby — w lustrze, osadzonem we drzwiach szafy... Ktoś o bladej, zwiędłej twarzy, o oczach, niby dwie kulki ze szkła matowego... ktoś obcy patrzał na nią z poza lustra. Patrząc tak na tamtą drugą, podobną do niej kobietę, widziała Tirsa, jak u tamtej zwolna zaciskają się wargi, przybierając kształt dwóch płatków więdniejącej róży, a oczy pełne smutku i bólu upodabniają się do dwu nigdy nie gojących się ran na bladem, wysokiem czole...

— Nie! Nie poddawać się! — zadecydowała w sobie i wyszła z hotelu, położonego nad morzem... Szła w górę ulicą Alemby... Już zbliżała się druga połowa

http://rcin.org.pl

grudnia, a deszczów jeszcze nie było. Na stołach i ruchomych wózkach z owocami wznosiły się piramidy niedojrzałych, zielonych pomarańcz, leżały żółte palce bananów i wstydliwie po kątach kryjące się tyrolskie jabłka... Z przykrością stwierdzała Tirsa, iż od jej ostatniego pobytu w Tel Awiwie — o jakże dawną wydała się ta chwila — niepomiernie urosła liczba pucybutów, kobiet, sprzedających na chodnikach chleb, placki i pączki, Jemenitów, zachwalających pieczone kasztany i suszone pestki melonu; niepomiernie wzrosła liczba tych typowych „luftmenszów", których ekonomiczne przesilenie kraju rzuciło na chodnik tego nowego miasta...

Sklepy były puste. Natomiast przed sklepami wystawali chłopcy w wieku szkolnym, sprzedający wybrakowane skarpetki, sznurówki do bucików, grzebienie, spinki, papier listowy... *Szeloszim begrusz, rak hajom bezol...* Trzydzieści za piastra, tylko dziś tak tanio...

Po ogródkach drżące topole odrzucały swe, jakgdyby rdzą okryte, liście. Natomiast świerki oraz kwiaty, a zwłaszcza krakusy, chełpiły się świeżą barwą swej zieleni, wyzywająco słaniając się w stronę morza, skąd lada dzień przyjść miała zima ze swemi wiatrami i burzami, osłabiającemi korzenie, odbierającemi radość życia...

Tirsa usiadła na ławce w Alejach Rotszylda. Na sąsiednich ławkach siedzieli, grzejąc się na słońcu, staruszkowie, bezrobotni i bony z dziećmi. Niedawno skarżyli się na nieznośne upały, a dziś uciekali przed cieniem, garnąc się do wygrzanych słońcem placów. A słońce nie pamiętało ludziom urazy, grzejąc w południe jak za dobrych, letnich czasów, pompując soki

http://rcin.org.pl

życia ze ziemnych rezerwoarów w pnie, krzewy, kwiaty i ludzi...

Tirsa wyjęła ponownie list z koperty i czytała:

„Droga Lejo! List ten piszę z hotelu San Remo, w Tel Awiwie. Przez okno widzę morze, niby wielką szybę, ciche i spokojne, bez ruchu, jakgdyby to dziś w nocy nie przeszła przez jego głębie szalona burza, która oka zmrużyć nie pozwoliła... Mam wrażenie, że jestem do tego morza podobna... Jakżeż to niedawno do najgłębszego wnętrza wzburzyła mnie zawierucha, a dziś jest we mnie leniwość letniego dnia, słabość, jak po przebytej papadaczi, jakiś słodkawo-gorzkawy *Katzenjamer*... Chciałoby się iść, gdzieś między ludzi dobrych, milczących a wiernych, takich jak ty, najdroższa Lejo... Chciałoby się słuchać orkiestry, złożonej z samych skrzypiec, orkiestry, grającej poprzez tłumik ciche kantyleny w wielkim, ciemnym, cyprysowym ogrodzie... albo też przywołać noc gwieździstą, palestyńską noc letnią i ułożyć się wygodnie na dnie łodzi, w pośrodku wielkiego a spokojnego stawu, słuchać poszumu przybrzeżnej trzciny i — nie myśleć...

„Wybacz, droga Lejo, tych parę słów sentymentalnych, nie oddających właściwie nastroju, w którym dziś żyję. Wiem, że Ty nie lubisz takich słów, bo — jak słusznie twierdzisz — zatruwają duszę... Ale ponieważ już je napisałam, niechże więc idą wraz z następnemi.

„Korzystam bowiem z nieobecności Karola, który wyjechał w sprawie paszportów do Jerozolimy i pisząc, wykonuję dawne postanowienie. Bo jakkolwiek jestem silnie przekonana, że Twe rozumne serce

http://rcin.org.pl

wszystko bez słów oddawna odgadło, to jednak sądzę, że winnam Ci te wyjaśnienia na pożegnanie.

„Tak, na pożegnanie... Nie zobaczymy się bowiem więcej, gdyż za trzy dni wyjeżdżamy do Wiednia...

„Masz rację Lejo, jeżeli się w tej chwili gniewasz na mnie, iż nie staram się o to, by każdemu z Was osobiście dłoń uścisnąć na pożegnanie, a Ciebie Lejo, jako najdroższą siostrę ucałować za wszystką dobroć i serdeczność, których u Was zaznałam. Ale mam wrażenie, żeby to już było ponad siły... I tak zdumiewam się, skąd się ich tyle we mnie zebrało, by móc tak długo z ich zapasów czerpać...

„A więc krótko: gdy widziałam, że śmierć stoi nad łóżkiem Arjego, zdecydowałam się poświęcić moją i tak bezprzedmiotową wolność, by jego ratować. Nie dla mnie — o tem już wtedy zupełnie dokładnie wiedziałam — lecz dla niego, dla Was, dla kraju, dla idei, dla której wyrzekł się mnie i swego osobistego szczęścia, dla tej idei, której chciał dalej służyć... On teraz prawdopodobnie chodzi już zdrów między Wami. Tobie, najukochańsza Lejo, powierzam dalszą nad nim opiekę... Ja odchodzę, gdyż do tego się zobowiązałam i ponieważ uznałam, że to jest w danych warunkach najlepsze wyjście... Przypuszczam, iż podołam brzemieniu, jakie na siebie wzięłam...

„Wczoraj odbył się mój ślub z Karolem, prawie że bez świadków. Tu bowiem nikogo z naszych wspólnych znajomych niema. Muszka z dzieckiem u rodziców w Czerniowcach. Kleinzeler przeniesiony do Jerozolimy, a Ben Dora idę odszukać. Poza tem, kogóż miałam zapraszać?! Bliskich pozostawiłam w Bet Alfie, a i ci z pewnością nie stawiliby się na ślub tej, która się „sprzedała“ i „kraj opuszcza“... Wszak tak

http://rcin.org.pl

mnie tam teraz osądzać będą... Wszyscy, prócz Ciebie. Ty jedna zrozumiesz, że nie mogłam inaczej, mimo, że serce me jest jedną wielką raną...

„Dość!... Bądź zdrowa Lejo i pozdrów wszystkich, którzy mnie mają w życzliwej pamięci. Ucałuj ode mnie serdecznie dzieci, a jeżeli będziesz kiedy przejeżdżała przez Wiedeń — dszukaj Twą

kochającą Cię Tirsę“.

...Wysłać — nie wysłać?... Co znaczą, co mówią te gołe słowa? Co powiedzą Leji?... Czy Leja zrozumie, że pisząc je wkładała w każde z nich resztki tych sił, o których zapasie wspominała... Tak, tak. Resztek sił musiała użyć, by słowa te nie płakały, nie oskarżały, nie wołały rozpacznym szlochem o ratunek... Tak, musi list wysłać. Wszak winna to Leji, nietylko za to, o czem w liście pisze, ale za pomoc użyczoną jej w chwili, gdy się rozchodziło o zainstalowanie się w szpitalu w roli pielęgniarki. Dzięki autorytetowi, którym się Leja w osiedlach Emeku cieszyła, zezwolono jej na pracę w szpitalu i opiekowanie się Arjem... Tak. Tylko siostrzana miłość może obdarzyć serce taką intuicją, by wyczuć skryte, a gorące pragnienie drugiego, tak, jako to uczyniła Leja, pisząc list do Dra Steinmetza, naczelnego lekarza w Ejn Charod. Co za słodka, kochana, szlachetna dziewczyna...

Tak. Pośle... Swego czasu wyjawiła Karolowi wszystko. Wyznała mu wszystko w chwili największej opresji i największego duchowego rozprzężenia. Niechże więc Leja będzie jedyną, której się zwierzy dobrowolnie, w chwili względnej, duchowej równowagi...

Co powie ojciec, co powie ciotka Toni?... O, gdyby oni wiedzieli, czem okupioną jest ich radość!...

http://rcin.org.pl

Tirsa wstała i przekroczywszy tor kolejowy, prowadzący z Tel-Awiwu do Jaffy, skręciła na lewo tam, gdzie na obwodzie miasta, za niskiemi, małemi domkami, na skraju zielonych, pomarańczowych plantacji, rozsiadł się obóz drewnianych baraków. Ulice między barakami znaczyły się licho skleconemi parkanami, a rzadkie, wyniosłe palmy, rzucające pod niebo swe palczaste gałęzie, niby kominy fabryczne dym, świadczyły o żywotnej sile miasta rozrastającego się kosztem ogrodów. Niektóre z tych ogrodów, ściśnięte murowanemi parkanami, ostały się pogrążone w dole, jakgdyby w wielkim wazonie, nakryte soczystą zielenią swych lśniących się i trwałych, jakby laurowych liści. Rozłożyste gałęzie świeżo okopanych drzew przenikały się wzajemnie, tworząc u góry zielone sklepienie nad zacisznym korytarzem. Na gałęziach, powiązanych nićmi pajęczyny, lśniącej się brylantowym blaskiem palestyńskiego słońca, wisiały, jakby sztucznie uczepione, okrągłe, czerwonawe grona pomarańcz. Wielkość i mnogość owocu nie stała w żadnym stosunku do delikatnych gałązek krzewów, uginających się pod brzemieniem dojrzewającego plonu.

Na dachach krytych przeważnie papą gruchały gołębie, z kurników dochodziło gdakanie kur, a po grządkach obsadzonych sałatą, kapustą i burakami włóczyły się tłuste i wielkie, jak zające, koty.

Z ogrodów i z poza baraków szedł wiew pól, rozpościerających się szeroko wokół miasta, szedł zapach przypalonych słońcem łąk, szła cicha i ukojna melodja śpiewającej niemal ludzkim głosem przyrody... Jak ongiś, dawno za Praterem, na łąkach, nad Dunajem... Przed barakami prały bieliznę kobiety o zbiedzonych twarzach, bawiły się dzieci o za-

http://rcin.org.pl

smarkanych wargach, wygrzewali się starcy o czarnych oczach i kędzierzawych, białych brodach. Mieszkali tu kaukascy Żydzi, trudniący się przeważnie fijakierstwem. Tirsa znała ich nędzę z opowiadań dorożkarza, który przedwczoraj woził ją z Karolem do rosyjskiego klasztoru w Jaffie...

Znów mimowoli stanął przed nią obraz klasztoru, wyrastającego z nadmorskiej równiny, jak okręt na horyzoncie bezbrzeżnej monotonji... Wokół zabudowań kościelnych wielki, na tarasach założony ogród pomarańczowy. Aleje z piń, palm i drzew eukaliptusowych. Pod zielonym pióropuszem palm wiszą wysoko w górze czerwono-żółte worki daktyli, niby głowice palących się pochodni. W ogrodzie panuje cisza lasu, przerywana poszumem wiatru, stukotem skrytego gdzieś w ogrodzie benzynowego motoru, pompującego wodę do kamiennego zbiornika... Gdzieś w kącie ogrodu niespodzianie odsłania się wejście do podziemnej kaplicy... Ponieważ ona nie chce zejść do kaplicy, więc chodzą po sztucznie sporządzonych ścieżkach ślimacznicy. Pod ich nogami bulgocze woda, przepływająca krytymi kanałami między młode pomarańczowe drzewka.

Karol mówił do niej długo i przekonywująco...

O czemże to mówił?...

Ach tak. O przyszłem ich pożyciu; o tem, jak się we Wiedniu urządzą; jak on to będzie się starał usłać jej życie różami... Tak właśnie się wyraził: „różami"... Byle się tylko nie martwiła. Czas przyjdzie i uleczy wszystko. Ojciec, ciotka, znajomi — wszystko to pomoże — zapomnieć. A zresztą, wejdzie w inne otoczenie i stworzą wokół siebie koło sympatycznych, intelektualnie bogatych ludzi. A może wróci do dawnej,

http://rcin.org.pl

umiłowanej przez się pracy! Może z przygodnego dotychczas, amatorskiego zajęcia, — z zamiłowania do urządzania znajomym mieszkań, — stworzy sobie istotny zawód, dający artystyczną satysfakcję i materjalną korzyść!... Rychło zapomni, co tu przeszła... A potem przyjdzie dziecko — jakże łatwo przyszło mu wypowiedzenie tego słowa — i całkowicie zaabsorbuje...

Tak długo mówił, aż przyszli pod klasztorny zegar słoneczny, wykreślony na ścianie pustego kościoła. Żelazna wskazówka rzucała czarny, twardy, oko raniący cień na biel marmurowej tarczy. Patrząc się na nieruchomą wskazówkę zegara, miała wrażenie, że owa wskazówka jest jakby groźnie wyciągniętem ramieniem niewidzialnej, wewnątrz kościoła ukrytej istoty; że ramię to wskazuje na coś, co leży poza tym cichym ogrodem, poza jej, w tajemnicę spowitą przyszłością, poza świadomością i życiem... Miała wrażenie, że ta wskazówka — to ramię drogowskazu — ku bliskiemu celowi, ku granicy, u której kończył się ból i ustawało cierpienie...

Gdy jednak mimowoli powiodła oczyma w kierunku oznaczonym przez żelazną wskazówkę, nie widziała nic, jak tylko szeroko rozlaną falę zieleni ogrodów otaczających z tej strony klasztor, ścielących się u jego stóp, niby wielki, w dole ustawiony i zielonym obrusem nakryty stół... O, jakże wdzięczną była temu kaukaskiemu dorożkarzowi, że przypominając nadchodzącą sobotę i konieczność rychłego powrotu, uwolnił ją od dalszych, męczących pytań Karola i od tej niezrozumiałej, lęk i niepokój w rozbolałą duszę rzucającej wskazówki...

http://rcin.org.pl

...Tak. W tym, jak wnętrze kościoła chłodnym i cichym ogrodzie jeszcze jedną uświadomiła sobie prawdę. Nagłe zaś objawienie się tej prawdy ugodziło w nią jak ostrze sztyletu, a po dzień dzisiejszy paliło ją jak ogień, jak jad trucizny...

Gdy w noc poślubną, we wypełnieniu przyjętego na się obowiązku dobrowolnie oddała się Karolowi — wbrew wszelkim oczekiwaniom i ku swemu najwyższemu przerażeniu — prócz spodziewanego, naturalnego, fizycznego bólu — doznała i fizycznej, zmysłowej rozkoszy. I w niej odezwało się zwierzę... Dusza i serce zamilkły. Poszły osobną drogą, a ciało osobną... Wbrew temu, co na dnie jej znękanego serca wśród niezmiernego bólu obumierało — nie tylko powolną była, ale...

O Boże, Boże... Jakżeż się to stać mogło?... Czyż było coś podobnego możliwem?... Czemuż nie wiedziała o tem — wcześniej!... Któżby się jednak tego spodziewał?! Wszak była cały ten czas jak — automat. Rozbierała się, jak na wizycie u lekarza. Bez najmniejszej żenady, z silnem postanowieniem wypicia do reszty tego kielicha goryczy, który świadomie i własną ręką przygotowała i napełniła tam, w Ejn Charod... A mimo to... a później... Jak jakaś dziewka ze wsi, — z ulicy... Okropne!... Okropne!...

...Nie, ona tego nie przeżyje!... Nie przeżyje?... A przecież minęły już dwa dni, jak sromotne to przeżycie kołuje w jej głowie, a pamięć o tej prostytucji pędzi ją z miejsca na miejsce, odbiera sen i zdolność zebrania myśli... A przecież żyje, chodzi, je i mówi...

...Czyżby Karol miał rację, twierdząc, iż do wszystkiego można się przyzwyczaić...

Nie, do tego się nie przyzwyczai!... Przysięga so-

http://rcin.org.pl

bie, że gdyby się to miało kiedykolwiek powtórzyć, gdyby ciało i nadal sprzeniewierzyć się miało duszy. gdyby ten bród przyróść miał do jej świadomości, w takim razie... W takim razie raczej wraz z ciałem zabić i duszę, niż żyć w dalszem upodleniu...

Czy będzie miała po temu dość siły i odwagi?...

Była na miejscu. Na podwórku bawiły się dzieci, chodząc długim szeregiem śród śpiewu i klaskania rąk za śpiewającą Stefą... Dziwna rzecz, jak można wszystkiego się wyuczyć, wszystko zrobić składową cząstką zawodu, wszystko podporządkować jednej jedynej potrzebie — chleba! Nawet być wesołą i swawolną jak dziecko...

— Szalom Stefa; czy nie przeszkadzam?... Nie poznajesz mnie? To ja — Tirsa.

— O, naprawdę cię w pierwszej chwili nie poznałam. Jakaś zmiana zaszła w tobie... Czekaj, niech ci się lepiej przypatrzę... Schudłaś i jeszcze ładniejsza jesteś niż dawniej... Chwileczkę. Zawołam mą ozeret *) do tych bachorów, a my wejdziemy do pokoju...

Usiadły na niskich taboretach w pokoju przyozdobionym kolorowymi łańcuchami, lepionymi z papieru, koszyczkami z rafji i barwnemi wycinankami, ilustrującemi życie zwierząt i ludzi.

— Skądże się tu wzięłaś, Tirso, w Tel Awiwie? — zapytała Stefa, ująwszy Tirsę za ręce i wciąż uważnie ją obserwując. — Od czasu, jak Muszka wyjechała, straciłam wszelkie źródło informacji o naszych wspólnych znajomych... Czy jesteś jeszcze w Bet Alfie?

— Nie. Od czterech dni jestem w Tel Awiwie...

— Na stałe?

*) Ozeret — pomocnica.

http://rcin.org.pl

— Przejściowo. Przedwczoraj wzięłam ślub z mym kuzynem Karolem, a za trzy dni wyjeżdżamy do Wiednia.

— Czy na stałe?

Tirsa wyczuwała, ile w tem pytaniu mieściło się zdumienia, a równocześnie odsunięcia się od jej osoby.

— A to mi nowina! — Kontynuowała Stefa swe pytania. — A gdzie się wasz ślub odbył?

— Tu, w Tel Awiwie. Lecz mimo najlepsze chęci nie mogłam was odszukać. Na ulicy Bialika, tam gdzieś poprzednio pracowała, nie wiedziano dokładnie, gdzie się twój ogródek znajduje i dopiero w miejskiej radzie wychowania uzyskałam twój adres.

— O, drobnostka — zaręczała Stefa, wstając i całując Tirsę w oba policzki. — Życzę ci, byś mimo mą nieobecność na twym ślubie była szczęśliwą do studwudziestu lat... A gdzie twój mąż?

— Wyjechał do Jerozolimy dla załatwienia formalności paszportowych... A twój Ben Dor wnet wróci z pracy? Chciałabym i z nim się przywitać...

— Ben Dor również w Jerozolimie. Z teatralną trupą „Taj". Bo — jakby ci to powiedzieć — w tych ciężkich czasach musimy oboje zarabiać, by móc jako tako wyżyć. Ja tu przeniosłam mój ogródek, bo tu mieszkania są tańsze, a Ben Dor układa taneczne wkłady i sam tańczy. Nie przynosi to wiele, ale przynajmniej ma jakieś zajęcie i nie włóczy się po mieście, jak inni bezrobotni... A ty Tirso? Opowiedz coś o sobie, o Bet Alfie... Co robi Arjeh, Leja i cała nasza paczka... Ho, ho, gdzie te piękne czasy? Pamiętasz Tirso ten nasz spacer w księżycową noc po murach Jerozolimy?...

http://rcin.org.pl

— Właściwie Stefo — nie pogniewasz się, — jeżeli ci wyznam, że przyszłam tu, nie tylko, by się z wami pożegnać, ale prawdę powiedziawszy, chciałam się dowiedzieć, co słychać z Rachelą Singer i Szoszaną. O pierwszej pisała mi Muszka, że bywa u ciebie, a o drugiej, od czasu jak się z nią widziałam w Chederze, miewałam bardzo skromne wiadomości.

— O tem, że Rachela była w tutejszej Kwucat poalot, — wiesz?

— Tak, wiem, że stamtąd przeszła do osiedla kobiecego w Ness-Zionah.

— Później była raz u mnie ze swym bachurem, wcale przystojnym młodzieńcem. On miał otrzymać pracę kamieniarza w Zajordanji — nie pamiętam, jak się to miasto nazywa. Tam, gdzie budują pałac dla angielskiego gubernatora. Przypuszczam, że z nim pojechała... Co do Szoszany, to wiem tyle, co Ben Dor mi opowiadał. Uri pracuje w sekretarjacie organizacji robotniczej w Jerozolimie, a Szoszana siedzi w gdudzie, na budującem się, nowem osiedlu gdudu, za Talpjot.

— A wy, czy nie żałujecie, żeście z gdudu wystąpili?

— Nie. Tu się pracuje wprawdzie ciężko. I choć czasem wielu rzeczy musimy sobie odmówić, to przecież, gdy człowiek chce być sam, — jest nim. Gdy się chce przed kimś schować... — ty mnie rozumiesz, co myślę — może. A co chcę i kiedy chcę, mogę sobie ugotować, uszyć, a nawet pomyśleć, postanowić i zrobić. Ostatecznie wierzymy, że później, czy wcześniej czasy znów się poprawią i że Ben Dor wróci do swego zawodu rysownika; a może uskładamy sobie coś, by

http://rcin.org.pl

mógł ukończyć studja w Paryżu... Oto nasze życie, nasze marzenia, nasze nadzieje...

Wracając, myślała Tirsa o tem, iż właściwie to ta wizyta u Stefy była zbyteczną. Wszak nie trudno było sobie wyobrazić, że wiadomość o opuszczaniu przez znajomych kraju w tym ciężkim, przełomowym okresie, wywoła z konieczności u tych, którzy tu pozostają, uczucie podobne do uczucia, jakie udziela się żołnierzowi, idącemu na front, na widok dezertera. Tak, na front... Czyż nie trwali oni wszyscy, tak po miastach jak i po kolonjach jakgdyby na zagrożonym przez wroga szańcu?!... Czyż nie sypali oni na szaniec ten ziemi z własnej dumy i ambicji, z zawziętości i bezgranicznego poświęcenia?!... A tu ona przychodziła i opowiadała, iż przyłącza się do tych, co niby zadżumione szczury sieją w okopach zarazę... Nie! Albo należy mówić wszystko, albo, — jeżeli tego nie można, należy się zamknąć w czterech ścianach hotelu i milczeć... Lecz gdzież ona zaszła?...

Wąska ulica, z obu stron oprawiona ogródkami, w których rosły smukłe pinje i bujnie rozkwitające oleandry. Tu i ówdzie szeleściły topole, jakgdyby chciały otrząść ze swych gałęzi fjoletowe dzwonki pasożytującego powoju. Za ścianami z drzew, krzewów i kwiatów stały domy w pośrodku wysokich murów, strzeżonych przez kamienne lwy. Tirsa czytała na żelaznej tabliczce: „Rechow Lilienblum“.

— A prawda. Toż to jedna ze starych dzielnic Tel Awiwu.

Dopytawszy się o ulicę Herzla, zorjentowała się co do dalszej drogi. Wymijając bramę gminazjum Herzla, natknęła się na mężczyznę, witającego ją z nadzwyczajną serdecznością:

http://rcin.org.pl

— A to pani, panno Lampel?! A pani, co tu robi? Czy przyjechała pani pływać po naszem morzu, mimo że zima na karku?

Tirsa nie bez trudu — po głosie — rozpoznała w witającym ją mężczyźnie profesora Opatowskiego. Na skutek zgolenia wasów i brody zmieniły się w zupełności jego rysy. Wydał się jej młodszym i przystojniejszym.

— Czy mnie można odprowadzić? Ależ proszę. Cieszę się rzeczywiście, że kogoś z mych starych znajomych tu spotykam. Co u pana, panie profesorze?

— O, najpierw opowiedz pani o sobie. Wy ze wsi zawsze większą macie ochotę do opowiadania, niż my mieszczuchy, którzy z gadania robią sobie zawód, lub sport.

— Co do mnie — wymawiała się Tirsa — to zbyt krótko byłam na wsi, by się tyle mogło nazbierać tematu... Zresztą musiałam z przyczyn natury familijnej opuścić Bet Alfę i wyjeżdżam z mym mężem do Wiednia.

— A więc przecież nowiny... Gratuluję pani... Czy wolno zapytać, kto jest tym szczęśliwym wybrańcem pani i losu?

— Zna go pan... Mój kuzyn, Dr. Stein.

— Tak, tak. Przypominam sobie. Poznaliśmy się przy jakiejś sposobności w Kawiarni Węgierskiej... Tak się to dziwnie składa. Jedni przyjeżdżają do Palestyny dla spędzenia miodowych miesięcy, a inni jadą do Europy dla tych samych, godnych zazdrości celów...

Tirsa znów doznała wrażenia, że i ten, ongiś jej sympatyczny człowiek, stara się tą ogólnikową sen-

http://rcin.org.pl

tencją zatrzeć przykre wrażenie, jakie wywołała w jego duszy wiadomość o jej wyjeździe.

— A co u pana? Czy pracuje pan jeszcze w gimnazjum?

— Tak, proszę panią. Mimo ciężkie czasy ludzie i nadal mają ambicję, by dzieci ich się kształciły na głodomorów...

— Przepraszam pana, ale przypomniałam sobie w tej chwili, że poznałam w Bet Alfie pańskiego najmłodszego braciszka. Zuch chłopak...

— W Bet Alfie? A cóż on tam robił?

— Przyszedł z wizytą... Pracował w sąsiedztwie u Araba i w soboty nas odwiedzał.

— Tak, ma pani rację: zuch chłopak... Nie wdał się ani we mnie, ani też w tego zdrajcę.

— Pan ma na myśli...?

— Właśnie tego bolszewika...

— A cóż się z nim dzieje? Opowiadał mi o nim dużo Arjeh...

— O! Arjeh!... Gdzież jest teraz ten Beduińczyk? Słyszałem, że był ciężko chory.

— Już zdrów i jest w Bet Alfie... Ale co z pańskim bratem?...

— Jeżeli panią to interesuje, to mój braciszek, bolszewik, bruździł tu tak długo, aż się przekonał, iż dużo tu nie wskóra, więc pojechał do rodziców...

— Do rodziców?

— Tak do — bolszewików, do Rosji. Tam podobno siedzi w Jewsekcji — pani wie, co to jest — i pisze w Emesie artykuły skierowane przeciw sjonizmowi i Palestynie... Ja zawsze, proszę panią, powtarzam: ziemia naszych ojców przestała opływać w miód i mleko. Ale jak jej dwa główne produkty —

http://rcin.org.pl

pomarańcze i winogrona — nie ścierpią w swem wnętrzu robaka, tak i ona nadal wypluwa wszelkie robactwo. I w tem nasza cała nadzieja... Dla tego mój braciszek i jego towarzysze będą siać, a nie będą zbierać... Nie ma pani pojęcia, co zdrowia mnie ten wyrodny braciszek kosztował!... Dobrze przynajmniej, że najmłodszy nie poszedł w jego ślady, bo trzebaby się chyba pod ziemię schować ze wstydu...

— No, no. Przecież pan nie odpowiada za uczynki braci.

— To się tylko tak mówi. A w rzeczywistości!... Aż lżej odetchnąłem, gdy ten mały przestał się włóczyć z miejsca na miejsce...

— Więc już nie pracuje u Araba?

— Nie. Od miesiąca należy do nowej kwucy, która osiedliła się koło Nahalal, na ziemi Funduszu Narodowego... Pani zapewne też słyszała o tej ruchawce?...

— ???

— Ot, towarzysze, zdaje się mego braciszka bolszewika, wykorzystując chwilowy, krytyczny nastrój, wytworzony bezrobociem, uknuli spisek — zbrojnego zajęcia ziemi i osiedlenia się. Co, ładny plan i zbożny zamiar, nie prawda?... Na szczęście dyrektorzy Funduszu Narodowego w Jerozolimie na czas się dowiedzieli o przygotowanym zamachu i uprzedzając wypadki, dobrowolnie oddali ziemię w posiadanie tych, którzy na to zasługiwali...

— Tak, słyszałam o tem — odpowiadała Tirsa, tłumiąc westchnienie, wywołane reminiscencją awanturniczego planu Arjego i wiążących się z planem tym wspomnień.

— Otóż dzięki protekcji udało mi się w jednej

http://rcin.org.pl

z odnośnych grup umieścić i mego najmłodszego brata... Tak, tak. Nie łatwo tu prostą drogą dorwać się pracy, dającej zadowolenie.

Tirsie się zdało, iż poprzez ostatnie słowa profesora przebija pewien ton żalu. Zapytała więc:

— Jakto, czyżby pan z obranej przez się pracy nie był zadowolony?

— Tu nie chodzi, proszę pani, o to, tak zwane zawodowe zadowolenie. Bo czyż są na świecie ludzie, którzyby byli zadowoleni ze swego zawodu? Sądzę, że nie. Każdy ma trochę Weltschmerz'u w zanadrzu... Każdemu się zdaje, że minął się z zawodem... Tu jednak w Palestynie chodzi o coś więcej. Tu każdy stawia sobie pytanie, czy poprzez zawód swój spełnia ostateczne zadanie; czy zbliża się do celu, dla którego tu przyjechał; czy poprostu: pomaga budować...

— Nie rozumiem pana. Czy pan, wychowując młodzież, nie przyczynia się do tego, co pan nazywa budową?... A zresztą, czy pan nie uważa, że i w Palestynie można żyć tak, jak się żyje we Francji, Belgji lub Danji... bez nakreślonego z góry celu, ot tak, jak drzewo w lesie?...

W międzyczasie znaleźli się u wylotu ulicy Alemby, na szerokim placu, z którego rozlegał się daleki widok na morze. Zajęci rozmową, nie zauważyli, iż zapadające szybko słońce owija płaszczem nocy, domy, ogrody, ulice i ludzi.

— Czy zgodziłaby się pani na krótki spacer nad brzegiem morza? A może pani za chłodno?

— Nie. Chętnie się jeszcze przejdę.

— A więc, wracając do poruszonego przez panią tematu, muszę przyznać, iż wysunęła pani „na front dyskusji“ dwa problemy, z którymi ja już od dłuższe-

http://rcin.org.pl

go czasu się borykam. Zacznijmy od drugiego... W tej materji stoję na stanowisku, iż tu, w Palestynie — jak na razie — niema miejsca na ludzi zadowolonych, na ludzi zacierających ręce z radości, iż inni — naiwni — za nich wyciągają kasztany z ognia... A co do pierwszej kwestji, niejako osobistej — to, — brzmi to może dziwnie, — jestem przeciwny wyższemu szkolnictwu w Palestynie. Do czegóż bowiem prowadzi ta hyperprodukcja inteligencji?! Tu niema dla niej miejsca, a w Europie, w Ameryce, lub Australji są jakby na wygnaniu... Mam proszę pani listy od byłych mych uczniów, którzy ukończywszy gimnazjum w Tel Awiwie, wyjechali na studja do Paryża... Tragedja niemieckiego Żyda, asymilującego się mimo swe narodowe uświadomienie, niczem jest w porównaniu z tragedją tych emigrantów, którym nie było danem wyżyć się w świeżo odzyskanej ojczyźnie. Powiadam pani, aż się serce kraje, gdy się czyta ich skargę... Nam potrzeba nie doktorów, profesorów i inżynierów, ale kwalifikowanych rzemieślników, rzemieślników, którzyby szli na wschód i tam budowali i tam byli pjonierami cywilizacji...

Długo jeszcze mówił towarzysz Tirsy na temat wychowania palestyńskiej młodzieży, a następnie o własnym zamiarze porzucenia szkoły i wstąpienia do .kwucy. Zapalając się, popadał w ton szkolnego mentora, to znów patrząc w cichą a skupioną twarz Tirsy z trudem szukał wyrazów, by w proste ubrać słowa zawiłą i niezdecydowaną myśl...

Słuchając profesora, wciągnięta mimowoli w krąg zagadnień, dręczących drugich ludzi, zapomniała Tirsa na chwilę o przyczajonych, bolesnych, nierozwiązanych problemach własnego bytu. Z wielu poglą-

http://rcin.org.pl

dami profesora nie mogła się zgodzić, wiele poruszonych kwestji odsłaniało nieznane jej dotychczas horyzonty, a nad wszystkiem unosiło się jedno pytanie: jestże to możliwe, że spotykając tyle razy w towarzystwie Muszki idącego obecnie obok niej człowieka, dziś dopiero odkrywała, jak rozległym jest rezonans jego duszy?!...

Dziwna to rzecz w ludzkiem życiu: przechodzi się koło człowieka i uważa się go za martwy, drewniany słup. Gdy się jednak w odpowiedniej chwili przyłoży do słupa ucho, słup ten, o dziwo, śpiewa i po największej części śpiewa czystą, głęboką i piękną melodją... Trzeba tylko wybrać odpowiednią chwilę...

— — — — — — — — — — —

Wróciwszy do hotelu, ułożyła się Tirsa na kanapie, by za chwilę znów wstać i rozpocząć swój nerwowy spacer po ciasnym prostokącie pokoju. Mimo że nad łóżkami świeciła się lampa, to przecież Tirsie wydało się, iż chodzi po mrocznej, więziennej celi. Ciągle obijała się o ostre kanty opacznie ustawionych mebli, zawadzając to o stół, to o szafę. Czego się dotknęła, wszystko zdawało się pozostawiać na palcach tłuste plamy spożytych tu przez obcych ludzi potraw, lub porzuconych przy pośpiesznem pakowaniu łachmanów. Biel prześcieradeł, przysłoniętych różową kołdrą, raniła jej oczy. Zgasiła światło... W półmroku jednak zarysy łóżek jeszcze wyraźniej poczęły występować z ogólnego tła, poczęły przypominać, krzyczeć, ból zadawać...

...O, uciec stąd jak najprędzej!... Nie widzieć tego wszystkiego, nie myśleć o tem, zapomnieć!...

http://rcin.org.pl

Zeszła do sali jadalnej, zjadła nieco owoców, przerzuciła leżące na stole ilustracje i znów znalazła się w pustce hotelowego pokoju.

Nie widząc wreszcie innej możliwości, postanowiła pójść za radą profesora, i kupić bilet na koncert w Bejt Am.

Olbrzymi jak ujeżdżalnia barak. Na froncie wielka scena, w połowie przysłonięta kraciastą kotarą. Na widowni pomruk tysiąca wciśniętych w ciasne ławki ludzi. Z pola szum pobliskiego morza, wznoszący się, opadający i jak modlitwa przytłumiony. Jakgdyby gdzieś daleko pędził pociąg poprzez puste, śniegiem przysłane pola.

Trzykrotny głos dzwonka... Ściemnia się na widowni. Milkną głosy.

Na scenie, przy otwartym fortepianie zasiada siwowłosy staruszek, wyfraczony skrzypek i cichy, smętek swej duszy obiecujący śpiewać, czelista... A potem wchodzi na scenę jakiś mężczyzna, który — tak się Tirsie wydaje — zamiast twarzy, ma białą kartkę z wypisaną na niej tragedją swej duszy...

Grają i śpiewają... Jakieś chasydzkie, zręcznie zmodernizowane melodje, ciepłe Inquesta Tomba, a następnie pełne wdzięku, pogodne, jakby nie przez Bethovena pisane: Dwie pieśni szkockie. Trio tonie w spiżowej fali, którą jednakowoż głosem swym nakrywa ów człowiek z białą kartką w miejsce twarzy...

A później on sam śpiewa głębokim, męskim barytonem „Dwa listy" Engla.

Tirsa przypomina sobie, że już gdzieś pieśń tę słyszała... Gdzie? Aha... To było na przyjęciu z okazji otwarcia fabryki. Śpiewała Wiera... Jakże dalekie to czasy!... Gdzie rozpruszyli się ci wszyscy ludzie?... Do-

http://rcin.org.pl

kądże ona sama zaszła... Zdawało się jej w tej chwili, że stoi na wysokiej wieży i patrzy w dół. Ot tak, jak wtedy w drodze do Palestyny, gdy zwiedzała z ojcem Neapol i Wezuwiusz... Stali wysoko, tuż koło dymiącego z lekka krateru i patrzyli na ludzi, pełzających jak mrówki nad brzegiem neapolitańskiej zatoki... Wszystko wydało się małem, niskiem, dalekiem...

Wtedy nie rozumiała słów. Dziś rozumie... Żyła śród tych ludzi i wie... Rozumie odgłos sprzecznych uczuć, szarpiących duszę; rozumie wołający mus obowiązku, zew tęsknoty i miłości; rozumie ból i szczęście wytrwania... O, jakżeż dobrze rozumie!...

Papier lekki, jak śnieg biały,
Zdąża liścik skądś z golusu.
Śle go matka ze łzą w oku
Synkowi swemu w Jeruzalem.
Ojciec umarł, matka chora.
Wróć do domu synu drogi,
Czekamy cię bezustannie
Od raneczka do wieczora.
Wróć do domu synku mój!
Wróć do domu z wiosną, wróć
Wróć do domu, wróć do domu, wróć!

Papier zwykły, jak zmierzch szary,
Zdąża liścik do golusu.
Pisze chaluc ze łzą w oku:
Jeruzalem świętego roku.
Wybacz matko moja chora,
Lecz nie dla mnie djaspora.
Jeślim Tobie jeszcze drogi,
Przyjdźże tutaj mnie całować.

http://rcin.org.pl

Nie chcę błądzić i wędrować.
Nie ruszę się stąd nigdy.
Nie ruszę się, nie ruszę stąd, nie!

Huragan oklasków nagrodził śpiewaka o twarzy bladej jak kartka papieru. Wszak śpiewał on ze serca swego i ze serca tych ludzi, którzy go tu słuchali. Dla nich i za nich śpiewał... To była ich pieśń, pieśń nadziei i tragedji tego kraju...

Pauza... Rozbłysły światła. Zastukały krzesła. Poruszyli się słuchacze jak pszczoły...

Tirsa nie znała tu nikogo. Siedziała więc wciąż jeszcze na swem miejscu, widząc na tle spuszczonej, aksamitnej kurtyny białą, tragicznie wymowną twarz śpiewaka. Zdawało się, że on wciąż jeszcze śpiewa, nie poruszając ani ręką, ani też żadnym muskułem swego ciała. Jedynie biały, falujący gors koszuli zdradzał mniejsze lub silniejsze natężenie...

Twarz śpiewaka znikła z oczu Tirsy dopiero w chwili ponownego ściemnienia się widowni... Przy fortepianie zasiadł ten sam sympatyczny staruszek... Jakżeż szczęśliwą musi być ta przystojna dziewczyna, siedząca obok siwowłosego pianisty i przewracająca kartki nut...

Skrzypek zapowiada:

— Trio Areńskiego.

Grają...

Co za młodzieńczy, żywiołowy temperament ujawnia nagle staruszek!... Jakże szybko tańczą jego ręce, wykonując w powietrzu zamaszyste, porywające piruetty!... Jakżeż — mimo to — aksamitne wyciąga z wnętrza czarnego pudła tony! Jaka dobroć bije z jego twarzy, prześwietlonej muzyczną ekstazą...

http://rcin.org.pl

Scerzo!... Jakgdyby baletnica tańczyła na koniuszkach palców, trzymając srebrne dzwoneczki w rękach...

Elegja!... Och, jaka smutna i zmiłowania prosząca... Ogarnia, przenika i rozlewa się pieszczotliwą, kojącą falą po wnętrzu... Lecz pocóż oni to robią?... Po co?... Po co nakładają jej duszę na patefon swych skrzypiec i czela i grają jej umarłe sny o szczęściu, jej upadek, jej ból, jej beznadziejne jutro?... Po co zwalniają burzę z uwięzi?... Po co rozrywają jej zranione serce?... Po co? Wszak i tak z każdej części płynie krew...

Tirsa czuje, iż łzy spływają jej z oczu; spływają zwolna w dół, ku policzkom...

Nie czeka na finale. Wychodzi na ulicę i przeszedłszy krótką przestrzeń dzielącą Bejt Am od morza, przystaje nad jego brzegiem.

Ciemno... Noc bezksiężycowa... Nad pustymi, nadbrzeżnymi piaskami unosi się słodkawo-mdły opar wyrzuconych przez morze trawisk...

Ciemno... Napróżno oko sili się, by przeniknąć poprzez tę czarną zasłonę, poza którą rozpoczyna się nieopanowane ludzką ręką, niezbadane, bezimienne królestwo. Granicy tego królestwa nikt nie przekroczy... Nikt samotny... Stamtąd, z poza zasłony, zda się bez przyczyny i celu, z gardła cicho pracującej maszyny wylewa się na brzeg fala od dawna, od tysiąca, od miljonów lat. Bezustannie, jednostajnie, tajemniczo... Nieskończoność wstecz i nieogarnięty ludzkim rozumem bezkres — wprzód... Od miljona lat zatapia noc w tem morzu niebo i słońce, a codziennie wyłaniają się one znów z bezkresu wód świeże, młode

http://rcin.org.pl

i niepokalane, jak poranek wiosny i jak barwna, kryształowa kula kolorów i światła pełne...

Poza tym progiem śmierć... Poza śmiercią i życiem trwa prawdopodobnie Bóg, coś, co istnieje poza obrębem stworzonego myślą ludzką świata, poza ludzkim rozumem i ludzkiem uczuciem... On trwa wiecznie... Jedynie człowiek idzie krótką, ciernistą drogą pełnego klęsk życia i ginie. Ginie, nim zdołał nabrać rozpędu do życia, nim zdołał ze sobą i z Bogiem się porozumieć... Po co się urodził? Po co żył? Z jakiego musu i komu na użytek?...

— Tak, tak — powtarzało morze głośno — komu na użytek?...

Ciemno...

Morze szumi, opadając niewidzialną sikławą tysiącznych wodospadów w serca tajemniczych borów. Ze serc tych tajemniczych borów dochodzą wyraźnie głosy pełne obietnic, zapomnienia, i ukojenia: „W nas jest wyzwolenie... W nas jest wyzwolenie... Pójdź na nasze łono, a rozluźnimy ucisk twego znękanego serca... Pójdź i spocznij... Pójdź i spocznij...“.

Jak lunatyczka z rozwartemi szeroko, a niewidzącemi oczyma, z zastygłym na wnętrzu szlochem wchodzi w noc, w królestwo bez granic, w rozstępujące się miękko fale. Litościwe dłonie fali biorą i ogarniają jej ciało czule, miłośnie, pieszczotliwie... na zawsze...

KONIEC.

BIBLIOTEKA
Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63
Ze zbiorów
http://rcin.org.pl

Wydawnictwo „Panteon"

Kraków, ul. św. Tomasza 20

Aleksander Dumas: „LADY HAMILTON", powieść, przełożył z franc. F. Hadon zł. 4.—

Aniela Kallas: „ŚWIAT OBIECANY", pow. zł. 7.—

Rudyard Kipling: „ZEW ZIEMI", nowele wschodnie, przeł. z ang. Witold Zechenter zł. 4.—

Józef Ignacy Kraszewski: „STARA BAŚŃ", powieść z IX. wieku, wstępem i uwagami opatrzył Juljusz Feldhorn . . . . zł. 3.60

Adam Polewka: „CUD", powieść . . . . zł. 6.—

Ludwik Renn: „WOJNA". Pamiętnik Żołnierza Wielkiej Wojny, przełożył z niemieckiego Juljusz Feldhorn . . . zł. 8.—

Lew Tołstoj: „KOZACY", powieść kaukaska, przełożył z rosyjskiego Jan Las . . . zł. 4.—

Iwan Turgieniew: „RUDIN", powieść, przełożył z ros. Stefan Kołaczkowski zł. 4.—

Kazim. Waydowski: „ZWIĘDŁE LIŚCIE", powieść . . . . zł. 6.—

Jakób Wassermann: „CZTERDZIESTOLETNI MĘŻCZYZNA", powieść, przełożył z niemiec. Juljusz Feldhorn zł. 7.—

Jakób Wassermann: „ALEKSANDER W BABILONIE", powieść, przełożył z niemieckiego Kazimierz Czachowski . zł. 7.—

Oscar Wilde: „PORTRET DORJANA GRAYA", powieść, przełożył z angielskiego Kazimierz Czachowski . . zł. 4.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

http://rcin.org.pl

Wydawnictwo „Panteon"

Kraków, ul. św. Tomasza 20

Epokowy pamiętnik jeńca wojennego na Syberji, Edwina Eryka Dwingera, pod tyt.:

ARMJA ZA DRUTEM KOLCZASTYM

w tłumaczeniu **Wandy Kragen.**

Książka przetłumaczona została na wszystkie języki światowe. Poświęcona jest jedynej opiekunce tych nieszczęśliwych jakimi byli jeńcy na Syberji, delegatce szwedzkiego Czerwonego Krzyża, Dr. Elzie Brandström, tegorocznej kandydatce do Pokojowej Nagrody Nobla.

O książce tej pisze „Kurjer Poznański" z 18. XII. 1929 Nr. 586 następująco:

Głośnej książce Remarqua nie ustępuje zupełnie inna świeża publikacja, poświęcona też minionej wojnie, lecz nie jej walkom frontowym, tylko przeżyciom w obozie jeńców w Rosji.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

http://rcin.org.pl

Wydawnictwo „Panteon“

Kraków, ul. św. Tomasza 20

W najbliższym czasie rozpoczniemy druk szeregu powieści słynnego pisarza duńskiego

Marcina Andersena Nexö.

Rozległą jest skala zainteresowań M. A. Nexö:

Zajmuje go przedewszystkiem życie współczesnego proletarjatu miejskiego; w powieściach, osnutych na tem tle, okazuje się nietylko utalentowanym poetą, ale również i człowiekiem, obdarzonym czułem sercem i wielkim rozumem. Zajmuje go również i życie mieszkańców wybrzeża morskiego, a dusza chłopa i stosunki na wsi są mu niemniej dobrze znane od duszy robotnika miejskiego i stosunków we fabrykach.

Jedna jednak myśl przewodnia kieruje nim zawsze we wszystkich jego dziełach: współczucie i obrona upośledzonych i uciśnionych.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
22748

http://rcin.org.pl